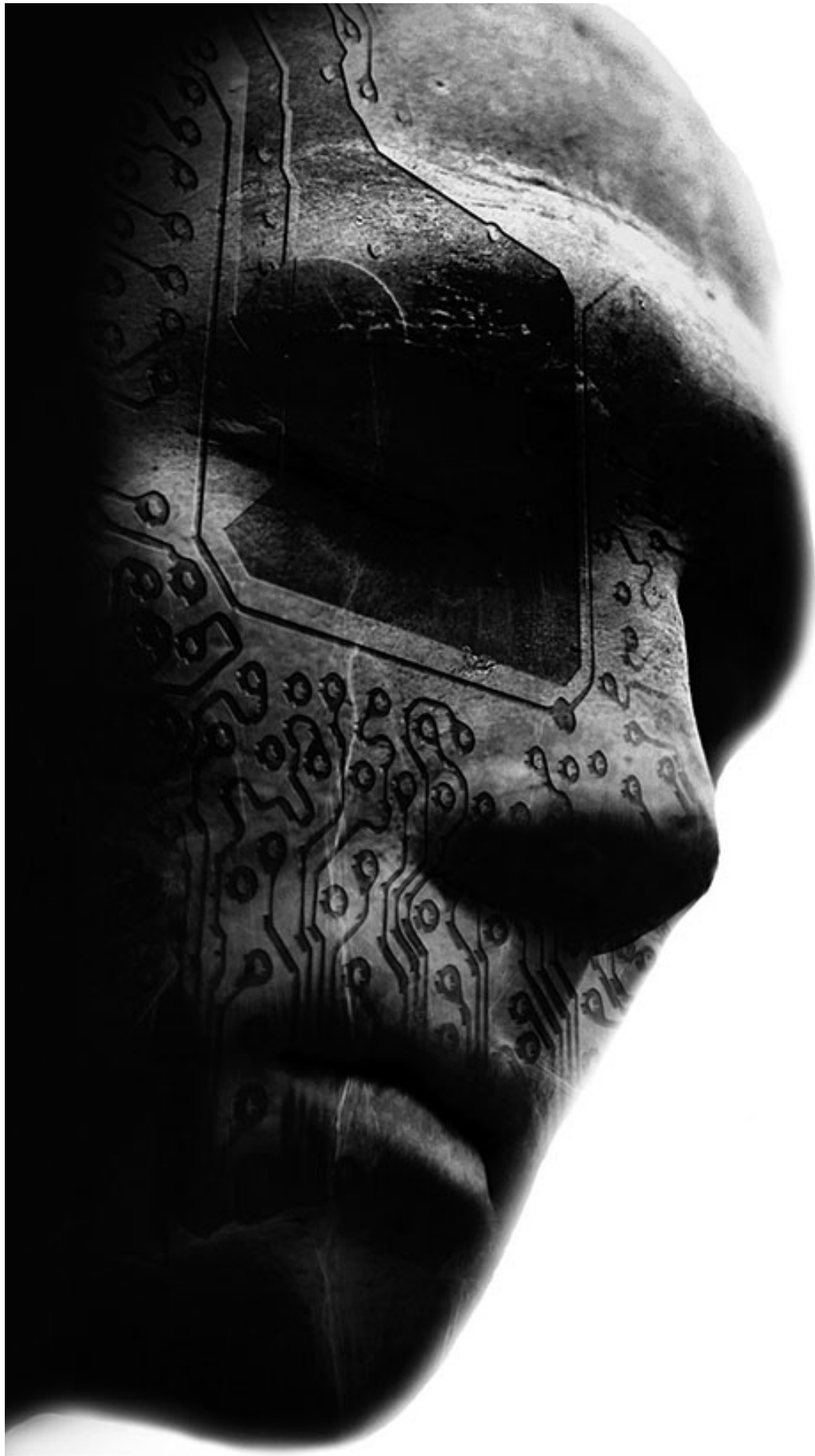


A character named Max Kioruk is shown from the waist up. He has a dark, heavily mechanical and armored head with glowing yellow-green eyes. He wears a dark, fur-lined jacket with a large collar. On his chest, there are various mechanical components and a glowing green circular light. He has a utility belt with several pouches and tools. His right arm is visible, showing mechanical details and a glowing green light. The background is a metallic, industrial-looking structure with a grid pattern.

MAX KIORUK

BOT

Kiedy ludzie stają się nadludźmi,
łatwo mogą utracić człowieczeństwo



MAX KIDRUK BOT

przełożyła Julia Celer



Tytuł oryginału: **Bot**

Projekt okładki: *Irina Pozniak*

Redakcja: *Jacek Ring*

Redakcja techniczna: *Karolina Bandykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Dorota Wojciechowska, Renata Kuk*

Copyright © Maksym Kidruk, 2012

Copyright © Book Club „Family Leisure Club”, 2012

Copyright © Hemiro Ltd., 2012

All rights reserved.

For the cover illustration © Emilis Baltrusaitis

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2014

© for the Polish translation by Julia Celer

ISBN 978-83-7758-830-7

Wydawnictwo Akurat

Warszawa 2014

Wydanie I

PRZEDMOWA

W tamte lipcowe gorące dni w Kijowie panował tak nieznośny upał, że wydawało się, jakby słońce postawiło sobie za cel rozpuszczenie marmurowych schodów i kolumn Domu Ukraińskiego. Na każdego z uczestników wiecu, którzy zebrali się na placu Europejskim, by zaprotestować przeciwko „prawu językowemu”, przypadał jeden żołnierz specnazu. Demonstranci szukali odrobiny cienia i z wyrozumiałością ustępowali sobie wzajemnie miejsca. Na placu zebrali się ci, którzy doskonale rozumieli jedno – języka nie da się zniszczyć jednym aktem prawnym czy ustawą, jeżeli będzie w nim rozmawiał, pisał, drukował książki, wiecował, wyznawał miłość, przeklinał i śpiewał cały naród.

Właśnie tam podszedł do mnie chudziutki chłopak i przedstawił się jako ukraiński pisarz. Jego nazwisko nie było mi obce, słyszałam już o nim przy okazji konkursów literackich, a także od zawziętych mieszkańców Kirowgradu, którzy opowiadali o swojej aktywnej młodzieży. Maksym Kidruk – autor tej książki – poprosił mnie o przeczytanie swojego ostatniego utworu. „Od razu, tu i teraz?” – zażartowałam. „Nie, książka jeszcze jest w drukarni, prześlę pani wersję elektroniczną, proszę przeczytać w miarę możliwości”. Obiecałam, ale coś zawsze stało na przeszkodzie: praca, internet, jacyś ludzie. Wreszcie, po kolejnym e-mailu od Maksyma, wzięłam się do czytania.

Drogi Czytelniku, powiem prawdę: fantasy i powieść przygodowa to nie są moje ulubione gatunki, co więcej, nigdy w życiu nie zagrałam w żadną grę komputerową, obserwowałam jedynie, jak skupione były na strzelankach moje dzieci, które starałam się bezskutecznie oderwać od kompa. W książce Kidruka zafascynowało mnie coś innego: świetny język i niebanalna fabuła. I jeszcze jeden, niezwykle interesujący aspekt – programiści szturmem zdobywają główne pozycje wśród bohaterów powieściowych. Obecnie zarówno w dziełach koryfeuszy literatury ukraińskiej, jak i w książkach młodych autorów można znaleźć bohatera, który znaczącą część swego życia spędza w internecie i doskonale się orientuje w najbardziej skomplikowanych programach komputerowych. Nareszcie Ukraina kojarzy się w świecie nie

tylko ze wspaniałymi sportowcami, lecz również z wysokiej klasy programistami, o których biją się największe koncerty międzynarodowe.

Oddając w moje ręce swojego *Bota*, Maksym zrobił mi cały wykład na temat technothrillerów. Z wielkim entuzjazmem opowiadał o hybrydzie – połączeniu thrillera szpiegowskiego, powieści wojennej oraz gatunku science fiction. W technothrillerach można znaleźć szczegółowe opisy badań naukowych czy nowinki techniczne, dlatego w tego rodzaju książkach gustują zarówno miłośnicy literatury pięknej, jak i amatorzy literatury popularnonaukowej. W podobnym stylu pisał Michael Crichton – jego słynny *Park Jurajski* to także technothriller. Tom Clancy i Dan Brown to uznani przedstawiciele gatunku (dwie pierwsze powieści Browna są stuprocentowymi technothrillerami).

Maksym Kidruk pretenduje do miana pierwszego pisarza ukraińskiego, który specjalizuje się w tym modnym gatunku, prezentując *Bota* jako pierwszy ojczysty technothriller. Myślę, że warto pomóc naszemu technofantaście: na dobry początek kupić i przeczytać jego nową powieść! Tak więc, drogi Czytelniku, przygotuj się do lektury *Bota*. Maksym gotów jest obiecać, że w Twoich snach przyjdzie do Ciebie grupa jasnowłosych chłopców, podobnych do siebie jak dwie krople wody. Życzę wspaniałych wrażeń!

Iryna Geraszczenko, poseł Rady Najwyższej Ukrainy

*Hryhoryjowi Miroszniczence,
a może lepiej powiedzieć – Gregu Miro,
który wie, że pieniądze to śmieci,
i który podarował mi przygodę w Angoli...*

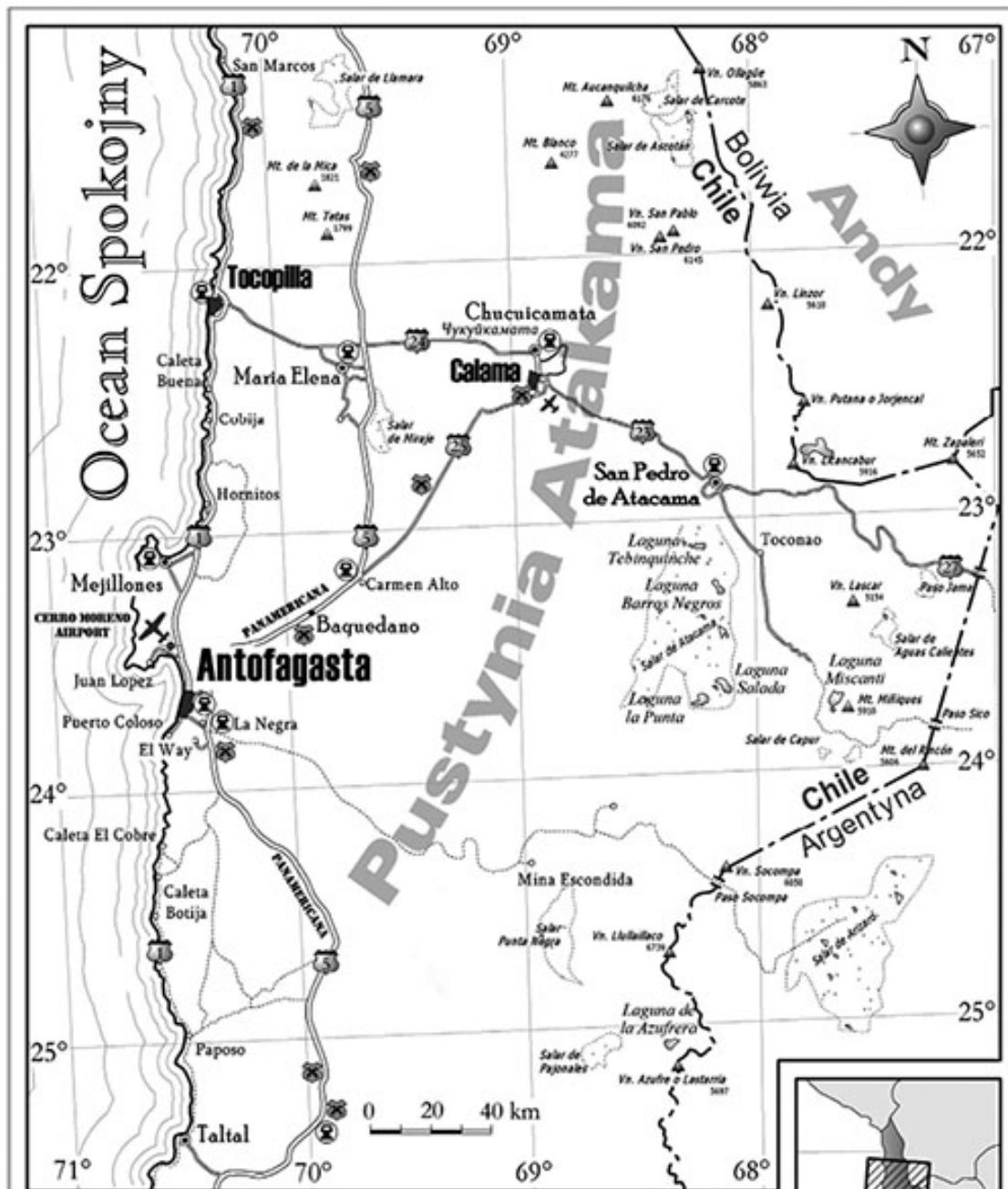
BOT, -a; *lm -y*

(*ang.* bot, skrót od *ang.* robot – automat, robot) – program, który naśladuje zachowania człowieka, nierzadko wyposażony w elementy sztucznej inteligencji. Wykorzystywany jest do sterowania przeciwnikami w grach komputerowych bądź jako klon „żywego” użytkownika na czatach i forach internetowych. Działa przez te same interfejsy co zwykły użytkownik. Boty używane są tam, gdzie potrzebna jest lepsza niż u człowieka reakcja, gdzie przy rutynowych zadaniach wymagana jest absolutna skuteczność, a także w celu całkowitego naśladowania i kopiowania ludzkich zachowań.

Chociaż osiągnięcia w dziedzinie badań nad ludzkim mózgiem są już znaczące, bardzo dużo aspektów jego pracy nadal pozostaje tajemnicą. Funkcjonowanie oddzielnych komórek dogłębnie przeanalizowano, opisano i wytłumaczono, ale pojmowanie tego, jakim sposobem w rezultacie współdziałania miliardów neuronów nasz mózg działa jak jedna spójna całość, dostępne jest w bardzo dużym uproszczeniu i wymaga dalszych wnikliwych badań.

„Bóg karze nas za to, czego nie umiemy sobie wyobrazić...”

Stephen King *Ręka mistrza*



Antofagasta, Chile

- | | | | |
|-----------------|------------------|-----------------|-----------------------------|
| Calama ▾ | miasta | ⊗ | stacje benzynowe |
| Maria Elena ⊗ | wsie | ⊗ | posterunki policji drogowej |
| Baquedano • | osady | ✕ | lotniska |
| Carmen Alto ◦ | stacje postojowe | --- | granice państw |
| — | szosy | --- | posterunki graniczne |
| — | drogi asfaltowe | Vn. Lincor 1034 | szczyty górskie |
| ⋯ | drogi gruntowe | Laguna la Punta | słone jeziora |
| Ⓜ | numery dróg | Salar de Capur | słone pustynie |



Spis treści

EPIZODY: POCZĄTEK...

I

II

III

IV

V

VI

ZAPROSZENIE

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

PRZYBYCIE

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

NOWE POKOLENIE

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

TECHNOSYNAPSA

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

XXXVI

XXXVII

XXXVIII

XXXIX

ŚLEPY ZAUŁEK

XL

XLI

XLII

XLIII

XLIV

XLV

XLVI

XLVII

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ MASEK PRZECIWGAZOWYCH I...

ALDOSTERON

XLVIII

XLIX

L

LI

LII

DOLINA ŚMIERCI

LIII

LIV

LV

LVI

LVII

LVIII

LIX

LX

LXI

LXII

LXIII

POBOJOWISKO W PURITAMIE

LXIV

LXV

LXVI

LXVII

LXVIII

LXIX

LXX

LXXI

LXXII

LXXIII

LXXIV

LXXV

ONO

LXXVI

LXXVII

LXXVIII

LXXIX

LXXX

LXXXI

LXXXII

LXXXIII

LXXXIV

LXXXV

LXXXVI

FRAKTALNE OPĘTANIE

LXXXVII

LXXXVIII

LXXXIX

XC

XCI

XCII

XCIII

XCIV

XCV

XCVI

XCVII

XCVIII

WĘŻE ZACZYNAJĄ KĄSAĆ

XCIX

C

CI

CII

CIII

CIV

CV

CVI

CVII

CVIII

CIX

PIEKŁO EL TATIO

CX

CXI

CXII

CXIII

CXIV

CXV

CXVI

CXVII

CXVIII

CXIX

CXX

CXXI

CXXII

CXXIII

CXXIV

CXXV

KONIEC...?

CXXVI

CXXVII

CXXVIII

CXXIX

CXXX

CXXXI

Posłowie autora

DODATEK A

Zbiór Mandelbrota

DODATEK B

Porównywalne rozmiary samolotów opisanych w książce

Przypisy

EPIZODY: POCZĄTEK...

I

Wtorek, 4 sierpnia, 17.23 (UTC[1] –4)
Droga San Pedro–Calama
Pustynia Atakama, Chile

Jay-D nie był jedynym, który dał się oszukać ich dziecięcemu wyglądowi...

Długie cienie kładły się na suchej ziemi. Zachodzące słońce rozjaśniało swym nikłym blaskiem przednią szybę, wypełniając wnętrze range rovera złotawym światłem.

Rozbita, kompletnie rozjeżdżona droga ukazywała się spod maski pojazdu i to znikając, to znowu wynurzając się z piasku, biegła w kierunku północno-zachodnim. Wzdłuż drogi rozpościerały się wyschnięte łupki i w połowie przysypane piachem wapienne skały Atakamy, najbardziej suchej pustyni na ziemi. Daleko z tyłu za range roverem wznosiły się gołe grzbiety Andów, wśród których, jak narośl na ciele łuskowca, wystawał Licancabur, sześciokilometrowy krater wygasłego wulkanu. Błękit nieba zalewał wszystko dokoła tak, że nawet góry w oddali miały fioletowy odcień.

Srebrzysty samochód terenowy dzielnie pokonywał trasę do Calamy[2], jedyne zamieszkanego miejsca w promieniu dwustu kilometrów od San Pedro, jakie miało prawo (wątpliwe, mówiąc szczerze) nazywać się miastem[3]. Oprócz Autostrady Panamerykańskiej i kopalni miedzi niedaleko Antofagasty[4] na północy Chile niewiele jest miejsc, których dotknęła ręka cywilizacji.

Jay-D Richardson, czterdziestopięcioletni kardiochirurg z Auckland, przesunął fotel do tyłu, pochylił oparcie i rozprostował zmęczone nogi. Spędził w San Pedro cały weekend, jeżdżąc po okolicy. Stateczny Chilijczyk Flavio zdążył pokazać mu wiele ciekawych rzeczy: Dolinę Księżycową,

laguny Chaxa i Barros Negros oraz Miscanti – miejsce, gdzie odpoczywają flamingi andyjskie[5]. Richardson splótł ręce za głową i pomyślał, że nie miałyby nic przeciwko pozostaniu w San Pedro. Choćby na jeden dzień. Gdyby mógł, to nawet i na cały tydzień. W pewnym momencie wręcz pożałował, że w Calamie czeka na niego Frank.

Frank Di'Anno, przyjaciel Jaya-D z college'u, znalazł się w tej głuszy nie bez powodu. W odróżnieniu od Richardsona, który rozkoszował się urlopem, Di'Anno przyjechał do Calamy służbowo. Frank już czwarty rok pracował w australijskiej firmie produkującej sprzęt medyczny. Miał pomóc w zainstalowaniu MRI, aparatu do obrazowania metodą rezonansu magnetycznego, w który został wyposażony tutejszy szpital. „Szaleńczy projekt” – tak oceniał Frank cel wyjazdu. Jakiemuś urzędasowi z chilijskiego Ministerstwa Zdrowia przyśniło się, że w Calamie niezbędny jest MRI. Jak gdyby Indianie mieszkający na pustyni mieli daleko do Antofagasty czy Iquique[6]. To, że dziewięćdziesiąt procent z nich w ogóle nie wie, co to jest tomografia, a dziewięćdziesiąt pięć procent nigdy w życiu nie potrzebowało tomografu, nikogo nie interesowało. Skoro zapłacili, Di'Anno musiał pojechać, by pomóc tubylcom oswoić się z tym nowym sprzętem.

Kiedy jeden dowiedział się o planach drugiego, przyjaciele ustalili, że spotkają się w Calamie na piwie. Pod warunkiem że w takim nędznym miasteczku w sercu Atakamy znajdzie się piwo...

– Co to takiego? – zapytał nagle Jay-D, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– Gdzie, proszę pana?

– Tam, przed nami. – Mężczyzna wskazał palcem obiekt. – Na lewo od drogi.

Flavio uważnie zlustrował lewe pobocze. Przez pierwsze sekundy nie widział niczego, co byłoby warte jego uwagi, aż nagle w odległości kilkuset metrów zobaczył coś, na widok czego serce najpierw podskoczyło mu do gardła, a potem zrobiło się ciężkie jak odważnik i przesunęło się o parę centymetrów w dół. Stary Indianin wcisnął hamulec do dechy i zatrzymał samochód.

– Czyś ty zwariował? – zirytował się lekarz. – O mało nie wybiłem łbem szyby!

Chilijczyk nie odpowiedział, nie spuszczał oczu z samotnej postaci tkwiącej na poboczu drogi.

– To chyba człowiek – powiedział Richardson.

– Ja... nie... jestem pewien, *señor*. – Skrzypiący głos starego Indianina dziwnie zabrzmiał.

– Mówię ci, że to chłopiec. Mam lepszy wzrok.

W oddali widniała barczysta postać.

– Ale od kiedy to na Atakamie mieszkają takie białe małolaty, co? – próbował żartować Jay-D.

Chilijczyk ponownie zignorował pytanie. Richardson zmrużył oczy.

– Dziwne, smarkacz jest zupełnie goły. – W oślepiających promieniach słońca Jay-D nie zauważył szarych atłasowych kąpielówek chłopca. – E-m-m... Skąd on się tu wziął?

– *Señor*, to nie jest człowiek – oświadczył nagle Flavio.

– A kto?

– Diabeł.

– Co takiego? – Lekarz był zde gustowany. – Flavio, ty...

– Dwa dni temu widziano go na pustyni na północ od San Pedro.

– Jaki diabeł, do cholery? – prychnął Jay-D. – Co za głupie zabobony!

Siwowłosy Chilijczyk wrzucił pierwszy bieg i mocno wcisnął pedał gazu. Silnik zawył i range rover pomknął do przodu.

Jay-D pograżył się w myślach. W miarę jak się zbliżali do samotnej sylwetki, lekarza ogarniał niepokój. Chłopak o białej skórze stał jak słup sam jeden pośród bezkresu martwej Atakamy, ale przy tym ani nie krzyczał, ani nie biegł w stronę samochodu. W ogóle nic nie robił. Stał tylko i patrzył. Takie zachowanie mogłoby zdziwić nawet w pobliżu cywilizowanej osady gdzieś w Nowej Zelandii. W samym środku pustyni Atakama natomiast wywoływało ukłucia w okolicy żołądka.

Auto z dużą prędkością minęło samotną postać, wzbijając tumany kurzu oraz drobne okruchy skalne. I nic się nie wydarzyło. Zupełnie nic. Samochód oddalał się. Chłopiec tylko patrzył za nim, lekko przechyliwszy głowę.

Richardson oparł rękę na siedzeniu i obejrzał się.

– To miraż, nic więcej – podsumował głucho, dziwiąc się, że od razu na to nie wpadł. – Zwykła fatamorgana. Jakiś dzieciak stoi pośrodku plaży na wybrzeżu oceanicznym, a my obserwujemy jego odbicie.

– Pan się myli, *señor*... – wyszeptał Flavio.

Ukośne promienie słońca wyraźnie oświetlały postać chłopczyka. Jay-D zauważył wreszcie sportowe kąpielówki i oczy... oczy, które patrzyły wprost na niego.

Nagle w głowie kardiochirurga otworzyła się jakaś klapka. Przez jedną albo dwie sekundy nie mógł uchwycić myśli. Elementy tego, co zaobserwował, nie układały się w ogólny obraz, uparcie nie znajdowały miejsca w jego logicznym umyśle. Lekarz zamyślił się, aż czoło mu się zmarszczyło, lecz nie umiał powiedzieć, co przegapił, w czym się pomylił.

I raptem do niego dotarło: wzięta za miraż postać *odwróciła się, przechyliła głowę i patrzyła* na nich! Obserwowała ich pojazd! – nagle pojął; ta świadomość przyszła tak szybko, że cały zdrętwiał. Ręce i plecy pokryły się gęsią skórą. Chłopiec nie był mirażem ani zjawą. Przecież widmo *nie reaguje* na to, co się dzieje wokół.

Do Jaya-D jeszcze nie do końca docierało, co właśnie sobie uzmysłowił, gdy Flavio powiedział:

– To nie jest zjawa. – Trzymając się kurczowo kierownicy, stary Indianin ze strachem zerkał w boczne lustro. – Na Atakamie nie ma mirażu, *señor*...

Nie było wątpliwości: pośrodku pustyni stało prawdziwe dziecko.

– Zatrzymaj się! – polecił Jay-D.

– *Señor*, błagam, nie...

– Natychmiast zatrzymaj auto!

Flavio niechętnie wcisnął hamulec, terenówka stanęła w miejscu.

– *Señor*, pan nie rozumie, co czyni – wybełkotał kierowca. – To diabeł, widziano go jednocześnie w kilku miejscach...

– Stary głupcze, co ty bredzisz? – rozżłościł się kardiochirurg. – To jest dziecko! Mały człowiek, tak samo prawdziwy jak ty i ja. Nie możemy tak po prostu zostawić go na pustyni. – Jay-D zająknął się, ucieszony tym, co właśnie przyszło mu do głowy. – Skąd wiesz, może gdzieś niedaleko uległ katastrofie samolot pasażerski, a ten mały jest jedynym, który ocalał... Tak, właśnie tak, jest kontuzjowany i dlatego tak dziwnie się zachowuje.

Nowozelandczyk odpiął pas, wyszedł z samochodu i okrążył go.

Wzbite przez pojazd tumany kurzu przerzedziły się; pył powoli opadał na ziemię z ledwo słyszalnym szelestem. Chłopczyk stał jak poprzednio niedaleko drogi i obserwował ich samochód. Od Richardsona dzieliło go kilkaset metrów. Sylwetka malca rzucała długi geometryczny cień, który kładł się za nim na ziemi.

Jay-D podniósł prawą rękę i pomachał nią.

Chłopak momentalnie zareagował – także pomachał w odpowiedzi. I też prawą ręką.

Richardson uśmiechnął się triumfalnie, rugając w duchu starego Indianina. Ruszył do przodu w kierunku chłopca, machając rękami. Gdy tylko zrobił pierwszy krok, malec również drgnął i zaczął iść ku niemu... i tak samo machał rękami.

W miarę jak się zbliżał, Jay-D musiał w duchu przyznać, że jego altruizm gdzieś się ulotnił. Po plecach przeszły mu ciarki. Coś, u diabła, było nie tak. Coś było nie w porządku z tym dzieciakiem, ale nie mógł zrozumieć, co to właściwie było – Atakama plątała myśli. Lekarz nie cierpiał na agorafobię, lecz uświadomienie sobie tego, że w razie jakiegokolwiek zagrożenia nie ma dokąd uciec (nie dlatego, że rzeczywiście nie było dokąd uciekać – cała pustynia jest twoja, biegnij, dokąd tylko chcesz – ale dlatego, że uciekanie nie miało sensu: w promieniu dziesiątków kilometrów nie było żadnej kryjówki, w której można by się było schować), powodowało przyspieszone bicie serca.

Mimo to Jay-D nie zwolnił tempa marszu, coraz bardziej oddalając się od samochodu.

Chłopiec miał bardzo ładną sylwetkę: szeroką klatkę piersiową, silne nogi, umięśniony brzuch. Można byłoby uznać ją za doskonałą, gdyby nie głowa. Wydawała się nieproporcjonalna w stosunku do reszty ciała z powodu przesadnie wypukłej górnej części czaszki. W zasadzie nie było w tym nic nadzwyczajnego, jednak ta niewielka dysproporcja rzucała się w oczy.

Kiedy odległość między nimi zmniejszyła się do stu kroków, Richardsona przeniknął dreszcz niepokoju. Na ciele małego nie było żadnych obrażeń ani ran czy śladów sadzy, słowem niczego, co by świadczyło o jakiejś katastrofie lotniczej. Smarkacz był czyściutki jak aniołek i wcale nie przypominał kogoś, komu udało się wydostać z płonącego samolotu.

Jeszcze kilka kroków i Richardson mógł przyjrzeć się z bliska twarzy „malca”. To, co ujrzał, wryło mu się w pamięć i pozostało w niej na zawsze. Zastygłe, nieruchome rysy chłopca przypominały maskę. Pod marmurowym czołem z pewnością nie kryły się dziecięce oczy, wydobywało się z nich coś ciemnego. Źrenice skrzyły się wilgotnym błękitem, ale białka oczu... białka nie były po prostu zaczerwienione, nie, one były wypełnione purpurową krwią.

Lekarz nieoczekiwanie uświadomił sobie, że zbliża się do niego nie mały chłopczyk, lecz coś nieznanego i obcego, co tylko z wyglądu przypomina niewinne dziecko.

W mgnieniu oka świat przewrócił mu się do góry nogami. Przewrącenie – już nie wątpliwość czy niepokój, lecz rzeczywiste przewrącenie – ogarnęło Jaya-D; poczuł się tak, jak gdyby jego ciało poraził silny ładunek elektryczny. Zaszczękał zębami i zatrzymał się.

Jednocześnie zatrzymała się i ta istota... I tak samo jak on zaszczękała zębami.

Gdy dzieliło ich ze dwadzieścia metrów, zapanowała martwa cisza.

– *Do you need help?*^[7] – przemówił lekarz, ledwie pokonując narastającą panikę i nagłą chęć znalezienia się jak najdalej stąd. Jego zdrowy rozsądek z całych sił czepiał się ostatniej rozpaczliwej myśli, że mimo wszystko stoi przed nim ludzka istota. Gdyby chłopak nie rozumiał angielskiego, Jay-D na wszelki wypadek powtórzył to samo po hiszpańsku, starannie wymawiając każde słowo: – *Necesita ayuda?*^[8]

Istota milczała, chociaż kiedy kardiochirurg mówił, chłopiec wykrzywił i rozciągał usta, jakby próbował odpowiedzieć na pytanie.

Jay-D poczuł, jak przewrącenie ściska kleszczami jego krtań. W skroniach z ogromną siłą pulsowała krew. Głęboko odetchnął i ponowił próbę. Ostatnią. Jąkając się, wybełkotał:

– Czy u ciebie wszystko w porządku? Myślałem po prostu... możemy pomóc... podrzucić cię do...

I oto – znów to samo! Biały chłopak bezgłośnie poruszył ustami. Zaciągnięte krwawą błoną białka oczu były wlepione w lekarza. Wydawało się, że dzieciak próbuje coś mówić, ale z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Wyglądało to tak niesamowicie, że Jay-D cofnął się o kilka kroków.

Dziwna istota natychmiast poszła w jego ślady – też przemieściła się do tyłu na taką samą odległość.

Lekarz przełknął ślinę. Suchy wiatr muskał ich sylwetki. Od wschodu, od strony Andów, nasuwał się zmierzch, przykrywając popielatym całunem martwą ziemię. W głowie Richardsona zrodziła się pewność: On powtarza moje czynności! Porusza się tak samo jak ja i stara się mówić, kiedy ja do niego mówię. W tym spostrzeżeniu nie było jednak nic zabawnego.

– Pieprzyć to wszystko! – Mężczyzna odwrócił się na pięcie i wysoko podnosząc nogi, pognął do auta. Biegł, przyciskając dłoń do piersi i walcząc z ciemnymi kołami, jakie wirowały mu przed oczami, oraz chęcią zerknięcia do tyłu, żeby się przekonać, czy ten z pustyni go nie goni.

Od samochodu dzieliło go kilka kroków, gdy nagle natrafił stopą na głęboki dół, stracił równowagę i z krzykiem upadł na twarz. Drżąc na całym ciele i przeklinając siebie za nieostrożność, Jay-D podciągnął kolana, podniósł się i... obejrzał za siebie. Chłopiec stał w tym samym miejscu. Wlepił w Richardsona spojrzenie krwawych oczu.

Nie oglądając się więcej, łykając jak ryba suche pustynne powietrze, lekarz pobiegł do przodu.

– *Señor*, to pan? Niech *señor* powie, że pan to pan! – wrzasnął Flavio, kiedy Jay-D, czerwony jak gotowany rak, z niewyobrażalnie wytrzeszczonymi oczami, klapnął na siedzenie. – Nie zamienił się pan z nim na ciała?

– Natychmiast uruchamiaj silnik, stary głupcze! – wrzasnął lekarz, ścierając dłonią krew z podrapanego policzka. – I nie pleć głupstw! Jaka zamiana ciał, do cholery?! Ruchy, Flavio!

– Przecież mówiłem...

– Nie pieprz!!! Zapalaj! Wynośmy się stąd!

– Tak, *señor*... Rozkaz, *señor*...

Ciągnąc za sobą tren z kurzu, range rover szarpnął i pognął na zachód.

W tym samym momencie krawędź dysku słonecznego dotknęła linii horyzontu.

II

Tacito Rejes zaciągał się papierosem i śpiewał, trzymając kierownicę jedną ręką. Jego ciężarówka – sędziwy mercedes o wypukłych reflektorach – mknęła na północ.

Ryczała muzyka. W magnetofonie tkwiła mocno zużyta kasetka z porywającymi piosenkami brazylijskiego zespołu Banda Calypso. W jakiś niewiarygodny sposób, wyławiając melodię spomiędzy warkotu silnika, szelestu skrzyni biegów oraz szumu głośników, Tacito wtórował solistce. Chociaż nie znał portugalskiego, podśpiewywał razem z nią, starannie powtarzając dźwięki, które wychwytywał z czarnych siatkowych pokryw głośników.

Tacito Rejes był nietuzinkową postacią. Jego matka pochodziła z plemienia Mapuche[9], a ojciec był Melanezyjczykiem, który wyemigrował do Antofagasty z dalekiego Tonga[10]. Po swojej matce Tacito odziedziczył szczupłą sylwetkę, a po ojcu – czarną, błyszczącą, jakby naoliwioną skórę. Gdy skończył siedem lat, jego ojciec dał drapakę do Boliwii z powodu jakichś niezłatwionych spraw z chilijskimi stróżami porządku. Prysnął skutecznie, jak na dorosłego przystało, i od tamtego czasu nikt go więcej nie widział. Matka musiała walczyć z losem samotnie, wychowując synka.

W ciągu dwudziestu czterech lat swojego życia Tacito zdążył dwa razy uciec z domu, trzy razy trafić do więzienia (głównie za drobne chuligańskie wybryki oraz zażywanie narkotyków), zarobić swój pierwszy milion peso, z powodzeniem przepuścić kasę na automatach do gry w Santiago de Chile, dwukrotnie się ożenić i jeden raz rozwieść. Obecnie młody mężczyzna kupował w Antofagastie, stolicy regionu, towary przemysłowe i żywność, aby potem odsprzedawać je w Calamie. Tego dnia skrzynia jego ciężarówki była wypełniona naczyniami kuchennymi, sprzętem rolniczym, sadzonkami, świeżymi warzywami i różnymi drobiazgami przydatnymi w gospodarstwie domowym.

Miał słabość do marihuany, ale nie chwalił się tym. Uczucie niesamowitej euforii połączone z totalnym tumiwizmem, które wypełniało całe ciało po zajaraniu skręta, za każdym razem przenosiło go do innego świata, do równoległej rzeczywistości, gdzie nie istniały ból, smutek i rozpacz, nie było

bezczelnych właścicieli mieszkań ani okrutnych, tępych gliniarzy, było natomiast wiele radosnych chwil oraz historii tak śmiesznych, że boki zrywać.

Jednocześnie Tacito wstydził się tej słabości. Jedną z niewielu rzeczy, jakie pani Rejes przez dwadzieścia lat działalności wychowawczej potrafiła wbić swojemu synowi do głowy, była wiedza o tym, że narkotyki to samo zło. „Wszyscy narkomani – powtarzała stateczna *señora* – to skończeni ludzie, nędzne mały z biletem do piekła w jedną stronę, gdzie będą cierpieć męki i żreć łajno. Nie ma nikogo gorszego od nich... No, może pomijając adwentystów i świadków Jehowy”. Chłopak nie wiedział, czy tego, kto pali tylko trawkę, należy traktować jak prawdziwego, pełnowartościowego narkomana. I to gryzło go jeszcze bardziej.

Pustynna droga między Carmen Alto a Calamą była chyba jedynym miejscem, gdzie Tacito mógł w spokoju zajarać skręta, a może nawet dwa z rzędu. Policja tu się nie zapuszczała, omijała to odludzie od stworzenia świata. Bardzo rzadko zdarzało się, by z przeciwka jechały jakieś auta, a nawet jeśli, widać je było już z daleka. Jak gdyby nigdy nic – trzymaj kierownicę i wciskaj gaz.

Skręt się dopalił. Siny dym wypełnił wnętrze kabiny. Rejes przestał śpiewać i skupił się na obserwowaniu lusterka wstecznego, które zaczęło jakoś dziwnie drgać. Nigdy w życiu nie widział jeszcze, aby lusterko tak śmiesznie się zachowywało. Chwilę później młody Chilijczyk rechotał tak, że z oczu pociekły mu łzy.

– Mój Boże! Ja pieprzę, zaraz się rozplączę! Popatrzcie no tylko...! Lusterko! Ha, ha, ha! – Ryczał ze śmiechu, klepiąc dłońmi koło kierownicy. – No nie... nie mogę! Lus-ter-ko! Ha, ha, ha!

Nie przestając rzeć, Tacito spojrział na drogę i zauważył chłopca. Przyjrzał mu się uważnie – faktycznie, jakiś gówniarz. Niby jeszcze dziecko, ale jakieś takie wysokie i umięśnione. Sportowiec czy co? Chłopak był goły, jeżeli nie liczyć szarawoczarnych sportowych kąpielówek.

Tacito potrząsnął z niedowierzaniem głową. Zjawa nie zniknęła. No pewnie że nie, dopiero co najarał się marychy po uszy. Jednakże Rejes nie był na tyle naćpany, żeby nie połapać się, iż pędzi prosto na dzieciaka. I zdołałby zahamować lub chociaż próbowałby go wyminąć, gdyby nie rażąca nielogiczność, wręcz absurdalność tego obrazka.

Biały chłopiec w samych majtkach pośrodku pustyni, sto kilometrów od najbliższej osady – rozumował Chilijczyk – to przywidzenie. Herezja jakaś.

Do ciężkiej cholery, to nie może być prawda! Jeszcze mniej sensu miało zachowanie małego. Jakakolwiek realna istota, na którą szarżowałyby wielotonowa ciężarówka, przynajmniej starałaby się jak najszybciej uciec z drogi. I w żadnym wypadku nie sterczałaby w jednym miejscu. Właśnie dlatego Tacito Rejes pochopnie pomyślał, że ma halucynacje – jakieś chore urojenia, wywołane paleniem tego diabelskiego zielska. Jako że coś takiego zdarzyło mu się po raz pierwszy w życiu, omal nie narobił w spodnie, po czym wrzasnął piskliwie jak dziewczyna:

– Aaaaa! – I nacisnął pedał gazu...

Potężne uderzenie otrzeźwiło go. Puścił kierownicę; silnik zacharczał i zadławił się. Samochodem zarzuciło w prawo, na dziewiczą pustynię.

Ciężarówka zresztą szybko się zatrzymała, próbując wspiąć się na pobliski pagórek. Na boki posypały się ze szmerem kamyczki. Potem nastąpiła cisza. Po ogłuszającej muzyce i ryku silnika cisza ta sparaliżowała Tacita. Gdyby nie ogromny strach, jaki odczuwał, pomyślałby, że już wykitował.

Przez kilka sekund przypatrywał się skołowanym wzrokiem pajęczynie pęknięć w lewym dolnym rogu przedniej szyby, po czym drżącymi rękami uruchomił silnik i włączył światła. Ze wschodu nieubłagane zbliżała się noc; nie wiadomo, dlaczego młodemu mężczyźnie wyjątkowo nie chciało się zostawać sam na sam w całkowitych ciemnościach z *tym, co potrącił*. Wibrowanie pracującego silnika nie uspokajało, ale przynajmniej reflektor zadziałał. Co prawda tylko jeden, prawy.

Chilijczyk wypadł z kabiny. Nogi miał jak z waty, ledwo więc dobrnął do drogi. Z lewej strony, niedaleko miejsca, gdzie się zatrzymał, pośród odłamków szkła, fragmentów metalowej kraty chłodnicy oraz burych plam krwi leżał chłopczyk o płowych włosach. Tacito, szlochając, podszedł do niego.

– Biały! – Przyklęknął. – Niech to jasny szlag trafi, grzmotnąłem białego wyrostka!

Przytrzymując głowę chłopca jedną ręką, mężczyzna patrzył oszołomiony na skórę zachlapaną krwią, zmierzwiłone włosy i nieruchome wytrzeszczone oczy, których martwe spojrzenie wbijało się w niebo. Z licznych ran na wypukłej klatce piersiowej i brzuchu małego sączyła się krew.

Rejes raptem uświadomił sobie, że znów pójdzie siedzieć. I tym razem na długo.

– On jest biały... – szeptał przerażony pechowy kierowca, gładząc palcami jasne kosmyki. – Niech to diabli porwą, biały! Tak bardzo biały, że aż... – nagłe podejrzenie ukłuło go w samo serce – ...to turysta! Nietutejszy! – I wówczas naprawdę spanikował: – O rany, rozjechałem turystę!!

Stuknąć białego wędrowca, i to w rejonie, gdzie turystyka dopiero kielkuje... Przecież za taki czyn jego nie tylko wsadzą. Spalą żywcem, zlinczują, poćwiartują, a resztki rzucą na pożarcie pustynnym lisom.

Tacito wyciągnął szyję i obejrzał się. Słońce zaszło już za piaszczyste pagórki na zachodzie. Droga była całkiem pusta, w żadnym kierunku nic nie jechało. Chrząścił jedynie niesiony wiatrem piasek i z rzadka wzdychała spękana ziemia, witając nocny chłód. Wokół ani żywej duszy. Ohydna i śliska jak dżdżownica myśl wpełzła do mózgu handlarza. Odciągnąć go na trzysta metrów od drogi. Ciała, do jasnej cholery, będą szukali, ale pustynia umie zachowywać tajemnice.

Chilijczyk rozejrzał się ukradkiem jeszcze raz. Nikogo, aż po horyzont.

Tacito Rejes szybko się nachylił, chwycił martwego chłopaka pod pachy i pociągnął w głąb pustyni, na zachód od drogi. Ofiara okazała się potwornie ciężka. Dobrze wytrenowane mięśnie są cięższe od galaretowatego tłuszczu. Po minucie mężczyzna tak się zasapał, że aż pociemniało mu w oczach.

– Ale wieprz! – zaklął, ocierając pot z czoła. – Jakby był odlany z ołowiu.

Przez kilka chwil starał się złapać oddech, siedząc w kucki, po czym powłókł ciało jeszcze dalej, od czasu do czasu uważnie zerkając na boki.

– Mój Boże, żeby tylko nikt tędy nie jechał. – Ręce Tacita drżały jak u neurastenika. – Boże, błagam, spraw, by nikt się nie zjawił na tej drodze.

Ciemności gęstniały, a dźwięki stawały się coraz wyraźniejsze. Samochód zniknął za pagórką, lecz warkot silnika pracującego na jałowym biegu oraz przyćmione światło reflektora zdradzały położenie auta.

Odciągnąwszy chłopaczka na dostateczną odległość, Tacito zatrzymał się, by chwilę odsapnąć. Ręce i szorty młodego mężczyzny poczerniały od krwi. Nie szkodzi, w domu zrobi z tym porządek.

Uspokoił się (na tyle, na ile było to możliwe w takiej sytuacji) i zaczął się zbierać do odjazdu.

– Wybacz, mały – rzucił Tacito na odchodnym. – Nie chciałem. Po prostu... tak wyszło.

Nagle chłopiec się poruszył. Chilijczyk jęknął i omal nie narobił w spodnie (po raz drugi tego wieczoru – a niech go!), lecz od razu się połapał, że martwi przecież nie mogą się ruszać. A to oznaczało, że malec były żywy! Po chwili blondynek szarpnął się ponownie i wydał z siebie żalosny jęk. Rany na jego brzuchu zaczęły krwawić.

– Mały durniu! – zaczął wrzeszczeć Tacito. – Nie zdechłeś! – Po czym wznosił ręce i krzyknął w ciemności, zwracając się do Boga, którego dopiero co tak gorąco prosił, by nie dopuścił do pojawienia się niechcianych świadków: – Popatrz no tylko, on nie skonał, sukinsyn! *Madafaka!*

Chłopiec otworzył usta i bezdźwięcznie poruszył wargami. Jego oczy ożyły. Po jakimś czasie zogniskowały się nareszcie na twarzy Rejesa. Źrenice zwężyły się, a nabrzmiące białka zasnuły czernią. „Malec” gapił się na Chilijczyka z wściekłością zupełnie niespotykaną u dwunastolatka, który przed chwilą o mały włos nie został rozwalcowany na asfalcie. Z oczu wyzierało mu coś jak nie z tego świata, coś nieludzkiego, co powodowało, że od jednego spojrzenia mężczyznę przeniknął dreszcz. Jednakże słońce już zaszło, chłodnawe ciemności zalewały teraz całą przestrzeń, a w mroku Tacito Rejes nie mógł się przyjrzeć twarzy potrąconego dziecka.

– Cholera, i co ja mam teraz z tobą zrobić? – Zdenerwowany Chilijczyk chwycił się za głowę. – Byłoby najlepiej, gdybyś zdechł, słowo honoru!

Przymilny wewnętrzny głos podstępnie zaszeptał: Zostaw go... Porzuć tego wyrodka... A umrze.

Handlarz przygryzł wargę i zadzierając głowę, utkwiał wzrok w próżni nad sobą, gdzie stopniowo, jedna po drugiej, włączały się obojętne na wszystko światełka gwiazd – jedyni świadkowie przestępstwa.

Tacito był kupcem, ale też złodziejaszkiem i awanturnikiem. Możliwe, że kiedyś skończy jako narkoman, taka „nędzna mała z biletem do piekła w jedną stronę”. Ale Tacito Rejes nie był mordercą i nie miał zamiaru nim zostać. Chociaż nikt go tego nie uczył, Chilijczyk dobrze wiedział, że bycie mordercą jest jeszcze gorsze niż bycie ćpunem. Gorsze niż bycie adwentystą czy świadkiem Jehowy.

– Byłoby jednak lepiej, gdybyś zdechł! – wycedził kierowca, usiadł w kucki, ostrożnie podniósł białego znajcę i powlókł go z powrotem.

Chłopiec charczał i zaciskał zęby. Tacito wyczuwał drganie jego mięśni.

– Zastraniec... Diabelski *gringo*... Wstrętny prosiak o białym ryju... Po raz pierwszy w życiu zobaczył ciężarówkę czy co? – sarknął handlarz. – Ty, widzę, jakiś bokser jesteś, co? A może zapaśnik... I przestań mi tu krwawić! Natychmiast! Przestań... Do kogo ja mówię?!

W końcu zaciągnął chłopaka do kabiny samochodu. Najpierw położył go na siedzeniu kierowcy, a potem wepchnął głębiej do środka i jako tako przymocował pasem bezpieczeństwa. Sam usiadł za kierownicą.

– Wiem, mały, mamuśka nie byłaby zachwycona. – Drżącymi rękami Tacito robił skręta. – Zgadzam się, że to tak jakoś gównianie: w wieku dziesięciu lat przez całą drogę jarać trawę... – Chilijczyk przytrzymał papierosa zębami, zapalił go i przewracając oczami, głęboko się zaciągnął. – Ale wybacz mi, mały. Nie mogę bez dopingu gnać prawie sto pięćdziesiąt na godzinę po takiej, niech ją szlag trafi, „magistrali”.

Następnie zwolnił hamulec ręczny i ruszył, powtarzając przez zaciśnięte zęby jak mantrę:

– Tylko nie umieraj, proszę... Gówniarzu, tylko nie wyciągnij kopyt... Zapadły całkowite ciemności. Zegar wskazywał 18.23.

III

Wtorek, 4 sierpnia, 19.38 (UTC -4)
Calama, Chile

Jay-D Richardson i Frank Di'Anno popijali dżin z tonikiem na tarasie hotelu. Oprócz nich w barze nie było nikogo. Wieczór był nad podziw cichy i spokojny.

– Doktorze Di'Anno! – zawołał barman, pochyliwszy się nad ladą.

Frank odwrócił głowę.

– Tak, *amigo*? – Uśmiech nie schodził z jego twarzy.

– Telefon do pana.

Di'Anno nachmurzył się.

– To z kliniki.

– Skąd taka pewność? – zapytał Jay-D.

– A komu jeszcze w tej dziurze będzie potrzebny australijski inżynier o wpół do ósmej wieczorem? Pewne eskulapi coś narozrabiali.

Australijczyk niechętnie podszedł do telefonu. Podniósł słuchawkę, przyłożył ją do ucha i bardzo długo słuchał, kilka razy wtrącając krótkie odpowiedzi. Niezadowolenie stopniowo ustępowało miejsca zaskoczeniu.

Po skończonej rozmowie Frank szybko wrócił do stołu.

– Wiesz co, stary, będę musiał pognać do kliniki.

– Czy coś się stało z urządzeniem?

– Nie, nie, z tomografem wszystko w porządku, ale... do szpitala przywieźli chłopaka. Ktoś z miejscowych potrafił go pośrodku pustyni. Nikt nie wie, skąd się ten mały wziął. I lekarze... wiesz, oni chcą, żebym przyjechał i go obejrzał.

– Biały chłopak? – rzucił jakby mimochodem Jay-D, czując chłód pod łopatkami.

– Co powiedziałaś?

– Zapytałem, czy to biały chłopiec.

– Tak – odrzekł Di'Anno i gwałtownie odwrócił głowę. – Niech cię diabli, a skąd o tym wiesz? Przecież tego nie mówiłem.

– Słuchaj, jadę z tobą – powiedział Nowozelandczyk.

IV

Wtorek, 4 sierpnia, 20.14 (UTC -4)
Centralny szpital kliniczny w Calamie

– To on – oznajmił Jay-D.

– Jesteś pewien?

– Tak, nie mam wątpliwości. Widziałem go na pustyni na drodze z San Pedro. Już wtedy zachowywał się podejrzanie. Nie dziwię się, że smarkacz wlaźł komuś pod koła.

– Czy już wtedy był w samych majtkach?

– Aha. – Richardson kiwnął głową.

– Dlaczego go nie zabrałeś? – Di’Anno zerknął spode łba na swojego rozmówcę.

– Chciałem. Ale mówię przecież, on wyglądał tak, jakby postradał rozum. Wiesz... chłopak mnie przestraszył... Diabelnie mnie przestraszył.

– Przestraszył? – Frank wytrzeszczył oczy. – Jak, do cholery, mam to rozumieć?

– Jak chcesz. – Jay-D machnął ręką. – Myślałem, że zobaczyłem upiora czy diabła jakiegoś. On mnie naśladował.

Frank Di’Anno wsadził ręce do kieszeni fartucha. Na myśl nie przychodziło mu nic, co mógłby nawyczyniać dziesięcioletni smarkacz, żeby wystraszyć czterdziestopięcioletniego lekarza. Chłopiec leżał nieprzytomny i Di’Anno (na szczęście czy na nieszczęście) nie widział jego oczu.

Do lekarza tymczasem podszedł lekarz dyżurny kliniki, poważnie wyglądający niemłody już Chilijczyk z zapadniętymi policzkami i orlim nosem. To on przyjął poszkodowanego.

– Trochę go zbadaliśmy – rzekł. – Zrobiliśmy mu rentgen.

– No i jak? – zainteresował się Frank.

– Złamanie sześciu żeber i obojczyka, przemieszczenie kręgów szyjnych, rozległe pęknięcie miednicy, ale kręgosłup, na szczęście, cały. „Malec” stracił wiele krwi, choć, zdaje się, krwotoku wewnętrznego nie ma... Podejrzewamy silne wstrząśnienie mózgu; pacjent kilka razy dochodził do siebie, nie potrafił jednak nic powiedzieć, zupełnie nic, tylko chrypiał i... – w tej chwili lekarz zaczął błądzić gdzieś spojrzeniem – ...szczyrzył zęby.

– Może z bólu.

Szczupły Chilijczyk zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wydaje mi się... Według mnie to... ze złości...

– Czy coś jeszcze?

– Nie, na razie nie.

– Gładko się z tego wywinął – zauważył Di’Anno.

Jay-D Richardson stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami obok swojego przyjaciela i nie spuszczał wzroku z szyby, przez którą widać było oddział reanimacyjny.

– To fakt. Smarkacz, choć młody, ma mocną i proporcjonalną budowę. Mięśnie jak u dorosłego silnego mężczyzny. Inny na jego miejscu od takiego uderzenia po prostu rozpadłby się na kawałki.

– Należy dokończyć badania. Zobaczymy, co z jego głową. Może w środku została tylko galareta i nasze zabiegi na nic się zdadzą – wymamrotał Frank i zwrócił się do lekarza dyżurnego: – Zatrzymaliście krwotok?

– Łatwo poszło.

– Wspaniale. Spodziewam się, że tomograf jest przygotowany.

– Tak, *mister* Di'Anno. Właśnie dzisiaj po obiedzie zakończyli jego instalowanie.

– Więc jednocześnie sprawdzimy i sprzęt. *Amigo*, niech siostrzyczki przygotują pacjenta i uruchamiają urządzenie.

Chilijczyk skinął głową i popędził do gabinetu ordynatora.

Po pół minucie stół operacyjny z nieprzytomnym chłopcem został przewieziony do pracowni RM (rezonansu magnetycznego). Australijczyk i Nowozelandczyk po raz kolejny obejrżeli przypominające płaskorzeźbę ciało, gdy łóżko przejeżdżało obok nich. Kilka niewielkich siniaków, powierzchowne rany i zadrapania – nic więcej. Po umyciu chłopak ani trochę nie wyglądał na kogoś, kto trafił pod koła ciężarówki.

– Co o tym myślisz? – zapytał cicho Jay-D.

– To dziwne, że po zderzeniu z mercedesem chłopak wygląda lepiej niż ten mercedes. – Di'Anno uśmiechnął się pod nosem.

– Ja nie o tym. – Richardson nie był w nastroju do żartów. – *Co ten mały robił na pustyni?*

W sali z tomografem komputerowym zapaliło się światło. Drzwi były otwarte, po ścianie korytarza i po podłodze ślizgały się niewyraźne cienie – to personel medyczny umieszczał chłopaka w tomografie.

Frank wzruszył ramionami.

– Nie wiem... Może odłączył się od grupy turystów.

– Stary, jacy znów turyści? To Atakama! Uważasz, że San Pedro jest właściwym miejscem do odpoczynku w rodzinnym gronie? Tutaj nie docierają nawet wytrawni wędrowcy!

– No nie wiem... – powtórzył Australijczyk.

Z sali dochodziły niewyraźne głosy. Słysząc było trzask włączników, po czym rozległo się rytmiczne buczenie – tomograf zaczął pracować. Richardson i Di’Anno ruszyli w kierunku niedomkniętych drzwi.

– Zawiadomiłeś policję? – Jay-D nie mógł się powstrzymać od pytania. – Jestem przekonany, że ktoś go szuka.

– Nie moja sprawa. Chilijczycy sami sobie poradzą.

– Wiesz, ten chłopiec wydaje mi się po prostu dziwny. Cudak jakiś.

– Nie rozumiem, co w nim znalazłeś takiego dzi...

Gdy od drzwi dzieliło ich kilka kroków, z pracowni dobiegł jakiś stłumiony dźwięk. Nader niezwykły dźwięk, który Jay-D Richardson zapamięta pewnie na całe życie. Jakby ktoś z dość dużej wysokości (nie mniejszej niż trzy albo cztery metry) upuścił arbuza. Wyimaginowany pasiasty owoc walnął z charakterystycznym odgłosem na terakotę, pękł i rozleciał się na kawałki. Tyle że i Richardson, i Di’Anno dobrze wiedzieli, że za tymi drzwiami żadnych arbułów nie było.

Naprawdę jednak przestraszył ich nie sam dźwięk, lecz to, co mu towarzyszyło. Najpierw na piętrze mignęło światło. Następnie tomograf ostro zapiszczał i kilka razy gwizdnął. W pewnym momencie dźwięk zaczął cichnąć, aż zamarł całkowicie. Zapadła cisza jak w grobowcu.

Lekarze szybko pobiegli do pracowni.

– Co się stało? – krzyknął Di’Anno, omal nie wyważając w biegu drzwi. – *Qué pasó?!*

– *No lo sé... No lo sé, señor*[\[11\]](#) – wymamrotał chilijski lekarz.

Większą część sali zajmowało podobne do beczki urządzenie. Richardsonowi przypominało balię do zbierania deszczówki, jaką widział w klasztorach w Meteorach[\[12\]](#) podczas ubiegłorocznego wyjazdu do Grecji. Zewnętrzna powierzchnia przewróconej na bok „beczki” była matowa w kolorze kakaowym. Z górnej części wyprowadzony był prostokątny kanał wentylacyjny, który ciągnął się ku górze i znikał w suficie. Pośrodku głównej części urządzenia zwanej gantrą widniał okrągły otwór o gładkich krawędziach, na pierwszy rzut oka chyba trochę za mały dla człowieka. Jego wewnętrzna powierzchnia była lśniąca i gładka, na brzegach pomarańczowa, w środku sterylnie biała. Przed otworem stało wąskie łóżko, skąd pacjenta wsuwano do aparatury. Do wnętrza tomografu od centralnego panelu

sterowania ciągnęło się mnóstwo rurek i przewodów. Wszystko to wyglądało bardzo nowocześnie.

Kiedy lekarze obcokrajowcy wbiegli do sali, dziwny pacjent wysuwał się właśnie z brzucha maszyny. Na razie widać było tylko jego nogi. Niby nic nadzwyczajnego, chociaż... Kątem oka Richardson zauważył bladoróżowy lepki płyn, który skapywał na podłogę z lewej strony otworu.

Po sekundzie całe ciało chłopca wyłoniło się z otworu. Jedna z sióstr straciła przytomność; zwała się na podłogę, nienaturalnie zadarłszy głowę i rozrzuciwszy ramiona na boki. Druga zapiszczała i przemknąwszy obok lekarzy, wybiegła z pomieszczenia. Jej histeryczny wrzask, zbliżony do dźwięku syreny, jeszcze długo dobiegał z korytarza. Frank Di'Anno zszarzał jak wysuszona słońcem pustynna ziemia. I nie bez powodu – głowa chłopca zniknęła. Rozpłynęła się bez śladu. Z zakrwawionej górnej części tułowia, gdzie kiedyś była szyja, bez przerwy sączyła się krew.

– Gdzie jest głowa?! – ryknął Di'Anno, tak jakby liczył na to, że któraś z sióstr schowała ją pod połą fartucha. W pierwszej chwili Australijczyk wyglądał jak zakłopotane dziecko, jak bohater Disneyowskiego filmu animowanego, którego podstępne łotry przechytryły za pomocą czarnej magii. – Gdzie ona jest?

Frank zgiął się wpół nad ciałem i zajrzał do środka tomografu. Głowy nie było.

– Ożeż kurwa – zaklął. – Gdzie się podziała jego głowa?!

Chilijski lekarz dyżurny, żółty na twarzy, zrobił niepewny krok do przodu.

– Ja nie wiem, *señor*. My tylko umieściliśmy chłopca w środku i włączyliśmy urządzenie... Wszystko zgodnie z instrukcją. A potem ten głuchy trzask i...

– Co mi tu pan opowiada?! – zapiszczał histerycznie Australijczyk. – Idioci! To jest tomograf, a nie gilotyna!!! Co zrobiliście z pacjentem?

– Nic nie zrobiliśmy! – Pożółkły Chilijsczyk też zaczął krzyczeć. – Ja tylko uruchomiłem aparaturę...

Frank chwycił się za głowę i jęcząc, i narzekając, oparł się o tomograf.

– Stary, co o tym myślisz?

Nowozelandczyk chciał jakoś wesprzeć kolegę, ale w jego głowie kołatało się jedno, jedyne głupie zdanie: „Chłopie, jeszcze nigdy w życiu nie

widziałem tak paskudnego efektu badania rezonansem magnetycznym”. Jay-D pomyślał, że prawdopodobnie teraz najlepiej będzie milczeć.

Richardson zajrzał do wnętrza urządzenia. Ścianki były czyste, tylko w głębi białego plastikowego tunelu, w miejscu gdzie wcześniej leżała głowa, wykładzina była zabryzgana mózgiem. Wszystko wymieszane z włosami i krwią. Niżej widniała jakaś rzecz, podobna do podkowy.

– Myślę, że to jego żuchwa. – Kardiochirurg wy dostał się na zewnątrz. – I... eee... kręgi szyjne... jeżeli się nie mylę.

Frank Di’Anno poderwał się.

– Kretyni! Przekłęci bezmózdzy Latynosi! – wrzeszczał. – Stary, coś takiego... coś takiego może się zdarzyć, pod warunkiem że do komory dostanie się metal... jakikolwiek metalowy przedmiot w... może aparat słuchowy lub... no nie wiem co jeszcze...

Odepchnąwszy Richardsona, Di’Anno wpełzł do środka. Wił się, sapał, odsuwał nogami pozbawione głowy ciało, aż wreszcie cały zniknął w rurze tomografu. Przez półtorej minuty nie wydobywał się stamtąd ani jeden dźwięk. Australijczyk wrócił o wiele spokojniejszy, ale wyraźnie stropiony. I od stóp do głów wymazany krwią jak wampir po śniadaniu, na które podano mięsiwa.

– I co? – zapytał Nowozelandczyk.

– Nic – wychrypiął Frank. – Tam jest wszystko, co ma być: rozdrobnione kości czaszki, zęby, kawałki twarzy, części mózgu, włosy i krew. Ale żadnego metalu... Żadnego uszkodzenia czy zadrapania na wykładzinie... Diabelstwo jakieś, Jay-D, absolutnie nic nie rozumiem...

Lekarz dyżurny stanął tak, aby uniemożliwić komukolwiek wyjście z pracowni.

– *Mister* Di’Anno, musi pan tu zostać, dopóki nie przyjedzie policja – oznajmił chłodno. – A pana prosiłbym, żeby się pan w to nie mieszał.

Jay-D nie oponował. Zaczął się cofać, przenosząc wzrok z bezgłowego chłopca na swojego kolegę i z powrotem.

– Trzymaj się, stary. – Kiwnął głową na pożegnanie i wybiegł na korytarz.

V

Po wyjściu z pracowni Jay-D zaczął się zastanawiać. Będąc lekarzem, rozumiał, że bez względu na to, co się wydarzyło w ciągu kilku sekund od uruchomienia tomografu, nie było to spowodowane niesprawnością urządzenia. Pole magnetyczne o natężeniu trzech tesli jest potężne, ale całkiem bezpieczne. Metalowe przedmioty, które trafią w takie pole, będą się zachowywały jak pociski armatnie. Szkopuł w tym, że on sam też obejrzał urządzenie i żadnych metalowych elementów tam nie znalazł.

Nowozelandczyk podjął stanowczą decyzję: musi dojść prawdy. Przynajmniej spróbować.

Korzystając z zamieszania, poszedł na drugie piętro. Szybko zorientował się w rozkładzie pokoi na korytarzu, otworzył odpowiednie drzwi i wpadł do gabinetu rentgenoskopii. Miał nadzieję, że w pracowni nikogo nie zastanie, lecz się pomylił: za biurkiem siedziała młodziutka pielęgniarka o zgrabnych, długich aż do samej szyi nóżkach. Jak z okładki żurnala – przemknęło mu przez myśl.

Dziewczyna podniosła na mężczyznę ciemne oczy.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała.

Jay-D stropił się.

– Hm, hm... *señorita*... Czy... mm... Czy mówi pani po angielsku?

– Tak, trochę.

Nowozelandczyk zawahał się, przestępując z nogi na nogę.

– Pan pewnie czegoś potrzebuje. – Siostra uśmiechnęła się zachęcająco.

– Przepraszam, że tak... no, wtargnąłem... – Richardson westchnął. Nie mógł skłecić zdania. – Jestem lekarzem. Poproszono mnie, bym pomógł w... w... sprawie przywiezionego niedawno białego chłopca. Chyba turysty, którego... Potrącił go samochód...

Jay-D znowu się zająknął. Chilijka kiwnęła głową.

– I?

– Zrobili mu rentgen. Chciałbym obejrzeć zdjęcia – rzucił zdecydowanie, bez ogródek.

Dziewczyna zastanawiała się, śmiesznie marszcząc nos. W zasadzie powinna odmówić. Ten człowiek nie należał do personelu szpitala, poza tym grubaska z recepcji już do niej zatelefonowała i opowiedziała, że temu jasnowłosemu dzieciakowi, którego przywiózł z pustyni jakiś ćpun, któryś z białych konowałłów urwał głowę. Na szczęście do siostrzyczki *na razie nie dotarło*, że konował urwał tę głowę w sensie dosłownym, poza tym Jay-D jej się spodobał; jego zakłopotanie złożyła na karb własnego oszałamiającego wyglądu. Uśmiechnęła się kokieteryjnie i przesunęła na brzeg stołu kilka zdjęć rentgenowskich.

– Ale tylko obejrzyć – szepnęła jak spiskowiec.

– Zgoda. – Jay-D rzucił się na odbitki.

Chłopiec został prześwietlony od stóp do głów: zrobiono mu zdjęcia głowy, klatki piersiowej, miednicy, kości rąk i nóg. Richardson brał po kolei szaro-czarne zdjęcia rentgenowskie, podnosił je i uważnie oglądał w żółtawym świetle starych lamp. Ze szczególną uwagą przyglądał się zdjęciu głowy. Wielkie klisze drgały w jego rękach. Gdy po raz trzeci przyjrzał się rentgenogramowi czaszki, przekonał się, że chłopak był „czysty”. Nie miał metalowych implantów ani w ciele, ani – co najważniejsze – w głowie. To nie był diabeł czy przybysz z innej planety, żaden cyborg czy robot w ludzkiej skórze. On był rzeczywisty. Zwykły smarkacz. Nie biorąc pod uwagę złamań, do których doszło w wyniku wypadku drogowego, wyglądał na całkiem normalnego dzieciaka.

Nie podziękowawszy pielęgniarce, Jay-D wypadł z gabinetu. Zbiegł po schodach na parter. Policji jeszcze nie było. Kierując się do wyjścia, kardiochirurg kątem oka zauważył czarnego jak Nubijczyk kierowcę i domyślił się, że to właśnie on przywiózł chłopca z pustyni. Tacito Rejes, już trzeźwy, siedział na rozkładanym krześle w rogu izby przyjęć, pod ogromną mapą północnej części Chile.

Usłyszawszy kroki, kierowca podniósł wzrok.

– *Señor...* – wychrypiął, chwytając lekarza za rękaw fartucha. – *Señor...* jak tam mały? Czy wszystko z nim w porządku? On nie umrze?

Po ciemnych policzkach rozpełzły się brudnawe smugi od łez.

Jay-D Richardson nie wiedział, co odpowiedzieć. Miał mu oznajmić, że chłopcu z jakiegoś zasranego powodu urwało głowę? Rozumiał, że byłyby to wierutne brednie. Coś takiego może się zdarzyć w tanim filmie grozy,

powieści fantastycznonaukowej czy w jakiejś innej rzeczywistości, ale nie na planecie Ziemia, gdzie wszystko jest podporządkowane niezmiennym prawom fizyki. Jay-D bezwstydnie skłamał:

– On... eee... jest okej... Wszystko z nim będzie w porządku...

– Bogu niech będą dzięki. – Tacito zaszlochał, ukazując brudnożółte zęby.

Nowozelandczyk rozejrzał się, uwolnił rękę i udał się w kierunku podświetlonej tabliczki: SALIDA (WYJŚCIE). Na ulicy postać chwilę, aż oczy przyzwyczyły się do ciemności, po czym, odnalazłszy wzrokiem niewyraźną bryłę mercedesa, która rysowała się tuż obok wejścia do szpitala, podszedł do ciężarówki.

Przyświecając sobie latarką w komórce, lekarz obejrzał pojazd, którego skrzynia ładunkowa była obciążona brezentową plandeką. Zbadał najpierw miejsce uderzenia: dolną część przedniej szyby, roztrzaskany w drobne kawałki reflektor, wgięty zderzak. Zajrzał pod spód, do kabiny, obejrzał koła, przyjrzał się, na ile to było możliwe, przedniej osi... Nic. Richardson sam nie wiedział, czego szuka. Po prostu badał samochód, który potrafił dziwną istotę z pustyni.

Lekarz zaczął okrążyć pojazd, oświetlając burty skrzyni. Na próżno. Kiedy dotarł na tył wozu, podniósł brzeg grubego brezentu i tracąc nadzieję na to, że znajdzie cokolwiek, zajrzał w głąb skrzyni ładunkowej. Stały tam w równych rzędach duże kartonowe pudła i nieco mniejsze drewniane skrzynki, na których leżały nieprzezroczyste torebki z folii z napisem „D&S[13]”. Były czyste i nowe, prosto z supermarketu.

Jaya-D tknęło bezpodstawne podejrzenie. Tak samo jak wtedy na pustyni, gdy po raz pierwszy zauważył chłopca, a podświadomość podsunęła mu myśl, że to nie miraż, przy czym doszedł do takiego wniosku dużo wcześniej, niż zdołał to sobie uzmysłwić. Znowu coś nie pasowało do ogólnego obrazu. Mało zauważalny element – ostatni fragment układanki – zupełnie nie przystawał do całej historii. Historii, która w tej właśnie chwili zarysowała się w jego głowie.

Richardson schował telefon do tylnej kieszeni dżinsów, przecisnął się pod plandeką i znalazł się w środku. Wyjął z powrotem komórkę i skierował jasny promień latarki na paczuski. Wewnątrz nich znajdowały się niewielkie narzędzia służące do drobnych napraw: młotki, automatyczne śrubokręty, szczypce płaskie, nożyce do metalu. Wszystko nowe, w plastikowych opakowaniach, ze starannie usuniętymi cenami. Obejrząwszy też pudełka,

zorientował się, że skrzynia zawalona jest towarami kupionymi w dużym supermarkecie...

Gubił się w myślach: Jaki supermarket? Na wschód od Calamy nie ma żadnego dużego sklepu aż do granicy z Boliwią... Skąd w takim razie wzięły się te pakunki? Nie może ich tu być, chyba że... chyba że... Myśl broniła się przed ujawnieniem, wiła się jak wąż, próbując dać nura i skryć się w otchłani świadomości.

Skąd przyjechała ta ciężarówka?

Pytanie wynurzyło się nie wiadomo skąd. Tak jakby ktoś wyszeptał je do ucha. Lekarz postanowił otworzyć jedno z opakowań. Bardzo szybko odkrył coś, czego chyba podświadomie szukał. Na dole, pod nazwą supermarketu, drobnymi literkami był napisany adres: numer domu, nazwa ulicy i... miasto.

„Antofagasta” – przeczytał Jay-D. Szczeka mu opadła... Richardson nie był znawcą geografii północnego Chile, ale znał ten region na tyle dobrze, by zdać sobie sprawę, że *samochód nie przyjechał ze wschodu kraju*. I to było niedobre. Bardzo niedobre.

Mężczyzna zeskoczył ze skrzyni na ziemię i pobiegł z powrotem do szpitala. Serce mu waliło jak maszyna do stenotypii pod palcami stenografistki. Szczupły kierowca ciężarówki wciąż siedział na tym samym miejscu.

– Posłuchaj, przyjacielu... Jak się nazywasz? – zapytał zdyszany lekarz.

– Tacito... Tacito Rejes, *señor*. – Handlarz z trudem radził sobie z angielskim.

– Chcę cię o coś zapytać.

Tacito podniósł się skwapliwie. Jego usta drżały. Mętne oczka wypełniły się łzami.

– Ja nie pójdę siedzieć, *señor*? – zabełkotał. – Jeżeli mały nie umrze, nic mi nie będzie, prawda? Przecież go przywiozłem...

Jay-D przerwał Chilijczykowi niecierpliwym gestem.

– Nikt cię o nic nie obwinia. To był nieszczęśliwy wypadek. – Nowozelandczyk znów kłamał, ledwo powstrzymując zniecierpliwienie. – Mnie interesuje coś innego. Proszę cię, pokaż mi miejsce, gdzie się znajdowałeś, kiedy... hm... zauważyłeś tego chłopca.

Nowozelandczyk wskazał na mapę. Chilijczyk w skupieniu podrapał się w potylicę.

– No... nie wiem.

– Tak mniej więcej. – Jay-D podniósł głos.

Mężczyźni przysunęli się do mapy.

– To było tutaj, *señor*... – Tacito pokazał odcinek drogi.

Lekarz poczuł, jak włosy stają mu dęba na głowie i jeżą się jak szczecina na karku wilka, a po ciele przechodzi dreszcz. Nie zapytał po raz drugi, czy Tacito jest przekonany, że wskazane na mapie miejsce na pewno jest tym, w którym nastąpiło zderzenie. Nie miało to żadnego znaczenia.

– Jechałeś z Antofagasty – połykając słowa ze zdenerwowania, uściślił Richardson.

– Tak, *señor*. Skąd jeszcze mógłbym wlec tego mojego rzęcha?

Kardiochirurg pobladł, czując, jak nieopisany strach ściska mu serce. To nie element układanki, który nie pasował do obrazka. To obrazek, który rozlatywał się z powodu jednego nieprawidłowego elementu.

– K-k-kiedy... kiedy to się stało?

– Co mianowicie? – z zakłopotaniem zapytał kierowca.

– Kiedy natknąłeś się na tego gnojka?! – ryknął Jay-D. – Godzina, czas!

– Ma pan na myśli białego chłopca?

– Tak!

Tacito podniósł oczy, przypominając sobie kolejność wydarzeń tego wieczoru.

– Tuż po zachodzie słońca, kilka minut przed szóstą. Trzydzieści minut po tym, jak minąłem Carmen Alto.

Nowozelandczyk rozdziawił usta. On widział malca pół godziny wcześniej.

– To niemożliwe...

– Co jest niemożliwe, *señor*?

Richardson go nie słyszał. Pogрузzył się w myślach. Mógł umotywować wszystko: dziwne zachowanie chłopca, niepojęty fakt jego obecności pośrodku pustyni, a nawet zamienioną w farsz głowę. Dla wszystkiego można było znaleźć rozsądne, mniej więcej prawdopodobne wytłumaczenie. Jednakże tego, co dopiero teraz uświadomił sobie, nie dawało się ani objaśnić,

ani przyjąć do wiadomości. Tacito pokazał palcem *inną drogę*: Flavio i on jechali do Calamy ze wschodu, z San Pedro, tymczasem Tacito Rejes pędził swoją ciężarówką z południowego zachodu, z Antofagasty przez Carmen Alto.

Ale nie to było najważniejsze.

Nowozelandczyk opuścił wzrok i popatrzył na skalę umieszczoną w prawym dolnym rogu mapy. Podniósł dłoń, dotknął kciukiem punktu pośrodku drogi Carmen Alto–Calama na południe od miasta, tam, gdzie Rejes potracił chłopca, a wskazujący palec odchylił na wschód i przytknął w miejscu, gdzie on i stary Indianin Flavio natrafili na białego smarkacza. Po czym cofnął rękę i nie zmieniając położenia rozcapierzonych palców, oszacował odległość, porównując ją ze skalą. Odstęp między punktami według skali mapy wynosił sto–sto dwadzieścia kilometrów w linii prostej. Linii prowadzącej przez nieprzebyte obszary usiane skałami, pocięte rozpadlinami i niemal w całości pokryte wydmami.

Jay-D bezradnie wytrzeszczał oczy na mapę. I co my tu mamy? Najpierw on napotyka przedziwnego chłopaka, którego pół godziny później Tacito Rejes potraça w zupełnie innym zakątku Atakamy. Ten smarkacz nie mógł ot tak się powielić, co oznacza, że musiał przemknąć przez dziewiczą pustynię z prędkością co najmniej dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Żadne stworzenie nie porusza się tak szybko.

Lekarz wytoczył się jak pijany na ulicę i powlókł do hotelu. W głowie huczało mu niczym w ulu zasiedlonym przez rozdrażniony pszczele rój. Ramiona drżały, a serce zatrzymywało się z powodu najmniejszego szmeru, jaki dochodził z ogarniętych ciemnościami zaułków. Wszędzie majaczyły mu tajemnicze i złowrogie sylwetki białych chłopców. Richardson nie wierzył w duchy, teleportację, czarne dziury, zakrzywienie czasoprzestrzeni czy inne tego typu brednie, dlatego też opierał się strachowi, starając się zaakceptować fakty i usiłując znaleźć możliwą do przyjęcia odpowiedź.

Tuż przy samym hotelu kardiochirurg potknął się o niewysoki krawężnik i niemal grzmotnął na ziemię, ale podparł się dłońmi o popękany asfalt. W tym samym momencie coś jakby przemknęło mu przed oczami. Kiedy się wyprostował, zamarł. Przestraszył się, że myśl mu się wymknie, zanim zdoła ją doprecyzować. Na szczęście nic takiego się nie stało.

– Chłopcy... – wymamrotał. – Nie chłopiec, tylko chłopcy...

I oto Jay-D Richardson, czterdziestopięcioletni kardiochirurg, który tak naprawdę miał bardzo mało wspólnego z dotychczasowymi zajściami ani nie

brał bezpośredniego udziału w aktualnych wydarzeniach, który za kilka godzin wyruszy z powrotem do Auckland, dzięki czemu szczęśliwie uniknie wielu paskudnych zdarzeń, jakie rozegrają się w bezludnych trzewiach Atakamy, był tym pierwszym, który wyciągnął (jak na razie) jedyny logiczny wniosek z tej historii: Czyli było ich co najmniej dwóch.

VI

Frank Di'Anno, który planował spędzić na północy Chile najwyżej pięć dni, został tam długie trzy tygodnie. Niestety, był zmuszony zamienić wygodny pokój hotelowy w Calamie na ponure wnętrze celi aresztu śledczego w Santiago.

Tymczasem ani liczne wyczerpujące przesłuchania Di'Anno i Rejesa, ani dokładne sprawdzenie tomografu komputerowego nie przyniosły żadnych rezultatów. Urządzenie okazało się w pełni sprawne i działało jak szwajcarski zegarek. Niezależny ekspert potwierdził opinię Australijczyka, że incydent, do jakiego doszło w klinice w Calamie, byłby możliwy tylko wtedy, gdyby wewnątrz czaszki tego białego biedaka umieszczono metalowe płytki, które pod wpływem pola magnetycznego rozerwałyby mu głowę. Jednakże płytek metalowych nie było, a nowe, coraz to inne badania ciała niczego istotnego nie wniosły. We krwi małego wykryto co prawda cały zestaw hormonalnych sterydów, w tym aldosteron[14], i to było dziwne, ale w żadnym wypadku nie tłumaczyło, jakim cudem głowa młodego pacjenta pękła jak przejrzała morela. Pod każdym innym względem to był zwyczajny dwunastolatek.

Jeszcze dziwniej wyglądała sprawa ustalenia jego tożsamości. Nikt go nie szukał. Ani przed zajściem, ani po nim nikt nie zgłosił się na policję w sprawie zniknięcia białego chłopca, żadna rodzina turystów nie zgubiła dzieciaka podczas wypoczynku w Chile, do Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie wpłynęły żadne noty z ambasad obcych państw. Nie pomogły także skrupulatne poszukiwania w należącej do urzędu celnego bazie danych obcokrajowców przybyłych do kraju w ciągu ostatniego pół roku. Formalnie smarkacz po prostu nie istniał.

Śledztwo utknęło w martwym punkcie.

A poza tym... Nikt nie chciał mieć jeszcze większych problemów. Pewnego dnia ciało chłopca odwieziono z powrotem na Atakamę i pogrzebano na pustkowiach za Calamą. Akta sprawy kryminalnej spalono (w sensie dosłownym), a Frankowi Di'Anno kazano się wynosić (dla pewności przystawiając mu w paszporcie jaskrawoczerwoną pieczęć „DEPORTOWANY”). Nie omieszkał wykonać tego z niekłamanej radością.

Nikt nie mógł przewidzieć, że dziwne zdarzenie na pustyni to dopiero początek prawdziwych kłopotów...

ZAPROSZENIE

VII

Czwartek, 13 sierpnia, 10.05 (UTC +2)
Wydział Gaming AI[15] firmy Time-To-Play Technologies
Kijów, Ukraina

Tymur Korszak skończył przeglądanie poczty, gdy brzęknął telefon stojący na stole.

Chłopak podniósł słuchawkę.

– Słucham.

– Tymurze! – Suchy głos szefa sprawił, że Korszak odruchowo wstał. – Nie jesteś zajęty?

– Nie... Na razie nie... – Tymur nachmurzył się. Poranne telefony od kierownictwa z reguły nie wróżyły nic dobrego.

Szef zrobił dziwnie długą pauzę, po czym powiedział bezbarwnym tonem:

– To bierz dupę w troki i szoruj do mnie do gabinetu. Trzeba pogadać.

Chłopak się skrzywił. Jeżeli dyrektor do spraw badań zaprasza cię z samego rana do swojego gabinetu, z pewnością możesz oczekiwać samych nieprzyjemności. Taki telefon oznacza albo ekstrapilne zadanie z gatunku „zesraj-się-zde-chnij-ale-zrób”, gdy żądają od ciebie po dziesięć tysięcy linijek kodu dziennie, albo nadprogramową zjebkę (z reguły dlatego, że jakiś megazaawansowany „pieprzony użytkownik” zamęczył w ciągu minionej doby wszystkich chłopaków z helpdesku. A najczęściej i jedno, i drugie).

– Już idę – mruknął Tymur i odłożył słuchawkę; było jasne, że są szanse, by dzień, który się tak wspaniale rozpoczął, zepsuł się nad wyraz szybko. Kiedy pogrążony w myślach przyglądał dłońmi nastroszone nieposłuszne włosy, znad najbliższej przegródki, które oddzielały poszczególne stanowiska pracy, wynurzyła się wielka głowa Jarka osadzona na grubej krótkiej szyi.

– Co, gruby Madafaka prosi na dywanik? – zapytała głowa, kończąc przeżuwanie porannego pączka. Oficjalnie do dyrektora odpowiedzialnego za sprawę rozwoju strategicznego i badań (w skrócie dyrektor ds. RSB) zwracano się Dmytro Witaliowycz. Jednakże niecodzienne nazwisko szefa – Puzaty – jak również paskudny i kłótniwy charakter, ciężki jak humor niedźwiedzia, którego obudzono o dwa miesiące za wcześnie ze snu zimowego, nie pozostawiały dyrektorowi żadnych szans. Poza plecami podwładni drwili z niego, wymyślając coraz mniej sympatyczne przezwiska.

Tymur z ociąganiem kiwnął głową.

– Będzie bił? – spytał kolega z nadzieją w głosie, nie ukrywając sarkazmu.

– Nie wiem.

– Ale za co? – nie odpuszczał Jarosław.

Tymur zamyślił się. Chyba ostatnimi czasy niczego nie spartaczyli.

– Nie wiem, człowieku...

– Czyli na pewno „za zaszłości” – oznajmił autorytatywnie Jarek.

Otrzymywanie opieprzu „za zaszłości” było szczególnie przykre. To skutkowało zazwyczaj dłubaniem w przestarzałych kodach programowych, które później nie wiadomo kto naprawiał i przerabiał, ponownym badaniem koncepcji modułu, a może i całego programu, wyszukiwaniem dodatkowych plików z funkcjami i klasami, które najprawdopodobniej już od dawna nie są wykorzystywane.

– Do bani – wymamrotał Tymur. – Dobrze, pójdę, bo zacznie wrzeszczeć.

– Powodzenia. – Właściciel głowy mrugnął złośliwie i znikł za przegródką.

Tymur przełączył komputer w tryb uśpienia. W czarnej czeluści ekranu odbiła się jego twarz – ładny owal o regularnych rysach nieco popsuty odstającymi uszami, twarz, w której spokojnie pobłyskiwały jasnoszare, niemal bezbarwne oczy. Wysoki, o szerokiej klatce piersiowej, nie wyglądał jak zawodowy programista charakteryzujący się na ogół dyżurnym tygodniowym zarostem, oponkami wokół brzucha i zgarbionymi plecami.

Korszak odjechał od stołu wraz z fotelem, wstał i powlókł się do szefa.

VIII

Pokonując schody na drugie piętro, gdzie mieściły się gabinety analityków i dyrekcji, chłopak rozmyślał nad tym, co mogło być przyczyną tego porannego wezwania.

Firma Time-To-Play Technologies wyrobiła sobie markę dzięki *gaming environment*, czyli środowisku gry. Specjaliści z TTP Technologies przez lata opracowywali matematyczne modele wiatru, trawy, krzaków, drzew, oddzielnych listków, przydrożnych kamieni, a nawet kurzu i algorytmy ich współdziałania. Dzięki stałej współpracy matematyków, fizyków, grafików 3D oraz programistów komputerowych firmie udało się stworzyć podobieństwo realnego świata, niemal jego wierną kopię. Nie chodziło tylko o wizualizację. W grach wyprodukowanych przez TTP Technologies pada „prawdziwy” deszcz, bez przerwy wieje wiatr, słońce kryje się za chmurami lub wygląda zza nich, przy czym zjawiska te nie są zaprogramowane na konkretną godzinę, pojawiają się wtedy co w naturze.

Tymur specjalizował się w botach. Jego zadanie polegało na tym, aby mieszkaniec takiego doskonałego wirtualnego świata zachowywał się realistycznie. Z uwagi na tak wielką różnorodność zjawisk i zdarzeń w środowisku gry (w programowaniu nazywa się je „*strumieniami*”) niełatwo jest nauczyć boty optymalnie wybierać drogę (omijać mokre czy porośnięte bujną roślinnością miejsca), chować się (z uwzględnieniem aktualnej możliwości obserwacji), bezbłędnie identyfikować „żywe” obiekty (inne boty lub innych graczy) w środowisku, gdzie praktycznie wszystko się rusza, i przy tym nie zapominać o najważniejszym – atakować albo bronić gracza, jedyną naprawdę myślącą istotę w świecie gier. Nigdy nie wiesz, w jakim miejscu i czasie strumienie przetną się ze sobą.

Wkrótce po tym, jak koncepcje sztucznej inteligencji zaimplementowano w grach i w związku z tym wprowadzono je do jądra, zaczęły się problemy. Jak się okazało, umieszczenie botów w nowym modelu stanowiło jedynie połowę sukcesu. Znacznie trudniejsze było zniechęcenie ich do realizowania nieodpowiednich działań w tak skomplikowanej rzeczywistości. Trzeba było oduczyć żołnierzy rozstrzeliwania kupek opadłych liści, które przypadkowy poryw wiatru zrywał od czasu do czasu z drzew i rozwiewał po trójwymiarowej planszy, biegania zygzakami po to, by omijać kałuże, gdy do celu pozostaje kilka kroków, a także innych nieracjonalnych zachowań.

Tak więc stworzone przez Tymura boty nie tylko przemieszczały się po planszy, strzelały czy uchylały się przed kulami, lecz także współdziałały ze

środowiskiem. Analizowały wirtualny świat. I dzięki temu gra nie miała sobie równych. Niezależnie od tego, ile razy gracz pokonywałby ten sam poziom, nigdy mu się nie uda poprowadzić akcji w identyczny sposób.

Światowa premiera pierwszej części FPS[16] Stalker porządnie wstrząsnęła światowym przemysłem gier komputerowych. Tylko w USA sprzedano ponad dwa miliony egzemplarzy, a zysk firmy wyniósł czternaście milionów dolarów. Przyczyna takiego sukcesu tkwiła nie tylko w mistrzowskim przedstawieniu i spójności środowiska gry. Wielbicieli strzelanek podbiły postacie, które jakościowo odróżniały się od prymitywnych botów w takich grach, jak DOOM 3, Half-life 2 czy nawet Unreal II: Awakening. Nowe boty były na tyle realistyczne, że niekiedy wydawały się... żywymi istotami. W ciągu dwóch lat nieznana nikomu ukraińska firma bardzo się umocniła na rynku, zdobyła furę zamówień i nawet zaczęła kształtować trendy w przemyśle gier komputerowych. I należało to zawdzięczać przede wszystkim Tymurowi.

Idąc korytarzem, chłopak zastanawiał się, co mogło spowodować niezadowolenie szefa. Czwarty dodatek do Stalkera ukazał się na rynku pół roku temu. Owszem, były w nim bugi[17], ale dotyczyły wyłącznie fabuły gry i tekstur na poszczególnych obiektach 3D. Jego boty nie mogły mieć z tym nic wspólnego. Nowe pokolenie żołnierzy, nad którym pracował obecnie, znajdowało się na etapie szkiców koncepcyjnych. Boże, spraw, żeby w ciągu dwóch lat boty te zostały przekazane do testerów.

A więc jeżeli mi się dostanie, to na pewno z powodu jakichś starych spraw – doszedł do wniosku programista, stając przed drzwiami dyrektora ds. RSB. Zatrzymał się na chwilę, nasłuchując. Zza drzwi dolatywały ściszone głosy. Gruby Madafaka nie był sam, mówił do kogoś po angielsku.

Tymur wciągnął w płuca powietrze i zapukał.

– Wejść – dało się słyszeć przez drzwi.

Chłopak przekroczył próg z beztroską miną.

– O, Tymur! Witam, witam! Wejdz... Siadaj. – Dyrektor zaproponował mu gestem jedno z krzeseł.

Puzaty był tęgim, krępy facetem o całkowicie łysej głowie, pasującym do nazwiska brzuchu wylewającym się ze spodni i wydatnej, masywnej szczęce. Odwróciwszy się do swego gościa, smagłego cudzoziemca w modnym gogusiowatym garniturze, który siedział rozparty na skórzanej kanapie po

drugiej stronie stołu, gdzie gospodarz podejmował gości, Puzaty przemówił po angielsku z potwornym akcentem:

– *Here is that guy.* – I wskazał na Tymura.

Młody mężczyzna odpowiedział na powitanie i usiadł na krześle; domyślał się, że ci dwaj właśnie o nim rozmawiali.

– *Okay... I see...* – wolno odpowiedział nieznajomy. – *He's so young.*

– *Only twenty seven.*

– *That's... strange*[18].

Gość siedział z nogą założoną na nogę i bezceremonialnie przyglądał się Tymurowi. Z jego ciemnych oczu wiało chłodem, a równocześnie... niepojętą beznadziejnością. Chłopak nagle zrozumiał, że opieprzu nie będzie. Jednak myśl ta nie przyniosła mu ulgi.

– To jest Oscar Steirmann. – Dyrektor przedstawił nieznajomego. Steirmann był Chilijczykiem o żydowskich korzeniach.

– Tymur Korszak. – Chłopak powściągliwie skinął głową.

– *Nice to meet you, Tymur*[19]. – W głosie Oscara wyczuwało się nieznaczny akcent hiszpański. I żadnej nutki szacunku.

– Pamiętasz zlecenie, jakie dostaliśmy trzy lata temu od General Genetics? – Puzaty poruszył się niespokojnie na krześle i przeszedł na ukraiński. – To ci dziwacy, którzy zamówili tylko kod.

Tymur nie musiał zbytnio wysilać pamięci, by przypomnieć sobie ten cudaczný projekt. Najbardziej niezwykle, ale jednocześnie chyba najłatwiejsze zadanie w całej jego karierze w TTP Technologies. Firma General Genetics, która niby opracowywała komputerową fabularną grę akcji (*action game*), złożyła zamówienie na boty przeznaczone do działania w grupie – w jednym wielkim roju – ale (!) nie określiła właściwie przy tym żadnych danych wyjściowych ani nie zdefiniowała środowiska, w którym miała się rozgrywać akcja gry. Zleceniodawcy potrzebny był tylko surowy kod.

– Szefie, musi pan zrozumieć. – Tymur schylił się do przełożonego i powiedział ściszym głosem: – Nie kompilowałem tego kodu. To było nie do pomyślenia! Nie mogę przecież wziąć i skompilować oddzielnej procedury lub wyrwanej z kontekstu klasy. Nie mieliśmy żadnych szans przetestować naszych rozwiązań w realistycznej grze. Więc jeżeli u nich...

– Uspokój się – przerwał mu szef. – Doskonale pamiętam to dziwaczne zlecenie. Do ciebie nikt nie ma żadnych pretensji. Akurat odwrotnie, w tej sytuacji jestem całkowicie po twojej stronie.

– W takim razie nie rozumiem, w czym jest problem. I dlaczego zreflektowali się właśnie teraz? Przecież minęły trzy lata!

Puzaty wzruszył ramionami.

– Porozmawiaj z tym picusiem. Ja niczego się od niego nie dowiedziałem. Chce gadać tylko z autorem, czyli z tobą.

– O czym?

– O tym, co go martwi... I nie denerwuj się. – Oczy Puzatego chytrze błysnęły. – Mam nadzieję, że uda nam się wycisnąć z niego trochę grosza.

Tymur wyprostował się na krześle i spróbował się uśmiechnąć.

– *Hi*, Oscar – przywitał się po raz drugi i rzeczowo przemówił po angielsku: – To ja tworzyłem kody na wasze zamówienie trzy lata temu.

– No tak. Wiem już o tym.

– Czy coś jest u was nie w porządku?

– U mnie wszystko wspaniale. – Gdy Steirmann mówił, jego twarz niemal nie wyrażała żadnych emocji, tak jakby zamiast skóry miał gumową maskę. – Ale pańskie boty... z nimi zaczęły się problemy.

– Proszę tego nie potraktować jak banalnej wymówki, lecz nie ma w tym mojej winy. – Wyniosłość wyelegantowanego gościa nieco drażniła Tymura. –

Przypomnijcie sobie wasze warunki techniczne. Przecież ich nie było! Czułem się jak cieśla, którego zmuszono do strugania ram okiennych i nie podano mu wcześniej wymiarów okna.

– To było konieczne – powiedział Oscar.

– Wasze prawo! Ale co ja mam teraz zrobić? Minęły aż trzy lata. Nie dajcie nawet znać, czy byliście zadowoleni z projektu. Moje boty potrzebują specyficznej przestrzeni wirtualnej, niezbędnej dla gry. Całkiem możliwe, że okazały się za skomplikowane dla waszego matematycznego jądra.

– Skomplikowane? – powtórzył gość, dziwnie się uśmiechając. – O nie. One były wspaniałe. Idealne! Analizowały wszystko, co się działo, różne zdarzenia, podejmowały decyzje, współpracowały ze sobą, wykonując każde zadanie jak prawdziwa drużyna... Dla nas to było najważniejsze.

Tymur w żaden sposób nie mógł się zorientować, dlaczego Steirmann mówi o wirtualnych żołnierzach w czasie przeszłym. Brzmiało to tak, jakby opowiadał o żywych ludziach. I to było bardzo dziwne.

– I co się stało? Czy ktoś nabroił, optymalizując kod?

Oscar mocno zacisnął usta, aż na dolnej szczęce zadrgały mu mięśnie, i wyteżył wzrok, patrząc w kierunku okna. Kiedy odwrócił twarz, Tymur zdążył (już po raz drugi) dostrzec we wzroku gościa wątpliwości i przygnębienie oraz jeszcze coś takiego, czego zupełnie nie spodziewał się ujrzeć w oczach nadętego elegancika zza oceanu... Niekontrolowany strach? Panikę? Po chwili Steirmann wziął się w garść, mimo to nie odpowiedział na pytanie programisty.

– Pozwólcie, panowie, że powiem kilka słów – wtrącił się dyrektor. – Zmieniamy obecnie koncepcję budowy świata. – Mówił oczywiście o wirtualnym środowisku gry, trójwymiarowej planszy, ale jego wypowiedź mimo wszystko zabrzmiała obrazoburczo i patetycznie. Wyglądał jak Zeus na Olimpie. W najgorszym, jeżeli można tak powiedzieć, znaczeniu tego słowa. – Zamiast opisywać zachowanie poszczególnych obiektów, takich jak drzewa, chmury, strumyki czy jeziora, przechodzimy do programowania aspektowego. Jeśli wcześniej chmura była tylko modelem 3D, który zmieniał kształt, rozmiar, kolor oraz przezroczystość w zależności od stopnia wilgotności, poruszał się w określonym kierunku, z rzadka zlewając się z innymi obiektami modelowanymi w ten sam sposób, to obecnie jest to ogromne skupisko: sieć lub chmara maleńkich agentów, będących nosicielami całego zestawu funkcji niezbędnych do współdziałania z innymi agentami. Taki agent-kropla może „wyparować”, „skropić się”, „skryzalizować się” w zależności od warunków zewnętrznych, a także od stanu sąsiadujących z nim agentów. – Bez względu na swój paskudny charakter dyrektor ds. badań firmy TTP Technologies był wybitnym specjalistą. – Proszę sobie wyobrazić – kontynuował – jak rozgrzana chmara-rój trafia w strefę chłodnego powietrza. Agenci usytuowani na powierzchni szybko stygną i przechodzą w ciekły stan skupienia, wówczas w świecie gry pada deszcz. Podczas skraplania się z agenta-kropli wydzielana jest energia w postaci ciepła. Jeżeli powietrze dość szybko się nagrzewa, deszcz ustaje, a chmura, która straciła część agentów, przemieszcza się dalej. Jeżeli nadal napływa chłodne powietrze, położeni wewnątrz chmury agenci-krople także zaczną się skraplać, a ulewa nie skończy się, póki chmura się nie wyczerpie. Kiedy agenci spadną na ziemię, będą tworzyli kałuże, strumyki

albo jeziora, dopóki nie wyparują po raz kolejny. Taki oto nieprzerwany proces jest możliwy dzięki naszemu oprogramowaniu!

Dyrektor zerknął z zaciekawieniem na gościa. Oscar Steirmann pozostał niewzruszony. Jego spokój graniczył z obojętnością. Dmytro Puzaty kontynuował:

– Wiadomo, że na początkowym etapie opisanie i wyregulowanie agentów zajmuje kupę czasu, ale summa summarum ogromnie się opłaca. Programowanie aspektowe eliminuje wiele ograniczeń ze środowiska wirtualnego świata gry. Dziś wystarczy tylko stworzyć planszę, wprowadzić na scenę agentów, odpowiedniki wody, powietrza oraz materii organicznej, zadać im wyjściowe warunki i włączyć słońce. W rezultacie otrzymamy nie sceny z gry, tylko unikatowy i niepowtarzalny wirtualny świat! – Chcąc jakby podkreślić ostatnie słowa, szef zamachał rękami. – À propos, Tymur pracuje obecnie nad tym, aby postacie z gry... hm... czuły się komfortowo w nowym świecie. Poprzedniego pokolenia botów nie da się tu wykorzystać... One się gubią, głupieją... słowem, nie są do niczego potrzebne.

Tymur kiwnął potakująco głową.

– Dlatego może będzie lepiej, jeśli zamiast modyfikować przestarzałe kody, które stwarzają problemy, spróbujemy rozstrzygnąć kwestię za pomocą...

– Nie – przerwał Puzatemu Oscar Steirmann. – Nie potrzeba żadnych nowych rozwiązań. My chcemy, by osoba, która trzy lata temu stworzyła kody wyjściowe dla botów, teraz rozwiązała parę problemów. Rozumie mnie pan? Dla *botów*. Kropka.

Ani Tymur, ani jego szef nie domyślali się, że ich gość (który nie był profesjonalnym programistą) wie na ten temat nie mniej niż oni i jest w stanie dosyć sporo opowiedzieć. W szczególności o objawach zewnętrznych i ich skutkach. Chociaż wówczas nie miało to już znaczenia.

Słowa Chilijczyka uraziły Puzatego. Dyrektor wyduł nozdrza i nachmurzył się.

– Co to dokładnie za problemy? – prychnął.

– Nie jestem specjalistą, dlatego nie mogę niestety przekazać wszystkich szczegółów. – Dandys uchylił się od odpowiedzi. – Jednak wasze boty zachowują się nie tak, jak byśmy chcieli.

– Co pan przez to rozumie?! – wybuchnął dyrektor, zapominając o cierpliwości i opanowaniu, które były niezbędne w rozmowach z klientami.

– Czy one biegają nago po planszy i obrzucają się nawzajem własnymi odchodami, zamiast zgodnie ze scenariuszem atakować gracza?

Tymur przygryzł dolną wargę. Nie dlatego, że mu się nie spodobała riposta przełożonego. Po prostu tak się z klientem nie rozmawia.

Steirmann zignorował ten niezbyt stosowny żart. W gabinecie zapadła kłopotliwa cisza.

– Może ma pan nagranie przebiegu jakiegokolwiek misji, gdzie wykorzystano mój kod? – zapytał Tymur (poszukiwanie bugów zaczyna się od przeglądania filmików nagranych przez testerów). – To mogłoby rzeczywiście pomóc. – Coraz bardziej dziwiła go cała ta sytuacja. Po co się fatygować cholera wie z jak daleka, jeżeli takie wątpliwości można omówić w e-mailu lub na Skypie?

Po raz pierwszy od początku rozmowy obcokrajowiec się zawahał.

– Panowie nie rozumieją. – Krzaczaste brwi Oscara podniosły się, mężczyzna pochylił się ku przodowi. – Żeby się zorientować, trzeba być tam, na miejscu, dlatego właśnie przyleciałem na Ukrainę... Dlatego potrzebuję cię, Tymurze.

Chłopak i jego szef spojrzeli po sobie.

– Czy dobrze pana zrozumiałem? Chce pan zabrać Tymura ze sobą?

– Tak, chcemy „wydzierzawić” waszego specjalistę. Inaczej nic z tego nie będzie.

Takiego obrotu sprawy nikt nie oczekiwał. Jeszcze nigdy nikt nie przyjeżdżał do TTP Technologies, by „wypożyczyć” ich fachowca i opłacić jego delegację. To trąciło myszką, było jakieś staroświeckie, jak w średniowieczu – przysłać umyślnego, by wypożyczył mistrza do wykonania trudnego zadania. Nonsens! Po co delegować kogoś za dziesiątą górę, za dziesiątą rzekę na konsultacje, kiedy równie dobrze można omówić wszystko za pomocą e-maili?

Dyrektor się zamyślił.

– Jesteśmy gotowi hojnie zapłacić – dodał człowiek w garniturze.

– My, czyli kto? – palnął Tymur. Trzy lata temu, gdy powierzono mu projekt, który firma TTP Technologies potraktowała jako coś niezbyt poważnego, zleceniodawcą był General Genetics, jednak umowę podpisywała osoba fizyczna, a to oznaczało, że z prawnego punktu widzenia mogła nie

mieć żadnego związku ze wspomnianą spółką. Za wykonywaną pracę płacili regularnie, zawsze z góry, przy czym pieniądze przesyłane były nie z USA, lecz z jakiegoś południowoamerykańskiego państwa (Tymur wysłał pamięć, ale nie mógł sobie przypomnieć z jakiego).

– Centrum eksperymentalne NGF-Lab – usłyszał w odpowiedzi. – Jest to... hm... placówka naukowa, która prowadzi badania na zamówienie różnych niezależnych fundacji oraz... khm... osób prywatnych. Inwestycje przeważnie amerykańskie i japońskie.

– NGF-Lab? – powtórzył Dmytro Witaliowycz.

– Tak.

Puzaty zerknął z ukosa na brzeg stołu, gdzie leżała wizytówka Oscara Steirmanna. Widniało na niej logo innej firmy – General Genetics.

– I dokąd trzeba lecieć? – spytał Tymur.

Na twarzy Steirmanna nie drgnął żaden mięsień. Tylko skóra wokół oczu się napięła, a źrenice zmieniły kolor – z piwnych stały się całkiem czarne, jak dno bardzo głębokiej ponurej studni. Chilijczyk, nawet nie mrugnawszy okiem, odpowiedział:

– Laboratorium znajduje się na pustyni Atakama. To na północy Chile.

– Gdzie?! – Puzaty otworzył ze zdumienia usta.

– Chile, Ameryka Południowa.

Dyrektor przypomniał sobie, że trzy lata temu pieniądze przychodziły z ABN AMOR Bank Chile, ale nawet przez myśl mu nie przeszło, że ośrodek badawczy znajduje się na pustyni. W tym momencie ostatecznie pojął, że spółka General Genetics czy NGF-Lab, czy jak to się tam nazywa, produkuje wszystko, tylko nie komputerowe strzelanki... Puzaty zerknął na Tymura. Ten pokiwał głową na boki i wyszeptał bezgłośnie: *Fuck it!*[\[20\]](#).

– Jaka, do diabła, pustynia, *amigo*? – Puzaty porzucił wszelkie konwenanse.

– Długo by trzeba wyjaśniać.

– Szanowny panie, może jednak wystarczy tej gry w ciuciubabkę? Przecież nie wydobywacie tam kruszywa!

– Nie wydobywamy – bez wahania odpowiedział Chilijczyk, skupiając spojrzenie na twarzy rozmówcy. – Ale koniecznie potrzebujemy człowieka, który trzy lata temu wygenerował kod.

Dmytro Witaliowycz starał się w myślach odszukać przykłady branż, w których można byłoby użyć algorytmów gaming AI, stosowanych w grach. Systemy sztucznej inteligencji? Bzdury! Upodabniać sztuczną inteligencję w grach do sztucznego intelektu to tak, jakby umieścić na jednym poziomie złożoności technologicznej czajnik elektryczny i raketę balistyczną. Mimo ponaddwudziestoletniego stażu pracy i doświadczeń z różnorodnymi programami Puzaty nie miał zielonego pojęcia, gdzie jeszcze oprócz gier komputerowych można zastosować algorytmy sterowania botami.

– Panie Steirmann – wymamrotał oficjalnym tonem, szarpiąc krawat – w umowie nie uwzględniono debugowania. Zamawialiście oddzielne klasy i procedury, a nie gotowy produkt, dlatego my nie...

– Piętnaście tysięcy za tydzień pracy, Tymurze. – Oscar nie patrzył nawet na dyrektora. – Plus dwadzieścia tysięcy premii po jej zakończeniu, jeżeli oczywiście sprostasz zadaniu – wyrecytował Chilijczyk i dodał: – Mam na myśli *dolary*.

Łysy dyrektor zakaszłał. Omal nie udławił się własnym językiem. Tymur był nie mniej zszokowany. Wymieniona kwota sięgała wysokości wynagrodzenia topowych menedżerów Microsoftu lub Google.

– A ile tygodni? – spytał na bezdechu.

– Osiem. Może trochę więcej... Dziesięć. – Oscar położył na stole jakieś papiery. – Tu jest umowa. W niej wszystko jest ujęte. Wiza już na ciebie czeka. Potrzebny mi tylko twój paszport.

Tymur przestał się wahać.

– Niestety, muszę odmówić... We wrześniu biorę ślub. – Odwrócił się do swojego szefa. – Lada chwila miałem prosić pana o urlop.

Dmytro Puzaty odetchnął z ulgą. Bodaj po raz pierwszy w życiu był szczęśliwy z powodu tego, że jego podwładny wykręca się od pracy.

– Możesz uważać, że już go masz.

Kąciki ust cudzoziemca podniosły się, co pewnie miało oznaczać uśmiech; nie zmieniając tonu, stwierdził dobitnie:

– Dwadzieścia tysięcy tygodniowo. Pięćdziesiąt tysięcy nagrody. Prócz tego NGF-Lab zapłaci każdą kwotę firmie TTP Technologies za to, by Tymur dostał delegację.

Dyrektor do spraw rozwoju strategicznego i badań o mało nie spadł z krzesła.

Co najmniej sto sześćdziesiąt kawałków – policzył szybko w myślach Tymur. To niezłe mieszkanko w Kijowie! I to w ciągu jakichś dwóch miesięcy... Ta propozycja przyprawiała o zawrót głowy.

– Ja... mm... muszę omówić jeszcze sprawę z narzeczoną... – wymamrotał z zażenowaniem po długim namyśle.

– Czekam na odpowiedź do jutra rano. Nie później.

– Tak szybko...

– Nie mam wyboru.

– Okej. Ale nawet jeżeli się zgodzę – rzekł Korszak, ważąc każde słowo – musi pan zrozumieć, że trudno będzie przywrócić kod.

– Dlaczego? – zapytał Steirmann, a Tymur pomyślał, że gość nie ma nic wspólnego z programowaniem.

– Powiedział pan, że nasze boty zachowują się nie całkiem tak, jak byście tego chcieli.

– Owszem.

– Żeby to określić, musieliście skompilować mój kod i uruchomić go.

Oscar przytaknął.

– Nie mogliście skompilować kodu, nie adaptując go do ciała głównego programu – rozwijał swoją myśl chłopak. – Ja pisałem tylko oddzielne fragmenty, przy czym nie biblioteki DLL[21], lecz oddzielne klasy i procedury. Innymi słowy, utworzony kod należało dopracowywać... no, dopasowywać do podstawowego modułu gry.

– Jasne. Nasi programiści dali sobie radę. Co dalej?

– Będę musiał zorientować się w ich poprawkach, potem poszperać w waszym kodzie i porównać, jak jest skorelowany z tym moim. Chodzi o to, że wasz problem może nie dać się rozwiązać... w żaden sposób.

Twarz Chilijczyka pozostawała niewzruszona, za to palce prawej ręki nerwowo bawiły się spinką w mankiecie lewego rękawa.

– Rozwiązanie istnieje – oznajmił Steirmann. – Osobiście nie mam co do tego wątpliwości. Przecież na początku wszystko działało bardzo dobrze.

– A potem zaczęło działać źle? – mruknął sarkastycznie Tymur. – Kod programu to nie element ze stali, który może się odkształcić lub zużyć. Funkcjonuje albo nie.

– Nie mówiłem: „źle”. Powiedziałem: „nie tak jak trzeba”.

Ostatnie wyrażenie powinno było obudzić czujność programisty. Ale kwota w wysokości stu sześćdziesięciu tysięcy dolarów go oszołomiła. Po dłuższej pauzie chłopak przemówił:

– Dobrze... Pomyślę. – W głowie mu huczało, jakby ktoś zdzielił go patelnią.

– Musi pan odpowiedzieć do jutra rano – oświadczył po raz drugi Oscar. Zabrzmiało to jak ultimatum.

Naprawdę grunt im się pali pod nogami – zanotował w pamięci Tymur.

– Wieczorem zatelefonuję do Dmytra Witaliowycza i przekażę swoją decyzję.

– Wspaniale. Będę czekał – chłodno wycedził Chilijczyk.

Tymur podniósł się.

– Na pewno tego chcesz? – Puzaty zaczął mówić po ukraińsku. – Jesteś gotów odwołać ślub? Na miejscu narzeczonej odciąłbym ci jaja.

– Nie wiem. – Chłopak wzruszył ramionami. Był w rozterce. Myśli kłębiły mu się w głowie jak w kotle. – Taka forsa. Trzeba wszystko przetrwać.

Wychodząc z gabinetu, Tymur po raz ostatni zerknął na szefa. Puzaty zrozumiał wszystko bez słów i twierdząco skinął głową.

– Nie przejmuj się – powiedział stanowczo – natychmiast wydam polecenie. Dziewczyny z działu prawnego przejrzą jeszcze raz kontrakt i jeśli znajdą tam chociaż jeden punkt, na podstawie którego oni mogą ciebie oskarżyć lub nie zapłacić ci szmalu, wyślę tego dupka do diabła.

– Dziękuję.

– A teraz spadaj stąd. I myśl. Ale nie, lepiej nie myśl, tylko poradź się przyszłej małżonki. Wbiłeś to sobie do głowy, młokosie?

– Tak, szefie.

Tymur zamknął za sobą drzwi.

IX

Spotkanie się przeciągnęło. Gdy Tymur wracał na swoje miejsce pracy i mijał biurka kolegów, ci oglądali się za nim z zainteresowaniem.

– No i co tam? – nie wytrzymał Jarek, drapiąc się po głowie ze zniecierpliwienia. – Znęcali się nad tobą? Powiedziałeś coś?

Tymur z rozpędu klapnął na krzesło i nastroszył włosy typowym dla siebie gestem.

– Chyba kroi mi się delegacja...

– Dokąd?

– Na razie to nic pewnego. Możliwe, że do Chile.

Jarek gwizdnął.

– Ho, ho, ho... A po cholere aż tam?

– Sam nie wiem. – Tymur machnął ręką.

– I na długo?

– Na jakieś dwa miesiące.

Jarosław gwizdnął po raz drugi, ale tym razem znacznie głośniej.

– A co powie twoja Alina? Przecież wy... – Kolega otworzył usta, lecz Tymur natychmiast powstrzymał jego kolejne upierdliwe pytanie. Nie podnosząc głowy znad monitora, wystawił palec wskazujący i podetknął Jarkowi prosto pod twarz.

– Spadaj, koleś.

– Już, już. Przecież ja tylko tak... Zrozumiałem... – zaburczał Jarek, przybierając cierpienniczą minę. – Po prostu... naprawdę jestem ciekaw.

Tymur w tym czasie otworzył przeglądarkę internetową. W pasku adresu wpisał „NGF-Lab” i rozpoczął poszukiwania. Żadnych sensownych wyników. Usunął zatem słowo „Lab” i z trudem tłumiąc rozdrażnienie, nacisnął palcem klawisz Enter. W przeglądarce wyskoczyło mnóstwo linków do jakiegoś Nerve Growth Factor (czynnik wzrostu nerwów – proteiny ważne dla wzrostu, dla podtrzymania oraz utrzymania przy życiu konkretnych neuronów... bla, bla, bla), do National Golf Foundation (Narodowej Fundacji Golfa) oraz ogromnej ilości innych bzdur, które nie miały żadnego związku ani z programowaniem, ani z grami komputerowymi.

Skrótowiec NGF musiał oznaczać coś innego. I Tymur pożałował, że nie zapytał o to od razu. Bo to miało znaczenie.

X

W drodze do domu, przebijając się przez korki w leciwym chevroletcie lacetti, Tymur marszczył czoło i rozmyślał nad tym, jak zareaguje jego narzeczona na wieść o zmianie terminu ślubu. Alina była normalną dziewczyną. Normalną w tym sensie, że w ciągu dziesięciu lat ich znajomości Tymur ani razu nie słyszał i nie widział, żeby wszczęła awanturę albo wpadła w histerię. Natomiast ich stosunki nie były do końca normalne.

Tymur i Alina byli rówieśnikami. Oboje studiowali na Politechnice Kijowskiej, tyle że na różnych wydziałach: chłopak był studentem energetyki cieplnej, a dziewczyna zdobywała wiedzę na wydziale zarządzania i marketingu.

Jak więc się stało, że po jakimś czasie Tymur przekwalifikował się z inżyniera na twórcę gier? Już po pierwszej sesji chłopak się zorientował, że taki poziom nauczania (większość „profesorów” zaglądała po raz ostatni do publikacji naukowych jeszcze za czasów Gorbaczowa) oraz łapówkarstwo, które jak rdza przegryzło już na wskroś wszystkie katedry (dwadzieścia osób z grupy otwarcie, nie kryjąc się, płaciło za zaliczenia i prace semestralne), nie pomogą mu rozwinąć skrzydeł, w związku z czym nie ma czego szukać na wydziale energetyki. Na drugim roku zaczął więc samodzielnie uczyć się programowania. Najpierw pożyczał konspekty od kolegi z wydziału informatyki i techniki obliczeniowej, następnie zasiadł do studiowania specjalistycznej literatury. Delphi 7, C++, Visual C++, MFC i wreszcie OpenGL. Taka wiedza pozwoliła mu bez problemu przejść okres próbny w firmie TTP Technologies.

Poznali się przypadkowo, na pierwszym roku, podczas jednego z międzywydziałowych wieczorków. Alina miała wspaniałą sylwetkę: płaski brzuch, kształtne nogi i jędrne pośladki, od których nie można było oderwać wzroku. Niebieskooka brunetka – rzadki typ urody – cieszyła się niezmiennym powodzeniem u chłopców. Uganiało się za nią z wywieszonymi językami pół wydziału i jeszcze tabun starszych panów – niemal każdy, kto ją

znał lub chociaż raz widział z bliska. Tymur wówczas niczym nadzwyczajnym się nie wyróżniał. Wyglądał... no... jak wszyscy. Ale miłość, wiadomo, jest ślepa. Bardzo ślepa. Czasami nie do zniesienia. Królowa zarządzania i marketingu „zachorowała” na niechlujnego, acz zabawnego przyszłego inżyniera, znikowanego na punkcie modelowania 3D, programowania oraz gier komputerowych, który nigdy się nie cesał, nosił sportowe bluzy, wytarte dżinsy i znoszone chińskie trampki.

Prawie cztery lata Alina na wszelkie możliwe sposoby przesyłała Tymurowi sygnały, że chce się z nim spotykać. Chłopak reagował jak niedźwiedź na ukąszenia komarów, tym samym rozpalając dziewczynę jeszcze bardziej. Na trzecim roku student zachwycił się problemem sztucznej inteligencji i praktycznie stracił kontakt z rzeczywistością (programiści to rozumieją). Na poważnie coś zaczęło się między nimi dziać dopiero na ostatnim roku studiów.

Rok po otrzymaniu dyplomów Alina dała Tymurowi do zrozumienia, że nie miałyby nic przeciwko temu, by razem zamieszkali. Chłopak się wahał. Nie żeby był temu przeciwny. Ale wiadomo, to jest odpowiedzialność i w ogóle – po co się spieszyć... Pewnego wieczoru Alina, zmęczona czekaniem, porządnie go wybykała i postawiła mu ultimatum: albo zamieszkają razem, albo ona odchodzi. Tymur się poddał i młodzi wynajęli jednopokojowe mieszkanie niedaleko stacji metra Szulawska.

Przez kolejne trzy lata było cudownie. Po prostu perfekcyjnie. Dopóki Alina nie zdecydowała, że nadszedł czas, aby ich związek przeszedł na kolejny, najwyższy poziom. I tu się zaczęły problemy. Tymur wszystko doskonale rozumiał, ale uparcie odmawiał oświadczeń. Nie pomagały ani aluzje, ani groźby zerwania związku, ani nawet mediacje ze strony przyjaciół. Na uczelni Alina otrzymywała propozycje zamążpójścia z częstotliwością dwa–trzy razy na semestr. Los otwarcie z niej zakpił, podsuwając jej jako obiekt uczuć głupca, który używał słowa „kocham” wyłącznie w stosunku do gier komputerowych, heavy metalu i piwa Paulaner.

Niebieskokooka czarnulka nie odpuszczała, metodycznie podkopując kawalerski fundament egzystencji swojego chłopaka. Działała nienaturalnie, rozważnie i mądrze, tak jak działają rozsądne kobiety. Problem jednak polegał na tym, że Tymur nie był rozsądnym mężczyzną. Był programistą.

Nie warto pisać, ile wycierpiała Alina, zanim Tymur skapitulował. Dwa miesiące temu, w czerwcu, po sześciu i pół roku od dnia, w którym oficjalnie

zostali parą, a po dziesięciu latach od ich pierwszego spotkania, chłopak wreszcie pękł i poprosił ją o rękę. Niezgrabnie, nieskomplikowanie, koślawo – ale się jednak oświadczył. Dziewczyna nie protestowała. Wiadomo: nikczemnik zawsze pozostanie nikczemnikiem, nawet gdy się pięknie oświadczy. Tę fundamentalną prawdę zmodyfikowała na własny użytek: przystojny chłopak pozostanie przystojnym chłopakiem, nawet jeśli tak się oświadczy, jak gdyby zrobił kupę pośrodku restauracji. Termin ślubu został wyznaczony na początek września.

I teraz, zółwim tempem wlokąc się do domu, Tymur łamał sobie głowę nad tym, jak powiedzieć Alinie, że wszystko się odwlecze...

W kieszeni zawibrowała komórka. Chłopak wyciągnął telefon. Dzwonił Puzaty.

– Słucham, szefie.

– Właśnie rozmawiałem z dziewczynami z działu prawnego.

– I co?

– Umowa jest w porządku. To żadne oszustwo.

W tym momencie Tymur zrozumiał, jaką da odpowiedź Steirmannowi. Nawet jeśli Alina miałaby wylać mu na głowę garnek z jego ulubionym grzybowym kremem, powie „tak”.

– To wspaniale.

– Czuję po głosie, że skłaniasz się ku odpowiedzi twierdzącej.

– No, jeszcze nie... ale... tak, w zasadzie tak.

– Twoja sprawa, lecz mam kilka zastrzeżeń – powiedział Dmytro Witaliowycz po chwili namysłu.

– Mm?

– Po pierwsze, ten wypomadowany elegancik telefonował już dwa razy i pytał, czy zdecydowałaś się na wyjazd. Nie zdziwię się, gdy zadzwoni w środku nocy... Nie podoba mi się to. Ten typek za bardzo się gorączkuje. Jak mysz w pułapce.

Tymur nie odpowiedział. Z roztargnieniem błędził spojrzeniem po samochodach, podobnych do błyszczących żuków uwieczonych w pudełku od zapalek, które jak i on przemieszczały się i przepychały w korku.

– Po drugie, w umowie jest punkt o zachowaniu poufności. Do śmierci nie będziesz mógł ujawnić, nad czym pracowałeś oraz co zobaczyłeś bądź

usłyszałeś w tamtym laboratorium.

– Nie przypuszczam, żeby były z tym jakieś problemy.

– A ja uważam, że się mylisz. Przeczytaj jeszcze raz umowę. W razie wyjawienia jakiegokolwiek tajemnicy: państwowej, naukowej czy produkcyjnej grozi ci grzywna od dwóch do dziesięciu *milionów* dolarów.

– Oo...

– Ostro, co? Tymurze, pozwól, że zapytam: masz od dwóch do dziesięciu milionów baksów?

– Eee... nie mam.

– Tak myślałem. Trochę dłużej niż ty kręcę się w tym biznesie, dlatego muszę cię przestrzec, co oznacza taka wydumana kwota odszkodowania.

– Co?

– Nikt nie pozwie cię do sądu, chłopaku. Jeżeli chlapniesz ozorem, to cię po prostu zlikwidują.

Tymur mocno wcisnął hamulec. Lacetti zapiszczał, jego maska pochyliła się do przodu i auto zastygło w bezruchu. Z tyłu dało się słyszeć oburzone wycie całego sznura samochodów.

– I po trzecie, po prostu nie chcę, żebyś tam jechał.

– Złe przeczucia?

Dyrektor prychnął.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto zdaje się na przeczucia?

– No, nie...

– Słuchaj, Tymurze, oczywiście pierwszorzędny z ciebie spec, ale, z całym szacunkiem, nie jesteś wart dwustu tysięcy baksów. Jeżeli proponują ci takie pieniądze, to nie za twoją pracę, za tym kryje się coś innego. I radzę się dowiedzieć, co mianowicie, i to zanim się znajdziesz w jakiejś dziurze pośrodku chilijskiej pustyni. Pomyśl o tym...

XI

– Kochanie, jestem! – krzyknął Tymur od progu. Jego głos zabrzmiał tak jak u stuletniej papugi.

Alina, okryta ręcznikiem frotté, wyjrzała z łazienki. Opalone plecy i mokre włosy dziewczyny połyskiwały i parowały.

– Jakoś dzisiaj wcześniej! – Uśmiechnęła się, podskoczyła i cmoknęła chłopaka w usta. – Czy ja się przesłyszałam, czy naprawdę powiedziałeś do mnie „kochanie”?

Tymur głupawo się skrzywił.

– Ja... eee... tutaj... no... tutaj taka sprawa się zarysowała.

– Sprawa się zarysowała? – Alina zachichotała. – Och, te twoje programistyczne słówka...

– To nie...

– Rozbieraj się. – Przytrzymując łokciami ręcznik, dziewczyna zaczęła rozpinać guziki jego koszuli. – I włącz pod prysznic. – Ręcznik opadł i obnażył jej gładkie piersi. – Kolacja niedługo będzie gotowa.

Zwykle w takich momentach Tymur odczuwał pożądanie. W miarę upływu czasu jego pociąg do Aliny tylko się wzmacniał. Jednak tym razem nie czuł nic prócz gnębiącego niepokoju w okolicach serca.

Chłopak zdjął buty, objął swoją narzeczoną, po czym szybko się odsunął i prześlizgnął do pokoju.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – oznajmił. Szczerze mówiąc, wcale nie chciał tego robić, ale rozumiał, że tej rozmowy nie da się uniknąć.

Mimo ostrego głosu dziewczyna nie przyjęła jego słów na serio.

– Zaproponowano mi pracę – rzekł Tymur.

– Niesamowicie! Awans? Odchodzisz z TTP?

– Niezupełnie. Odezwał się jeden z byłych zleceniodawców. Chcą, żebym popracował bezpośrednio dla nich. Przez jakiś czas.

– Nie przerywając pracy w firmie?

Tymur poczuł, jak gorąco, które dotychczas odczuwał w piersi, zalewa mu szyję i policzki.

– Nie będę na razie pracował w TTP.

– Czyli będziesz musiał wziąć bezpłatny urlop?

– Aha.

– I co postanowiłeś?

– Zgodziłem się.

– Uuu... – Dziewczyna pokiwała głową. – Dobrze. Czy to rzeczywiście taka atrakcyjna propozycja?

Kurwa, jak ja mam jej to powiedzieć? Dotychczas zdołał zakomunikować wszystko oprócz najważniejszego.

– Tak. Chociaż są dwa niecodzienne warunki, o których musisz wiedzieć – Tymur potarł palcami oczy – które musisz zrozumieć.

– Co mianowicie? – Alina obracała drewnianą łopatką mięso na patelni.

– Po pierwsze, nie wiem do tej pory, nad czym będę pracował. Zleceniodawca jest jakiś dziwny. Przy tym obiecuje zapłacić... dwieście tysięcy... dolarów. Jeżeli projekt zakończy się powodzeniem.

– A jeżeli się nie zakończy?

– Wówczas tylko sto sześćdziesiąt tysięcy.

Alina oderwała się od patelni i spojrzała na Tymura. Może i była roztrzępana, ale na pewno nie głupia. Zdarzały się chwile, gdy on czuł się przy niej głębem. Tak jak na przykład teraz.

– No więc jaki jest ten drugi warunek, który muszę poznać i zrozumieć? – Niebieskie oczy obserwowały każdy mięsień twarzy chłopaka.

Język mu zdrętwiał.

– Umowa jest na dwa miesiące, ale... firma mieści się w Chile... i dlatego... muszę jechać właśnie tam.

Dziewczyna zacisnęła usta. Mięso pomалу przypalało się na patelni, wypełniając ciasną kuchenkę charakterystycznym gorzkim zapachem.

– Czy chodzi o to Chile, o którym myślę? – spytała lodowatym tonem.

– Chyba tak.

– Czy ja dobrze zrozumiałam: ty już przyjąłeś propozycję i jedziesz do Ameryki Południowej?

– Tak.

Po chwili milczenia padło jeszcze jedno pytanie:

– Na dwa miesiące?

Tymur zagryzł usta.

- Aha. Wylatuję jutro z samego rana.
- Czy ciebie, kurwa, pojebało? – W Alinę jakby wstąpił diabeł. Jej oczy miały błyskawice.
- To są tylko dwa miesiące.
- Jakie, do kurwy nędzy, dwa miesiące? Przecież we wrześniu bierzemy ślub!!
- Jej szyja i policzki zaczęły się pokrywać czerwonymi plamami.
- Rozumiem, ale... – Tymur starał się jakoś bronić.
- Co ty rozumiesz?! Jak mogłeś nie skonsultować tego ze mną?! – Nagle dziewczyna zbladła. – Tymur, czy ty mnie rzucasz?
- Oho, zaczyna się... Nie gadaj głupstw! – Machnął ręką. – Na początku nie chciałem jechać. Ale pomyśl sama: dwieście tysięcy dolców! Będziemy mogli kupić sobie mieszkanie.
- Pomyśl? A czy ty myślałeś?! Co ja powiem rodzicom? Co powiem wszystkim, których zaprosiliśmy? Przepraszamy, ślubu nie będzie, bo kandydat na męża pojechał zarabiać na chleb do Chile?! – Dziewczyna z wściekłości zacisnęła pięści. – Wiedziałam, że tak będzie! Ja... ja...
- Przestań, przełożymy ślub na koniec października.
- Nie wierzę ci! Ty... ty... Jak możesz?!
- Tymur rozłożył ręce.
- A ty znów swoje...
- Nie wierzę! Nie wierzę ci! W październiku znowu pojawi się jakaś praca, jakiś kolejny kontrakt. Tym razem półmilionowy. I znowu wywieje cię nie wiadomo dokąd!!

Alina przestała nad sobą panować. Cisnęła łopatkę do zlewu i wypadła z kuchni. Tymur nie poszedł za nią. Postanowił dać jej trochę czasu. Niech się uspokoi, przemyśli wszystko. Za godzinę znowu spróbuje z nią porozmawiać.

Nie chciało mu się jeść, mięso pozostało nietknięte. Chłopak przyniósł z pokoju laptopa i usadowił się w kuchni. Miał w zwyczaju każdego wieczoru przeglądać wiadomości, czytać najnowsze dowcipy i szukać demotywatorów w internecie. Przy komputerze odpoczywał od pracy na komputerze.

Ale gdy tylko podniósł klawisz, światło w całym budynku zamigotało i zgasło. Komputer mógł pociągnąć jeszcze dwie lub trzy godziny, natomiast

domowy router bez zasilania padł od razu. Dostępu do sieci nie było. Narzekając w myślach na taką złośliwość losu, Tymur zamknął swój HP, oparł się plecami o ścianę i splótłszy ręce na piersiach, pogрузzył się w myślach.

XII

Wszystko mogło potoczyć się inaczej... Tymur nigdy by się nie zgodził na tę delegację, gdyby tamtego wieczoru w budynku pod numerem dwadzieścia cztery mieszkania dziewięć, przy ulicy W. Hetmana nie wyłączyli prądu. Pewnie przestałby nawet myśleć o tych obiecanych stu sześćdziesięciu tysiącach dolarów oraz o nagrodzie. Gdyby też Oscar Steirmann nie spieszył się tak z odlotem i został chociaż jeden dzień dłużej, chłopak pewnie posłałby do wszystkich diabłów i NGF-Lab, i jego wysłannika. Gdyby jeszcze nie zatrzymało go nazajutrz rano pakowanie torby, przyszedłby do pracy wcześniej... przynajmniej na godzinę przed tym, nim Chilijczyk powiózł go na lotnisko.

Los. Fatum. Kismet. Nazywajcie to, jak chcecie. Było mnóstwo „gdyby”, dzięki którym podróż mogłaby nie dojść do skutku. Żadne z tych „gdyby” jednak nie zadziało. A wszystko sprowadzało się do jednego: *Tymur powinien był sprawdzić pocztę.*

Akurat w tym samym momencie, kiedy w kilku stareńkich wielopiętrowych budynkach, które tuliły się do siebie przy ulicy W. Hetmana obok mostu Industrialnego, wyłączyli prąd, na pocztę Korszaka przyszedł e-mail od niejakiej Natali Hort. Nie znał tej kobiety. Ona też go nie znała. Co więcej, nigdy w przyszłości nie będzie im dane się spotkać i porozmawiać. Mimo to list był adresowany właśnie do Tymura.

Od: Natalie1976

Do: Tym_the_Botfucker

Temat: Ostrzeżenie!

Bez względu na to, ile zaproponują, niech się pan nie zgadza na pracę w Chile.

Bo pan pożałuje... Ja JUŻ pożałowałam...

Mąż Natali, trzydziestopięcioletni Wadim Hort, też był programistą. Tak jak i Tymur niezwykle utalentowanym. Przez pewien czas pracował

w Moskwie w firmie MYCON, która specjalizowała się w opracowywaniu inżynierskich systemów projektowania (CAD[22]) i zarabiał po czterdzieści tysięcy zielonych rocznie. Dwa lata temu Hort się zwolnił i wrócił do Kijowa, gdzie nikogo się nie radząc, podpisał podejrzany kontrakt z jeszcze bardziej podejrzaną, nikomu nieznaną spółką General Genetics. Po czym wyjechał na rok do pracy gdzieś do Ameryki Południowej. Miejsca swojego pobytu Wadim nie zdradził nikomu i nigdy się też nikomu nie zwierzał z tego, nad czym pracuje. Natalia dopiero kilka miesięcy po wyjeździe męża dowiedziała się, gdzie dokładnie on się znajduje.

Kontrakt Horta był ważny przez dwanaście miesięcy. W tym czasie Wadim rozmawiał z Natalą na Skypie nie więcej niż dziesięć razy i nie częściej niż raz w tygodniu wysyłał żonie e-maile, w których pisał o wszystkim oprócz pracy. Po roku przyleciał na Ukrainę blady, chudy i zmęczony, ale z błyskiem gorączkowego podniecenia w oczach. Spędził w Kijowie „całe” trzy dni, po czym wytłumaczywszy Natali, że umowa jeszcze nie wygasła, udał się z powrotem do Ameryki Południowej.

Za obopólną zgodą umowa została przedłużona o osiem miesięcy...

Z czasem Hort przestał się w ogóle odzywać na Skypie. Jednak regularnie wysyłał do domu dość spore kwoty, które z miesiąca na miesiąc stawały się coraz większe. Niezwykle rzadko dołączał skąpe, pisane jakby pod przymusem listy, które za każdym razem były coraz krótsze.

Trzy miesiące temu kontakt z laboratorium się urwał. Pieniądze też przestały przychodzić.

Kilka tygodni później Wadim Hort zatelefonował do żony z nieznanego numeru i zachowując się bardzo tajemniczo, szeptem poprosił, żeby się nie denerwowała. Przerywanym głosem zakomunikował, że nie może długo rozmawiać i że sprawy w ich laboratorium nie idą za dobrze; wydarzyło się coś nadzwyczajnego, coś wymknęło się spod kontroli, ale nie ma powodów do niepokoju, i jak tylko mu pozwolą, znowu będzie wysyłał do niej e-maile. Natalia, łykając łzy, zapytała, dlaczego nie może teraz pisać. Na to Wadim odpowiedział, że biuro odcięto od prądu z obawy przed jakimiś wirusami, tłumacząc się tym, że sytuacja jest niestabilna, a obca ingerencja z zewnątrz może ją jeszcze pogorszyć...

O wirusach kłamał; Natalia zawsze wiedziała, kiedy jej mąż mówi nieprawdę.

W ciągu kolejnych dwóch tygodni Natalia Hort setki razy próbowała dodzwonić się pod numer, z którego dzwonił jej mąż, ale kobiecy głos w słuchawce wciąż bełkotał po hiszpańsku, że nie ma takiego numeru...

Mniej więcej miesiąc temu, dwudziestego pierwszego lipca, wymęczona zazdrością pani Hort, która przez cztery tygodnie nie potrafiła ani na chwilę zmrużyć oka, ponieważ w każdym śnie widziała swojego mężczyznę w objęciach trzech młodziutek, nagich i szalenie seksownych Chilijek, otrzymała list od męża. Długi i bardzo dziwny list, który najpierw zmienił jej złość w strach, a zaraz potem przemienił strach w panikę. Natalia już nie tylko nie mogła spać, ona nawet nie mogła spokojnie usiedzieć na miejscu. Kobieta czuła się tak, jakby ktoś wrzucił jej za dekolt rozpalony węgiel.

Od: Vadim.Hort

Do: Natalie1976

Temat: Prośba

Cześć, Słońce!

Piszę w pośpiechu, bo mamy tu sporo na głowie. Znalazłem tylko parę chwil. Problemy prawie rozwiązaliśmy. Wyobrażam sobie, jak ci to wszystko obrzydło, ale za miesiąc czy półtora wreszcie mnie stąd puszczą. Kończę swój kawałek roboty, dostaję premię i spadam z tej pieprzonej pustyni. Mam nadzieję, że się ucieszysz: dostanę duże pieniądze. Będziemy mogli kupić domek gdzieś we Włoszech i na zawsze zapomnieć o pracy. Jakiegokolwiek pracy, kochana. Tylko jeszcze trochę cierpliwości...

A teraz mam do ciebie jedną prośbę, możliwe, że nieco dziwaczną. Nie myśl o niczym złym i nie zadawaj zbędnych pytań; w swoim czasie wszystko ci opowiem. Zrób tylko to, co mówię. Jeżeli coś mi się stanie (nie martw się, to naprawdę nic poważnego, muszę po prostu o tym napisać... no wiesz, w razie czego), więc jeżeli coś mi się stanie, powinnaś zrobić to, co ci napiszę.

Jest pewien młody człowiek, który nazywa się Tymur Korszak, pracuje w TTP Technologies. Nieprawdopodobnie uzdolniony młodzieniec. Jeżeli się nie mylę, to właśnie on programował mózgi botów w Stalkerze. (Pewnie pamiętasz tę strzelankę, przed wyjazdem grałem w nią całymi nocami). Chodzi o to, że ludzie, dla których pracuję, chcą go tu ściągnąć – zaprosić do pracy jako konsultanta czy kogoś takiego. Oni wierzą, że ten chłopak rozwiąże nasze problemy. Wątpię, szczerze mówiąc, ale nie to jest teraz najważniejsze. Najbardziej istotne jest to, że nie mam dostępu do internetu z wyjątkiem kilku chwil na ten list, dlatego sam nie mogę się z nim skontaktować.

Słońce, bardzo cię proszę, jeżeli coś mi się stanie i, powiedzmy, nie wrócę na czas do Kijowa, zdobądź namiary na Tymura Korszaka i napisz lub zadzwoń do niego. Koniecznie! Uprzedź go, żeby za żadne skarby nie zgadzał się na tę pracę. Bez względu na to, co mu zaproponują, nie powinien opuszczać Ukrainy! Tak będzie najlepiej...

Tęsknię za tobą!

Wadim

Jak każdy dobry programista Wadim nie miał pojęcia, jak trzeba prawidłowo pisać listy do żony. Po tej jego „możliwe, że nieco dziwacznej” prośbie Natała Hort niemal przez trzy tygodnie faszerowała się valium i codziennie wysyłała po siedem czy osiem histerycznych e-maili do swojego męża, ale i tak nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Pochłonięta zamartwianiem się o Wadima zapomniała, o co ją prosił. Nie miała zamiaru szukać Tymura Korszaka. Nic jej nie obchodził jakiś obcy młokos, który opracowywał gry dla pieprzonych graczy, podczas gdy jej mąż odzywał się raz na miesiąc i jeszcze wypisywał takie głupstwa.

Sytuacja zasadniczo zmieniła się siódmego sierpnia, osiem dni przed odlotem Tymura i Oscara Steirmanna do Chile. Tego dnia Wadim Hort wrócił na Ukrainę. W cynkowej trumnie.

Powiadomiono o tym rodzinę. Najpierw rodziców, potem żonę. Zawieziono Natalę do Boryspola, by odebrała przerażający ładunek.

Jeszcze w kostnicy zszokowana, półżywa z rozpaczyci kobieta doprowadziła do tego, że otworzono podniszczoną, wyszmelcowaną trumnę, którą dostarczono aż z Santiago de Chile najpierw do Mediolanu, a potem do Kijowa. Natała do końca nie mogła uwierzyć w śmierć Wadima. Musiała się przekonać, że w środku jest rzeczywiście jej mąż. Musiała wiedzieć, kogo pochowa.

Po tym jak trumnę odpieczętowano i otwarto, przez dwie doby przebywała pod opieką lekarzy. Kiedy tylko dochodziła do siebie, zaczynała się histerycznie trząść.

W metalowej trumnie rzeczywiście znajdowało się ciało Wadima Horta. A ściśle rzecz biorąc, to, co z ciała zostało. Brakowało lewej ręki – została urwana powyżej łokcia. Piersi, szyja i brzuch były pokryte głębokimi ranami ciętymi. Lewa strona twarzy była rozszarpana – zamiast ucha sterczał krwawy fragment, oczodół ział pustką, a z górnej części policzka został wydarty żywcem aż do skroni znaczny fragment mięśni wraz ze skórą, przez co odkryły się kości czaszki. Hort wyglądał tak, jakby go rozerwał ogromny drapieznik. Usta wciąż krzywiły się ze strachu. Wargi zastygły w wyrazie głębokiego przerażenia.

Męża Natali tak właśnie pochowano. Żadne zabiegi kosmetyczne nie zdołały usunąć tej grozy, która malowała się na martwej twarzy. Mięśnie stwardniały i stały się niemym, a jednocześnie wymownym świadectwem działania czegoś strasznego, czegoś, co było zwiastunem śmierci.

Jeden szczegół zszokował młodą wdowę (tak samo jak wszystkich, którzy brali udział w rozpoznaniu zwłok) bardziej niż wykrzywione usta czy rany cięte, które ogólnie rzecz biorąc, przekształciły ciało nieboszczyka w krwawą miazgę. Trzydziestopięcioletni Wadim Hort miał całkiem siwe włosy.

XIII

Piątek, 14 sierpnia, 11.10 (UTC +2)
Terminal B międzynarodowego lotniska Boryspol
Ukraina

Steirmann przestępował z nogi na nogę obok schodów ruchomych, głośno wzdychając i ostentacyjnie spoglądając na zegarek. Tymur i Alina stali nieopodal. Tymur patrzył w dół. Dziewczyna się odwróciła; przez okno obserwowała postój przed starym terminalem.

Czas płynął. Para, jak się zdawało, nie miała zamiaru się żegnać.

Oscar Steirmann tracił cierpliwość. Kaszlnął i sucho, ale taktownie przemówił:

– *I think we must go.*

Tymur popatrzył z ukosa na Chilijczyka, jakby widział go po raz pierwszy.

– *It's time*[23]. – Ciemnowłosa modniś był nieustępliwy. On naprawdę się denerwował. Nie uspokoi się, dopóki programista nie przejdzie przez kontrolę paszportową i nie znajdzie się w strefie tranzytowej.

– Zaczekaj, Oscar. Jeszcze chwila. – Chłopak machnął ręką. A potem, zdobywając się na śmiałość, odwrócił do siebie twarz Aliny. – Na mnie już czas... Ty tutaj... eee... nie...

Skóra dziewczyny była tak gorąca, jakby dopiero co wróciła z plaży.

– Nienawidzę cię. – Jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem chłopca.

Tymur rozumiał, że po prostu nie ma czasu na to, by rozpoczynać sprzeczkę od nowa. Zdecydowanym ruchem objął Alinę w talii, przyciągnął do siebie i przywarł ustami do jej ust. Dziewczyna nie opierała się. Dała się objąć, a potem, przerywając pocałunek, położyła głowę na ramieniu narzeczonego.

– Nienawidzę cię – powtórzyła, lecz tym razem w jej głosie nie było ani krzty złości.

– Wiem, jestem dupkiem.

– Gorzej.

Wyczuwając jej miękkie piersi pod cienkim sweterkiem, Tymur dostał erekcji. Podniecenie jak prąd przepłynęło przez całe ciało od brzucha aż po szyję. Po chwili dzinsy zaczęły go uwierać.

– I po co były te gierki? – wyszeptał do ucha Aliny, wicherząc palcami jej pachnące włosy. – Nie będziemy się widzieli przez bite dwa miesiące, a wczoraj nawet się nie kochaliśmy.

– I nie będziemy się kochać jeszcze przez całe dwa miesiące po twoim powrocie. – Dziewczyna udała, że się złości. Tymur uśmiechnął się pobłaźliwie. – Obiecuję ci to, młody człowieku!

– Zobaczymy. – Programista objął ją mocniej.

– Zapamiętaj moje słowa. – Zaperzyła się i boleśnie ugryzła go w szyję.

– Dobrze. Tylko się nie gniewaj... Napiszę do ciebie, gdy tylko wylądujemy. – Tymur się zamyślił. Wątpił, czy zdoła wejść do internetu na lotnisku w Santiago de Chile. – Chociaż nie wiem. Postaram się napisać z Santiago. Jeżeli się nie uda, to odezwę się dopiero z pracy.

– Tylko spróbuj nie napisać!

Steirmann kaszlnął po raz drugi i położył jedną rękę na poręczy ruchomych schodów.

– No dobra, lecę. Kocham cię.

– Pa. – Alina posłała mu pocałunek i z wysiłkiem przywołała na twarz uśmiech. – Pisz do mnie, bo inaczej ci... – Pogroziła mu pięścią.

– Nareszcie. – Chilijczyk odetchnął głęboko z ulgą.

Tymur jechał schodami w górę, stojąc trzy stopnie niżej niż Oscar Steirmann. W połowie drogi obrócił się i pomachał ręką na pożegnanie.

Wyszło to jakoś sztucznie. Można powiedzieć, nawet głupio. Alina parsknęła i pokazała mu język w odpowiedzi.

Chyba nie byłoby jej tak wesoło, gdyby wiedziała, że jednak nie otrzyma od ukochanego ani jednego listu...

XIV

Piątek, 14 sierpnia, 15.34 (UTC +1)
Terminal 4 międzynarodowego portu lotniczego Barajas
Madryt, Hiszpania

Samolot hiszpańskich linii lotniczych Iberia do Santiago de Chile odlatywał dopiero dziesięć minut po północy. Tymur i Oscar zjedli obiad, po czym nie pozostawało im nic innego, jak tylko się zrelaksować. Korszak, nie mając nic lepszego do roboty, włączył laptop i zaczął szukać dostępu do Wi-Fi. Po kilku próbach natrafił na niezabezpieczoną sieć i podłączył się.

– Ej, *amigo!* – niespodziewanie zawołał do niego Steirmann. Po tym, jak na lotnisku w Kijowie przeszli przez kontrolę paszportową, Chilijczyk zmienił ton, zaczął zachowywać się nie jak srogi pracodawca, lecz jak właściciel niewolników. – Zostań tutaj, ja muszę odebrać jeszcze jednego pasażera.

– Czy ktoś jeszcze z nami leci?

– A co, myślałeś, że jesteś jedynym takim mądrałą?

Tymur zalogował się na swoje konto na portalu Ukr.net. W folderze „Odebrane” były dwadzieścia cztery nieprzeczytane e-maile. Większość dotyczyła pracy. Darował je sobie. Przez następne kilka tygodni będzie miał czym zaprzętać sobie głowę. Po co więc tracić czas i siły na projekty TTP Technologies? Kilka wiadomości przyszło na Facebooka. Szybko się z nimi uporał.

Wśród nieprzeczytanych e-maili pozostał tylko jeden. Nadawca: Natalie1976, temat: „Ostrzeżenie”!

Co to za Natalie? Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt sześć oznacza pewnie rok urodzenia – snuł przypuszczenia Tymur. Wychodziło na to, że nadawczyni jest starsza od większości jego znajomych, ale młodsza od wszystkich jego szefów. Pewnie to po prostu spam. Tymur przesunął palec po touchpadzie, by

otworzyć i przeczytać e-mail. Nie zdążył, chwilę potem pojawił się Oscar Steirmann.

– Poznajcie się – rzucił beznamiętnie Chilijczyk. – Igor Jemeljanow.

Po lewej stronie od przyznanego Oscara stał niechlujny grubawy człowiek lat około czterdziestu.

– *Profesor* Igor Jemeljanow – z przekąsem poprawił go nowo przybyły. Wystająca dolna warga, obwisłe policzki (jak u buldoga), opadające na czoło tłuste pasma włosów.

– A to nasz programista – kontynuował bez emocji Steirmann. – Tymur Korszak.

– O! – Na krótką chwilę z twarzy Rosjanina zniknął arogancki uśmiezek.
– O-o – powtórzył, dwukrotnie unosząc krzaczaste brwi.

– *Вы говорите по-русски?* – zapytał Tymur, dziwiąc się takiej reakcji profesora.

– *А как мне еще говорить? На страном китайском?*[24]

Jeszcze jeden psychol – nachmurzył się Tymur, a głośno zapytał:

– Skąd pan mnie zna?

– Nie znam cię, przecież dopiero się poznaliśmy, już zapomniałeś?

– A ta reakcja?

– Jaka reakcja?

– To pańskie „O-o”.

– Widziałem twoją pracę.

Tymur zaniepokoił się.

– Przepraszam – wtrącił się do rozmowy Chilijczyk – chcę panów powiadomić, że nie udało mi się dostać biletów na miejsca w klasie biznesowej. Za późno się zwróciłem do przedstawiciela Iberii.

– Chcesz powiedzieć, że mam lecieć w klasie ekonomicznej?! – wrzasnął grubas, przechodząc na angielski.

– Tak.

– Popatrz na mnie. Jak ty to sobie wyobrażasz, Steirmann? Czy ja wyglądam na człowieka, który podczas tego zasranego lotu będzie się ocierał łokciami o śmierdzących wieśniaków? Nigdzie nie lecę! Zamawiaj hotel, wyruszymy dopiero wtedy, gdy kupisz normalne bilety.

Na policzkach Steirmanna zdrząły mięśnie żuchwy. Mimo to zaczął mówić w sposób opanowany:

– Nie możemy zwlekać, profesorze. Polecimy w klasie ekonomicznej. Wziąłem dla każdego z nas po trzy sąsiadujące ze sobą miejsca na końcu. Oczywiście, nie są to łóżka klasy biznesowej, jednak można będzie się przespać i nikt przy tym nie będzie trącał nas łokciami.

Jemeljanow nadał nalane policzki.

– Oho, to aż tak poważne?

Chilijczyk potwierdził, kiwając kilkakrotnie głową.

Tymczasem Tymur powrócił do ostatniej nieprzeczytanej wiadomości. Kliknął link. Okno przeglądarki długo pozostawało białe, po czym pojawiła się strona startowa Ukr.net. Najprawdopodobniej kiedy rozmawiał z Rosjaninem, połączenie z siecią zostało przerwane. Znowu musiał wpisać login i hasło.

Chłopak zaczął cierpliwie wprowadzać dane. Zajęło to kolejną minutę.

Gdy wreszcie wszedł na swoją pocztę, otworzył e-mail od Natali. Coś jakby zadzwięczało w jego głowie. Coś podpowiadało, że powinien uważnie przeczytać ten e-mail.

Właśnie w tej chwili Igor Jemeljanow kończył rozmowę z Oscarem.

– Dobrze – burknął grubas – polecimy klasą ekonomiczną. – I klapnął na fotel obok Tymura.

Siadając, szturchnął chłopaka łokciem, omal nie zrzucając jego laptopa na podłogę. Tymur może by się i oburzył, gdyby nie następna wypowiedź profesora. Ona skierowała jego myśli na zupełnie inne tory.

– Czy pan wie, dokąd lecimy? – spytał.

Igor chrząknął; wyglądał jak ktoś, kto wie wszystko.

– Wyruszamy, by posprzątać po tobie to gównu.

– Proszę posłuchać. – Tymur poczuł się urażony i odwrócił się od monitora.
– Jeżeli użytkownik nie jest zadowolony z pracy programisty, bynajmniej wina nie zawsze leży po stronie programisty. Jak mogę ponosić odpowiedzialność za kod, którego nie kompilowałem? Nie macie prawa oceniać moich kompetencji na podstawie fragmentów. Czy nie możecie zrozumieć, że nie da się zredagować programu, który nie istnieje? Zleceniodawca zażądał surowego kodu, więc byłem zmuszony...

– Ty chyba absolutnie nie kumas, o co chodzi – przerwał mu Jemeljanow z lekkim smutkiem w głosie. – Nikt nie wątpi w twoje kompetencje, nikt nie zarzuca ci niczego... Tam, dokąd lecimy, chłopcze, zaczęły się problemy. Sądząc po tym, z jakim pośpiechem nas wezwano, cholernie paskudne problemy. I zaczęło się wszystko nie dlatego, że popełniłeś błąd w koncepcji czy nabazgrałeś wadliwy kod. Wszystko, co się obecnie dzieje na Atakamie, zaczęło się dlatego, że *zbyt dobrze wykonałeś swoją zasraną robotę*. – Rosjanin zamilkł, wlepiając wzrok w przestrzeń przed sobą. A potem powtórzył cicho: – ...za dobrze, zbyt dobrze, niech to diabli!

Zbity z pantałyku Tymur siedział cicho. Dopiero przeciągły biii-ip z głośników laptopa przywrócił go do rzeczywistości. To był sygnał rozładowania baterii. Po sekundzie ekran zgasł.

Gdyby Tymur popatrzył na monitor swojego HP chwilę wcześniej i przeczytał e-mail od Natali Hort, wówczas z pewnością stałby już przy najbliższym stanowisku tranzytowym i kupował bilet powrotny do Kijowa. Niestety, rozmowa ze Steirmannem i z Jemeljanowem oraz słaby sygnał sieciowy Wi-Fi przeszkodziły mu w tym. Zasilacz spoczywał w torbie, którą Tymur musiał oddać w Kijowie na bagaż. W tej chwili wędrowała gdzieś szlakami bagażowych przenośników głęboko we wnętrzach lotniska Barajas. Chłopak nie mógł więc podładować komputera...

To już było ostatnie „gdyby”. Tymur nigdy się nie dowie, kim jest Natalie1976 i przed czym chciała go przestrzec.

PRZYBYCIE

XV

Sobota, 15 sierpnia, 10.31 (UTC -4)
Lotnisko międzynarodowe Arturo Merino Beníteza^[25]
Santiago de Chile

Profesor oderwał od tyłka przyklejone spodnie. Po czternastu godzinach lotu (samolot wylądował według rozkładu – o dziewiątej trzydzieści pięć czasu chilijskiego) mężczyzna wyglądał tak, jakby przed wyjściem z domu zapomniał wyprasować ubranie. Włosy przypominały kopę siana, mocno potarganą przez huragan. Czuł się dokładnie tak, jak wyglądał.

– Nic mu nie powiedziałaś? – odezwał się do Steirmanna, korzystając z tego, że Tymur poszedł do toalety.

– Tak jak tobie. O szczegółach dowiedzie się po przybyciu na miejsce.

– Ja przynajmniej wiem, dokąd lecę i co mnie tam czeka. Smarkacz nawet się nie domyśla, w co został wciągnięty.

– Nie mam prawa. Dzisiaj ma on tylko trzeci poziom dostępu.

Rosjanin wciągnął powietrze otwartymi ustami, jakby zamierzał plunąć Chilijczykowi w twarz.

– Kretynie, ten młodziak stworzył problemy, mimo że nie był jeszcze w laboratorium. Po kilku godzinach dacie mu piąty poziom. Dostałby i szósty, gdyby taki istniał, obecnie jedynie on może uporządkować sytuację... uratować miliardy dolarów utopione w waszych zaszanych inwestycjach, póki nie przeciekły za Andy lub nie przemieściły się na południe do Santiago.

– Czego ode mnie chcesz, profesorze? Ja tylko postępuję zgodnie z instrukcją Keitaro.

– Steirmann, on ma prawo wiedzieć. Te wasze cholerne ograniczenia doprowadzą do tego, że po przybyciu do laboratorium gnojek wpadnie

w panikę i odmówi współpracy. – Sądząc ze stylu rozmowy, trudno było uwierzyć, że Jemeljanow ma jakikolwiek tytuł naukowy. Igor był jednym z tych ekscentrycznych dziwaków, jacy zawsze trafiają się w środowisku prawdziwych uczonych.

– Nie odmówi.

Tymur pojawił się między rzędami siedzeń w poczekalni i rozmowa urwała się. O dwunastej piętnaście wsiedli do samolotu chilijskich linii lotniczych LAN, rejs LA 362, i po półtorej godziny wylądowali w Antofagastie.

XVI

Sobota, 15 sierpnia, 14.00 (UTC –4)
Parking portu lotniczego Cerro Moreno
Antofagasta, Chile

– Gdzie konwój? – od razu obruszył się Oscar Steirmann.

Powietrze – nieco przyprawione zapachem oceanu – było chłodne i bardzo suche. Na postoju czekał na nich poobijany, szary od kurzu pikap Toyota Tundra. Samochód był nowy, lecz po kilku miesiącach ciągłego użytkowania na pustyni wyglądał jak rozdłubane koryto. Pobrudzona maska nawet nie błyszczała w promieniach pustynnego słońca.

Oscar, Igor i Tymur wyszli z budynku dworca lotniczego, pchając przed sobą wózki z bagażami. Z kabiny pikapa wyskoczył kierowca, niewysoki Amerykanin o krótko przystrzyżonych włosach, ubrany w jaskrawoczerwone szorty, żółtą koszulkę i trampki; na głowie miał modną, choć wyblakłą bejsbolówkę z napisem „Bon Jovi”. Z wyglądu był chyba rówieśnikiem Tymura. Uścisnął kolejno ręce nowo przybyłych, po czym pomógł wrzucić ich rzeczy na skrzynię ładunkową i usadowił gości na tylnych siedzeniach.

– Jeffrey, gdzie jest konwój?! – ryknął Steirmann prosto do ucha kierowcy.

– Ja jestem waszym konwojem – cicho odpowiedział pytany, podnosząc zielone oczy na Chilijczyka.

– Co to znaczy?

– Ochrony nie będzie, stary. – Jeffrey Tucker wsunął ręce do nisko wszytych kieszeni szortów. – Wiesz, co było wczoraj? – ściszył głos. – Doszczętnie rozpieprzyły ogrodzenie.

– Co?!

– To, co słyszałeś. Boty wydarły w nim otwory na kształt krzyża niemieckiego. W dwóch miejscach... Teraz wszyscy przy nim pracują.

Oscar zamarł. Kolejna porcja złośliwości uwięzła mu w gardle. Twarz szarzała z każdą chwilą, oczy zaczęły poruszać się jak u wpadającego w panikę czubka.

– Niech to diabli. Jak to możliwe? Zewnętrzne ogrodzenie? A co z czujnikami?

– W tym sęk. Żadne czujniki nie zadziałały. Przedwczoraj kilka wyskrobków zostało zatrzymanych pod jednym ze wzgórz. Kopały przez cały dzień. Wyobrażasz sobie? Wieczorem były już pod samym ogrodzeniem, dlatego też nie zadziałał żaden czujnik. Przeklęte wyrodk! – Jeffrey zaczął mówić spokojniej: – Jeżeli do wieczora nie naprawią obwodu sygnalizacji i nie włączą napięcia, możliwe, że nie będziemy mieli dokąd jechać.

– Ale jak my... – zaciął się Chilijczyk – ...jak dojedziemy tam sami?

– Tak samo jak ja przyjechałem. Pomkniemy przez pustynię, żeby zdążyć przed zapadnięciem ciemności. – Jeffrey splunął. Bał się nie mniej niż Oscar, może nawet bardziej, ale starał się tego nie okazywać. – Mam nadzieję, że zdążymy przed zmrokiem.

– A jeśli złapiemy gumę? A jeżeli rozwali się układ napędowy? Co wtedy?!

Zielonooki Amerykanin założył na nos ciemne okulary. Nie chciał nawet myśleć o tym, co może się wydarzyć, gdy ciemności zastaną ich na pustyni. Zignorował pytanie Steirmanna.

– Który z nich jest programistą?

– Młodszy – odpowiedział Oscar, nie patrząc na chłopaka. – Ma na imię Tymur.

– Tak myślałem. Mają takie dziwne imiona: Tymur, Wadim... – Jeff znów splunął na asfalt i poklepał Chilijczyka po ramieniu. – Właż do samochodu, stary. Nie wiem jak, ale musimy się przebić.

XVII

Opuścili miasto i wyjechali na Autostradę Panamerykańską – supernowoczesną szosę, która bardzo długą szarą wstążką przecina kontynent. Jeff skierował toyotę (jej odrapany wygląd był mylący – samochód ryczał jak zwierzę i sprawnie przemierzał kilometry) na północny wschód.

Wkrótce ocean zniknął z pola widzenia. Za oknami ciągnęły się monotonne krajobrazy. Do łupkowych skał środkowej Atakamy było jeszcze daleko, a czarnogranatowe odnogi Andów tutaj nie sięgały. To była martwa ziemia, żadnych roślin, zupełnie płaski teren, nawet brak piasku – suche beznadziejne pustkowie.

Po czterdziestu minutach jazdy toyota minęła senne miasteczko Bakedano. Tymur zasnął...

O czternastej trzydzieści pięć, kilka kilometrów przed Carmen Alto, Jeffrey przyhamował, podjechał bardzo blisko prawego krawężnika i zaczął wypatrywać czegoś po prawej stronie szosy. Gdy dostrzegł ledwo widoczny zjazd, skręcił kierownicą i zjechał z autostrady. Spod maski ciągnęły się z przodu ledwo widoczne ślady kół. Biegły na wschód, na pustynię, i znikwały w drżących oparach, które grubą linią odgraniczały płaską szarość Atakamy od nieprawdopodobnie dalekich stoków Andów.

Nie minęła chwila, gdy Oscar walnął dłonią w deskę rozdzielczą.

– Stój! Jeffrey, zatrzymaj się!

Pikap jeszcze dobrze nie zwolnił, a Chilijczyk już wyskoczył z auta, okrążył je i stanął z przodu, opierając się o maskę. Błada przestraszona twarz, biała koszula zszarzała od potu na piersiach i pod pachami.

– Jeff, ja się boję! – chrypliwie przyznał się Oscar. – Mam dzieci! Sam też chcę jeszcze trochę pożyć.

Jeffrey otworzył drzwi i opuścił nogi na piasek. Przed wyjściem z samochodu Amerykanin obrzucił spojrzeniem pustynię. Mieścina w oddali wyglądała na bezpieczną.

– Stary, rozumiem cię. Ale nie warto o tym przypominać, ja też jestem na krawędzi i czuję, że zaraz się zleję w spodnie! A w mokrych dżinsach, jak się domyślasz, nie za wygodnie się prowadzi.

– Nie pojedę dalej – kategorycznie oświadczył Chilijczyk. – Skontaktujmy się z Willem. Masz telefon satelitarny? Will nie podporządkowuje się Japowi[26], może zrozumie i...

– Telefon jest okej, stary, po prostu... Williama nie ma...

Drzwi toyoty zatrzasnęły się i pozostałych słów nie było już słycać we wnętrzu samochodu. Niemniej to, co już usłyszeli, wystarczyło, aby Igor się nachmurzył i niespokojnie zaczął kręcić na siedzeniu.

– Amerykaniec dał dupy? Niemożliwe – powiedział Steirmann i dodał: – Gdzie on jest? Ten sukinsyn nie mógł tak po prostu wszystkiego rzucić!

– Keitaro prosił, żeby o niczym ci nie mówić. – Jeff spuścił wzrok.

– Nie mówić o niczym, czyli o czym?

– Wczoraj boty zabrały Willa i jednego z Negrytów Rina...

Oscar nie rozumiał.

– Jak to „zabrały”?

– Zabrały ze sobą.

– O kurwa, coo?!

– Zrozumieliśmy, że to one podkopały słupy, ale do głowy by nam nie przyszło, że zrobią to od razu w dwóch miejscach. Rzuciliśmy się, aby zabezpieczyć wyłom naprzeciwko drzwi wejściowych do bloku mieszkalnego, a te gady wdarły się do garaży w pierwszym inżynierskim. Keitaro dał rozkaz do odwrotu... zablokował blok DW... my zasadziliśmy się tam... a Will i jeden z najemników, no, oni, wiesz, nie zdążyli... Te łotry schwytały ich i zaciągnęły na pustynię.

Steirmann przełknął ślinę.

– I nic nie zrobiliście?

– Niech to cholera weźmie! A co niby mieliśmy zrobić?! – ryknął Jeffrey. Po raz pierwszy podczas podróży stracił panowanie nad sobą. – Stary, wszyscy mało nie posraliśmy się ze strachu! Nawet Rino siedział cicho jak mysz. W ciągu trzech dni nie trafiliśmy na żadnego z nich. Na żadnego! Kumas, o czym mówię? Lepiej by było, gdybym sam sobie palnął w łeb, niż wyszedł wtedy na ulicę.

– Boty ich zabiły? – Oscar się wzdrygnął.

– Nie.

– Nie?

– Przynajmniej nie od razu. Dopóki ich szarpały, byli żywi. A potem... już nie wiem.

– Ale dlaczego Will poddał się tym posrańcom? Co z nim zrobią?

– O tym niech opowie Ukrainiec. – Amerykanin spojrział w kierunku tylnych siedzeń toyoty tundry. – I tak za dużo już powiedziałem, choć to jeszcze nie koniec. – Steirmann przygryzł wargę, gotów słuchać dalej. – Jako że napięcia w zewnętrznym ogrodzeniu nie było, a my zaczailiśmy się w bloku DW jak mały w klatce w zoo, te pieprzone kurduple przelazły do magazynu i... – Kierowca machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Wszystko przepadło!” – sforsowały go.

– A niech mnie! – wysyczał Oscar.

– Dziś na to są duże szanse – wycedził Jeff – bo teraz nasi „malcy” mają całe mnóstwo amunicji i tuzin mossbergów 500[27].

– Żartujesz.

– Nie, wszystko dobrze usłyszałeś. Uciekinierzy mają teraz broń palną.

– A hormon?!

– Uspokój się. Aż tak źle nie jest. Po twoim odlocie Keitaro zalecił przenieść butle z aldosteronem do bloku mieszkalnego. Sterydy są na razie u nas.

Obaj mężczyźni zamilkli. Panamericana, daleko poza ich plecami, od czasu do czasu przejeżdżały samochody. Ryku silników nie było słychać. Ich dźwięk tłumił szum wiatru nad pustynnym płaskowyżem.

– Wiesz – zwrócił się kierowca do Oscara – nie myśl tylko, że pragnę zasuwać z gołą dupą przez Atakamę, nie wiedząc, gdzie jest to diabelskie nasienie. Ale mamy tam powalonych osiem zapór... – Jeff westchnął. – Stary, nie chcę się dotelepać do bazy i na koniec uświadomić sobie, że zostajemy z nimi sam na sam. Czeka nas wówczas kurewsko nieprzyjemna nocka. Musimy się prześlizgnąć ukradkiem.

– Nie... nie... nie... – Chilijczyk kręcił głową, a z jego oczu wyzierała determinacja. – Teraz na pewno nigdzie nie pojedę.

Amerykanin fuknął i splunął.

– Jap miał rację. Nie trzeba było ci o tym wszystkim opowiadać.

– Idź do diabła! Dzwonię do niego. Przynieś telefon.

Jeffrey wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. Stary Keitaro w ostatnich dniach nie jest w najlepszej formie.

– No raczej. Dawaj telefon.

Chłopak otworzył drzwi, wyjął spod kupy szmat telefon satelitarny Thuraya Hughes i rzucił go Chilijczykowi. Steirmann złapał aparat i nie wahając się, wybrał numer.

– Keitaro, tu Oscar – zaczął, czując napięcie w całym ciele. – Nie, u nas wszystko w porządku. Na razie. Chcę tylko porozmawiać... Jesteśmy na pustyni, stoimy nieopodal Panamericany... Nie chciałem pana niepokoić... Keitaro, niech się pan nie denerwuje! – Oscar zaczął się złościć. – Wiem wszystko. Jeffrey mi opowiedział... Niech pan zrozumie, jeśli po drodze coś się stanie Ukraincowi... Tak, możemy przemknąć, ale ja dalej nie jadę. Odmawiam... Ot tak, po prostu, nie ruszam się z miejsca... Obiecaliście przecież eskortę... Keitaro, niech pan na mnie nie krzyczy... Do diabła z moją dupą, ale czy jest pan gotów zaryzykować życie programisty?

Rozmowa w tym stylu trwała około pięciu minut. Im bliżej końca, tym Steirmann mówił coraz mniej. Przeważnie kiwał głową. W pewnym momencie nie trzymał już telefonu przy uchu.

– No i co? – Jeffrey podniósł głowę.

– Przyśle dwa samochody – odpowiedział kwaśno Chilijczyk. – Będą za dwie godziny.

– A ogrodzenie?

Oscar wzruszył ramionami.

– I tak nie zdążyłyby przed zmrokiem...

Od gór do oceanu poprzez wyżynę wiały strugi powietrza tak suchego, że niemal słyhać było jego głębokie pojękiwania przypominające daleki łoskot silników samolotów.

XVIII

Sobota, 15 sierpnia, 16.26 (UTC –4)
23°21'30" szer. płd. 69°48'06" dł. zach.
Pustynia Atakama

Najpierw ukazały się dwa pochylone słupy kurzu. Podobne do puszystych ogonów komet, ciągnęły się z dołu ku bezchmurnemu niebu. Lekki wiaterek rozrywał je i włókł za sobą na północ. Kolumny kurzu stawały się z każdą chwilą coraz bardziej przejrzyste.

Niedługo potem z rzędzących chmur pyłu wypadły z rykiem silników dwie ogromne terenówki, krusząc na drobne odłamki większe kamyki. Z oddali czarne auta przypominały niemieckie volkswageny touaregi.

– Jada! – krzyknął Jeff.

Tymur przeciągnął się i ziewnął. Krótki sen nie przyniósł ulgi. W Kijowie było wpół do jedenastej wieczorem, więc organizm domagał się spokojnego i dłuższego odpoczynku.

Oscar Steirmann wyszedł na otwartą przestrzeń, z niepokojem śledząc otoczenie. Po jego gogusiowatym wyglądzie nie został ślad. Jedna nogawka była podarta, a zeszywniała od potu koszula wydymała się na wietrze jak zabrudzony żagiel hiszpańskiego galeonu.

W pewnym momencie obrócił się i zawołał do Jeffrey'a:

– Widzisz?

– Co tam?

– Rino Headhunter we własnej osobie.

– Co ty powiesz! – ucieszył się Amerykanin.

Samochody zahamowały. To rzeczywiście były touaregi, tylko nie SUV-y, przeznaczone raczej do jazdy po mieście, lecz prawdziwe terenówki o wzmocnionych zawieszeniach z wmontowanymi pakietami do jazdy po bezdrożach – Terrain Tech. Oprócz tego przed grillami chłodnic wstawiono masywne kraty przyspawane do zderzaków, a na przednich szybach zamocowano siatki ochronne. Z tyłu każdego samochodu, na jego bokach i drzwiach połyskiwały przyspawane arkusze stalowej blachy. Podobne arkusze całkowicie zasłaniały okna tylnych drzwi. Okna przednich drzwi były przesłonięte w dwóch trzecich stałą, a reszta okratowana była siatką. Dzięki tym zmianom elegancki volkswagen przypominał obecnie coś pośredniego między niemieckim A7V, mało zwrotnym czołgiem z czasów pierwszej wojny światowej, a wojskowym samochodem terenowym Humvee[28], prototypem nienasyconego pożeracza paliwa, cywilnego hummera.

Jak tylko te „czołgomobile” się zatrzymały, wyskoczyło z nich ośmiu uzbrojonych po zęby mężczyzn. Sześciu z nich byli to mocno zbudowani,

choć niewysocy Murzyni, czarni jak antracyt. Jeden wyglądał jak typowy Japończyk: niewysoki, szczupły, z płaską twarzą, ze skośnymi oczami i z prostymi rudawobrazowymi włosami, związanymi w koński ogon.

Z przodu kroczył krzepki gość z kanciastą, osmaganą wiatrem twarzą, czarnymi włosami, które sterczały w różne strony, oraz oczkami małymi jak u wieprza. Po lewej stronie twarzy, poczynając od środka policzka aż do podbródka, biegła głęboka szrama. Mężczyzna miał dwa metry wzrostu i był wspaniale umięśniony.

– Cześć, cykory! – zawołał, nie wyciągając skręta z ust i machając ręką. – Czekacie, aż mamuśka odbierze was z przedszkola, he? – Zarechotał. – I jak daleko odjechaliście od Panamericany? Osiemset metrów? Cały tysiiąc? Ojoj! Można pęknać ze śmiechu, jesteście po prostu megazasrańcy! Ha, ha, ha!

– Siemasz, Rino! – Jeff poruszył ręką.

Oscar podszedł do opalonego mięśniaka i uściśnął mu dłoń. Potem przywitał się z młodym Japończykiem. Tymur wraz z Igozem przypatrywali się z ciekawością uzbrojonemu konwojowi.

– Kim oni są? – spytał zaintrygowany Jemeljanow, zwracając się półgłosem do Jeffreya. Pośród nowo przybyłych znał tylko Japończyka. Nazywał się Katsuro Takeda i był prawą ręką starego Japa.

– Ta góra mięsa to Rino Headhunter – chętnie wyjaśnił Amerykanin. – Szef departamentu bezpieczeństwa.

– Szef czego? – zdziwił się Rosjanin.

– Departamentu bezpieczeństwa.

– Czy dobrze cię zrozumiałem? To Headhunter? Łowca głów?

– Aha.

– Czy to jego prawdziwe nazwisko?

– On sam siebie tak nazywa. A co tam ma w paszporcie, diabli go wiedzą.

W Afryce wielkoluda nazywano Rino „Łowca Główny”, rzadziej – Rino „Godzilla”. Nikt nie znał jego nazwiska. Godzilla był zawodowym awanturnikiem i poszukiwaczem przygód. Dostarczał broń UNITA[29] podczas wojny domowej w Angoli; handlował kością słoniową, narkotykami i ludźmi. W dwa tysiące drugim roku, po zakończeniu wojny w Angoli, Rino został bezrobotny. Próbował swych sił w biznesie naftowym, ale szybko się go

pozbyli. Potem utworzył bandę wyrzutków, rejestrując ją oficjalnie jako firmę ochroniarską. Miał południowoafrykański paszport, lecz jego niemiecki akcent (mocno grasejował), którego mężczyzna nienawidził, świadczył o tym, że Rino wywodzi się z rodziny niemieckich kolonistów z Namibii[30]. Headhunter wyglądał jak nerwowy byk, który jest w stanie przejść w mgnieniu oka od żartów i chichotów do wściekłości.

– A skąd tylu czarnoskórych?

– To banda Huntera, afrykańscy najemnicy. Czterech z plemienia Herero[31]: Frankie, Jero, T-Jay i... ech, zapomniałem, jak ma czwarty na imię, oraz dwóch Owambo[32]: Nahas i Ndonga. Dwaj Hererowie: Sam i Gotto, zostali w laboratorium. Był jeszcze Tom, ale on... już go nie ma.

– Hm... – Igor się domyślił, że Owambo i Herero to nazwy plemion czy ludów, i to mu wystarczyło. – Jak dawno Jap zatrudnił tego goryla i zgraję jego blacków?

– Jakieś dwa tygodnie temu. Zaraz potem, jak wszystko zaczęło się pieprzyć. Wcześniej Keitaro wysłał do domu większość personelu. – Jeff się zawahał; nie był pewien, czy może opowiadać dalej. – Wszystkich, którzy się nie domyślali, że „malcy” uciekli.

– Więc oni jednak uciekli?

– Nie wiedzieliście o tym?

– Oscar nic mi nie powiedział. Chociaż ja tak podejrzewałem. A dlaczego nie zaangażowano miejscowych?

– Will Holland nie pozwolił na to. Miejscowi mają rodziny, mają dokąd prysnąć. Mają z kim gadać. No, rozumie pan, o co chodzi... Facet okropnie się boi... eee... bał się rozgłosu.

– Nie dziwię mu się. Na jego miejscu też bym się bał...

Przypatrując się samochodom i najemnikom, Tymur zarejestrował dwa dziwne fakty. Po pierwsze, Afrykanie byli uzbrojeni wyłącznie w strzelby. Tymur dobrze znał ten model – amerykański Remington 1100 na pięć naboí. W jednej z wcześniejszych gier, wydanych przez TTP Technologies, z taką bronią biegały jego boty. Sądząc po krótkich lufach, była to wersja bojowa, a nie myśliwska, charakteryzowała się bardzo dużym polem rażenia i ogromną siłą ognia, ale za to krótkim zasięgiem. Na dystansie ponad pięciuset metrów niszczycielska moc remingtona zanikała. Tak więc był on efektywny jedynie wówczas, gdy używano go na mniejszą odległość. Nie przydawał się na

pustyni, gdzie bardziej logiczne byłoby zastosowanie broni dalekiego zasięgu z udoskonalonymi przyrządami celowniczymi...



Remington 1100

Po drugie, Tymurowi nie spодobały się terenówki. Po bokach spod pancerza wyzierało kolorowe logo: ochronny hełm naciągnięty na głowę jakiegoś cyborga. Po prawej stronie była twarz ludzka, po lewej – utworzona z układów scalonych, pośród których płonęło czerwone neonowe oko. Pod spodem widniał tłusty napis: NGF-LAB. Rysunek wyglądał tak, jakby był namalowany przez dziecko. Programistę zaniepokoiło jednak coś innego. Logo mieściło się *pod* blachą ochronną. Nasuwał się więc oczywisty wniosek, że touaregi jeździły najpierw bez metalowego pancerza, a potem zdarzyło się coś, co zmusiło ludzi do natychmiastowego przerobienia obydwu wozów na transportery opancerzone.

Tymur po raz pierwszy od momentu opuszczenia Ukrainy poczuł, jak ogarnia go niepokój.

– Czy ktoś mi wytłumaczy, co się tu dzieje? – zapytał z nutką rozdrażnienia. – Czy jakieś dzikie plemiona wznieciły powstanie na pustyni albo w Andach? Po co komu ta maskarada?

Podczas gdy Jeffrey rozmyślał nad odpowiedzią, Headhunter odsunął się od Steirmanna i wydarł się:

– Do samochodów, miłe panie! Do powozów, moje szczeniaczki! – Jego głos płynął nad pustynią jak fala uderzeniowa. – Ukrainiec ze mną. Rosjanina posadźcie do Katsura. Moja załoga rusza pierwsza, za mną Jeff, kolumnę zamyka Japończyk. Odległość: pięćdziesiąt metrów, nie mniej, nie więcej! –

Rino zrobił pauzę, by zaczerpnąć powietrza, po czym zaczął mówić metalicznym głosem: – I nie zapomnijcie, po zmroku każdy odpowiada za siebie. Kiedy ktoś pozostanie w tyle, wleci do rowu, złamie oś, zatrze silnik, reszta kieruje się do bazy, nie zatrzymując się.

Tymura posadzono na tylnym siedzeniu między dwoma czarnoskórymi. Gdy się usadowili, Rino odwrócił się do Ukraińca i mrugnął po przyjacielsku. Ten przejaw sympatii nie wyglądał na szczery.

– Jak się czujesz, *fella*[33]?

– Świetnie, dziękuję... – skłamał. – Tylko chce mi się spać.

Wielkolud wyszczerzył się i powiedział ochryple:

– Ja, Rino Headhunter. Witaj na Atakamie, mały! Nie mogliśmy się już doczekać.

Silnik ryknął i zawył, deska rozdzielcza ożyła. Dobiegł ich warkot silników pozostałych pojazdów. Po chwili auta mknęły jedno za drugim w kierunku gór, zostawiając ocean, słońce i cywilizację daleko na zachodzie.

Do zmroku zostało nieco ponad godzinę.

XIX

Sobota, 15 sierpnia, 17.07 (UTC –4)
Pustynia Atakama

Kilku chłopców, pochyliwszy się nisko, skradało się parowem. Poruszali się bezgłośnie. Jeżeli informowali się wzajemnie, to tylko za pomocą wzroku. Byli brudni i obszarpani, a jednocześnie bardzo podobni do siebie. Jedna i ta sama twarz u wszystkich. Przypominali bohaterów komiksów, których skopowano za pomocą kalki.

Dziwacznie się przemieszczali – stale unikali światła; za wszelką cenę starali się trzymać w cieniu. Wydawało się, że drażniło ich nawet nikłe zimowe słońce, które szykowało się już do snu. Gdy zachodziła konieczność pokonania nieosłoniętych, oświetlonych słońcem fragmentów drogi, odpoczywali później w zacienionym miejscu.

Milczeli.

Dotarłszy do wąskiej rozpadliny, starannie zbadali dno. Jak psy obwąchali wszystko wokół i zaczęli się wdrapywać na zbocza. Nie rozumieli, co robią i dlaczego. Ścisłe rzecz biorąc, wiedzieli, że robią wszystko *prawidłowo*, tak jak powinni.

Dwukrotnie w ciągu ostatniej doby przejeżdżały przez ten parów samochody. Tą samą drogą auta wracały na wschód. Też dwukrotnie. Godzinę temu w kierunku zachodnim pomknęły jakieś nowe pojazdy. „Malcy”

zauważyli, że były wypełnione ludźmi z laboratorium. Uzbrojonymi ludźmi. Nie mogli tego rozumieć. Oni nie byli zdolni do rozumowania. Za to nauczono ich *analizowania*. Dlatego te bądź co bądź dzieciaki założyły, że trzeci konwój znów będzie jechał tą samą doliną.

Jasnowłose istoty bez trudu wspięły się na grań niewysokiego grzbietu, który okalał wąwóz od południa. Rozbiegły się i zaczęły, rozpląszczywszy się w najmniejszych nierównościach terenu. Ich krzepkie ciała wypełniły każdy dołek jak woda po deszczu. Słońce paliło nieosłonięte głowy, ale oni cierpliwie wypatrywali zachodu, który miał nadejść niebawem.

Położyli się i zaczęli czekać.

Pustynia pogrążała się w ciemnościach.

XX

Sobota, 15 sierpnia, 17.52 (UTC -4)
23°16'28" szer. płd. 69°03'49" dł. zach.
Pustynia Atakama

Z przodu mknął, wybierając najlepszą drogę, otulony stalą touareg z Tymurem. Za nim terkotała toyota tundra z Oscarem Steirmanem i Jeffreyem Tuckerem. Kawalkadę zamykał volkswagen, w którym pod ochroną trzech Afrykanów i Japończyka Katsuro Takedy jechał rosyjski profesor Igor Jemeljanow.

Ogromny, rozmazany na brzegach dysk słoneczny szybko chylił się ku zachodowi. Jego promienie wbijały się jadącym w plecy, dobrze oświetlając przeszkody na drodze, choć nie na długo. Za jakieś dziesięć minut od wschodu nadciągnie mgła i zmusi ich do zmniejszenia prędkości.

Nagle powietrze rozdarło przeciągłe wycie samochodowego klaksonu.

Tymur się obejrzał i przez szybę częściowo zasłoniętą arkuszami metalu zobaczył toyotę. Jeffrey Tucker jadący z tyłu zmniejszał odległość między pojazdami, nerwowo trąbiąc.

– Zaczyna się... – wycedził Rino bezbarwnym głosem.

– Zwolnić? – Jero, afrykański kierowca, nieznacznie odwrócił głowę.

– Nie. Nie warto, Jero. Tylko... zawróć. Objedź ich, ale nie zmniejszaj odległości.

Jero, który ze wszystkich czarnoskórych miał najbardziej wojowniczy wygląd, skinął głową.

– Tak jest, szefie. – Skreślił w lewo.

Zobaczywszy, że samochód dowódcy płynnie zawraca, Jeff przestał trąbić, zatrzymał pikapa i wysiadł z kabiny. Amerykanin machał rękami, przywołując ich. Zjadliwie czerwone szorty i żółty podkoszulek nadymały się i łopotały na wietrze.

– Szefie – cicho powiedział Jero. Kierował samochód w stronę toyoty Jeffreya, ale patrzył w bok.

– Tak, *fella*?

– Nie widzę auta młodego Japończyka.

Wszystkie głowy natychmiast obróciły się w stronę, gdzie w tej chwili powinna się znajdować trzecia terenówka. Nie było jej.

Pół minuty temu kolumna przemknęła przez wąski wąwóz w kształcie łuku, w którym od strony południowej wznosiło się stopniami pasmo górskie, a od północnej nacierały groźne ciemnoszare wydmy. Kilka formacji wapiennych, które z oddali przypominały kościelne dzwonnice, ledwo powstrzymywało napór piasku. Z rozpadliny między skałą a gładkim czołem pięciometrowej diuny wiły się równoległe ślady kół samochodu. Stąd przed chwilą wyjechała załoga Headhuntera, za nią wyłoniła się toyota tundra. Drugi touareg się nie pojawił.

Rino podniósł rękę, w milczeniu nakazując swojemu kierowcy zatrzymać auto. Odczekał kilka sekund, spodziewając się, że Katsuro Takeda po prostu został w tyle. Na próżno. Następnie szybko rozkazał:

– Podjedź do pikapa. Zatrzymaj się. Nie wyłączaj silnika.

Po paru sekundach volkswagen zamarł w odległości półtora metra od toyoty. Jeffrey podszedł do zakratowanego okna.

– Katsuro złapał gumę – z niepokojem oznajmił ciemnowłosy Amerykanin – sam widziałem. – Jego głos brzmiał jednak niepewnie; Tymur zmarszczył czoło.

Rino uważnie lustrował teren, nie otwierając drzwi. Powoli i cierpliwie wodził oczyma w tę i we w tę.

– Oni są tam, za tamtym pasmem – tłumaczył Jeff, wskazując ręką do tyłu.
– Oddaliliśmy się trochę, bo wtedy, gdy zacząłem trąbić, a potem jeszcze...
gdy... no, nie chciałeś się zatrzy... – Jeffrey zaciął się, napotkawszy surowy
wzrok małych okrągłych oczu.

– Czy auto się przewróciło? – Rino włożył papierosa do ust, ale go nie
zapalił.

– Nie.

– Ugrzęzło?

– Nie... To znaczy, myślę, że nie.

– Kto pozwolił się zatrzymać?

– Rino, nie wygłupiaj się – wtrącił Oscar, wychylając się z toyoty. Prawdę
powiedziawszy, w głosie Chilijczyka nie wyczuwało się zbytnej pewności.

– Złamaliście zakaz!

– Do zachodu zostało jeszcze kilka minut – odparł Jeffrey.

Nagle we wnętrzu touarega ożyła krótkofalówka.

– Rino... Rino... tu Ndonga – zaskrzypiał przerywany trzaskami głos
kierowcy samochodu zamykającego kolumnę. – Odbiór.

Jero podał urządzenie Headhunterowi.

– Dongi, słucham cię – odpowiedział Rino, świdrując wzrokiem
wierzchołek kamiennej grzędy. – Co tam u was?

– Złapaliśmy gumę. Nagle nie wiadomo skąd zaczęły spadać kamienie.
Może osypisko, diabli wiedzą. Zmieniamy koło. Grzejdzie dalej bez nas.

– My z Jeffem zatrzymaliśmy się nieopodal wyjazdu z parowu –
powiedział Rino, miętosząc wargami niezapalonego papierosa.

– Naprawdę? – Owambo nie potrafił ukryć zdumienia. – Nie warto, szefie.
Sytuacja pod kontrolą, samochód na twardym gruncie. Za kilka chwil ruszamy
w ślad za wami.

Headhunter nachylił się, o mało nie dotknąwszy nosem przedniej szyby. Ta
diabelska gręda z tyłu była idealna na zasadzkę. Tam, na górze, można było
schować całą kompanię, czego z dołu nikt by się nawet nie domyślił.
Naturalnie Rino nie zakładał, że boty są aż tak inteligentne, aby mogły
urządzić zasadzkę. Niemniej brał to pod uwagę.

Wielkolud zbliżył krótkofalówkę do ust.

– *Fella*, macie trzy minuty. Czekamy na was. – Dotknął dłonią ciemnoskórego i wskazał mu wąwóz między diunami a pasmem górskim. Herero skinął głową ze zrozumieniem.

Volkswagen skręcił w prawo i skierował się do miejsca, gdzie ślady kół prowadziły w stronę gór. Toyota Jeffreya jechała wolno za nim. Obydwa pojazdy zatrzymały się przed wjazdem do parowu. Piasek w tym miejscu się kończył, występ skalny ciągnął się natomiast dalej. Pasma wisiało nad samochodami, wijąc się jak ogon krokodyla w kierunku południowym, i powoli opadało.

– Są tam!

Kiedy tylko touareg dojechał do rozpadliny, Tymur zobaczył drugą załogę. Samochód Katsura Takedy znieruchomiał w odległości stu metrów od wyjazdu z wąwozu i tylko trzech metrów od kamiennej ściany. Tuż za autem znajdowało się najbardziej wąskie miejsce kanionu, gdzie aż pod samo urwisko podchodziło kilka wapiennych słupów o dziwacznych kształtach. Na dole ledwo starczało miejsca, by mógł się przecisnąć choćby jeden pojazd.

Samochód Katsura Takedy stał na podnośniku. Obok prawego przedniego koła uwijało się dwóch Afrykanów: Frankie i Nahas. Po lewej stronie Ndonga przestępował z nogi na nogę, trzymając w pogotowiu czarnego remingtona i nie spuszczać oczu z pasma. Takeda (także z bronią w ręku) zabezpieczał tyły. Tymur zauważył spoconego Igora, który został na tylnym siedzeniu w samochodzie.

Praca odbywała się w całkowitej ciszy. Słońce znajdowało się nisko nad horyzontem, barwiąc skałę na kolor wosku, a powietrze na kolor bursztynu. Afrykanie, którzy krzatali się obok koła, rzucali bardzo długie cienie, podobne do szkieletów. Zmierzch z diabelską rozkoszą pałaszował nędzne resztki dziennego światła.

Wreszcie zapas został założony. Nowe koło mogło swobodnie się obracać. Frankie, młody energiczny chłopak, jedyny Herero w aucie Japończyka, wstępnie przykręcił szpilki koła i zaczął opuszczać samochód na podnośniku... Niedługo, już całkiem niedługo wyruszą w dalszą podróż...

I właśnie w tym samym momencie...

– Szefie – odezwał się czarnoskóry najemnik, który siedział po prawej stronie Tymura.

– Czego? – odburknął Rino, wyrzuciwszy niezapalony papierosa.

– Muszę się odlać.

Jero zachichotał. Headhunter nachmurzył się; na czole ściągnęły mu się zmarszczki.

– Teraz ci się zachciało, ty paskudna małpo...

– No na serio, potrzebuję, Rino. Dłużej nie wytrzymam.

Osilek był poirytowany. Przez nadciągający zmrok, który mknął chyżo od strony gór, szybciej nawet niż wiatr, przez nieprzewidziany postój, a teraz jeszcze przez swojego żołnierza. Miał wielką ochotę się odwrócić i kilkoma ciosami znokautować chłopaka. Jednak nie chciał wachać przez resztę podróży moczu.

– Nie wychodź. Otwórz drzwi, wystaw ptaka na zewnątrz i lej.

– Dziękuję, szefie.

– Tylko się sprężaj, ślamazaro.

Najemnik otworzył drzwi i zeskoczył na piasek. Stał, przytrzymując łokciem drzwi, i zaczął załatwiać potrzebę. Struga moczu wsiąkała w piasek.

W tym samym czasie krzątania przy drugim touaregu dobiegła końca. Frankie i Nahas powrzucaли narzędzia do bagażnika. Ndonga wgramolił się na miejsce kierowcy, a Katsuro usadowił się na przednim siedzeniu pasażera. Nikt nie obserwował krawędzi skalnego pasma, która wyraźnym zygzakiem odcinała się od tła wieczornego nieba. Nikt nie zabezpieczał tyłów... Tylko Tymur z nudów przyglądał się drugiej załodze. I to właśnie on zobaczył, jak coś przemknęło między skałami. Z tyłu touarega, w tym najbardziej wąskim przesmyku, jakaś niewyraźna sylwetka odkleiła się od szarych wydm i wpadła pod osłonę gęstego mroku, który kłębił się u podnóża schodkowatej grzędy.

– Widzieliście? – rzucił programista.

– Co? – zapytali chórem pozostali.

– Tam ktoś jest!

Rozległo się jednoczesne szczęknięcie zamków karabinów.

– Jesteś pewien? – spytał Rino. Herero, ściśnięty między drzwiami a bokiem terenówki, przestał sikać. Chrzęst piasku ucichł.

– Przysięgam, że coś przemknęło za samochodem z Jemeljanowem – wyszeptał Ukrainiec.

Nikt się nie ruszał. Słysząc było przeciągłe wycie wiatru nad płaskowyżem.

Wtem w powolne zawrodozenie wiatru wplótl się nowy dźwięk. Cichy, dobiegający z daleka gwizd, który błyskawicznie nasilał się jak świst przedmiotu z szaloną prędkością rozdzierającego powietrze.

Tymur nie zdążył się nad tym zastanowić, gdy nagle duży odłamek skały z głuchym trzaskiem ugodził Herera, który stał przy drzwiach z jeszcze rozpiętym rozporkiem. Na twarzy Afrykanina pojawiła się przerażająca rana. Lewą kość policzkową wgniotło do wewnątrz, z oka i oczodołu została sama miazga, przez skórę wystawały połamane zęby.

– Co za kurewstwo?! Co za...?! – krzyknął po ukraińsku zszokowany Tymur. Chwycił gorączkowo młodego najemnika, próbując wciągnąć go do wnętrza pojazdu.

Z tyłu, w wąwozie zahurkotało, ktoś zawołał podniesionym głosem, zaszczekały remingtony. O szybę i pancierz zaczęły walić kamienie. A potem wszystkie odgłosy zagłuszył ryk silnika: Jero uruchomił auto i ostro ruszył do przodu.

Tymur z całych sił starał się przytrzymać Herera, jednocześnie trzymając się fotela, ale nie był w stanie wciągnąć go do samochodu. Ukrainiec rozpaczliwie czepiał się jego ubrania, ale koszula chłopaka wyslizgiwała mu się z rąk. Drzwi nie dało się zamknąć.

– Wyrzuć ten worek z gównem! – zaryczał Rino, oglądając się. – Wywal w cholerę tego Negryta!

Ranny Herero powłóczył nogami po piasku.

– Nie ma mowy! – krzyknął Tymur.

Bardzo trudno było mu utrzymać Murzyna. Terenówka jechała zbyt szybko. Koszula, którą ścisnął, trzeszczała i rozdzierała się na jego oczach. Jeszcze chwila, a czarnoskóry wyleci na zewnątrz.

Tymur już prawie się poddał, ale w tym momencie Jero przyhamował; na drodze pojawiły się wyboje, których nie można by ominąć przy dużej prędkości. Korzystając z tego, Ukrainiec wciągnął rannego do środka i zatrzasnął drzwi. Odwrócił się. Toyota tundra była nieopodal. Drugi touareg pozostał w wąwozie.

– Kto nas zaatakował? – odezwał się do olbrzyma Tymur. – Rino, co się, do diabła, dzieje?

– To twoi chłoptasie, *fella*. Przeklęte blond wyskrobki...

– Kto?! – Chłopak wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

Headhunter poruszył brwiami, lecz nie odpowiedział. Przyciskając kolana do piersi, tak jak w samolocie podczas lądowania awaryjnego, i szczękając zębami, gdy terenówka pokonywała wyboje, Ukrainiec myślał, że któryś z nich dwóch z pewnością zwariował – albo on, albo ten pieprzony Rino.

Ostatni pęk żółtopomarańczowych promieni ześlizgnął się za horyzont. Od wschodu, od gór, słał się tłusty ciężki mrok...

XXI

Toyota tundra podskakiwała na pagórkach obok, na prawo od volkswagena.

– Ty idioto! – ryknął Rino, wychylając się przez część okna nieosłoniętą pancierzem. – Po jaką cholerę świecisz mi w dupę? – Półtoraminutowe błyski działały mu na nerwy.

Jeffrey odwrzeszczał coś w odpowiedzi.

– Co tam gadasz?! – Headhunter starał się przekrzywić ryk silnika. – Nic nie słyszę!

Jeff wychylił jeszcze bardziej głowę przez okno i wrzasnął po raz drugi. Z tym samym rezultatem: słowa wyslizgnęły się spomiędzy samochodów i rozplynęły w powietrzu. Ale tym razem Jeffrey poszedł po rozum do głowy – wystawił przez okno lewą rękę i wskazał dużym palcem gdzieś do tyłu.

Tymur odwrócił się; w oddali, w odległości kilkuset metrów za nimi, podskakiwały nieregularnie dwie jaskrawe plamki. Programista natychmiast wszystko zrozumiał. Szarpnął wielkoluda za ramię.

– Tam jest samochód. Rino, ktoś jedzie za nami.

Headhunter potrząsnął głową.

– *Fucking hell!*[34] – zaklął. – To nasz touareg.

– Oni się wymknęli – ni to zapytał, ni to stwierdził z radością Tymur. Ale potem w jego głosie zabrzmiało zwątpienie: – Oni się wymknęli, prawda?

– Jeszcze nie wiadomo. – Headhunter i Jero wymienili spojrzenia. – Myślisz, że to boty?

– Nie wiem, Rino. – Jero wzruszył ramionami.

– Kto jest w tym samochodzie? – Tymur nie dawał za wygraną. – Co za boty? Co wy pleciecie?

– Zamknij się, *fella* – odparł Rino.

Jazda stawała się niebezpieczna. Na drodze trafiały się bryły ciemnego łupku. Niektóre z nich z łoskotem roztrzaskiwały się o wzmocnione zderzaki i kraty, rozrywając ciemności kamiennymi odpryskami, inne trzeba było omijać, ryzykując niekontrolowane zarzucenie pojazdu. Skały stawały się coraz wyższe. Z szarożółtej ziemi sterczały obgryzione wiatrem stożkowate kopce, które przypominały termitiery. W każdej chwili terenówka mogła złapać gumę, zgubić koło, wpaść na omijaną właśnie skałę, wywrócić się lub po prostu rozlecieć na kawałki. Mimo to Jero nie zmniejszał prędkości.

Nagle Tymur zobaczył światła. Z przodu w ciemnościach zawisły różnokolorowe plamki. Niedługo potem pojawiły się między nimi podłużne poziome jasne kreski, emitujące w przestrzeń nad Atakamą zimne granatowe światło. W miarę jak się do nich zbliżali, Korszak domyślił się, że te kreski to niewysokie, ale szerokie okna. Jeden za drugim wyłaniały się z mroku kontury ponurych budowli, podobnych do wielkich pudełek.

– T-Jay, podaj mi krótkofalówkę! – rozkazał Headhunter. (Tak naprawdę imię Herera, który siedział na lewo od Tymura, w języku jego plemienia brzmiało Tzamuaha, ale Headhunter uprzedził chłopaka, że go zastrzeli, jeżeli ten jeszcze raz poprosi o to, by nazywać go jego pełnym imieniem. Od tamtej pory Tzamuahę zaczęto nazywać w skrócie T-Jay).

Niepozorny Herero szarpnął się, nachylił i poszperawszy pod siedzeniem, wyciągnął walkie-talkie. W wielkim pośpiechu, jakby było rozżarzone do czerwoności, podał je szefowi.

– Ndonga, tu Rino – wyrecytował wielkolud, naciśnawszy przycisk połączenia. – Słyszysz mnie, *fella*? – Milczenie. – Durniu, czy to twój samochód siedzi mi na ogonie?!

Odpowiedzi nie było. Mrok o barwie ołowiu przybierał jeszcze ciemniejszy kolor. Osilek potrząsnął radiem, naciśnął przycisk i odezwał się basem po raz drugi:

– Powtarzam, tu Rino. – Pauza. I tylko cisza w eterze. – Dongi, ty sukinsynu, czy wszystko u was w porządku? Odezwij się natychmiast!

W odpowiedzi usłyszeli głuchy terkot, ale żadnego dźwięku, który by przypominał ludzki głos. Headhunter odetchnął głośno i zaczął mówić z wyraźnym rozdrażnieniem:

– Ndonga... Frankie... Słyszycie mnie? Odbiór... Jeżeli kpicie sobie ze mnie, czarne wyrodki, to po przyjeździe do bazy pozatykam wam uszy waszymi jajami. Jak mnie zrozumieliście?

Ale najwyraźniej ani Ndonga, ani Frankie z nikogo sobie nie kpili.

– Może zgubili krótkofalówkę – niepewnie wymamrotał Jero.

– Możliwe też, że to już nie są oni – wypowiedział na głos swoją myśl Rino.

Niezależnie od tego, kto za nimi jechał, deptał im po piętach. Jero wyciskał z auta wszystko, na co było stać touarega, lecz nie mógł się od nich oderwać. Headhunter nie wypuszczał z rąk starej, zużytej radiostacji wojskowej. Obecnie próbował łączyć się z NGF-Lab. Poprzez zakłócenia dobiegł ich najpierw miarowy szum, a następnie głośnik odezwał się przerywanym głosem:

– Rino, my ie-bie słyszy-y -ów.

– Kto mówi?

– -u Ralf Doernberg.

– Ralfie, zaatakowano nas. Prawdopodobnie straciliśmy touarega Takedy ze wszystkimi, którzy tam byli... Słyszysz mnie, Ralfie?

– Co znaczy „prawdopodobnie”?

– To, że nie jestem tego pewien. Ich auto pędzi za nami, a my... – Rino się zawahał – ...nie wiemy, kto w nim jest. W mojej załodze jeden ranny.

– Zrozumiałem – wychrypiało radio, a Ralf jakby się dopiero obudził:

– Lecą za wami? A to gówno! Czy Tymur Korszak żyje?

– Potwierdzam. Ukraińiec jest z nami. Czy u was wszystko w porządku?

– Jeśli pytasz o „malców”, to się nie pojawiali. Ale ogrodzenie nadal nie jest pod napięciem.

– Potrzebuję powitalnych posiłków.

– Zrozumiałem.

– Ściągnij do ściany zachodniej bloku EN-1 wszystkich, którzy mają broń i nie zesrają się na odgłos własnych wystrzałów. Jero podstawia terenówkę do

bramy numer cztery. Wy wyciągniecie rannego chłopaka, a ja spróbuję zatrzymać tych, co lecą w ślad za nami... Ktokolwiek to będzie...

– Zrobimy wszystko, Rino – padło z głośnika.

– Wyjaśnijcie mi w końcu, co się dzieje! – irytował się Tymur. – Co to za budynki przed nami? Dlaczego wszyscy tak się mną przejmują?

Headhunter odwrócił się do programisty.

– Słuchaj mnie uważnie, *fella*. Od tego zależy twoje życie. Od tej chwili już nie tylko twoje. Podjedziemy do ściany, staniemy do niej prawym bokiem. Naprzeciwko jest żelazna brama. Gdy tylko ją zobaczysz, wyskakuj w cholerę z kabiny i zasuway do przodu, do bramy. Nie oglądaj się i nie zatrzymuj bez względu na to, co się będzie działo za twoimi plecami. Kumasz?

Wielkolud mówił dobitnie, ochryłym głosem, a Tymur nie miał nawet ochoty wypytywać o szczegóły. Kiwnął tylko twierdząco głową.

– Za drzwiami będą już na ciebie czekali. Oni ci wszystko wytłumaczą.

Pierwsze z niskich betonowych zabudowań były tuż-tuż. Na lewo od najbliższego budynku wyłonił się jeszcze jeden, trochę niższy. W pewnej odległości od ścian, wokół całego kompleksu, ciągnęło się druciane ogrodzenie.

– Słyszałeś, szefie? – zapytał Jero.

– Co? – odezwał się Rino.

– Ogrodzenie nie jest pod napięciem, tak?

– Aha.

– No to przejadę przez nie, dobrze? Dzięki temu podjedziemy bliżej.

– Jedź.

Ogrodzenie zniknęło na chwilę z pola widzenia, a zaraz potem wyłoniło się jak spod ziemi.

– *Hold o-o-on!*[\[35\]](#) – wrzasnął Jero, szeroko otwierając usta.

Touareg bez wysiłku przebił się przez płataninę drutów, pociągając je za sobą jak zwierzę, które wyrwało się z sieci myśliwego. Po chwili zahamował kilka kroków od ściany.

– Biegnij! – rozkazał Rino.

Gdzieś na górze włączyły się reflektory. Przestrzeń wokół wyrwy w ogrodzeniu zalało jaskrawe światło. Tymur był zaskoczony. Było widno jak

w dzień; po męczącym obserwowaniu drogi w światłach samochodu potężne reflektory oślepiały i dekoncentrowały.

Headhunter wyskoczył z terenówki i szeroko otworzył tylne drzwi. Ranny Herero ześlizgnął się pod jego nogi. Nie zwracając uwagi na swojego żołnierza, Rino chwycił Ukraińca za kołnierz i wywłókł go z auta.

– Biegni-i-ij, durniu!!!

Chłopak wreszcie doszedł do siebie i puścił się pędem w kierunku budynku. Zdołał zrobić zaledwie kilka kroków, gdy czyjeś ręce pochwyciły go i wciągnęły do środka. Metalowe drzwi, upstrzone równymi rzędami półokrągłych nitów, szcęknięły, zamykając się za nim.

Tymur znalazł się w pustym kwadratowym przedsionku. Otaczały go gołe ściany, pomalowane granatową farbą do dwóch trzecich wysokości. Z lewej i z prawej strony bramy dostrzegł dwa podłużne okna. W ścianie po przeciwnej stronie wejścia znajdowały się mniejsze drzwi z zamkiem elektronicznym (takim jak w pokojach hotelowych lub w kajutach statków pasażerskich). Nad nimi granatową farbą napisano: BLOK EN-1, a trochę niżej – BRAMA 04.

Chłopak szybko się opanował i podbiegł do okna.

Toyota tundra wdarła się przez wyrwę w ogrodzeniu i zatrzymała, omal nie taranując volkswagena. Jeffrey i Oscar wyskoczyli na piasek. Chilijczyk schylił się i rzucił do bramy, potykając się przy każdym kroku. Zaczął łomotać, prosząc o wpuszczenie go do środka. Amerykanin zajął miejsce obok Rina. Czterech mężczyzn – Rino, Jeffrey, Jero i T-Jay – ukryło się za samochodami, czekając na kolejną terenówkę, która podążała z tyłu.

Drugi touareg pojawił się bardzo szybko. Ukazał się w wyłomie, przedostał przez niego i prawie natychmiast się zatrzymał. Silnik zamilkł. Reflektory zgasły.

Wszystko wokół zamarło. Tak jakby ktoś nacisnął przycisk Pauza na odtwarzaczu. Tylko Steirmann jęczał cicho obok bramy, prosząc o jej otwarcie. Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi.

– Może walnąć w tę diabelną puszkę z granatnika, póki nie jest za późno, co?! – krzyknął Jeff przez ramię, wiedząc, że ktoś na pewno ulokował się na dachu.

– Nie. Otwieracie ogień tylko na moją komendę! – zaprotestował Rino.

Drzwi pojazdu zgrzytnęły i otworzyły się. Ktoś wysiadł z niego powoli. Mimo jaskrawego światła trudno było rozpoznać, kto to był – sylwetkę przesłaniały opancerzone drzwi.

Niewyraźna postać zachwiała się, po czym ciężko osunęła na kolana.

– Nie strzelajcie! – Tymur aż podskoczył, rozpoznając znajomą figurę o wydatnym brzuchu. – To Jemeljanow!

Następny wysunął się z touarega ostatkiem sił Katsuro Takeda. Z miejsca kierowcy. Przez tylne drzwi wysiedli Ndonga i Frankie, poplamieni krwią jak rzeźnicy. Nahasa z nimi nie było.

Rino Headhunter, trzymając strzelbę w gotowości, zaczął okrążyć terenówkę z prawej strony. Pasażerowie touarega stali milcząco i nieruchomo, mimo jaskrawego światła nie mrużąc oczu. Jak zombi. Rosjanin klęczał.

Wreszcie Katsuro powiedział zmęczonym głosem:

– Skończ tę komedię, Rino. Za nami nikogo nie ma.

Gdy Południowoafrykanin przekonał się, że wewnątrz samochodu jest puste, opuścił z ociąganiem strzelbę. To był sygnał: kilku mężczyzn wybiegło przez drzwi i otoczyło nowo przybyłych. W pierwszej kolejności wyciągnęli ранego Herera z samochodu. Następnie pomogli podnieść się Igorowi. A potem poprowadzili załogę Katsura do budynku, ostrożnie podtrzymując każdego z nich pod rękę.

Steirmann, chlapiąc, dotarł wreszcie do przedsionka i usiadł przy ścianie naprzeciwko bramy.

– To jeszcze nie koniec... – szlochał, nie przejmując się tym, że nikt go nie słucha. – Nie koniec... One przecież wrócą. Dzisiaj na pewno tutaj przyjdą...

Tymur obserwował, jak obok niego, potykając się i wspierając na towarzyszach, wlekli się czarnoskórzy najemnicy i Japończyk. Jemeljanowa prowadzono na końcu. W gruncie rzeczy niesiono go na rękach, gdyż Rosjaninowi nogi odmówiły posłuszeństwa.

Kiedy programista ujrzał Igora, natychmiast poszedł w jego kierunku, gdy raptem uświadomił sobie, że *coś jest nie tak*. Coś w wyglądzie nowo przybyłych wzbudziło jego czujność. Coś w ich twarzach...

Ukrainiec podszedł bliżej i lekko dotknął przedramienia profesora.

– Co z tobą? – zapytał po rosyjsku. Miał w głowie mnóstwo innych pytań, ale nie spieszył się z nimi.

Jemeljanow nic nie odpowiedział. Tymur się schylił; rzeczywiście był gotów jakoś rozruszać Rosjanina. Jednakże kiedy ujrzał jego oczy, cofnął się odruchowo. Takiej pustki we wzroku nigdy dotąd nie widział. Oczu jakby nie było. To znaczy one były, ale... nieruchome, bez wyrazu. Jak szklane kulki, otoczone przekrwionymi białkami. Wydawało się, że te oczy zapatrzone są gdzieś we wnętrze.

– Cholera... – wydusił z siebie chłopak.

Po chwili profesor nachylił się, uwieszony rąk swych przewodników, i zwymiotował.

XXII

Tymur szedł wolno przez ciasny korytarz oświetlony dwoma rzędami lamp kwarcowych. Kipiał z niepokonanej złości. Ogarniała go wściekłość na myśl o tym, że pozwolił się wciągnąć w coś takiego. Był zły na Steirmanna i Jemeljanowa, bo milczeli przez całą drogę i niczego mu nie wytłumaczyli. Był zły na Rina z powodu jego żartów, nonszalanckiego zachowania, a przede wszystkim z powodu tych mało zrozumiałych słów, wypowiedzianych pośrodku pustyni: „To twoje chłoptasie, *fella*”. Jednocześnie poza żalem stopniowo rodziło się inne uczucie: niezachwiana świadomość tego, że jego zwykły – zrozumiały i uporządkowany – świat bezpowrotnie odszedł w niepamięć. Wyślizgnął mu się z rąk. Chłopak poczuł się bezradny jak rybka, która wypadła na podłogę z rozbitego akwarium.

Jeszcze nie wszystko rozumiał. Ale uświadamiał sobie jedno: gdzieś na pustyni ktoś wznicił pożar. I wszystko wskazywało na to, że on zostanie jednym z tych, którzy będą musieli go ugasić.

NOWE POKOLENIE

XXIII

Z punktu widzenia przeciętnego człowieka wyodrębnia się trzy poziomy problemów naukowych.

Pierwszy poziom jest najniższy, najmniej znaczący. Charakteryzują go dwie zasadnicze cechy: po pierwsze, naukowcy gdzieś się pomylili i nawet tego nie podejrzewają, po drugie, popełniony błąd w żadnym wypadku nie wpływa na życie codzienne zwykłych ludzi.

Bardzo dobrym przykładem takiego niewiele znaczącego błędu w opracowaniu naukowym jest model atomu Thomsona. Wybitny angielski fizyk Joseph Thomson[36] zakładał, że każdy atom jest zbudowany z jednorodnej masy, naładowanej dodatnio, wewnątrz której znajdują się, jak rodzyнки w cięście, elektrony obdarzone ładunkiem ujemnym. Teoria modelu „ciasta z rodzyнками” wiodła prym przez pewien czas, dopóki inny fizyk – Ernest Rutherford (uczeń Thomsona) – nie udowodnił, że model ten jest błędny.

Jak na ironię Rutherford przeprowadzał eksperyment, który miał na celu potwierdzenie teorii Thomsona dotyczącej struktury atomu. Naukowiec posłużył się cienkim arkuszem złotej folii (grubości około jednego mikrometra – nie więcej niż kilku atomów), umocował go w specjalnym uchwycie i zaczął bombardować dodatnio naładowanymi cząstkami alfa (jądrami helu). Droga cząstek alfa była zapisywana przez specjalne urządzenie, na którym można było zobaczyć przez mikroskop, czy tor „pocisków” zmienił się, czy nie. Wyobrażając sobie atom jako jednorodną kulę, oczekiwał, że cząstki alfa będą powoli przenikać przez folię, nie zmieniając (lub prawie nie zmieniając) nadanego kierunku ruchu. Ogólnie rzecz biorąc, tak właśnie było, gdyż promienie alfa przebijały bez przeszkód złotą folię. Mimo że większość eksperymentów Rutherford prowadził osobiście, coraz częściej pojawiały się dziwne wyniki. Tor niektórych cząstek alfa po przeniknięciu przez folię

odchyłał się o trzydzieści do sześćdziesięciu stopni od osi wiązki (tor wielu z nich był znacznie odchyłony), a niektóre cząstki (odchyliwszy się nawet o sto dwadzieścia–sto osiemdziesiąt stopni) odbijały się od folii i wracały w kierunku źródła emisji. Rutherford był zszokowany. Po przeanalizowaniu rezultatów eksperymentu naukowiec doszedł do zatrważającego wniosku: Thomson się mylił. Atom nie jest jednorodnym protonowym „ciastem z rodzynkami”, którymi są elektrony. Atom tak naprawdę jest pusty, tyle że w jego środku znajduje się mała (na tyle znikoma, że po dwustu ostrzałach z rzędu wiązkami złożonymi z cząstek alfa trafiły w nią tylko jeden albo dwa pociski), ale nadzwyczaj gęsta cząstka, w której zgromadzony jest ładunek dodatni. Rutherford udowodnił matematycznie, że rozmiar tej cząstki jest sto tysięcy razy mniejszy niż promień atomu. Tę malutką cząstkę nazwano jądrem, a opracowany przez uczonego model planetarny z jądrem w środku i chmurami elektronów dokoła niego stanowił podstawę naukowego obrazu wszechświata.

Na szczęście wówczas taki fundamentalny błąd nie miał wielkiego wpływu na życie, jak też na współczesną jak na tamte lata technikę itd.

Żeby odkryć problem naukowy pierwszego poziomu, niezbędny jest naukowiec o rzeczywiście nieprzeciętnych zdolnościach i rozwiniętej intuicji (przede wszystkim wtedy gdy eksperymenty, jak było z „atomami Thomsona”, nie od razu ujawniają dogłębną istotę zjawiska). Albo niesamowite szczęście.

Drugi poziom problemów naukowych to poziom średni. Pojawia się, gdy nieścisłości, błędne teorie oraz niepoprawne założenia kumulują się (innymi słowy, kiedy nowe badania procesów i zjawisk są prowadzone na podstawie błędnych założeń). Niekiedy badaczom po prostu brakuje fundamentalnej wiedzy, by zrozumieć istotę tego, co uzyskali w rezultacie swoich eksperymentów. Przykładem może być Wielki Zderzacz Hadronów. Wszystko w nim ładnie przebiega, protony rozpędzają się, zderzają i rozlatują w różne strony. Wszystko jest ściśle kontrolowane i rejestrowane, ale... poza wzorami teoretycznymi nic się nie zgadza. A to jakieś cząstki materii gdzieś się zapodziały, a to kilka kilodżuli energii zniknęło bez śladu, doprowadzając wszystkich teoretyków do szaleństwa i przy okazji przekreślając wszystkie dotychczasowe osiągnięcia fizyki, począwszy od XVI wieku.

Cechą charakterystyczną danego poziomu jest to, że badacze zazwyczaj wyraźnie widzą rozbieżności między teorią a praktyką (choć zwykle nie rozumieją ich przyczyn), lecz ich działania nie niosą ze sobą bezpośredniego

niebezpieczeństwa dla ludzi. By rozwiązać problemy tego poziomu, potrzebni są nie tyle zdolni, ile uparci i wytrwali naukowcy, którzy dysponują rzetelną wiedzą w danej dziedzinie nauki i są gotowi poświęcać całe dnie i noce na naprawienie jednej konkretnej pomyłki.

No i wreszcie trzeci poziom – najwyższy. Powstaje w sytuacjach, gdy naukowcy całkowicie się mylą, co skutkuje nieodwracalnymi i bardzo niebezpiecznymi wydarzeniami, których po prostu nie można nie zauważyć. Nie trzeba być profesorem, doktorem nauk, doktorantem czy prymusem w szkole – rezultaty tych błędów wcześniej czy później bez trudu odczują i uświadomią sobie wszyscy. Nawet ci opóźnieni w rozwoju. Nauka, hipotezy i zależności teoretyczne nie mają tu większego znaczenia. Dla nikogo nie jest ważne, co tak naprawdę się stało na poziomie atomów i cząsteczek i gdzie został popełniony błąd, przez który sytuacja wymknęła się spod kontroli. Liczą się jedynie zewnętrzne objawy, a nie wewnętrzna istota procesu. Tu można się odnieść do wybuchu elektrowni jądrowej w Czarnobylu lub (popukajmy w niemalowane drewno) do prawdopodobnej awarii we wspomnianym Wielkim Zderzaczu Hadronów, która mogłaby pociągnąć za sobą jeszcze bardziej nieprzewidywalne skutki. Mówiąc po ludzku, takie problemy nazywamy katastrofą.

Jak z tym walczyć? Priorytetem nie jest rozwiązanie problemu, lecz usunięcie skutków, do których doprowadziły próby jego rozwiązania.

Tak więc według stanu na połowę sierpnia sytuacja na pustyni Atakama zbliżała się milowymi krokami do najwyższego, trzeciego poziomu błędów popełnianych podczas rozwiązywania problemów naukowych. I – jak to zwykle bywa – nikt tego jeszcze nie rozumiał...

XXIV

Sobota, 15 sierpnia, 19.40 (UTC -4)
Blok DW kompleksu badawczego NGF-Lab
Pustynia Atakama

Gdy weszli po schodach, znaleźli się w wąskim przedsionku podobnym do tego w pierwszym budynku, z tą różnicą, że ściany tego na górze miały zielonkawy kolor. Po prawej stronie wznosiła się stalowa brama, która także

prowadziła na zewnątrz, a przed sobą Tymur zobaczył przezroczyste plastikowe drzwi, obok znajdowała się tablica domofonu. Nad nią widniały ciemnozielone napisy: BLOK MIESZKALNY i BRAMA 01.

Drzwi były otwierane od środka. Jeden z mężczyzn się nachylił i wcisnąwszy przycisk wywołania, powiedział:

– Keitaro, tu Ralf. Wróciliśmy.

Przezroczyste skrzydła drzwi rozsunęły się, wpuszczając ich do środka.

Tymur od razu zrozumiał, że trafił do bloku mieszkalnego. To się dało wyczuć nie tyle z powodu temperatury (zimą na Atakamie nie jest za upalnie), ile ze względu na wilgotność powietrza. Dokuczliwe pustynne powietrze, od którego piekło w nosie i które powodowało nieznośną suchość w gardle, zostało zastąpione normalnym, przyjaznym dla płuc. Atmosfera tutaj była bardzo przyjemna, jak w szklarni, w której hoduje się kwiaty.

Pierwszy pokój służył za szatnię. Tuż za nim, sądząc po zapachach, znajdowały się kuchnia i jadalnia; w lewo odchodził niewielki korytarz, a na jego końcu znajdowały się schody w kształcie greckiej litery Π, które prowadziły na pierwsze piętro. Na prawo od szatni był jeszcze jeden pokój. Do tego pomieszczenia bez okien prowadziły masywne stalowe drzwi. Mężczyźni złożyli w nim strzelby, granaty i jeden granatnik AT4. Jedyne Rino pozostał uzbrojony.

– Poprowadzisz Tymura i Igora – polecił Ralf Doernberg Oscarowi – a wy zaopiekujcie się rannym. – Jeffrey i Jero ostrożnie ponieśli nieprzytomnego Herera na pierwsze piętro. Ralf odwrócił się do Ukraińca i Rosjanina. – Zanim pójdziecie do siebie, oddajcie mi, proszę, wasze telefony.

Tymur wyciągnął z kieszeni komórkę i zerknął na jej ekran. Na dole zamiast nazwy operatora wyświetlał się komunikat „Szukanie sieci”, a w lewym górnym rogu obok schematycznego wizerunku anteny nie było żadnej kreski, co świadczyło o braku zasięgu.

– Tutaj i tak niczego się nie złapie – powiedział chłopak.

– Przepraszam, ale takie mamy zasady.

– Okej. – Programista nie miał siły się sprzeczać i położył telefon na wyciągniętej dłoni.

Nie podnosząc wzroku ani nie poruszając głową, Jemeljanow wyciągnął z kieszeni swoją staruszkę nokię i podsunął ją Ralfowi.

– To wszystko? – nie ustępował mężczyzna. – A palmtopy, komunikatory, smartfony? Niczego takiego? – Ralf z uwagą przyglądał się nowo przybyłym.

Profesor nie zareagował. Ukrainiec pokiwał przecząco głową (przez moment Tymurowi się wydawało, że Doernberg zmusi ich do wywrócenia kieszeni na drugą stronę albo przeprowadzi rewizję osobistą jak na lotnisku przed odlotem, tak się jednak nie stało). Ralf powściągliwie się uśmiechnął i mruknął:

– Wspaniale. – I zniknął na schodach. Laptopów nie sprawdzali. Znaczy, że sieci Wi-Fi nie było.

Unikając bezpośredniego kontaktu wzrokowego, Oscar Steirmann poprosił gestem Ukraińca i Rosjanina, by podążyli za nim. We trzech powlekli się na górę.

Tymur i Igor znaleźli się w pokoju rekreacyjnym. W przestronnym pomieszczeniu, którego podłoga była zasłana zieloną wykładziną dywanową, stał stół bilardowy, za nim piłkarzyki, a obok tuliły się do siebie trzy obite skórą kanapy. Pod sufitem wisiał projektor, naprzeciw niego sterczał stojak z ogromnym ekranem. Kanapy, projektor i płachta ekranu tworzyły salę kinową. Najdalszą ścianę podpierał szeroki regał, cały wypełniony książkami. W pobliżu stał ekspres do kawy. Kilka lamp rzucało niezbyt jaskrawe światło.

Okna były zasłonięte ciężkimi szmaragdowozielonymi kotarami.

– Rozgośćcie się na razie tutaj. – Steirmann wskazał kanapy. – Pójdę sprawdzić, czy wasze pokoje są już gotowe. Zaraz wracam.

Możliwe, że gdyby nie zmęczenie i nerwy napięte jak struna, Tymur martwiłby się tym, że stąpa po wykładzinie dywanowej w adidasach brudnych od pustynnego piachu. Ale teraz miał to gdzieś. Nie zdejmując butów, chłopak runął na najbliższą kanapę. Plecy go piekły, w głowie mu huczało, ból gorącym jęzorem pełzał do karku.

Igor Jemeljanow przysiadł bojaźliwie na brzegu drugiej kanapy i zastygł z pochyloną głową.

W zupełnej ciszy minęło kilka minut.

– Kompletnie nie czuję nóg. – Ukrainiec próbował nawiązać rozmowę z Rosjaninem.

Igor nawet nie spojrział w jego stronę. Wyglądał na przybitego.

– No co z tobą? – Tymur podniósł się i oparł na łokciu, próbując pochwycić wzrok profesora.

W tym samym momencie wrócił Steirmann. W ślad za nim do pokoju weszła niewysoka, proporcjonalnie zbudowana, czarnowłosa młoda kobieta. Od razu rzuciła się w oczy króciutka fryzurka typu bob oraz figlarne diablaki w wyraźnie podkreślonych makijażem dużych czarnych oczach. Dziewczyna miała na sobie ciemnogrnatowy kombinezon bez rękawów oraz białe tenisówki o wąskich czubkach. Jej twarz rozbłysła w uśmiechu, prezentując oszałamiające dołeczki w okrągłych policzkach.

– To jest Rebecca – przedstawił czarnulkę Oscar, który zdążył już się umyć i zmienić koszulę. Chilijka uśmiechnęła się, podniosła rękę i pomachała w powietrzu paluszkami. – Rebecca odprowadzi was, panowie, do waszych pokoi.

Tymur wstał. A gdzie tam – skoczył na równe nogi. Mimo śmiertelnego zmęczenia wyczuł, jak dół brzucha ogarnia odurzające ciepło. Na mgnienie przed oczami stanęła mu Alina, ale chłopak, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, zepchnął jej obraz na peryferie świadomości. Po tylu przeżyciach nie chciał wracać wspomnieniami do rodziców, przyjaciół z Kijowa ani nawet do narzeczonej. Obecnie wszyscy oni byli niesłychanie daleko. Na tyle daleko, że praktycznie nie istnieli.

– Mam na imię Tymur – przedstawił się chłopak. – *Soy de Ucraina*[37].

– Jestem Becca.

Zainteresowanie Tymura nie spodobało się Oscarowi.

– Macie trochę czasu, żeby wziąć prysznic i przebrać się. O dwudziestej trzydzięci Keitaro zwołuje zebranie.

Ukrainiec spojrzał zmęczonym wzrokiem na Steirmanna.

– Człowieku, przecież wiesz, jak nas huštało w samolocie nad Atlantykiem. Nie spałem prawie dołą.

– Napij się kawy.

– Gdybym nawet wypił całe wiadro...

– Swoje pretensje zgłosisz panu Keitarowi. Rebecca przyjdzie po was o dwudziestej dwadzieścia pięć i zaprowadzi do sali konferencyjnej.

Programista zacisnął usta i nic nie odpowiedział.

– Proszę za mną. – Dziewczyna poszła przodem.

Nagle Tymur przypomniał sobie o Igorze. Chłopak odwrócił się, by zawołać Rosjanina, ale w tej samej chwili cofnął się, nie będąc w stanie powstrzymać okrzyku. Jemeljanow stał tuż za nim i dyszał mu prosto w ramię.

– O cholera! Stary, aleś mnie przestraszył. – Tymur ledwo się zmusił, żeby nie zakląć dosadniej.

– Wybacz... – wydusił Igor, z trudem poruszając ustami. Tak jak wcześniej nie podnosił głowy, patrzył tylko pod nogi. Tymur odsunął się nieco.

– To Igor, mój przyjaciel, jest z Rosji – wymamrotał programista – no, niezupełnie przyjaciel, poznaliśmy się dopiero wczoraj.

– Czy wszystko z nim okej? – spytała dziewczyna.

Słodki zapach perfum pozwolił na moment zapomnieć o senności. Tymur wzruszył ramionami. Nie mógł wiedzieć, czy z Jemeljanowem wszystko jest w porządku, bo nie potrafił sobie wyobrazić, przez co tamten przeszedł.

Krocząc w ślad za Beccą, minęli kilka korytarzy ze szklanymi drzwiami, przypominały korytarze biurowca, gdzie mieściła się firma, w której pracował, po czym znaleźli się w innej części bloku DW – rekreacyjnej. Chłopak nie znał jeszcze rozkładu całego budynku, ale domyślał się, że pokoje mieszkalne mieszczą się w oddzielnym skrzydle. Tutaj było cicho i przytulnie. Ściany pokrywał zielony materiał obiciowy z wytłaczanym wzorem, a pod nogami delikatnie skrzypiały panele. Gdzieś na korytarzu pobłyskiwały zielone strzałki z napisem WYJŚCIE AWARYJNE. Lampy świeciły blado, jakby za chwilę miały zgasnąć, i ledwo wskazywały drogę.

Rebecca bez przerwy szczebiotała, wskazując od czasu do czasu palcem ciemne okna, tak jakby nie uświadamiała sobie, że za nimi jest tylko mrok. Tymur nie słuchał; zasypiał, podążając za nią.

Nareszcie weszli na drugie piętro i znaleźli się w innym, jaskrawo oświetlonym korytarzu. Po lewej i prawej stronie znajdowały się drzwi. Nad każdym wejściem była umieszczona bardzo jasna okrągła lampa. Korytarz przywodził na myśl niedrogi hotel przydrożny. Podobieństwo pogłębiały cyfry widoczne na drzwiach.

Chilijka poprowadziła mężczyzn do końca korytarza i wyjęła z kieszeni dwie karty magnetyczne.

– Pokoje są jednakowe, ale możecie najpierw je obejrzeć.

– Wszystko mi jedno. – Tymur wyciągnął na chybił trafił jedną kartę, czując przez moment ciepło dłoni dziewczyny. Przypadł mu pokój numer

trzysta sześć.

Becca uśmiechnęła się, w jej policzkach znów pojawiły się dołeczki.

– Zadbam, by jak najszybciej przyniesiono wasze rzeczy.

Rosjanin dostał pokój numer trzysta trzy, akurat naprzeciwko Tymura. Igor drżącymi rękami chwycił kartę. Potrząsnął głową, pytając:

– Gdzie to jest?

Rebecca odstepiła na krok i wskazała dłonią drzwi.

– Tutaj.

Jemeljanow parę razy próbował trafić do gniazda czytnika, ale mu nie wychodziło. Wreszcie się udało. Okazało się jednak, że włożył kartę nie tą stroną, co trzeba. Kilkakrotnie szarpnął za klamkę, następnie w milczeniu mechanicznie wyciągnął kartę i spróbował wetknąć ją inną stroną.

Trwało to chyba minutę, w końcu Becca położyła rękę na ramieniu Rosjanina i miękko powiedziała:

– Pomogę panu, proszę.

Igor wyprostował się. Tymur znów cofnął się odruchowo, gdy dojrzał w jego oczach bezdenną pustkę.

– Nie – ostro odparł profesor, chowając za plecami rękę z kluczem magnetycznym. – Ja sam.

– Nie mówię o drzwiach – powiedziała dziewczyna, podchodząc do Igora.
– Zbadam pana. Jestem tutaj pielęgniarką.

– Nie trzeba – głucho odezwał się Jemeljanow i powtórzył: – Ja sam. Sam!
– powiedział słabo, ale jednak stanowczo.

– Jak pan sobie życzy. – Chilijka wzruszyła ramionami i cofnęła się o krok.

Igorowi wreszcie udało się otworzyć drzwi; zniknął bez słowa w głębi pokoju. Jakby się w nim zapadł.

– Proszę pana! – krzyknęła Rebecca. – Proszę nie zapomnieć, że o wpół do dziewiątej zaczyna się zebranie! Pańskie torby zaraz przyniosą i będzie pan mógł się prze...

– Zostaw go w spokoju – przerwał jej w pół słowa Tymur. – On był w tym samochodzie, który został zaatakowany na pustyni.

– Rozumiem. – Becca wydeła usta, a chłopiec pomyślał, że akurat ona ni cholery nie rozumie. Zresztą sam też nic nie pojmował. – Z Takedą, młodym

Japończykiem, jest tak samo. Też ledwo mówi. Ale to niczego nie zmienia. Twój przyjaciel musi zrozumieć, że spotkanie jest bardzo ważne...

Korszak przestępował z nogi na nogę, nie spieszył się do pokoju. Dziewczyna, spuściwszy wzrok, również nie odchodziła.

– Czy jeszcze czegoś potrzebujesz? W pokoju jest czajnik, mogę zaparzyć ci kawę.

– Jak tu trafiłaś? – spytał Ukrainiec.

– Znalazłam pracę w tygodniku z ogłoszeniami, poszłam na rozmowę kwalifikacyjną, podpisałam masę dziwnych papierów i oto jestem. Płacą bardzo dobrze.

– Nie boisz się?

– Na początku się nie bałam. A potem, no, kiedy to się... stało...

– *To?*

– Gdy one... Byłam akurat na zewnątrz, gdy zaczęły wyłazić przez dach swojego bloku.

– Nie ściemniaj. *One*, czyli kto?

Rebecca opuściła głowę jeszcze niżej.

– Nie mogę ci powiedzieć. Za godzinę dowiesz się wszystkiego. Kiedy *zaczęłam się bać*, Keitaro Roka nie pozwolił mi stąd wyjechać.

– Jap? Ten, którego wszyscy nazywają starym Japem?

– Tak...

– Naprawdę jesteś pielęgniarką? – Tymur zmienił temat.

– No tak. – Rebecca podświadomie wyprostowała się.

– Co z tym chłopakiem? Niestety, nie znam jego imienia... Jeden z czarnoskórych z konwoju, ten, który został ranny.

Dziewczyna nachmurzyła się. U nasady jej nosa pojawiły się niewielkie zmarszczki.

– Nie zdążyłam go obejrzeć... Teraz jest u niego Alondra. – Popatrzyła Tymurowi w oczy. Po chwili namysłu wytłumaczyła: – Alondra to dziewczyna Jeffa. Jeffreya Tuckera. Zgodziła się pomagać w szpitalu. Nikt nie przewidywał, że będę miała tyle pracy... Znasz Jeffreya, prawda? Amerykanina z zielonymi oczami. Jest tu elektrykiem. Poznaliście się już? – Tymur skinął głową twierdząco.

Rebecca bardziej spochmurniała, przydało jej to jeszcze więcej uroku.

– Alondra od początku nie chciała tu przyjeżdżać. Ale też jest jedyną osobą, która została dobrowolnie. Za nic nie chciała zostawiać swego Jeffa, a on... on też zobaczył coś, czego nie powinien zobaczyć...

Ukrainiec westchnął. Owijały się wokół niego macki znużenia. Poziom adrenaliny we krwi powoli się obniżał i organizm nie był w stanie dalej opierać się gwałtownej senności, która nim zawładnęła. Zdolność postrzegania rzeczywistości malała w zastraszającym tempie, świadomość jakby rozpadała się na kawałki, a słowa docierały do chłopaka fragmentami.

– Ale nic mu nie będzie. Wyjdzie z tego – dodała Chilijka.

– Widziałem, jak trafił go kamień – powiedział cicho. – Byłem obok. On... on by wypadł z samochodu, gdybym go nie przytrzymał.

– Zuch chłopak. – Dziewczyna dotknęła jego ramienia i szybko odpowiedziała: – Czekaliśmy wszyscy. Keitaro bardzo na ciebie liczy.

Tymur uniósł brwi, próbując zrozumieć treść tych słów. Głos ponętnej brunetki brzmiał tak, jakby mówiła przez grubą warstwę wody.

– Ty przecież potrafisz wszystko załatwić, prawda?

Programista nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

– Nie wiem – przyznał się zmieszany, mrugając.

Rebecca westchnęła i spojrzała Tymurowi głęboko w oczy.

– Tylko ich nie zabijaj, bardzo cię proszę. Przecież to są *dzieci*.

Po czym odwróciła się i odeszła.

Drzwi pokoju numer trzysta trzy były na wpół uchylone. Przez szparę można było zobaczyć wejście do łazienki. Dobiegało stamtąd ciche przerywane chrząkanie. Pochylony nad sedesem Jemeljanow znów wymiotował.

XXV

Sobota, 15 sierpnia, 20.09 (UTC -4)
Kompleks badawczy NGF-Lab

Rino Headhunter podszedł do drugiego touarega, który częściowo zasłaniał dziurę w ogrodzeniu. Miał zamiar zaprowadzić samochód do jednego z boksów remontowych w pierwszym bloku inżynierskim.

Zbliżywszy się do terenówki, wielkolud się zatrzymał. Mimowolnie przypomniał sobie atak. Jego auto obrzucono kamieniami; z wąwozu, gdzie utknęła druga terenówka, dolatywały odgłosy strzałów. Tamci zostali ostrzelani – był tego pewien.

Rino popatrzył na touarega. To w takim razie gdzie się podziały, do diabła, ślady po śrucie? Mężczyzna obszedł samochód dokoła, uważnie przyglądając się blachom pancerza, po czym przykucnął obok przedniego zderzaka. Przesunął w kilku miejscach palcem po zimnym metalu. Widział tylko zadrapania po kamieniach i... nic więcej.

Headhunter wyprostował się. Był zdziwiony. Otworzył prawe tylne drzwi i zajrzał do środka. W nozdrza uderzył go kwaśnawy zapach. Chyba tak śmierdzi strach – pomyślał siłacz, ale naraz zauważył resztki wymiocin na siedzeniu i na dywanikach. Brwi wygięły mu się ze zdziwienia i nastroszyły. Ktoś wymiotował w drodze powrotnej? Rino po raz drugi okrążył touarega, szeroko otworzył przednie drzwi i usiadł na miejscu kierowcy. Dłoń automatycznie sięgnęła do włącznika zapłonu, ale... zamarła w pół drogi. Wielkolud patrzył wytrzeszczonymi oczami na górną część deski rozdzielczej, która przylegała do przedniej szyby. Z prawej strony, tuż przy szybie, leżał czarny podłużny przedmiot. Mężczyzna wyciągnął rękę i chwycił go palcami. Przyciągnął do siebie. Wziął w dłoń.

To była krótkofalówka.

Rino nie wierzył własnym oczom. Przez kilkanaście sekund siedział nieruchomo, patrząc przed siebie i obracając w dłoniach czarne plastikowe urządzenie. Spodziewał się, że jest niesprawne. W myślach prawie błagał, żeby się nie włączyło.

Nie spuszczać wzroku z krótkofalówki, Headhunter wcisnął przycisk. Na górze obok anteny zapalił się czerwony wskaźnik, a z głośnika dał się słyszeć charakterystyczny szum. Krótkofalówka była sprawna. I przez cały czas leżała na widocznym miejscu...

Lodowaty prysznic i filiżanka kawy postawiły Tymura na nogi. Chłopak rozumiał jednak, że długo tak nie pociągnie. Mózg odmawiał współpracy, nie potrafił już chłonąć nowych informacji, a ciało jęczało z przemęczenia i domagało się snu. Gdy tylko działanie kofeiny osłabnie, natychmiast odleci. Na Ukrainie było wół do trzeciej nad ranem.

Rebecca poprowadziła Tymura i bladego jak trup Igora Jemeljanowa na trzecie piętro części administracyjnej. Weszli przez drzwi z napisem: SALA GŁÓWNA. Znaleźli się w bardzo długim pokoju z czterema panoramicznymi oknami i wielkim stołem w kształcie elipsy. Dokoła rozmieszczono fotele biurowe z wysokimi oparciami. Na stole stały butelki z wodą mineralną i tace z kanapkami. Z prawej strony na brzegu stołu znajdował się duży monitor ciekłokrystaliczny.

Kiedy Ukrainiec i Rosjanin weszli do środka, większość miejsc była już zajęta. Wśród obecnych chłopak zauważył Rina i Katsura Takedę. Sadowiac się na jednym z wolnych foteli, Tymur nijak nie mógł zrozumieć, czy to ze zmęczenia kłębiły mu się w mózgu paranoidalne myśli, czy rzeczywiście wszyscy ukradkiem go obserwują.

Ostatni do sali wszedł leciwy Japończyk średniego wzrostu. Nie patrząc na nikogo, szybko przemierzył pokój i zajął miejsce u szczytu stołu. Tymur się domyślił, że szczupły Azjata z błyszczącymi oczami koloru gryczanego miodu jest tajemniczym Japem. Czarne spodnie, droga ciemnogrnatowa koszula; lekko podwinięte rękawy odsłaniały chude, pokryte węzłami mięśni przedramiona. U małego palca lewej ręki miał paznokiec dwucentymetrowej długości. Jego włosy były prawie całkiem siwe i tylko gdzieniegdzie na końcach zachowały się czarne maźnięcia. Krótka obcięta czupryna sterczała, co odejmowało Japończykowi lat.

– Dobry wieczór państwu – przemówił cicho.

W tym momencie wszyscy obecni podnieśli się ze swoich miejsc, jakby ulegając jakiemuś milczącemu rozkazowi. Starego Japończyka cechował wrodzony majestat, jakiego mogliby pozazdrościć mu królowie, których w ciągu ostatniego tysiąclecia powołała do życia cywilizacja. Tymur wstał razem ze wszystkimi.

Keitaro prawie niezauważalnie kiwnął głową.

– Proszę usiąść. – Począł, aż każdy zajmie swoje miejsce, i dopiero wówczas sam usiadł. – Wiem, że moje słowa w tych okolicznościach nie zabrzmiały szczerze, mimo to rad jestem państwa widzieć. Cieszę się, że wreszcie zebraliśmy się... – Japończyk ważył każde słowo, posługując się idealną akademicką angielszczyzną; dłonie trzymał na stole. – Nazywam się Keitaro Roka. Jestem twórcą projektu NGF i już ćwierć wieku nieprzerwanie nim kieruję. Niestety, mam podstawy sądzić, że dzisiejsze zebranie nie będzie trwało zbyt długo. Niemniej uczynię wszystko, by wprowadzić państwa w istotę problemu... na tyle, na ile to będzie możliwe. Zanim zaczniemy, proponuję, aby każdy po kolei się przedstawił, jak jest to przyjęte na konferencjach naukowych, koncentrując się na zakresie swojej działalności. Zacznę od siebie. Państwo już wiedzą, jak się nazywam. Dodam jeszcze, że byłem kiedyś kierownikiem jednej z katedr Uniwersytetu Tokijskiego. – Keitaro zrobił pauzę, nie doprecyzował jednak, o jaką katedrę chodzi. – Obecnie zajmuję się nanotechnologią, biologią molekularną i programowaniem.

Stary Jap kiwnął głową i przekazał głos najstarszemu uczestnikowi projektu o kwaśnym wyrazie twarzy i nieufnym spojrzeniu, który siedział po jego lewej stronie.

– Ralf Doernberg – przedstawił się mężczyzna. Wyróżniały go ogromne uszy i bardzo wysokie czoło. A także cera. O niezdrowym szarawym odcieniu, jaką ma człowiek, który cierpi na niewydolność serca. – Neurochemik... hm... neurochirurg. Mam sześćdziesiąt cztery lata, pochodzę z Winnipeg, z Kanady. To ja w odległym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku wynalazłem technosynapsę, od czego właściwie zaczęła się cała historia. – Kanadyjczyk zamilkł w obawie, że niepotrzebnie się wygadał.

Na lewo od Ralfa siedział, opierając łokcie o stół, wysoki czterdziestoletni mężczyzna w zwykłej koszuli w kratę, której rękawy były wysoko podwinięte. Jego łysa głowa przypominała jajo.

– Allan Greenlon. Stany Zjednoczone. Jestem inżynierem. Studiowałem na Uniwersytecie Tekszańskim w Austin, w młodości brałem udział w opracowaniu i montażu układów scalonych w blokach sterowania raketami międzykontynentalnymi... W ogóle to nie mam prawa rozpowszechniać tej informacji, ale skoro mój pobyt tutaj sankcjonuje Pentagon, sądzę, że mają państwo prawo o tym wiedzieć. Przez ostatnie dziesięć lat projektowałem układy naprowadzania i grupowego współdziałania dla myśliwców piątej

generacji F-22 Raptor. O waszym projekcie nie wiem prawie nic. – Allan rzeczywiście o niczym nie wiedział. Jeff przywiózł go rano, zanim wyjechał po Tymura i Igora. – Wykonywałem różne zadania, które były... hm... dość dziwne. Na przykład ten wasz kask z chłodzeniem, on mnie...

– Jasne – przerwał mu Keitaro.

Dokonywanie prezentacji odbywało się w dalszym ciągu zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– Laura Dupré. Psychiatra – przedstawiła się kolejna uczestniczka narady. Miała fatalny akcent. Z wyglądu stuprocentowa Francuzka: krótkie farbowane na czarno włosy, ciemne oczy, pociągła twarz i zmysłowe, nieco nieproporcjonalne usta. Okulary na nosie. Niedawno skończyła trzydzieści lat i była najmłodszą osobą w zespole, nie licząc Tymura. – Przyjechałam z miasteczka Pau w Pirenejach, na południu Francji. Studiowałam w Paryżu, pracowałam w prywatnej klinice w Tuluzie. Specjalizuję się w zaburzeniach psychicznych występujących u dzieci, ponadto interesuję się wszystkim, co dotyczy ludzkiej świadomości oraz... tego nieświadomego.

Obok dziewczyny siedziała jeszcze jedna kobieta należąca do zespołu. Znacznie starsza. Z pewnością i teraz można byłoby uważać ją za piękność, gdyby nie nadmierna chudość oraz kanciaste, jak gdyby wykute z granitu rysy twarzy.

– Tiana Emerson, doktor nauk. Jestem Brazylijką, urodziłam się w Recife, wielkim kurorcie na wschodnim wybrzeżu Brazylii, w rodzinie bogatego przemysłowca. Studiowałam na Uniwersytecie Stanforda w Palo Alto w Kalifornii; tam też ukończyłam studia doktoranckie. Temat pracy dotyczył mikrobiologii. Od razu zrezygnowałam z pracy akademickiej i przez długi czas pracowałam w prywatnym laboratorium, dopóki... no... dopóki nie zakazano badań nad modyfikacjami genetycznymi człowieka. Powróciłam więc do Brazylii. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku poznałam Ralfa, od tamtej pory siedem czy... – kobieta zamyśliła się – ... osiem lat pracuję na rzecz NGF.

Tiana Emerson była odpowiedzialna za wszystko, co dotyczyło genetycznego poprawiania „malców”. Jeszcze zanim przyszli na świat. Przez cały tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy rok, gdy NGF-Lab zamienił się w „szpital położniczy”, ona praktycznie niepodzielnie królowała w laboratorium, ale od pięciu lat prawie nie angażowała się w prace nad projektem.

Na samym końcu stołu siedział Rosjanin, który ścisnął kurczowo w rękach papierowy kubek z wodą.

– Igor Jemeljanow. Profesor Uniwersytetu Moskiewskiego. Matematyk z wykształcenia. Specjalista w dziedzinie systemów sieciowych, łączności bezprzewodowej oraz pakietowego przesyłania danych. – Gdyby martwi potrafili rozmawiać, mówiliby chyba właśnie takim głosem jak on.

Po drugiej stronie stołu, naprzeciw moskiewskiego profesora, siedział otyły człowieczek z pięknie uczesаныmi jasnymi włosami. Tak naprawdę wcale nie był gruby, jednak nalana twarz wyraźnie świadczyła o tym, że jeśli nie zmieni diety, to za kilka lat będzie przypominał Kubusia Puchatka. Pulchne palce obu rąk bez przerwy obracały drogie pióro.

– Stefan Ermglen – przedstawił się poprawną angielszczyzną. – Sztokholm, Szwecja. Lekarz fizjolog. Mam własną klinikę w Umeå[38]. Wykładałem też w Instytucie Karolinska[39].

Tymur się zdziwił, usłyszawszy, że lekarz jest Szwedem. Jego wygląd zewnętrzny był całkowitym przeciwieństwem tego, z czym kojarzą się typowi Skandynawowie. Mężczyzna bardziej przypominał hobbita niż wojowniczego jasnowłosego Normana. Tak naprawdę Stefan był tylko w połowie Szwedem. Po matce otrzymał dużą dawkę włoskiej i francuskiej krwi, co tłumaczyło niepokojącą postać i skłonność do tycia.

Na lewo od Szweda usadowił się wielkolud. Siłacz z Afryki odsunął się demonstracyjnie od krawędzi stołu prawie do samego okna. Jakby chciał w ten sposób zademonstrować, że nie należy do kręgu naukowców.

– Rino – zarozumiale rzucił najemnik. – Rino Headhunter, tak mnie nazywają. Johannesburg, Republika Południowej Afryki. – Pomyślał przez chwilę i wyszczerzył zęby. – Rozwiązuję problemy różnych mądrali.

Przyszła kolej na Tymura.

– Tymur Korszak. Kijów, Ukraina. Programista. Ukończyłem wydział energetyki cieplnej Politechniki Kijowskiej. Programowania nauczyłem się samodzielnie. Przez ostatnie sześć lat opracowuję systemy sztucznej inteligencji w grach.

Skończył mówić i nie mogąc się powstrzymać, ziewnął. Zapomniał o zamknięciu ust, ponieważ uświadomił sobie, że wszyscy patrzą na niego jak zaczarowani. Tymur miał setki pytań, jednak obecni w sali zachowywali się tak, jak gdyby to on był tym jedynym, który znał wszystkie odpowiedzi.

– Oscar Steirmann – przedstawił się Chilijczyk, skupiając na sobie uwagę zebranych. – Główny administrator projektu.

Ostatni głos zabrał młody Japończyk, który zajmował miejsce na prawo od Keitara:

– Katsuro Takeda. Osaka, Japonia.

Tymur nachylił się, czekając na dalszy ciąg, ale z ust Takedy nie padło ani jedno słowo więcej.

– Dziękuję – zakończył prezentację Keitaro Roka. – Jest nas więc jedenaścioro. – Jap opuścił głowę, zbierając myśli. – Trudno jest zaczynać tę rozmowę, bo każdy z państwa był dotychczas na innym poziomie dostępu do informacji. Niektórzy, jak na przykład Allan, Stefan czy Tymur, nie wiedzą tak naprawdę, o czym mowa. Ale poza tym wszyscy państwo, niezależnie od stopnia poinformowania, wnieśli swój wkład w projekt NGF. – Keitaro zmarszczył brwi, od kącików jego oczu pobiegły w kierunku skroni błyskawice zmarszczek. – Miesiąc temu wszystko zaczęło się wymykać spod kontroli, dwa tygodnie temu wyróciło się do góry nogami... Właśnie dlatego państwo się tu znaleźli... Każde z was – stary Japończyk wskazywał palcem kolejno Allana, Stefana i Tymura – wysłucha jutro wykładu wstępnego i zapozna się z całym kompleksem. Pracownicy naszego laboratorium odpowiedzą na wszystkie wasze pytania. A teraz ze względu na brak czasu mój kolega Ralf Doernberg ograniczy się tylko do krótkiego przedstawienia istoty problemu.

Jap gestem ręki wskazał Kanadyjczyka, zapraszając naukowca do wystąpienia.

– Opracowujemy boty – zaczął bez zbędnych wstępów neurochemik.

Tymur szarpnął się i przetarł oczy. Natychmiast zapomniał o śnie. Wybudowali ogromny kompleks badawczy gdzieś na środku pustyni tylko po to, by programować boty? Chyba postradali zmysły! Chłopak przebiegł oczami po twarzach osób siedzących po przeciwnej stronie stołu. Czekał, aż ktoś wstanie, roześmieje się i poklepawszy Ralfa po ramieniu, powie: „No dobrze, pożartowaliśmy, a teraz już dość tego”. Nikt się jednak nie poruszył. Doernberg westchnął głęboko (na pewno ma problemy z sercem – pomyślał Tymur) i ciągnął:

– Nie wiem, czy słowo „opracowujemy” jest właściwe. – Neurochemik, jakby go to nie dotyczyło, wlepił wzrok w sufit. – Bardziej stosowny termin to

„hodujemy”. Ale o czym ja mówię: nawet określenie „bot” nie do końca pasuje do tego, co... hm... wyhodowaliśmy. – Stary opuścił wzrok. –

Skrótowiec NGF oznacza *New Generation Fighter*[40]. Na początku nazywaliśmy chłopców „perspektywicznymi jednostkami bojowymi”, ale Will Holland wymyślił dla nich przydomek – „boty”. W pewnym sensie odpowiadało to rzeczywistości, ale one nie są botami w pełnym tego słowa znaczeniu. – Ralf zmrużył chytrze oczy i zerknął na Tymura. – Idę o zakład, że pan Korszak się zdziwi.

– Przepraszam, Ralfie, pan opracowuje roboty? – nie wytrzymał Ukrainiec.

Kanadyjczyk się zająknął, nieco rozzłoszczony, że mu przerwano. W tym momencie wtrącił się Keitaro:

– Panie Tymurze, przecież to pan jest programistą.

– Tak.

– Przypuszczam, że pan dobrze wie, co to jest sztuczna inteligencja.

– W ogólnych zarysach.

– Ale przynajmniej uświadamia pan sobie jej ograniczenia.

– Oczywiście.

– To czy uważa pan, że roboty mogą przeciwstawiać się człowiekowi?

– Nie... Naturalnie, że nie.

– To ma pan odpowiedź na swoje pytanie – chłodno podsumował Keitaro. – Nie zajmujemy się projektowaniem androidów.

– Kierunek naszych obecnych opracowań narodził się nie od razu. – Ralf Doernberg znów zabrał głos. – Źródłem naszego produktu są nanotechnologie, ważną rolę w jego tworzeniu odegrały osiągnięcia w dziedzinie mikrobiologii, neurochemii oraz programowania. Przez długi czas nie mogliśmy znaleźć dla niego zastosowania. Większość koncernów, takich jak Boeing, Toyota czy General Motors, nie była zainteresowana naszą ofertą, bali się skomplikowanych i bardzo drogich badań. Straciliśmy już nadzieję, gdy nagle z panem Keitarem skontaktowali się ludzie z Pentagonu. Jeden z inżynierów Lockheed Martin Corporation[41] dowiedział się o prezentacji, którą przeprowadziliśmy w zakładzie opracowań perspektywicznych Boeinga[42] dla technologów (dlatego pan inżynier w niej nie uczestniczył). Wówczas naszym założeniem było wykorzystywanie botów przy liniach montażowych dużych przedsiębiorstw produkcyjnych, jakimi są między innymi zakłady

lotnicze. Tak czy owak ten inżynier zainteresował się ofertą. Opowiedział o tym swojemu szefowi, a ten złożył raport w Pentagonie. Po tygodniu skontaktował się z nami William Holland. Właśnie on spojrział na nasze opracowanie pod... nieco innym kątem. Will pierwszy powiedział głośno o możliwości zastosowania projektu w celach wojskowych. Po długich negocjacjach Departament Obrony zaakceptował propozycję i przeznaczył odpowiednie środki. Z tego właśnie powodu, jak pewnie państwo rozumieją, wszystko, o czym teraz mówię, oraz cokolwiek, co w przyszłości państwo usłyszą lub zobaczą, nie powinno wyjść poza ściany laboratorium.

Parę osób pokiwało ze zrozumieniem głowami. Tymur milczał, słuchając uważnie.

– Kilka słów wstępu pomoże lepiej zrozumieć istotę rzeczy. – Ralf wziął w dłoń pilota i włączył projektor multimedialny. Na ścianie obok tablicy pojawił się obraz samolotu. – Przed państwem myśliwiec piątej generacji F-22 Raptor. Jedyne taki na świecie. To nowy samolot, który ma dużo wyższy potencjał bojowy niż jego poprzednicy dzięki temu, że jest w dużym stopniu niewidzialny dla radarów, charakteryzuje się bardzo wysoką manewrowością i jest wielozadaniowy. Wszystkie wymienione zalety gwarantują mu przewagę nad samolotami czwartej generacji, takimi jak Su-27 czy MiG-29. Raptory potrafią działać zespołowo: wspólnie trafiają do celu, w locie osłaniają się nawzajem, bez ingerencji pilotów i tak dalej. W epoce nowoczesnego uzbrojenia takie rozwiązania można mnożyć: dzisiejsze czołgi, które analizują dane i rozpoznają cele oraz wybierają najlepszą drogę w terenie, broń strzelecka o wysokiej celności, inteligentne bomby. Wszystko się zmienia i rozwija. Wszystko z wyjątkiem jednego: człowieka. W wojnie przyszłości żołnierz będzie najsłabszym ogniwem. *Homo sapiens* ze wszystkimi swoimi wrodzonymi ograniczeniami nie będzie się po prostu wpisywał w konglomerat złożony z produktów bardzo zaawansowanych technicznie, w tym broni i wszystkim, co z nią związane. Innymi słowy, dalszy rozwój uzbrojenia może napotkać przeszkody nie w postaci trudności technologicznych, tylko niedoskonałości obsługującego go żołnierza, zwykłego człowieka. Można konstruować jeszcze szybsze samoloty lub coraz doskonalsze wozy bojowe, jednak to wszystko pójdzie na marne, bo człowiek nie sprosta wymaganiom narzucanym przez ten sprzęt. Nie nadążamy za rozwojem produktów i technologii, jakie sami tworzymy. Tak więc przez analogię z myśliwcem F-22 zrodziła się idea[43], która doprowadziła do powstania botów: *New Generation Fighters*.

Tymur uszczyptał się, aby się przekonać, czy czasem nie śni. Gdyby nie powaga, którą dało się słyszeć w głosie Kanadyjczyka, za nic nie uwierzyłby w to, co usłyszał.



Myśliwiec piątej generacji F-22 Raptor

– Dokonane przeze mnie i przez pana Keitara Rokę odkrycia w praktyce pozwoliły zwiększyć zdolności fizjologiczne człowieka. Sądzę, że jest panu wiadomo, iż nasz mózg wykorzystuje swoje możliwości w jakichś marnych dziesięciu–dwudziestu pięciu procentach. W najlepszym wypadku w trzydziestu. Nam natomiast udało się osiągnąć możliwość sprawowania kontroli nad procesami zachodzącymi w mózgu i... potęgowania ich. Żeby to lepiej zrozumieć, proszę sobie wyobrazić panel sterujący z pokrętłami, za pomocą których można regulować uczucia, zdolności czy emocje. Doskonalić wszystko, co tylko pan sobie zażyczy. Potencjometr „Szybkość reakcji”, maksymalnie! „Precyzyjna ocena sytuacji”, zawsze włączony! „Liczba operacji na sekundę”, do oporu! – Neurochemik aż poczerwieniał z emocji. –

A jeśli pan doda jeszcze do tego możliwości ataku grupowego, charakterystyczne dla raptorów, i błyskawiczną wymianę informacji między nimi w czasie rzeczywistym, to uzyska pan przybliżone pojęcie o botach. To nie są roboty, panie Tymurze. Boty to ludzie. Na razie, co prawda, tylko smarkacze. Ale o absolutnie wyjątkowych zdolnościach. Jak nam się to udało, dowie się pan...

Ralf zapalił się jeszcze bardziej. Miał rozmarzony głos i nieobecne spojrzenie. Jak aktor, który opowiada o swojej życiowej roli lub malarz

opisujący swój najlepszy obraz. A czas płynął. Tymur nie mógł nie zauważyć napięcia, które pojawiało się na twarzach Rina, Oscara i Keitara, tych, którzy wiedzieli, co gotuje im noc, i rozumieli, dlaczego dzisiejsze zebranie miało być krótkie. Ralf próbował im przedstawić istotę rzeczy, ale każde kolejne jego słowo raczej oddalało słuchaczy od tej istoty. Trzeba było coś zrobić.

Pierwszy – o dziwo – na odwagę zdobył się Stefan Ermglen, szwedzki fizjolog:

– Keitaro, po co nas tu zgromadzono?

Ralf zacisnął zęby.

Na ułamek sekundy Keitaro się zmieszał, nie oczekiwał bowiem, że pytanie będzie skierowane do niego. Gdyby Tymur nie patrzył w tym czasie na Japończyka, nawet by tego nie zauważył.

– Kilka botów... hm... nam uciekło...

Był to pierwszy i ostatni raz, gdy Ukrainiec widział zakłopotanego starego Japa.

– No to złapcie je. W czym problem?

– Właśnie w tym. Nie możemy tego zrobić.

W sali zapadło milczenie.

– Już minęło piętnaście dni – wyznał szczerze Ralf Doernberg.

W tej chwili Katsuro Takeda dostał mdłości i zwymiotował prosto na stół, a na korytarzach zawyła ogłuszająco syrena.

XXVII

– Zbliżają się – krótko zameldował Rino.

– Skąd? – wydyszał ciężko w biegu Keitaro.

– Zadziałały trzy czujniki na północnym wschodzie, odległość sto sześćdziesiąt metrów.

Nie wiedząc, co ze sobą począć, Tymur bezmyślnie gnał schodami w dół za Japem i Headhunterem.

Japończyk zerknął na zegarek.

– Do diabła, dzisiaj są wcześniej.

Rino kiwnął głową i odparł:

– Wiedzą, że ogrodzenia już nie ma.

– Co teraz będzie? – zapytał zdenerwowany Tymur.

Jap nawet nie spojrział na Ukrainca, a Headhunter wydał dolną wargę i wychrypiał:

– Sądząc po tym, co się dzieje, dostaniemy zaraz porządnie po dupie, *fella*.

Zewsząd dobiegały tupot nóg i nawoływania. Obok Tymura przemknęły dwa szare cienie – było to dwóch Afrykanów, którzy przyciskali do piersi remingtony. Rino krzyknął w ślad za nimi, by pilnowali bocznych wejść; ci coś odpowiedzieli i zniknęli. Po uruchomieniu syreny światło na korytarzach przygasło. Tymur z trudem dostrzegał zarysy ścian.

Japończyk i Południowoafrykanin zeszli na dół i znaleźli się w korytarzu pierwszego piętra, który okrężał budynek od północy i ciągnął się aż do skrzydła, gdzie znajdowały się sypialnie. Za betonowymi słupkami, oddzielającymi okna korytarza, przyczaili się czarnoskórzy najemnicy. Laura, Oscar i Katsuro schowali się w bocznym holu prowadzącym do schodów pożarowych.

Nagle wielkolud zdrętwiał, przywarłszy do monitora, na którym pojawiały się aktualne dane z czujników ruchu umieszczonych wokół całego kompleksu badawczego.

– Coś nie tak, Rino? – wyszeptał stary Japończyk.

– Nie rozumiem – wymamrotał Headhunter. – One się zatrzymały.

– To niemożliwe. Może nie zadziałał jakiś czujnik.

Siłacz pokręcił głową.

– Są ich dziesiątki, tych czujników. Niemożliwe, żeby odmówiły posłuszeństwa wszystkie naraz. Boty stoją w miejscu, ani do przodu, ani do tyłu...

Keitaro bezgłośnie wślizgnął się do galerii. Tuż przy rozsuwanych drzwiach, które prowadziły na klatkę schodową, namacał przyciski domofonu. Wcisnął przycisk wywołania i zwrócił się do Jeffrey'a.

– Słucham pana. – Zielonooki Amerykanin akurat pełnił dyżur w aparatuwni.

– Jeffrey, proszę, włącz oświetlenie zewnętrzne od strony północnej DW.

Na górze coś zahuczało i na korytarzu zrobiło się jaśniej, przez okna przebiły się odblaski reflektorów. Rino, a wraz z nim Tymur, wyrztał przez okno.

– Nie widzę – zaskrzypiał Headhunter – niech podniesie wyżej.

– Poświeć dalej – poleciał Jap, nachyliwszy się nad mikrofonem urządzenia.

Korytarz znów zanurzył się powoli w mroku, gdy promienie popęzły w stronę pustyni, oświetlając fundament ogrodzenia z drutu.

– Nikogo... nikogo... Stop! – zagrzemiał Rino. – Są!

– Jeffrey, wystarczy. – Keitaro zwolnił przycisk.

Zapominając o ostrożności, Tymur podskoczył do innego okna i przysunął się do szyby. Keitaro podszedł i stanął obok Headhuntera.

W odległości kilkudziesięciu metrów od ogrodzenia, które nie było już pod napięciem, stał prosto niewysoki żylasty chłopak. W blasku reflektorów jego oczy płonęły jak u zwierzęcia. Okrągłe plamy jaskrawobiałego światła upodobały go do akrobata, który przed występem zamarł w bezruchu pośrodku areny cyrkowej. Nawet z takiej odległości można było zauważyć brud na brzuchu i nogach „malca”.

– Jest sam? – Wielkolud skrzywił się ze zdziwieniem. – A gdzie są pozostałe?! Keitaro, to jakiś podstęp.

Jap nie odzywał się. Tymur wybałuszył oczy, aż mu się zmarszczyła skóra na czole.

– To on? – Ukrainiec nie krył zdumienia. – To wasz bot? – Programista się uśmiechnął. Dlaczego oni tak się trzęsą jak baranie ogony? W głowie mu się nie mieściło, że taki smarkacz może poważnie zagrozić dwudziestu świetnie uzbrojonym i chronionym betonowym murem mężczyznom.

Tymur spojrział na Keitara, co odwróciło na moment jego uwagę od widoku za oknem. Kiedy ponownie skierował wzrok na „malca”, ten już nie sterczał nieruchomo jak słup. Teraz odchylił się do tyłu, podniósł prawą rękę nad głowę i zaczął nią wykonywać rytmiczne koliste ruchy. Bot przygotowywał się do użycia... procy.

Korszak nie zdążył nawet pomyśleć o tej dawnej broni miotającej, kiedy chłopiec gwałtownie pochylił się do przodu, wyciągając ramię w kierunku

budynku. Już w następnej chwili programista zorientował się, że coś masywnego – dużego i czarnego – z szaloną prędkością leci prosto w okno.

W jednej sekundzie Keitaro i Rino zniknęli jakby zdmuchnięci przez wiatr. Afrykanie, pochylając się nisko, też błyskawicznie się odsunęli jak najdalej od okna.

Programista instynktownie się cofnął. Zdążył zrobić pół kroku do tyłu, gdy czarny przedmiot uderzył w okno. Szkło ze zgrzytem trzasnęło, lewa górna część szyby rozsypała się na drobne kawałki, a czarna rzecz upadła na podłogę. Przestraszony brzękiem rozbitego szkła, Tymur zatoczył się i potknął, boleśnie uderzając głową o przeciwległą ścianę.

– Wszyscy na podłogę! NA PODŁOGĘ! – zawołał Rino, uskakując w boczny korytarz. – To może być bomba!

Z odległego końca korytarza, dokąd uciekli Herero, dobiegały odgłosy bezładnego tupania, wulgarne przekleństwa, potem dał się słyszeć dźwięk upadającego ciała, znów ryszotkowe słownictwo, aż wreszcie wszystko ucichło.

Tymur leżał na posadzce z wyprostowanymi nogami, wspierając się łokciami o podłogę, a głowę przyciskając do ściany. Znajdował się najbliżej podejrzanego przedmiotu, który z taką łatwością przebił trzymilimetrową hartowaną szybę, i od razu zrozumiał, że ucieczka nie ma najmniejszego sensu. Jeśli to bomba, zdąży odbiec akurat na tyle, by móc pooglądać swoje flaki przelatujące obok niego korytarzem.

Chłopak oddychał z wysiłkiem, dłonie i pachy miał spocone. Jego jądra przypominały twarde orzeszki.

Gdy odliczył trzydzieści przyśpieszonych uderzeń serca i uświadomił sobie, że wciąż żyje, opanował się. Kucnął i uważnie popatrzył na czarny przedmiot.

– To kamień! – krzyknął. – Zwykły kamień!

Laura, Keitaro i Ralf wyjrzeni z klatki schodowej. Tymur zerwał się na równe nogi i podszedł do okna. Jeszcze nigdy tak się nie bał. To, co przytrafiło im się na pustyni, zaniepokoiło go, ale nie przeraziło. Relacja Ralfa Doernberga brzmiała jak fabuła powieści SF, więc nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia. Rzucony za pomocą procy przedmiot był, jak się okazało, tylko kamieniem. Ale w tym samym momencie, kiedy Tymur

ponownie skierował wzrok na ogrodzenie, po raz pierwszy zrozumiał, że wdepnął w coś koszmarnego.

Jasnowłosey chłopiec oddalał się w głąb pustyni. Tyle że biegł on nie tak, jak zwykle biegają dzieci. Poruszał się zygzakowatym torem, w stałym tempie, zmieniając kierunek ruchu o określony kąt w stałych odstępach czasu, mechanicznie unosząc w biegu nogi na tę samą wysokość. Tymur ze zgrozą pomyślał, że gówniarz będzie właśnie tak, jak poruszałoby się boty opracowane przez niego na potrzeby gry.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, schylił się i podniósł z podłogi wielki kamień. Zastanawiał się, jakiej siły trzeba było użyć, aby rzucić go z odległości stu metrów i rozbić przy tym grubą hartowaną szybę. Niespodziewanie namacał palcami sznurek. Przyjrzał mu się uważnie. Do bryły był przywiązany skrawek ciemnego papieru.

– Tutaj coś jest! Jakaś kartka przywiązana do kamienia.

Tymur zerwał sznurek i ściągnął palcami strzępek szorstkiego papieru pakowego. Rozwinął go. W środku nakreślono czarną farbą tylko jedno słowo:

H O R T

Litery były koślawe, trochę krzywe, przypominały nieco pismo dziecięce. Programista wzruszył ramionami. HORT. Dla niego te cztery litery nic nie znaczyły, przynajmniej w tej chwili.

Naukowcy szczerze otoczyli Ukraińca.

– Co tam jest? Pokaż! Daj popatrzeć...

Tymur wyciągnął rękę. Kartkę od razu chwycił Ralf Doernberg.

– I co ty na to? – Kanadyjczyk cofnął się, oddając ją Keitarowi. Rysy twarzy naukowca zaostrzyły się. Tymur prześlizgnął się wzrokiem po palcach Ralfa, które ścisnęły kartkę, i zauważył, że neurochemik ma niezwykle blade paznokcie.

– Hort? To niemożliwe – wycedził Jap. – Boty nie mogą tego wiedzieć.

Każdy (poza nowo przybyłymi Stefanem, Allanem i samym Tymurem), kto brał skrawek do rąk, otwierał szeroko usta i bladł. Jak gdyby ujrzał przesłanie od archanioła Gabriela, coś na kształt: „Przygotuj się, koleś! Jutro przyjdę po twoją grzeszną dupę”.

Popatrzawszy na wszystkich obecnych, Tymur pomyślał, że wstrząsnął nimi nie tyle sam fakt, iż boty coś napisały, ile to, co napisały.

– Może pomylili się ci wasi superżołnierze? – snuł w ciemno domysły. – Mieli na uwadze angielskie *hurt*, powiedzmy: „zadawać, sprawiać ból”, czy coś takiego?

Ralf Doernberg popatrzył na niego poważnie.

– One nie rozmawiają – wyjaśnił. – Ani po angielsku, ani w żadnym innym języku. Tym bardziej nie potrafią pisać.

– A ten zapisek? Przecież pan mówił...

– Tego ich nie uczono. Nie było potrzeby.

Póki neurochemik się wahał, czy kontynuować swój wywód, do przodu wystąpiła Laura Dupré.

– One się nie pomyliły, przyjacielu – powiedziała z napięciem w głosie Francuzka. – Nie wiem, jak się nauczyły pisać, ale według mnie wybrały odpowiednie słowo. Bardzo dobre słowo...

– O czym pani mówi?

– Tak się nazywał twój poprzednik.

– Co? – Brwi Tymura powędrowały w górę.

– Boty myślą, że przywieźliśmy Wadima Horta...

XXVIII

Niedziela, 16 sierpnia, 06.02 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Boty się nie pojawiły. Noc minęła bez przygód.

Keitaro Roka stał przy oknie w swoim gabinecie z założonymi do tyłu rękami. Niewielki pokój do pracy mieścił się na trzecim piętrze i sąsiadował

z okazałych rozmiarów salą obrad.

Mocno zacisnąwszy wąskie usta, stary Japończyk obserwował, jak pomiędzy gór przedzierają się pierwsze poranne promienie, napełniając Atakamę soczystymi barwami. Jeszcze chwilę temu ziemia, niebo i góry były szare, jakby przykryte warstwą popiołu. Nagle – słaby błysk – i pierwszy promień słońca przedarł się przez zębate granie łańcucha Andów, piasek zabarwił się na złoto, niebo wypełniło się błękitem, a góry przybrały fioletowy odcień, charakterystyczny tylko dla Atakamy.

Przez całą noc Jap nie zmrużył oczu. Dlaczego boty nie przypuściły szturm? – to pytanie nie dawało mu spokoju. Przecież mogły siłą zdobyć hormony. Chyba po to właśnie przychodziły.

Jednakże coś w głębi duszy podpowiadało Keitarowi, że tym razem boty przybyły nie po sterydy. Pojawiły się dlatego, że był im potrzebny Hort.

One nie rozumieją... Naukowiec patrzył na swoje przyciemnione odbicie w szybie, starając się opanować emocje, jakie nim owładnęły, ledwo powstrzymując chęć, aby zacząć wrzeszczeć i wyrywać sobie włosy z głowy. One nie rozumieją, że już go zabiły...

TECHNOSYNAPSA

XXIX

Niedziela, 16 sierpnia, 07.25 (UTC -4)
EN-3, trzeci blok inżynierski

Rebecca obudziła Tymura o wpół do siódmej rano. Przypomniała mu, że dziś ma wysłuchać wykładu wprowadzającego. Pół godziny później wstąpił po niego Ralf Doernberg. Razem poszli na śniadanie, po czym Kanadyjczyk zabrał chłopaka na przechadzkę.

W świetle dnia Tymur zobaczył, że cały kompleks składa się z pięciu budynków. Wszędzie dokoła rozpościerała się dziewicza pustynia. Od północnego zachodu wznosiło się popękane przez rozpadliny wzgórze. Na południu ciągnęła się biała pustynia solna (Chilijczycy nazywają ją *salar*).

Mimo wczesnej pory czarnoskórzy najemnicy i kilku białych robotników NGF-Lab pracowali na zewnątrz, naprawiając ogrodzenie.

Gdy Tymur poznał już najbliższą okolicę, Ralf zaprowadził go do niewysokiego budynku w zachodniej części kompleksu. Nad wejściem widniały granatowe napisy: BLOK EN-3 i BRAMA 02.

– Kawa? – zaproponował neurochemik.

Chociaż chłopak spał niewiele poprzedniej nocy, czuł się rześko, ale nie odmówił:

– Tak, proszę. Z mlekiem.

Mężczyźni znajdowali się na pierwszym piętrze w pokoju z dużymi oknami. Było tu kilka okrągłych stołów, zwykle krzesła. W kącie stała niewielka kuchenka. Pomieszczenie przypominało kawiarenkę w centrum handlowym. Ralf przyrządził dwie kawy i usiadł przy stole naprzeciwko Tymura.

– Najpierw opowiem ci co nieco o naszym kompleksie. – Naukowiec włączył laptop, który przyniósł ze sobą, i otworzył jakiś plik.

Na ekranie pojawił się trójwymiarowy model. Tymur rozpoznał w nim plan kompleksu laboratoryjnego.

– Jak widzisz, mamy tu pięć budynków. Najmniejszy z nich to DE, magazyn. Żywność, niezbędne materiały techniczne, paliwo do generatora. Ten, w którym nocowałeś, oznaczony symbolem DW, to blok mieszkalny. W jego południowym skrzydle znajdują się pokoje dla pracowników, a w części centralnej: jadalnia, pokój do odpoczynku z miejscem przeznaczonym do projekcji filmów oraz biblioteka. Na trzecim piętrze mieszczą się sala główna, którą już znasz, i kilka gabinetów. W piwnicy DW ulokowano generator, który zasila cały kompleks z wyjątkiem trzeciego bloku inżynierskiego. Ten ma własny system zasilania. Pozostałe budynki to laboratorium. Dziś jeszcze je odwiedzisz.

– Jak wam się udało zbudować coś takiego pośrodku pustyni?

Doernberg roześmiał się ochryłym śmiechem starego człowieka.

– Oficjalnie opracowujemy projekt systemów podtrzymywania życia w skafandrach.

Tymur nagle sobie przypomniał, że obiecał napisać do Aliny tuż po przyjeździe. Na pewno się martwi. I strasznie się złości.

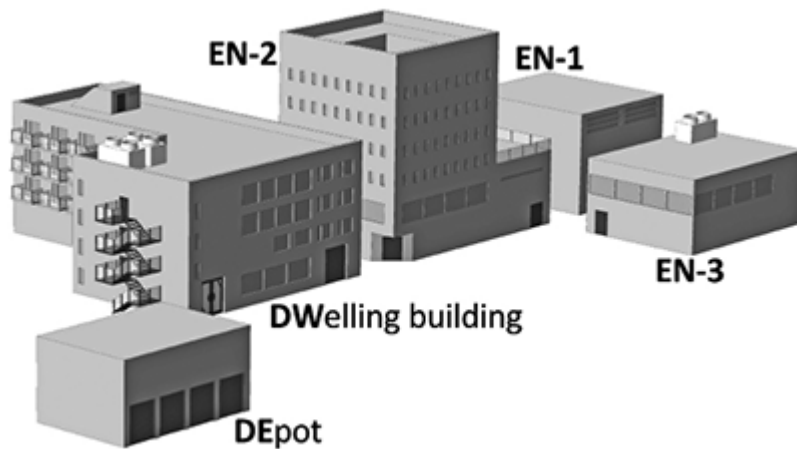
– Panie Ralfie, czy mogę skorzystać z pańskiego laptopa?

– Po co? – Kanadyjczyk zamienił się w słuch.

– Chcę wysłać e-mail – beztróska odpowiedział programista.

– Wybacz, ale tu nie ma zasięgu. – Rozbiegane oczy Ralfa świadczyły o jego zdenerwowaniu. – W obecnej sytuacji używanie internetu w NGF-Lab jest zabronione.

– Jak to?



DEpot (depot, ang., magazyn) – pomieszczenie magazynu;

DWelling building – blok mieszkalny i administracyjny;

EN-1 – pierwszy blok inżynierski;

EN-2 – drugi blok inżynierski;

EN-3 – trzeci blok inżynierski

– Nie mam zamiaru ci tego wyjaśniać. Ze wszystkimi pytaniami zwracaj się do Oscara Steirmanna.

Chłopak postanowił nie oponować.

XXX

– Co wiesz o funkcjonowaniu mózgu człowieka?

– Jestem tylko programistą. – Tymur lekko wzruszył ramionami i rozłożył ręce. – Prawdę mówiąc, już w szkole nie lubiłem biologii.

– Niczego innego się nie spodziewałem... Już od trzystu lat najlepsi naukowcy dłubią w mózgu. Wiemy więc wszystko o jego budowie, strukturze mikroskopowej oraz reakcjach chemicznych, które zachodzą wewnątrz czaszki. Z każdym rokiem narzędzia stają się dokładniejsze, a metodologia doskonalsza. Natomiast jak na razie nikt, zapewniam cię, absolutnie nikt, nie umie wytłumaczyć, jak funkcjonuje nasz mózg. Jakim sposobem nieuporządkowane skupisko prymitywnych komórek tworzy układ, który reguluje pracę jednego z najbardziej skomplikowanych organizmów w przyrodzie? Nie mówię nawet o tym, że nikt nie ma pojęcia, *jak i gdzie* rodzi się świadomość. Wstyd się przyznać, ale naukowcy dwudziestego

pierwszego wieku, którzy rozdłubali atom na tyle, że zaczęto mówić o samounicestwieniu materii, nie mogą stwierdzić z całą pewnością, gdzie biorą początek myśli człowieka.

– Czy to nie jest oczywiste?

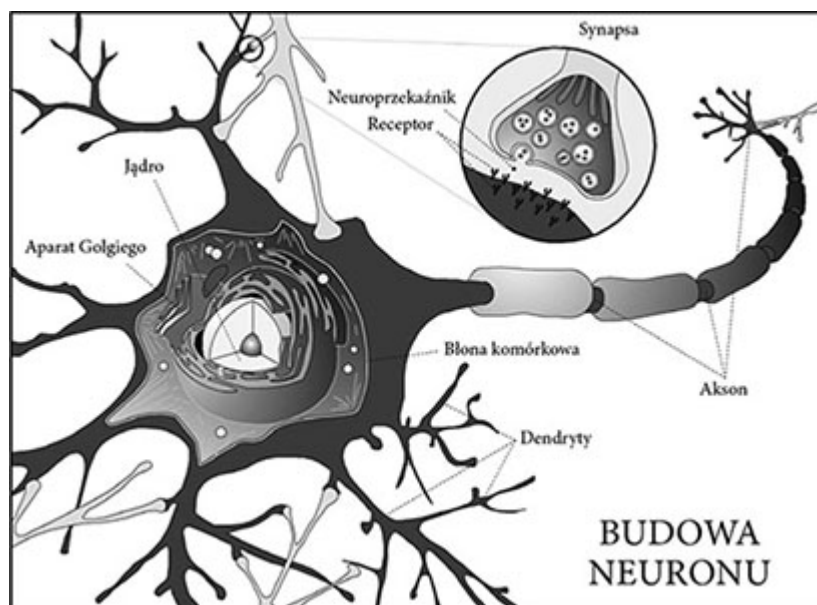
– Jak dotąd nie mamy żadnego bezpośredniego dowodu na to, że człowiek myśli za pomocą mózgu. Naukowcy stopniowo się dowiadują, za co odpowiada każda jego część. Wiemy już na przykład, że mózdzek koordynuje ruchy, wzgórze odgrywa kluczową rolę w procesach wymagających skupienia uwagi i kontrolowania dostępu do danych czuciowych, podwzgórze reguluje procesy metaboliczne i wiele funkcji układu nerwowego, hipokamp kształtuje emocje i odpowiada za pamięć i tak dalej. Ale nikt nie wie na pewno, gdzie powstają myśli.

Tymur z niedowierzaniem pokiwał głową. Ralf się uśmiechnął.

– Nie twierdzą, że myślimy piętą lub, powiedzmy, uchem, ale całkiem możliwe, że myśli rodzą się gdzieś w rdzeniu kręgowym, a nie w korze mózgowej, która, jak przyjęło się uważać, pełni funkcję centrali układu nerwowego... No dosyć, to nie dotyczy tematu naszej rozmowy. Muszę ci jednak przekazać podstawowe wiadomości o mózgu. Bez tego nie będziesz mógł zrobić kroku. – Kanadyjczyk odkaszlnął, przygotowując się do dłuższego monologu. – Układ nerwowy zbudowany jest z neuronów, czyli komórek nerwowych. W organizmie człowieka jest sto miliardów takich komórek. Mniej więcej dwadzieścia miliardów znajduje się w mózgu. Neuron zbudowany jest z komórki, która zawiera jądro, oraz z odchodzących od niej wypustek. – Ralf stworzył plik graficzny ze schematem budowy komórki nerwowej. Każdy element był opisany. – Tutaj wszystko możesz zobaczyć na własne oczy. Krótkie rozgałęzione wypustki (jest ich dużo) nazywają się dendrytami. Długa wypustka występująca pojedynczo to akson. Dendryty przewodzą impulsy do komórki nerwowej. Mogą się łączyć z dendrytami innych neuronów, z aksonami, przejmować informacje od receptorów albo impulsy bodźców zewnętrznych. Akson to długa wypustka komórki nerwowej, która przekazuje impulsy nerwowe od neuronu do komórki efektorowej (mięśni lub gruczołów). Impulsy powstają między dendrytami. Jeśli nagromadzi się ich dostatecznie dużo, aksony „wystrzelują” i przenoszą impulsy do komórek efektorowych, powodując skurcz mięśni, wydzielanie hormonów i tak dalej. Tak oto mózg kieruje *wszystkimi* procesami: oddychaniem, biciem serca, trawieniem, artykułowaniem mowy,

emocjami, ruchami. Naukowcy wiedzą wszystko o mechanizmie przekazywania impulsów oraz ich wpływie na tkanki narządów oprócz jednego... – mężczyzna zawiesił głos, by nadać większe znaczenie swoim słowom – ...nie potrafimy wytłumaczyć, skąd się biorą impulsy między dendrytami. To przekracza nasze możliwości poznania. Żaden neurofizjolog świata nie powie, jak pobudzenie dendrytów przetwarza się w niewątpliwie rozumny sygnał. Jakim sposobem współdziałanie elementarnych komórek pozwala wymawiać słowa, rozumieć abstrakcyjne pojęcia, koordynować ruchy, planować, podejmować decyzje.

Tymura to nie interesowało. Chciał jak najszybciej się dowiedzieć, jak Keitaro Roka i jego zespół wyhodowali swoje boty, czym lub kim są te boty i co ma z tym wspólnego powstały trzy lata temu kod. Programista nie miał ochoty wysłuchiwać wykładu z neurobiologii. Ralf to wyczuł.



– A teraz skup się, chłopcze – burknął naukowiec z lekką nutką niezadowolenia. – To bardzo ważna informacja. Neurony kontaktują się między sobą przez przewodzenie synaptyczne. Synapsa to miejsce komunikacji dwóch neuronów albo neuronu i komórki, do której jest skierowany sygnał. – Ralf odchylił się w fotelu. – Przez ostatnie dwadzieścia lat lista podstawowych metod badawczych w zakresie poznawania mózgu wyczerpała się. Ablacja[44], przeczaszkowa stymulacja magnetyczna[45], elektrostymulacja[46] czy rezonans magnetyczny już dawno nie dostarczają nowych informacji w tej dziedzinie. Badanie mózgu za pomocą wymienionych metod przypomina naprawianie zegarka ręcznym młotkiem

i przecinakiem. Naukowcy zgodni są co do tego, że dalsze poszerzanie wiedzy dotyczącej funkcjonowania mózgu możliwe jest tylko w sytuacji, gdy uda się skontaktować dendryty z kompletem mikroelektrod. Narzędzia powinny być wielkości neuronów, a przy tym stykać się z jak największą liczbą dendrytów. Innymi słowy, chodzi o stworzenie sztucznej synapsy, połączenia żywej i nieżywej materii na bazie nanotechnologii.

– U nas na Ukrainie wszystko, co jest mniejsze niż klucz dwudziestkaczwórka, uważa się za nanotechnologię – rubasznie zażartował Tymur.

Ralf nie zareagował.

– Na początku lat osiemdziesiątych zacząłem studia doktoranckie na uniwersytecie stanowym w Arizonie w Tempe. Trafiłem do grupy profesora Stevena P. Messiego. Przez pięć lat opracowywaliśmy koncepcję technosynapsy. – Ralf upił łyk kawy z filiżanki. – Połączenie substancji organicznych i nieorganicznych nie stanowiło większego problemu. Chemicy dawno to opanowali. Mieliśmy zespolić dendryt z materią zdatną przyjmować impulsy i przetwarzać je w sygnał, który moglibyśmy utrwalić.

– I wymyśliliście, jak to zrobić?

– Nie – przyznał się Ralf. – Przykleić dendryt do metalu zdążyli już przede mną.

– Czyli ukradliście pomysł? – Tymur ugryzł się w język, zastanawiając się, czy nie palnął za dużo.

Wyblakłe oczy naukowca rozbłysły.

– To wszystko nie jest takie proste, młody człowieku. Eksperymenty dotyczące stworzenia implantów neuronowych trwają do dziś. Obecnie neurochemicy mogą na amen przykleić dendryt do czego tylko zechcą, od zwykłej stali węglowej poczynając, a na szczerym złocie kończąc, ale... wszystkie badania odbywają się w warunkach laboratoryjnych z użyciem oddzielnej komórki lub grupy komórek. I jak na razie, a bardzo uważnie to obserwuję, nikomu się jeszcze nie udało stworzyć takiego połączenia *bezpośrednio w mózgu żywego człowieka*. Rozumiesz, Tymurze, o czym mówię? *Żywego człowieka*.

– Dlaczego?

– Dlatego że ludzki mózg to bardzo specyficzny układ. Aby stworzyć w głowie sztuczną synapsę, trzeba najpierw dostarczyć do niej potrzebny

materiał i katalizatory. Można to uczynić na dwa sposoby: poprzez naczynia odżywiające mózgowie lub przez wydlubanie w czaszce niewielkiego otworu. Trudno liczyć na to, że pacjent z własnej woli zdecyduje się na to, by jego głowę przedziurawiono przecinakiem, to co najmniej nierozsądne. Wydawałoby się, że wyjście jest jedno: stworzyć mikroelementy, które wraz z krwią będą trafiały do mózgu, gdzie złączą się z dendrytami. Niby nic prostszego. W praktyce jednak okazało się to bardziej skomplikowane niż wysłanie Armstronga na Księżyc.

Ukraińiec zaczynał powoli rozumieć, do czego zmierza Ralf Doernberg.

– W organizmie człowieka funkcjonuje unikatowy mechanizm, którym jest bariera krew–mózg (bariera hematoencefaliczna) – ciągnął neurochemik. – Jej istnienie odkrył w dziewiętnastym wieku Paul Ehrlich. Wyjawił on, że barwnik wprowadzony do naczyń krwionośnych szczura jest dostarczany do wszystkich narządów i tkanek oprócz tych w mózgowiu. W tysiąc dziewięćset trzynastym roku uczeń Ehrlicha, południowoafrykański chirurg Edwin Goldmann, udowodnił, że barwnik wprowadzony do płynu mózgowo-rdzeniowego psa trafia tylko do tkanki mózgowia i rdzenia kręgowego, natomiast narządy peryferyjne się nie zabarwiają. Na podstawie tych badań naukowcy dowiedzieli się o istnieniu bariery między mózgiem a krwiobiegiem. Bariera chroni tkankę układu nerwowego przed mikroorganizmami, toksynami, przeciwciałami, słowem tym wszystkim, co może okazać się szkodliwe dla mózgu. Jest to rodzaj filtra, dzięki któremu do mózgu docierają substancje odżywcze, a który odprowadza na zewnątrz wszystkie produkty uważane za niebezpieczne. Jednocześnie bariera krew–mózg często przeszkadza: broni dostępu do mózgu preparatów medycznych. Ta właśnie bariera stała na przeszkodzie w zastosowaniu technosynapsy.

Kanadyjczyk zaczerpnął tchu i kontynuował:

– Messi postępował prawidłowo. Udało mu się przybliżyć mikrobiologię do elektroniki. Z wielkim żalem stwierdzam, że profesor był zainteresowany tylko karierą akademicką: artykuły, uczestnictwo w konferencjach, monografie. – Ralf skrzywił się pogardliwie. – Marnowanie papieru. Nawet nie próbował powtarzać badań przeprowadzanych na głowach żywych ludzi. Nie wychylał nosa z laboratorium. Kilka razy napomknąłem, że doświadczenia nie będą miały sensu, jeżeli nie pójdziemy o krok dalej i nie ulokujemy chipów w mózgu żywego organizmu. A zacząć można byłoby chociażby od mózgu małpy. Wyśmiano mnie... Na początku tysiąc

dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku obroniłem pracę doktorską i pożegnałem się z grupą badaczy uniwersyteckich.

– Znalazł pan sposób na obejście bariery hematoencefalicznej? – domyślił się Tymur.

– Tak. Właśnie dlatego uważam siebie za pierwszego odkrywcę technosynapsy. Pomysł przyszedł samoistnie. Jak wszystko genialne, był bardzo prosty. Wówczas nie uświadamiałem sobie, co z tym zrobić, nie miałem pojęcia, w którą stronę się zwrócić, ale wiedziałem na pewno, że będę mógł wprowadzić do mózgu mikrochip. Nie spieszyłem się z publikowaniem rezultatów moich badań, najpierw postanowiłem znaleźć dziedzinę, w której mógłbym zastosować swoje odkrycie. Jednak mimo że bardzo się starałem, nic nie wymyśliłem. Bałem się, że ktoś inny, wiedząc o wynalazku, uprzedzi mnie, a wówczas co prawda na zawsze wejdę do historii, lecz umrę jako nędzarz, gdyż ten ktoś, wykorzystując moje pomysły, uzyska z dziesięć patentów, a po pięciu latach zostanie miliarderem.

– Pieniądze...

– Cały świat opiera się na pieniądzach, chłopcze. Grałem więc na czas.

– A jak pan pokonał tę barierę w mózgu?

Ralf odwrócił wzrok. Milczał prawie przez minutę, po czym odpowiedział z wielką niechęcią:

– Nie pokonałem. – Dało się wyczuć, że mężczyzna waży każde słowo, jak na przesłuchaniu. – Bariera istnieje nadal w większej części mózgu, ale nie we wszystkich jego zakamarkach. Neurony podstawy czwartej komory reagują na toksyny we krwi i dlatego nie tworzą bariery. Ta komora to pięta achillesowa mózgu. Znalazłem sposób, jak trafić właśnie tam, a potem... – Neurochemik nagle się zaciął. – Wiesz, Tymurze, odeszliśmy od tematu, nie musisz aż tak głęboko...

Tymur od razu zorientował się co i jak: Ralf się spodziewał, że to cholerstwo na Atakamie kiedyś się skończy, a jego kandydatura zostanie zgłoszona do Nagrody Nobla.

– Dobrze, nie nalegam. I co było dalej?

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku spotkałem Keitara.

– I?

– Kiedy oszczędłem z grupy Messiego, zostałem bez środków do życia. Keitaro zaprosił mnie na Uniwersytet Tokijski, gdzie zacząłem pracę na stanowisku asystenta. Szybko zbliżyliśmy się do siebie. Czułem, że brakuje mi doświadczenia, by zrealizować technosynapsę w praktyce, opowiedziałem więc natychmiast wszystko Japończykowi. – Ralf Doernberg się nachmurzył. – On zajmował się wówczas nanotechnologią. Budową molekularną i nanorobotami. Przypominam sobie ten płomień w oczach Keitara, gdy przedstawiałem mu teorię implantów neuronowych. Po tej rozmowie diabelski Jap zmusił mnie, bym obiecał, że nie będę publikował rezultatów swoich prac. Wtedy wszystko się zaczęło. – Kanadyjczyk odsunął się od stołu i dokończył: – Dopij kawę, coś ci pokażę, a potem jeszcze pogadamy.

XXXI

Mężczyźni zeszli na parter. W głębi trzeciego bloku inżynierskiego znajdowało się pomieszczenie bez okien z jednym tylko wejściem.

Wnętrze przypominało salę do prezentacji w centrum wystawowym. Wzdłuż ścian umieszczono płaskie ekrany. Między nimi znajdowały się akwaria z jasnogranatową cieczą. Gdzieś rozstawione były stojaki ze schematami i tablice ze wzorami matematycznymi. Pośrodku stała wysoka kwadratowa szafa (mniej więcej dwa na dwa metry) z rozsuwanymi metalowymi drzwiami. Tymur zerknął na tabliczkę z okrągłymi przyciskami na lewo od drzwi i domyślił się, że to winda. Co prawda, nie do końca było dla niego jasne, po co komu winda w jednopiętrowym pomieszczeniu.

Kanadyjczyk nacisnął wyłącznik obok wejścia. Ekrany ożyły.

– To jest coś na wzór demonstracyjnej sali w muzeum. Zanim zjedziemy do laboratorium mikrobiologii, powinieneś coś zobaczyć.

Ralf podprowadził Tymura do jednego z akwariów. Na początku chłopak nic nie widział. Miał przed sobą prostopadłościan ze szkła, wypełniony przezroczystym niebieskawym roztworem. Na dole, na specjalnie ukształtowanym stopniu, migał wyświetlacz z maleńką klawiaturą. Niesystematycznie zmieniały się na nim trzy kolumny cyfr.

Nagle programiście wydało się, że ciecz w akwarium wrze. Jakby ktoś mieszał ją niewidzialną łyżką. Chłopak schylił się i zauważył coś jeszcze.

Odblaski. Wyteżył wzrok, przysunął się bliżej, prawie dotykając nosem szkła, i niespodziewanie uświadomił sobie, że patrzy na ruchomą chmurę lśniących punkcików, na tyle małych, że nawet z odległości trzydziestu centymetrów nie sposób było ich dostrzec. Iskierki przypominały wielotysięczne stado czarnych gawronów fruujących nad miastem w promieniach zachodzącego słońca, gdy się na nie patrzy z odległości kilku kilometrów. Lub ogromną ławicę ryb, które rzucają się w różne strony, uciekając przed rekinem. Tyle że w miniaturze. Chmura mikroskopijnych iskierek to rosła, to się zmniejszała, wysuwała czułki, skręcała się w chimeryczne węzły, pulsowała i miotała się po całym akwarium, od czasu do czasu przylepiając się do jednej z jego ścianek. Potem nagle zniknęła całkowicie, pozostawiając po sobie wiry w wodzie.

Przed oczami Tymura nadal tańczyły tysiące małych srebrnych kreseczek. Każde ich nowe pas przekonywało go, że to, co widzi, to, co przemieszcza się w akwarium, żyje.

– A co to takiego?

– Rój nanorobotów.

– To jest robot? – Tymur z niedowierzaniem zerknął z ukosa na Ralfa.

– Nie robot, a roboty – poprawił go Kanadyjczyk. – Mikroskopijni agenci z wbudowanym elementem odżywiania i nanomózgiem lub, jak mówi Keitaro, nanoprocesorem. W tym akwarium są ich prawie dwa miliony. – Tymur z niedowierzaniem uniósł brwi. – Rozmiar ciała jednego agenta to mniej więcej siedem mikrometrów[47]. Chociaż co do jednego masz rację: one funkcjonują jak jedna całość, jak jeden robot, jeden organizm. Pojedynczy agent nie jest przydatny do niczego.

– Nieprawdopodobne – wyszeptał Tymur. – Są jak żywe.

– Tak mówią wszyscy, którzy widzą je po raz pierwszy.

Monitor na lewo od słupka błysnął. Na ekranie pojawił się obraz w technologii 3D, przedstawiający stworzenie podobne do kalmara: podłużne ciało, wypukła głowa w kształcie elipsy, kilkanaście wypustek w części ogonowej. Niektóre, cieńsze wypustki sterczały prosto, jak anteny sztucznego satelity. Tymur za nic by się nie domyślił, że ten obraz w postaci zwijającej się ciemnej chmury był projekcją. Wskazywały na to skala na dole ekranu (jedna podziałka – 1 mikrometr) i podpis: „Nanorobot NB-1G|V6.0.0.14”.

Obiekt wolno się obracał wokół osi centralnej.

– Pojedynczy agent? – nie wierząc własnym oczom, zapytał chłopak.

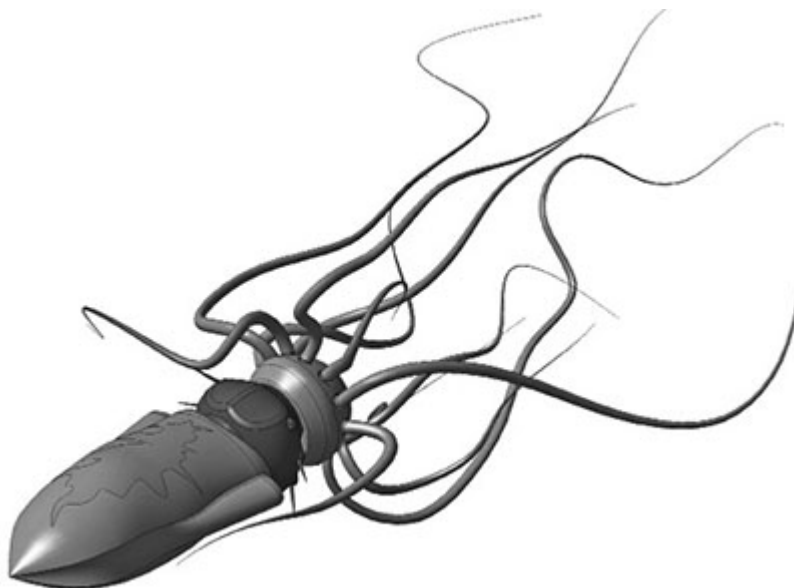
Ralf przytaknął. W głowie Tymura zrodziło się natychmiast całe mnóstwo pytań, ale to jedno było najważniejsze:

– To... żyje?

– Jak mam ci to powiedzieć... – Kanadyjczyk podrapał się po brodzie. – Jeśli sformułujesz definicję pojęcia „żywy”, odpowiem ci. Ludzie, zwierzęta i ptaki są żywe. To proste. Ale czy można nazwać żywymi bakterie czy wirusy? A rośliny? – Ralf wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze. Kolumny cyfr stały się bardziej uporządkowane; uważne spojrzenie programisty od razu wychwyciło tendencję do precyzyjnego usytuowania, formowania ciągu, a chmura... w mgnieniu oka przybrała idealnie sferyczny kształt. Doernberg mówił dalej: – To nanoroboty, sztucznie zbudowane z nici DNA. Nie są zdatne do samoodtworzenia. Jednocześnie żywią się i przemieszczają, mogą wykonywać proste zadania, do których zrealizowania zostały zaprogramowane. Chyba są żywymi istotami. Przynajmniej bardziej żywymi niż drzewa czy organizmy jednokomórkowe.

Ukrainiec wpatrywał się w akwarium wytrzeszczonymi oczyma. Pośrodku szklanego prostopadłościanu uformowała się doskonała ciemna kula. Migotała w monochromatycznym świetle. Iskierki bezładnie się szamotały, ale żadna z nich nie wydostawała się poza granice wyznaczonej powierzchni sferycznej.

– Nanorobot jest zaprogramowany tak, by mógł się poruszać w dużym skupisku gęstej cieczy, na przykład we krwi – ciągnął Ralf. – Przy braku silnego wiatru takim środowiskiem może być powietrze.



– Jak zmusiliście je do tego, by uformowały kulę? – Tymur oparł się chęci, by zanurzyć rękę w cieczy i dotknąć ruchomej sfery.

– To, co widzisz, to stara generacja. Agenci mają zakodowany króciutki fragment programu, który określa ich usytuowanie oraz zachowanie się w stosunku do sąsiednich agentów. Jest to zasada, jaką się kieruje na przykład ławica ryb. Nie istnieje siła zewnętrzna, która sterowałaby rybami. Każda z ryb w danej grupie obserwuje swoich sąsiadów i porusza się odpowiednio do ich ruchów. Jeśli ławicę zaatakuje drapieżnik, pierwsze cofają się osobniki znajdujące się najbliżej, następnie reagują kolejne ryby z ławicy, a po chwili cała gromada pierzcha. W podobny sposób działają agenci. Wyprowadzam wzór: $F = f(x, y, z)$, i rój buduje powierzchnię trójwymiarową. Po otrzymaniu polecenia przebudowania aktualnej formy trójwymiarowej każdy agent analizuje położenie swoich sąsiadów i przyjmuje pozycję zgodnie z otrzymanym programem.

Ralf nachylił się nad klawiaturą.

– Bez względu na stopień skomplikowania powierzchni rój popłynął, a potem nieoczekiwanie zamarł, tworząc figurę podobną do obrazu detonacji utrwalonej przez kamerę. Można też wprowadzić funkcję z czterema parametrami, gdzie czwarta zmienna to czas.

Po wprowadzeniu na panelu sterowania właściwej zależności matematycznej Kanadyjczyk się cofnął. Kula w akwarium zamarła, po czym na oczach Tymura zaczęła się spłaszczać, zmieniła kształt na elipsoidalny, a następnie wydłużyła się, przyjmując postać cylindra z zaokrąglonymi brzegami, by w rezultacie przeobrazić się w torus (obwarzanka). W końcu torus napęczniał, ponownie przyjmując formę kuli.

– A po co są te roje? Co one potrafią?

– Jest wiele branż, gdzie można je zastosować. Od rozpoznania wojskowego poczynając, a na medycynie kończąc. Japończycy opracowywali agentów do walki z rakiem. Zgodnie z planami nanoroboty miały być wprowadzane do układu krwionośnego, aby się przedostawać do wnętrza organizmu w celu znalezienia komórek nowotworowych i ich zniszczenia. Taki był pomysł. Keitaro kierował badaniami. Niestety, projekt nie został doprowadzony do końca. Jap chyba wtedy ześwirował, boty zawładnęły nim całkowicie.

– A jak je programujecie? Gdzie wprowadzacie skompilowany kod dla każdego agenta?

– Agent ma własny mózg, utworzony z molekuł DRQ[48]. Ten układ może działać jak mikroprocesor. Jedna cząsteczka DRQ podobna jest do kółka z czterema pręcikami, które mogą przybierać różne pozycje. Z szesnastu cząsteczek powstaje kółko, pośrodku którego znajduje się ich siedemnasta „siostra”. Wspólnie tworzą maszynę molekularną, zdolną zakodować ponad cztery miliardy kombinacji położeń swych części składowych. No i to wystarczy.

– Panie Ralfie, ale to... ten rój... ci agenci są z natury ukierunkowani. Nadaliście abstrakcji realną postać, a ona dopiero zaczyna się umacniać na poziomie teoretycznym.

Kanadyjczyk się rozpromienił.

– Keitaro miał rację, gdy mówił, że pomysł ci się spodoba. Jeszcze dwadzieścia pięć lat temu nikt nawet o tym nie myślał. Wtedy nie istniały pojęcia „inteligentny pył” czy „szary śluz”, czy coś w tym stylu. Nawet nie podejrzewaliśmy, ile można wycisnąć z tej chmurki.

Tymur nie podzielał jego entuzjazmu. Programista pracował z podobnymi układami. Tyle że jego agenci byli wirtualni – maleńkie podprogramy komputerowe.

– Próbował pan uczyć czegoś taki rój? – spytał Ralfa.

Agentów programuje się w bardzo prosty sposób: „zidentyfikuj najbliższego sąsiada – określ jego stan – zmień odpowiednio swój stan”. Do niczego innego się nie nadają. Ale gdy uzbierają się miliony tych agentów, powstaje zjawisko, które w programowaniu określa się mianem *uwarunkowanego zachowania*. Ogromne skupisko prymitywnych programów-agentów zaczyna się zachowywać w tak skomplikowany i nieprzewidywalny sposób, do jakiego żaden z poszczególnych agentów nie był zaprogramowany.

– Uczyniliśmy wszystko, by one nie potrafiły uczyć się same – bardzo poważnie rzekł Doernberg. – Ich pamięć jest krótkotrwała. Gdybyśmy obdarowali je pamięcią stałą, dawno wszystko by zniszczyły.

Tymur przeniósł wzrok na poruszającą się chmurę. Ralf podszedł do windy i wcisnął przycisk wywołania. Masywne drzwi powoli się otworzyły.

– Proszę za mną. – Zaprosił gestem chłopaka. – Na razie mamy coś poważniejszego.

Gdy drzwi windy się zamykały, Ukrainiec nie odrywał oczu od akwarium. Jedna myśl nie dawała mu spokoju: To chaos! Klasyczny układ chaotyczny, tyle że nie na papierze i nie w kompie, lecz w życiu realnym! Kiedy Tymur zaczął modelować układy agenturalne, szybko się przekonał, że charakteryzują się one niepowtarzalnymi właściwościami. Można je uczyć. Zdolne są do planowania, dokonywania wyborów, podejmowania decyzji i rozwiązywania różnorodnych zadań. Równocześnie takie układy mają jedną poważną wadę: gdy tylko pojawią się razem, ich zachowania nie da się kontrolować.

XXXII

Chaos przejawia się na wiele sposobów. Zwykle pod tym słowem rozumie się totalny nieład. Powoduje to błędne założenia, że teoria chaosu bada nieład. W rzeczywistości nic bardziej mylnego.

Teoria chaosu to nauka o złożonych układach nieliniowych, które w dużej mierze zależą od warunków wyjściowych. Łączy matematykę, fizykę i filozofię. Teoria nie wyklucza istnienia układów uporządkowanych. Przeciwnie – bada procesy i zjawiska, których zachowanie na pierwszy rzut oka wygląda na przypadkowe, choć w rzeczywistości jest ściśle określone. Z punktu widzenia tej teorii chaos to nadzwyczaj skomplikowany i uporządkowany układ.

Chaos deterministyczny stanowi podstawę naszego życia. Objawia się on wszędzie: w zmianach pogody, w turbulencjach zachodzących w aerodynamice, hydrodynamice, reologii, w środowisku fal radiowych, które rozchodzą się w przestrzeni, w drganiach strun. Mózg człowieka to niewiarygodnie skomplikowana sieć składająca się z miliardów neuronów, także podlegająca prawom chaosu. Szkoda tylko, że do końca ich nie rozumiemy.

Pionierem teorii chaosu był amerykański matematyk i meteorolog Edward Lorenz. Zainteresował się układami chaotycznymi całkiem przypadkowo, gdy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku zajmował się prognozowaniem pogody. Matematyczny opis większości układów fizycznych powstaje za pomocą iteracji^[49] prostych wzorów, czyli gdy rezultat (parametr

wyjściowy) danej funkcji staje się w następnym kroku iteracji argumentem (parametrem wejściowym) tej samej funkcji. Lorenz budował równania opisujące zjawiska atmosferyczne, opierając się na nowatorskim modelu, za pomocą supernowoczesnego jak na owe czasy komputera McBee LGP-30 (niemożliwe jest prowadzenie obliczeń iteracyjnych w sposób ręczny). Na podstawie zadanych wielkości model obliczał parametry pogodowe dla określonego dnia. Układ Lorenza zawierał dwanaście równań różniczkowych, które dokładnie opisywały procesy zachodzące w atmosferze. Naukowiec nie potrafił jeszcze przewidywać pogody, ale jego model najogólniej odtwarzał procesy pogodowe zachodzące na Ziemi.

Pewnego razu Lorenz potrzebował zestawu danych charakteryzujących cały tydzień, a nie tylko konkretny dzień. By zaoszczędzić czas, przerwał obliczenia już po trzecim dniu i następnie uruchomił model „od środka”, wprowadzając do komputera wyniki uzyskane w poprzednim etapie (z poprzednich dni). Bardzo się zdziwił, kiedy zauważył, że parametry pogodowe obliczone dla siódmego dnia w sposób ciągły oraz te określone przez wprowadzenie pośrednich danych różnią się od siebie w sposób *zdemuwający*. Naukowiec zaczął szukać błędu. Najpierw w swoim modelu, potem w obliczeniach... Długo jednak niczego nie mógł znaleźć.

Po pewnym czasie okazało się, że rezultaty określone w sposób pośredni, widoczne na wydruku, były zaokrąglane do trzech znaków po przecinku (na przykład $+14,873^{\circ}\text{C}$), natomiast do obliczania kolejnego cyklu komputer przekazywał dane z dokładnością do sześciu znaków ($+14,873491^{\circ}\text{C}$). Lorenz i tu nie znalazł żadnej pomyłki. Model był prawidłowy. Rozwiązanie kryło się w samym systemie. Parametry pogodowe okazały się na tyle czułe w stosunku do danych wejściowych, że różnica kilku tysięcznych w drugim dniu obliczeń generowała zasadniczo różne wyniki. Jeżeli dziś jest $+14,873^{\circ}\text{C}$, to za dwa dni będzie słonecznie. Jeżeli dokładna wartość temperatury to $+14,875^{\circ}\text{C}$, to w identycznych warunkach po dwóch dniach szyby będą drżały od sztormowego wiatru.

Tak się zaczęły badania układów, których zachowanie jest ściśle określone, ale do których opisanie trzeba było szukać nowych metod i narzędzi.

Obecnie teoria chaosu jest stosowana do modelowania systemów biologicznych, które są najbardziej chaotyczne ze wszystkich, jakie można sobie wyobrazić. Techniki teorii chaosu umożliwiły po raz pierwszy

stworzenie modeli wzrostu populacji w zależności od różnych czynników, szerzenia się epidemii, zaburzenia rytmu pracy serca i tak dalej.

Niewiele znaczące wyrażenie: „układy złożone, które w dużym stopniu zależą od warunków wyjściowych”, będące częścią definicji, ma ogromne znaczenie. W nim kryje się istota zagadnienia. Mówiąc językiem nienaukowym: jeśli nawet znane są wszystkie prawa i zależności opisujące zachowanie się układu chaotycznego, nie można przewidzieć – ze względu na niewyobrażalną niestabilność układu w stosunku do warunków początkowych – jak będzie się zachowywał układ w przyszłości. Możemy próbować zmienić pogodę czy zmusić atmosferę, aby reagowała dziś inaczej niż przed naszą ingerencją, ale nigdy się nie dowiemy, co będzie dalej. Minimalna ingerencja w parametry początkowe może doprowadzić do nieprzewidywalnych skutków – na przykład rozganiając chmury, wywołamy huragan.

XXXIII

Niedziela, 16 sierpnia, 09.06 (UTC -4)
EN-3, trzeci blok inżynierski
Podziemne laboratorium mikrobiologii

Drzwi się zamknęły. Winda przyspieszyła i pojechała w dół. Tymur zrozumiał, że zasadnicza część laboratorium znajduje się pod ziemią. Ralf jakby przeczytał jego myśli:

– Nanoprodukcja wymaga specjalnych warunków: stałego ciśnienia, niezmiennej temperatury i odpowiedniej wilgotności, minimum światła, aseptyki. Właśnie dlatego oddział mikrobiologii umieszczono na głębokości dwudziestu siedmiu metrów pod ziemią. – Kanadyjczyk się zamyślił. – Nie pomylę się, gdy powiem, że dwie trzecie kosztów wydanych na budowę kompleksu poszło na stworzenie tego laboratorium.

Drzwi się rozsunęły. Tymur znalazł się w mrocznym pomieszczeniu. Stały tam plastikowe fotele z podnoszonymi siedzeniami, były też szafki na ubrania. Pokój przypominał szatnię na stadionie. Brakowało tylko butów piłkarskich i porozwieszanych strojów sportowych. W ścianie naprzeciwko windy znajdowały się owalne drzwi z zamkiem mechanicznym. Nad nimi świecił się granatowy napis: WIELOPOZIOMOWA STREFA BUFOROWA.

Powietrze było ciężkie jak w okręcie podwodnym. Ze ścian miejscami odpadał tynk. Tymur spodziewał się, że zobaczy laboratorium naszpikowane aparaturą, a tymczasem znalazł się w wilgotnej piwnicy.

– Nie przejmuj się – uprzedzając jego pytanie, pośpieszył z odpowiedzią Ralf, który dostrzegł wytrzeszczone oczy chłopaka. – To nie jest laboratorium. I przepraszam za pewne niedogodności: żeby wejść do pomieszczenia produkcyjnego, trzeba wykonać kilka czynności. Rozbieraj się.

– Nie rozumiem...

– Zdejmij ubranie.

– Mam wszystko zdjąć?

– Tak, wszystko.

Kanadyjczyk zdjął adidasy, dżinsy i zaczął odpinać guziki koszuli. Idąc za jego przykładem, Tymur zaczął się wolno rozbierać. Gdy przyszła kolej na bieliznę, zawahał się.

– A majtki?

– Majtki też.

– Kurde, czy to konieczne?

Zamiast odpowiedzi Ralf zrzucił majtki wprost na podłogę i stanął przed Ukraińcem w stroju Adama.

– Zapraszam serdecznie do strefy nanotechnologii! – prychnął Tymur.

Kanadyjczyk uśmiechnął się i pośpieszył do hermetycznie zamykanych drzwi.

– Sądzę, że już się domyśliłeś – powiedział Ralf, obracając pokrętko – że mnie i Japowi udało się stworzyć nanorobota, który może wędrować po całym organizmie, włączyć do mózgu i łączyć się z neuronami. Kiedy rój nanoagentów tworzy synaptyczny związek, roboty zaczynają się zespalać ze sobą. W ten sposób w mózgu powstaje coś na wzór obwodów drukowanych, które cienką warstwą pokrywają korę mózgową. Keitaro wymyślił specjalny termin: „skupisko nanoagentów”. Ale ja wolę nazywać te twory po prostu obwodami procesorowymi.

Rygle masywnych drzwi zostały odblokowane. Kanadyjczyk włożył wiele wysiłku w to, by uchylić ciężkie skrzydło.

– Uprzejmie zapraszam do świątyni mikrobiologii, gdzie przychodzą na świat najmądrzejsze na świecie nanoroboty.

Tymur przekroczył próg i rozejrzał się. Pomieszczenie bardzo przypominało pokład szerokokadłubowego samolotu, Boeinga-747 lub Airbusa A340. Za pomocą ścianek z przezroczystego plastiku było podzielone na trzy części. W dwóch pierwszych komorach rolę podłogi odgrywały kraty, pod którymi ziała pustka; w trzeciej komorze gładką posadzkę przykrywała biała tkanina przypominająca linoleum. Wszystko dokoła oprócz krat i bardzo grubych drzwi lśniło oślepiającą bielą, co stwarzało wrażenie, że przebywający wewnątrz człowiek płynie w chmurach. Zewsząd wlewało się światło lamp monochromatycznych.

Nagle zza pleców Tymura dobiegł beznamiętny kobiecy głos:

– WITAMY W STREFIE BUFOROWEJ LABORATORIUM MIKROBIOLOGICZNEGO. PROSZĘ ZAMKNAĆ DRZWI.

Ralf zatrzasnął drzwi i zasunął rygle, obracając pokrętko. Elektroniczny głos kontynuował:

– DZIĘKUJĘ. HERMETYCZNOŚĆ SPRAWDZONO... PROSZĘ SIĘ PRZYGOTOWAĆ!

– Przygotować na co...

Pytanie Tymura zagłuszył potężny huk. Na górze otworzyły się dwie śluzy. Przez prostokątne otwory runął lodowaty płyn. Zaskoczony chłopak wydarł się na całe gardło.

– Lepiej nie otwieraj oczu. – Hałas spadającej wody nieomal zagłuszył słowa Kanadyjczyka. – Bo będziesz czuł szczypanie przez cały dzień.

Specyficzny zapach, kwaśnawy posmak na wargach, swędzenie niewielkich zadrapań na kościach policzkowych po goleniu – wszystko to podpowiedziało Tymurowi, że z góry leci nie czysta woda, tylko jakiś roztwór. Poddawano ich kąpeli jak zapchlone kundle, zanim trafią do schroniska.

Zimny prysznic ustał tak samo raptownie, jak się zaczął. Z pustki pod kratą pod nogami słychać było ciurkanie płynu, spływającego po rowkach w posadzce.

– Cz-czy t-t-to j-jakiś ż-ż-ż-żart? – bełkotał Tymur.

Ralf był siny jak umarlak. Wydawało się, że jeszcze trochę i straci przytomność.

– Nie można dopuścić, by do pomieszczenia produkcyjnego trafiły mikroorganizmy. – Kanadyjczyk odchrząknął. – Nie wyobrażasz sobie, ile

mikroskopijnych śmieci kryje się na ciele człowieka.

– A nic mniej barbarzyńskiego nie mogliście wymyślić?

Plastikowa ścianka przesunęła się i mężczyźni przeszli do środkowej komory.

– To nic. Zaraz się rozgrzejesz – obiecał Ralf.

Tymur nie spodziewał się, że te słowa należy traktować dosłownie.

Pod kratą zadudniło. Ukrainiec spojrział z niepokojem pod nogi, oczekując, że za chwilę zaczną ich oblewać jakimś rzadkim łajnem, lecz tym razem od dołu. Wbrew oczekiwaniom przez kratę popłynęło ciepłe powietrze. Pęcherzyki cieczy pokrywające skórę zniknęły. Strumień był coraz mocniejszy, temperatura rosła. Po pół minuty powietrze zaczęło parzyć Tymura w tyłek. Zasłonił rękami przyrodzenie i cicho przeklinając, zaczął podskakiwać.

– Wytrzymaj! – zawołał Doernberg, przekrzykując ryk wentylatorów.

– W dupie mam pana i te wasze nowoczesne technologie! – wrzasnął Tymur.

Chwilę potem wentylatory zaczęły cichnąć.

– Wybacz, przyjacielu. To konieczność. Strumień gorącego powietrza niszczy mikroby, zdmuchuje włoski, które mogłyby się oderwać, kiedy będziesz już w środku, oraz martwy naskórek.

Następny przedział otworzył się tak samo bezgłośnie. Tymur puścił Ralfa przodem, podświadomie oczekując nowej przykrej niespodzianki. Ale usłyszał tylko głos:

– DZIĘKUJĘ! ZA CHWILĘ BĘDZIECIE MOGLI WEJŚĆ DO LABORATORIUM.

– Wyluzuj – poradził Kanadyjczyk. – Ale lepiej zamknij oczy.

Tymur nie dopytywał się, tylko szybko zacisnął powieki. W samą porę, ponieważ w tej samej chwili ze wszystkich stron rozbłysło oślepiające światło. Ściany jakby wybuchły blaskiem. Mimo zamkniętych oczu blask był niemal nie do wytrzymania. Ciało ogarnęło przyjemne ciepło.

– Lampy kwarcowe – wyjaśnił Ralf. – Dobijają bakterie i wirusy.

Nieznośne światło raptownie zgasło. Skóra aż skrzypiała od niezdrowej czystości. Tymur stał bez ruchu; nie ryzykował otwarcia oczu.

– Czy to wszystko? – zapytał ze złością.

– Tak, to koniec. To była ostatnia procedura.

Przed nimi znajdowały się śnieżnobiałe drzwi, nad którymi świecił się na czerwono napis: MIKROBIOLOGIA I NANOPRODUKCJA. Kanadyjczyk jednak nie kwapił się, aby wejść do środka.

Programista poczuł, że zatykają mu się uszy. Jakby ktoś wciskał jego głowę w miękki asfalt. Ciśnienie na błony bębenkowe rosło, wywołując ból i lekki zawrót głowy.

– Ciśnie na uszy? – Ralf zerknął na Tymura, drapiąc małym palcem w małżowinie.

– Aha. Jak w samolocie podczas lądowania.

– Przyzwyczaisz się. – Mężczyzna starał się mówić naturalnie, ale dało się zauważyć, że dla niego procedura jest za każdym razem tak samo uciążliwa. –

To jeszcze jeden środek ochronny. W laboratorium utrzymuje się ciśnienie wyższe niż atmosferyczne, żeby przez mikroszczeliny nie trafiły do środka kurz i szkodliwe cząsteczki. Jedna cząsteczka pyłu może popsuć całą pracę, przy czym o defekcie nikt nie będzie wiedział, dopóki się nie okaże, iż zamiast doskonałych nanorobotów powstaną, jako produkt końcowy, jakieś pokaleczone mutanty... O! Możemy wejść.

Napis: MIKROBIOLOGIA I NANOPRODUKCJA zaświecił się na niebiesko. W ciszy, jaka zapadła, szczerknął zamek, zapraszając do otwarcia drzwi.

W kolejnym pokoju nie było aż tak jasno. Z szafek w ścianach mężczyźni wyciągnęli kombinezony podobne do ubiorów nurków, buty z korkową podeszwą, czepki przypominające te pływackie i maski ochronne do osłonięcia nosa i ust. Wyposażeni jak chirurdzy przed operacją, skierowali się do wyjścia.

W pomieszczeniu znajdowało się dwoje drzwi. Te z lewej strony były opatrzone tabliczką: BIURO, na drzwiach po prawej napisano: DZIAŁ PRODUKCJI. Ralf otworzył prawe drzwi. Tymur postąpił krok naprzód i zanim jeszcze jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, gwizdnął z wrażenia.

– Chyba oszaleję.

Pierwszym, co go zaszokowało, była wielkość pomieszczenia. Przystępując próg, oczekiwał, że znajdzie się w jakimś kolejnym pokoju, i absolutnie się

nie spodziewał, iż trafi do monstrualnego pomieszczenia, które swoją wielkością przypominało stadion piłkarski lub ogromną salę teatralną. Stali wraz z Ralfem na metalowym podeście prawie pod samym sufitem. Od podłogi dzieliło ich ponad czterdzieści metrów. Pod ścianami przeplatały się metalowe pomosty, a na różnych poziomach ciągnęły się mostki w postaci kratowego rusztu. Szeregi lamp prowadziły we wszystkie strony i znikwały gdzieś w półmroku. Lampy oświetlały tylko przejścia. Większość maszyn i urządzeń tonęła w ciemnościach.

– To nasze trzecie laboratorium – rzeczowo powiedział Ralf. – Pierwsze było w Japonii. Tylko kilka pokoi. Drugie, nieco większe, zbudowano w Bangkoku.

– W Bangkoku?

– Tak. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku Keitaro stworzył pierwszą generację nanorobotów, byliśmy już gotowi, by rozpocząć eksperymenty z naczelnymi. Nie dostaliśmy jednak pozwolenia. Ktoś doniósł kierownictwu Uniwersytetu Tokijskiego i po tygodniu Keitaro został wyrzucony z uczelni. Nie zrezygnowaliśmy i zbudowaliśmy niewielkie centrum eksperymentalne na przedmieściach Bangkoku. Tam nikt nie zwracał nam głowy umoralniającymi kazaniami.

– To nie moja sprawa, ale kto to sfinansował? Na coś takiego na pewno nie wystarczyłoby grantów.

Ralf wziął chłopaka za rękę i poprowadził na ruchomy pomost, widoczny na lewo od podestu. Wcisnął przycisk na pulpicie. Niepokojące skrzywienie lin wypełniło ogromne pomieszczenie, a pomost, ledwo się kołysząc, ruszył w dół.

– Na długo przed kryzysem Keitaro pojął, że z uniwersytetem trzeba będzie się pożegnać. Jap od dawna szukał sponsorów. Zarejestrował nawet firmę o nazwie General Genetics. – Ralf zamilkł. – Pieniądze wyłożyła rodzina Takedy. Postawili jednak warunek: razem z nami będzie pracował ktoś z ich klanu. Tak oto pojawił się u nas Katsuro.

Kanadyjczyk zatrzymał windę na jednym z dolnych poziomów na wysokości pięciu metrów od podłogi. W tym miejscu kratowe mostki oddalały się od ścian i rozchodziły w różne strony, tworząc płataninę drózek.

– Właśnie w Bangkoku dwudziestego czwartego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku Keitaro wprowadził pierwszą

porcję nanoagentów do organizmu żywej istoty. – Doernberg z zadowoleniem ujrzał, że oczy Tymura zapłonęły. – To był ośmioletni szympanś o imieniu Goblin.

– Wytworne imię jak dla małpy.

– Goblin nie narzekał. Kupiliśmy go u handlarzy zwierząt na Filipinach.

Z lewej strony głośno prychnęła jakaś potężna maszyna.

– I co było dalej? – Ta historia pochłonęła programistę bez reszty.

– Stary Jap omal nie dostał zawału. Chodzi o to, że nanoroboty są na tyle małe, że nie widać ich na zdjęciu rentgenowskim, za to dostatecznie wielkie, aby rozerwały tkanki ciała pod wpływem działania rezonansu magnetycznego. Inaczej mówiąc, gdy one przesuwają się wewnątrz ciała, nie można ich śledzić. Wprowadziliśmy rój nanoagentów do tętnicy szyjnej i czekaliśmy. Roboty zaprogramowano tak, by kumulowały się, tworząc skupiska, a po osiągnięciu dostatecznej masy wysłały sygnał radiowy do specjalnego odbiornika. Według obliczeń cała operacja miała trwać godzinę pięćdziesiąt minut. Myślałem, że Keitaro zwariuje przez ten czas. Minęły dwie godziny, potem jeszcze kwadrans i następne pół godziny. U szympanśa podniosła się temperatura, zaczął się pocić. A wtedy, kiedy straciliśmy nadzieję, kolonia przesłała swój pierwszy sygnał...

XXXIV

Opowiadając, Kanadyjczyk prowadził Tymura labiryntem podwieszanych mostków. Odgłos ich kroków zwielokrotniał się, odbijając się równocześnie od ścian, podłogi i sufitu z lewej strony, z tyłu, z prawej strony, z góry.

– Nanoprodukcję tak naprawdę można umieścić na paznokciu małego palca. Wszystko, co tu widzisz, to maszyny pomocnicze, wykorzystywane do utrzymania próżni, bardzo niskich temperatur i do stworzenia pola magnetycznego. Pod nami znajduje się układ generowania próżni. – Ralf wskazał palcem na lewo. – To pompa wytwarzająca wstępne podciśnienie. Przeznaczona jest do rozrzedzenia gazu doprowadzanego do głównego agregatu, pompy turbomolekularnej[50]. – Mężczyźni przeszli na drugą stronę podwieszanego mostka. Echo znowu się odezwało w całym ogromnym

laboratorium. – Tu jest jeszcze jedno urządzenie. Używamy go do otrzymywania temperatur bliskich zeru absolutnemu. Ochłodzony do 4 K[51] czynnik chłodniczy podawany jest do kolb z „monterami”, gdzie odbywa się kumulacja cząsteczek.

Ralf kroczył dalej, rzeczowo i nie bez dumy prezentując nanooddział. Zachowywał się jak ojciec, który na pozór obojętnie opowiada sąsiadom o sukcesach swojego syna, w głębi duszy zachłystując się z dumy.

– A teraz najciekawsza rzecz.

Tymur przechylił się przez poręcz pomostu z dziwnym uczuciem, że znajduje się w sali kinowej na premierze jakiegoś nadzwyczajnego dzieła filmowego. Po tym pozornie chaotycznym widoku pomp i sprężarek nagle jego wzrok padł na uporządkowane szeregi kulistych kolb spoczywających na metalowych podstawach. Po całej podłodze widać się różnokolorowe osłony izolacyjne przewodów rurowych. Mimo słabego oświetlenia Tymur dojrzał nad kolbami kłębiące się opary.

– Jesteś ciekaw, jak się odbywa kumulowanie?

– No jasne...

– Proces zaczyna się od zgromadzenia materiału. W tym celu wykorzystywani są miniaturowi nosiciele: $C_{14}H_8O_2$. To są cząsteczki antrachinonu, substancji, która służy do produkcji barwników. To nie jest nasz wynalazek. Keitaro użył opracowań Ludwiga Bartelsa z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Bartels zmusił najpierw te molekuly do „chodzenia” po równej miedzianej powierzchni, następnie nauczył je przyłączać cząsteczki dwutlenku węgla (CO_2) i nosić je za sobą. Keitaro ulepszył tę technologię. Nasze nośniki potrafią dostarczać do miejsca kumulacji czysty węgiel w stanie atomowym, wodór, jony wodorotlenowe i żelazo. – Ralf wyciągnął rękę. –

Widzisz te kule? Jest ich czterdzieści dwie, sześć rzędów po siedem kolb. W każdej z nich przebiega oddzielny etap budowy nanorobota. Cząsteczki antrachinonu zanoszą do konkretnej kolby ściśle określoną liczbę cząsteczek „transporterów”, po czym inne cząsteczki, „monterzy”, gromadzą dostarczone materiały w jedną całość. – Oczy Kanadyjczyka zasnuły się na chwilę mgłą. –

Spędziliśmy razem z Japem sześć miesięcy pod ziemią, pracowaliśmy po osiemnaście godzin na dobę, aż uruchomiliśmy linię montażową. Bywały momenty, gdy zaczynało mi się wydawać, że nie istnieje ani słońce, ani światło... Słuchasz mnie?

– Tak. – W rzeczywistości w głowie Tymura aż się gotowało od nadmiaru terminów i informacji usłyszanych w ciągu ostatnich dwóch godzin. Z każdą następną chwilą coraz trudniej było mu się skoncentrować. – Co to takiego ten wasz „monter”?

– Nanomonter to molekularny mechanizm, który w istocie jest częścią sztucznego DNA i może się poruszać stosownie do instrukcji. Ma rączki i nóżki, którymi przyczepia się do innych cząsteczek. Ten miniaturowy budowniczy bierze od nośnika surowiec w postaci molekuly i wdrapując się po gotowej konstrukcji, układa ją jak cegłę na właściwe miejsce.

Mężczyźni podeszli do płaskiego ekranu, który był używany do prezentacji. Takiego samego jak na górze, w nadziemnej części bloku EN-3. Ralf włączył monitor.

– Produkcja stale jest udoskonalana. Goblinowi wstrzykiwano nanoroboty generacji III. Procesory w mózgach botów ukształtowane są z nanoagentów generacji V+ oraz generacji VI. Obecnie produkowane są bardziej nowoczesne generacji VII+.

Na ekranie pojawił się model nanorobota. Na dole wyświetliły się skala oraz napis: „Nanorobot NB-7½G|V31.1.4.128 with a lipid bio-shield[52]”. Ostatnia generacja różniła się od tej, którą prezentowano na górze. Ciało agenta było mniejsze, „wypustki” cieńsze, za to dłuższe. Niektóre z nich znikwały poza ekran podczas obracania się modelu. Poza tym wokół nanorobota kręciły się bezkształtne bladożółte kółeczka, zasłaniając go przed wścibskimi spojrzeniami.

– Co to za elementy pływają wokół niego? – zainteresował się programista.

– Ubranie agenta. Jego strój ochronny. Gotowy nanorobot wprowadzany jest do kapsuły lipidowej[53]. Na ekranie jest on otoczony zmodyfikowanymi lipidami, które naśladują powierzchnię żywych komórek. Dzięki temu nanorobotom udaje się dłużej zostać niezauważonymi przez przeciwności układu odpornościowego. Agenci mogą teraz pływać po organizmie trzy i pół godziny, zanim układ odpornościowy wychwyci je i przyskrzyni. Takim sposobem praktycznie wszystkie nanoroboty, nawet te, które zabłądziły po drodze, docierają do celu. Do mózgu obiektu trafia ich aż dziewięćdziesiąt osiem procent. Przedtem straty wynosiły od czterdziestu do pięćdziesięciu procent. – Ralf umilkł, po czym, zachowując powagę, dodał: – Przeciwności to jeszcze gorsza cholera niż bariera hematoencefaliczna.

– Wróćmy do Goblina. – Tymura ogarnęło zniecierpliwienie. – Co się stało, kiedy nanoroboty skumulowały się w jego głowie?

– Goblin symbolizował wielki krok naprzód, a równocześnie ogromne rozczarowanie. Z jednej strony stworzyliśmy związki synaptyczne na stosunkowo znacznym obszarze kory mózgowia u zdrowego naczelnego bez konieczności dławienia jego czaszki. Zmodyfikowane płaty mózgowe okazały się doskonałym przyrządem pomiarowym. Poprzez nie utrwalaliśmy wszystko, co się działo w mózgu, z niewyobrażalną jak dotąd precyzją. Wcześniej neurofizjolodzy mogli badać tylko ochotników, przy czym nie udawało się uniknąć ingerencji chirurgicznej. Kiedyś za pomocą lobotomii[54] leczono ciężkie przypadki schizofrenii. Obecnie operacje na otwartym mózgu przeprowadza się tylko u pacjentów z ciężkimi przypadkami epilepsji. Wyobraź sobie: choremu zdejmują pół czaszki i na korze mocują elektrody. W ten sposób lekarze szukają punktu, w którym powstają źródła choroby. Po ich odnalezieniu przeprowadza się operację, która nierzadko pozwala zwalczyć chorobę. A dopóki czaszka jest otwarta, naukowcy wykorzystują okazję, by zbadać inne części mózgowia. Używając mniejszych i bardziej czułych elektrod, otrzymują wykresy aktywności neuronów i na ich podstawie oceniają przeznaczenie tej czy innej części mózgowia. A tutaj my z Keitarem mamy do czynienia z technologią, która pozwala odczytywać informację o stanie niemal każdego neuronu oddzielnie w górnej części kory. To dopiero było science fiction! Każdego ranka budziłem się i zastanawiałem, czy aby nie przyśniło mi się to wszystko, co osiągnęliśmy... – Ralf spuścił głowę. – A z drugiej strony... Po dwudziestu dziewięciu dniach Goblin już nie żył.

Tymur zapomniał o dusznym kombinezonie i nieprzyjemnym swędzeniu.

– Dlaczego?

– Informacje napływały nieskończonym potokiem. Nie nadążaliśmy z ich przetwarzaniem. Tydzień później po wprowadzeniu nanorobotów zaczęliśmy (Keitaro i ja) przygotowywać publikację do „Science”. Artykuł wywołałby niewątpliwie sensację. Greenpeace’owcy rozszarpaliby nas na strzępy, ale było nam to obojętne. Byliśmy młodzi, głupi i ambitni... Teraz rozumiem, że tamten moment był kluczowy. Gdybyśmy opublikowali wówczas wyniki badań, wszystko ułożyłoby się inaczej.

– Czyli artykuł nie ujrzał światła dziennego?

– Nie. Kiedy brudnopis był gotowy, Keitaro po raz pierwszy pomyślał o efekcie zwrotnym.

– To znaczy?

– Pewnego wieczoru przyszedł do mnie do domu, niedbale ubrany, rozgorączkowany, i poprosił, abym poczekał z publikacjami. Zapytałem dlaczego. Staliśmy na progu rewolucji w neurochemii i nanotechnologiach. Mogliśmy stać się legendą. Jap odpowiedział, że jesteśmy idiotami. Po co biernie obserwować impulsy wychodzące z mózgu, kiedy przy bezpośrednim dostępie do ogromnej liczby neuronów w korze można generować impulsy skierowane do mózgu? Keitaro wpadł na pomysł, by nie tylko pobudzać oddzielne punkty mózgowia, lecz również stworzyć kompilator służący do automatycznego tłumaczenia kodu polecenia na precyzyjny ciąg impulsów, zmuszając szympansa, by myślał, robił oraz widział to, co chcemy, żeby pomyślał, zrobił czy zobaczył.

W tym momencie Tymur ostatecznie sobie uświadomił, że boty to żaden żart czy wymysł.

– I udało się...

– Nie od razu. Potrzebny był czas. Na początku nie wierzyłem... Ale szybko zmieniłem zdanie, bo już po trzech dniach wiedzieliśmy, jak zmusić Goblina, żeby poruszył palcami lub mrugnął. Określony ciąg impulsów mógł go rozweselić, rozgniewać albo uśpić. Keitaro nie spał, zachowywał się jak maniak. W dwudziestym piątym dniu od pierwszego wprowadzenia impulsów przyszedł do mnie z nowym pomysłem. Był przekonany, że pobudzenie pewnego fragmentu mózgu impulsami o określonej częstotliwości spowoduje, iż szympans zacznie mówić. Oczywiście nie od razu, najpierw otrzyma taką możliwość. Skupiska zamienią tę część mózgowia, która u ludzi odpowiada za mówienie. Małpa używająca zdań podrzędnie złożonych, to byłby przewrót! Ale do tego należałoby, po pierwsze, zwiększyć trzykrotnie liczbę agentów w głowie Goblina, a po drugie, wprowadzić nanoroboty do mózgu człowieka. Inaczej nie moglibyśmy się dowiedzieć, *jakie* mają być te impulsy.

– Nie przyszło wam na myśl, że wasza działalność może być niezgodna z prawem? Nawet w takim Bangkoku? Znaleźliście ochotników?

– Nikogo nie szukaliśmy. Dziewiętnastego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, w dwudziestym szóstym dniu wprowadziliśmy dwie dodatkowe dawki nanoagentów. Po przyłączeniu nowych rojów do już istniejącej kolonii Goblin stał się niezwykle agresywny,

jakby diabeł w niego wstąpił. Po trzech dniach małpa zdechła w okropnych męczarniach.

Tymur sposepniał.

– Szympanś zmarł, bo nie mógł wytrzymać okrutnego bólu, który rozsadzał mu łeb – wyjaśnił Kanadyjczyk. – Najgorsze było to, że nie umieliśmy mu pomóc. Nikt nie przewidział możliwości demontażu skupisk i usunięcia nanoagentów. Dawaliśmy małpie zastrzyki przeciwbólowe, pobudzaliśmy mózg, próbując złagodzić jej ból. Wszystko na nic. Przez siedemdziesiąt dwie godziny biedny Goblin ryczał i wył bez ustanku, aż wreszcie skonał.

– Mogliście go uspić, barbarzyńcy! – Ukrainiec się skrzywił.

– Keitaro nie pozwolił. Musieliśmy znaleźć sposób, aby przewyciężyć ból, inaczej cały program wzięłby w łeb. W tamtym czasie w głowie Goblina osiedliło się nieco ponad pięćset milionów nanorobotów. Według obliczeń Japa, żeby procesor mózgu mógł prawidłowo funkcjonować, tę liczbę należałoby doprowadzić do dwóch miliardów. Krótko mówiąc, męczyliśmy szympanśa przez trzy doby, dopóki nie skonał z wyczerpania, ale i tak niczego nie wymyśliliśmy.

– Chłopcy z Greenpeace’u na pewno zrównaliby wasze biuro z ziemią. – Tymur pokręcił głową.

– Nikt się nie dowiedział.

– Co wywołało ból?

– Nanoroboty nie zajmują dużo miejsca. Podczas swobodnego poruszania się rój kurczy się do miniaturowej objętości. Ale tylko w czasie *swobodnego* ruchu. Budując skupiska, nanoroboty tworzą sztywne związki. Odległość między agentami zależy od usytuowania neuronów w korze mózgowej, niekiedy bywa dosyć znaczna. Powtarzam, nanoroboty nie zajmują wiele miejsca, lecz to, czy jest ich mało, czy dużo, nie ma znaczenia tam, gdzie brak jest wolnego miejsca. Po ukształtowaniu się skupiska stały się twarde jak metal i zaczęły uciskać czaszkę małpy. Nie byliśmy w stanie uśmierzyć bólu, to było ponad nasze siły... – Neurochemik spuścił wzrok. – Kiedyś czytałem, że Rzymianie mieli osobliwy sposób torturowania więźniów. Po ogoleniu czaszki ofierze wkładano na głowę skórzaną czapkę i mocno ją zawiązywano. Odrastające włosy nie miały możliwości przebić się na zewnątrz, więc rosły do wnętrza czaszki. Wywoływały piekielne męki... Myślę, że coś podobnego odczuwał nasz Goblin.

Ukrainiec poczerwieniał.

– Daję panu słowo honoru: gdyby jednak Greenpeace się dowiedział, nie byłoby mi was żal.

– To był tylko początek – bezbarwnym tonem poinformował Ralf. –

Wkrótce Keitaro wymyślił, jak rozwiązać problem. Po pierwsze, stworzyliśmy czwartą generację nanorobotów, dużo mniejszych niż poprzednie, a po drugie, wymyślił, by wprowadzać agentów niemowlętom, stopniowo zwiększając dawkę. Było jasne, że proces tworzenia kolonii potrwa całe lata, a w tym czasie kości czaszki ukształtują się z uwzględnieniem obecności skupisk i nie będą uciskały mózgowia.

Tymur się wzdrygnął.

– Powiedział pan: „*niemowlętom*”? – zapytał. – Nie dzieciom?

– Tak.

– Panie Ralfie... Może nie chwyciłem... Zaczęliście wprowadzać nanoagentów do głów ludzkich niemowląt?!

Stary naukowiec rozłożył ręce.

– A co mieliśmy robić? Rzucić wszystko i zacząć sprzedawać telewizory „Made in China”? W naszym zakładzie pracowało małżeństwo, byli laborantami. Adoptowali dwójkę tajskich sierot. Chłopców. Bliźniaków.

Tymur zaniemówił. Kanadyjczyk kontynuował niewzruszenie:

– Kiedy dzieci do nich trafiły, miały po półtora miesiąca. W wieku trzech miesięcy wprowadzono im pierwszą dawkę, czyli rój. – Twarz mężczyzny pozostała nieruchoma, nie wyrażała żadnych emocji, tak jakby relacjonował prognozę pogody. – Kolejne wstrzyknięcia powtarzaliśmy co pół roku, stopniowo zwiększając dawkę. Chłopcy nie odczuwali dyskomfortu. Zaczęliśmy uczyć dzieciaki i obserwowaliśmy reakcje ich mózgów. Gdy proces utworzenia kolonii dobiegł końca, kompilator do przetwarzania kodu źródłowego w języku programowania na impulsy elektryczne zrozumiałe dla mózgu był już gotowy. Kiedy bliźniaki skończyły cztery lata, przeprowadziliśmy naszą pierwszą zwrotną stymulację. Udało się w stu procentach: chłopcy słuchali naszych poleceń jak roboty. Od tamtej pory mózg przestał być jednostronnym przełącznikiem impulsów w organizmie.

– I co się z nimi stało?

– Dzieciaki spały niewiele i były niezwykle zdolne. W wieku pięciu lat uczyły się na pamięć poematów, potrafiły rozwiązywać równania różniczkowe. Wszystkie funkcje mózgu, które rozwijały się stopniowo, były sterowalne. Wystarczyło wcisnąć kilka razy odpowiednie przyciski i nasze bliźniaki przekształcały się w hiperaktywne cudowne dzieci.

– I to są te wasze boty?

Kanadyjczyk westchnął.

– Nie. Dwójkę małych Tajlandczyków też straciliśmy. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku, gdy bliźnięta skończyły sześć lat, zaczęły się problemy... ogromne problemy...

– Jakie? Co je spowodowało?

– Nie wiem... – Ralf podrapał się po głowie; miał niepewny wyraz twarzy jak eksperymentator, który pomylił odczynniki, w wyniku czego laboratorium przestało istnieć. – Keitaro też nie chce o tym rozmawiać. Według mnie zaczął pobudzać inną, *niewłaściwą* część mózgu. – Tymur otworzył usta, by zapytać jaką, ale Ralf energicznym ruchem dłoni dał do zrozumienia, że nie chce przerywać opowieści. – Coś wylazło z ich mózgów. Coś, co nie powinno wylazić. Każda kolejna stymulacja wywoływała u chłopców dziwne wizualne obrazy, które nie miały prawa pojawiać się u dzieci, bo w ciągu całego swojego życia bliźnięta wychodziły poza mury laboratorium tylko kilka razy. Nie wiadomo, skąd się wzięły słowa, jakimi potrafiły opisywać to, co odczuwały. Jap oszalał, zaczął penetrować ten fragment, by się dowiedzieć, co spowodowało taki niespodziewany efekt. Nazywał go „ciemną stroną”. Minęły cztery miesiące, „ciemna strona” zaczęła aktywować samą siebie. Impulsy pojawiały się nieprzewidywalnie i rozprzestrzeniały się po całej głowie. My tylko to rejestrowaliśmy. Wynik był jeszcze bardziej niepojęty.

Dzieciaki malowały smoki i jakieś dziwaczne potwory. Niekiedy mówiły osobliwymi głosami, budując długie, gramatycznie poprawne zdania. Nie wiem, Tymurze, jak mam przekazać ci to, co czuliśmy. Drżałem ze strachu, sześćioletni gówniarze, z błyszczącymi oczami i zmarszczonymi brwiami, wygłaszali jakieś przemowy zupełnie niedziecięcymi niskimi głosami. Czasami pletli trzy po trzy, choć Keitaro utrzymywał, że posługują się jakimś nieznanym językiem. Po upływie kolejnych czterdziestu pięciu dni zaczęły się zmieniać rysy ich twarzy. U każdego inaczej. – Kanadyjczyk długo się namyślał, aż wypowiedział ostatnie zdanie: – Odnieśliśmy wrażenie, że coś przebija się poprzez ich mózgi do naszego świata.

- Trąci mistycyzmem – zauważył sceptycznie Tymur.
- Niedługo potem jeden chłopiec zabił drugiego, ale przedtem okrutnie się nad nim znęcał.
- Co takiego??!
- Dokładnie przeanalizowaliśmy wszystkie wydarzenia od czasu, gdy zaczęliśmy stosować stymulację, i doszliśmy do wniosku, że przyczyna nieprzewidywalnego zachowania leży w niezgodności aktywnej części mózgu i skupisk nanorobotów. – Patrząc z boku, mogło się wydawać, że Ralf rozmawia sam ze sobą. – Po dokonaniu zabójstwa bliźniak zwariował. Przestał mówić, rzucał się na wszystko, co się ruszało, ryczał. Sześciolatek stał się agresywny jak niedźwiedź. Nie pożył długo, umarł po trzech tygodniach z powodu skrajnego wyczerpania fizycznego.
- I po tym wszystkim kontynuowaliście badania?
- Tak – zabrzmiała twarda odpowiedź. – Ale tym razem z użyciem ECT.
- Co to takiego „e-ce-te”?
- Terapia elektrowstrząsowa[55]. Szok elektryczny.
- Nie rozumiem.
- Po śmierci bliźniaków znaleźliśmy się na skraju bankructwa. To był najgorszy okres w historii naszego projektu. Jap i ja rozpaczliwie szukaliśmy sponsorów. Zwracaliśmy się do Boeinga, Toyoty, General Motors, Airbusa. Bez skutku. Tak się zdarzyło, że o naszych badaniach dowiedziano się w Pentagonie. Pewnego dnia na progu laboratorium w Bangkoku stanął chudy, bardzo poważny Amerykanin. To był William Holland. Zjawił się z konkretną propozycją, a co najważniejsze, z konkretnymi pieniędzmi.
- Proszę mi wyjaśnić, jaki związek z waszymi eksperymentami ma szok elektryczny?
- Nie przerywaj. Wszystko po kolei... Pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku Jap, Katsuro Takeda i ja poleciliśmy do Stanów Zjednoczonych, gdzie przedstawiliśmy potencjalnym sponsorom wszystko, czego dotychczas dokonaliśmy. Niewiele tego było, biorąc pod uwagę fakt, że oba eksperymenty zakończyły się fiaskiem. To jednak, o dziwo! – wystarczyło. Już sam pomysł zrobił na nich wrażenie. Po krótkich pertraktacjach podpisaliśmy umowę z Departamentem Obrony Stanów Zjednoczonych. Tak powstało NGF-Lab. W ciągu kilku dni Katsuro Takeda sprzedał całe wyposażenie laboratorium w Bangkoku, a Amerykanie zabrali

się w szalonym tempie do budowy kompleksu badawczego na Atakamie. Spodziewałem się, że powstanie gdzieś w Nevadzie, ale Pentagon był kategorycznie przeciwny innej lokalizacji niż Atakama. Amerykanie nie chcieli mieć laboratorium *takiego* formatu na swoim terytorium, by w razie czego móc się go wyprzeć. No wiesz, w każdej chwili można powiedzieć: „To nie my, to Japończycy...”. Długo wybierali miejsce. Wreszcie zdecydowali się na Chile. Kraj stabilny, lojalny w stosunku do USA. Posiada ogromne bezludne tereny na północy... – Naukowiec odkaslnął. Rozmowa go zmęczyła, serce biło mu nierówno. – Naturalnie, wyłożywszy tyle pieniędzy, Amerykanie uzyskali przywilej wywierania wpływu na kierunek badań. To zmieniło wszystko. Pentagonu nie interesowały mówiące małpy czy dzieciarnia zdolna rozwiązywać równania różniczkowe. Wojskowi potrzebowali tego, co wkrótce nazwiemy botami: grupy myślących obiektów, które mogą swobodnie wymieniać się informacjami w realnym czasie za pomocą łączności bezprzewodowej na odległość jednego kilometra. Taka była wersja oficjalna. W istocie żądano od nas stworzenia żołnierzy, których mózgi będą połączone w jedną sieć. Wcześniej musieliśmy znaleźć grupę niemowląt mniej więcej w jednym wieku o maksymalnie zbliżonych parametrach biometrycznych.

– I skąd je wzięliście?

– Wyhodowaliśmy od zera.

– Klony?

– No nie. – Profesor uśmiechnął się pobłaźliwie. – Oglądasz za dużo filmów SF. Były to jednojajowe bliźnięta z udoskonalonymi genami, które donosiła matka zastępcza. Spermę pobrali od Norwega, jakiegoś polarnika, zdrowego jak buhaj. Potem Tiana Emerson popracowała trochę nad komórkami embrionalnymi. Genetycznie udoskonalone komórki były wprowadzane w stadium blastocysty[56] surogatek. Maluchy urodziły się akurat wtedy, gdy Keitaro zakończył pracę nad piątą generacją nanorobotów. Po raz pierwszy wstrzyknęliśmy bliźniętom materiał, kiedy miały dziesięć dni. Postanowiłem też zastosować szok elektryczny.

– Torturowaliście nowo narodzone dzieci prądem?! – Tymur bezradnie zamrugał. Nie uważał siebie za osobę wrażliwą, ale tego było już za wiele.

– Nie nazwałbym tego torturowaniem.

– A czym?

– Koniecznością. Historia z tajskimi bliźniętami pokazała, że aktywna świadomość wcześniej czy później wejdzie w konflikt z sygnałami przesyłanymi przez skupiska nanoagentów. Zatem musiałem znaleźć sposób, żeby stłumić świadomość. Terapia elektrowstrząsowa nie jest do końca uzasadnioną metodą leczenia neurologicznego. Spory między specjalistami toczą się do dziś. Mimo to szok elektryczny jest stosowany. ECT ma jednakże bardzo wyraźny efekt uboczny: uszkodzenie pamięci. Po jednorazowym zaaplikowaniu pamięć z czasem się regeneruje. Jeżeli jednak szok elektryczny stosuje się nieprzerwanie, amnezja staje się nieodwracalna. Wyższe natężenie prądu dodatkowo wzmacnia efekt. Elektrody były mocowane niemowlętom lateralnie, czyli po jednej stronie głowy, a nie na skroniach po obu jej stronach. W ten sposób mózg się uszkadza w najmniejszym stopniu, lecz skutkiem jest upośledzenie lewej półkuli, która odpowiada za stany emocjonalne, seksualność, zdolności twórcze, a więc cechy determinujące rozwój osobowości. Bez nich człowiek upodabnia się do komputera. Właśnie do tego dążyliśmy. Powtarzam, ECT było nie torturami, tylko koniecznością.

Programista milczał. Sam czuł się jak potraktowany elektrowstrząsami.

Ralf w zadumie wodził wzrokiem po pomieszczeniu.

– Lubię być pod ziemią. Tu wszystko jest takie proste. Taki spokój. Gdyby nie te przekłete procedury bezpieczeństwa, zamieszkałbym tutaj. – Wargi Ralfa rozciągnęły się w nieśmiałe podobieństwo uśmiechu. – Kiedyś doprowadzą mnie do zawału... Chodźmy. Już czas, żebyś wreszcie je zobaczył.

Tymur nie chciał nigdzie iść. Nie chciał niczego oglądać. Ale nie mógł przecież zostać pod ziemią, podążył więc za starym Kanadyjczykiem do wyjścia.

XXXV

Niedziela, 16 sierpnia, 10.56 (UTC -4)
Kompleks badawczy NGF-Lab

Profesor i programista wyszli na podwórze. Słońce przypiekało. Afrykanie kończyli naprawiać system elektrycznego ogrodzenia. Ralf powstał, popatrzył,

jak pracują, i skręcił w stronę drugiego bloku inżynieryjnego. Tymur, przygnębiony, włókł się za nim.

Kiedy znaleźli się wewnątrz budynku, weszli schodami na drugie piętro.

– W drugim inżynieryjnym trzymamy boty. Tiana Emerson nazwała go obozem koncentracyjnym „Żłobek”. Tam boty jedzą, śpią, w środku jest niewielki dziedziniec, gdzie mogą spacerować. W lewym skrzydle znajduje się pracownia programistyczna. Kiedyś pracowali tam nasi etatowi programiści.

Od wewnątrz „Żłobek” przypominał więzienie. Korytarz na piętrze okrążał cały budynek. Po obu jego stronach znajdowały się w równych odległościach drzwi z przezroczystego plastiku. Nie było okien, które wychodziłyby na podwórze.

– Podejdz, nie bój się. Są zamknięte.

Tymur ruszał się z wysiłkiem, tak jakby pokonywał naciskającą go z góry grubą warstwę wody. Podszedł do pierwszej celi i zajrzał do środka. Jego oczom ukazał się ciasny pokój z wąskim pionowym oknem. U góry żarzyła się świetlówka, na podłodze stało zwykłe łóżko, obok znajdowały się muszla klozetowa i krzeselko z prostym oparciem. Na krzeselku siedział chłopiec o jasnych włosach, który patrzył obojętnie przed siebie. Sądząc po wyglądzie, był w pełni ukształtowany i silny.

Naprzeciwko znajdowała się taka sama cela. Tymur obejrzał się, aż w szyi coś mu chrupnęło, i zobaczył identyczny obrazek: ubogo wyposażoną izolatkę i białego chłopca siedzącego na krześle z rękoma na kolanach. Programista zerknął do pierwszej celi. „Malcy” byli jednakowi. Tymur podszedł do kolejnej pary drzwi. Obrazek był identyczny, tyle że jeden z chłopców leżał na łóżku.

– Wyglądają na nieco starszych, niż są w rzeczywistości – odezwał się Ralf. – To z powodu ciągłych ćwiczeń i zażywania sterydów. Mają po dwanaście lat, ale są dojrzały płciowo.

Tymur go nie słyszał. Policzył w myślach liczbę cel na tym odcinku korytarza. Dziewięć od strony ściany zewnętrznej i siedem od strony wewnętrznej. Szesnaście. Jeśli rozmieszczenie pokoi jest takie samo w pozostałych trzech częściach korytarza, to na jednym piętrze rozmieszczone są... sześćdziesiąt cztery cele! Tymur spróbował sobie przypomnieć, ile pięter liczy EN-2, ale nie potrafił.

– Ilu ich jest? – lodowatym tonem spytał Ukrainiec.

– Sześćdziesięciu.

Chłopak przygryzł język; spodziewał się, że ogólna liczba botów nie będzie przewyższała tuzina. A tutaj – sześćdziesiąt genetycznie zmodyfikowanych istot, którym napchali do mózgów nanochipów, istot zaprogramowanych do wykonywania operacji wojskowych, a część z niewiadomych przyczyn wymknęła się spod kontroli... Boże, w co się wplątałem?

Kanadyjczyk mylnie potraktował milczenie programisty. Stary profesor odczytał to jako wyraz niedowierzania. Jeżeli człowiek kłamie, zawsze podejrzewa, że jego rozmówca intuicyjnie to kłamstwo wyczuwa.

– No, prawdę mówiąc, sześćdziesięciu pięciu...

Tymur wytrzeszczył oczy.

– No dobrze, siedemdziesięciu – burknął Ralf, odwracając wzrok.

– Łącznie z tymi, którzy uciekli?

– Ech, co za różnica... – Kanadyjczyk westchnął. – I tak się dowiesz. Jest ich stu pięciu. Obecnie wyhodowano sto pięć przyszłościowych jednostek bojowych. Sto pięć piekielnych botów. Z których czterdzieści dwa są na wolności...

Gdy wczoraj Tymur zobaczył, że bot – żywa istota! – porusza się jak zaprogramowana postać z gry, naprawdę się przestraszył, ale dopiero teraz omal nie narobił w spodnie. A więc takie czterdzieści dwa osobniki szwendały się dokoła laboratorium. CZTERDZIEŚCI DWA! Trudno się dziwić, że Oscar Steirmann panikował w drodze z Antofagasty.

– Czterdzieści dwa? – wyszeptał chłopak.

Ralf kiwnął głową.

– Tak, jeden już zginął. Potrąciła go ciężarówka na drodze do Calamy. A więc czterdzieści jeden.

– Ale dlaczego... jest ich... tak... dużo?

– Już to tłumaczyłem. Pentagon postawił swoje warunki. Boty były opracowywane nie tylko jako istoty, którymi można sterować, przesyłając polecenia poprzez płaty mózgowe, ale także jako jeden oddział ze wspólną świadomością, pewnego rodzaju gromadę, coś podobnego do eskadry myśliwców piątej generacji, o czym wspominałem wczoraj. Pomyśl: nie można zrealizować programu, gdy ma się dziesięć, dwadzieścia czy nawet

trzydzieści obiektów doświadczalnych... Kiedy boty podrosły, Keitaro włączył do projektu Jemeljanowa. Rosjanin przygotował systemy wymiany informacji w trybie czasu rzeczywistego. Uruchomiliśmy je, łącząc gówniary w jedną sieć. Klepnij któregoś z nich po głowie, a natychmiast dowie się o tym cała zgraja. Kiedy tylko kilka botów otrzyma jakąś nową informację, jej „posiadaczami” stanie się cała hałastrą. Faktycznie oddział botów to jeden wielki organizm, który ma dziesiątki par oczu, rąk i nóg. Właśnie na tym etapie, rozpracowując zespołowe czynności gromady, zastosowaliśmy twoje kody.

– Rozumiem... – wymamrotał Tymur.

– W obecnej chwili boty umieją się posługiwać każdym rodzajem broni palnej. Kilka dni przed uciezką zaczęliśmy uczyć niektóre z nich prowadzenia pojazdów mechanicznych. Niestety, nie wiemy z jakim skutkiem. Co więcej, one nie mówią. W ogóle. Jest to efekt uboczny stosowania ECT.

– Jak uciekły?

– Bardzo dobre pytanie. Przez ostatnie dwa tygodnie zastanawiałem się nad tym sto razy dziennie. Wiesz, zgodnie z warunkami technicznymi opracowanymi przez Amerykanów boty powinny działać gromadnie, wymieniając się informacjami. Osiągnęliśmy to, budując skupiska nanorobotów w ich głowach i łącząc je w sieć. Jednocześnie wiemy, że te skupiska nie są w stanie funkcjonować bez przeszkód ze względu na konflikty ze świadomością osobnika. Stale coś z niej wyłazi, wywołując różne nieoczekiwane reakcje. Udało mi się stłumić świadomość za pomocą szoku elektrycznego. To sprawiło, że boty otepiały, pozbyły się elementarnych odruchów. Trzeba było wzbogacić oprogramowanie. Tutaj przydały się twoje kody. Przez dłuższy czas wszystko było okej, ale... Miesiąc temu boty zaczęły się zachowywać nieprzewidywalnie. Dwa tygodnie temu prawie połowa uciekła. Dlaczego? Nikt nie wie. Ty masz to wyjaśnić. Przekażę ci dokumenty z opisem przeprowadzonych eksperymentów, pliki z kodami, wideo z testów oraz inne materiały. Możesz pytać, o co tylko chcesz. Ale na dzisiaj dosyć. Chodźmy już stąd.

Neurochemik odwrócił się i skierował do wyjścia.

– Tutaj obok powinni być Takeda i Ermglen. Młodszy Japończyk wprowadza fizjologa w całą sprawę. Przyłączymy się do nich, ponieważ jest jeszcze jedna kwestia, którą Stefan objaśni ci lepiej ode mnie.

XXXVI

Ralf wrócił z Tymurem do kawiarni w EN-3, skąd rozpoczęli wycieczkę. Tam czekali na nich Katsuro Takeda i Stefan Ermglen. Twarz Szweda miała typowy dla Skandynawów obojętny wyraz, więc trudno było powiedzieć, jak zareagował na opowieść Japończyka. Tymur miał wrażenie, że worki pod oczami fizjologa pociemniały, chociaż przyczyną mógł być po prostu zły sen, a nie historie o okrucieństwach stosowanych wobec niemowląt w NGF-Lab.

Z daleka młody Japończyk i Szwed wyglądali jak lekarze, którym między obchodem na oddziale udało się wyrwać na papierosa i trochę poplotkować. Obok każdego z nich stał plastikowy kubeczek, nieco dalej na stole leżał biały kask z czarną tarczą przeciwsłoneczną, przypominający kask pilota współczesnego myśliwca.

– Witajcie! – Katsuro pomachał im, gdy tylko Kanadyjczyk i Ukrainiec przekroczyli próg. – Weźcie kawę i przyłączcie się do nas.

Katsuro i Stefan przesunęli się, robiąc miejsce nowo przybyłym. Czterej mężczyźni usadowili się przy jednym stoliku.

– Jak się czujesz? – spytał Ralf Japończyka.

– Wspaniale, Ralfie, dziękuję. – Katsuro odwrócił się do Tymura. – A co u pana?

Zapadło milczenie. Ralf Doernberg mieszał łyżeczką cukier, nie podnosząc oczu znad filiżanki.

– Jestem pod wrażeniem – odrzekł programista.

Katsuro sprawiał wrażenie apatycznego, ale coś dziwnego migotało w jego skośnych oczach. Sięgając po cukier, Tymur zauważył, że zamiast kawy w filiżance Japończyka znajduje się woda.

– A co konkretnie pana poraziło? – chciał wiedzieć Takeda.

– Wszystko – padła nieprecyzyjna odpowiedź.

– Interesujące... Bardzo ciekawe... Wie pan już, jak można naprawić naszą... mm... sytuację? Ma pan jakiś pomysł?

– Nie mogę powiedzieć nic konkretnego, dopóki nie zobaczę kodu.

– Oczywiście. Ale czy jest pan gotów nam pomóc?

Tymur wyczuł, że Ralf się nastroszył, nie odrywając oczu od kawy.

– Tak. – Chłopak powstrzymał się, by nie rzucić od razu: „Chyba mam wybór?”.

– Wspaniale! – Katsuro patrzył nieobecny wzrokiem. Czegoś tu brakowało. Nieuchwytnego, ale bardzo ważnego. Wydawało się, że jego oczy należą do kogoś innego. Mężczyzna kręcił głową, poruszał nią z góry na dół, ale jego wzrok pozostawał nieruchomy. – Tymurze, proszę się częstować ciastkami. Obiecuję solennie: jest to ostatnia informacja na dzisiaj.

Tymur upił łyk kawy. Japończyk zaczął mówić:

– Są trzy rzeczy związane z botami, o których musi pan wiedzieć, zanim przystąpi do pracy. Opowiadam o nich dopiero teraz, aby pan dobrze zapamiętał... Po pierwsze, boty działają tylko w nocy. W ciągu dnia ich aktywność się zmniejsza. Domyśla się pan dlaczego? Nie? Zasad zachowania energii nikt nie unieważnił. Jak każdy procesor skupiska nanorobotów przylegające do płatów mózgowych emitują ciepło. Cyrkulacja krwi nie jest w stanie ich schłodzić. Żeby mózgi botów się nie zagotowały, ciepło należy odprowadzać. Przejrzeliśmy masę rozwiązań technicznych, lecz nie wymyśliśmy nic lepszego i poprzestaliśmy na tym. – Katsuro sięgnął po kask i wcisnął jakiś niezauważalny przycisk w części czołowej. – Opracowywał go Allan. – Japończyk popchnął kask w stronę Tymura. – Może pan spróbować.

Programista wziął kask do rąk i włożył go na głowę. W tej samej chwili jego uszy, skronie i ciemię przeniknął chłód.

– Sztuczne chłodzenie. – Tymur nie był zdziwiony.

– Tak – potwierdził Katsuro. – Oprócz tego między innymi noktowizor, plany miejscowości wyświetlane wprost przed oczami i ochrona przed odłamkami. Boty nie muszą używać takich kasków, pod warunkiem że temperatura powietrza nie będzie przewyższała dwudziestu dwóch stopni Celsjusza lub maksymalnie dwudziestu ośmiu, przy dobrej konwekcji. W przeciwnym razie nastąpią przegrzanie, szok i bolesna śmierć.

– Wczoraj zaatakowały za dnia – zauważył Tymur, zdejmując kask z klimatyzacją.

Katsuro się wzdrygnął i zaczął pocierać lewą skroń.

– Atak przeprowadziły po zachodzie słońca. Przez cały dzień wiał silny wiatr, który pozwalał botom snuć się po pustyni.

– No dobrze...

– Po drugie – skwapliwie zmienił temat Japończyk – w normalnych warunkach bota praktycznie nie można zastrzelić.

Tymur i Stefan spojrzeli na siebie z powątpiewaniem.

– Chyba przeholowaliście – powiedział Szwed. – Jak to możliwe?

– Okej. – Katsuro się odchylił. – Źle się wysłowiłem. W normalnych warunkach bota praktycznie nie można trafić.

– Dlaczego?

– Jedna z bazowych procedur mózgowego procesora skupiska nastawiona jest na regularną stymulację jąder podstawnych, pełniących funkcje związane z kontrolą ruchów, procesami poznawczymi, emocjami i uczeniem się. Dzięki temu działania botów osiągnęły niewiarygodnie wysoki poziom. Kule ich się praktycznie nie imają.

– Nie do pomyślenia! – zawołał Stefan.

– Nie planowaliśmy tego. Sami osłupiliśmy, gdy wyszło to na jaw. Trzy lata temu dwa boty odłączyły się od grupy podczas treningu i rzuciły na laboranta, biorąc go za manekin. Biedak miał pistolet nabity gumowymi kulami, ale one nawet nie zadrapały napastników. Pomyśleliśmy, że Chilijczyk spudłował, bo był zdenerwowany, lecz niedługo potem przeprowadziliśmy eksperyment, polegający na zastrzeleniu „malców” z broni pneumatycznej, i co się okazało? Kiedy tylko boty zrozumiały, że będą ostrzelane, sprawiły, że bardzo trudno było w nie trafić. Zapamiętajcie sobie: boty można postrzelić, ale tylko wówczas, gdy strzelec *nie znajduje się* w polu ich widzenia. Kiedy oglądaliśmy nagrania z przeprowadzonych eksperymentów w zwolnionym tempie, wykryliśmy, że boty zaczynają reagować o milisekundy wcześniej, zanim strzelający naciśnie na spust. Nie wiadomo, jak określają moment wystrzału. Może po oczach, a może rejestrują prawie niezauważalne kurczenie się mięśni, które poprzedza naciśnięcie spustu. Tak czy owak, gdy wiedzą, jak skierowana jest lufa broni, obliczają trajektorię lotu pocisku i... umykają.

– Przypuszczam, że ochrona otrzymała po tym eksperymencie broń w postaci dubeltówek z nabojami z grubym śrutem – dorzucił Tymur.

Katsuro nawet nie starał się ukryć zdziwienia.

– Ten młokos potrafi ruszyć mózgownicą!

– Nie da się ukryć – potwierdził Ralf. – Jest spostrzegawczy.

– Chcę, żebyście zapamiętali... – Japończyk się zawahał – ...one dziś przyjdą i... – Odetchnął głośno i głęboko. – Każde z was dostanie broń. Nie chcę, żebyście tracili naboje, strzelając do wszystkiego, co się rusza. Sprawdzajcie. Nie dajcie się nabrać na ich niewinny wygląd, w nocy nikt z nas nie ma z nimi szans. Działajcie podstępnie.

Tymur poczuł, jak chłód ściska jego wnętrzności mocną obręczą. Poza laboratorium czekała okrutna rzeczywistość. Przez dwadzieścia lat w jego murach prowadzono tajemnicze prace. Grupa fanatyków próbowała zrealizować na wpół zwariowany pomysł, nie podejrzewając, że uwalnia dzinna z butelki. A teraz ten dzinn szaleje na zewnątrz. Coś, z czymś, chcąc nie chcąc, trzeba będzie się zmierzyć.

– Katsuro – zaczął chłopak – skąd pewność, że one przyjdą?

– Przychodzą każdego dnia, odkąd uciekły.

– Dlaczego?

– Mamy coś, czego potrzebują. Otóż, jest to trzecia rzecz, o której powinien pan wiedzieć.

– Zamieniam się w słuch. – Tymur przysunął się bliżej. Na jedną sekundę jego uwagę zwrócił plastikowy kubek Japończyka, w którym, jak wcześniej spostrzegł, znajdowała się zwykła woda... Dlaczego woda? Dlaczego nie kawa?

– Hormon. Boty będą przychodziły, dopóki go nie zabiorą. Bez niego po prostu zdechną. – Katsuro skierował spojrzenie na szwedzkiego fizjologa. – Teraz ty, Stefanie.

Stefan Ermglen wytarł ręce o koszulę, tak jak to robią mali chłopcy, i odkaslnął, zastanawiając się jednocześnie nad odpowiedzią.

– Wśród licznych chorób jest pewne endokrynologiczne schorzenie o nazwie choroba Addisona, inaczej zwana cisawicą. Spowodowana jest ona przewlekłym niedoborem hormonów produkowanych przez korę nadnerczy, w szczególności aldosteronu. Zwykle rozwija się powoli, w ciągu kilku miesięcy, czasami w ciągu kilku lat. – Ermglen opanował zakłopotanie i kontynuował już pewniej: – Objawy mogą być niezauważalne i nie występują, póki człowiek nie przeżyje jakiegoś stresu bądź nie dopadnie go choroba, która spowoduje zwiększenie zapotrzebowania organizmu na kortykosteroidy[57].

– Bez szczegółów, proszę – przerwał Katsuro – nie jesteś na konferencji naukowej.

– Okej, przepraszam. Objawy choroby Addisona to słabość mięśni, niskie ciśnienie, nudności, bóle żołądka. Chory wpada czasem w depresję. W oddzielnych, rzadkich przypadkach symptomy pojawiają się niezwykle szybko. Taki stan spowodowany jest niewydolnością kory nadnerczy i nazywa się kryzysem Addisona. Jest on niezwykle niebezpieczny. Objawy są oczywiste: nagły ból w plecach i w brzuchu, ostra biegunka, która powoduje odwodnienie i szok, gwałtowny spadek ciśnienia, psychoza. Wszystko to prowadzi do zapaści. Jeżeli na czas nie zostaną podane odpowiednie środki, pacjent umrze. To wszystko, co chciałem powiedzieć – zakończył lekarz.

Katsuro Takeda podziękował Szwedowi i wrócił do swojego wątku:

– Kiedy projektuje się niebezpieczny pod względem technologicznym obiekt, na przykład elektrownię atomową, okręt podwodny z napędem atomowym czy coś w tym rodzaju, inżynierowie zawsze przewidują środki bezpieczeństwa w razie maksymalnej awarii projektowej (MAP). Będąc świadomym, że obiekt naszych doświadczeń niesie ze sobą potencjalne zagrożenie, Keitaro Roka nie stanowił wyjątku, też zadbał zawnazu o podjęcie koniecznych środków ostrożności. Maksymalną awarią projektową przy projekcie NGF jest odmowa botów do podporządkowania się i ich uciezka. Właśnie to, co mamy dzisiaj. Keitaro rozważał taką możliwość. W komórkach zarodkowych przyszłych botów został przytłumiony gen odpowiadający za wytwarzanie aldosteronu. Kora nadnerczy „malców” nie produkuje tego hormonu. Od urodzenia stale im się go aplikuje. Bez tego nie przeżyją.

– To znaczy jeżeli ich się nie złapie i nie poda im się hormonu, to po jakimś czasie umrą? – skonstatował Tymur.

– Bezwzględnie tak. Hormon należy wstrzykiwać raz na dwadzieścia dziewięć dni. Kolejna iniekcja jest zaplanowana na dwudziestego czwartego sierpnia. Po tym terminie można będzie poczekać najwyżej trzy doby. Jeżeli w tym czasie nie podamy im hormonu, stracimy czterdzieści procent populacji. Powinniśmy dołożyć wszelkich starań, by do dwudziestego siódmego sierpnia boty wróciły do „Żłobka”. Tymurze, chcę, by zaczął pan już dzisiaj.

– Jedenaście dni... – szybko policzył programista.

– Musi się pan postarać.

XXXVII

Po naradzie Ralf i Tymur poszli z powrotem do bloku mieszkalnego.

– A jeżeli mi się nie uda, co się wtedy stanie? – zainteresował się Ukrainiec.

– Słyszałeś, w najgorszym wypadku boty padną jak muchy z powodu kryzysu Addisona. Ale nie można do tego dopuścić. Miliardy dolarów wyrzucone w błoto. Nie mamy pieniędzy, żeby wyhodować jeszcze jedno pokolenie... Tobie może być wszystko jedno, ale mnie i obu Japończyków zetrą na proch.

Zadając to pytanie, Tymur chciał wiedzieć, co się z nim stanie, jeśli się nie upora lub nie zechce się uporać z zadaniem. Na szczęście Kanadyjczyk go nie zrozumiał. Chłopak się zreflektował i postanowił nie poruszać na razie tego wątku.

– I jeszcze jedno.

– Tak?

– Kim jest Hort i do czego im jest potrzebny?

Ralf zrobił długą pauzę.

– Wadim Hort to programista. Również z Ukrainy i również pracował nad projektem. Wraz z materiałami dotyczącymi botów otrzymasz jego CV i biografię.

– Jest tutaj? – Na samą myśl o spotkaniu z rodakiem Tymur się ożywił.

– Nie. – Naukowiec się zmieszał. – Nie licz na Horta. On zginął...

Chłopak zamarł.

– Jak...?

– Podczas wypadu na pustynię. Wadim pierwszy rzucił się w ślad za uciekinierami.

– Nie rozumiem. Jeżeli boty zabiły Horta, to dlaczego próbują nawiązać z nim kontakt?

Kanadyjczyk zatrzymał się i pochylił głowę, przysłaniając dłonią wargi i podbródek, dokładnie jak słynny *Mysłiciel*[58].

– Nie wiem, Tymurze. Ani ja, ani Keitaro nie mamy zielonego pojęcia. Od czasu swojej ucieczki boty nieraz wprawily nas w zdumienie, i właśnie to

martwi nas najbardziej.

XXXVIII

Niedziela, 16 sierpnia, 13.18 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

– Szukałem cię.

Steirmann był podobny do kartonowego manekina, wyciętego z okładki czasopisma „Forbes” i ustawionego na pustyni. Elegancki garnitur (choć bez kamizelki). Wyglansowane buty. Wypomadowane czarne włosy, starannie zaczesane do tyłu. Niedorzeczny obrazek, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Ja ciebie też – nie spieszył się Tymur.

– Co? – Zdziwiony Chilijczyk zmrużył oczy.

– Nic, Oscarze. – Coś w środku podpowiadało chłopakowi: „Trzymaj język za zębami”. – Do czego jestem ci potrzebny?

– Rozmawiałeś z Ralfem. Wszystko ci opowiedział?

– Wszystko, co uważał za niezbędne.

– I co o tym myślisz?

Myślę, że jesteście gorsi niż faszyci i wszyscy skończycie przed międzynarodowym trybunałem, który skaze was na usmażenie na krześle elektrycznym.

– To wielka sprawa. Robi wrażenie. Milowy krok.

– Nie jestem głupi, Ukraińcu. – Oscar protekcjonalnie się uśmiechnął. – Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale pamiętaj jedno: jesteś zobowiązany wykonać swoją pracę. Nie masz dokąd uciec. Znajdujemy się pośrodku pustyni, *amigo*, a tu nie ma miejsca na etykę, sprawiedliwość czy miłosierdzie. Setki ludzi konało w piasku, przeklinając dzień, w którym tutaj trafili. Nie chcę, byś stał się jednym z nich. Do moich obowiązków należy pilnowanie, by informacja o projekcie NGF nie wyciekła na zewnątrz, dlatego uprzedzam cię oficjalnie...

Obok mężczyzn przeszły, nie zatrzymując się, Rebecca i Alondra; pracownicy schodzili się powoli do jadalni na obiad. Becca uśmiechnęła się

i pomachała Tymurowi. Chłopak ledwo skinął głową.

Steirmann skrzywił się. Był bardzo niezadowolony. Poważna rozmowa się nie udała.

– Podejź tu. – Podprowadził Tymura do okna, które wychodziło na południe. – Widzisz to wzniesienie? – Za boiskiem sportowym, w pobliżu bloku mieszkalnego widniał podłużny pagórek, wysoki na pół metra. – Tam jest zakopany indyjski programista, który zdecydowanie odmówił współpracy i uparcie nalegał na zerwanie kontraktu.

Tymur wydawał się obojętny. Starał się dociec, czy Steirmann blefuje, czy nie.

– Zapomnij o kontrakcie – kontynuował Oscar. – Dostaniesz pieniądze tylko wtedy, gdy bezwzględnie wykonasz polecenia, nie wtykając nosa w nie swoje sprawy. Zapamiętaj sobie najważniejsze: odjedziesz stąd nie wtedy, kiedy złapiemy boty, i nawet nie wtedy, kiedy uciekinierzy zginą, ale tylko wówczas, gdy ja na to pozwolę. Zapamiętałeś?

Tymur podniósł oczy na Chilijczyka i oznajmił jakby nigdy nic:

– Potrzebuję dostępu do internetu.

– Ty... – Steirmannowi odjęło mowę. Czuł, że traci panowanie nad sobą. Złościł się. Wiedział, że Korszak miał więcej powodów, by się wkurzać, a to jeszcze bardziej go irytowało. – Czy ty jesteś z drewna? Komu ja to wszystko mówiłem?

– Chcę napisać e-mail do swojej dziewczyny, że doleciałem szczęśliwie. Obiecałem jej to. – Chłopak udawał durnia, jeszcze bardziej denerwując Chilijczyka.

– A idź ty z tą swoją dziewczyną! Keitaro zabronił jakichkolwiek kontaktów ze światem zewnętrznym, dopóki nie poskromimy botów.

– Możesz mi towarzyszyć, gdy będę pisał list. Przetłumaczę tekst na hiszpański w translatorze Google.

– Pieprz się!! – krzyczał Oscar. – Ty idioto! Jeżeli jeszcze raz usłyszę od ciebie coś podobnego, spoczniesz obok Hindusa, o tam, za boiskiem! Przysięgam!

Tymur zaryzykował i zapytał spokojnie:

– Chcesz, żebym powtórzył te słowa Keitarowi?

Steirmann poczerwieniał i zamilkł. W skroniach pulsowała mu krew.

– Nie szalej. – Tymur wydawał się beztrojski, chociaż w środku aż się gotował. – Zrozumiałem i będę miał na uwadze to, co mi mówiłeś. A teraz rób, co chcesz, ja idę na obiad. – Odwrócił się.

„...gdy ja na to pozwolę” długo jeszcze brzmiało w jego uszach.

– Zobaczymy, jak zaczniesz śpiewać, kiedy nadejdzie czas, żeby wyjechać z NGF-Lab – wysyczał w ślad za nim Steirmann.

Oscar nie mógł przewidzieć, że gdy przyjdzie moment opuszczenia laboratorium, jego nie będzie już wśród żywych.

XXXIX

Niedziela, 16 sierpnia, 19.21 (UTC +2)
Kijów, Ukraina

Z zaciśniętymi ustami Alina zerkała na telefon. Komórka natrętnie wibrowała i sunęła po stole, wydając nieprzyjemne dźwięki, podobne do tych przy wierceniu zęba u dentysty, i drgając.

Nie mogła po raz trzeci zignorować dzwonka.

– Mama? Słucham cię.

– Córeczko! Nareszcie się odzywasz! Dzięki Bogu! Co u ciebie?

– Wszystko w porządku, mamó.

– W porządku?! Czy to prawda, co opowiedział mi tato?

Każdą trudną kwestię Alina omawiała najpierw z ojcem. On zawsze reagował rozsądniej i przekazywał mamie informacje w złagodzonej formie, ratując jej serce przed zawałem.

– Nie wiem, co ci opowiedział.

– Że ten baran cię rzucił i ślubu... ślubu... – w słuchawce rozległ się zgrzyt zębów – ...ślubu nie będzie.

– Tymur nie jest baranem. Zaproponowali mu bardzo dobrą pracę, więc był zmuszony wyjechać na dwa miesiące do Ameryki Południowej. Ślubu nie odwołujemy, przenosimy go tylko na... na październik. – Dziewczyna ledwo

się powstrzymywała, by nie rzucić słuchawką. Czekają ją jeszcze mnóstwo rozmów na ten temat.

– Alino, nie tłumacz go! Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Trochę dłużej żyję na tym świecie, dlatego wiem lepiej! Wiem! – Znowu dało się słyszeć wściekłe zgrzytanie. – Ten dupek na pewno nigdzie nie pojechał. Na pewno tarza się teraz w objęciach jakiejś dziwki! Bydlę!!!

– Mamo, proszę cię. Sama odprowadziłam Tymura na samolot.

– No i co z tego? To jeszcze nic nie znaczy. Jak to w ogóle jest możliwe, żeby zostawiać narzeczoną miesiąc przed ślubem? Nawet jakby proponowali miliony, to kto to widział? Czekaj. Odprowadzałaś go? Aż na lotnisko?! Sama jesteś sobie winna! Obchodzisz się z nim jak kura z jajkiem, a on... on cię olewa! Boże, Alinko, ja bym go zabiła. Ciocia Halina od razu powiedziała, że wszyscy programiści to głupki. Mają w głowie tylko te durne wzory... I płodzą koszarne dzieci.

Alina postanowiła nie odpowiadać, licząc na to, że matka szybciej się uspokoi. Skutek okazał się odwrotny do zamierzonego.

– Alinko? Córeczko, dlaczego milczysz? Czy wszystko w porządku? Chcesz, przyjadę do ciebie. Masz nalewkę walerianową?

– Mamo, nie jest mi potrzebna żadna nalewka walerianowa! Nie używam środków uspokajających! I wszystko u mnie w porządku!

– Przyjadę...

– NIE!!!

Ze słuchawki dobiegło znaczące westchnienie.

– Najważniejsze, żebyś tak bardzo nie przeżywała. Popłacz sobie, to pomoże, ale nie myśl o tym draniu. I niech mi się na oczy nie pokazuje. Nie jest cię wart. A co do ślubu, to jeszcze pomyślę.

Alina straciła cierpliwość.

– Wybacz, mamo, ktoś do mnie dzwoni. To z pracy. Muszę oddzwonić.

– Z jakiej pracy? Przecież dziś niedziela.

– Pa. – Dziewczyna przerwała połączenie, nie udzielwszy odpowiedzi.

Mogła żarliwiej bronić Tymura. Na ogół z łatwością udawało jej się przeciągnąć matkę na swoją stronę. Tym razem jednak argumentów było za mało, ale czy kobiety podczas sprzeczki używają argumentów? Tak naprawdę

Alina nie ujęła się za narzeczonym. Po prostu nie mogła tego zrobić. Od czasu wyjazdu Tymur nie napisał do niej ani linijki...

Od rana przeszukiwała internet i drżąc ze strachu, wyszukiwała w wiadomościach wszelkich informacji o zniknięciu samolotu czy o katastrofie lotniczej. To mogłoby usprawiedliwić milczenie ukochanego. Nadszedł wieczór, a ona niczego nie znalazła. Z jednej strony to ją cieszyło, z drugiej zaś oznaczało, że samolot szczęśliwie wylądował w Santiago de Chile. Tymur nie dawał znaku życia od czterdziestu ośmiu godzin.

Alina czuła się tak, jakby jej dawno stuknęła osiemdziesiątka: słaba, apatyczna, zniechęcona. Nienawidziła się za to. Nienawiść i urażona duma podchodziły jej do gardła, powoli wylewały się i spływały na Tymura. A on się nie odzywał. Może mama ma rację, może rzeczywiście zdecydował się zerwać z nią w taki debilny sposób? Kto ich tam wie, tych programistów.

Tego wieczoru jeszcze zdołała zasnąć. Jakaś część jej jestestwa wierzyła, że gdy się obudzi następnego dnia, to znajdzie na poczcie mnóstwo e-maili od Tymura, które z przyczyn technicznych nie trafiły na serwer. Albo on zatelefonuje do niej. Albo...

W tym samym czasie Ała Fedoriwna, matka Aliny, nie siedziała z założonymi rękami. Cztery lata temu, kiedy jej córka zaczynała się spotykać ze zniechęconym programistą, o względy Aliny starał się Denis, syn koleżanki, młody i dobrze zapowiadający się prawnik z urzędu miasta Kijowa. Jego wadę w postaci nieproporcjonalnie wielkiego tyłka kompensowały inne cenne zalety: nowiutki SUV mazda CX-7, dwupokojowe mieszkanie przy ulicy Horodeckiego, kilka milionów hrywien na koncie oraz umiejętność postępowania z bardzo drażliwymi, płaczącymi mamuškami. Poważny, stateczny kawaler, który miarowo i spokojnie szedł przez życie.

Denis szybko stał się kandydatem na zięcia numer jeden. Alina poszła na pierwszą (i ostatnią) randkę, po której skończyła spotykać się z prawnikiem. Sprawa jednak szybko wyszła na jaw, Denis rzeczywiście wpadł i zaczął zasypywać dziewczynę kwiatami i prezentami. Szukał kontaktu z nią, póki nie nadział się na Tymura. Wszystko zakończyło się pokojowo, chociaż Tymur jeszcze długo zrzędził i złościł się na swoją dziewczynę...

Ała Fedoriwna otworzyła notes. Nie zdołała opanować sztuki zapisywania numerów telefonów w komórce, dlatego do tej pory używała notatnika. Było to bardzo staroświeckie, owszem. Ale pewne. Kobieta znalazła odpowiedni zapis i wybrała numer.

– Denis? Dzień dobry, Denisie – przywitała się słodkim głosem. – Mówi Ała Fedoriwna, mama Aliny. Przepraszam, że niepokoję... Tak, tak... Och, dziękuję! A ja mam dla pana interesującą wiadomość...

ŚLEPY ZAULEK

XL

Niedziela, 16 sierpnia, 14.48 (UTC -4)
EN-2, drugi blok inżynierski

Później tego samego dnia Ralf Doernberg znów zaprowadził Tymura do drugiego bloku inżynierskiego. Minęli „Żłobek” i skierowali się od razu do pracowni programistycznej. Za rozsuwanymi drzwiami, opatrzoną tabliczką: PRACOWNIA PROGRAMOWANIA, znajdowało się obszerne pomieszczenie zastawione stacjami roboczymi i różnymi skomplikowanymi urządzeniami elektronicznymi.

– To jest pracownia programistyczna? – Tymur się rozejrzał.

– Tak – odpowiedział profesor, zamykając drzwi.

– A co jest tam? – Wzdłuż ściany w głębi pracowni stał rząd foteli z kajdankami umocowanymi do oparcia i przednich nóg. Nad niektórymi fotelami umieszczone były cylindryczne urządzenia podobne do suszarek do włosów.

– Stymulatory magnetyczne. Dodatkowe metody oddziaływania na bota. Jeżeli bot radzi sobie z zadaniem, sadzamy go w fotelu bez tej konstrukcji nad głową i poprzez głaskanie i pieszczoty pobudzamy ośrodek przyjemności[59] w mózgu. „Malec” odczuwa ogromne zadowolenie. Jeżeli tak się nie stanie, umieszczamy go w „fotelu pokuty”.

– I co wtedy?

– Głowa bota trafia w pole działania pola magnetycznego. Co prawda, nie tak silnego jak podczas rezonansu magnetycznego, ale wystarczającego, by poruszyć skupiska nanorobotów. Nanoroboty mogą się łączyć i rozdzielać, lecz od dendrytu oderwać się nie mogą. Bot odczuwa straszny ból.

– A po co karać? Przecież wy je kontrolujecie.

– Niezupełnie. Mniej więcej w piętnastu przypadkach na sto boty odmawiają wykonywania nawet podstawowych poleceń. Mózgowy procesor wysłał rozkaz, a bot się nie podporządkowuje. Blokuję impuls. Przyczyny nie udało nam się ustalić do tej pory. Zdarzało się, że po dziesięciu udanych powtórzeniach jakiejś operacji bot nagle się zapierał i nie chciał wykonać tej samej czynności po raz jedenasty. W związku z tym zdecydowaliśmy się na zastosowanie dodatkowych bodźców.

Tymur się odwrócił, żeby Ralf nie zobaczył jego twarzy.

– Siadaj. – Profesor zaprosił chłopaka gestem. – Przygotowałem wszystkie niezbędne materiały. Do jutra do południa trzeba wszystko przejrzeć. – Ralf podłączył zewnętrzny dysk do jednego z komputerów. – Na początek wideo, na którym została zarejestrowana ucieczka.

Poszukując potrzebnego pliku, Kanadyjczyk kontynuował:

– Boty nie otrzymują posiłków w celach. Jedzą wszystkie razem. W drugiej części tego skrzydła mieści się jadalnia o powierzchni dwustu metrów kwadratowych i wysokości sześciu metrów. Boty zbierają się tam dwa razy dziennie: w porze lunchu i wieczorem, na kolację. Niezrozumiałe zajścia miały miejsce po raz pierwszy jakieś dwa lata temu, ale zdarzały się rzadko. Sytuacja wyraźnie się zaostrzyła miesiąc temu. Zaczęło się właśnie od jadalni. Trzydziestego pierwszego lipca boty wróciły z ćwiczeń polowych. „Malców” wykapano, a potem zaprowadzono na posiłek. Jak zwykle. Najpierw zjedli posiłek, a potem... zabili dozorcę i zablokowali wejścia do pomieszczenia. Następnie uczynili coś takiego...

Ralf Doernberg otworzył plik. Nagranie było czarno-białe, dość dobrej jakości.

Setka botów przewraca ławki i kieruje się do wejść prowadzących do jadalni. Blokują drzwi. Malcy ruszają się szybko, zdecydowanie. Każdy wie, dokąd ma biec i co robić. Ani razu nie wpadli na siebie, ani razu sobie nie przeszkodzili.

Tymur wydał dolną wargę ze zdziwienia. Po raz pierwszy obserwował wszystkie boty naraz. Od jednakowych twarzy aż mieniło się w oczach.

W ciągu zaledwie kilku sekund przyciągnęli ławki i poukładali je obok drzwi, po czym zebrali się pod południową ścianą, w której nie było okien. Piętnastu chłopców utworzyło zwarty rząd, ręce oparli o ścianę. Za nimi ustawił się kolejny rząd. Ci, co byli z tyłu, położyli ręce na ramionach malców

stojących przed nimi. Na ich plecy wdrapały się inne boty, prostując się i balansując na ramionach tych, które były na dole. Jedną ręką opierały się o ścianę, drugą trzymały się ramienia sąsiada... W ten sposób boty budowały piramidę z własnych ciał, sięgającą do sufitu. Ścisłe mówiąc, nie do sufitu, lecz do włazu w suficie.

Tak samo jak wcześniej ich działania były precyzyjne, zaplanowane. Żadnego zbędnego ruchu.

– Niewiarygodne – wyszeptał Tymur.

Niedługo potem budowa piramidy została zakończona. Trzy rzędy botów stanęły jeden na drugim. Łącznie sześćdziesięciu trzech chłopców. Po ich plecach pozostali malcy wleźli, jak mały po zboczu pagórka, do otworu w suficie.

– Właz był otwarty – wyjaśnił zdenerwowany Ralf. – Z zewnątrz nie da rady się tu dostać, za to od wewnątrz łatwo go otworzyć. Nikt nawet nie pomyślał, że ktoś zdoła sięgnąć do tego otworu.

Czterdziesty pierwszy wlaźł po piramidzie. Czterdziesty drugi podciągnął się i sam przelazł przez otwór w suficie. Reszta została w sali. Boty bardzo dobrze wiedziały, ile z nich może się wydostać na zewnątrz. Dlatego piramida natychmiast się rozpadła. Te, które zostały, zgromadziły się pośrodku pomieszczenia, czekając, jak skazańcy, na przybycie ochroniarzy.

W głowie Tymura przemknęła myśl, że „malcy” byli podobni do mrówek. Istot, którymi kieruje wyższy rozum. Każdy bot miał swoje wyznaczone miejsce w piramidzie. I kiedy ostatni, czterdziesty drugi, zniknął w otworze, piramida się rozpadła. Boty wiedziały, że nikt więcej nie da rady... Byłoby może inaczej, gdyby już wtedy Tymur przydał tym faktom znaczenia. Ale on był programistą, człowiekiem, który zwykł otrzymywać logiczne odpowiedzi na logiczne pytania i nie miał w zwyczaju kierować się w życiu intuicją.

– Dlaczego nie użyły stołów? Wtedy mogłoby ich uciec więcej.

– Stoły są przykręcone do podłogi.

– A gdzie wy byliście w tym czasie?

– Za ochronę odpowiadali Chilijczycy. – Chude palce profesora drgały nerwowo; stres spowodowany wydarzeniami sprzed dwóch tygodni do tej pory dawał mu się we znaki. – Najpierw Keitaro i ja postanowiliśmy je powstrzymać. Kiedy zrozumieliśmy, co zaplanowały, i przypuściliśmy szturm na jadalnię, było już za późno.

Poprzedni widok na ekranie zastąpił widok podwórza. Obraz był rejestrowany od razu przez cztery zewnętrzne kamery. Pomagając sobie nawzajem, boty ześlizgiwały się na piasek po zachodniej ścianie drugiego bloku inżynierskiego. W tym samym czasie z bloku mieszkalnego wyskoczyło pięciu uzbrojonych Chilijczyków i popędziło, aby je przechwycić.

– Wysłaliśmy żołnierzy, by zastąpili im drogę, gdy boty zsunęły się z dachu. To był ogromny błąd.

Broń palna nie stanowiła dla botów żadnej przeszkody – błyskawicznie pozbyły się ochroniarzy. Tymur nigdy jeszcze nie widział, żeby tak szybko zabijano ludzi. Czterdziestu dwóch chłopaczków po prostu rozszarpało Chilijczyków na kawałki.

– Trzech zginęło od razu. Rozdarły ich w taki sposób, że nie dało się zidentyfikować, kto jest kto. Czwarty zmarł nad ranem w szpitalu. Piąty doznał urazów, które spowodowały paraliż do końca życia. Jednemu z ochroniarzy boty zabrały klucz elektroniczny. Otworzyły niewielką zewnętrzną bramę i wydostały się na pustynię. – Kanadyjczyk westchnął. –

Spodziewałem się, że się zatrzymają. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak będą mogły samodzielnie egzystować na Atakamie.

Obraz znowu rejestruje jedna kamera. Tabun botów ucieka na pustynię. Migają nogi, w powietrzu unoszą się tumany kurzu. Przypomina to bieg maratoński.

– Niektóre miały na głowach elektroencefalografy – ciągnął Ralf. – Za pomocą tych urządzeń prowadzono całodobową obserwację i pomiary poszczególnych mózgów. Przeanalizowaliśmy aktywność mózgów botów podczas ucieczki. Mam na myśli aktywność żywej, nie mechanicznej części ich mózgowia.

– I?

– Zero. Kompletne zero. Impulsy, które nimi kierowały, nadeszły ze skupisk nanorobotów.

– Czyli ktoś zaprogramował ucieczkę?

– Nie i nie. Wykluczone. Nie widzę ku temu żadnego powodu; poza tym nie znam nikogo, kto mógłby zaprogramować tak skomplikowaną operację. Podczas treningów „malcy” ledwo dawali sobie radę ze zmasowanym atakiem na umocniony budynek. Wystarczyło usunąć osłony elektrycznego ogrodzenia, aby boty, ujrzawszy inny świat, zaczynały wyczyniać diabli

wiedzą co. Gdyby się nawet komuś zachciało zorganizować ich ucieczkę, to... to byłoby niemożliwe. W chwili obecnej po prostu nie wiemy, jak zrealizować coś podobnego w praktyce.

– No to jakim cudem tego dokonali? – Chłopak wskazał palcem ekran. – Na podstawie tego, co zobaczyłem i co zdążyłem odczuć na własnej skórze, wnioskuję, że wasi „malcy” zachowują się jak istoty rozumne. I to bardzo rozumne.

– Zaczęli tak się zachowywać, gdy tylko wyrwali się na wolność – ze złością odparł Ralf. – Nikt do dziś nie ma pojęcia dlaczego.

– Czy mogę przejrzeć kod programu, który był aktywny podczas uciezki?

– Niestety, nie jesteśmy w stanie obserwować procesów uruchomionych w skupiskach nanorobotów. To jest niezwykle skomplikowane, operacja wymaga specjalnych urządzeń i może być prowadzona wyłącznie w warunkach laboratoryjnych. Encefalografy utrwalają tylko ogólną aktywność.

– Czyli kod binarny, który działał podczas budowy piramidy, jest niedostępny?

– Zgadza się.

– Jesteście ponadto przekonani, że impulsy, które kierowały ucieczką, pochodziły ze skupisk?

– Tak. Właśnie dlatego zaprosiliśmy cię tutaj, Tymurze. Jedyne oprogramowanie, które zawsze pozostaje w skupiskach, to jądro twojego programu. Służy za bazę ich wspólnego zachowania, nigdy go nie ruszaliśmy.

– Jakiś absurd! – zawołał Tymur. – Programuję boty, czyli postacie do gier komputerowych. A to, co pokazaliście, to efekt pracy *intelektu*. Boty go nie mają. Nawet mimo że przybrały realne kształty! Mój algorytm przewiduje konkretne działania w konkretnych warunkach. Nic ponadto. Proszę zrozumieć podstawową różnicę między grą a życiem: twórca botów do gier jest równocześnie *twórcą świata*, w którym one działają. Nie możecie wziąć botów z pustyni i po prostu wypuścić ich do świata zewnętrznego, bo *nie wy stworzyliście ten świat*. Program sterujący będzie się bez przerwy zawieszał.

– Na początku tak właśnie było. Boty były trochę... hm... tępawo, a potem wydarzyło się to, co miałeś „przyjemność” oglądać przed chwilą na nagraniu.

Ralf Doernberg po raz drugi uruchomił urządzenie. Tymur poprosił:

– Potrzebuję nagrań wideo tych działań, w których botom był przypisany szczegółowy kod programowy.

– Mamy takie – odpowiedział naukowiec bez wahania. – Dwa i pół roku temu przyjmowaliśmy oficjalną delegację z Pentagonu. Generałowie przeprowadzali inspekcję całego kompleksu i interesowali się dotychczasowymi osiągnięciami. Keitaro urządził dla wojskowych pokazowy występ: dwa boty atakowały manekiny na zamkniętym terenie pod krzyżowym ogniem broni strzeleckiej. Wszystkie parametry zdarzenia zostały szczegółowo utrwalone. Zachował się też kod programowy, skompilowany na skupiska przed rozpoczęciem testu. Chciałbym jednak, żebyś najpierw obejrzał materiał z nagraniem wydarzeń, które poprzedziły ucieczkę.

XLI

Ralf zostawił na chwilę Tymura samego.

Przyszła Becca, zaproponowała mu kawę. Za chwilę wróciła z plastikowym kubeczkiem i dwoma croissantami.

Oczom chłopaka ukazały się setki gigabajtów utrwalonych na dysku: testy, treningi, nagrania z kamer obserwacyjnych. Nazwy plików z komentarzem *inadequate behavior*[60] (określenie Ralfa) zaczynały się znakiem ###.

Tymur przejrzał najpierw wyrywkowo kilka wybranych filmików. Na pierwszym z nich boty spacerowały po wewnętrznym podwórzu drugiego bloku inżynierskiego. Nic ciekawego. Drugi plik zawierał ćwiczenia polowe. Pośrodku pustyni wznosiła się konstrukcja z otworami okiennymi. Była to imitacja wzmocnionej budowli. Daleko z tyłu widniała wysoka betonowa ściana, która ograniczała poligon. Boty zbliżały się ukradkiem do budynku. Na głowach – kaski, w rękach – karabiny automatyczne. „Malcy” poruszali się niezgrabnie, nie potrafili się skoncentrować na swoich działaniach. Obraz ciągle skakał na monitorze, nie można było ustawić ostrości (kamera była umocowana na kasku jednego z botów). Wyglądało na to, że chłopcy nie są zbyt dobrze zorganizowani. Co więcej, wydawało się, że coś ich wstrzymuje. W momencie poprzedzającym natarcie obraz zniknął.

Po uruchomieniu trzeciego pliku Tymur drgnął. Na monitorze pojawił się pokój, w którym teraz siedział – pracownia programistyczna. Przez całą

minutę chłopak nie mógł pozbyć się uczucia, że znajduje się w ukrytej kamerze. Plik był niewielki. Kamerzysta utrwalił proces „przenicowania” botów: czwórka „malców” siedziała, przykuta kajdankami do foteli. Za pulpitem stało dwóch mężczyzn: Ralf Doernberg i wysoki biały człowiek. Nieznajomy tłumaczył coś Ralfowi, sugestywnie dotykając palcem monitora. Tymur nie wiedział, że patrzy na nieżyjącego już Wadima Horta.

Wyrywkowy przegląd nagrań niczego szczególnego nie ujawnił. Tymur zaczął więc przeglądać pliki oznaczone symbolami ###.

Najdawniejszy film był opatrzony datą „Trzynasty lipca”. Kolumna botów pod eskortą żołnierzy kierowała się do wyjścia poza zewnętrzne ogrodzenie. Brama była otwarta. Nagle jeden z chłopców rzucił się i pognął w kierunku ogrodzenia. Z impetem wpadł na druty. Pryszał snop iskier. Botem szarpnęło, „malec” zwinął się i upadł na ziemię. To wszystko...

Na innym pliku było widać, jak podczas kolejnego zorganizowanego wyjścia poza teren kompleksu jednemu z „malców” jakimś cudem udało się wyślizgnąć. Obraz był zmontowany z dwóch fragmentów, drugi z nich ukazywał dezertera. Jeden z botów zaobserwował sprzyjającą ucieczce okoliczność; niezauważony przez nikogo odłączył się od kolumny i pobiegł za budynek EN-2. Po czym po prostu stanął i zaczął patrzeć na ścianę. Przed wymaszerowaniem na poligon boty policzono i odkryto zaginięcie jednego z nich. Konwojujący wszczęli alarm, rzucili się na poszukiwania. Po dwóch minutach chłopca odnaleziono. Nadal obserwował południową ścianę drugiego bloku inżynierskiego. (Później właśnie po tej ścianie boty będą złążyły z płaskiego dachu jadalni...).

Było jeszcze coś, co regularnie powtarzało się przez kilka dni przed uciezką. Podczas kolacji (właśnie kolacji, ani razu w czasie lunchu) parę botów rzucało się raptownie na swojego towarzysza. Okładały biedaka pięściami, potem umieszczały go na stole, by przygotować do ukrzyżowania lub wypatroszenia. Ochroniarze przybiegali na czas i przerywali im. Co ciekawe, gdy tylko Chilijczycy pod dowództwem Willa Hollanda czy Katsura Takedy wpadali do jadalni, wszystko się uspokajało. Napastnicy natychmiast uwalniali ofiarę, po czym jakby nigdy nic siadali obok siebie przy jednym stole i zabierali się do jedzenia.

Im więcej plików przeglądał Tymur, tym bardziej się przekonywał, że uciezka botów nie ma nic wspólnego z zawieszaniem się programu w skupiskach nanorobotów. Tego w ogóle nie można powiązać z algorytmami,

na których opierają się gry komputerowe. W tak skomplikowany sposób zachowują się tylko istoty rozumne.

Wychodziło na to, że miesiąc temu boty „się obudziły”. Albo coś w nich się obudziło.

XLII

Niedziela, 16 sierpnia, 18.14 (UTC -4)
EN-2, drugi blok inżynierski

Ralf Doernberg wrócił pół godziny przed kolacją.

– Co słysząc, młody człowieku? Zgłodniałeś?

Tymur potarł zmęczone oczy. *Na ekranie migocze obraz jednej z cel. Noc. Bot stoi przy oknie. Wygląda... Obraz się zmienia. Okno celi znajduje się na drugim piętrze EN-2 i wychodzi na pomost, który jednocześnie jest dachem jadalni. Pośrodku kadru widać właz, tędy boty wydostaną się na wolność. Znowu obraz celi. Minuty płyną, ale malec nie odchodzi od okna, on dosłownie przykleił się do szyby. Patrzy.*

– Wszystko to jest bardzo dziwne. Ale muszę pana rozczarować. Ich zachowanie wykracza poza granice czynności zdefiniowanych w moich algorytmach.

Kanadyjczyk zmarszczył czoło.

– Przeglądałeś pokaz zorganizowany dla generałów z Pentagonu?

– Miałem zamiar to zrobić.

– Uruchamiaj.

Tymur znalazł odpowiedni plik i uruchomił go w odtwarzaczu multimedialnym.

– Test był naprawdę prosty. Warunki wyjściowe ściśle określono. Mimo to generałowie omal nie skakali z radości. Od tamtego czasu nie mamy problemów z pieniędzmi.

Film został uruchomiony. Był długi, trwał czterdzieści cztery minuty i dwadzieścia trzy sekundy. Zaczynał się od różnych wątków nakręconych podczas powitania delegacji amerykańskiej. *Generałowie w okularach*

i nienaganych mundurach bez dystynkcji wychodzą z dwóch śmigłowców. Keitaro Roka, Katsuro Takeda i Will Holland witają gości.

– Przewiń do przodu – poprosił Ralf.

Gospodarze oprowadzają wojskowych po całym kompleksie, pokazują boty, a potem wszyscy ruszają na pustynię, na poligon. Zaczyna się pokaz.

– Założenia testu były następujące: na wydzielonym placu, ogrodzonym betonowymi płytami, stały jeden za drugim manekiny udające wrogów.

Tymur zobaczył manekiny. Było ich dwadzieścia, rozstawione jak popadło. Betonowe ściany tworzyły długi korytarz. Jeden jego koniec przesłaniała opancerzona tarcza. Za nią stały dwa boty. Na drugim końcu korytarza ściany łączyły się, tworząc kąt ostry. W tym miejscu wysoko na murze umocowane były na wspornikach dwa szybkostrzelne karabiny maszynowe M134 Minigun[61] (używane w lotnictwie wojskowym).

– Każdy karabin ma celownik laserowy i skomputeryzowany system poszukiwania celów – wyjaśniał dalej Ralf. – Karabiny reagują na ruch, błyskawicznie otwierając ogień. Dla lepszego efektu załadowaliśmy oba miniguny ostrymi nabojami.

Wszędzie walały się betonowe bloki, opony samochodowe, przerdzewiałe beczki. Za nimi można się jako tako schować przed celownikami karabinów. Botom wręczono broń i skopiowano do skupisk nanorobotów w ich mózgach program likwidacji manekinów.

Zaferowani generałowie z wyдутymi policzkami przyglądali się przygotowaniom z punktu obserwacyjnego urządzonego nieopodal, na pagórku.

Zaczyna się test... Boty wybiegają zza tarczy. Miniguny natychmiast zachłystują się ogniem. Od ścian odpryskują betonowe odłamki, ziemia porwana jest pociskami. Eksperyment kończy się w ciągu kilku sekund. Karabiny cichną. Nad korytarzem unoszą się tumany pyłu i dym. Jeden z amerykańskich oficerów zdejmuje okulary i zasępia się.

Tymur spojrział z ukosa na Ralfa. Chłopak początkowo nie rozumiał, co się stało.

– Patrz dalej. – Neurochemik nie odrywał wzroku od monitora.

Uruchamia się odtwarzanie pliku w zwolnionym tempie. W lewym dolnym rogu ekranu rejestrowane są: czas od początku eksperymentu, liczba oddanych strzałów i zabitych manekinów. Boty pokonują odległość w ciągu

dziewiętnastu sekund, niszcząc z łatwością kolejne cele. Miniguny oddają odpowiednio osiemset czterdzieści i dziewięćset siedemdziesiąt trzy strzały, przy czym żaden pocisk nie trafia w boty. Chłopcy poruszają się tak szybko i w sposób tak nieprzewidywalny, że komputer nie jest nawet w stanie przewidzieć ich ruchu.

W rogu ekranu pojawiają się napisy z podsumowaniem:

00.19.16

SHOTS: 840 | 973

TARGETS DESTROYED: 20

– Muszę przyznać, że to było niesamowite – oznajmił Tymur. – Ale nie wyszłoby tak dobrze, gdyby ograniczyli do minimum liczbę niezależnych parametrów, które wprowadzono z zewnątrz.

– Czekaj. Najciekawsze dopiero się zaczyna.

Na monitorze widać punkt obserwacyjny. Amerykanie dopiero co obejrżeli plik w zwolnionym tempie. Oficerowie są pod wrażeniem, kiwają głowami, uśmiechają się, klepią Willa Hollanda po ramieniu. Ktoś nawet klaszcze. Keitaro nadął się jak indyk. Stoi nieopodal, zadowolony, ręce założył do tyłu.

Nagle do Japa podbiega zaniepokojony Ralf i coś szepcze mu do ucha. Mężczyźni odchodzą na bok i patrzą w to miejsce, gdzie odbywa się test. Tam coś się dzieje. Twarz Keitara się wydłuża. Rzuca krótkie polecenie Ralfowi i zawraca. Doernberg szybko zbiega z pomostu, zabierając ze sobą remingtona. W ślad za nim udaje się dwóch chilijskich ochroniarzy. Tymczasem Jap w pośpiechu wyprowadza Amerykanów z punktu obserwacyjnego.

– Co się tam dzieje? – spytał Tymur.

Kanadyjczyk nie odpowiedział.

Obrazek znowu się zmienia. Pośrodku ekranu miga napis: EKSPERYMENT ZAKOŃCZONO. Kamera przybliża sylwetki botów, które stoją w rogu ogrodzenia z betonowych płyt. Jeden z nich wskakuje na plecy drugiego, wyprostowuje się i czepia się rękami prawego wspornika, na którym przymocowany jest jeden M134. Podciąga się na rękach, dosięga do mocowania karabinu i kilkoma uderzeniami niszczy je. Broń przechyla się z chrzęstem i spada na ziemię.

EKSPERYMENT ZAKOŃCZONO. Ale co to za cholerstwo z tymi botami?

W tym samym czasie Ralf i Chilijczycy wychodzą z za opancerzonej tarczy. Rozglądając się bojaźliwie, kierują się do botów, idąc wzdłuż korytarza utworzonego przez ogrodzenie. Drugi malec wskakuje na plecy kolegi i próbuje unieszkodliwić karabin na lewym wsporniku. Ale ten wspornik znajduje się o wiele wyżej i bot nie jest w stanie dostać się do niego.

Eksperyment zakończono? Czy aby na pewno?

– Oto kod procedury wprowadzonej do ich głów przed rozpoczęciem testu.

Tymur nachylił się do monitora. Ze zdziwieniem stwierdził, że ten interfejs debuggera nie jest mu znany. Na szczęście składnia przypominała C++, więc z kodem problemu nie było.

```
int TEST_010524 ()
{
Targets DOLLS (System.GetTargets (gt_Front, gt_Type1));
if (!DOLLS) return 0;
int NT = DOLLS.GetTargetsNumber ();
for (int i=0; i<NT; i++)
{
System.MoveToObject (DOLLS[i], 1, 0, 0);
DOLLS[i].Destroy;
}
System.Macros ();
Clear ();
if DOLLS.AllDestroyed () return 1
else return 0;
}
```

Procedura była nadzwyczaj prosta. Pojawił się komunikat o zmiennej. Potem funkcja systemowa GetTargets analizowała obiekty przed botami i zapisywała w tablicy DOLLS znalezionych celów typu gt_Type1.

– gt_Type1 to globalna stała opisująca manekiny – wytłumaczył Ralf.

GetTargetsNumber określał liczbę celów. Następnie uruchamiał się program, który krok po kroku prowadził bota do celu i w efekcie do likwidowania tego celu. Do tego użyto funkcji MoveToObject i Destroy. Na koniec czyszczono pamięć systemową i sprawdzano, czy wszystkie manekiny zostały zniszczone. Tymur nie wiedział tylko jednego – nie znał przeznaczenia funkcji System.Macros.

Gdy przeglądał kod, nagle uświadomił sobie oczywistą rzecz: boty programowano nie po to, żeby niszczyły karabiny. W ich świadomości (ściśle rzecz ujmując, w ich wirtualnym widzeniu świata) M134 po prostu nie istniały! Boty widziały tylko manekiny. Mimo to znalazły miniguny. Co więcej, usiłowały unieszkodliwić je dwie minuty po tym, jak programy testowe zostały usunięte ze skupisk.

– A teraz popatrz na wizualizację wyników encefalografii.

Na ekranie pojawiło się nowe okno, podzielone na połowę. Z lewej strony ukazał się trójwymiarowy model mózgu. Z prawej strony uruchomiony był film, który rejestrował cały eksperyment. W trybie normalnym, nie przyspieszonym. Przez pierwsze dwadzieścia sekund skupiska świeciły się na czerwono. Pracowały na pełnych obrotach. Reszta mózgu pozostawała szara, tylko gdzieś występowały różowe plamy. Po zniszczeniu ostatniego manekina boty zamarły.

– W tym miejscu procedura jest usuwana ze skupisk – powiedział Ralf.

Obraz mózgu 3D stał się popielatoszary. Tymur skierował spojrzenie na prawą część ekranu. Bot się ocknął i wyciągnął rękę do karabinów. Korszak znów pomyślał, że program jest do niczego. Ale gdy zerknął na lewą stronę i zobaczył diagram odtwarzający aktywność mózgu, zdrętwiał. Mózgowie botów miało szary kolor, czyli nie wykazywało żadnych oznak działalności, środek skupisk natomiast przybrał jaskrawoczerwoną barwę. Bot nie myślał. Bot podporządkowywał się impulsom z procesora.

Tymur zapędził się w ślepią uliczkę. Wierzył, że boty nie są w stanie zachowywać się tak jak osobniki rozumne; zaprogramowana postać fizycznie nie jest do tego zdolna. Tymczasem fakty świadczyły o czymś całkiem przeciwnym – chłopcami kierował jakiś program.

Ralf zerknął na ręczny zegarek.

– Tymurze, streszczajmy się. Już się spóźniliśmy na kolację. Za kilka minut Keitaro każe zablokować drzwi i spuścić żaluzje w bloku DW.

– Jeszcze jedno pytanko, można? Czy przed przyjazdem Amerykanów boty wychodziły na korytarz?

– Oczywiście, my je przygotowaliśmy. Przebyły go przynajmniej dwukrotnie. Tyle że zamiast M134 na ścianie wisiały dwa karabiny do paintballa.

– Czy zdarzyło się coś odbiegającego od normy?

– Nie.

XLIII

Poniedziałek, 17 sierpnia, 08.55 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Noc z niedzieli na poniedziałek minęła spokojnie. Ogrodzenie zostało naprawione, znowu było pod napięciem; czekano na przybycie botów. Ale te jakby się zapadły pod ziemię.

Po śniadaniu Keitaro Roka zwołał grupę na zaplanowaną naradę.

– Masz już może coś, Tymurze? – bez zbędnych ceregieli zaczął Jap.

Programista położył ręce na stole.

– Według mnie zawieszenie się procesorów mózgowych nie mogło być przyczyną ucieczki i poprzedzających ją wydarzeń. Tego, co zrobiły boty, nie można tłumaczyć zawieszeniem się. Fakt, że podczas ucieczki „malcy” kierowali się sygnałami z procesorów, jeszcze bardziej utrudnia diagnozę. –

Chłopak wlepił wzrok w stół. – Dzisiaj będę kontynuował dochodzenie, bardziej szczegółowo przeanalizuję kod, ale jak na razie nie rozumiem do końca, czego się ode mnie oczekuje.

– Gdybyśmy to rozumieli, nie byłoby cię tutaj – odrzekł chłodno Keitaro. –

Zaproszono was po to, byśmy wspólnie znaleźli przyczyny, które doprowadziły do wydarzeń z trzydziestego pierwszego lipca. Niezależnie od tego, czy je znajdziemy, czy nie, do ciebie, Tymurze, należy napisanie programu, który zneutralizuje boty i każe im wrócić do laboratorium. Sześćdziesięciu trzech „malców”, którzy zostali w „Żłobku”, poddawanych

jest „przenicowaniu”. Chronimy dostęp do ich mózgów. Nie ma żadnych przesłanek, by przypuszczać, że z uciekinierami będzie inaczej.

– Nie wypróbowałyście ich wcześniej?

– Owszem. Najpierw usuwaliśmy z programów wszystko jak leci. Potem pozwalaliśmy na percepcję podprogramów, które miały kasować aktywność i emocje. Moduły pomyślnie się kompilowały, ale nie uruchamiały z jakichś powodów. Ty masz dojść, dlaczego tak się dzieje, i napisać program, który będzie można uruchomić.

Chłopak łypał na Ralfa, Keitara i Tianę. Wyglądali na rozluźnionych. Wierzyli, nie wiedzieć czemu, że jak tylko Tymur dotknie klawiatury komputera, natychmiast wszystko naprawi, a boty same powrócą do „Żłobka”. Nikt nie rozumiał, że szanse na to są zerowe. Stworzenie takiego programu może potrwać całe miesiące. W tym czasie, jeżeli Ukrainiec dobrze rozumiał sytuację, boty pozdychają na pustyni.

Świadom tego wszystkiego, Tymur odważył się zadać pytanie, które nie dawało mu spokoju przez cały ranek:

– Słuchajcie, ludzie, a co z planem B?

W sali konferencyjnej zapadło milczenie. Odpowiedzi udzielił Ralf, starannie dobierając słowa:

– Rozpatrywaliśmy różne warianty, zanim się tutaj pojawiłeś, i wiele... większość z nich... hm... prawie wszystkie są nie do przyjęcia.

– Czyli nie mamy żadnych innych rozwiązań? Tylko program?

– Mamy – wtrącił się do rozmowy Rino. Wielkolud przysunął się do stołu, zgasił niedopałek w którymś plastikowym kubeczku i oznajmił: – Zawsze możemy podusić te wyrodki. I to cały plan B, Ukraińcu.

Ralf posłał Headhunterowi gniewne spojrzenie, a następnie, zwracając się do Tymura, przyznał niechętnie:

– W zasadzie tak. W razie konieczności, gdyby na przykład boty zaatakowały kompleks, można będzie zastosować gaz paralityczno-drgawkowy. Nikt oczywiście nie ma zamiaru dusić botów, to tylko...

– To skandal! – krzyknął Katsuro Takeda, przerywając Kanadyjczykowi. – A w ogóle kto wpuścił tego małpoluda do sali obrad? – Japończyk wskazał palcem na Rina.

Wszyscy obecni spieszyli się na krótką chwilę. Wielkolud skamieniał, wydatne mięśnie klatki piersiowej napięły się i zafalowały. Zacisnął szczęki, aż mu zęby zgrzytnęły.

– Jak mnie nazwałś? – Głos był cichy, ale wyczuwało się w nim pomruki huraganu.

Japończyk pojął, że przegiął, i próbując zatuszować złe wrażenie, jakie wywołały jego słowa, zaczął mówić szybko i chaotycznie:

– To są inwestycje warte miliardy dolarów! Czy ty w ogóle myślisz? – Katsuro na wszelki wypadek odsunął się nieco od krawędzi, by Headhunter nie mógł go chwycić, gdyby raptem przechylił się przez stół. – Podusimy je wszystkie w cholere, a za jednym zamachem załatwimy paru naszych? Taki masz plan?

Rino zacisnął pięści. Oczy jakby zapadły mu się w głąb czaszki i skupiły na gardle młodego Japończyka. Ralf się schylił i cicho, acz stanowczo powiedział coś wielkoludowi.

– Ja też jestem przeciwko... – odezwał się Igor, po raz pierwszy w ciągu tego wieczoru. Początkowo nikt nie usłyszał Jemeljanowa, bo wszyscy patrzyli, jak Ralf uspokaja Rina. Wówczas Rosjanin powtórzył: – Jestem przeciwko użyciu gazu.

– Zgadzam się z Katsurem – poparła młodego Japończyka Tiana Emerson. – Nie wyolbrzymiajmy sprawy. Sytuacja nie jest aż tak niebezpieczna. Nie kłóćcie się, poradzimy sobie. Jest nas tutaj jedenaścioro, większość ma stopień doktora nauk... A gaz? To byłby jakiś... nonsens. Nie wydaje wam się? Po prostu trzeba je wyłapać.

Do rozmowy znowu włączył się Tymur:

– Myślę, że potrafię rozwiązać problem. Wiecie doskonale, że mam tylko dziesięć dni, by zrealizować zamierzenie. – Chłopak dwukrotnie wzruszył ramionami. – Nie ma w tym mojej winy. Ale znajdę rozwiązanie, gwarantuję, tyle że tworzenie modułów i kompilacja mogą potrwać. Chcę mieć pewność, że mamy wariant zapasowy, i muszę wiedzieć, na czym on polega.

Keitaro Roka odczekał, aż Ukrainiec skończy.

– Dziękuję za szczerość, Tymurze. Mamy z Ralfem pewne plany, a szanowny Rino Headhunter zgodził się łaskawie je wykonać. Oczywiście pod warunkiem, że zajdzie taka konieczność, oraz wyłącznie po uzyskaniu mojej zgody.

Rino siedział nieruchomo jak snajper, obserwując Takedę. Keitaro ciągnął dalej:

– Mamy soman[62]. Bojowy środek trujący o działaniu paralityczno-drgawkowym. Strukturą i właściwościami przypomina sarin[63]. Pewnie słyszałeś o sarinie? – Tymur przypomniał sobie, że kiedyś czytał artykuł o broni chemicznej z czasów drugiej wojny światowej, więc potakująco skinął głową. – Otóż soman to związek podobny do sarinu, tyle że dwa i pół raza bardziej toksyczny. W normalnych warunkach ma postać bezbarwnej cieczy o lekkim zapachu dopiero co skoszonego siana. Do zatrucia dochodzi w wyniku jego wdychania. Pierwsze oznaki następują wówczas, gdy stężenie oparów w powietrzu wdychanym przekracza 0,0002 mg/l. Śmiertelna dawka przy wdychaniu oparów wynosi 0,03 mg/l. Każda żywa istota, która ma układ nerwowy, traci kontrolę nad organizmem i w ciągu kilku minut ginie. Nasz plan polega na tym, aby w razie kolejnego ataku ze strony botów użyć somanu, doprowadzając stężenie oparów w powietrzu do 0,01–0,02 mg/l.

– No i?

– Wszyscy mamy maski przeciwgazowe. A boty... Jest antidotum, atropina[64]. Mamy jej dostatecznie dużo. Po ataku gazowym będziemy mieli maksymalnie dwie do trzech minut, żeby wciągnąć omdlałe boty do hermetycznego pomieszczenia i podać im atropinę. Według najbardziej optymistycznych prognoz dwudziestu–dwudziestu pięciu procent ogólnej liczby porażonych nie uda się uratować. Ale jest to jedyny sposób, by sto procent napastników zostało zneutralizowanych.

– To ryzykowne! – znowu zaczął się gorączkować Katsuro Takeda. – Proponujecie użycie gazu na otwartej przestrzeni. Ale jak, do cholery, będziecie utrzymywali niewielkie stężenie? Kto je będzie mierzył? A jeżeli w tym czasie powieje silny wiatr? Albo odwrotnie, będzie bezwietrznie i boty padną w ciągu piętnastu sekund?

– I jeszcze ta atropina – wtrącił się Igor Jemeljanow, szarpiąc guzik koszuli. – Jesteście pewni, że podziała? Kiedy ją zastosowano po raz ostatni? W Wietnamie? W czasie wojny iracko-irańskiej? Czy tam, skąd sprowadzono preparat, dali gwarancję, że nie jest on przeterminowany?

Tymur musiał przyznać, że Katsuro i Igor mają rację. Jeżeli coś pójdzie nie tak, sparaliżowane boty wyciągną kopyta. Plan był prosty, ale czy na pewno do zrealizowania? Jednocześnie programista się dziwił, z jaką zaciekleścią ci

dwaj – Rosjanin i młody Japończyk – bronią życia botów. Było coś zdumiewającego w tej ich uporczywej argumentacji.

– Katsuro, Igorze, ochłońcie – miękko, ale stanowczo zaproponował Keitaro Roka. – Nie dojdzie do tego, prawda, Tymurze? – Stary Japończyk zerknął spode łba na Ukraińca.

– Zrobię wszystko, co do mnie należy. – Chłopak pokiwał głową.

– Jest jeszcze jeden sposób... – ostrożnie włączyła się do rozmowy Laura Dupré.

– Wykluczone! – przerwał jej Jap.

– Keitaro...

– Wiem, co chcesz zaproponować, Lauro – powiedział ostrym głosem Jap – ale zapewniam cię, nic z tego nie wyjdzie, Hort już próbował i wiesz, co się z nim stało.

– Nie dokończył pan – dziewczyna nie dawała za wygraną. – Pan coś ukrywa.

– Ty znowu swoje...

– Wadim nie polazłby do nich, gdyby nie wiedział, co robi.

– Lauro, dość już. – Stary Japończyk opędzał się od niej jak od natrętnej muchy.

– Program w niczym nie pomoże – odparła twardo Laura; Keitaro zacisnął usta. Pani psychiatra była podekscytowana. – Jesteście ślepcami! Idiotyczne interdyscyplinarne podejście doprowadziło do tego, że naukowcy skaczą z jednej dziedziny do drugiej, lecz w żadnej z nich nie pogłębiają swojej wiedzy. Panie Keitaro, szanuję pańskie osiągnięcia, ale jest pan ignorantem w zakresie badań mózgu. Uzbrojeni we współczesne metody i w urządzenia, pan i Ralf zapędziliście się w takie strefy, których nie powinniście penetrować. Igracie, panowie, z ludzkim mózgiem, chociaż żaden z was nie ma pojęcia o psychologii. Jesteście w stanie spenetrować mózg do ostatniego atomu, lecz nie wiecie, jak on funkcjonuje na makropoziomie. – Laura obróciła się na krześle. – Tymurze, czy opowiedzieli ci, jak zginęło pierwsze pokolenie botów? Adoptowani bliźniacy z Tajlandii.

– No, wiem o tym...

– Powiedzieli ci *jak*?

– Jeden z chłopców zabił drugiego.

– To nie jest takie proste. Najpierw próbował go przelecieć! – Pani doktor wydeła dolną wargę. Oczy za szklami okularów błyszcząły jak szalone. – I co o tym myślisz? Pięcioletnie dzieci! Chcesz powiedzieć, że jest tu winien program? Bzdura. Nie ma możliwości zaprogramowania organizmu do wykonywania czynności, do których nie jest on przygotowany z punktu widzenia fizjologii.

– Tego nie wiedziałem. – Tymur się nachmurzył i zerknął z ukosa na Ralfa Doernberga.

– Oczywiście że nie! Bo żaden z tych mądrali nie umiałby ci wytłumaczyć, co się stało. – Laura odwróciła się znów do Keitara. – Co jeszcze ma się wydarzyć, byście przestali się wtrącać w nie swoje sprawy? I nie chodzi o to, że brakuje wam kompetencji. Musicie wreszcie pojąć: nie wszystko na tym świecie można poznać. We wszechświecie jest niezliczona ilość problemów, których człowiek nie jest w stanie objaśnić, przeanalizować czy opisać za pomocą wzorów, ale nie dlatego, że nie może się do nich dogrzebać, lecz dlatego, że nie potrafi pojąć ich istoty. Jednym z tych problemów jest głowa!

Keitaro nie zareagował. Laura mówiła coraz żarliwiej, energicznie gestykulując:

– Uważacie, że świadomość, myślenie i mowa są najbardziej skomplikowanymi, wyjątkowymi funkcjami organizmu, które kształtują się jakiś czas po urodzeniu. Tak nie jest. Ciało ludzkie to diabelnie złożony mechanizm. Miliardy różnorodnych komórek rozwijają się i funkcjonują w symbiozie. Płuca oddychają, serce pompuje krew, żołądek trawi pokarm, nerki filtrują krew i tak dalej. Tymi niezwykle skomplikowanymi narządami bardzo trudno jest kierować, mimo to organizm radzi sobie całkiem dobrze, w dodatku sam. Nikt go nie uczy ani nie programuje. Wszystkie dane przekazywane są przez geny. Istnieją już w zarodku. Niemowlę zachowuje je przy urodzeniu. Dlaczego więc nie można założyć, że oprócz informacji o funkcjach regulacyjnych i odruchach bezwarunkowych przekazuje się z genami coś jeszcze? Coś, co nie może się objawić przed ukończeniem trzeciego roku życia, bo dziecko jest jeszcze za małe, a po skończeniu trzech lat przytłaczają je świadomość oraz normy społeczne. Coś podświadomego...

– No i co z tego? – wycedził przez zęby Ralf Doernberg.

– Boję się, że uwolniliście to coś. Ralfie, pan lubi powtarzać, że mózg człowieka jest wykorzystywany tylko w trzydziestu procentach. Proszę pomyśleć, może dzieje się tak nie bez powodu? Może w ciągu dziesiątków

tysięcy lat ewolucji organizm ludzki wypracował barierę, zbudował pewnego rodzaju osłonę, która nie pozwala wykorzystywać mózgu w pełni? Nigdy nie przyszło panu na myśl, że lepiej nie ruszać tych nieznanymi siedemdziesięciu procent?

XLIV

Po zakończeniu narady Laura Dupré podeszła do Tymura.

– Tymurze, on z nimi rozmawiał – wyszeptała konspiracyjnie.

– Kto?

– Wadim Hort. W jego gabinecie w bloku EN-2 zachowało się dużo notatek. Po śmierci Horta Keitaro je zabrał i schował u siebie.

– Ralf mi powiedział, że boty nie mówią – odparł z powątpiewaniem programista.

– Nie twierdzą, że Hort rozmawiał z nimi w sensie dosłownym. On... no... porozumiewał się z nimi w jakiś nieznanymi mi sposób. A Keitaro zaparł się i nie chce nic powiedzieć.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo nie chcę, byś nadaremnie poświęcał zbyt wiele wysiłku. Obrąłeś złą drogę. Hort je udoskonalał i przez przypadek natknął się na coś... innego... bardzo złożonego, coś, co wyłoniło się z wnętrza mózgu. Boty są o wiele bardziej skomplikowane, niż się wydaje na pierwszy rzut oka...

Zauważywszy nadchodzących Tianę i Katsura, Laura zamilkła, spuściła głowę i odeszła bez pożegnania.

Ralf był kolejną osobą, która chciała porozmawiać z chłopakiem. Dogonił go w przedsionku, przy wyjściu z bloku mieszkalnego.

– Jak się czujesz? – Stary Kanadyjczyk wyglądał na zmartwionego.

– W porządku – odpowiedział Tymur z udawaną obojętnością. – Zasuwał do miejsca pracy. Chcę się głębiej wgryźć w te kody. – Tak naprawdę nie mógł zapomnieć słów Laury: „Hort rozmawiał z nimi. Porozumiewał się z nimi w jakiś nieznanymi mi sposób”. – Zwłaszcza w te z nich, które dopisywał Wadim Hort.

Mężczyźni wyszli na dwór. Powietrze szybko się nagrzewało.

– Nie słuchaj jej – rzekł Ralf, wlepiając oczy w horyzont.

– Kogo? – Tymur udał, że nie rozumie.

– Laury. To Amerykanie nalegali, żeby wprowadzić do zespołu psychiatrę. Długo nie mogliśmy znaleźć nikogo, kto by się zgodził zrezygnować z praktyki lekarskiej i przyjechać na pustynię. Laura Dupré znalazła się u nas w NGF-Lab tylko dlatego, że zaprzepaściła swoją karierę we Francji.

– A co się stało?

– Jeden z pacjentów powiesił się w czasie jej obchodu. Dupré oddaliła się na chwilę, by pogadać przez telefon. Zaraz potem wróciła, a na żyrandolu kołysał się umrzyk. Oczywiście wywalili ją z kliniki. Przez cztery miesiące nie mogła znaleźć pracy.

Tymur wzruszył ramionami. Nic mu to nie mówiło. Ludzie często nie rozumieją różnicy między psychiatrą a psychologiem. Mylą ich. Psychiatra to lekarz profesjonalista, który bada naturę rozstrojów psychicznych, leczy je, stosuje środki profilaktyczne. Psychologiem może zostać każdy, kto umie słuchać i w odpowiednich chwilach kiwać głową. Jeśli chory z zaburzeniami psychoorganicznymi postanowi się powiesić, nie jest to nic przyjemnego, ale cóż – zdarza się. Podobnie kardiolog może stracić pacjenta, któremu zachciało się wypalić papierosa dwa dni po przebytych zawale. Laura po prostu nie miała szczęścia. Potraktowano ją jak *psychologa*, który doprowadził swojego pacjenta do samobójstwa. A to już jest niedopuszczalne. Zaczęto jej unikać.

– Przykre... – odrzekł Tymur.

– Właśnie. Mówię o tym po to, żebyś nie brał jej słów serio. Ta panna nie ma nic wspólnego z tym, nad czym tutaj pracujemy.

XLV

Poniedziałek, 17 sierpnia, 10.37 (UTC -4)
EN-2, drugi blok inżynierski

Przejrząwszy twardy dysk, Tymur przekonał się, że poszukiwanego pliku nie ma. Nachmurzył się. Po chwili wahania podniósł słuchawkę telefonu

wewnętrznego i wybrał numer Ralfa.

– Przepraszam, że pana niepokoję.

– Służę pomocą.

– Analizuję kod procedury, która kierowała botami podczas pokazu, a w szczególności oddzielnych funkcji systemowych.

– Są jakieś problemy?

– Niezupełnie. Ustaliłem, że we wszystkich procedurach, które przez ostatnie trzy lata były kompilowane do głów botów, znajduje się odwoływanie do funkcji System.Macros. Przejrzałem moduł System i okazało się, że procedura Macros nie jest do niego przypisana. Jest tylko odniesienie do niej. Kiedy w jądrze głównego programu jest odwołanie się do System.Macros, w module System zapytanie przekierowuje się na MacrosWH.MacrosCreate. Moduł MacrosWH jest podłączony bezpośrednio do funkcji System. Jego kod przechowuje się w pliku MacrosWH.bcf.

– I?

– Tego pliku nie ma.

– To znaczy?

– Brakuje pliku MacrosWH.bcf. MacrosWH.bcf. Nie ma go na twardym dysku. Nie mogę znaleźć kodu, więc nie wiem, dlaczego w każdym programie Wadim Hort odwoływał się do System.Macros.

– Jesteś pewien, że pliku nie ma?

– Całkowicie. Może został w prywatnym komputerze Horta. Jeżeli oczywiście jest taki komputer... Jednym słowem, potrzebuję go.

– Dobrze, porozmawiam z Keitarem.

Tymur się zdziwił. I to wszystko?

– Ralfie, pan nie rozumie. Myślę, że ten plik zawiera klucz do wszystkich problemów.

– Zatelefonuję. – Wydawało się, że Kanadyjczyk stara się jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Dobrze, czekam na wiadomość.

Chłopak odłożył słuchawkę. Przypomniało mu się gorące wystąpienie Laury Dupré podczas porannej narady. Może babka rzeczywiście trafiła

przypadkiem do NGF-Lab. Ale na pewno nie była przypadkową osobą pracującą nad projektem. Ralf i cała firma coś ukrywali.

Po przełączeniu komputera w stan uśpienia Tymur przysunął do siebie teczkę z papierami, która leżała na brzegu stołu. Wczoraj nie zajrzał do niej i teraz tego żałował. Zabrał się do studiowania biografii Wadima Horta.

Prócz autobiografii i charakterystyki ukraińskiego programisty w teczkę znajdował się wykaz projektów, które opracowywał w firmie MYKON. Ralf się postarał, układając tę listę. Stary Kanadyjczyk zrobił wszystko, aby Tymur nie musiał zaglądać do internetu.

Po przeczytaniu kilku pierwszych stron chłopaka zaskoczył fakt, że Wadim Hort nie miał nic wspólnego ani z grami, które modelują zachowanie człowieka, ani ze sztuczną inteligencją. W Moskwie pracował nad systemami CAD (projektowanie wspomagane komputerowo). Opracowywał zabezpieczenia programowe dla inżynierów i architektów. Trudno było zrozumieć, jak się znalazł w NGF-Lab i co tam robił!

Programista był tak zaszokowany tym odkryciem, że nawet zapomniał o obiedzie. Becca przyniosła mu jedzenie do laboratorium.

Godziny płynęły. Tymur coraz bardziej się plątał.

Ralf nie zatelefonował.

XLVI

Poniedziałek, 17 sierpnia, 16.38 (UTC +2)
Kijów, Ukraina

Alina była jak kocioł parowy z uszkodzonym manometrem. Na zewnątrz spokojna i opanowana, w środku czuła zabójcze ciśnienie. Nikt tego nie podejrzewał.

W duszy przeklinała Tymura. Cały czas przekonywała siebie, że on tak naprawdę nie jest jej wart, że nie ma w nim nic nadzwyczajnego i że nigdy jej nie kochał. Ale to nie pomagało. Zraniona duma nie dawała spokoju, dziewczyna ciągle się zastanawiała: dlaczego? Zatrzymała się przed lustrem jakby od niechcienia i przyjrzała się sobie krytycznie. Czy nie jestem dla niego dostatecznie ładna? Przypominała sobie wszystkie ich kłótnie z ostatniego

półrocza. Co powiedziałam nie tak? Znudziłam mu się? Ale dlaczego odszedł od tak, po prostu? I nic nie powiedział! Mógłby przynajmniej wymyślić jakąś głupią wymówkę.

Złość z czasem opadła. Alina rozumiała, że Tymur nie jest taki, za jakiego uważa go jej matka. Gdyby mu się znudziła lub znalazł sobie inną, od razu by jej o tym powiedział. I na pewno zerwałby z nią w cywilizowany sposób. Przyjmując, że zerwanie z narzeczoną na miesiąc przed ślubem może w ogóle być postępkem cywilizowanym. W takich chwilach łzy same napływały do oczu. Alina przeczuwała, że z jej chłopakiem stało się coś niedobrego. Coś złego i nie do naprawienia. Postanowiła więc zagłuszyć pretensje urażonej dumy i pisać do Tymura tak długo, aż się odezwie.

Od: SeaFlower

Do: Tym_the_Botfucker

Temat: 1

Data: 16.38 17 AUG

Cześć!

Nie napisałeś jednak do mnie... To do ciebie niepodobne. Nie rozumiem, co się dzieje. Bardzo się o ciebie martwię. Napisz. Bardzo cię proszę, napisz. Choćby jedno słowo. Jeżeli nawet nie sprawi ci to przyjemności, napisz po prostu, że wszystko u ciebie w porządku.

Alina

Od: SeaFlower

Do: Tym_the_Botfucker

Temat: 2

Data: 17.57 17 AUG

Będę do ciebie pisała, dopóki nie odpowiesz. Będę numerowała każdą wiadomość. Niczego nie wymagam. Po prostu się odezwij. Niewiedza jest nie do wytrzymania. Dlaczego jesteś taki okrutny?

Alina

Od: SeaFlower

Do: Tym_the_Botfucker

Temat: 3

Data: 17 AUG, 19.12

Przełamalam się i zadzwoniłam do twoich rodziców. Mama powiedziała, że też nie dostała od ciebie żadnej wiadomości. Bardzo to przeżywa. Czy coś ci się stało? Czy

po prostu zapomniałeś do nich napisać? Jak zawsze, w zasadzie...

Jeżeli nie chcesz rozmawiać ze mną, napisz przynajmniej do rodziców. Oni się bardzo denerwują.

Alina

Od: SeaFlower

Do: Tym_the_Botfucker

Temat: 4

Data: 22.41 17 AUG

Rozmawiałam z Dmytrem Witaliowyczem. Uspokajał mnie. Powiedział, że twoje milczenie może być spowodowane tym, że opracowujecie tajny projekt. W porządku. Ale czy nie mogłeś mnie o tym wcześniej uprzedzić? Czy naprawdę było tak trudno napisać dwa słowa z lotniska w Santiago?

Nie wiem sama, czego bardziej pragnę: zobaczyć wiadomość od ciebie w folderze „Odebrane” czy cię zabić...

Alina

Dziewczyna będzie pisała e-maile jeszcze prawie dwa tygodnie. Coraz bardziej gniewne i obraźliwe. Ostatnie wiadomości – bez żadnych treści – zostaną opatrzone tylko numerami, jak jakiś bezsensowny spam. Będzie uparcie pisała, dopóki wewnętrzne przeżycia nie sparaliżują jej serca i dopóki nie zacznie nienawidzić Tymura tak bardzo, jak można nienawidzić tylko kogoś, kogo się bardzo, bardzo kochało...

XLVII

Poniedziałek, 17 sierpnia, 20.04 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

W gabinecie Keitara panował półmrok. Paliła się tylko lampa stojąca na stole. Jap siedział w ogromnym skórzanym fotelu. Przy oknie zarysowywała się szczupła sylwetka Ralfa. Kanadyjczyk stał z rękami założonymi za pas. Tuż przy drzwiach, w trochę mniejszym fotelu rozwalił się Rino Headhunter. Jego ciało zwisało nad oparciami. Mebel cicho skrzypiał pod ciężarem wielkoluda.

– Żeby móc je załatwić, najpierw trzeba je znaleźć – rzekł Ralf, nie odwracając się.

Keitaro nachmurzył się, gładząc dłonią podbródek.

– Ja... myślałem już o tym.

– Kiedy on napisze program antidotum, trzeba będzie jakoś zwabić te, które ukrywają się na pustyni.

– Przyjdą – niepewnie odrzekł Keitaro. – Powinny się zjawić.

– A jeżeli nie?

– Ralfie, boty nie przeżyją bez aldosteronu.

– „Malcy” nie pojawiają się już drugi dzień. Nie myślisz chyba, że leżą sobie pośrodku pustyni solnej i opalają się? A jeśli udały się do Calamy? Albo jeszcze gorzej, do Antofagasty?

Stary Jap westchnął ciężko.

– Dobrze, przyznaję, mamy problem. Trzeba zwabić je do strefy położonej w promieniu kilometra od laboratorium. Masz jakiś pomysł?

– Nie trzeba ciągnąć wszystkich do bazy. Wystarczy, że zawieziemy do uciekinierów jednego ze zmodyfikowanym mózgiem. Najważniejsze, by Ukrainiec napisał procedurę, którą da się uruchomić. Później program sam się rozprzestrzeni między skupiskami w mózgach botów.

– To pusta gadanina, póki nie wiecie, gdzie się chowają – wtrącił swoje trzy grosze Headhunter.

Ralf i Keitaro umilkli. Japończyk wciągnął szyję i wcisnął się w fotel.

Wcześniej nie było z tym problemów. Tydzień temu boty co wieczór rzucały się do natarcia. Słońce nie zdążyło schować się za horyzontem, a one były już tutaj jak na zawołanie, myszkowały, szukały jakiegoś wjazdu, żeby się dostać do laboratorium. Ale to było tydzień temu. W ciągu ostatnich dwóch dni żaden nie zbliżył się do ogrodzenia. Zniknęły. A to oznaczało, że trzeba ich poszukać.

Jap oparł łokcie o stół i przysunął się do Rina.

– Jeśli dziś, najpóźniej jutro boty nie przyjdą, pojedziesz ich szukać.

Południowoafrykanin nie był zachwycony taką perspektywą, ale się nie sprzeciwił.

– Dobierzesz sobie cztery osoby. W magazynie są cztery motocykle enduro.

– Yamaha YZ 250 – odpowiedział Ralf.

Japończyk kontynuował:

– Wątpię, by uciekinierzy chowali się w miejscach, gdzie można dojechać samochodem.

– Keitaro, ale... – Headhunter się zmieszał – moi ludzie nie potrafią jeździć na motorach.

– Co? Mówisz poważnie?

– Tak.

– Czyżby... wszyscy? – Oczy starego Japa zwężyły się z niezadowolenia.

– Oprócz Jera i mnie.

– Jak to jest możliwe?

– Dorastali w Angoli i Namibii. Chłopców uczono zabijać, a nie hasać po górach na sportowych motocyklach. U nas motory nie są popularne.

– No dobrze, pojedziecie we dwóch. Weźmiecie ze sobą Jeffreya, mały na pewno wie, jak prowadzić yamahę. – Jap mówił z beztróską w głosie. – Pomyślimy, może jeszcze ktoś.

Rino zgrzytnął zębami.

– Nie chcę jechać na motocyklu. Nawet w samochodzie nie czuję się bezpiecznie. Jeżeli będziemy się pchali na pustynię na motocyklach, one nas porwą.

– Nie porwą – uciął Keitaro. – Nie przesadzaj. Poza tym samochodem odjedziesz nie dalej niż kilkaset metrów od drogi gruntowej. Tak będziemy szukali botów do nowego roku. Tym razem sam musisz zadbać o to, by powrócić do bazy na długo przed zapadnięciem ciemności.

– Nie mamy wyboru – dodał Ralf i odwrócił się plecami do okna.

– Oto twoje zadanie – uściślił Keitaro – znaleźć ich ślady i w miarę możliwości zlokalizować legowisko. W ciągu dnia boty gdzieś się przecież chowają. Nie mogą stale przebywać na słońcu. – Pociągając nosem, Rino kiwał głową. – Tylko nie nadstawiaj karku. Za ludzi odpowiadasz głową. Jak tylko znajdziesz „malców” lub chociaż ustalisz miejsce ich kryjówki, od razu zawracaj.

– Zrozumiałem, Keitaro. – Reno opuścił głowę.

– A więc do jutra.

Headhunter podniósł się, wymamrotał słowa pożegnania i opuścił gabinet. Keitaro i Ralf długo siedzieli przy stole, dyskutując o tym, gdzie mogły zaszyć się boty i czym się teraz zajmują.

Tej nocy „malcy” nie przyszli.

Nie przyjdą również jutro.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ MASEK PRZECIWGAZOWYCH I... ALDOSTERON

XLVIII

Typowym przykładem układów chaotycznych są huragany. Badania naukowe tych zjawisk atmosferycznych zaczęto prowadzić w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku w Japonii i USA. Właśnie tam te zjawiska o wyjątkowo destrukcyjnej sile pojawiają się najczęściej, nierzadko zostawiając po sobie prawdziwe spustoszenie. Naukowcy zauważyli, że tylko około dziesięciu procent nowo utworzonych cyklonów osiąga stadium prawdziwych huraganów. Oznacza to, że w przyrodzie istnieje wiele uwarunkowań, które nie pozwalają huraganom w pełni się rozwinąć. W Instytucie Zaawansowanych Koncepcji NASA zaczęto opracowywać programy komputerowe do modelowania zachowania się huraganów w celu określenia czynników wpływających na ich rozwój. Jak się okazało, główną siłą napędową huraganów jest energia, która uwalnia się podczas kondensacji pary wodnej w podnoszących się strumieniach powietrza, i wystarczy ochłodzić wodę w epicentrum młodego cyklonu chociażby o siedemdziesiąt pięć setnych do półtora stopnia Celsjusza, żeby nawałnica uspokoiła się sama. Jednocześnie w drodze eksperymentu zostało udowodnione, że każde oddziaływanie na już ukształtowany żywiół to zbędny wysiłek i przedsięwzięcie nie do zrealizowania. Nie ma żadnej możliwości, by określić taką kolosalną energię...

W tym samym czasie, gdy Keitaro i Ralf naradzali się nad tym, jakim sposobem poskromić zbuntowane boty, nieopodal laboratorium coś się zaczęło dziać. Mężczyźni nie mogli nawet przypuszczać, jak daleko to wszystko zaszło. Nikt z obecnych w NGF-Lab nie podejrzewał, że zjawisko meteorologiczne na Atakamie osiągnęło stadium dojrzałego huraganu.

XLIX

Wtorek, 18 sierpnia, 18.58 (UTC -4)
Droga nr 23 San Pedro–Calama
19 km na zachód od San Pedro

Brudnobiały samochód terenowy marki Nissan, który należał kiedyś do pewnego wieśniaka z San Pedro, sunął od południa pod kątem prostym do drogi numer dwadzieścia trzy, kołysząc się z boku na bok. Pojazd poruszał się bez pośpiechu, jego jednostajny ruch zakłócały czasami szarpnięcia. Wyglądało na to, że coś było nie w porządku ze sprzęgłem lub skrzynią biegów albo że kierowca dopiero co usiadł za kierownicą samochodu z napędem na cztery koła.

Wkrótce nissan dotarł do szosy, wjechał na asfalt i stanął. Przez kilka chwil sterczał pośrodku, blokując obydwie pasy ruchu. Można było pomyśleć, że kierowca usnął za kółkiem, nie mogąc się zdecydować, dokąd ma jechać. Dopiero po kilku minutach silnik znowu zacharczał. Samochód szarpnął, skręcił w lewo i pomknął na zachód w kierunku Calamy. Od czasu do czasu znosiło go to na lewe, to na prawe pobocze. Przypadkowy obserwator doszedłby do oczywistego wniosku, że kierowca jest zalany w trupa i nie zdaje sobie sprawy, że może sobie skrócić życie na praktycznie pustej drodze.

W aucie siedziało czterech umorusanych, z wyglądu dwunastoletnich chłopców. Cztery pary niebieskich oczu pobłyskiwały w półmroku. Każdy z nich trzymał na kolanach czarną strzelbę Mossberg 500 z pełnym magazynkiem.

Jakimś cudem minąwszy Calamę i nie potraciwszy przy tym żadnego Chilijczyka, kwartet uzbrojonych dzieciaków wyjechał na drogę numer dwadzieścia cztery, łączącą Calamę z Tocopillą. Gdy minęli Chuquicamatę[65], pozbawione roślinności osiedle z kilkoma chałupami z suszonej cegły, które graniczyło na północy z Calamą, popędzili pustynną drogą w kierunku oceanu. Teraz już znacznie pewniej samochód trzymał się szosy.

L

Wtorek, 18 sierpnia, 22.41 (UTC -4)
Północna część miasteczka Tocopilla
Wybrzeże Oceanu Spokojnego, Chile

Jamie Makak siedział przy otwartym oknie, łuskał pestki słonecznika, wypluwając głośno łupiny do swojej niewielkiej piąstki, i myślał o życiu. Za oknem szemrał w zadumie Pacyfik. W brzuchu Makaka głośno burczało.

Jamie miał półtora metra wzrostu (nie za wiele nawet jak na rdzennego Chilijczyka), wąskie, opadające ramiona, drobne ręce, podobne do dziecięcych, oraz wypukły brzuch, który wyglądał jak wepchnięta pod koszulkę piłka futbolowa. Twarz pasowała do niepozornej sylwetki – mała, pomarszczona, ze spłaszczonym, bardzo szerokim nosem i z wąskimi wargami, które ledwo osłaniały rzędy żółtych i raczej krzywych zębów. Właśnie przez ten płaski kinol i wielkie owalne nozdrza, które przypominały otwory dwururki, mężczyzna zyskał przydomek „Makak”. Przewisko przyłgnęło do niego ćwierć wieku temu; wówczas nie miał jeszcze ważkich argumentów przeciwko swoim prześladowcom. Przez piętnaście lat pigmej wiele wycierpiał, a kiedy nadarzyła się okazja „oczyścić” swoje imię, nie chciał już się rozstawać z przewiskiem. W ciągu ostatnich dziesięcioleci Makak zdobył zasłużoną pozycję w kryminalnym światku na północy Chile i ze spokojem mógł uciąć język każdemu, kto by się odważył kpić z jego małego pseudonimu. Do znaków szczególnych tego ambitnego karzełka można było zaliczyć kilkadziesiąt długich kosmyków włosów, które wyrastały na czubku głowy i które codziennie rano Jamie zaczesywał starannie do tyłu, identycznie jak mafiosi z Nowego Jorku. Pigmej miał także tendencję do ciągłych zaparć, na które cierpiał już od pięciu lat.

A więc Jamie Makak był mafiosem. Rzecz jasna, na skromną północnochilijską miarę. Przez całe swoje życie (z wyjątkiem ostatniej dekady) egzystował jak mszyca: był wąty, szary, niezauważalny. Jego kolegom wystarczyło wyszczerzyć zęby i pomachać pięściami, żeby zdobyć sobie miejsce pod słońcem, ale nie było to dane niewielkiemu Jamiemu. Kurdupel musiał iść przez życie, kłócąc się, plując i strzelając do wszystkiego, co się rusza. I szedł wolno, lecz uparcie, angażując się w krwawe bijatyki z największymi zbirami Antofagasty, zmagając się na śmierć i życie z różnymi wyrzutkami. Jamie już dawno przestał bać się kogokolwiek.

Podobnemu do małego pigmejowi stuknęło niedawno czterdzieści dwa lata. Przez dwadzieścia siedem lat zajmował się różnymi paskudnymi

przedsięwzięciami: dostarczał broń, która przybywała z Kolumbii czy Meksyku, najpierw Argentyńczykom, potem mafii boliwijskiej i wreszcie dilerom narkotyków oraz powstańcom, którzy ukrywali się w lasach Madre de Dios, na południowym wschodzie Peru. Przemyczał także niejakościową (tzw. szarą) kokainę z Boliwii do Antofagasty i dalej na południe aż do Santiago; ściągał haracz od kapitanów statków handlowych, które zawijały do Tocopilli, oraz od podległych mu burdeli. Atakama była wspaniałym miejscem do załatwiania ciemnych spraw. Ale to już należało do przeszłości.

Przez ostatnie półtora roku Jamie Makak tracił jedno za drugim główne źródła dochodu. Argentyńczycy nie zamawiali broni już od wielu lat, Peruwiańczyków wykurzyła z lasów regularna armia, a Boliwijczycy zaczęli ściągać broń bezpośrednio z Kolumbii. Przez jakiś czas Jamie wiązał koniec z końcem wyłącznie dzięki dostarczaniu narkotyków, ale, jak na złość, w ciągu ostatnich trzech miesięcy obroty spadły, potem wynikły jakieś nieporozumienia z kurierem boliwijskim... Krótko mówiąc, wpływy nie pokrywały już kosztów poniesionego ryzyka, sporo jego ludzi usunęło się bez słowa. Przeszli w tryb oczekiwania.

Jamie siedział, wciągał nozdrzami o wielkości i kształcie dziupli zapachy oceanu, robiąc przy tym dużo hałasu, i rozmyślał o zawłościach wrednego losu. Jak tak dalej pójdzie, zostanie nie tylko bez armii sojuszników, ale i bez grosza przy duszy. A tak już nie wypada żyć.

– Słyszałeś, Jamie? – Jego rozważania przerwał żylasty tęgi chłop huśtający się w fotelu na biegunach w głębi przestronnej werandy, której okna wychodziły na ocean.

– Co jest, Armando? – spytał Jamie, nie zmieniając pozycji.

Muskularny trzydziestoletni Armando, bodajże jedyna osoba, której Makak naprawdę ufał i wybaczał wiele postępków, gdy innym za nie zazwyczaj odstrzeliwał jaja, powiedział przytłumionym głosem:

– Gadają, że na pustyni dzieje się coś dziwnego.

– No co ty.

– Ostatnimi czasy zaczęli znikać ludzie.

– Wcześniej też znikali. I co z tego?

– Tym razem wszystko jest inaczej, szefie. Kiedyś gubiły się dwie, góra trzy osoby na rok. A mój kuzyn twierdzi, że tej zimy wyludniły się wszystkie odosobnione gospodarstwa wokół San Pedro: San José, Santa Rosa, Cerrillos,

San Bartolo, Machuca[66]. Poznikały całe rodziny. Nikt nie wie, gdzie się podziały. I to jeszcze nie wszystko. W knajpach ludzie przekazują sobie wiadomość, że przez ostatni tydzień na drodze między Calamą a San Pedro przepadło bez śladu osiem samochodów.

Sprawa była bardzo poważna – tą drogą przejeżdża w ciągu tygodnia raptem dziesięć samochodów, nie więcej.

– A co ja mam z tym wspólnego? – Jamie celowo nie wyrażał zainteresowania.

– Po prostu... dziwię się trochę, to wszystko. – Tak naprawdę Armando się bał, ale przezornie postanowił nie przyznawać się do tego szefowi. – Ludzie z San Pedro plotą, że widzieli na pustyni demony w postaci małych chłopców o niebieskich oczach...

– Demony?

– Tak, szefie! Białe jak mleko i szybkie jak wiatr...

Jamie zarechotał.

– I ty w to wierzysz, Armando?

Armando zaczerwienił się i wymamrotał:

– Nie ma dymu bez ognia. – Karzeł znów parsknął; Armando odpowiedział dość niewyraźnie, jakby prosząc o wybaczenie: – Ja tak sobie... pomyślałem, że może to Boliwijczycy.

– Bredzisz – prychnął Jamie Makak i odwrócił się do okna.

Tydzień temu pigmej nie zapłacił całej kwoty kurierowi, który dostarczył mu towar z Boliwii. Młody nieco się obraził i na oczach wszystkich zapytał Makaka, czy w dzieciństwie kolesie nie posuwali go przypadkiem w nozdrza, bo są tak bardzo rozdlubane, że przypominają... no, sami wiecie co. Kuriera zakopano na pustyni, w odległości trzystu metrów na wschód od Panamericany, i teraz Jamie oczekiwał reakcji boliwijskich *caballero*.

– To nie oni. Nie miałyby sensu wykańczać niewinnych wsioków, w dodatku dwieście kilometrów od Tocopilli.

Makak nie słuchał już Armanda. Patrząc na błyszczący i wąski jak ostrze noża sierpik księżycy, przestał łuskać pestki i zwrócił się myślami do stwórcy. Błagał Pana Boga o dwie rzeczy: by podesłał nowych klientów i sprawił, aby Jamie mógł się porządnie wypróżnić. (Drugiej prośby mały człowieczek wstydził się jak dziecko, nawet w myślach nie mógł tego zwerbalizować, ale

nie potrafił inaczej: był ogromnie zmęczony tym, że każda próba wymagała od niego tyle wysiłku, że aż ciemniało mu w oczach). Czy ludziom znudziło się denerwować siebie nawzajem? Nigdy w to nie uwierzę! – Bandyta był oburzony. Czy smarkacze z bogatych rodzin przestali dawać sobie w żyłę? Panie Boże, dlaczego jest aż tak źle? Czy tak trudno jest Ci uczynić, żeby było tak jak przedtem... Makak zatopił się w rozmyślaniach, oparłszy podbródek na piersiach, a potem podniósł na księżyc zmartwiony wzrok. I dobrze byłoby, żeby klienci byli z Santiago. Ci ze stolicy zawsze płacą więcej.

Nagły dzwonek do drzwi oderwał pigmeja od pełnej skupienia rozmowy z Bogiem.

– I kogo diabli przynieśli o tak późnej porze? – burknął Jamie, nie odrywając wzroku od skrzących się odbłasków na drgającej powierzchni oceanu. Jego głos brzmiał obojętnie, nie wyczuwało się w nim złości ani gniewu.

– Chyba znowu jakiś ćpun po trawkę – wyraził przypuszczenie Armando. – Przepędzić go?

Makak nie odpowiedział, pogardliwie wydymając usta. Mogło to oznaczać cokolwiek, ale jako że przeczącej odpowiedzi nie było, Armando podniósł się i powlókł do drzwi wejściowych, które wychodziły na drogę po przeciwległej stronie budynku.

Osilek popatrzył przez wizjer i rzucił głośno przez ramię:

– To Miguel, szefie!

Miguel lubił mędrkować i nazywał siebie filozofem, choć tak naprawdę był zwykłym bezdomnym pijaczyną, który utrzymywał się z żebrania, włócząc się po porcie w Tocopilli. Gdy prosił o wsparcie, przeważnie udawał głuchoniemego. Miguel miał dostateczne predyspozycje, by udawać niemowę – w młodości dorabiał w przytułku dla ludzi z wadami słuchu i nauczył się tam ASL^[67] oraz chilijskiego języka migowego.

Jako że nikt w Tocopilli nie podejrzewał, że Miguel tak naprawdę nie jest głuchoniemy, żebrak był szpiclem Makaka, donoszącym mu o wszystkim, co się dzieje w mieście.

– Wpuść go – odpowiedział niemrawo Jamie.

Armando otworzył drzwi i nachmurzył się.

– A co to za warta honorowa?

Po obu stronach Miguela stali jak słupki dwaj smukli bliźniacy o płowych włosach. Tak samo brudni i obdarci jak żebrak.

– Muszę porozmawiać z Jamiem – wybełkotał Miguel, starając się pohamować drżenie.

– Powtórzę pytanie: co to za białe wyskrobki przylazły tu z tobą?!

Żebrak wciągnął głowę w ramiona i w napięciu popatrzył z ukosa na Armanda.

– Prawda jest taka, że to *oni*... – Mimo późnej pory i dość chłodnego wiatru, który studził pustynię od strony oceanu, Miguel się pocił, po skroniach i chudej szyi spływały kropelki – to oni chcą porozmawiać z szefem.

Przyćmione światło, które docierało do przedpokoju, nie było wystarczająco mocne, by można było dojrzeć niebieskie jak szafiry oczy chłopców. Gdyby Armando w porę zauważył te przerażające spojrzenia oczu o barwie ultramaryny, nigdy w życiu nie wpuściłby ich do środka. Ale osiłka (jak wcześniej wielu innych ludzi w San José, Santa Rosa, Machuca, San Bartolo i nawet w San Pedro) wprowadziła w błąd niewinna dziecięca aparycja nieproszonych przybyszów.

– Diabli nadali... – Zrobił im przejście. – Wejdźcie.

Żebrak i jego milczący towarzysze wślizgnęli się do domu Makaka.

Jamie, niewzruszony, patrzył przez okno, trzymając ręce na brzuchu.

– Bądź zdrow, Jamie. – Obdartus uklonił się, kiedy się znalazł na werandzie.

– I ty nie choruj, Miguel. – Karzeł odłożył torebkę z pestkami. – Kogo tu do mnie przyprowadziłeś?

– To...

– Popatrz tylko, Armando! – przerwał mu Makak, wydawszy dolną wargę.
– Mali *gringo*! A do tego bliźnięta! Niech zgadnę: te rezolutne chłopaczki chcą pracować dla tatusia, hę?

– Niezupełnie, Jamie.

Nagle wydarzyło się coś, co sprawiło, że Jamie i Armando stali się bardziej czujni. Jeden z niebieskookich bliźniaków brutalnie szturchnął Miguela w plecy. Następnie zaczął migać – za pomocą języka migowego przekazywał jakąś wiadomość.

– Szefie, ci dwaj chcą coś od pana kupić – żebrak-filozof z trudem wydobywał z siebie słowa.

– *Fuck*, a oni co? Są niemi?

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie. Obaj smarkacze znają język migowy. Co prawda cholera wie dlaczego amerykański.

– Bezczelni jak diabli. Jak możesz znosić takie traktowanie? Tacy gówniarze?!

– Ja... e... no... Jamie, nie rozumiesz, oni...

Makak znowu mu przerwał. Zarechotał i odsunął się od okna.

– Świetny żart! Widziałeś to, Armando? Jak żyję, nie spotkałem się z czymś takim.

Jednak Armando zdążył się już przyjrzeć jadowicie niebieskim oczom o białkach nabiegłych krwią i odczuł niepokój. Niepełnoletni głuchoniemi bliźniacy o tak dziwnych oczach tu, na pustyni, którzy porozumiewają się amerykańskim językiem migowym – takiego dziwactwa jeszcze nie widział. W odróżnieniu od szefa nie miał ochoty na żarty. Zbir podszedł do Makaka i stanął obok niego z prawej strony, żałując, że okna są otwarte. Tuż za werandą zaczynała się kamienista plaża, stamtąd można było się podkraść pod sam dom. Kilka sekund temu Armandowi się wydało, że słyszy lekki stukot trąconych kamyków.

– Czego w takim razie potrzebują?

Jeden z chłopców – tym razem bez pośpiechu – ułożył z palców kilka figur.

– A... al... Aldo... – powtarzał za nim żebrak. – Aldosteron.

– Co? – Jamie poczuł zakłopotanie.

– Aldosteron.

– Co to takiego?

– Nie wiem, Jamie...

– Jak, do diabła ciężkiego, potrafisz przeczytać za pomocą migania słowo, jakiego nigdy przedtem nie słyszałeś?

– On pokazał każdą literę. W języku migowym można ułożyć z oddzielnych liter każde słowo, jeżeli nie ma na nie specjalnego znaku.

Karzeł się zamyślił; aż mu nozdrza zadrgały z wysiłku.

– To jakiś narkotyk, tak? Czy może się mylę? – Popatrzył z ukosa na Armanda. Osilek wzruszył ramionami. – Cokolwiek by to było, nie mam i nigdy nie miałem aldosteronu. Przekaż tym młodym dżentelmenom, że w niczym im nie pomogę.

Bliźniak stojący z lewej strony potrząsnął kudłami i uczynił kilka gwałtownych ruchów nadgarstkami.

– To jest... on... e-e-e... mówi, że ty... – Miguel przełknął ślinę, grając na zwłokę; żebrak gorączkowo próbował dobrać jakieś inne słowo, ale nic sensownego nie przyszło mu na myśl. – Mówi, że ty... no-o-o, *powinieneś* zdobyć go dla nich.

– *Powiniennem?* – Makak podniósł brew, co upodobniło go do szympansa.

– To nie ja powiedziałem. Wybacz mi, Jamie. Przepraszam! To on!

Karzeł wyczuł intuicyjnie drugie dno tego żądania. Do tej pory ta historia go bawiła, ale coś tu było nie tak. Coś tu śmierdziało. Po pierwsze, jeszcze nigdy nie widział Miguela tak przestraszonego. Po drugie, zachowanie płowych przybłędów musiało dziwić. Normalni chłopcy tak się nie zachowują, jeżeli, rzecz jasna, nie są obłąkani lub... jeśli ktoś za nimi nie stoi. To na pewno był chytry podstęp Boliwijczyków! Makak natychmiast pożałował, że pozwolił im wejść.

– Po jaką cholerę przyprowadziłeś ich do mnie do domu?! – Jamie nie mógł powstrzymać złości.

Bliźniak stojący z lewej strony zmarszczył groźnie brwi, zupełnie nie po dziecięcemu, łypnął okiem i znów pokazał coś na migi.

– To nie ja ich przyprowadziłem! – zajęczał Miguel. – Smarkacze sami mnie znaleźli i zaciągnęli tutaj. – Zrobił pauzę, nabrał powietrza, a potem wrzasnął: – Jamie, uważaj! Oni są źli! Nie wiem, kto to jest, ale oni...

Jeden z chłopców chwycił biedaka za pachwinę i bezlitośnie ścisnął, przerywając jego ostrzegawczy okrzyk. Oberwaniec zgiął się w pół i zaskowyczał jak pies.

– Armando, „armatę”! – wydarł się Makak.

Barczysty sługus rzucił się do biurka, otworzył gwałtownie jedną z szuflad i wydobyl z jej wnętrza ogromny rewolwer owinięty w zamszową szmatkę. To był Smith & Wesson .375 (bardziej znany jako magnum), załadowany

pociskami rozpryskowymi, których użycie było prawnie zabronione. Natychmiast znalazł się w dłoniach Jamiego. Konus przesunął palcem po grubaśnej chromowanej lufie i skierował broń w stronę bliźniaka stojącego po lewej stronie.

– Puść go. – Rozkaz, jak się okazało, był zbyt mocny, ponieważ młokos i tak zdążył już zostawić Miguela w spokoju, a teraz uważnie i spokojnie obserwował karła. To spojrzenie sprawiło, że Jamie poczuł się nieswojo. Po raz pierwszy trafił na kogoś, kto będąc na celowniku magnum, zachowywał całkowity spokój. Ale złość wzięła górę nad zdziwieniem.

Kurdupel niespiesznie wodził rewolwerem z lewa na prawo, zataczając w powietrzu łuk. Za każdym razem, gdy lufa była skierowana na chłopca z lewej strony, Miguel, który stał obok, kulił się i zaczynał trząść. Natomiast smarkacz nawet nie mrugnął.

– Czy oni powiedzą mi, kto ich tu przysłał? – Bandyta zorientował się, że nie jest wykluczone, iż oni go nie słyszą. Ale tak naprawdę „malcy” dobrze go słyszeli, tyle że nie rozumieli po hiszpańsku. – Miguel, zostaw już swoje jaja. Tłumacz.

Żebrek od razu wcielił się w rolę tłumacza języka migowego. Żaden z białych bliźniaków nie zareagował.

– Dlaczego oni milczą, gdy zadaję pytania?! Nie zrozumieli cię, dziadu?

– Oni wszystko rozumieją – trąkotał Miguel – oni słyszą, tylko nie mówią.

Pigmej skierował wzrok na chłopców.

– Jak mnie znaleźliście? – W piskliwym głosie Makaka po raz pierwszy dało się wyczuć nutkę groźby. Postronny obserwator tylko by się uśmieł z zaistniałej sytuacji. Ale i Armando, i włóczęga skurczyli się, wiedząc doskonale, co się kryje za tym szczególnym tonem. – Pracujecie dla Boliwijczyków? Kto wam zdradził mój adres? Odpowiadajcie, bo inaczej...

Jamie wydał górną wargę, tak samo jak to robią małpy, i przez mocno zaciśnięte zęby wciągnął ze złością powietrze.

Miguel tłumaczył trzęsącymi się dłońmi. Bliźniacy zachowywali milczenie.

Groteskowość i ogromna niecodzienność sytuacji rozbudzały wyobraźnię. Głuchoniemi biali bliźniacy i półmartwy ze strachu żebrek. Jak w kinie! – Jamie dobrze się bawił. Niezawodne magnum dodawało mu odwagi. Makak odczuwał szaloną rozkosz, graniczącą z ekstazą, ściskając w dłoniach

elegancką szarą rękojeść i pozerając wzrokiem odblaski wypolerowanej piętnastocentymetrowej lufy oraz masywnego bębena.

Jamie uwielbiał swoją „armatę”. W ogóle nie rozumiał, jak można używać pistoletu, skoro istnieje coś takiego. Coś, co jest wyjątkowo niezawodne: w stanie pełnej gotowości nie ma w nim żadnej ściśniętej sprężyny, czyli że latami może leżeć w oczekiwaniu na okazję i natychmiast wystrzelić, gdy tylko zajdzie taka potrzeba. Z rewolweru można strzelić od razu po niewypale, po prostu nacisnąć spust (w pistoletach trzeba napiąć kurek w pierwszej fazie ruchu języka spustowego w tylne położenie, a ponadto usuwać z komory naboju pocisk, który nie wypalił). Rewolwer nie potrzebuje bezpiecznika, wystarczy nie naciskać spustu, jeżeli przypadkowo upadnie lub o coś się nim uderzy i nie wystrzeli. Łuski po strzale zostają w bębnie, przy czym, po pierwsze, nie mogą zranić strzelca, jak to często bywa z pistoletami, a po drugie, nie zostają w miejscu strzelaniny, tak więc ewentualna identyfikacja broni jest niemożliwa. Rewolwer, owszem, ma swój słaby punkt – tylko sześć pocisków w bębnie. Ale prawdziwe życie to nie kino – myślał Jamie Makak. W odróżnieniu od filmów w życiu prawie nigdy nie zdarzają się sytuacje, z których nie można wyjść cało dzięki sześciu celnym strzałom.

Wreszcie bliźniak po prawej, który stał odwrócony bokiem do Miguela, pokazał coś na migi. Żebrak zbladł jeszcze bardziej.

– Co on mówi? – warknął konus.

– O-o-on m-mówi – jąkając się, skomlał włóczęga – że o-oprócz al... al... aldosteronu, p-potrzebują j-j-jeszcze m-m-masek p-p-przeciww-g-g-gazowych...
– W tym momencie płowowłosy dzieciak znów ułożył palce w jakiś dziwny sposób. – I to e-e... aż... aż... trzydzieści d-dziewięć sz... sz... sztuk.

Niewyrośnięty mafioso zbaraniał z powodu takiej bezczelności. Tego już było za wiele.

– Z całym szacunkiem – piskliwie i jednocześnie patetycznie (jak w sztuce teatralnej) rzekł Jamie; Armando zrozumiał, że chłopcy już nie żyją. – Mam was po dziurki w nosie. Bez zaproszenia wpychacie się do mojego domu, żądacie jakichś narkotyków, o których nigdy nie słyszałem, na moich oczach miażdżycie jaja mojemu kumpłowi, a do tego jeszcze nie chcecie odpowiadać na pytania. Co wy sobie wyobrażacie?

Po tych słowach Jamie Makak uniósł spokojnie swojego smith & wessona i wystrzelił, celując w pierś chłopaka, który stał po prawej stronie. Mały szarpnął się, jakby się przestraszył dźwięku strzału. Żaden z mężczyzn tego

nie zauważył. Ale gdyby nawet ktoś dostrzegł ten gwałtowny ruch, za nic by się nie domyślił, że umorusany smarkacz odsunął nieco w bok lewą rękę i odchylił się odrobinę na prawo specjalnie, by uniknąć pocisku, który leciał akurat prosto w jego serce. Zamiast rozszarpać młodzieńczą pierś, kula wyleciała przez najdalsze okno i utonęła w ciemnościach nocy.

Siny dymek po wystrzale rozwiął się. Biały wyrostek sterczał w miejscu, niewzruszony, wlepiając oczy w pigmeja. Jamie spojrzął na podłogę, szukając plamy krwi; oczekiwał, że smarkacz lada chwila kwiknie i padnie, uciszony na zawsze. Ale krwi nie było. Mały stał jak słup, a Jamie się połapał, że spudłował.

Makak się skrzywił. Wyprostował krótką włochatą rękę i skierował chromowaną lufę w głowę chłopca. Zamknął jedno oko, rewolwer z hukiem palnął po raz drugi... Tym razem chłopiec szarpnął się mocniej, na ułamek sekundy położył głowę na ramieniu. Tak jakby coś ukłuło go w szyję. Następnie wyprostował się i zamarł.

– *Por que coño?*[68] – wrzasnął mafioso.

Nie zginając łokcia, Jamie skierował rewolwer w lewo i strzelił do drugiego bliźniaka. Rezultat był identyczny – dzieciak pozostał nietknięty.

Przez kilka sekund panowało całkowite milczenie i tylko Miguel chlipał, po cichu żegnając się z życiem. Makak niespokojnie wiercił się w fotelu; ze zdziwienia wytrzeszczył poźółkłe oczy i wysunął język. Wyglądał tak śmiesznie jak oszukana przez iluzjonistę cyrkowa małpa. Patrząc na niego, Armando nie mógł się powstrzymać i uśmiechnął się półgębkiem. To był ostatni uśmiech w jego życiu.

Nieoczekiwanie Jamie parsknął śmiechem, skrzekliwym jak krakanie wron.

– Kurwa, brachy, skapowałem, zakpiliście ze mnie! Ha, ha, ha! – Rechotał.
– To twój pomysł, diable? – Podniósł rewolwer i skierował go w stronę Armanda. – Bliźniacy *gringo!* Fenomenalnie to wymyśliłeś! Coś jakby demony z pustyni, hę? Zajebicie, niech to diabli! Ale *ślepe naboje?* Kiedy zdążyłeś, *amigo?* – Wylot lufy „armaty” patrzył prosto w oko żylastego bandyty.

Armando otworzył usta. Wiedział, że trzeba coś szybciotko powiedzieć, bo... Ale było już za późno. Wciąż krzywiąc się ze śmiechu, karzeł nacisnął spust.

Huknął strzał. Ciepła krew obryzgała małego Jamiego od stóp do głów. Pigmej bardzo się zdziwił i zaklął wrzaskliwie:

– *Que mierda!*[69]

Z takiej odległości rozpryskowy pocisk kaliber .375[70] nie tylko przewiercił ładny otworek w czaszce, ale w dodatku rozwalił Armandowi trzy czwarte głowy, zostawiając jedynie uszy i kawałek dolnej szczęki.

Ciało, które tak brutalnie zostało pozbawione mózgu, poruszyło rękami, jakby chciało powiedzieć: „Kurde, i tak jest zawsze”, zatoczyło się i upadło z łoskotem na podłogę werandy.

– Co za dzień dzisiaj, he? – Makak nieco zbladł, ze zdziwieniem zaglądając w lufę rewolweru. Nie przejął się przykrym zajściem i tym, co spotkało jego druha. To się zdarza... Pigmeja bardziej niepokoiło to, że pociski z jego magnum w jakiś tajemniczy sposób ominęły beczelnych małolatów.

W tym samym czasie bliźniak, który stał po prawej stronie Jamiego, powtórzył swoje znaki.

– Jamie, błagam – wybełkotał żebrak – nie zabijaj mnie, ale ten gówniarz uparcie każe ci przekazać, że potrzebują masek przeciwgazowych.

Mały Chilijczyk opuścił rewolwer i zmieszany gapił się na chłopców. Karzeł nie miał pojęcia, jak wytłumaczyć ten haniebny fakt, że trzykrotnie chybił z odległości nie większej niż cztery metry. Nie odczuwał jednak przy tym strachu. Jego jestestwo powoli zalewała żółć. Rozzłoszczony, skoczył z fotela na krótkie nóżki i trzymając przed sobą rewolwer, zaczął się zbliżać do bliźniaków.

– Będziecie popisywać się sztuczkami, gnojki? Co za pomysł! – wysyczał Makak. – A co zrobicie, gdy wsunę któremuś z was głęboko do gardła ten fajny gnat i naciśnę spust? No co?

Kiedy Jamie podszedł do chłopca stojącego po prawej stronie Miguela, tak blisko, że prawie go dotykał, z obu stron wynurzyły się dwa cienie i rozległo się charakterystyczne szczęknięcie. Bandyta odwrócił głowę najpierw w lewo i szybko zrozumiał, że zagłada wprost do lufy broni o kalibrze nie mniejszym niż otwór jego nozdrzy. Odwrócił się w prawo – to samo. Miguel zaczął szlochać i upadł na kolana, uderzając czołem o podłogę.

W tym momencie małego Jamiego ogarnął paniczny strach. I wcale nie z tego powodu, że wzięto go na muszkę. Zdążył się już do tego przyzwyczaić. Konusa otaczały cztery *absolutnie jednakowe* istoty, z których dwie trzymały

w dłoniach strzelby. Złe istoty, które nadeszły z pustyni... Na to odważny Makak w żaden sposób nie był przygotowany – ciepły rzadki placek wypadł z chlupotem w jego spodnie. To było najłatwiejsze i najszybsze wypróżnienie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. W innych okolicznościach ten fakt niezmiernie by go ucieszył, wprawiając w dobry nastrój co najmniej na kilka dni (a może i na cały tydzień!). Niestety, teraz pigmej nie odczuwał ani radości, ani nawet ulgi.

– Miguel... – chrapliwym głosem zawołał konus. Żebrak wciąż szlochał, osłaniając głowę rękami. – Miguel! – zawołał tym razem głośniejsze.

– Tak, Jamie? – odezwał się włóczęga, ciągle łkając.

– Zesrałem się...

– Przepraszam, szefie.

Makak zaczerwienił się i potrząsnął głową. Pomyślał, że miał zamiar powiedzieć co innego.

– Czy ty widzisz to samo co ja? – poprawił się szybko. – Miguel... kurwa mać, czy oni wszyscy są jednakowi?

– Tak, szefie...

Odpowiedzi pigmej już nie usłyszał. Bot, w którego wycelowane było śmiertelne magnum, odskoczył w bok, po czym skoczył do przodu, zgrabnie omijając lufę rewolweru. Gdy osuwał się w dół, zdzielił bandytę zewnętrzną krawędzią dłoni gdzieś w okolicy ucha. Przed oczami konusa rozbłysły piękne różowe kółka, a zaraz potem jego świadomość ogarnęły kojące ciemności...

LI

Jamie odzyskał przytomność dopiero po godzinie. Elektroniczny zegar ścienny wskazywał północ.

Makak, krzyknawszy, gwałtownie się szarpnął, usiadł na podłodze i rozejrzał się wokół. Nadzieja, że wszystko, co zobaczył, było tylko koszmarem sennym, natychmiast się rozviała. Z prawej strony w ciemnoczerwonej kałuży leżał zastrzelony przez niego Armando, w rogu za drzwiami, obejmując rękoma kolana, kulił się przestraszony Miguel, a skórę

jego twarzy nieznośnie ściągała zaschła krew. No i do tego zapaskudzone spodnie nieprzyjemnie lepiły się do tyłka. To chyba właśnie najszybciej przywróciło mu poczucie rzeczywistości.

– Gdzie są ci nedorobieni? – zapiszczał karzeł. – Gdzie?

– Poszli... – odrzekł ospale Miguel.

– Po jaką cholere przyprowadziłeś do mnie te białe klony?! Kto to jest? – Do Makaka nagle dotarło, że on – o dziwo – ocalał. Strach go opuścił, w jego miejsce pojawiły się gniew i urażona godność. Musiał wyładować na kimś złość.

– Nikogo nie przyprowadzałem – powtórzył żebrak. Mówił apatycznie, przeciągał sylaby, jak po zażyciu narkotyków. – Te gnojki same przyciągnęły mnie tutaj.

Nagle Jamie zauważył na podłodze, niedaleko swoich nóg stos zmiętych banknotów. Dostyc duża sterta złożona z chilijskich pesos, amerykańskich dolarów i euro. Sądząc po objętości, było tego co najmniej kilka tysięcy dolarów.

– A co to takiego?

Przysunął się bliżej i zgarnął pieniądze. Pod nimi leżał zerwany ze ściany kalendarz, na którym czarnym markerem zakreślono: czwartek dwudziesty sierpnia.

– Zapłata. – Miguel podniósł głowę. Jego spojrzenie było pozbawione wyrazu.

Makak tylko szcęknął zębami, ale nic nie odpowiedział.

– Prosim przypomnieć, że potrzebny im jest aldosteron. – Żebrak zmarszczył czoło, jakby mówienie sprawiało mu duży wysiłek. – Al-do-steron. To nie narkotyk, lecz hormon. Tak powiedzieli... I do tego trzydzieści dziewięć masek przeciwigazowych... Do czwartku. W czwartek wieczorem wrócić...

Jamie Makak złapał się na tym, że starannie zapisuje niezrozumiałe słowa na odwrotnej stronie kartki z kalendarza, pomagając sobie przy tym wysuniętym językiem. Spojrzał z ukosa na zegar – było osiem minut po północy. Stwierdziwszy, że jeszcze nie jest za późno, wybiegł z werandy.

Już po pierwszych krokach lepki kłopot u wylotu przewodu pokarmowego dał o sobie znać. Jamie zaklął, pobiegł do sypialni, zrzucił spodnie i bieliznę,

szybko podtarł się zasłoną (pierwszym, co wpadło mu w rękę) i włożył czyste szorty. Biegając ponownie przez werandę, zauważył w lustrze, że ma coś napisane na czole. Podszedł bliżej i zobaczył wzór chemiczny aldosteronu nakreślony grubym flamastrem: $C_{21}H_{28}O_5$.

– Gnoje! – wysyczał Makak, drżąc z bezsilnej złości. Podniósł z podłogi pieniądze i wepchnął je za pazuchę.

Po kilku sekundach karzeł znalazł się na ulicy.

LII

Boże, jesteś dziwnym kolesiem – oburzał się Jamie Makak, wycierając śliną pobrudzone czoło.

Mały Chilijczyk dawno już doszedł do takiego wniosku. Nie po raz pierwszy zwracał się do Boga z prośbą i za każdym razem bardzo szybko otrzymywał to, o co zabiegał. Niemal na talerzu. Ale... zawsze pojawiała się jakieś „ale” i jego świat przewracał się do góry nogami. Tym razem więc poprosił tylko o to, żeby biznes się znowu kręcił, i o podrzucenie kilku hojnych klientów... I co? Klienci – niech ich ciężka cholera! – pojawili się niemal natychmiast, tacy szczodrzy, że lepiej być nie mogło, tyle że Jamie dużo by dał, aby ich w życiu nie spotkać.

O drugim życzeniu karzeł nie chciał nawet wspominać. Narobił w spodnie, po prostu, o czym tu mówić. Następnym razem nie zaszkodziłoby wyprosić trochę więcej czasu, żeby mógł chociaż je ściągnąć...

Krocząc ciemnymi uliczkami Tocopilli, karzeł zmierzał do domu Caberry, nielegalnego emigranta z Meksyku, który za grosze mógł załatwić każdą rzecz w granicach całego kontynentu amerykańskiego. Jamie najpierw zamierzał poprosić Boga o to, by Caberra miał jakieś sobie tylko znane potajemne miejsce, gdzie leży w zapomnieniu pół setki sprawnych masek przeciwgazowych. Ale natychmiast zrezygnował z pomysłu, powstrzymując sam siebie i na głos przysięgając, że nigdy więcej nie zwróci się do Pana Boga. Za nic! W żadnych okolicznościach! Ten Gość jest za bardzo podejrzliwy i nieufny.

Dotarłszy do właściwego budynku w ciasnej uliczce nieopodal centrum, Jamie głośno zapukał do drzwi. Caberra był w domu, nie spał; z okien przez zasłony przedostawało się żółtawe światło, słychać było muzykę. Jakies disco. Meksykanie mają bzika na punkcie disco.

Dopiero po pięciu minutach drzwi rozwarły się szeroko. Na Jamiego wionęły (z taką siłą, jakby zalała go fala oceaniczna) opary alkoholu, rozwiąły kobiecy śmiech oraz ostry zapach marychy. W przedpokoju stał Caberra i mrugał pośliskimi od dymu gałami, chwiejąc się z boku na bok.

– *Hóla, mexicano*[71] – zbulgotał Makak.

– Co to za intruz?! – Caberra aż podskoczył. – Matko Boska!!! Jamie, bracie! To ty?! – Gdyby nie niski wzrost, wąskie ramiona i kosmyki włosów, które sterczały mu nad czołem jak u jakiegoś wojownika z plemienia Komanczów, Meksykanin za nic w świecie nie poznałby Makaka. – Co się stało z twoją twarzą?! A jak śmierdzisz! Mój Boże! Mam wrażenie, że przez cały wieczór chłepałeś krew z miski, a potem zagryzałeś gównem!

Pigmej wcisnął się do przedpokoju i od razu zwałił się na puf. Dyszał tak ciężko jak pies w upale.

– Caberro, niech skonam, ale na pustyni dzieje się coś dziwnego. – Jamie rozpaczliwie splótł na piersiach swoje małe piąstki. – Poza tym potrzebny jest mi aldosteron i trzydzieści dziewięć masek przeciwgazowych.

DOLINA ŚMIERCI

LIII

Na nieogarnionych przestrzeniach na północy Chile, od wybrzeża Oceanu Spokojnego do przedgórze Andów, rozciąga się pustynny płaskowyż. Nie ma na nim nic oprócz martwych skał, popielatego piasku i zasolonej gleby. Przez ostatnie czterysta lat nie spadła tu ani jedna kropla deszczu, nie pojawiła się nawet namiastka rosy. Naukowcy twierdzą, że tutaj już nigdy nie spadnie deszcz. W ogóle. To jest właśnie pustynia Atakama, bezduszne miejsce, obce i wrogie, nietolerujące niczego żywego. W porównaniu z Atakamą Sahara czy pustynia Namib wydają się rajem.

W samym sercu tego pustkowia, na południowy zachód od sennego miasteczka San Pedro de Atacama, znajduje się osobliwe miejsce. Pośrodku równiny wyrasta posępny masyw górski, potężny i groźny. Ponura formacja o stromych zboczach, zbudowana ze skał osadowych, głównie wapiennych. To tajemnicze ukształtowanie terenu powstało dwadzieścia trzy miliony lat temu, gdy wskutek uskoku skorupy ziemskiej Atakama wynurzyła się ponad powierzchnię oceanu. Deszcze i strumienie wody, które płynęły do morza, oraz wiejące wiatry z czasem wypłukały pewną część minerałów, w rezultacie czego powstał fenomenalny splot pasm górskich i dolin, które po upływie milionów lat zamieniły się w jeden z najbardziej niegościnnych zakamarków planety.

Najdłuższa dolina zaczyna się w odległości dwóch kilometrów od San Pedro i ciągnie się przez wiele kilometrów w kierunku zachodnim. U jej wylotu rozpościera się prawdziwa pustynia, gdzie niepodzielnie panują piaski, a przylizane wiatrem wydmy budzą melancholię. Z zastygłego w bezruchu nieba leje się przez cały dzień niemłosierny żar, a w nocy zawodzi wiatr niosący przenikliwie zimno. W tej dolinie nic nie rośnie, nie zamieszkuje jej żadna żywa istota, nawet mikroorganizmy. Nie ma tam ani dróg, ani stacji benzynowych, ani przydrożnych knajp. Nie ma też wody – ani na ziemi, ani

pod ziemią. Samotność i pustka, jak na bezludnej planecie pośrodku zimnego kosmosu. Nawet nazwa tego miejsca odpowiada jego ponurej wewnętrznej naturze i pełnej grozy zewnętrznej postaci – *Valle de la Muerte*, czyli Dolina Śmierci...

LIV

Środa, 19 sierpnia, 09.40 (UTC -4)
22°54'27" szer. płd. 68°27'35" dł. zach.
Pustynia Atakama

Całą czwórką weszli na wydmę. Najpierw Rino, za nim Jeff, potem Alondra i na końcu Jero, który bardzo się denerwował i ani na chwilę nie wypuszczał strzelby z rąk. Wokół piętrzyły się ostre wapienne skały. Motocykle zostały na dole, tam, gdzie na twardej gruncie pustyni nawiewany jest piasek.

Przyczyna niepokoju znajdowała się tuż przed nimi. Od północy do wydmy ciągnęły się szeroką smugą ślady. Większość była już zatarta, widać było tylko lekki zarys – miękki piasek nie jest w stanie zakonserwować wyraźnych odcisków. Gdziekolwiek zachowały się dobrze widoczne ślady dziecięcych stóp.

– Jak możesz się połapać w tym chaosie? – zapytał Jeffrey.

Rino, schylony, badał coś wzrokiem z odległości pół metra.

– Były tutaj. Ostatnio jakieś trzy dni temu.

– Wtedy, gdy ustały napady – zauważył Amerykanin.

– Chyba tak. Wygląda na to, że boty zbierały się w tym miejscu przed każdym atakiem.

– A teraz?

Headhunter wyprostował się i popatrzył w dal. W odległości dwustu metrów wydmy się urywały, za nimi rozpościerała się pagórkowata równina, na której najprawdopodobniej nie dostrzegliby żadnych śladów. Chociaż co za różnica? I tak nie mają czasu, żeby ich szukać. Trzeba się kierować intuicją.

– Ślady ciągną się od Doliny Śmierci – powiedział Rino. – Niektóre z nich rozdzielają się tutaj. – Mężczyzna zrobił obcasem dołek na wierzchołku wydmy. – Ale wszystkie prowadzą stamtąd.

– Byłeś kiedyś w Dolinie? – zainteresowała się Alondra, zdziwiona jego znajomością regionu. Chilijka postanowiła pojechać na zwiad razem z Jeffreyem. Oboje wspaniale dawali sobie radę ze sportowymi motocyklami.

– Tak. Od razu pierwszego dnia, kiedy tu przyjechałem, czterdzieści osiem godzin po ich ucieczce. Na dzień przed tym, jak Hort znalazł „malców”... – Południowoafrykanin zmarszczył czoło; wspomnienia nie były przyjemne – ...i spróbował porozumieć się z nimi. Nikt nawet pojęcia nie miał, że boty, pozbawione jedzenia, wody, hormonów i programu sterującego, będą zachowywały się tak agresywnie. Po prostu jeździliśmy po pustyni i szukaliśmy uciekinierów.

– Nie widzę żadnego śladu, który prowadziłyby z powrotem – zauważył Jero, ostrożnie przyglądając się każdej szczelinie w skałach.

– Tym się nie przejmuj, Jero. One wracają do domu inną drogą. Jeżeli wpadły na to, jak uciec z laboratorium, bądź pewien, że dobrze wiedzą, jak zatrzeć ślady.

– Gdzie wobec tego mamy ich szukać? – zapytał Jeff.

– Myślę, że te wyskrobki zaległy gdzieś w Dolinie. – Mrużąc oczy, Rino popatrzył w kierunku północnym. – To jedyne miejsce, gdzie w upalny dzień można znaleźć cień, a w nocy schować się przed wiatrem.



Dolina Śmierci

- A laguny[72]?
 - Nie wymyślaj. „Malcy” zawsze przychodzili z północy.
 - Ale tam nie ma wody – wmieszała się do rozmowy Alondra, pokazując odnogi łańcucha górującego nad Doliną Śmierci.
 - Tutaj nigdzie nie ma wody – odciął się Headhunter – a tą z lagun się nie napiją. Jest w niej tyle soli, że po wypiciu łyka można zdechnąć prędzej niż z odwodnienia... Woda pitna jest dopiero w San Pedro.
 - Chcesz powiedzieć, że boty chodzą po wodę do miasteczka? – Dziewczyna osłupiała ze zdziwienia.
 - A czy mają wybór? Tylko w San Pedro można dostać tyle wody, by napić czterdzieści gardeł.
 - Czyli boty kontaktują się z ludźmi?
- Rino lekko się uśmiechnął.

– „Kontaktują się”! Dobrze powiedziane. One nie mogą nie „kontaktować się”, bo potrzebują cholernie dużo rzeczy, aby przeżyć na pustyni.

Południowoafrykanin wyciągnął zza pazuchy mapę i złożył ją tak, żeby było widać San Pedro de Atacama i Dolinę Śmierci.

– Jesteśmy gdzieś tutaj. Proponuję się rozdzielić i przeszukać Dolinę z obydwu stron: od wschodu i od zachodu.

Wszyscy zebrali się wokół potężnego najemnika.

– Ja i Jero wyruszmy na północny wschód. Najpierw do San Pedro, popytamy wieśniaków, czy nie widzieli czegoś podejrzanego, a potem udamy się do Doliny Śmierci. Ty i Alondra pojedziecie na północny zachód. – Osilek odwrócił się do Jeffreya. – Daj mi GPS. Zaznaczę dwa punkty. – Wziął od Amerykanina czarnego iPhone’a. – Pierwszy przy wejściu do kanionu, tam skróćcie w prawo i pojedziecie na wschód, drugi mniej więcej pośrodku. –

Rino niezgrabnie wodził palcem po ekranie, szukając na mapie najbardziej zachodniej odnogi doliny. Wszystkie nowoczesne gadzety wprawiały go w zakłopotanie. Był przyzwyczajony do starych papierowych map. – Gdy po dotarciu do drugiego punktu nie natraficie po drodze na boty lub nie spotkacie mnie czy Jera, natychmiast zawracajcie i walcie prosto do laboratorium. Jakies pytania?

– Nie ma. – Jeff i Alondra pokręcili głowami.

– Wspaniale. Możemy je dostroić tak, żebyśmy się słyszeli? – Rino wskazał palcem podłużny przyrząd z krótką antenką, który wystawał z tylnej kieszeni spodni Jero. Katsuro dał mu przed wyjazdem dwa jednakowe urządzenia i dołączył do nich miniaturowe słuchawki oraz mikrofon, który mocowało się przy policzku.

– Niestety nie – odparła Chilijka. – Za ich pośrednictwem można się porozumiewać tylko z bazą.

Rino się skrzywił.

– Tak myślałem. No to nie włączajcie tego czegoś, dopóki nie natraficie na ich legowisko. Oczywiście zakładając, że na nie natraficie. Ci mądrale będą tylko przeszkadzać swoim gadaniem.

– Jak sobie życzysz, Rino.

Całą grupą zaczęli schodzić z wydmy, kierując się do pozostawionych na dole motocykli.

Headhunter naumyślnie wysłał Jeffreya i Alondrę na zachód. Intuicja podpowiadała mu, że z tamtej strony botów nie ma. Zachodnia część Doliny Śmierci nie nadawała się do życia. W dzień nawet zimą było tam niewiele chłodniej niż po nasłonecznionej stronie Marsa. Poza tym Rino nie wierzył, że boty mogłyby się osiedlić w tak dużej odległości od siedzib ludzkich. Owszem, „malcy” byli szybcy i okrutni, ale musieli jednak stawić czoło wyjątkowo agresywnemu środowisku naturalnemu. Potrzebowali jedzenia, wody, jakichś ubrań, może nawet lekarstw. Muszą być na wschodzie, gdzieś niedaleko San Pedro – rozmyślał Rino. Mimo wszystko dręczyły go wątpliwości i niepewność.

– Jeffrey... – zawołał, gdy tylko Amerykanin usadowił się na siodelku yamahy.

– Tak, Hunter?

Rino się zawahał.

– Co chciałeś powiedzieć, wielkoludzie? – Jeff się uśmiechnął.

– Uważajcie na siebie, *fella*. Mamy je tylko znaleźć.

– W dzień nie napadają, nie ma się czego obawiać – Amerykanin machnął ręką, ale po chwili dodał już mniej pewnym głosem: – No, tak mówi Keitaro...

– Jeffrey! – Siłacz podniósł głos. – Żadnej amatorszczyzny.

– Tak jest, panie generale! – Chłopak zasalutował po wojskowemu i ostro ruszył z miejsca, wzbijając kłęby kurzu. Alondra pomachała ręką i pognąła za nim.

Wsunąwszy ręce do kieszeni, Rino i Jero obserwowali, jak dwójka motocyklistów oddala się, robiąc pętle na nierównym wyboistym szlaku pustynnego płaskowyżu.

– Szefie, mogę coś powiedzieć? – wymamrotał ciemnoskóry Herero.

– Zamknij się! – ryknął na niego Headhunter. Obaj myśleli o tym samym.

– A jednak powiem, szefie. Niepotrzebnie ich puściliśmy. Bardzo się boję.

Przecucie nie zawiodło Herera. Jeffrey i Alondra zatrzymali się na chwilę na ubitym wzniesieniu, które wijąc się, ciągnęło w kierunku północno-północno-zachodnim. Pochylili się nad iPhone’em. Smukłe sylwetki wyraźnie rysowały się na tle wyblakłego nieba. Wybrali optymalną drogę i wyruszyli w dalszą podróż, szybko znikając patrzącym z oczu.

Zostały im nieco ponad dwie godziny życia.

LV

Środa, 19 sierpnia, 10.47 (UTC -4)
Okolice San Pedro de Atacama

Dwa kilometry na południe od San Pedro Rino i Jero dotarli do szosy, która wiodła wprost do miasteczka. Przejechali kolejne pół kilometra, gdy Headhunter podniósł rękę, nakazując się zatrzymać.

– Cii... – Wielkolud położył palec na ustach; Herero wyłączył silnik i zaczął nasłuchiwać. – Dlaczego jest tak cicho?

– To pustynia, szefie. – Jero wzruszył ramionami. – Tutaj zawsze tak jest.

– Do diabła z pustynią. – Rino się nachmurzył. – Do wsi mamy kilometr. Dlaczego nic nie słyhać? Przecież musi tu się trafić ktokolwiek: jakiś bałwan, który zasuwą do Miscanti popatrzeć na durnowate flamingi, czy ktoś z miejscowych, kto się wybrał na zakupy do Calamy, czy jeszcze ktoś inny.

Jero bez pośpiechu przyglądał się horyzontowi. W oddali w srebrzystej mgłę widniały pierwsze bezkształtne i krzywe, przysypane piaskiem chałupy San Pedro. Daleko po prawej stronie pięły się ku niebu wygasłe andyjskie wulkany. Chociaż bardzo się starał, nie odnalazł żadnego ruchomego obiektu. Pustynia wyglądała na martwą.

– Nie wiem.

To błędne przeczucie – Rino uspokajał sam siebie. Jero ma rację: to Atakama, nie Manhattan w porze obiadu. Mimo to lęk go nie opuścił, a chęć zajrzenia do miasteczka coraz bardziej malała, wypływała z niego jak wino, które wycieka przez dziurawe dno dębowej beczki.

Rino siedział na motorze, opierając nogę o asfalt. Jero się nie ruszał – czekał, co postanowi szef. Headhunter odwrócił głowę i zobaczył, że Herero się uśmiecha.

– Z czego się śmiejesz, debilu?

– Tak patrzę i sobie myślę: jesteśmy jak dwa kowboje. Strzelby w pokrowcach, pod tyłkami żelazne konie, z przodu opustoszała osada. Hej,

hej! Dwaj zasrani kowboje dwudziestego pierwszego wieku!

– Nie pleć bzdur, głupolu. – Południowoafrykanin machnął ręką, a potem zapalił silnik i ruszył do przodu.

Po raz drugi zatrzymali się bez żadnego rozkazu. Zastygli w bezruchu tuż przy wjeździe do San Pedro. Jero wy dobył strzelbę z pokrowca umocowanego z tyłu pojazdu i gorączkowo przeładował broń, wprowadzając nabój do komory.

Mieścina liczyła setkę bezładnie rozmieszczonych chat o grubych glinianych ścianach z małymi oknami, które nie przepuszczały do środka upału. Gdzieś na wietrze rozciągnięte na tyczkach prześcieradła, które chroniły podwórza przed pustynnym pyłem. W San Pedro nie było głównej ulicy typowej dla większości południowoamerykańskich miasteczek. Jedna, pretendująca do tej nazwy, zaczynała się przy wjeździe, ale prawie od razu zniknęła w plątaninie ścieżek i niechlujnych domków, które napierały jeden na drugi.



San Pedro de Atacama. W tle wulkan Licancabur

Rino i Jero znajdowali się jakieś pięćdziesiąt kroków od pierwszych zabudowań. Nawet z takiej odległości było widać, że chałupy są puste. Na jednym podwórzu stał ogromny pikap Ford Ranger. Wszystkie drzwi były otwarte na oścież, wewnątrz nie widać było nikogo. Nieco dalej pośrodku drogi gruntowej stała ciężarówka, zagrządzając przejazd w głąb wsi. Wielka cysterna na wodę na skrzyni auta została doszczętnie spalona. Nadwozie było

tak bardzo osmalone, że nie dało się określić oryginalnego koloru. Na drodze walały się porzucane niedbale części ubrań, obuwie, kawałki desek, potłuczone szkło.

– Miałeś rację – wychrypiał Jero. – Te wyrodki nawiązały „kontakt”.

– Uhm – beznamiętnie przytaknął Rino. Nie po raz pierwszy oglądał z bliska wyludnione osady. Był w Rwandzie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku w samym środku krwawej rzezi[73]. – To ich sprawka. Popatrz tam.

Headhunter uniósł się nad siedzeniem i wskazał na przeoraną ziemię przy jednym z obejść.

– Ślady? – Ciemnoskóry powiódł wzrokiem we wskazanym kierunku, ale niczego nie zobaczył. Po chwili jednak dostrzegł wyraźny odcisk dziecięcej stopy. – To może być ślad jakiegoś miejscowego dziecka – zauważył nieśmiało – jakiegoś chilijskiego smarkacza.

– Chcesz mi powiedzieć, że chłopaki z San Pedro hasają po pustyni na bosaka?

Jero nic nie odpowiedział i jeszcze bardziej się zasepił.

– Chodźmy zobaczyć, co tam się dzieje.

– Gdzie? – Herero poczuł, że po jego plecach przebiega ohydny dreszcz, jakby po plecach przemknął mu szczur.

– Kurwa, na Marsie! No, we wsi oczywiście.

– Nie uważam, żeby to była mądra decyzja, Rino.

– Nie strachaj się, Jero. Wiocha jest pusta. Ciężarówka dopaliła się już dawno. Musimy sprawdzić.

– Sam mówiłeś, że „malcom” niezbędną jest woda. A jeśli zostawili kogoś do pilnowania cysterny czy coś takiego? I... i co to znaczy „musimy”?

Headhunter na moment się zawahał. Też o tym myślał. Jednak intuicja podpowiadała mu, że boty powinny trzymać się razem i nie będą siedziały w San Pedro.

– Co chcesz tam znaleźć? – Jero nie dawał za wygraną. – Wszystko i tak jest jasne, wyrodki przyszły po wodę, pozabijały ludzi i polazły z powrotem do swojego schronienia.

– Nie uważam tak, Jero – zaprzeczył Rino. – Coś tu jest nie tak...

– O czym ty mówisz?

Olbrzym wzruszył nieznacznie ramionami, zsiadł z motocykla i rozglądając się dokoła, wydobył strzelbę.

– Idziemy.

– Igramy z ogniem. – Jero podporządkował się rozkazowi i powlókł za Południowoafrykaninem.

Minęli spaloną cysternę z wodą i znaleźli się na głównym placu miasteczka. Górowała nad nim najbardziej znana atrakcja San Pedro – biały siedemnastowieczny hiszpański kościółek.

Wszędzie dostrzegali ślady walki. W wielu domach szyby były potłuczone, otwory okienne ziały pustką. Na podjazdach między opustoszałymi chałupami stało kilkanaście terenówek. W większości drzwi były otwarte, niektóre miały rozbite przednie szyby. Rino się nie zdziwił, gdy się okazało, że we wszystkich bez wyjątku samochodach w stacyjkach tkwią kluczyki. Wyglądało to tak, jakby mieszkańcy próbowali ratować się ucieczką, ale w ostatniej chwili zostali wyciągnięci z samochodów.

Gdzeniegdzie na ścianach widniały plamy zaschniętej krwi.

Wiele śladów przysypał piasek. Przywiało go dość dużo przez niedomknięte drzwi opuszczonych domostw. Cokolwiek się zdarzyło w San Pedro, to co najmniej dwa dni temu.

Rino zajrzał do kościółka, a potem do biura turystycznego – parterowego budynekczku z suszonej cegły, gdzie każdy mógł otrzymać mapę Atakamy – przespacerował się też po wydeptanym placyku, który pełnił funkcję rynekczku. Uruchomił silnik jednego z porzuconych samochodów i przekonał się, że jest sprawny, a w zbiorniku nie brakuje paliwa. Dużych zniszczeń nie było, lecz puste domy i bezludne ulice wywoływały niepokój i uczucie swędzenia pod skórą.

Ciemnoskóry nie odstępował swojego szefa. Jero nie był tchórzem. Co więcej, uważał się za śmiałka. Tyle że tam, w Namibii czy Angoli, wszystko było proste: z jednej strony kudłaci czarni chłopcy z AK-47, z drugiej – tacy sami młodzieńcy z amerykańskimi M-16. Nie trzeba się było specjalnie wysilać, żeby się domyślić, co dzieje się w ich głowach. A tutaj, mając bogaty arsenał niezawodnej broni palnej, nie mogli sobie poradzić z grupką smarkaczy, którzy jeszcze do niedawna posługiwali się procami i kamieniami.

Serce najemnika przestawało bić, gdy myślał o tym, co będzie teraz, odkąd boty zdobyły strzelby.

– Rino – wychrypiał szeptem Jero – co się tu mogło wydarzyć? Gdzie się wszyscy podzieli?

Headhunter milczał, zerkając dokoła.

– Szefie – ciągnął Herero – myślę, że trzeba się stąd wycofać, dopóki nie wleźliśmy w gówno, którego nie damy rady zmyć. Jeżeli boty zniszczyły całą miejscinę, nie warto tutaj zostawać... Całe miasteczko... Kilkaset osób! Nie do wiary, że zgraja smarkaczy...

– Słyszysz? – przerwał mu w pół słowa Rino. – Słyszysz ten dźwięk?

Jero wyciągnął szyję, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Oczy nieomal wyszły mu z orbit. Czarne uszy odstawały jak u jeża. Mimo gwizdania wiatru i głuchych uderzeń serca Herero uchwycił miarowy niski warkot, który dobiegał do nich z północnej części San Pedro.

– Co to jest?! – ciemnoskóry prawie krzyknął.

– Weź się w garść, *fella*. – Południowoafrykanin popatrzył na najemnika pogardliwie. – To pompa. Ludzi nie ma, ale stacja pomp jeszcze działa.

– I co to znaczy?

Rino włożył strzelbę pod pachę, wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro gold, wybrał jednego papierosa i zapalił.

– A dlaczego uważasz, że wiem, co to znaczy? Chodźmy popatrzeć.

Mężczyźni przedostali się skrótami przez niewielkie osiedle i znaleźli się obok zaniedbanej stacji pomp, która dostarczała wodę do większości domów w San Pedro. Pośród karłowatych drzew przykucnął ceglany domek z wąskimi oknami bez ram i płaskim dachem. Otwarte na oścież zardzewiałe metalowe drzwi kołysały się na wietrze. Stara kłódka walała się nieopodal, przysypana piaskiem. Wewnątrz pomieszczenia pracował ogromny silnik elektryczny o prawie półmetrowej średnicy. Wał wyjściowy silnika był połączony poprzez reduktor z pionowo usytuowaną pompą śrubową^[74], która wypompowywała wodę z odwiertu znajdującego się na głębokości dwustu metrów. Brak należytej konserwacji urządzenia sprawił, że mechanizm zardzewiał i rozpaczliwie jęczał. Wyjściowe króćce przeciekały (uszczelki dawno zestarzały się lub przegniły), pozwalając drogocennej cieczy wsiąkać z powrotem w piasek.

Stacja pompowała wodę za pomocą rurociągu do wieży ciśnień – starej, zżartej przez korozję cysterny na czterech podporach, umocowanej na wysokości dwunastu metrów nad ziemią. Z cysterny, dzięki wykorzystaniu ciśnienia hydrostatycznego, wodę dostarczano do domów mieszkańców San Pedro.

Gdy Rino i Jero podeszli bliżej, zobaczyli, jak z wieży ciśnień obficie leje się woda. W kilku miejscach w dnie cysterny widniały duże dziury. W ciągu dwóch dni piasek napęczniał wodą, a pod podporami pobłyskiwały brudnawe kałuże.

Headhunter zadarł głowę.

– Boty nie wiedziały, jak się dostać do wody, dlatego wydłubały lub przestrzeliły w spodzie dziury. Idioci.

Wszystko przemawiało za tym, że wielka pompa pracowała pełną mocą, wysysając wodę z dużej głębokości tylko po to, by ta natychmiast wylewała się z powrotem w piasek.

– Aha... – przytaknął Herero.

Wokół wieży wały się puste plastikowe butle, metalowe kanistry i drewniane beczki. Większość była uszkodzona albo nie miała uchwytów, żeby można było je przenosić.

– Zaopatrywały się tutaj w wodę. Widzisz? – Rino kopnął nogą jedną z dziurawych butli. – Tych nie mogły ze sobą zabrać. A potem sobie poszły.

– Uhu... Rino, wynośmy się stąd, proszę cię.

– Nie. – Wielkolud beztróska ćmił papierosa.

Jero ledwo się powstrzymał, by nie zajęczeć.

– Co jest, szefie?

– One tu wróca. – Rino zaciągnął się po raz ostatni i wrzucił niedopałek do kałuży. – Bez względu na to, ile wody ci zasrańcy wzięli, to i tak wkrótce im się skończy. Trzeba działać szybko. Musisz mi pomóc.

Poprowadził Afrykanina do wnętrza budynku.

Jero stał w przedsionku i ciągle oglądał się za siebie, nie mając odwagi wejść dalej. Wywijając kolbą remingtona, Headhunter poprzerywał kable, które zasilaly silnik. Motor chrząknął i zatrzymał się. Huk szybko ustał. Od tej chwili ciszę mącił tylko plusk strużek wody, które spadały z dwunastometrowej wysokości i uderzały o mokry piasek. Woda będzie

ściekała jeszcze długo. Możliwie, że nawet cały dzień. Cysterna miała nie mniej niż dziesięć metrów sześciennych pojemności.

Rino obejrzał całe pomieszczenie i znalazł pobrudzony smarem klucz nastawny. Wręczył go Afrykaninowi.

– Trzymaj – powiedział, po czym uklęknął przed pompą. – Przytrzymuj klucz na główce śruby mocującej pokrywę wirnika pompy, a ja będę walił kolbą w uchwyt. Ręcznie ich nie poodkręcamy.

Młody Herero, ściskając w jednej ręce klucz nastawny, a w drugiej remingtona, przestępował z nogi na nogę. Nie rozumiał, dlaczego jego szef tak się cacka z tą maszyną.

– Czemu nie rozwalimy po prostu wirnika lub nie strzelimy w silnik? – Jero chciał za wszelką cenę wynieść się jak najszybciej z San Pedro i odjechać byle dalej stąd.

– Jełopie – burknął Rino. W jego głosie nie było złości ani gniewu. – Jakbyś nigdy się nie włóczył po pustyni w Namibii. To jest jedno z dwóch dostępnych źródeł wody pitnej w promieniu stu kilometrów. Kto wie, może raptem przyda się nam? Odkręcimy po prostu wał i go schowamy.

Jero zgodził się, westchnął i zabrał się do pracy. Objął kluczem główkę jednej ze śrub mocujących kołnierz wału, a Headhunter, przełączynywszy bezpiecznik, kilkakrotnie rąbnął kolbą ramię klucza. Gwinty były zardzewiałe, śrub nie dało się łatwo odkręcić. Czasami Herero nie był w stanie utrzymać klucza, który po kolejnym uderzeniu spadał z główki śruby i wylatywał aż na ulicę. Rino i Jero męczyli się prawie dwadzieścia minut, zanim odkręcili kołnierz wału napędowego i pokrywę wirnika.

Wreszcie Headhunter wyciągnął z korpusu pompy śliski wirnik.

– Schowamy go w kościółku – rzekł.

Mężczyźni chwycili za oba końce długi ślimak i zataszczyli go do rynku. Gdy dotarli do świątyni, wnieśli piekielnie ciężki wirnik do środka i umieścili go pod najdalszą ścianą od wejścia, po czym narzucali na niego różne szmaty, deski i inne nikomu niepotrzebne rupiecie.

– I tyle – rzekł Headhunter, wycierając ręce o dzinsy. – Teraz uciekinierzy mają jeden problem więcej. A my już możemy się stąd zmywać.



Wewnątrz pomieszczenia pracował ogromny silnik elektryczny o prawie półmetrowej średnicy. Wał wyjściowy silnika był połączony poprzez reduktor z pionowo usytuowaną pompą śrubową...

Jero wybiegł na ulicę, omal nie podskakując ze zniecierpliwienia.

– Uważasz, że boty się nie domyślą, jak go z powrotem zainstalować? – spytał, szybko podążając w kierunku drogi wyjazdowej z miasteczka.

– Jestem tego pewien – wymamrotał Rino. Mężczyźni dotarli do ostatnich zabudowań. Motocykle stały na miejscu. – Gdyby boty wiedziały, jak działa pompa, toby nie dziurawiły cysterny. Posłużyłyby się wodociągiem. Prócz tego – dodał, mrużąc chytrze oczy – ubezpieczyłem się podwójnie. – W otwartej dłoni Headhuntera leżały śruby, którymi była mocowana pokrywa wirnika pompy.

Kiedy Jero usadowił się na motocyklu, odetchnął i uspokoił się. Wokoło rozpościerała się bezbrzeżna pustynia, jakakolwiek zasadzka raczej nie wchodziła w grę. Siedział na wspaniałym motorze, a przygnębiające puste budowle już nie straszyły.

– Łatwo znajdziemy ich legowisko – zapewnił czarnoskóry Herero. – W Dolinie jest tylko głęboki piasek. Boty musiały zostawić ślady po przeciągnięciu iluś tam butli z wodą.

Rino puścił uwagę mimo uszu. Wsiadł na motocykl, ale nie spuszczał wzroku z San Pedro. Jego oczy zdradzały napięcie. Mięśnie zuchwy zadrgały.

Jaskrawoczerwona blizna pulsowała i zwijała się jak żywa. Jak robak, który się rozpląszczył i przylepił do twarzy.

Jero spochmurniał, bo uświadomił sobie, że szefowi coś się nie podoba. Bardzo dobrze znał to spojrzenie. I wyjątkowo go nie lubił, ponieważ oznaczało problemy. Dla nich obu.

– Co zamierzasz, szefie? – cicho spytał Herero. – Coś jest nie tak?

– Widziałeś chociażby jednego trupa?

Jero się zamyślił.

– Ja... hm... nie.

– Ja też nie widziałem, *fella*. – Rino splunął. – Żadnego. Nie dziwi cię to?

– Dziwi... – powtórzył głupkowato Afrykanin. – Naprawdę dziwi.

– Właśnie się zastanawiam, Jero, gdzie się podziało tylu umarłaków?

LVI

Środa, 19 sierpnia, 10.11 (UTC -4)
EN-2, drugi blok inżynierski

Wczoraj Tymur przejrzał sześciogodzinne nagranie i sto tysięcy linijek kodu programu. Dobrze orientował się w zasadzie kodowania botów, ale niczego podejrzanego nie znalazł. Ralf jakby celowo unikał wszelkich rozmów o zniknięciu pliku MacrosWH.bcf, twierdząc, że oddał Tymurowi wszystkie pliki z kodami. Przeznaczenie funkcji MacrosCreate nadal pozostawało tajemnicą.

W środę programista znowu zaczął przeglądać nagrania, które bezpośrednio poprzedzały ucieczkę. Poinformowano go, że grupa składająca się z czterech osób pod dowództwem Rina wyruszyła z samego ranka na pustynię w poszukiwaniu botów. Tymur wiedział, że ma bardzo mało czasu.

Oglądając po raz kolejny sceny, które powtarzały się podczas wieczornych posiłków, Tymur skupił się na szczegółach. W pewnym momencie dostrzegł dziwną prawidłowość. Coś się działo, gdy boty atakowały swojego towarzysza. Dwudziestu–trzydziestu „malców” rzucało się na ofiarę. I one przykuwały uwagę potencjalnych obserwatorów. Jednak chłopak zauważył, że

zawsze jeden bot trzymał się na uboczu. Nie patrzył na bijatykę. On się przyglądał. Za każdym razem, kiedy Tymur po raz kolejny oglądał scenki ze stołówki, wyszukiwał właśnie takiego bota. Wywnioskował, że „malec” pilnował wejścia. Jak tylko do pomieszczenia wbiegała ochrona, ten się odwracał i siadał przy stole. Wyglądało na to, że odnotowywał czas przybycia ochroniarzy.

Drugi interesujący epizod zwrócił uwagę Korszaka podczas skrupulatnego przeglądu nagrań z trzydziestego pierwszego sierpnia, z dnia ucieczki.

Stołówka miała trzy wejścia: dwa z nich prowadziły do „Żłobka”, a jedno – BRAMA 05 – wychodziło na zewnątrz. Tamtego dnia boty zablokowały dwa wejścia, te łączące jadalnię ze „Żłobkiem”. Drzwi zewnętrzne nie były zastawione stołami. W czasie poprzednich ataków na ofiarę ochroniarze przybiegali od strony „Żłobka”. Jeżeli nawet znajdowali się akurat w bloku DW, mniej czasu zajmowało im dostanie się do EN-2 przez główne wejście i wdarcie się do jadalni niż okrążenie całego budynku, żeby wpaść przez BRAMĘ 05. Do Tymura dotarło, że boty, którym co wieczór „prano” mózgi, usuwając resztki kodów ze skupisk, jakimś cudem zapamiętały, że ochrona nie wykorzystuje zewnętrznego wejścia.

Trzecie zdarzenie poraziło programistę najbardziej. Chłopak przejrzał wiele nagrań, na których zarejestrowano, jak boty były wyprowadzane w kolumnach ze „Żłobka” i pędzone na treningi. Aby otworzyć bramę, należało włożyć kartę do czytnika i wprowadzić kod. Bramę otwierał zawsze ten sam ochroniarz – kościsty Chilijczyk o pomarszczonej twarzy, nałogowy palacz. Dziennie wypalał dwie i pół paczki, a zamiast płuc miał już pewnie torebki z rzadkim gównem. Podchodząc do elektrycznego zamka, zwykle pokasywał, osłaniając usta dłonią. Kiedy programista oglądał nagrania z zewnętrznych kamer, zarejestrowane w dniu ucieczki, odkrył, że bot, który otwierał bramę, nie tylko znał kod. Gdy podszedł do zamka, zgarbił się i dwa razy z rzędu podniósł do ust zaciśniętą w pięść dłoń. „*Malec*” *naśladował ruchy ochroniarza palacza*, przekonany, że bez tego „rytuału” zamek się nie otworzy.

Tymur dziesiątki razy cofał suwak odtwarzacza. To nawet nie było dziwne. To wręcz szokowało. Programista musiał zmienić swój sposób myślenia. Logika postępowania bota i pewność, z jaką się zachowywał, wskazywały na to, że problem tkwi w oprogramowaniu. Zachowanie botów było na pozór skomplikowane, lecz po głębszej analizie Korszak dochodził do wniosku, że

za tą sztuczną złożonością kryje się prymitywizm. Wiedział, że musi znaleźć MacrosWH.bcf, jedyny plik, jakiego mu brakowało w kodach źródłowych.

Litery WH w nazwie brakującego modułu oznaczały „Wadim Hort”. To było oczywiste. Tymur postanowił przeczytać raz jeszcze życiorys Horta. Jak się okazało, tylko po to, aby znów się znaleźć w ślepym zaułku.

Myśli plątały się w głowie. Tymur chciał wrócić do nagrań, ale coś nie pozwalało mu się na nich skupić. Jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Przyczepiła się do niego jak rzep. *Dlaczego boty dopracowywał programista systemów CAD?* Dlaczego nie zwrócono się od razu do niego, do Tymura?

Co to takiego te systemy CAD? To przecież zwykłe programy do grafiki 3D z rozwiniętym interfejsem i wielką liczbą narzędzi potrzebnych do typowych obliczeń konstruktorskich. Algorytmy liniowe, żadnych generatorów losowych, żadnej teorii chaosu. Dlaczego wobec tego programista CAD dołączył do zespołu pracującego nad botami? To zakrawało na kpiny, to był jakiś nonsens. Tak jakby dentyście powierzyć wykonanie operacji kardiologicznej lub projektantowi garnków do gotowania na parze zlecić opracowanie modułu promu kosmicznego.

Im dłużej Tymur nad tym myślał, tym większe miał wątpliwości. Chłopak nawet nie podejrzewał, że od rozwiązania dzieli go tylko krok.

LVII

Środa, 19 sierpnia, 12.11 (UTC -4)
22°51'10" szer. pld. 68°19'27" dł. zach.
Krańcowa wschodnia odnoga Doliny Śmierci

Powietrze było suche i miało jakiś papierowy smak. Wydawało się, że wdycha się je przez starą zakurzoną gazetę.

Rino i Jero zjechali z drogi do Doliny Śmierci. Prawie pięć kilometrów poruszali się po twardym podłożu. Rynna wąwozu wiła się jak boa dusiciel, który okręcił się wokół rosochatej gałęzi. Zbocza co każde sto metrów stawały się coraz wyższe, gdzieniegdzie osiągały wysokość siedmiokondygnacyjnego budynku. Mijając po drodze ogromne, podobne do słoni twory skalne, mężczyźni czuli się jak mrówki.

Słońce przypiekało, rozsiewając dokoła bezbarwny żar. Wiatr nie przedostawał się pomiędzy zbocza Doliny. Hulał gdzieś na górze, wysoko nad głowami, z rzadka tylko zrzucając w dół garście piasku.

Niespodziewanie zbocza *Valle de la Muerte* rozstały się, ustępując miejsca głębokim piaskom. Szeroka piaszczysta wstęga utorowała sobie przejście w zboczach wąwozu i przecinała Dolinę na ukos z południa na północ. Jednak nieco dalej, w odległości kilkuset metrów, wapienne skały znowu wynurzały się spod wydm, tworząc jednolity mur. W tym miejscu były jeszcze wyższe, osiągały na oko trzydzieści pięć metrów. Pośrodku tego muru znajdowała się szczelina, która w najszerszym miejscu miała nie więcej niż pięć metrów szerokości.

I tu właśnie Headhunter i Herero zobaczyli ślady. Po obu stronach rozpadliny wydmy były gładziutkie jak pupka niemowlęcia, za to z przodu ciągnął się piaszczysty pas pokryty mnóstwem płytkich dołków, jakie tworzą się, gdy ktoś stąpa po miękkim, pylistym piasku. Tu i ówdzie widniały bruzdy, znaczące miejsca, gdzie boty przeciągały największe butle z wodą.

Mężczyźni zatrzymali się i zgasili silniki.

– Widzisz. – Jero starał się mówić z ożywieniem, ale wyglądał jak uczeń, który przyznaje się ojcu, że zawałił egzamin. – Mówiłem przecież, że znajdziemy je bez problemów.

– Najważniejsze, żeby teraz one nas nie znalazły – odrzekł Południowoafrykanin.

Ślady prowadziły do szczeliny w wapiennej skale.

– Chodź, skończymy z tym wreszcie – rzucił Herero, uruchamiając ponownie silnik.

Headhunter nie poruszył się, a jego noga opierała się o ziemię.

– Co jest? – Jero zerknął z ukosa.

– Za dużo tych śladów.

– Eee...



I tu właśnie Headhunter i Herero zobaczyli ślady. Po obu bokach rozpadliny wydmy były gładziutkie jak pupka niemowlęcia, za to z przodu piaszczystej wstęgi ciągnął się pas piasku pokrytego mnóstwem płytkich dołków...

– Za dużo jak na czterdziestu chłopców.

Pokryty śladami pas miał szerokość ośmiu–dziesięciu metrów.

– I co z tego? – Ciągłe niedopowiedzenia ze strony szefa doprowadzały Herera do szału. – Może przeszły tędy kilka razy?

Rino uchylił się od odpowiedzi. Wzruszył ramionami, uruchomił motocykl i wyrwał do przodu.

Nie jechali długo. Po kilku metrach przednie koło motoru ciemnoskórego najemnika ugrzęzło w piasku. Jero zaskrzeczał, przeleciał przez kierownicę i plasnął na ziemię. Po chwili maszyna wielkoluda zakopała się obydwoma kołami. Osilek szarpał z wściekłością motocykl, próbując wydostać się z pułapki, ale nogi nie znajdowały oparcia i zapadały się w ciepłym sypkim piasku. Obu mężczyzn otulały powoli wzniesione przez nich tumany kurzu.

– Kurewska pustynia! – przeklął Headhunter. Jego motocykl zgasł.

Jero tylko kaszlnął w odpowiedzi, podnosząc swój motor.

– Trzeba będzie je prowadzić – powiedział wielkolud – póki nie dotrzemy do kamienistego gruntu.

– Może poszukamy objazdu?

– Tak, jasne, i zgubimy ślady. Do szczeliny nie jest daleko, chodź, mam nadzieję, że jednak pojedziemy.

I zaczęli pchać. Nie było to łatwe. Nogi grzęzły w piasku. Każdy krok wznosił w powietrze chmury drobnutkiemu pyłu, który wciskał się do ust i nosa. Czoło Herera pokryło się wielkimi kroplami potu, które natychmiast wyparowywały, pozostawiając na skórze szorstkie plamki soli. W ich miejsce natychmiast pojawiały się nowe krople. Rino wyglądał na spokojnego. Jego twarz wyrażała jedynie upór i skupienie.

To był wyjątkowy moment. Zegar wskazywał piętnaście po dwunastej, a wielkolud nawet nie wyobrażał sobie, że w ciągu najbliższych dwóch minut całe jego życie wywróci się do góry nogami.

Jak do tej pory Rino Headhunter należał do rzadkiej kategorii ludzi, którzy patologicznie nie odczuwają strachu. Przed nikim i niczym. Nawet przed śmiercią. Był ordynarnym, bezceremonialnym, bezczelnym zbrojnym, typowym zuchwalcem, zwykłym dominować dzięki swojej sile fizycznej. Śmierć traktował jako nieodwracalny proces na końcu drogi życiowej, epilog, od którego nie można się wykręcić. Wszystko natomiast, co mogło się przytrafić na tej drodze, on mógł pokonać i unicestwić, a więc tego się nie bał. Headhunter ostentacyjnie gardził ludźmi, którzy się trzęsą o swoje wydelikaczone dupy. Nie mógł sobie wyobrazić, jak można się w ogóle czegokolwiek bać.

Ale, jak wiadomo, Bóg surowo karze nas za brak wyobraźni.

Podczas tej upalnej środy pod koniec sierpnia, pośrodku najbardziej suchej pustyni na ziemi, życie Rina zmieniło swój bieg. Gwoli ścisłości, wszystko się zdarzyło o dwunastej siedemnaście. Ale o dwunastej szesnaście Rino Headhunter był jeszcze tym samym arogantem, który olewał wszelkie przejawy strachu. I oto o dwunastej siedemnaście, wypychając motocykl z kolejnego dołka, Rino podniósł wzrok i popatrzył przed siebie. Zastygł, kurczowo ścisnąwszy dłońmi kierownicę.

Z tyłu za jego plecami sapał Jero. Z przodu, pomiędzy dwiema pionowymi wapiennymi skałami, tam, dokąd mężczyźni chcieli się przedostać, pokonując głębokie piaski, i gdzie jeszcze chwilę temu nikogo nie było, stał Will Holland.

– Will? – zapiszczał dyszkantem Rino. (Chociaż był studwudziestokilogramowym mężczyzną z ogromnymi bicepsami i bliznami na całym ciele, oprócz jaj i pięt).

Amerykanin, którego pięć dni temu złapały boty, stał i patrzył na Headhuntera. Ściśle rzecz biorąc, on nie *patrzył* w dosłownym sensie tego słowa. Will nie mógł patrzeć. Jeszcze inaczej: na Rina były skierowane dwie dziury, w których *kiedyś* mieściły się gałki oczne. Will nie miał już oczu. W ich miejscu ziały puste zalepione otwory, szerniałe od zaschniętej krwi. Powiek też brakowało. Brudne skrzepy, kryjące się w oczodołach, były otoczone stwardniałymi kawałkami rozdartej skóry. Usta zastygły w bezruchu, tworząc prawie idealną literę O. Spierzchnięty język wysunął się na lewą stronę, kierując się do górnej wargi. Od popękanych kącików ust w kierunku policzków i szyi ciągnęły się brunatne żyłki. Włosy, zwisające niechlujnymi pasmami, iskrzyły się starczą siwizną (tak samo jak u Horta, który został znaleziony po „rozmowie” z botami). Jedna ręka, jak się wydawało, była złamana i sterczała w bok pod nienaturalnym kątem. Rino mógłby przysiąc, że z ciemnych ust wypełzały jakieś owady.

Właśnie wtedy po raz pierwszy siłacz doszedł do wniosku, że na drodze życia, w przerwie między urodzeniem a finałem, napotyka się bardzo dużo zjawisk, którym nie wystarczy dać w mordę, którym nie zadasz bólu i których nie zabijesz, bo one *już są martwe*. Will był martwy (Rino nie miał co do tego wątpliwości, mimo że Amerykanin trzymał się prosto, nieco się chwiejąc do przodu i do tyłu). Tak martwy, że pewnie trzeba będzie go chować dwukrotnie.

– Co jest z ni... – Jero przerwał w pół słowa; William zaczął się posuwać w ich kierunku. Amerykanin poruszał się do przodu ciężko i powoli, zagarniając piasek nogami. Upadł, ale od razu się podniósł – najpierw nad piachem wyłoniła się okaleczona głowa, potem pojawiło się ciało, wreszcie Will stanął na obie nogi.

Rino się wzdrygnął, gdy usłyszał za plecami lament swojego najlepszego żołnierza. Jero darł się dźwięcznie i głośno, tak jak to robią kobiety. Wielkolud chciał coś uczynić, dać mu na przykład w łeb, ale uświadomił sobie, że nie potrafi ruszyć się z miejsca. Nie był w stanie ani odwrócić głowy, ani otworzyć ust, obserwował tylko w otępieniu, jak zbliża się do nich Will Holland.

I wtedy wszystko się zaczęło. Rino poczuł pulsowanie w tyłku. Tam na dole. Jakby w odbyt wpakowano mu kostki lodu. Nogi miał jak z waty, żołądek mu opadł, opierając się o miednicę, a skóra napięła się tak, jak gdyby ktoś ją podciągnął na ciemieniu i związał. Otworzył usta, ale nie wykrztusił

z siebie ani słowa. Headhunter nie rozumiał, co się z nim dzieje. Ten stan wskazywał na zawał albo na atak nieznanej, skrywanej przez długi czas choroby, która wybrała najmniej odpowiedni moment, żeby się ujawnić. Ale nie było to ani jedno, ani drugie. Rino poszerzył gamę swych odczuć i poznał wreszcie, co to jest przemożny i nieprzezwyjący strach.

– Sze-e-efie! O... o... on bie-e-egnie! – wrzasnął Jero, starając się zawrócić motor. – Do dupy! A-a-a! W cho-o-olerę!

Co mianowicie miało być „do dupy” i tak nie zdołał wytłumaczyć. Motocykl ugrzązł w piasku.

– Zostaw ten motor – wydyszał nareszcie Headhunter, nie poznając własnego głosu. – Biegnijmy, kurwa!

Rino i jego żołnierz porzucili butelki z wodą, strzelby, motory oraz krótkofalówkę i zaczęli biec. Wydostali się na twardy grunt i zasuwali dalej, nie oglądając się za siebie.

Jero, jak większość wychodźców z Afryki Południowej, był wytrwały jak koziołek skalny. Oczywiście biegał dużo lepiej niż Headhunter, który miał wielki zad i palił papierosy od czasu, gdy prezydentem Angoli został José Eduardo dos Santos.

– Szefie... e-heh... pobiegnę do... hu-u-u... San Pedro i... przyprowadzę samochód – wybełkotał w biegu Murzyn. Od miejsciny dzieliło ich jakieś osiem kilometrów.

– Coo?!

– Szefie, ja wrócę... fu, fuf... Obiecuję... Będę czekał... na drodze... Inaczej... nigdy się stąd... nie wydostaniemy.

– Nie zo... nie zostawiaj mnie! – Rino spanikował. Jero jednak szybko się oddalał. – Zabiję cię, ty wyrodku z czarną dupą! – Herero nie zareagował. Odległość między nimi powiększała się w oczach.

Wkrótce potem Jero zniknął. Headhunter wreszcie zebrał się na odwagę i odwrócił się. Williama nie było. Albo pozostał w tyle, albo upadł i nie zdołał się podnieść. Tak czy owak Rino nie miał zamiaru się zatrzymać. Biegł dalej.

Mężczyzna na całe życie zapamiętał, jak suche było tamtego dnia powietrze. Nigdy nie zapomni tego ognia, który palił krtań, przedostawał się do płuc. Przy każdym hańście powietrza Rino odczuwał gryzący posmak

starych gazet, zmieszany z ciepłym zapachem szarego piasku. Papierowy smak pustyni – nieubłagany zew śmierci.

LVIII

Środa, 19 sierpnia, 12.38 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Laura pędziła po korytarzu, w biegu wkładając bluzkę w džinsy. Włosy jej sterczały; nie uczesała ich po poobiedniej drzemce. Była bez swoich nieodłącznych okularów.

Dupré wyleciała za róg i o mało nie przewróciła Tymura, który powoli szedł w stronę kuchni z pustą filiżanką.

– Szybciej! – wypaliła dziewczyna. – Jeffrey się z nami skontaktował.

– Skąd wiesz?

– Katsuro powiedział. – Laura z pośpiechu pomyliła się i włożyła guzik do niewłaściwej dziurki. – *On je znalazł.*

Tymur natychmiast zapomniał o tym, że szedł sobie nalać świeżej kawy. Pomknął za Francuzką do pomieszczenia łączności.

Przy aparacie tłoczyli się Keitaro Roka, Katsuro Takeda, Igor Jemeljanow, Ralf Doernberg, Stefan Ermglen i Tiana Emerson. Ralf pochylił się nad panelem.

– Chłopcze, odbiór. Tu Ralf Doernberg. Jak mnie słyszysz?

– Doskonale, Ralf. – Z głośnika dobiegł napięty i bardzo cichy głos Jeffa.

– Tak kiepsko słyszeć czy on specjalnie tak szepcze? – bąknął ktoś z obecnych.

– Jeffrey, możesz mówić trochę głośniej? – zapytał Doernberg.

Przez kilka sekund z krótkofalówki dobiegało monotonne syczenie. W końcu Amerykanin się odezwał:

– Nie – odparł szybko, lecz opamiętał się i dodał: – Pardon, Ralf, nie mogę głośno mówić. Jesteśmy za blisko.

Po twarzach ludzi zgromadzonych wokół radiostacji przemknął cień. Każdy z drzeniem serca wyobraził sobie siebie na miejscu Jeffreya – pośród piasków, niebezpiecznie blisko botów.

– Widzisz „malców”? Są gdzieś obok?

– Do najbliższego mam jakieś osiemdziesiąt metrów – oznajmił Jeffrey.

Brazylijka zakłęta cicho. Tymur odniósł wrażenie, jakby ktoś dmuchnął mu lodowatym powietrzem za kołnierz.

– W porządku, rozumiem – odrzekł wolno Ralf. – Powiedz, gdzie teraz jesteście.

Amerikanin określił swoje współrzędne, posiłkując się mapą w iPhone, po czym mówił dalej:

– Na lewo ode mnie jest urwisko o wysokości stu stóp[75]. Ciągnie się z zachodu na wschód. Na dole widać pieczary. Nie całkiem. Częściowo. Widok stąd jest beznadziejny, ale boty ukrywają się właśnie tam. My z Alondrą jesteśmy tuż nad urwiskiem.

– A gdzie Rino?

– Rozdzieliliśmy się dwie godziny temu. Rino pojechał z Afrykaninem na drugi koniec Doliny.

Nagle z głośnika dobiegł stłumiony krzyk Alondry. Jeffrey chciał ją uciszyć, ale jęki nie ustawały. Parę sekund później zapadła grobowa cisza. Pewnie Jeff zakrył dziewczynie usta dłonią.

– Co się stało? – zaniepokoił się Ralf. – Co się u was dzieje?

– Zaraz zwymiotuję – wychrypiał Amerykanin.

– Co jest?! – Kanadyjczyk ze zdenerwowania uniósł głos.

– Bot tu jest... dokładnie pod nami... – Z ust Jeffreya wydobywały się strzępki słów. – Nie zauważyłem go...

– I co? Co on robi? Opisz nam! – gorączkował się Ralf.

– Stoi... po prostu stoi, ale... o Boże! Ma na sobie czyjaś twarz!

– Co?!

– Naciągnął na siebie czyjaś twarz...

– Nie rozumiem cię, Jeffrey. Powtórz!

– Bot przyczepił do głowy twarz człowieka.

– Co ty mówisz?

– Wygląda na to, że ściągnęli skórę z jakiegoś Chilijczyka... tyle że nie z tyłu, a z przedniej części czaszki... i bot... nałożył tę skórę na siebie.

Tiana Emerson jęknęła. Stefan Ermglen odsunął się od nadajnika.

– Przecież ci mówiłem: dobrali się do ludzi – rzucił Ralf, odwracając się do Japa.

W tym momencie Tymur jakby się wyłączył. Nerwowy gwar, który wypełnił pomieszczenie, docierał do chłopaka jak przez mgłę; bardziej przypominał odległy szept. Programista złapał się na tym, że nie dziwi go to, co usłyszał od Jeffreya. Opis zgadzał się z jego postrzeganiem botów. Co prawda jeszcze nie rozumiał dlaczego.

Ukrainiec zaczął sobie przypominać. Najpierw wersja demonstracyjna dla generałów z Pentagonu: boty rzuciły się na działka typu M 134 Minigun, bo po dwóch sesjach treningowych przyswoiły sobie fakt ich istnienia. Potem pamięć podsunęła mu obraz wieczornego ataku botów: „malec”, który zarejestrował moment pojawienia się ochroniarza. Następnie Tymur zobaczył w głowie ucieczkę: bot otwiera bramę, wpisując kod i pokaszując w kułak.

Chłopak odsunął się od pozostałych i zdrętwiał. W firmie Mykon Wadim Hort pracował nad... makrami. Tymur od dawna o tym wiedział, ale początkowo nie przywiązywał do tego większej wagi.

W większości CAD-ów istnieje możliwość stworzenia makr. Aby nie budować jednakowych modeli czy wykresów i nie zaczynać za każdym razem od zera, można włączyć tryb makro. Podczas pierwszego konstruowania system zapisze kolejność naciskania klawiszy, wykonywania komend itd. Stworzy się kod, który będzie można później ponownie wykorzystać, zmieniając tylko uprzednio pewne parametry. I to jest makro. W Mykonie Hort pracował nad tym, żeby działania użytkownika przekształcały się w maksymalnie elastyczny kod.

W tym momencie Tymura olśniło – wszystko zrozumiał. Plik MacrosWH.bcf już mu więcej nie będzie potrzebny. I bez kodu wiedział, co w nim jest. Chłopak aż podskoczył w miejscu.

– O Boże – wyszeptał i rzucił się do radiostacji, spychając Ralfa z fotela. – Jeffrey, słyszysz mnie?! – krzyknął do mikrofonu. – Mówi Tymur.

– Tak, Tymurze, słyszę cię. Proszę cię, nie krzycz tak, pół Atakamy cię słyszy poza mną.

– Ten bot z obcą twarzą... – ze zdenerwowania Tymur mówił nieskładnie – no, z czyjąś skórą na twarzy... jest tam jeszcze?

Radio ucichło. Jeffrey najwyraźniej patrzył na jar, wypatrując w nim bota. Po chwili nadeszła odpowiedź. W głosie młodego Amerykanina słychać było niepokój:

– Tak... Stoi w tym samym miejscu. A co?

– A w którą stronę patrzy? – spytał Tymur, nie ścisząc głosu.

– Na... noo... Odwrócił się, patrzy tutaj... ale nie na mnie... jakby trochę w bok.

Ukrainiec wziął głęboki wdech, zacisnął pięści i oznajmił:

– Jeffrey, właśnie coś do mnie dotarło, ale nie będę teraz nic tłumaczyć, bo to zajmie cholernie dużo czasu. Powinieneś natychmiast...

Właśnie w tym momencie coś odciągnęło uwagę Amerykanina.

– Ej, słuchajcie. – Jeff gwizdnął, przerywając Tymurowi. – Widzę ludzi.

– Jakich ludzi? – odezwał się Katsuro, odsunąwszy głowę programisty od mikrofonu.

– Dorosłych... eee... to jakieś cholerstwo!

Tymur nie mógł się dłużej powstrzymać. Odepchnął gwałtownie rękę Japończyka i krzyknął:

– Jeffrey! Alondra! Spadajcie stamtąd! Na miłość boską, uciekajcie!

– Tu są ludzie... – powtarzał Jeffrey jak zahipnotyzowany. – Dziwni są... ruszają się jak lunatycy... niektórzy leżą na piasku.

– Wiejcie stamtąd, jeśli wam życie miłe!! – Programista tak krzyczał, że lada chwila mógł zachrypnąć. – Boty się uczą! One cały czas się uczyły!!!

Naukowcy spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, poważnie się zastanawiając nad zdrowiem psychicznym Tymura.

– Chłopcze, dobrze się czujesz?

Jedynie stary Keitaro się nachmurzył.

– Szkoda, że nie przechwyciliśmy kamery – doszedł ich głos z głośnika. – Chłopaki, nie uwierzcie, co ja widzę. To jakiś pieprzony Auschwitz, słowo daję... Tymurze, ja nie łapię, dlaczego powinniśmy zwiewać? – Jeffrey wreszcie zwrócił uwagę na krzyki Ukraińca.

– Durniu, uciekaj! Hort zaprogramował je na samokształcenie! Każde efektywne działanie boty przetwarzają na kod, który potem nimi kieruje. Hort całe życie tym się zajmował.

Na kilka długich sekund w eterze zapadło milczenie.

– No i co z tego? – w końcu odezwał się Jeff. – Czy to coś zmienia? Znalazłem ich legowisko, i to jest najważniejsze.

– Jeffrey, ty chyba ze mnie żartujesz? Czy może naprawdę dalej nie rozumiesz?! – Tymur trzął się jak w gorączce. Serce mało nie wyskoczyło mu z piersi. Chłopak nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, choć już wtedy wiedział, co się stanie. – One patrzą i analizują, jak zareagujecie na obcą twarz! Boty myślą, że rozpoznajemy je tak łatwo tylko dlatego, że mają jednakowe twarze. – Programista łąpczywie nabrał powietrza i znów zaczął krzyczeć: – Przestań drapać się po jajach, Jeff, i zacznij myśleć! Samo to, że jeden z botów nałożył na siebie cudzą twarz i cały czas stoi w zasięgu twojego wzroku, oznacza, że one od samego początku wiedziały o was, o tobie i o Alondrze!

– Co? – jęknął Amerykanin.

– Boty od samego początku wiedziały, że przyjdziecie – powiedział Tymur i umilkł, osuwając się w fotelu.

LIX

Środa, 19 sierpnia, 12.48 (UTC -4)
Droga nr 23, niedaleko San Pedro

Rino Headhunter człapał wzdłuż drogi, dysząc ciężko. Nad rozmiękłym asfaltem drżało srebrem rozgrzane powietrze. Na prawo od szosy wznosiły się grupy skał wapiennych. Gdzieś za nimi zaczynała się Dolina Śmierci.

Od czasu do czasu Rino oglądał się za siebie. Wiedział, że jeśli coś za nim pobiegnie, nie zdąży od tego uciec. Nie miał już siły biec. Przepalił się. Jak żarówka. Bieganie nigdy nie było jego mocną stroną. Headhunter mógł do krwi na knykciach walić w gruszkę bokserką, godzinami podnosić żelastwo na siłowni, jednak gdy miał w perspektywie bieg długodystansowy, pasował.

Nie wiedział, gdzie dokładnie wyszedł na szosę (wyżej czy niżej San Pedro), dlatego teraz bezmyślnie podążał na południe. Mięśniak za wszelką cenę pragnął się znaleźć jak najdalej od *Valle de la Muerte*.

W pewnej chwili z północy doleciał warkot silnika. Rino się zatrzymał. Osłonił oczy dłonią i zaczął się przyglądać. Strach ścisnął mu gardło powoli, acz nieustępliwie.

Na pagórku wyłonił się nieduży jasnobłękitny samochód. Był to dwuosobowy pikap Chevrolet. Rino czekał. Ucieczka była bez sensu.

Po chwili samochód się zbliżył i zatrzymał kilka metrów od Headhuntera. Silnik zamilkł.

– Szefie, to pan? – Z prawego okna wyłoniła się kudłata głowa Jera.

Rino milczał. Pod policzkami zapulsowały mięśnie.

– Zdobyłem samochód – żwawiej oznajmił Afrykanin.

Olbrzym bez słowa skierował się do auta. Wyszedł na drogę, okrążył maskę i rzucił się do kabiny od strony kierowcy.

– Szefie, co pan... – Jero nie dokończył. Headhunter lewym prostym wcisnął jego głowę głębiej wabinę.

– To za to, że mnie zostawiłeś! – ryknął mięśniak.

– Nie zostawiałem pana! – wrzasnął Herero. – Ja... – następne uderzenie odrzuciło go na siedzenie pasażera. Rino podążył za swoją ręką i do połowy wpadł do środka wozu.

– Przeklęty kłamca! Zdrajca! – krzyczał osiłek.

Jero zrozumiał, że Headhunter się nie uspokoi; wijąc się jak piskorz, przelazł na prawe siedzenie i wyskoczył na zewnątrz. Kluczyki zostały w stacyjce.

Rino jeszcze coś krzyknął, po czym otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Silnik zaryczał.

– Szefie! – Jero złapał się rękami za głowę (bał się podchodzić za blisko pikapa). – Chyba nie chce mnie pan tu zostawić? Rino, ja nie chciałem! Przecież wróciłem!

Chevrolet zaczął nabierać prędkości.

– Neeee! Stop! Stać! Proszę! – Jero poleciał za samochodem, próbując złapać się karoserii.

Pikap odjechał dziesięć metrów i gwałtownie się zatrzymał. Murzyn zamarł. Od pojazdu dzieliło go półtora metra. Nie ważył się jednak zbliżyć.

– Wskakuj, psia twoja mać – dobiegło w końcu ze środka.

Hererowi nie trzeba było dwa razy powtarzać; kilka sekund później zapinał pas, siedząc na fotelu pasażera i ze strachem spoglądając z ukosa na Headhuntera.

– Nie mogłeś wybrać wozu z większym zapasem paliwa? – wycodził Rino.
– A może zamierzałeś pchać go do laboratorium? – Jero westchnął w odpowiedzi; cały zdawał się mówić: nie myślałem wtedy o tym. Headhunter dodał: – A o tym, co zrobiłeś, jeszcze porozmawiamy. – I ruszył z miejsca.

LX

Środa, 19 sierpnia, 12.53 (UTC -4)
22°54'09" szer. płd. 68°25'19" dł. zach.
Dolina Śmierci

– Samo to, że jeden z botów nałożył na siebie cudzą twarz i cały czas stoi w zasięgu twojego wzroku, oznacza, że one od samego początku wiedziały o was, o tobie i o Alondrze!

Jeff z trudem rejestrował słowa, które płynęły z głośnika. To, co rozgrywało się przed oczami Amerykanina, całkowicie zajmowało jego uwagę. Ostatnie zdanie odebrał jednak zupełnie świadomie.

– Co? – wyjęczał.

Jak dotąd w jego głosie bardziej słychać było podziw niż strach. Jeffreyowi nie mieściło się w głowie, że jakiś programista, nawet najzdolniejszy, siedząc w ciemnym pokoju dziesiątki kilometrów od Doliny Śmierci i niewidzący nic z tego, co widzą oni, mógłby mieć lepsze rozeznanie w sytuacji niż oni z Alondrą, znajdujący się w samym centrum wydarzeń.

Amerykanin się mylił. I ta jego pewność siebie miała Jeffa kosztować życie.

– One od samego początku wiedziały, że przyjdziecie – dobiegł go głos Tymura.

Bot z przyczepioną twarzą wciąż stał w tym samym miejscu. Po jego masce spływała krew, przez co trudno było stwierdzić, na co tak naprawdę patrzy. Amerykanin się zdenerwował. Odwrócił głowę i zerknął na motocykle. Dzielilo ich od maszyn jakieś dwieście metrów. Nic nie przeszkadzało do nich podbiec. Potrzebowali na to dwudziestu, no, może trzydziestu sekund. Wtedy boty na pewno ich nie złapią. I chłopak się uspokoił.

Kiedy Jeff znów się odwrócił, zobaczył, że tuż naprzeciwko Alondry sterczy w piachu bot z pochyloną głową i wytrzeszczonymi nabrzmiałymi oczami. Stwora od dziewczyny dzieliło pół metra. Gdyby chciała, mogłaby go dosięgnąć. Jeffreyem szarpnęło. Alondra zaczerpnęła tchu i wrzasnęła. I wtedy z lewej strony, spomiędzy kamieni, wyskoczył jeszcze jeden bot. Za nim wyłonił się trzeci, potem czwarty. Leżały tuż obok, częściowo zakopane w piasku jak jaszczurki. Pierwszy złapał dziewczynę oburącz za gardło i wciągnął ją do zagłębienia.

– Nieee! – zaryczał Jeff.

Zamiast rzucić się do ucieczki i spróbować dobiec do motocykli, Amerykanin pobiegł za dziewczyną. Na nic się zdał ten bohaterski czyn, ponieważ pół sekundy po tym, jak „malcy” wyciągnęli Alondrę z ukrycia, dziewczyna już nie żyła. Stwory dobrze wiedziały, gdzie uderzyć i co nacisnąć, żeby jak najszybciej pozbawić człowieka życia; skrzyły Chilijce kark.

Jeffreya ogarnęła wściekłość. Skoczył do przodu i zamachnął się pięścią na najbliższego bota. „Malec” zrobił zgrabny unik. Amerykanin trafił w powietrze, nie utrzymał równowagi i stoczył się po zboczach jak worek. Z ustami pełnymi pyłu i twarzą podrapaną przez drobne kamyki Jeff zatrzymał się na dnies wawozu, naprzeciwko pieczar, które obserwował z góry. Zerwał się na równe nogi, gotów zwiewać gdzie pieprz rośnie lub walczyć, jeśli nie będzie innego wyjścia, lecz zamiast tego padł na kolana i otworzył usta. O Boże – czuł, jak ze strachu włosy poruszają mu się na głowie – jak one wymyśliły *coś takiego*?!

Kiedy znalazł się na dole, ujrzał wreszcie tę część wawozu, którą wcześniej zasłaniał jego południowy występ. W oddali, pod skałami tłoczyła się gromada złożona z kilku botów. Tak były zajęte, że nawet nie odwróciły głów. Między nimi leżał przyciśnięty do ziemi wieśniak z San Pedro. Jeffrey przyjrzał się temu, co z nim robiły, i starczyło mu rozumu, żeby natychmiast pojąć, czym to grozi.

Był tak zszokowany, że przeoczył atak pierwszego prześladowcy. Chłopaczek zbił go z nóg i spróbował przycisnąć do ziemi. Amerykanin – o dziwo – zdołał się uwolnić, nie pozwalając mu wskoczyć na plecy. „Malec” zasyczał, a Jeffrey sypnął mu garść piasku w oczy. Oni zginą – huczało mu w głowie. Niech mnie diabli, jeśli ich nie uprzedzę, wszystkich ich pozabijają. Odsuwając się na czworakach od napastnika, chłopak zawołał, licząc na to, że mikrofon i nadajnik przetrwały jednak upadek:

– Tymurze! Tymurze! Zrozumiałem, skąd one... – Nie dokończył. Głos przeszedł w charkot, chuda, żylasta ręka ścisnęła szyję Amerykanina. Jeffrey widział, jak kolejne boty staczają się po zboczu i pędzą w jego kierunku. W końcu ledwo wychrypiał: – u-gi... o-ód! Dr... sa-óóód, Timu-e!

Jeffrey walczył do końca. Gdyby działo się to w nocy, boty wykończyłyby go w sekundę, a tak upał, mimo że nie wyrównywał ich szans, nieco osłabiał potwory. Chłopak opierał się, próbując uwolnić gardło i uprzedzić innych o niebezpieczeństwie. O niebezpieczeństwie, jakiego nikt z nich nie był w stanie sobie wyobrazić w najkoszmarniejszych snach. Nie dał rady. Jeden z botów wcisnął jego głowę kolanem w piasek, wepchnął kciuki do oczodołów i wycisnął z nich zielone oczy. Drugi schylił się nad brzuchem chłopaka. Rozciął go kawałkiem skały i zagłębił rękę we wnętrznościach. Krew, żółć i kał, bulgocząc, zaczęły wyciekać na gorący piasek. W tym momencie, gdy Jeff poczuł, że ta bestia w ciele zasmarkanego gówniarza rozrywa mu flaki i rozrzuca je w strzępach po ziemi, przestał walczyć. Zrobiło mu się wszystko jedno. Teraz pragnął już tylko jednego: żeby jego świadomość jak najszybciej zatonęła w mroku...

LXI

Środa, 19 sierpnia, 13.09 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Tiana Emerson czmychnęła pierwsza. Wyleciała z pokoju jak strzała. Zamknęła się w swojej sypialni i do wieczora stamtąd nie wychodziła. Keitaro Roka wyburczał: „Od tej chwili każde wyjście poza granice kompleksu laboratoryjnego musi zostać uzgodnione osobiście ze mną” i poszedł w ślady Tiany. Tymur rzucił się do drzwi, żeby go zatrzymać.

– Halo! Niech pan zaczeka! – Chłopak złapał Japończyka za rękę. – Nie może pan tak po prostu odejść.

Stary Jap odwrócił się. Zmęczona, pokryta zmarszczkami twarz niczego nie wyrażała.

– Po raz kolejny chce pan podkulić ogon i umknąć? Kurde, co to ma być? Jakiś japoński „cholera-jaki-skuteczny” sposób rozwiązywania problemów? Czy nie sądzi pan, panie profesorze, że wreszcie należałoby posprzątać po sobie to gówno?! – Tymur już prawie krzyczał: – Jeśli przypadkiem pan nie zauważył, to tam przez pana zginęli ludzie!

Zdarzyło się coś niesamowitego – woskowa twarz Keitara została zniekształcona przez emocje. Japończyk się zirytował:

– A kim ty jesteś, gówniarzu, żeby *tak* ze mną rozmawiać?

– A kim *pan* jest, żeby mi ciemnotę wciskać? Przecież pan wiedział! Niech się pan przyzna: od samego początku pan wiedział, co Hort im zrobił.

Roka zmarszczył czoło i odwrócił głowę, tak jakby zamierzał wyjść z pokoju, ale nie dotknął drzwi. Po krótkiej chwili milczenia odpowiedział:

– Tak.

– To dlaczego nie powiedział mi pan tego?! Jak idiota trzeci dzień grzebię się we fragmentach kodów, próbując odkryć źródło problemu, i nawet do głowy mi nie przyszło, że Wadim Hort tak naprawdę nie udoskonalał botów. Obdarzył je *własnym* kompilatorem, który może generować kod na podstawie każdego rodzaju zachowań, i teraz boty mogą same siebie udoskonalać. Czy pan sobie chociaż wyobraża, jak duża różnica jest między zaprogramowanymi botami, które uciekły, a tymi, które uciekły i *mogą same siebie programować*?!

– Zamknij się – powiedział cicho stary Japończyk. – Ty...

– Proszę mnie nie uciszać!

– Nic nie rozumiesz.

– To pan ni cholery nie rozumie! Ile czasu boty są na wolności? Trzeci tydzień, tak? I przez cały ten czas każdy z czterdziestu „malców” wchłaniał nową wiedzę z prędkością światła, a ta natychmiast stawała się dostępna dla pozostałych. Kod, który pan mi wcisnął, nie ma nic wspólnego z tym, który obecnie krąży po ich głowach! W tej chwili są w nim setki, a może i tysiące nowych makr, a my tylko możemy się domyślać, co w nich jest.

– Uspokój się, ja wszystko rozumiem. Nic ci nie mówiłem, ponieważ był to swoisty test. Byłem ciekaw, czy się zorientujesz. Możesz być z siebie dumny: właśnie zdałeś egzamin i potwierdziłeś swoje kwalifikacje. Tymczasem jednak – Japończyk wycelował palec w chłopaka – nie łapiesz tego, co najważniejsze. Okej, Wadim przesadził, boty się uczą, co tłumaczy, *jak* im się udało zorganizować ucieczkę, *jak* przeżyły na pustyni, *jak* nauczyły się pisać. Ja to wiem, Hort to wiedział, teraz jeszcze ty to wiesz. *Ja przecież chcę usłyszeć odpowiedź na pytanie „dlaczego?”*. Dlaczego boty uciekły? Co je do tego popchnęło? Co spowodowało, że stały się takie agresywne? Samokształcenie to wyłącznie środek, nie przyczyna. Kiedy uciekały, mokr jeszcze *nie było*. Boty wtedy w ogóle nie wiedziały, że istnieje świat zewnętrzny.

– Gdyby wcześniej pan o tym powiedział, Jeffrey i Alondra wciąż by żyli.

– Może tak, a może nie. – Keitaro na chwilę ściągnął brwi.

Ukrainiec powstrzymał chęć przywalenia Japońcowi w pysk.

– Czego jeszcze nie wiem?

Jap otworzył drzwi i przeszedł przez próg. Nie odwracając głowy, rzucił:

– Kiedy uciekały,abrały ze sobą sto pięćdziesiąt ampułek z nanoagentami.

Tymur stał zakłopotany; nie rozumiał, co to może oznaczać. Stary Japończyk oddalał się korytarzem.

– Ale po co?! – zawołał za nim programista.

Keitaro w milczeniu wzruszył ramionami. Chłopak odwrócił się do Ralfa ze słowami:

– Boty wiedziały o nanoagentach? Po cholere je wzięły? Przecież to absurd!

Neurochemik odetchnął i odpowiedział:

– Pomyliły się. Wydaje nam się, że chciały wziąć aldosteron. Na poziomie fizjologicznym odczuwały uzależnienie od tego hormonu. A ampułki z aldosteronem były przechowywane w tej samej chłodni co zapasy agentów trzeciej generacji. Ampułki są jednakowe, różnią się wyłącznie zabarwieniem: roztwór aldosteronu jest przezroczysty, a substancja z nanoagentami ma kolor ciemnoszary z metalicznym połyskiem. Z jakiegoś powodu boty wzięły te ciemniejsze.

– Niemniej oznacza to, że...

– Tak. Ucieczka była dobrze zaplanowana.

– I wy o tym wiedzieliście!

Ralf Doernberg odwrócił wzrok, chowając ręce za plecami.

Katsuro i Jemeljanow jeszcze przez chwilę snuli się po pomieszczeniu z radiostacją, po czym przyszedł po nich Steirmann i wszyscy trzej udali się na obiad. Tak jakby nigdy nic.

Laura Dupré ruszyła za nimi, a zanim wyszła, poklepała Tymura po ramieniu; chłopak wciąż nie doszedł do siebie po tym, co usłyszał.

– Nie miałam pojęcia o makrach, ale teraz przynajmniej rozumiesz, jak ja się czuję między tymi tchórzami o plastikowych mózgach.

Tymur rzeczywiście rozumiał. To tak jakby znaleźć się wśród dwójkowych studentów medycyny, którzy ładują czopek na hemoroidy pacjentowi umierającemu na zawał, i nie móc temu przeciwdziałać. Albo rozpocząć zabieg chirurgiczny, nie znając diagnozy.

Ralf, Tymur i Stefan zostali sami w pokoju.

– Trzeba uprzedzić Rina – jednym tchem wyrzucił z siebie Stefan. – Musimy wydostać go z pustyni. Niech wszystko rzuca i wraca do bazy.

Kanadyjczyk podszedł do radiostacji. Kilkakrotnie, bez większego entuzjazmu, wywoływał Headhuntera. Na próżno.

– Może wyłączył krótkofalówkę. Ten gość nie należy do takich, którzy lubią słuchać czyjegoś głośnienia przy uchu.

– Musimy kontynuować – nalegał Szwed. – Myślę, że jak tylko Rino natknie się na boty, natychmiast się z nami skontaktuje. I wtedy go uprzedzimy... Nie możemy go przecież zostawić na pastwę losu.

– Zgadzam się ze Stefanem – ponuro przytaknął Tymur. – Jeśli boty dowiedziały się o Jeffreyu, mogą teraz czatować na Rina.

Ralf pokręcił głową. Neurochemik nie podzielał zdania Ukraińca. Nie wierzył, żeby „malcy” wywęszyli pojawienie się Jeffa i Alondry. Według niego ich śmierć to był zwykły zbieg okoliczności. Najprawdopodobniej zginęli przez nieostrożność. Czymś się musieli zdradzić, przyciągnąć uwagę botów, może zrzucili jakiś kamień albo co? Z Headhunterem sprawa była zupełnie inna. On nie po raz pierwszy błąkał się po pustyni, ryzykując życie. Ralf był przekonany, że Rino się z tego wykaraska. Tylko jedna myśl nie dawała mu spokoju: jeżeli raptem coś pójdzie nie tak i Rino zginie, jego czarnoskórzy żołnierze spłyną z pustyni z prędkością wody zmywającej

gównu w kiblu. Nikt i nic ich nie powstrzyma. Doernberg to rozumiał, dlatego nie chciał ryzykować.

I właśnie z tego powodu kolejne trzy kwadranse Kanadyjczyk nie odchodził od nadajnika, powtarzając w kółko: „Rino-odbiór-jak-mnie-słyszysz-tu-Ralf”. O drugiej po południu Tymur poczuł, że cały przesiąknął tym zdaniem, które na zawsze wryło się w jego geny. I raczej się nie zdziwił, gdy kilka lat później jego pierworodny zamiast pierwszego banalnego słowa „ma-ma” zacznie gaworzyć: „Rino-odbiór... Rino-odbiór...”.

Zresztą Headhunter i tak się nie odezwał.

– Ralf – rzekł Tymur – wystarczy. Oni nie wrócą.

Kanadyjczyk odsunął się od mikrofonu. Zwrócił na Ukraińca zaczerwienione oczy.

– Dobrze. Będziemy czekać.

– Nie ma na co czekać. – Na policzki programisty wystąpił niezdrowy rumieniec.

– Rozumiem cię, chłopcze, ale nie warto...

– Nic pan nie rozumie. – Tymur mówił spokojnie, ale wyczuwało się, że to tylko cisza przed burzą. – Zginęło pięć osób, jeden facet został ranny. Dwóch zaginęło, ale jest duża szansa, że dołączą do martwych. A my nie wiemy, co się dzieje w głowach botów! Czy naprawdę nie ma pan pojęcia, do czego...

Nagle drzwi się uchylły. Tymur urwał w pół słowa i odwrócił głowę. W szparze tkwiła kudłata głowa Sama. Jego czarne oczy lśniły jak nasmarowane oliwą.

– *Mister* Doernberg, Gotto zobaczył na horyzoncie niezidentyfikowany pojazd – oznajmił Herero, na afrykańską modłę „zjadając” końcówki słów. – Jedzie w naszą stronę.

Tymur, Ralf i Stefan pozeskakiwali z krzeseł i wypadli na korytarz, omal nie zwalając Sama z nóg.

– Skąd? – spytał neurochemik, trzymając się za lewą stronę piersi.

– Z północy. – Afrykanin pomyślał chwilę i dodał: – Powiedziałbym, że nie jedzie, tylko... pędzi.

– Do pełni szczęścia brakuje nam tylko nieproszonych gości. – Z tyłu, za mostkiem zastygał skrzep tępego bólu. Ralfowi strasznie się on nie podobał.

– Kto to może być? – wtrącił Tymur i ze źle skrywaną nadzieją w głosie dodał jeszcze: – Ktoś się dowiedział o laboratorium? Zostaliśmy zdemaskowani?

Neurochemik zignorował pytania Ukraińca.

– Sam!... – zawołał.

– Tak, *mister*?

– Masz tu klucze. Leć do piwnicy i przynieś strzelby i naboje. Weź kilku swoich kumpli i biegnijcie do głównego wejścia. Rozumiesz?

Przez ułamek sekundy czarnoskóry najemnik się wahał. Doernberg miał powody przypuszczać, że Herero stanowczo odmówi wykonania polecenia, ten jednak kiwnął głową.

– Rozumiem, *mister*. – Wziął klucze i pobiegł.

– I jeszcze niech Gotto zawiadomi Keitara albo Takedę. Niech tu przyjdzie któryś z Japończyków.

– Jak pan każe, *mister*!

Minutę później przy wejściu do DW oprócz mężczyzn, którzy opuścili pokój łączności, zgromadzili się Laura, Katsuro oraz pięciu Afrykanów. Dwóch najemników Ralf wysłał na piętro, gdzie kazał im czekać pod oknami na rozkaz.

– Niewykluczone, że to wieśniacy – odezwał się – którzy zapuścili się tutaj przypadkiem. Niech nie przyjdzie wam do głowy pokazywać się im z bronią.

Przy bramie zostali Ndonga, Sam i T-Jay. Czekali.

Stareńki dwuosobowy pikap nieokreślonego koloru wyłonił się na wzgórzu, które ciągnęło się aż do budynku mieszkalnego. Silnik zakaszłał ciężko, jak astmatyk, który za chwilę wyzionie ducha i odpłynie w lepszy świat. Samochodem szarpało, rzucało do przodu, wyraźnie przechylił się na prawe przednie koło. Jakies dwieście metrów przed ogrodzeniem silnik wydał ostatnie tchnienie: „chrrrr...”, i zgasł.

Drzwi otworzyły się na oścież i z kabiny wyskoczyli dwaj mężczyźni.

– Żyj! – jednogłośnie powiedzieli Tymur i Stefan.

Brama się otworzyła i wszyscy, którzy chowali się w przedsionku, wysypali się na podwórze.

Rino i Jero, bez broni, ekwipunku i bez motocykli, kuśtykali w stronę budynków. Herero trzymał się nieco z dala od szefa. Pod jego lewym okiem malował się liliowopurpurowy półksiężyc – olbrzymi siniak.

Ralf zrobił krok naprzód i otworzył furtkę, żeby ich wpuścić.

– Co się stało? – Z trudem starał się powstrzymać oszalałe serce, które wykonywało właśnie solówkę na bębnach z jakiejś rock-opery.

Rino łapał powietrze krótkimi haustami. Na chwilę wstrzymał oddech i wykrztusił:

– Zawołajcie Keitara.

Przed głównym wejściem do DW zebrali się niemal wszyscy spośród tych, którzy się ostali w kompleksie laboratoryjnym. Wyszła nawet Rebecca. Ale starego Japa nie było.

– Keitaro Roka źle się czuje i prosi, żeby mu nie przeszkadzać – oznajmił Katsuro Takeda. – Przekażę mu wszystko co do słowa. Opowiadaj, najemniku.

– Botów nie znaleźliśmy... – zaczął Headhunter, ale na całe zdanie nie starczyło mu tlenu, serce za szybko pompowało krew.

– A wy co, sprzedaliście motocykle? – wtrącił swoje trzy grosze Steirmann, który ostatni wyslizgnął się przez bramę. – Skąd wzięliście tę prehistoryczną bryczkę? – Wycelował palec w auto, które stało za elektrycznym ogrodzeniem z otwartymi drzwiami.

– Nie przerywaj mi, palancie, bo zaraz zrobię ci dziurę w mózgu!! – Rino zapalił się jak polany naftą chrust, ale raptem znów się zachłysnął. Gdy oddech mu się wyrównał, odezwał się; połykał sylaby, a jego oczy błyszczały gniewnie.

– Widzieliśmy Willa.

– Co?! – Ralf wytrzeszczył oczy. – Naszego Willa? Williama?

– Tak. Willa Hollanda.

– Żyje? Gdzie teraz jest?

– *Nie żyje.* To znaczy... sam nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Stał... poruszał się... ale wątpię, żeby był żywy.

– Co ty pieprzysz? – Steirmann nie wytrzymał.

– Kurwa, zaraz cię zatłukę, ty gnido! – ryknął Rino. Tymur i Ralf powstrzymali go, żeby nie dopadł Oscara. – Jeszcze raz mi przerwiesz, fiucie,

a odetnę ci uszy i zakopię cię na pustyni głową do dołu! – Wielkolud machnął kilka razy ręką, ale się pohamował, nie mogąc dosięgnąć Chilijczyka. –

Pędziliśmy na motocyklach przez Dolinę Śmierci, jechaliśmy po śladach, a potem Will... wyszedł z rozpadliny naprzeciwko nas... I nie miał oczu, zamiast tego jakieś skrzepy i w ogóle całą twarz miał taką, jakby wpadł pod kosiarkę. – Jero, który stał w bezpiecznej odległości za plecami Headhuntera, otoczony pozostałymi Herero, kiwał głową po każdym zdaniu. – I wtedy rzucił się na nas. Był martwy. Przysięgam, że Will był trupem. Musieliśmy zostawić motocykle, po prostu nie zdążyliśmy wyciągnąć ich z piasku.

W trakcie opowieści Rino powoli dochodził do siebie. Wszyscy go słuchali, chciwie łowiąc każde słowo i w żadne z nich nie wierząc. Steirmann nie próbował już więcej wtrącać się do rozmowy.

– A skąd ta taczka? – zapytał Ralf Doernberg, wskazując głową na chevroleta.

– Jero zabrał z San Pedro. Po tym jak... no... spotkaliśmy Willa. Jest ich tam ze dwadzieścia, wszystkie porzucone.

– Jak to „porzucone”?

– Wcześniej zajrzeliśmy do San Pedro. Chcieliśmy się dowiedzieć, czy może ktoś widział coś podejrzanego. Przypuszczałem, że boty ciągną wodę z wioski. Bo innej możliwości nie ma. Dlatego byłem ciekaw, jak kradną ten drogocenny płyn Chilijczykom sprzed nosa. – Rino odetchnął ciężko. – Dwa albo trzy dni temu boty tam były.

– I co? – spytał Tymur, wstrzymując oddech.

– No właśnie. Nic. Żadnych ludzi. Pusto. San Pedro opustoszało. Ani ludzi, ani psów, ani bydła. Wszystkie chałupy puste, samochody otwarte na drogach z pełnymi bakami i kluczykami w stacyjkach. A do tego – Rino oblizał zaschnięte usta i mimowolnie ściszył głos – nie znalazłem żadnego trupa.

– Wieśniacy odeszli? – nieśmiało wysunął przypuszczenie Ralf. – Uciekli gdzieś czy co?

– Oni nie odeszli – odezwał się Steirmann. – Oni zniknęli.

– To znaczy?

– Keitaro ma informatorów w Antofagaście i w Calamie – zwięźle wyjaśnił Oscar. – Płacimy spore pieniądze za wieści z pustyni. Pół tysiąca wieśniaków nie mogło zwać ze swoich domów, tak żeby nikt się o tym nie dowiedział.

Gdyby dotarli do Antofagasty, wiedzielibyśmy o tym. A jako że nic nam nie powiedziano, oznacza to, że... wieśniacy zniknęli.

– Ja też tak myślę. – Tym razem Rino był spokojniejszy. – Chilijczycy nie odeszli. Coś z nimi zrobili.

– Zwariować można... – Kanadyjczyk potarł czoło. – Ale nowina. Czyli ich zabili?

Headhunter nachylił się do Tymura i Ralfa i powiedział:

– Zabili? Możliwe. W takim razie wytłumaczcie mi, mądrale, jak czterdziestu chłopców, nawet niech będą wielcy i źli jak diabli, dałoby radę zakatrupić kilka setek ludzi? Okej, można to sobie wyobrazić. Ale w takim razie powiedzcie mi, co czterdziestu smarkaczy zrobiło z setkami ciał?

W tej chwili ocknęła się Laura.

– Pamiętacie? Jeffrey mówił coś o ludziach. Widział ludzi w legowisku botów.

– Co? – Rino i Jero spojrzeli na siebie stropieni. – Jeff odkrył ich gniazdo? Dlaczego żadne z was wcześniej mi tego nie powiedziało?

Nikt się nie odezwał. Wzrok olbrzyma przenosił się z jednej twarzy na drugą, ale na nikim się nie zatrzymywał. Każde z nich kolejno opuszczało głowę.

– Co jest? Dlaczego milczycie? – Headhunter cofnął się o krok, ogarnął spojrzeniem całą grupę. Dopiero teraz do niego dotarło, że nie ma wśród nich Jeffa i Alondry. – Amerykanin i jego kwoczka jeszcze nie wrócili?

– Oni nie wrócą, Rino – burknęła Laura, patrząc w ziemię.

– Co ty gadasz? – Rino postąpił naprzód, omal jej nie przewracając.

Laura się nie odsunęła; zdjęła okulary, co natychmiast sprawiło, że stała się zupełnie bezbronna. Zamrugała jak krótkowidz (dziewczyna ledwie sięgała najemnikowi do ramienia) i powiedziała półgłosem:

– Zabiły ich. – Przetarła palcem oko i powtórzyła, tak jakby mięśniak nie zrozumiał, co powiedziała: – Boty zabiły ich oboje.

Rino podskoczył gwałtownie. Otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Tylko jego oczy poruszały się na boki, a oddech znów stał się przyspieszony.

– Jeffrey znalazł ich legowisko niedługo po tym, jak się rozdzieliliście – oznajmiła psychiatra. – Jest w zachodniej części Doliny. Chłopak zdążył nam

przekazać swoje współrzędne. Zobaczyli z Alondrą coś dziwnego. Przyczaili się i zaczęli obserwować.

– Dziwnego?

– Tak. Jakichś ludzi. Niewykluczone, że właśnie tych wieśniaków... Jest coś jeszcze, o czym Jeffrey już nie zdążył opowiedzieć. – Laura z powrotem włożyła okulary. – To była pułapka. Ukrainiec ich uprzedzał, ale go nie posłuchali... Wszystkiego słuchaliśmy na żywo.

– Przez radio? – Wielkolud z trudem wypowiedział te słowa.

– Tak. Nadajnik pracował do końca.

Rino zerknął na Tymura.

– Problem jest znacznie poważniejszy – odezwał się w końcu programista. – Boty się uczą. Wadim Hort zaprogramował je na samokształcenie i teraz mogą programować same siebie. Sprawdzają, analizują rezultaty i potem z nich korzystają. Każdy kolejny dzień na wolności powoduje, że stają się coraz bardziej niebezpieczne.

Zapadła grobowa cisza. Wiatru nie było. Z pustyni nie dochodziły żadne dźwięki. Tylko od czasu do czasu zachrząścił piasek, kiedy ktoś przestąpił z nogi na nogę.

Headhunter spąsowiał. Ciemnoniebieskie worki pod oczami stały się wyraźniejsze. Zdawało się, że wielkolud zaraz wybuchnie. Steirmann, Katsuro, Laura i Ralf mimowolnie zrobili krok w tył. Jero przełknął ślinę i zamrugał podbitym okiem. Aż nagle... Rino się pohamował. Nie było żadnego ataku złości, mimo to każdy wyczuł, że najemnik coś w sobie stłumił. Poprzez mętne otworki w świńskich oczkach wyzierały purpurowe wnętrzości uspiętego wulkanu, który z pewnością plunie ogniem. I to wkrótce. Rino przypominał bombę atomową, która walnęła w sam środek miasta, ale nie wybuchła.

– Potrzebne mi klucze od garażu – powiedział powściągliwie.

– Po co? – zdziwił się Katsuro.

– Muszę wprowadzić tam auto. – Jego głos brzmiał głucho i obojętnie, jak głos robota.

– Eee...

– Terenówka działa. Po prostu skończyła się wacha.

Katsuro niechętnie odczepił z paska karabińczyk z pękiem plastikowych kluczy. Zaczął w nich grzebać i wyciągnął jedną z kart.

Rinowi nie chciało się czekać. Wyrwał Takedzie z rąk cały pęk, odwrócił się i poszedł w kierunku bloku EN-1. W tym momencie wszyscy myśleli, że po kanister z benzyną...

LXII

Środa, 19 sierpnia, 16.45 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Przez ostatnie dni kolacja w NGF-Lab rozpoczynała się i kończyła wcześniej niż w bardziej cywilizowanych rejonach świata. I nie było to bynajmniej spowodowane jakąś specjalną dietą. Mniej więcej tydzień po ucieczce botów Keitaro zarządził, aby wieczorny posiłek kończyć przed nastaniem ciemności. Po osiemnastej trzydzieści jadalnia i pozostałe pomieszczenia parteru były zamykane. Nikt nie miał prawa tam się zapuszczać.

Ralf Doernberg, Keitaro Roka, Katsuro Takeda i Oscar Steirmann weszli do jadalni. Czekali na nich wszyscy mieszkańcy kompleksu oprócz ранego Afrykanina i Headhuntera. Ten ostatni gdzieś się zapodział. Tymur liczył na to, że Keitaro coś powie, wyjaśni sytuację, przedstawi im dalsze plany. Tymczasem Japończyk wziął tacę z jedzeniem i oddalił się w milczeniu na swoje zwykłe miejsce. Chłopak się rozżłościł. Stary Jap mógł chociaż powiedzieć parę słów o Jeffreyu i Alondrze. I nikt tu nie oczekiwał uroczystej stypy z orkiestrą i kilometrową procesją pogrzebową, ale nie można przecież udawać, że nic się nie stało! Nie można lekceważyć śmierci własnych ludzi!

Tymura świerbił język. Ale chłopak wciąż się wahał. Nie miał ochoty na kolejne spięcie z Keitarem, dobrze wiedział, że od starego Japońca zależy jego los. A może nawet i życie. Siedział tak kilka minut, pochylony nad talerzem, grzebał widelcem w makaronie i dojrzywał do tego, żeby się odezwać. Na szczęście nie było mu to dane. Wydarzenia tego wieczoru błyskawicznie odsunęły Keitara na drugi plan, i to na zawsze.

– Patrzcie! – ryknął nagle Igor Jemeljanow. – Spójrzcie, co on robi!

Rosjanin podskoczył, sapiąc ciężko. Stracił na podłogę talerz i rzucił się do okna. Pozostali obrócili głowy w stronę okien.

– To Rino... – pierwsza odezwała się Tiana Emerson. Brazylijka mówiła niepewnym, na wpół pytającym tonem, tak jakby powątpiewała w to, co widzi, i w ten sposób upewniała się, że jej koledzy widzą to samo.

I wtedy wszyscy podnieśli się jednocześnie i przypadli do okien. Tymur stanął obok Igora. Jemeljanow szalał. Z lewego nozdrza wyciekały mu smarki, koszula wylazła ze spodni, nedorzeczny krawat przesunął się na bok, ale profesor niczego nie dostrzegał, zaciskając trzęsące się dłonie na parapecie. Ze wszystkich stron posypały się pytania:

- Co się z nim dzieje?
- Co ten mięśniak wymyślił?
- Kto mu pozwolił?
- Dokąd on ich ciągnie?

Katsuro pozieleniał. Japończyk nagle zrozumiał, w jakim celu wielkolud wyprosił u niego klucze.

Krępy Południowoafrykanin wyszedł właśnie z bloku EN-2. Samego budynku, gdzie przetrzymywano boty, nie było widać z okien jadalni, mimo to było całkiem jasne, że Rino wraca z drugiego bloku inżynierskiego, ciągnął bowiem za sobą dwóch „malców”. Boty miały ręce związane na plecach skórzanymi pasami. Pachnący tytoniem Rino Headhunter prowadził chłopaczków w stronę ogrodzenia. Nie opierały się. Może trochę wykrzywiały usta.

Słońce nie zdążyło jeszcze zająć na tyle, żeby się schować za budynki inżynierskie, które wznosiły się na lewo od bloku DW. Mimo że promienie padały ukośnie, mocno oślepiały patrzących. Prawie nikt nie zauważył, że Rino ma za paskiem maczetę półmetrowej długości.

Ralf podstawił taboret i sięgnął do mechanizmu, który zamykał duże trzyskrzydłowe okno. Trochę pomajstrował przy klamce, po czym otworzył jedno ze skrzydeł i huknął do Headhuntera:

- Rino! Rinooo! Co ty robisz?

Wielkolud nie zareagował. Zatrzymał się o kilka kroków od drucianego ogrodzenia, popchnął na piasek jednego z botów i wyciągnął zza pleców maczetę. Teraz wielki nóż mogli zobaczyć już wszyscy.

– Hej, hej! – zawołał zaniepokojony Katsuro Takeda. – Zatrzymajcie go! Zaraz ich pokaleczy.

– Rino! – zawołał przez okno Ralf Doernberg. – To nie jest wyjście! W ten sposób niczego nie osiągniesz... – Na więcej nie pozwoliło mu jego serce; zaczęło trzepotać i poczuł okropną słabość.

Igor, z wytrzeszczonymi oczami i rozchyłonymi wargami, przywarł do szyby. Z ust ciekła mu ślina. Kiedy się zorientował, z rozdrażnieniem wytarł je wierzchem dłoni.

– Trzeba go zatrzymać! – rzucał się Takeda. – Do diabła, co to za idiotyzm? Dajcie mi broń, to zastrzelę tego szaleńca.

Headhunter obrócił się i spojrzał na zalane miękkim światłem okna jadalni. Promienie słoneczne odbijały się od szkła, przez co Rino nie widział twarzy przyciśniętych do szyb. Ale wiedział, że one tam są. Odepchnął nogą leżącego bota, a drugiego rzucił przed sobą na kolana, złapał go za włosy i zadarł mu głowę.

Katsuro rzucił się do otwartego okna i wrzasnął:

– Kretyn! Nedorobiony dureń! Puść go!

Rino uniósł głowę i wyszczerzył zęby, zaciskając w nich papierosa. Prawa pięść mocniej ścisnęła drewnianą rękojeść maczety, oklejoną brązową taśmą samoprzylepną.

– Co za gówno... – zaklął Ralf.

– Oko za oko, ząb za ząb – wycharczał mięśniak. (Co prawda blok DW był zbyt daleko, i nikt nie zrozumiał, co mówi).

Nagle młody Japończyk rzucił się na Keitara.

– *Nantoka sitekudasai!*[76] – krzyknął. – To nasze pieniądze! Dlaczego pan pozwala, żeby ten afrykański tępak nami rządził?

Stary Jap nie zareagował, z otępieniem śledził rozwój wydarzeń.

Rino, wciąż mocno trzymając ofiarę za włosy, uniósł prawą dłoń.

– To za Jeffa, gnidy – wyszeptał ze złością i wypuścił dym nosem.

(Tak naprawdę chodziło o coś zupełnie innego. Headhunter, owszem, lubił młodego Amerykanina, ale nie na tyle, żeby się za niego mścić. Rino okłamywał sam siebie. W rzeczywistości mścił się za własny strach. Mścił się za to, że w jednej z tysięcy bezimiennych szczelin Doliny Śmierci wcześniej

nieznane mu obrzydliwe uczucie skręciło jego odbytnicę w podwójny węzeł żeglarski i zmusiło go do tego, żeby trząsł się jak pekińczyk na mrozie).

W książkach zawsze piszą, że w takich chwilach maczety przecinają powietrze z ostrym świstem. W rzeczywistości nic takiego się nie wydarzyło. Półmetrowy nóż bezgłośnie mignął w powietrzu i z ledwo słyszalnym świstem wbił się w miękkie ciało.

Krew płynęła nieprzerwaną strużką jak kompot z przechylnego garnka.

Tiana i Rebecca odwróciły głowy z obrzydzeniem. Jemeljanow zszedł na podłogę. Keitaro milczał. Katsuro zazgrzytał zębami ze złości.

– Gnida... W tej głowie są nanoroboty warte dwieście milionów...

Headhunterowi nie od razu udało się przeciąć botowi szyję. Zamachnął się ponownie i chlasnął nożem. Tym razem maczeta ostatecznie oddzieliła głowę od ciała. Bryzgając ciemną krwią, tułów się zakołysał. Rino podniósł odciętą chłopięcą główkę i jak barbarzyńca potrząsnął nią w powietrzu, po czym rzucił ją w piasek.

– I po co myśmy go najęli? – wyszeptał Ralf. – Przecież to dzikus...

Rino chwycił drugiego bota, jednym szarpnięciem rzucając go na kolana. Przełożył wyżej dłoń i zacisnął pięść na ryżych włosach. Maczeta uniosła się po raz trzeci.

– A to za Alondrę i za moich chłopców, którzy zapłacili głowami na tej przeklętej pustyni.

W chwili gdy Rino szykował się do zadania ciosu, bot rozdziawił usta i zaryczał. Nieznośny krzyk, niczym fala uderzeniowa, odstraszył wszystkich patrzących od okien jadalni. Ktoś się potknął i upadł, kobiety zaczęły lamentować, zadźwięczały zrzucone na podłogę talerze. Nawet niezmiennie niewzruszony Keitaro odskoczył i wpadł na stół.

Headhunter też się wzdrygnął, ale nie wypuścił z dłoni włosów „malca”. Jego zwierzęcy ryk, od którego – jak się zdawało – zadrżała ziemia, jedynie rozjuszył wielkoluda. Włożywszy w cięcie całą wściekłość, osilek jednym ruchem rozpołowił gardło bota. Potworny wrzask urwał się, ustępując miejsca ledwie słyszalnemu bulgotaniu. Ciało, bryzgając krwią, rozpląszczyło się na piasku.

Rino wyjął z ust wypalonego papierosa, splunął pod nogi ze skupioną miną i wepchnął niedopałek do nozdrza ukatrupionego bota. Następnie wytarł starannie maczetę o piach, chwycił drugą głowę i poczłapał do ogrodzenia.

Po wewnętrznej stronie każdego ze słupów podtrzymujących grube druty wystawały specjalne gumowane występy. Zostały zainstalowane dla łatwiejszej obsługi ogrodzenia. Na takim stopniu można było stanąć i sprawdzić albo naprawić (rzecz jasna, jedną ręką) izolatory bez obawy, że zostanie się popieczczonym prądem. Headhunter zbliżył się do słupa, stanął na wypustce i balansując na jednej nodze, nadział pierwszą głowę na zaostrowy wierzchołek słupa. Chwilę później druga ozdobiła taki sam pał kilka metrów dalej.

– Tak jest znacznie lepiej, moje wyłupiastookie szczeniaczki. – Rino potarł ręce. – Nie wiem, czy potraficie myśleć w *normalnym* znaczeniu tego słowa, czy jesteście po prostu bezmózgimi maszynami, które wszystko idealnie planują. Jeśli jednak *myślicie*, to następnym razem zastanowicie się dwa razy, zanim znów zabijecie kogoś z naszych.

Na koniec Południowoafrykanin udał się do budynku magazynu DE, przyniósł stamtąd łopatę i zaczął nieśpiesznie kopać grób dla pozbawionych głów ciał.

– Trzeba zaaresztować tego psychola! – wściekał się Katsuro, patrząc, jak Rino spokojnie i metodycznie kopie dół. – Tylko nam zaszkodzi! Nie ma nad nim kontroli!

Nikt nie zwracał uwagi na jego krzyki. Ludzie powoli się rozchodzili z oczami wlepionymi w podłogę. Może Japonec i miał rację, ale po śmierci Jeffa i Alondry nikt poza Katsurem, Igorem i być może Keitarem nie potępił tej krwawej egzekucji.

A głowy botów pozostały na palach.

LXIII

Drzwi jadalni się rozsunęły. Do środka wpadł Rino. Miał na sobie tylko podkoszulek; od tego kopania był spocony. Tymur po raz pierwszy zobaczył jego niewiarygodnie wielkie bicepsy – wyglądały jak balony. Prawe ramię zdobił tatuaż: nosorożec pędzący z pochylonym łbem. Zarośnięte policzki oblepiały zaschnięte krople krwi. Headhunter podszedł do najbliższego stołu i rzucił na niego kilka masek przeciwigazowych. Obrzucił spojrzeniem wszystkich obecnych i odezwał się kategorycznym tonem:

– Radzę, aby w najbliższych dniach każde z was miało to przy sobie. Jutro wyruszam do ich legowiska, gdzie nakarmię te potwory somanem.

Katsuro przełknął ciężko ślinę, jego grdyka gwałtownie się poruszyła. Widział pęk swoich kluczy przyczepiony do jednej z szelek podtrzymujących dzinsy Rina. Ale nie odważył się odezwać. Wielkolud, sapiąc, skierował się do wyjścia.

I w tym momencie Tymur zrobił coś, czego nikt by się po nim nie spodziewał. Na czele z nim samym.

– Rino, zaczekaj! – zawołał w ślad za szerokimi, przypominającymi kamienną bryłę plecami. Headhunter się zatrzymał i lekko odwrócił głowę. – Idę z tobą!

– Uprzejmie zapraszam na pokład, *amigo* – rzucił mięśniak nie bez radości w głosie.

– Nawet o tym nie myśl! – odezwał się Ralf. – Ty nie możesz jechać. Jesteś potrzebny tutaj! Jeszcze możesz rozwiązać tę łamigłówkę! Przecież musi być jakieś wyjście. – Nagle, zupełnie niespodziewanie, lewą część jego piersi przeszył ból, który wystrzelił jak błyskawica do lewej ręki. Aż do łokcia.

Tymur nie posłuchał; podniósł się i podszedł do drzwi.

– Ktoś musi zatrzymać ten koszmar – powiedział, biorąc do ręki maskę przeciwigazową. – Pięcioro z nas nie żyje, cała wioska nie wiadomo gdzie zniknęła, a wy chrzaniecie o jakichś inwestycjach! Ile jeszcze ludzi ma zginąć, żebyście sobie uświadomili, że program antidotum nie rozwiąże tego problemu?

– Jemu się po prostu nie udało! – złośliwie prychnął Steirmann. – Nasz zachwalany ukraiński *Wunderkind*^[77] nie potrafił rozwiązać zadania.

Programista stanął obok Headhuntera i odparł zimno:

– Nie trzeba koniecznie rozwiązywać zadania. Czasem wystarczy udowodnić, że ono nie ma rozwiązania.

POBOJOWISKO W PURITAMIE

*Życie to spryciarz. Jeśli tylko czujesz, że masz w ręku wszystkie atuty, ono postanawia zagrać z tobą w szachy.
Mądrość ludowa*

LXIV

Czwartek, 20 sierpnia, 13.17 (UTC -4)
Kompleks badawczy NGF-Lab

Rino i Tymur stali na górnym tarasie budynku mieszkalno-administracyjnego. Wpatrywali się w pustynię. Drobną pył krążący w powietrzu przysłaniał krajobraz szarym przezroczystym prześcieradłem. Słońce wyglądało jak małe pomarszczone, wysuszone jabłko.

– Wiatr... Cholerny wiatr – wychrypiał Rino.

– Aha. – Ukrainiec kiwnął głową. Rozczochrane włosy rozwiewały mu podmuchy, kosmyki włożyły do oczu.

Po obiedzie Rino Headhunter postanowił wyruszyć do Doliny Śmierci i przystąpić do decydującego uderzenia. Zamierzał wybić boty gazem. Ostry suchy wiatr, który zerwał się nad ranem, a do południa tylko rósł w siłę, zrujnował plany olbrzyma. O dwunastej słupek rtęci na termometrze doszedł do plus dwudziestu czterech stopni Celsjusza i zamarł. W taką pogodę boty przez cały dzień mogły robić to, na co miały ochotę.

– Nie chcę tam jechać – powiedział cicho Południowoafrykanin.

Aż go skręciło po tych słowach. Na chwilę pojawił się wstyd, a wraz z nim tabun myśli. Przypomniał sobie, jak natknęli się z Jerem na Williama i jak paralizujący strach zalał mu żołądek, tłumiąc pozostałe emocje.

– Co będziemy robić? – Tymur zerknął na Rina, poprawiając potargane włosy.

- Cześć – wymamrotał mięśniak. – Poczekamy do jutra...
- Dziś w nocy znów kogoś zabiją.
- A ulży ci, jeśli do nas też się dobiorą?

Ukrainiec przygryzł wargę. Pomyślał, że problem tkwi nie tylko w kolejnych zgonach, ale i w tym, że z każdym dniem te istoty stają się coraz mądrzejsze. Czyli coraz bardziej niebezpieczne.

...Całą noc z dwudziestego na dwudziestego pierwszego sierpnia nad pustynią wirowały, niczym duchy, strumienie zimnego powietrza, kręcąc się i unosząc tumany pyłu. O poranku temperatura spadła do plus siedemnastu stopni Celsjusza...

W piątek Rino praktycznie nic nie zjadł na śniadanie. Keitaro się nie pojawił. Nie było też Katsura Takedy i Jemeljanowa. Pozostali żuli w milczeniu.

Czas mijał, a pustynny wiatr nie ustawał.

LXV

Piątek, 21 sierpnia, 09.45 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

- Rino? – Tymur zajrzał do pokoju Headhuntera.
- Osilek drzemał po śniadaniu, ale gdy usłyszał chłopaka, wstał.
- Co, Ukraińcu?
 - Coś wymyśliłem – wydusił z siebie programista.
- Rino przesunął się na łóżku, ustępując mu miejsca.
- Dawaj.
- Tymur usiadł na brzegu tapczanu, włożył dłonie między kolana.
- Trzeba na nich napaść nocą – powiedział.
 - Co?! Chyba zwariowałeś!
 - Może minąć kilka dni, zanim wiatr ustanie. Powinniśmy ruszać do Doliny o północy.

– Dureń! – gorączkowo ryknął Headhunter. Wyobraził sobie, jakby się poczuł, gdyby zetknął się z ciałem Williama nocą... gdyby ten *podszedł* do niego w całkowitych ciemnościach.

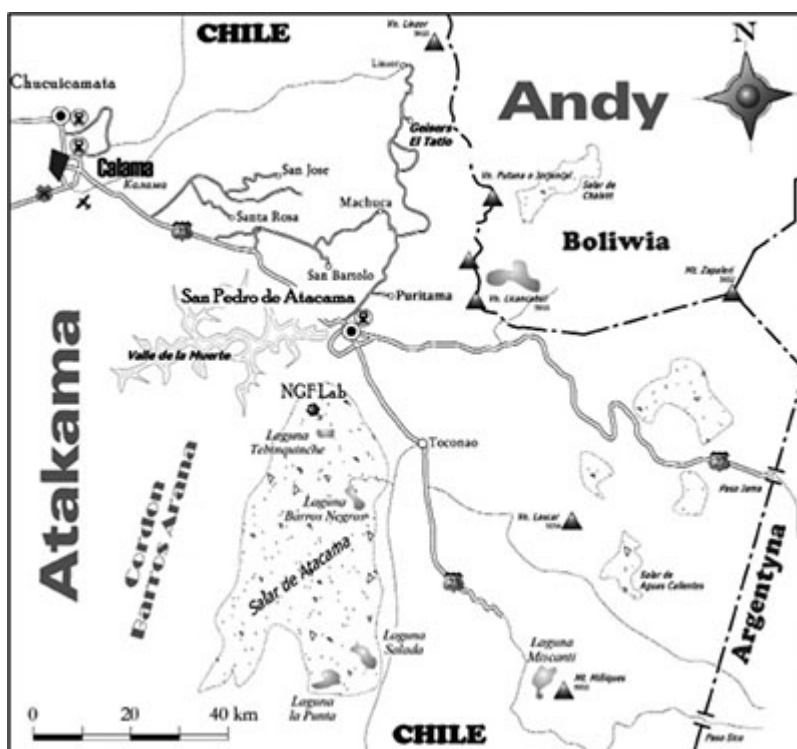
– Najpierw mnie wysłuchaj – wyrzucił z siebie Tymur. – Boty są zaprogramowane tak, by po każdej walce przeanalizować jej efekty, żeby nie powtarzać tych samych błędów i wykryć szablonowość zachowań przeciwnika. Już zdążyły poznać naszą taktykę. Zauważyły niewątpliwie, że zawsze poruszamy się za dnia, a po zachodzie słońca uciekamy do bazy. W dzień „malcy” chowają się przed słońcem w pieczarach Doliny Śmierci, ale jestem pewien, że na nas czekają, że są gotowi na nasze przyjście. Przypomnij sobie: mimo upału boty wiedziały, że Jeffrey i Alondra się zbliżają, niewykluczone, że i ciebie śledziły! Za to nocą będą się szwendać po pustyni w poszukiwaniu jedzenia i wody. Nie oczekują nas, bo wiedzą, że w tym czasie chowamy się w laboratoriach, jak tchórze.

– Zaatakowanie ich w środku nocy to prawdziwe samobójstwo.

– Wiem! W ciemnościach boty są pewne swoich sił. Zbyt pewne, Rino. I właśnie na tym polega sens nocnego ataku. – Tymur westchnął. – Proponuję prześlizgnąć się nocą przez Atakamę i zorganizować zasadzkę w Dolinie Śmierci. Niedaleko ich legowiska. Jeżeli napadniemy na nich w ciągu dnia, każda stracona minuta (a uwierz mi, takie minuty będą) przybliży nas do nocy. Jeśli zaś rzucimy się na „malców” przed świtem, zbijemy ich z pantafelów, spowodujemy, że popełnią błąd. Dotrze wtedy do nich, że każda minuta zbliża ich do wschodu słońca, a ukryć się nie ma gdzie.

– Uff... – wysapał Rino. – To cholernie ryzykowne, *fella*.

– Nie większe niż uderzenie na boty otwarcie, w biały dzień. – Ukrainiec zamachał rękami. – Rino, będziemy mieli gaz! Przyczaimy się koło „gniazda”, poczekamy, aż wrócą te cieniasy, i rzucimy się na nich z butlami z somanem! Tyle!



Headhunter nachmurzył się; wodził dokoła świńskimi oczkami.

– A jeśli nas dorwą, zanim my dotrzemy do Doliny?

– Myślałem o tym. Do trzeciej w nocy siedziałem nad mapami i... coś wymyśliłem. Wieczorem skierujemy się na południe w przeciwną stronę niż Dolina. Nawet jeśli boty wyczają nasze auta, za nic w świecie nie przejrzą naszych planów. Wątpię, żeby poszły za nami.

– Okej, a co potem?

– Kiedy dotrzemy do laguny Barros Negros, skęcimy na wschód i wyjedziemy na trasę łączącą San Pedro z Paso Sico[78]. Następnie zawrócimy, na pełnym gazie popędzimy na północ, do San Pedro, i wjedziemy w Dolinę Śmierci od wschodu. Przeanalizowałem mapę Doliny, z tej strony będziemy mogli dotrzeć samochodami do samego legowiska!

– Ukraińcu, ty jesteś po prostu *crazy*...

Rino przetrawiał plan Tymura.

Po chwili mięśniak uniósł głowę. W maleńkich oczkach zapłonęła stanowczość.

– Zawołaj Jera. Po drodze wprowadź go w całą akcję i przekaz mu wszystko, co mi wyłożyłeś. Pokaż mu wszystko na mapie. Szykujemy się do wyjazdu.

W drodze do drzwi Tymur się obejrzał.

– Chcesz wyruszać dzisiaj?

– A co, masz na wieczór jakieś plany, *fella*?

Chłopak uśmiechnął się i wyszedł.

LXVI

Piątek, 21 sierpnia, 23.22 (UTC -4)
EN-1, pierwszy blok inżynierski
Garaż podziemny

Wiał wiatr, wciskając się przez otwartą bramę do garażu podziemnego. Ciągnął za sobą piasek i zimny mrok. Termometr wskazywał plus szesnaście stopni Celsjusza.

– Jedno mnie dziwi. – Tymur odezwał się tylko dlatego, żeby przez chwilę zapomnieć o swoich trzęsących się dłoniach. Wkładał do bagażnika touarega butle ze skroplonym somanem. – Keitaro ma najnowocześniejszy sprzęt, aby zbudować skomplikowane urządzenie wielkości komórki mózgowej, a my jesteśmy pozbawieni nawet normalnych środków komunikacji.

– Taa – odparł Rino. – Te jełopy wiedziały, że telefony komórkowe tutaj nie działają, ale nikt nie pomyślał, żeby kupić lepsze nadajniki. Najwyraźniej nie brali pod uwagę tego, że trzeba będzie uganiać się po całej Atakamie za efektami własnych eksperymentów.

– Czy uda nam się jakoś utrzymać łączność pomiędzy samochodami?

– Tak. Mamy zwykłe krótkofalówki, ale jeśli będziemy się oddalać, wcześniej czy później stracimy łączność z laboratorium.

Stefan Ermglen, blady i skupiony, też kręcił się w pobliżu, próbując jakoś pomóc. Szwed starannie wkładał naboje od remingtonów do specjalnych pasów.

Stary Jap wciąż się nie pojawiał.

– Przyciągnij tamto pudełko. – Headhunter zwrócił się do Stefana.

– Dobrze, Rino. Co w nim jest?

- Granaty.
- Dużo ze sobą zabieracie?
- Im więcej, tym lepiej. Ale najpierw sprawdzę silniki.

Headhunter postanowił wyruszyć dwoma samochodami. Na akcję wyjeżdżało ich ośmiu: Tymur, Allan Greenlon (inżynier zgodził się bez protestu), Rino, Oscar Steirmann (elegancik długo się stawiał, aż w końcu przyparli go do muru) oraz czterech Afrykanów z bandy Headhuntera: Jero, T-Jay, Ndonga i Frankie. Tymur wolałby widzieć w ekipie kogokolwiek innego, tylko nie Steirmanna. Niestety, profesor Doernberg był za stary, żeby brać udział w ewentualnej jatce, Jemeljanow miał problemy z nadwagą i był kłótniwy, a Katsuro Takeda, który być może najbardziej by się nadawał do tej misji, cały piątek przeleżał z gorączką trzydzieści osiem i pięć dziesiątych stopnia.

Do aut zbliżył się Allan. Miał na sobie plamiasty ochronny uniform w kolorze pustyni (szaro-brązowy). Założył na biodra pas z nabojami, napchał kieszenie „cytrynkami”[79], sprawdził swojego remingtona i rzekł leniwie, półgłosem, tak jakby szykował się na piknik:

- Jestem gotowy, Rino.

Po chwili podeszli ludzie Huntera, w uprzejmych słowach życzyli wszystkim dobrej nocy i przyczaili się w milczeniu. Jero i T-Jay palili papierosy, mocno się przy tym zaciągając.

Wkrótce potem okazało się, że jeden z Afrykanów, Ndonga, też ma gorączkę. Stefan obejrzał go i zaczął nalegać, aby najemnik pozostał w bazie. Szwed był zdziwiony, nie mógł bowiem stwierdzić wyraźnych przyczyn podwyższonej temperatury. Jedyne, co go zaniepokoiło, to dziwna wysypka na dolnej części twarzy Afrykanina. Wyglądało to tak, jakby Ndonga ogolił się brudną maszynką. Stefan, który wiedział, że Takeda ma gorączkę, podejrzewał jakąś infekcję, ale postanowił na razie nie wszczynać alarmu.

Wiść o złym stanie zdrowia Ndongi zmartwiła Rina. Owambo był jednym z jego najlepszych ludzi. Headhunter długo się zastanawiał i w końcu postanowił nie zabierać nikogo innego. Sam i Gotto musieli zostać – ktoś powinien pilnować laboratorium. Tym sposobem liczba członków załogi zmniejszyła się do siedmiu.

Ostatni zjawił się Oscar Steirmann w towarzystwie... Katsura. Japończyk ledwie trzymał się na nogach. Jego policzki zdobił niezdrowy rumieniec,

a oczy błyszczały jak w gorączce. Stefan Ermglen dostrzegł takie same jak u Ndongi drobne krwawe cętki na podbródku i policzkach młodego Japończyka. W słabym świetle panującym w garażu były prawie niewidoczne.

– Co to oznacza, najemniku? – złośliwie zapytał Katsuro; z jego płuc wydobywał się świszczący oddech.

Rino obrócił głowę, opuściwszy ręce na kratę wlotu chłodnicy.

– A jak myślisz, Azjato? Jedziemy na dziewczyny do Antofagasty.

– Co ty chrzanisz? Musisz chronić bazę! Zabraniam opuszczać laboratorium. – Słowa Japończyka zabrzmiały nieprzyjemnie. Dodał łamiącym się głosem: – Keitaro nie dał zgody na tę wyprawę!

– W dupie mam twojego Keitara. Pojedziemy na pustynię i użyjemy gazu. A wszystkie boty, które nie zdechną od tego gazu, dostarczymy rano do laboratorium. Tyle.

– Jak śmiesz rozmawiać ze mną takim tonem? Zapominasz, kto tutaj...

Headhunter dla żartu wziął w ręce remingtona i skierował lufę na Takedę.

Zapadła niezręczna cisza. Słychać było, jak pustynny wiatr rozbija się o ściany EN-1.

– Na wszelki wypadek sygnalizuję – głos Stefana Ermglena przedarł się przez ciszę – jest naładowany.

Minęło jeszcze kilka sekund. Rino i Japończyk nie spuszczali z siebie wzroku.

– Spadaj! – wysyczał w końcu Katsuro i szybkim krokiem, który tak bardzo przeczył jego choremu wyglądowi, wyszedł z garażu.

– Nie jadę z wami – powiedział nosowym głosem Steirmann, kierując się tyłem do wyjścia. Polakierowane czarne włosy błyszczały metalicznie w świetle piwnicznych lamp.

Już o dwóch mniej – pomyślał Headhunter. Najpierw Ndonga, a teraz ten picuś. A jeszcze nawet nie wyjechaliśmy za bramę. A na głos powiedział:

– Steirmann, jesteś tchórzem.

– Pracuję dla starego Japa. I dla Takedy. Nie dla ciebie.

– Ty żałosny mięczaku – kąśliwie rzucił Rino. – Co z ciebie za facet?! Po powrocie nakarmię cię gównem, strachliwa chilijska małpo.

- Nie wróćisz! – wrzasnął Chilijczyk i pospiesznie się oddalił, obawiając się, że Rino w porwywie złości może faktycznie naszpikować go ołowiem.
- Palant! – Headhunter splunął i głośno zamknął klapę maski.

LXVII

– Rozumiem, że zostało nas sześciu – pochmurnie zauważył Allan Greenlon.

Rino nie odpowiedział; udał, że sprawdza opony.

– Hunterze... – robiąc krok do przodu, niepewnie zaczął Stefan Ermglen. – Mogę pojechać zamiast Chilijczyka.

– Co ty mówisz? – Tymur, który stał tuż obok, wytrzeszczył oczy na lekarza.

– Umiesz obchodzić się z bronią? – zapytał Headhunter.

– Służyłem w Svenska marinen[80]. Potrafię posługiwać się strzelbą. A rzucać granaty to nawet pięcioletnie dziecko potrafi.

W normalnych okolicznościach Rino za żadne skarby świata nie wzięłby ze sobą Stefana. Ndonga był wart pięciu takich okularników, którzy „potrafią posługiwać się strzelbą”. Ale to był absolutnie niewłaściwy moment, żeby przebierać w ludziach.

– Witamy na pokładzie, doktorku.

Tymur przyjrzał się fizjologowi, jego mizernej twarzy z sinymi workami pod oczami. Raczej nie będzie z niego zbyt wiele pożytku, kiedy zrobi się gorąco. Oby tylko nie przeszkadzał. Chociaż, jak mówią, lepszy rydz niż nic.

Pod pozorem sprawdzenia zapasu ampułek z atropiną Tymur przybliżył się do Szweda.

– Stefan, dlaczego to zrobiłeś? Przecież nikt cię nie zmuszał – powiedział cicho.

– Naprawdę nie rozumiesz? Przecież widzisz, *czym* oni tutaj się zajmują. Mam wątpliwości, czy w ogóle puszczą nas z powrotem do domu z takimi informacjami. Kiedy przyjdzie nam się żegnać z tym miejscem, chcę

znajdować się po stronie ludzi, którzy będą mogli mnie stąd wywieźć. Żywego.

Tymur przypomniał sobie rozmowę ze Steirmannem sprzed pięciu dni. Szwed miał rację.

– W porządku. A więc życzę ci dzisiaj powodzenia.

– Wszystkim nam się należy...

Rino i Jero skończyli właśnie przegląd drugiego volkswagena.

– Panowie, proszę na pokład! – z nadmiernym entuzjazmem zawołał osiłek. Wizja rozróby podniecała go. Aż głos mu się zmienił. Tak było zawsze. – Zbierajcie się. Dzisiaj to my musimy wypieprzyć tych dupków!

Przeciążone terenówki wypełzły z czeluści garażu, minęły ogrodzenie i potoczyły się na południe. W pierwszym aucie za kółkiem usiadł Rino. Po jego prawej stronie umościł się Tymur. Na tylnym siedzeniu trzęśli się Stefan i Allan. W drugiej terenówce jechali Frankie, T-Jay i Jero. Frankie kierował.

LXVIII

Oddział bez problemu dotarł do lagun i skręcił w lewo.

Płaskowyż w tej części Atakamy był równy i twardy, prawie bez piasku, gdzieniegdzie pokryty kępkami wyblakłej żółtej trawy, przypominającymi przysypane ziemią jeżozwierze (w Ameryce Południowej takie miejsca nazywa się pampą albo pampasami). Księżyc, niczym pokryte bielmem wytrzeszczone oko, ślepawo łypał na martwą równinę. Terenówki poruszały się do przodu z wyłączonymi światłami.

Daleko przed nimi malował się czarny zarys Andów.

O pierwszej dwadzieścia w nocy toyoty dotarły do drogi numer dwadzieścia trzy, w pobliże opuszczonego posterunku policji drogowej. Rino wyłączył długie światła. Od tej chwili aż do San Pedro wskazówka szybkościomierza nie opadała poniżej stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Frankie i jego pasażerowie nie pozostawali w tyle.

Po dwudziestu minutach samochody dotarły do obwodnicy, która okala San Pedro od południowego zachodu. Droga ta niczym podkowa otacza San Pedro

de Atacama, prawie ociera się o wioskę, po czym skręca na południowy zachód w kierunku Doliny Śmierci. Podjeżdżając do zakrętu, Rino zwolnił. Przedwczoraj dokładnie w tym miejscu zatrzymali się z Jerem, zanim zagłębili się w wioskę.

Z tyłu zapiszczały hamulce. Na desce rozdzielczej w aucie Rina zamigłała lampka krótkofalówki.

– Rino? – zaskrzypiał głośnik.

Tymur wziął w ręce urządzenie.

– Tu Tymur. Słuchamy cię, Jero.

– Wszystko u was w porządku?

Ukraińiec spojrział z ukosa na Headhuntera. Ten kiwnął lekko głową, nie spuszczać wzroku z otwartej przestrzeni.

– Wszystko okej, Jero.

– Dlaczego zwolniliście?

Tymur ponownie zerknął na Rina. Południowoafrykanin wzruszył ramionami.

– Lepiej niech obserwuje pustynię, tak mu przekaz.

– To nic poważnego. Rino prosi przekazać, żebyście byli ostrożni.

– Dobra, zrozumiałem.

Volkswagen posuwał się z prędkością trzydziestu–czterdziestu kilometrów na godzinę, nie więcej. Tymur przyłożył do oczu noktowizor i przesunął wzrok po pustyni. Dzięki urządzeniu płaskowyż wyglądał jak za dnia. Można było odnieść wrażenie, że ogląda się okolice San Pedro w dzień przez grube zielona szkiełka.

Nagle programista jęknął i ze strachu pociągnął Headhuntera za rękaw podkoszulka.

– Stój!

– Co jest? – Rino nacisnął hamulec. Głowy Allana i Stefana wcisnęły się między siedzenia.

– Coś jest na pustyni...

– Gdzie? – Olbrzym chwycił noktowizor, wstrzymując uczucie kłującego strachu, który z brzucha przemieszczał mu się do gardła.

– Po prawej. Tam ktoś leży...

Kilometr od wioski i pół kilometra od miejsca, gdzie terenówki się zatrzymały, leżał trup. Na boku, nogami do drogi, zasłaniając ręką twarz.

Rino sięgnął po krótkofalówkę.

– Jero, widzisz to? – zadudnił siłacz, naciskając przycisk PTT[81].

– Tak, Rino. To ciało.

– Nasz klient?

– Nie, wygląda na dorosłego. Według mnie to ktoś z miejscowych. Na oko ma ze czterdzieści lat.

Headhunter oblizał wyschnięte usta. Czuł w nogach nieprzyjemne dreszcze.

– Nie było go tutaj. Byliśmy tu w ciągu dnia, dobrze pamiętam ten fragment pustyni. Nie widziałem żadnego ciała! Nigdzie ich nie było dokoła San Pedro!

Jero milczał.

– Wygląda, jakby dawno już nie żył – stwierdził Tymur. – Jest jakiś taki zeschnięty. Mam wrażenie, jakby biedaka wyciągnięto z suszarki. Popatrz na przedramiona i odkryte części ciała.

– Widzę... Jak mumia.

– Właśnie.

Jakkolwiek by Rino z tym walczył, przed oczami wciąż stawał mu William wychodzący spomiędzy skał wapiennych, z rozpadliny, do której się kierowali. Headhunter drgnął i ścisnął mocniej kierownicę. Głos Jera wyrwał go z odrętwienia:

– Szefie, co robimy?

Rino zaryczał, omal nie zgniatając krótkofalówki:

– Jedziemy do Doliny Śmierci! Nigdzie się nie zatrzymujemy!

Silniki zawarczały, auta zawróciły i pomknęły na południowy zachód. Tajemniczy trup zatonął w mroku.

Po dwóch kilometrach terenówki ześlizgnęły się z szosy i zniknęły w krętym łożysku *Valle de la Muerte*. Nie sposób było jechać szybko. To tu, to tam spod ziemi szczyrzyły się, niczym kły, skały łupkowe. Stożki światła zalewały szlak nadzwyczajnie długimi świetlnymi kałużami, ale z obu stron nacierały ciemności. Wszystko to drażniło nerwy, wierciło w brzuchach wielkie zimne otwory.

O drugiej dwadzieścia dwie GPS wskazał, że do zielonego punktu został niecały kilometr. Rino zatrzymał wozy w naturalnej kryjówce – ciasnym wąwozie pomiędzy dwoma górskimi grzbietami, nad którymi zwisała szeroka grzęda, powoli obniżająca się i pełząca po piasku. Wydmy w tym miejscu się podnosiły, wdrapując się na jednolitą, nieco wypukłą ścianę wapienną przypominającą mur fortecy. Wszyscy mężczyźni pozostali na swoich miejscach. Czekali w milczeniu, aż ich oczy przyzwyczają się do ciemności. Pierwszy odezwał się Tymur:

– Jeżeli wierzyć Jeffreyowi, za tym pochyłym wzniesieniem otwiera się przepaść w kształcie litery V, o głębokości ponad trzydziestu metrów. W jej dolnej części boty wydrążyły sobie pieczarę.

– Aha. A co, jeśli... teraz tam są? – wydusił z siebie Rino.

– Nie wiem.

– I ja nie wiem.

– Ktoś musi pójść na zwiady.

Rino ciężko zasapał. W drugim aucie Jero modlił się, żeby Headhunter nie wysłał go na rekonesans. Tymur rozważał wszystkie możliwości. Allan nie pójdzie. Nie posłuchałby nawet Keitara. Stefana nie ma co puszczać samego. Najlepiej, żeby poszedł Rino albo Jero, ale ani jeden, ani drugi nie byli obecni podczas ostatniego kontaktu z Jeffem, kiedy ten opisywał miejsce wokół gniazda botów. Afrykanie kiepsko będą się orientować w terenie. Nie było wyboru.

– Ja pójdę. – Tymur poczuł, jak pod pachami zrobiło mu się wilgotno.

Pauza.

– W porządku. – Headhunter odwrócił wzrok.

Chłopak założył na szyję noktowizor, ścisnął w rękę remingtona i ociągając się, otworzył drzwi.

– Poczekaj. – Rino sięgnął gdzieś za siebie. – Weź to. – Podał mu gumową maskę przeciwgazową. – Jak tylko usłyszysz wystrzał albo klakson samochodu, natychmiast ją zakładaj. Niech Jap spada, nie będę się ograniczał, nie zastosuję niskiego stężenia gazu. Użyję od razu wszystkiego.

Twarz programisty zrobiła się blada, bledsza niż księżyc.

– Dobra. Tylko nie trąb bez potrzeby.

– A ty się streszczaj. – Rino uniósł zaciśniętą pięść, tak jakby chciał dodać chłopakowi otuchy, i spróbował zażartować: – I nie rozwał ich tam wszystkich, zostaw coś dla nas.

Tymur kiwnął głową, przerzucił przez ramię torbę z maską przeciwgazową i wyszedł z samochodu. Skulony, popędził po piaszczystym stoku do podnóża ściany. Przez pierwsze trzysta metrów biegł szybko, ale w miarę jak się wspinał, piasek stawał się coraz drobniejszy. Nogi grzęzły w nim jak w błocie, spod podeszew butów usuwały się całe płyty. Parę razy się potknął, a raz nawet upuścił na piasek strzelbę.

W końcu dotarł do wapiennej ściany. Zaczął obchodzić ją z lewej strony, aż wreszcie dotarł do przełęcz, wdrapał się na wierzchołek grani i ostrożnie spojrzął w dół. Przyciskając do oczu noktowizor, Tymur długo przyglądał się wąwozowi. Dopiero po trzech minutach odkleił się od okularu. Po raz ostatni spojrzął na miejsce, gdzie stały terenówki (nie mógł ich dojrzeć w ciemnościach panujących pod gzymsem skalnym), podciągnął się na rękach i przeskoczył przez krawędź.

– Schodzi – powiedział Stefan, wzdychając ciężko.

– Tak – mruknął Rino.

Tymur zniknął. Rozpoczęło się długie i niecierpliwe czekanie.

LXX

Sobota, 22 sierpnia, 02.30 (UTC -4)
EN-2, drugi blok inżynierski

Katsuro Takeda sunął wolno korytarzem, jak lunatyk. Wciąż czuł się słabo, ale gorączka już spadała. Po obu stronach ciągnęły się plastikowe drzwi, za

którymi w celach tkwiły boty.

Nieogoloną twarz Katsury skrywał cień. W środkowych korytarzach czteropiętrowej baszty panował półmrok. Japończyk mógłby włączyć światło, ale nie chciał, żeby ktoś się dowiedział o jego nocnym spacerze. Szlak wyznaczała słaba smuga – przenikała z cel i padała na podłogę w postaci rozmytych prostokątów.

Katsuro poruszał się bezszelestnie. Można było odnieść wrażenie, że korytarzem sunie duch. Boty jednak reagowały. Gdy tylko mijał kolejne separatki, kolejni „malcy” otwierali oczy. Zamiast leżeć i wpatrywać się tępo w sufit, wstawali i... podchodzili do drzwi. Nie spuszczać wzroku z nocnego gościa, kucali i przyciskali twarze do brudnego plastiku.

Młody Japończyk doszedł do końca korytarza i tak samo wolno zaczął iść z powrotem. Nagle zatrzymał się obok jednej celi. Zrobił krok w stronę drzwi. Bot, który stał za nimi, odsunął się. Patrzyli na siebie przez kilka chwil. Przymglone szare oczy Katsura naprzeciwko niebieskich, nabiegłych krwią gałek bota. W jednych i drugich czaiło się coś wspólnego.

Katsuro podniósł rękę i przycisnął dłoń do przezroczystych drzwi. Bot po drugiej stronie przyłożył do niej swoją dłoń. I tak stali, rozdzieleni centymetrową warstwą plastiku, niczym ojciec z synem podczas widzenia w więzieniu.

LXXI

Sobota, 22 sierpnia, 02.39 (UTC -4)
Dolina Śmierci

Południowoafrykanin przyczepił do czoła noktowizor i wlepił wzrok w krawędź wapiennego grzbietu. Wielkolud zachowywał zimną krew, ale w piersi czuł dławiący go ciężar. Wszystko wskazywało na to, że schronienie w ciasnej szczelinie pod pochyłą półką to świetny pomysł. Samochody były strzeżone z trzech stron, ale... Było jedno wielkie „ale”. Jeżeli nagle na grani w miejsce Tymura pojawią się człekokształtne demony, zaciszna kryjówka natychmiast zmieni się w pułapkę, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w ciągu kilku sekund przekształci się w grób.

Czas płynął, a Tymur się nie pojawiał. Cisza doprowadzała wszystkich do szału. Kiedy zegarek wskazał drugą czterdzieści dwie, Allan Greenlon cichutko kaszlnął i zapytał, nachylając się do Headhuntera:

– Rino, a co, jeśli on nie wróci?

– Zamknij się. – Rino machnął głową.

– A jak tak, to co? Ktoś pójdzie w ślad za nim czy jak? Przecież nie możemy tu siedzieć do rana.

– Stul pysk! – wrzasnął na niego Headhunter.

– Nie warcz. Doskonale wiesz, z czym mamy do czynienia.

Do rozmowy wtrącił się Stefan Ermglen:

– Ja myślę, że ich tam nie ma. A Tymur niedługo wróci – wymamrotał lekarz. Po chwili, sądząc, że go nie rozumiano, Szwed dodał: – Mam na myśli, że botów tam wcale nie ma.

– Co masz na myśli? – zapytał Rino z zaskoczeniem, a jednocześnie z nutką nadziei w głosie.

– Mówię, że...

– Patrzcie! – krzyknął Amerykanin, wyciągając ręce między siedzeniami. – To on.

Właśnie w tym momencie Tymur przelatował nad krawędzią ściany wapiennej. Nie starał się szukać podparcia i z całej siły upadł na piasek, wzniecając niemal niewidoczne w ciemnościach chmury pyłu. Po sekundzie chłopak był już z powrotem na nogach i w wielkich podskokach zsuwał się po wydmie. Strzelba obijała mu się o plecy. Gdy tylko programista znalazł się na twardym podłożu, pognął jak oszalały w stronę terenówek.

Rino zupełnie odruchowo uruchomił silnik terenówki. Drugie auto, którego zarysy były widoczne w mroku po prawej stronie, odpowiedziało podobnym warkotem.

Kiedy Tymura dzieliło od nich jeszcze jakieś dwadzieścia metrów, nie wytrzymał, rozłożył ręce i krzyknął:

– Rino, nie ma ich tutaj!

– Co?! – Headhunter wyjrzał przez wpółprzymknięte drzwi.

– Już przynajmniej dwa dni ich tu nie ma. Odkąd zerwał się wiatr. – Chłopak, ciężko dysząc, dopadł touarega i oparł się o maskę.

– Skąd to wiesz?

– W wąwozie nie ma żadnych świeżych śladów. Wszystko jest przysypane piaskiem. Boty odeszły.

Poblady Ukrainiec wgramolił się do kabiny i opadł ciężko na siedzenie, odzyskując oddech.

Headhunter ściągnął brwi i odwrócił się do Ermglena.

– Cholera jasna, jak się domyśliłeś, łapiduchu?

– Przecież to oczywiste. Po starciu z Jeffreyem boty zrozumiały, że je wyśledzono. Dlatego poszły.

Tymur i Rino spojrzeli po sobie. Czuli się tak, jakby ich oblano zimną wodą. Chłopak przestał sapać.

– Ale z nas idioci – stwierdził Rino, przygryzając wargę. – Pieprzeni kretyni. Przecież tak właśnie jest: znaleźli sobie legowisko gdzie indziej.

– Wracajmy do bazy – zaproponował Allan. – Boty mogły się schować gdziekolwiek.

– Nie – zaprotestował Headhunter. – Jedziemy tam, gdzie widzieliśmy martwego Chilijczyka.

– Co chcesz tam znaleźć? – zapytał Tymur.

– Nie wiem – odparł Rino z uporem. – Mamy wyciąć boty w pień. I musimy to zrobić dzisiaj!

Auta wytoczyły się z kryjówki i pomknęły w kierunku wylotu Doliny Śmierci. Kiedy wyjechały na otwarty teren, Amerykanin nachylił się do Tymura i zapytał:

– Co tam widziałeś? Co było w tym legowisku?

– Pieczary... nieco powiększone przez „malców”.

Chłopak nie chciał mówić o tym, co zobaczył.

– I to wszystko?

– Jeszcze... pełno pustych puszek po konserwach, plastikowych butelek, baniak na wodę... dużo ekskrementów... ślady ognisk. – Tymur się zaciął. Jego grdyka poruszyła się zgrzytliwie w górę i w dół.

– Dokończ, chłopcze – cicho zachęcał go Amerykanin. – Przecież to jeszcze nie wszystko...

– No... resztki ognisk... wokół nich były kupki obgryzionych kości. I ja... ja myślę... że to...

– Ludzkie kości – dokończył za niego Allan dziwnie szyderczym głosem.

– Eee... tak. Właściwie to jestem pewien. Tam leżą ludzkie kości, całe szkielety. Ale skąd to...

– Według mnie to też jest oczywiste – odparł inżynier. – Boty jedzą ludzi.

Tymur pokiwał powoli głową.

– Też o tym pomyślałem. Boty stały się ludożercami.

– To niemożliwe. – Stefan jęknął i złapał się za głowę. – Skąd ta pewność? Może to kości baranów albo... albo... nie wiem...

Allan chrząknął sceptycznie.

– Stefan, pomyśl. Spustoszyli San Pedro, nikt nie pracuje w malutkich ogródkach, nikt nie przywozi żywności z Calamy. Wątpię, żeby te potwory jeździły na zakupy do Antofagasty albo polowały na pustynne gryzonie. Czterdzieści młodych organizmów, które prawie nie śpią, potrzebuje dużo energii. Nie przeżyją na samej trawie i skoczkach pustynnych. – Greenlon mówił obrzydliwe rzeczy, ale nikt mu nie przerywał; miał rację. – Oto więc, panowie, odpowiedź, gdzie się podziało czterystu mieszkańców San Pedro. Dla botów są jak bydło. Żywe zapasy mięsa.

– Dwunastoletni chłopcy zjadający dorosłych Chilijczyków... Zaraz się porzygam!

Stefan Ermglen starał się z całych sił, ale nie mógł zbyt długo się powstrzymać, i w końcu zawartość jego żołądka wylądowała na ziemi, pod nogami. Kwaśny odór wypełniłabinę.

– Idź do diabła! – wrzasnął mięśniak.

– Przepraszam, Rino...

– Jak nie obsikają, to obrzygają! – Szyja Headhuntera pokryła się czerwonymi plamami.

– Wybacz... ja nie chciałem...

– Zaraz cię walnę, palancie! Pieprzony konował! Jak wrócimy, będziesz sprzątał całe auto, ty głąbie!

– Oczywiście, Rino, wszystko posprzątam, tylko się uspokój.

– Po cholere zabierałem cię ze sobą?!

Tymur nie zwracał uwagi na sprzeczkę między najemnikiem z RPA a lekarzem. Przerażliwy domysł nie dawał mu spokoju. Chłopak głowił się nad tym, co mogło stać się z Jeffem i Alondrą koło pieczar, tam, gdzie kryli się „malcy”. Przypuśćmy, tylko przypuśćmy – rozważał – że boty jakimś cudem *zawczasu* dowiedziały się, że tamci dwoje przyjadą, nim jeszcze zdążyli wyjechać z laboratorium. Bardzo możliwe, że te wyrodki wiedziały też o naszej wyprawie. Tymur nie miał pojęcia, skąd boty mogły to wiedzieć, ale intuicja mu podpowiadała, że Jeffrey nie zginął na skutek fatalnego zbiegu okoliczności czy nieostrożności. Boty wiedziały. Wiedziały *zawczasu* i czekały... To w takim razie dlaczego odeszły? Przestraszyły się? Wątpliwe.

Tymur nie wytrzymał i zaklął. Zdziwiony Rino spojrział z ukosa na Ukraińca.

– Nie patrz tak na mnie. Po prostu znów jesteśmy o krok za nimi...

Księżyc skrył się za chmurami. Ciemności stały się nie do wytrzymania.

LXXII

Sobota, 22 sierpnia, 03.26 (UTC –4)
Okolice San Pedro

Terenówki, nie zwalniając, zeskoczyły jednocześnie z drogi i podjechały do trupa, który leżał pośrodku pustyni. Auta zatrzymały się po obu stronach ciała. Po lewej – samochód Rina, po prawej wóz Afrykanów. Zgasły reflektory.

– Mogę wyjść i go obejrzeć – zaproponował Stefan.

– Siedź i nie wierć się – uciszył go Headhunter.

Zapadło długie posępne milczenie.

Rino pstryknął przełącznikiem i włączył długie światła. Trójkątny skrawek pochyłego płaskowyzu wyłonił się z mroku. Mężczyzna z uwagą przyglądał się pustyni.

Przełącznik znów szcęknął i światło zgasło.

– Dzień albo dwa dni temu – powiedział na głos Rino, wlepiając wzrok w ciemność – przeszła tędy duża grupa ludzi. Tu prawie nie ma piasku, a wiatr nie rozwiązał wszystkich śladów.

– Przeganiali gdzieś swoje „stado” – wysunął przypuszczenie Allan.

– Rino – szepnął Tymur. Jego głos był tak przepełniony strachem, że pasażerowie touarega mimowolnie odwrócili ku niemu głowy.

– Ta?

– Proszę cię, włącz jeszcze raz reflektory – wycedził programista.

Headhunter wahał się najwyżej sekundę, po czym nacisnął przełącznik. Pustynia znowu utonęła w żółtym blasku.

– Z przodu jest jeszcze jedno ciało – powiedział Tymur.

– Gdzie?! – wykrzyknęli jednocześnie Rino, Allan i Stefan.

– O tam. – Ukraińiec wskazał palcem.

Mężczyźni nie musieli wyteżać wzroku, żeby w oddali, dokładnie w miejscu, gdzie światło reflektorów ustępowało przed ciemnością, ujrzeć ludzkie zwłoki.

Pierwszy oprzytomniał Headhunter i sięgnąwszy po krótkofalówkę, wywołał Jera:

– Jero, jak mnie słyszysz?

– Jestem, Rino.

– Z przodu leży kolejny trup. Podjedziemy do niego. Trzymaj się za mną.

– Tak jest, szefie – zaskrzypiało w głośniku.

Samochody terenowe wolno podjechały do nieboszczyka. Sądząc po wyglądzie, był to jeszcze jeden z wieśniaków z San Pedro. Trup zamarł w dziwnej pozycji. Tak jakby upadł na kolana, żeby się pomodlić, i nagle zastała go śmierć, więc zgiął się, podpierając ramionami, lecz nie pochylając twarzy do ziemi. Gdyby nie ślady wycięcia, można by pomyśleć, że człowiek ten jest tylko nieprzytomny i za kilka minut podeprze się rękami, wstanie i wróci do swoich spraw.

Tym razem Stefan Ermglen, nie prosząc o pozwolenie, otworzył ciężkie drzwi i wyskoczył z auta. Musiał czymś się zająć, żeby odegnąć od siebie natrętne wyobrażenia o tym, jak mali chłopcy patroszą chilijskich chłopów.

Szwed zbliżył się do ciała, wyciągnął z kieszeni na piersi długopis i dotknął nim trupa. Rozległ się suchy trzeszczący dźwięk, jakby ktoś łamał krakersy. Stefan wyprostował się, wziął zamach i kopnął nieboszczyka w bok.

– Co ty robisz? – Tymur zeskoczył na ziemię.

– Muszę zobaczyć jego twarz.

Umarlak zakołysał się i z cichym szelestem upadł na bok. Szwed przykucnął obok jego głowy. Parę razy zagłębił długopis w przeszklonych oczach mężczyzny, odciągnął wargę, żeby popatrzeć na zęby, dotknął włosów. Żołądek podchodził Stefanowi do gardła, lecz był już pusty.

– Nie widzę żadnych mechanicznych śladów: uderzeń, draśnień czy dziur po kulach, które mogłyby się stać przyczyną jego śmierci – zauważył Ermglen. – Dochodzę do wniosku, że zmarł w wyniku odwodnienia.

– Nic dziwnego. Przecież jesteśmy na pustyni. Pewnie boty ich ani nie karmią, ani nie poją.

– Tymur, nie zrozumiałeś. On umarł z powodu *całkowitego odwodnienia*. Dwa dni temu Rino był w San Pedro i według jego oceny wioska już od czterdziestu ośmiu godzin była opuszczona. Wygląda na to, że ten biedak trafił w ręce botów trzy–cztery dni temu. W tym czasie człowiek może umrzeć z pragnienia, ale nigdy, podkreślam: nigdy!, nie będzie tak wyglądał.

Na potwierdzenie swoich słów Szwed dotknął długopisem wysuszonego jak mumia trupa. Headhunter też wysiadł z samochodu; stał teraz z tyłu i przysłuchiwał się słowom Stefana Ermglena.

– Nawet gdyby przez cały ten czas chłopak nie miał w ustach ani kropli wody i codziennie przebiegałby maratoński dystans, i tak wyglądałby lepiej. W ciągu czterech dni człowiek nie może ulec takiemu wycieńczeniu i stracić tyle wody. Tym bardziej że w tej chwili na południowej półkuli jest zima: dni są krótkie, a słońce nie świeci tak ostro.

– Co to oznacza?

– To oznacza, że boty zrobiły coś z więźniami, żeby doprowadzić ich do takiego stanu. Istnieje mnóstwo chorób, którym towarzyszą biegunka, nadmierna potliwość i ślinotok. Chcę po prostu powiedzieć, że z fizjologicznego punktu widzenia jest to możliwe.

– Popatrz na to, jak on leży – wtrącił się Rino. – Sam tutaj przyszedł.

– Przyspieszona dehydratacja nie wpływa na możliwość ruchu, dopóki szok nie dojdzie do głosu. – Stefan, niczym detektyw, popatrzył na paznokcie ofiary i wymamrotał: – Gdy będziemy wracać, zabierzemy go ze sobą. W laboratorium przeprowadzę sekcję zwłok i określę przyczynę śmierci. –

Ostatnie słowa zabrzmiały znacznie pewniej, lekarz powoli odzyskiwał równowagę.

Gdyby Stefan zrobił to, co zaplanował, gdyby zabrał ze sobą zwłoki i przeprowadził sekcję, wszystko potoczyłoby się inaczej. Zwykle badanie krwi natychmiast otworzyłoby oczy Keitarowi i Ralfowi (którzy nie dość, że wciąż nie mieli pojęcia, iż stoją na krawędzi, to jeszcze nie wiedzieli, że spadają w przepaść katastrofy przemysłowej na wielką skalę) i uświadomiłoby im nie tylko to, co boty robią z ludźmi, ale jeszcze wiele innych faktów, jak na razie nieznanym ślepcom z profesorskimi tytułami. Wyniki badań dałyby odpowiedzi na pytania, w jaki sposób „malcy” dowiedzieli się o aldosteronie i jak znaleźli Jamiego Makaka. Wyjaśniłoby się mnóstwo nieprzyjemnych spraw – *wszystko się przecież ze sobą wiązało*. I co najważniejsze: wyniki sekcji zwłok pozwoliłyby uniknąć kolejnych bezsensownych zgonów. Niestety, Stefan nie wiedział, że nie jest mu sądzone wrócić. Ani po ciało, ani do laboratorium...

Rino przeszedł kilka kroków do przodu i klęknął na jedno kolano obok maski touarega. Tymur przyłączył się do najemnika.

– Widzisz coś?

– Ślady ciągną się dalej.

– Dokąd?

– Tam. – Rino wskazał ręką niemal dokładnie na wschód. – W góry.

Tysiące odcisków na piasku zniknęły szerokim pasem w mroku, za którym gdzieś daleko majaczyły niewidoczne stąd Andy. Ukraińiec wrócił do wozu i przyniósł mapę regionu Antofagasta. Mężczyźni rozłożyli mapę na piasku, tuż pod przednim zderzakiem. Brudne reflektory oświetlały ich twarze ciepłym blaskiem, ale ani Rino, ani Tymur tego nie dostrzegali.

– Czego oni tam szukali? – Rino podrapał się po karku. – Przecież tam nic nie ma.

– Dziesięć kilometrów stąd jest Puritama.

– Dwa albo trzy marne gospodarstwa, jakich w tych ciemnościach nawet nie rozpoznamy. Teraz pewnie są już puste. Nic więcej poza Puritamą.

Tymur tak uważnie studiował mapę, że w pierwszej chwili nie zauważył, jak blisko Licancabura się znajdują. Od miejsca, w którym leżał drugi trup, do gigantycznego wulkanu był zaledwie rzut beretem – dwadzieścia pięć–dwadzieścia siedem kilometrów w linii prostej (oczywiście nie licząc podejścia). Ukraińiec zaczął wczytywać się w oznaczenia wysokości i serce mocniej mu zabiło.

– Rino, popatrz na te wysokości: cztery tysiące metrów... cztery sto... cztery trzysta[82]...

– No rzeczywiście. – Najemnik zmarszczył brwi.

– Oni poszli w góry...

Tymur nie miał pojęcia, dlaczego nagle zrobiło mu się w środku tak zimno. Nie wiedział, czy jest mu niedobrze, czy ma przeczucie jakiegoś nowego, jeszcze nieuświadomionego zagrożenia, które kryje się przed nim, ale to, że „malcy” powlekli się wysoko w Andy, napełniało go paraliżującym niepokojem. Jeżeli gdzieś na Ziemi istniało miejsce jeszcze mniej przyjazne niż Atakama, to były to zbocza andyjskich szczytów, podpierających pustynię od wschodu.

Rino zmarszczył czoło. Zbyt duża niepewność, zbyt wiele rzeczy poszło na opak; nie miał odwagi, by podjąć teraz kolejną decyzję.

– Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? – zapytał półgłosem Tymura.

– Boty szybko opuściły Dolinę Śmierci. Uciekały pośpiesznie, zameczyły na śmierć kilku więźniów. Mam wrażenie, że się czegoś boją. Może się mylę, ale uważam, że powinniśmy dorwać „malców”, dopóki mamy szansę nakryć ich zniecka. – Programista przysunął się bardzo blisko Headhuntera i zniżył głos do szeptu, żeby nikt inny go nie usłyszał: – Nie wiem, jak ci to wyjaśnić, ale mam jakieś irracjonalne wrażenie, aż mnie trzęsie, że boty wiedzą o naszej obecności, tak jakby zawczasu dostały cynk o planowanym dzisiejszym ataku. A jednocześnie... robią wszystko, żebyśmy tej nocy wrócili do bazy. Nie są jeszcze gotowe. Przynajmniej nie dziś.

Headhunter wpatrywał się tępo w mapę świńskimi oczkami. Po chwili zerwał się na równe nogi.

– T-Jay! Jero! Ruszamy dalej. Przełóżcie z bagażnika do kabiny kilka butli z gazem. Niech jeden z was ma je w pogotowiu. Soman nie jest wybuchowy, jego opary też nie, w razie czego możecie po prostu wystrzelić w kontener. Tylko nie zapomnijcie o maskach przeciwgazowych.

– Okej, szefie.

Hererowie rzucili się do bagażnika i przenieśli kilka butli z substancją toksyczną do kabiny. Tymur złożył mapę i zrobił to samo. W załodze Rina somanu miał pilnować Allan. Amerykanin bez słowa sprzeciwu postawił pod stopy kontener z butlami i włożywszy kolbę remingtona pod pachę, opuścił lufę między nogi[83]. Maskę przeciwgazową położył na prawym kolanie.

Stefan, Tymur i Headhunter też powyciągali gumowe maski i umieścili obok siebie.

Szybko stało się jasne, że ślady nigdzie nie zawracają.

– Rino – odezwał się Tymur.

– No?

– Zapuszczałeś się na wschód od Puritamy?

– Raz. Dojechaliśmy z Hortem prawie do wioski.

– I jak tam jest?

– Gołe głązy, rozrzedzone powietrze i zimno jak w psiarni.

– A za Puritamą?

– Strone podejście, kręte ścieżki, pozostałości jeszcze po Inkach. Wyżej nie wchodziłem.

– Jesteś pewien, że możemy ich wyśledzić w nocy?

– Jestem pewien, że nie mamy wyjścia – odparł Rino ze złością. – Tak długo będziemy jechać po śladach, jak długo będzie trzeba. Dopóki nie dogonimy tych dupków.

Po chwili piasek zniknął, a wraz z nim ślady. Terenówki przesuwały się po twardej ziemi. Gdzieś tam trafiały się pojedyncze występy skalne, pod kołami stukały kamyki. Headhunter, który jechał wolno, jeszcze bardziej zwolnił.

Rino miał się właśnie zatrzymać, żeby wyjść i spróbować odnaleźć trop, kiedy w kabinie ostro zaskrzypiała krótkofalówka, przywodząc na myśl trzaski dalekiego grzmotu.

– Hej, panowie... – mimo zakłóceń dało się słyszeć, że Jero jest przestraszony – ...słyszycie?

Tymur, nie chcąc odciągać Headhuntera od kierownicy, sięgnął po nadajnik.

– Jero, to ja. Co się dzieje?

– Tu są kolejne ciała...

Zostawiły trupy po to, żebyśmy mogli je znaleźć – potworna myśl pojawiła się znikąd w głowie Ukraińca, ale natychmiast ją zgniótł i wrzucił w głąb swojego mózgu.

– Gdzie?

– Wszędzie... Po lewej i po prawej. Weź noktowizor, sam się przekonasz.

Chłopak założył na twarz urządzenie. Bardzo nie chciał tego robić. I nie tylko ze strachu przed tym, co czai się w mroku. Po prostu w razie ataku najpierw będzie musiał *zdyć* noktowizor, a dopiero potem *założyć* maskę przeciwigazową. Somanu w butli wystarczy, żeby wyprawić na tamten świat dziewięć albo dziesięć *tysięcy* osób... Tymur doskonale wiedział, że kilka sekund koniecznych, żeby pozbyć się urządzenia, może go drogo kosztować.

– Powiedział „*ciała*”? – chciał się upewnić Stefan Ermglen.

Skrawek drogi oświetlonej reflektorami migotał bladozieloną plamą na ekranie noktowizora. Programista przysunął się bliżej do przedniej szyby auta i zerknął na prawo. Jero nie kłamał – wzrok Tymura padł na wyschnięte, potwornie powykręcane ciała chilijskich chłopów.

– Trupy po prawej stronie. Wzdłuż drogi.

– Ile ich tam jest? – zapytał znów Szwed.

– Co najmniej pięć... nie, sześć... siedem...

Nagle auto podskoczyło, najechawszy lewym przednim kołem na jakąś przeszkodę. Od spodu dało się słyszeć ohydny przeciągły chrzęst. Chrzęst kości.

– Osiem... – pochmurnie uzupełnił Rino.

Po raz pierwszy, odkąd załoga opuściła bazę, Tymur stracił panowanie nad sobą. Jego niewidzialne wewnętrzne „ja” nie wytrzymało napięcia i zaczęło topnieć. Chłopak czuł, jak po brzuchu rozlewa mu się nieprzyjemna słabość. Nagle do niego dotarło, że wyprawa zakończy się inaczej, niż planowali. Dziesiątki litrów śmiertcionośnego gazu, granaty, strzelby i pancerze na pokładzie touaregów – słowem wszystko, co do tej pory koło nerwy i dawało pewność siebie, schodziło na drugi plan, w miarę jak z mroku wyłaniały się kolejne trupy ułożone wzdłuż drogi. Odwaga i pewność siebie chłopaka postanowiły zostać gdzieś tam, na dole, przy drugim cieku, niedaleko San Pedro. Nie chciały iść w góry.

Płaskowyz się wznosił. Tu i ówdzie podejście nachylało się pod kątem trzydziestu stopni. Silniki ryczały histerycznie, maski podrygiwały, a drogi prawie nie było widać. Trzeba było wstawać z foteli, żeby zobaczyć, co jest z przodu. Stanowili teraz idealny cel ataku... nic takiego się jednak nie stało. Tak jak wcześniej gdzieś tam napotykali ciała martwych wieśniaków.

Wszyscy leżeli twarzami do ziemi, głowami na wschód. Załoga minęła gorące źródła Puritamy; w ciemnościach nawet ich nie dostrzegli.

– Wiecie co – odezwał się Ukrainiec, znowu spojrzawszy na mapę – od Puritamy do granicy z Boliwią jest mniej niż dwadzieścia kilometrów. A co, jeśli boty są już w Boliwii?

Takiej ewentualności nikt nie wziął pod uwagę.

– A co za różnica, gdzie będziemy je truć? – Rino początkowo nie załapał, czym to może grozić.

– Rino, to suwerenne państwo. – Tymur potrząsnął mapą. – To, że nie ma punktów kontroli granicznej, wcale nie oznacza braku patroli. Tylko pomyśl, co by się stało, gdyby nas złapali. W bagażnikach śmiertelny gaz w ilości wystarczającej, żeby otuć pół Boliwii, kieszenie napchane granatami jak jabłkami, a w rękach nowiutkie remingtony! „Nielegalne przekroczenie granicy” to jak pierdnięcie niemowlaka w porównaniu z tym, co my mamy zamiar zrobić, jeśli znajdziemy się u nich w kraju.

– Zwyrrodnialcy! – Najemnik z RPA powoli tracił nad sobą kontrolę. – Dranie! Jak ja ich mam już dość!

– Sądzicie, że oni tak naumyślnie? – Tymur starał się rozeznac w sytuacji.

– Jeśli boty są w Boliwii, będziemy zmuszeni wrócić – odezwał się Stefan. – Czy... czy... – Szwed z przestachem łypał na wściekającego się wielkoluda (wydawało się, że jeszcze chwila, a Rino oderwie kierownicę). – Chyba nie zamierzamy walczyć z armią boliwijską?

– Panowie, poczekajcie – wtrącił się Allan. – Ja wiem, że i tak już jesteśmy po uszy w gównie, ale jeżeli boty rzeczywiście przekroczyły granicę z Boliwią, na pewno zaczną rozrabiać na nowym terenie. Pomyślcie, co się stanie, jeśli dobiorą się do jakiegoś dużego miasta... Wątpię, żebyśmy w takiej sytuacji wciąż mogli utrzymywać w tajemnicy przed ludnością to, co się tutaj dzieje.

– Przed jaką, do cholery, ludnością? Co ty pieprzysz?! – zaryczał Headhunter.

– Jeśli boty dostaną się do Boliwii, tamtejsze władze raczej nie będą zainteresowane zatajaniem czegokolwiek. I bardzo się boję, że śmierdzące jak świeży gnój fakty zaczną pojawiać się jak kręgi na wodzie i rozchodzić po całym świecie. Wyobrażacie sobie, ile naruszyliśmy międzynarodowych aktów i praw w czasie tych eksperymentów? Wszystkie wydrukowane

egzemplarze konwencji ONZ dotyczącej praw dziecka można śmiało porozkładać w publicznych toaletach, gdzie zostaną wykorzystane zgodnie ze swym przeznaczeniem... Nie wiem jak wy, ale ja nie chcę kończyć swojej kariery przed trybunałem międzynarodowym jako oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości.

Samochody terenowe wydostały się na płaski odcinek i dalej jechały jak po stole. Wiał lodowaty wiatr.

– Mam jeszcze paskudne przeczucie, że wcześniej czy później będziemy musieli prosić o pomoc Stany Zjednoczone. Jak myślicie, przyjaciele, czy zechcą się w to mieszać amerykańscy oficjele, jeżeli o botach, które Pentagon kazał łaskawie „pieścić” elektrowstrząsami przez całe ich dzieciństwo i które później zżarły mieszkańców całej chilijskiej wioski, będzie się mleć ozorami na całym świecie?

– Nikt nikogo nie będzie prosił o pomoc! – wściekle zaryczał Headhunter.

– Rino, nie gorączkuj się. Ja tylko zwracam waszą uwagę na to, że koncepcja przywiezienia botów z powrotem do laboratorium od tej chwili jest już nieaktualna, teraz najważniejsze to nie dopuścić, żeby gówno wpadło w wentylator.

– Co tam jest, do cholery? – Tymur odciągnął pas i nachylił się do przedniej szyby.

– Powinniśmy ich obrzucić granatami, rozstrzelać, zadusić gazem, rozjechać kołami – zaczął się rozwodzić Greenlon. – A jeśli w tym celu trzeba przekroczyć boliwijską granicę, to... kur... – Mężczyzna urwał swoją gorączkową przemowę, mimowolnie spojrzawszy do przodu. – Co to za...

Na te słowa Rino wytrzeszczył oczy. Samochód parł naprzód, zbliżając się do...

– O Boże! Neeee! – Tymur zasłonił twarz.

– Do diabła! Cholera! Cholera! Cholera! – powtarzał jak katarynka Allan Greenlon.

Stefan wrzasnął coś niezrozumiałego i zostawił resztki kolacji na fotelu Ukraińca.

– Do tyłu! – wrzasnął na całe gardło Amerykanin. – Zawracaj, idioto!

Headhunter nacisnął hamulec i skrzył kierownicą w lewo. Autem zarzuciło; prawie się zatrzymało, kiedy w tyłek wjechała mu druga terenówka

– Frankie nie zdążył odpowiednio zareagować. Stalowy zderzak rozbłysnął snopami iskier, wgniatając tylny błotnik touarega Rina. Auto z czarnoskórymi najemnikami odjechało gdzieś w bok i przejechało kilka metrów na dwóch kołach, o mało się nie wywracając.

Touareg Rina najechał na pagórek i zamilkł.

LXXIII

Sobota, 22 sierpnia, 04.13 (UTC -4)
Bezimienny wąwóz na wschód od Puritamy
Andy Chilijskie

Samochód Rina ogarnęła ciemność, ale silnik auta Frankiego (które teraz wyrwało do przodu) wciąż pracował. Jego reflektory oświetlały spory fragment przestrzeni. Mężczyźni wjechali na przełęcz; po jej obu stronach szczyrzyły się pionowe skały. Dno jaru pokrywał piasek, przez co odnosili wrażenie, jakby znów znaleźli się na pustyni.

Jakieś sto metrów przed nimi wznosiły się cztery sterty bezładnie porozrzucanych ludzkich ciał. Niesamowite pagórki wyginały się jak półksiężyce (ostatni z prawej strony znajdował się najbliżej samochodów), całkowicie zasłaniając wąwóz. Mężczyźni, kobiety, dzieci... Pomiędzy poszczególnymi stosami było najwyżej dwadzieścia kroków wolnej przestrzeni.

Siedem par oczu nieprzerwanie wpatrywało się w cztery góry trupów.

Tymur chwycił łapczywie powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. Do przerażenia i napięcia doszedł jeszcze jeden problem – głód tlenowy. Rozrzedzone powietrze nie dostarczało odpowiedniej ilości tlenu do krwi.

– Co za cholerstwo? – wyszeptał programista.

Zapasy mięsa – pomyślał Rino, ale nie chcąc, by znów ktoś obrzygał jego auto, na głos powiedział tylko tyle:

– Nie mam pojęcia.

– A jeśli są wśród nich żywi?

– Tylko mi tu bez bohaterstwa, *fella*. Nawet nie myśl o tym, by wyjść z samochodu.

W każdym stosie znajdowało się trzydzieści–czterdzieści wychudzonych i wysuszonych ciał. To był potworny widok. Jednak czekało ich coś jeszcze.

Headhunter przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zacharczał i zamilkł. Rino spróbował ponownie. Tym razem stacyjka ożyła, a silnik odezwał się miarowym rżeniem.

– Rino, jesteś pewien, że chcesz tam jechać?

Wielkolud nie odpowiedział. Wsadził rękę pod siedzenie, wyciągnął cylindryczną latarkę i wręczył ją Tymurowi.

– Włącz na górę. – Rino stuknął w szyberdach. – Ale nie wystawiaj głowy. Świeć tam, gdzie nie sięgają reflektory. I bądź ostrożny.

Nad dachem drugiego pojazdu wyłoniła się głowa Jera. On też trzymał w ręku latarkę. Światła rozbłysły jednocześnie. Strumienie przeszły wąwóz, wrywając z mroku zarysy poskręcanych skał, które uskokami pięły się do nieba.

Auta ruszyły. Tocząc się jednostajnie, niemal się dotykając karoserią, terenówki zbliżyły się do trupów. Trzymając się z dala od urwistych ścian doliny, Frankie skierował się w przerwę między pierwszą a drugą stertą (licząc od prawej do lewej). „Wóz bojowy” Rina przeciskał się między drugą a trzecią górą ludzkich ciał.

Kiedy pojazdy mijaly ciała, Tymur nie wytrzymał i skierował światło latarki na stosy. W głowie wyświetliły mu się czarno-białe obrazy z filmu dokumentalnego o niemieckich obozach koncentracyjnych. Chłopak przypomniał sobie słowa zielonookiego Jeffreya: „Chłopaki, nie uwierzycie, co ja widzę. To jakiś pieprzony Auschwitz, słowo daję...”. I Tymur poczuł, że *one* tu są. Nawet jeśli nie dotarli do ich legowiska, boty tutaj były. Gotów był przysiąc, że „malcy” ich obserwują.

Nagle mu się wydało, że w stercie zwłok coś się poruszyło. Stos zadygotał i zaczął się rozpadać. Ręce i nogi drgnęły, trupy zaczęły opadać na piasek. Tymur o mało nie krzyknął, ale w porę sobie uświadomił, że to tylko wyobraźnia płata mu figle. Ręka, w której trzymał latarkę, trzęsła się, tworząc na ziemi chwilowe cienie, co dawało złudzenie ruchu.

Pojazdy bez przeszkód minęły stosy trupów i pojechały dalej.

Jakieś dwieście kroków za linią ciał wyrastała trójkątna skała, rozdzielając wąwóz na dwie odnogi. Góra wznosiła się, przypominając skalistą wyspę położoną przy ujściu rzeki. Równe piaszczyste rozgałęzienia, zwięzając się, otaczały tę „wyspę” z obu stron, potem przez jakiś czas płynęły równolegle, żeby w końcu utonąć w mroku.

– Lepiej się zatrzymajmy i przyjrzyjmy tym stosom – zaczął Tymur, ale przerwał mu nagły krzyk.

– Tam! – głośno zapiszczał Jero, wskazując palcem przed siebie. – Tam ktoś stoi!

Ukrainiec omal nie wypuścił z ręki latarki; w rozgałęzieniu, które otaczało trójkątną skałę z lewej strony, zobaczył jakichś ludzi. I tym razem byli to żywi ludzie. Stali w szeregu, zasłaniając przejście między „wyspą” a ścianą jaru.

Tuzin albo może piętnastu chudych jak szkielety wieśniaków. Nie było kiedy liczyć. Jeden z nich podniósł rękę, prosząc o pomoc.

Rino i Frankie jednocześnie nacisnęli hamulce.

Tymurowi sytuacja wydała się boleśnie znajoma. Kiedyś projektował do jednej gry podobny system grupowej napaści botów. Algorytm nazywał się „Polowanie na cel na otwartej przestrzeni”. Jakoś tak.

Chodziło o to, żeby zagonić gracza w pułapkę. W tym celu boty tworzyły kilka *widocznych*, ale fikcyjnych zasadzek. Fałszywe sidła zasłaniały wszystkie wyjścia z obszaru oprócz jednego, gdzie się ukrywały boty naganiacze. Podczas ataku zaskoczony gracz, nie mając czasu uświadomić sobie, że zasadzki są lipne, rzucał się do jedyne go swobodnego wyjścia i w ten sposób...

– Rino, to podstęp. – Tymur sam był zszokowany tym, jak spokojnie dźwięczy jego głos.

Headhunter nie odpowiedział.

Za chwilę wyskoczą „naganiacze” – przyszło programiście do głowy. Wykręcił tułów o sto osiemdziesiąt stopni i skierował światło latarki na stosy trupów. Akurat na czas. Ostatnia sverta (dla Tymura teraz była ostatnia po lewej) zaczęła się rozsypywać. Spomiędzy ciał jeden po drugim wpełzali „malcy”.

– Boty z tyłu – bez paniki w głosie, ale wystarczająco głośno oznajmił Ukrainiec. Trzech mężczyzn w kabinie obejrzało się, a programista skierował blask prosto na stwory.

Nagły przypływ adrenaliny zatkał gardło strachowi, a radość spowodowana świadomością, że Tymur przewidział atak, dodała mu sił. Chciał zakomenderować dobitnie: „Szykujcie soman!”, ale słowa uwięzły mu w krtani.

– *Fuuuuck!* – jednocześnie krzyknęli Rino, Stefan i Allan. Latarka, stuknąwszy o dach auta, wypadła chłopakowi z rąk.

Wszystkie boty były w maskach przeciwgazowych.

Tego nikt się nie spodziewał. Frankie wyrwał do przodu. Herero zawrócił swojego touarega na prawo od trójkątnej skały i ruszył do wolnego przejścia, tam, gdzie nie było ludzi. Rino pojechał za nim jak zahipnotyzowany.

– Stój! – krzyknął Tymur, wślizgnąwszy się do kabiny. – Tylko nie na prawo. – I siłą wykręcił kierownicę w drugą stronę.

Frankie się oddalał.

– Czy ty do końca zgłupiałeś? Puść kierownicę!

– Nie czas na tłumaczenia. Boty zaganiają nas tam, dokąd sobie zaplanowały.

Stwory się zbliżały.

Najemnik jeszcze długo mógłby się opierać, gdyby nie to, że samochód Frankiego, odjechawszy kilkadziesiąt metrów, wpadł prawym przednim kołem w zamaskowaną jamę. Tylne koła terenówki kręciły się w powietrzu, nie mogąc dosięgnąć do ziemi.

Rino zbladł jak płótno i zdjął nogę z pedału gazu.

W tej chwili w kilku miejscach wokół przechylonego, złapanego w pułapkę auta Frankiego zawirowała ziemia. Z podziemnych kryjówek, przysypanych piaskiem barwy czerwonej cegły, zaczęły się wyłaniać żylaste sylwetki. Dwie z nich wskoczyły na przechylony samochód i otworzyły drzwi. Za nimi z piasku wydostały się jeszcze dwa boty z mossbergami w rękach. Wszystkie miały na głowach maski przeciwgazowe.

– Dokąd... dokąd mam jechać? – ledwo wykrztusił z siebie Rino.

(Nieszczęsny T-Jay, który się zorientował, że zaraz umrze – pomimo że znajdował się w beznadziejnym położeniu, miał złamany obojczyk i zwichnięte ramię – resztkami sił sięgnął do kontenera z gazem. Już miał nacisnąć zakrwawionymi palcami zawór butli, kiedy Frankie chwycił jego dłoń. T-Jay próbował się wyrwać, ale mężczyzna naparł na niego całym

ciałem, wyszczerzył się jak zwierzę i jeszcze mocniej nacisnął mu przedramię. Cztery albo pięć wystrzałów zlały się w jeden... I T-Jay tak umarł: z ręką wyciągniętą w stronę żółtej butli, zaskoczony, że gaśnie w oczach).

– Myśl szybciej! – wrzasnął Headhunter.

Tymur siedział ze zmarszczonym czołem, podczas gdy Rino pędził, nie tracąc przy tym kontroli nad pojazdem.

Jeśli gracz niechcący zabija pokojowo nastawiony lud albo zakładników, uważa się, że misja została zawalona. *Game over!* – gra zostaje zatrzymana. Boty muszą myśleć, że ludzie za nic w świecie nie rzucą się na swoich. One nie widzą różnicy między grą a życiem.

– Rozwał wieśniaków – rozkazał chłopak.

– Co?! – Stefan wytrzeszczył oczy. – Przecież to niewinni ludzie!

Programista nie miał czasu na głupie gadki.

– Rino, jedź po lewej. To jedyne miejsce, gdzie można przeskoczyć.

Headhunterowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Szarpnął kierownicą w lewo i dokładnie w tym samym momencie potwory ich dogoniły. Lekko uniósłszy się nad fotelem, Tymur zerwał zawleczkę i cisnął przez szyberdach granat F-1. Dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk uderzenia, na samochód spadł deszcz odłamków, a wąwóz zasłoniła gęsta chmura pyłu, która sprawiła, że czerń stała się jeszcze czarniejsza. Na chwilę przed wybuchem boty, ujrawszy granat, rozproszyły się i rozpląszczyły na ziemi. Żaden z nich nie ucierpiał.

Terenówka jechała w stronę ściany wieśniaków, którzy rozbiegli się w ostatniej chwili. Jeden z Chilijczyków, z głęboko zapadniętymi oczami, wyblakłymi włosami i niebieskawymi wrzodami na śmiertelnie bladej twarzy, zagapił się, i Rino uderzył go kratą osłaniającą chłodnicę. Rozległ się głuchy dźwięk. Mężczyzna przeleciał w milczeniu nad touaregiem i upadł na piasek za samochodem.

Lewe odgałęzienie wąwozu skręcało ostro na północ. Uciekinierzy natrafili na pochyłe zbocze i skierowali się na północny zachód – z powrotem na Atakamę.

Tymur włożył noktowizor, wyjrzał przez otwór w dachu i popatrzył za siebie. Boty zostały z tyłu, chłopak ledwie rozróżniał w ciemnościach ich barczyste sylwetki. Mimo to nie zaprzestawały pogoni. Patrząc na nich, programista ostatecznie się przekonał, że to nie są ludzie. Boty ruszały się jak

małpy albo czworonogie pająki – biegły z nisko pochylonymi głowami i pomagały sobie wszystkimi czterema kończynami. Maski przeciwgazowe nadawały im przerażający futurystyczny wygląd.

Po chwili piasek się skończył i ustąpił miejsca ostrym kamieniom. Pojazd parę razy podskoczył na nich jak na trampolinie, aż wreszcie Rino zahamował. Niestety, nic to nie dało. Zbocze stawało się coraz bardziej strome, terenówka nabierała prędkości. Za oknami migały coraz większe kamienie. Tymura ogarnęło złe przeczucie.

– Rino, nie pędź tak.

– Nie pędzę przecież... – Dało się słyszeć głucho uderzenie i auto wyrzuciło do góry. – Aaa! W mordę!

– Rino, zatrzymaj go...

Równocześnie ze wstrząsem, jaki wywołał upadający ciężko na ziemię samochód, powietrze rozcięło głośnie „buch!” rozdartej opony. Headhunter wykręcił kierownicę, lecz zbocze było strome, a nagie koło nie dotykało podłoża. Gdy touareg opadł, przekręcił się, przez jakiś czas osuwał się z hurgotem na dachu, potem zaczepiwszy o coś, przewrócił się na koła, prawie od razu znów się przekręcił i poleciał w dół, ciągnąc za sobą lawinę drobnych kamyków. Dotarłszy do równego podłoża, zatrzymał się i zastygł kołami do góry...

Kiedy wszystko ucichło, Tymur otworzył oczy. W głowie mu huczało. Miał spuchnięty staw łokciowy lewej ręki, nie mógł poruszać dłonią, a z prawego policzka spływał mu na skroń strumyczek krwi (chłopak wisiał do góry nogami, przypięty do fotela). Odpiął pas, opuścił nogi i zwijając się, uwolnił tułów. Siedział teraz na kolanach na dachu terenówki, dotykając plecami stłuczonej przedniej szyby i wciskając głowę w fotel.

Trzeba było się stąd wydostać. Nie zważając na ból w ręce i w żebrach, Tymur szarpnął klamkę. Drzwi jednak nie ustąpiły. Te od strony kierowcy odpadły przy upadku. Przez otwór ziało teraz kamienistą pustką. Można by było tamtędy wyjść, gdyby nie stukilogramowe cielsko Południowoafrykanina.

– Rino... – słabym głosem odezwał się programista. – Rino, do cholery, ty żyjesz?

Headhunter poruszył się niezauważalnie.

– Rino, musimy stąd spadać. One zaraz tu będą.

Nagle nozdrza Tymura połaskotał kwaśnawy zapach. Chłopak wciągnął nosem powietrze, wyczuwając na koniuszku języka smak świeżo skoszonej trawy... albo siana. Zapach był przyjemny, uspokajający. Pewnie potoczyliśmy się na jakąś wysokogórską łąkę, a po drodze zgarnęliśmy ze sobą dużo trawy – pomyślał, po czym znów spojrzął na otwartą przestrzeń przez otwór po drzwiach. W ciemnościach rysował się wyraźnie martwy kamienisty krajobraz. Jaka trawa, do cholery?!

– Ja pierdołę! Tylko nie to!!

Chłopak oparł się plecami o drzwiczki i zaczął młócić nogami po ciele Headhuntera.

– To soman! Soman! Soman! – wrzeszczał, zachłystując się. – Obudź się, tłuściochu!

Jedna butla trzasnęła. Możliwe, że więcej niż jedna.

Rino zastękał, poruszył się. Wątpliwe, żeby Tymur zdołał ruszyć opasłe cielsko najemnika nawet na równinie, a tym bardziej w spłaszczonej kabinie przewróconego volkswagena.

Zapach stawał się coraz silniejszy. Chłopak miał wrażenie, jakby rzucił się w kopę świeżego siana.

– Rinoooo! – wydarł się wielkoludowi w ucho.

Headhunter leżał nieruchomo.

Tymur spanikował. Miał ochotę zapłakać z rozpaczy, jednocześnie kusilo go, żeby rozerwać nieprzytomnego Rina na strzępy. I bardzo nie chciał umierać.

Opanował się siłą woli. Nie oddychać. Na początek po prostu nie wdychać trującego powietrza. Wyobrażać sobie, że jestem pod wodą. Napiął się, ścisnął wargi i zakrył dostęp powietrza przez nos. Ale co miał dalej robić? Przecież wytrzyma tak minutę, no, może półtorej. Nie więcej.

Nagle go oświeciło. Chłopie, ale z ciebie kretyn! – zganil się w myślach. A od czego jest maska przeciwgazowa? Pamiętał, że przed wypadkiem jego maska leżała w kieszeni drzwi. Mogła gdzieś wypaść albo się zniszczyć w czasie, gdy pojazd dachował, ale w niej jedyna nadzieja. Starając się nie oddychać, Tymur zaczął szperać po kabinie. Przez jakieś dziesięć sekund nie mógł niczego znaleźć i znów zaczęła go ogarniać panika. Kończył mu się tlen. Przed oczami pojawiły się mroczki... Zupełnie niespodziewanie programista zorientował się, że maska leży dokładnie pod nim; musiał na niej usiąść, kiedy

próbował się uwolnić. Wyciągnąwszy ją spod tyłka, założył na głowę i zrobił niezbyt głęboki wdech. Nos wypełnił mu się wonią starej wilgotnej gumy, suchego pyłu i... niczego więcej. Filtr węglowy i rura karbowana były nienaruszone.

Dźwięki dobiegały teraz do niego jakby przez wodę, tak że Tymur ledwie usłyszał szamotaninę w tylnej części kabiny. Odwrócił się i zobaczył, jak Allan próbuje wybić nogami drzwi. Maskę przeciwgazową szczelnie przywierała do jajowatej głowy Amerykanina.

Za czwartym czy piątym zamachem drzwi ustąpiły i wyleciały. Jednak Allan Greenlon nie zdążył nawet wychylić nosa na zewnątrz, kiedy Tymur wyciągnął rękę i chwycił go za koszulę.

– O-óź! – zadudnił programista, wskazując palcem na Rina.

– O-bra! – wybełkotał w odpowiedzi Greenlon. (Allan prawdopodobnie powiedział „dobra” albo coś w tym stylu).

Inżynier szybko wypełził z samochodu i rzucił się ku najemnikowi. Chwycił jego lewą rękę i zaczął ciągnąć go do siebie. Tymur mu pomagał, wypychając wielkoluda nogami. Rino parę razy otwierał oczy, ale nie odzyskiwał przytomności.

Mężczyźni szybko uporali się z jego cielskiem – nie minęło piętnaście sekund, a wielkolud już był pozaabiną. Odciągnęli go jak najdalej od auta i ułożyli między kamieniami.

Przekonawszy się, że z Rinem wszystko w porządku, Tymur i Allan rzucili się z powrotem do volkswagena i wydostali z niego Stefana Ermglena. Szwed był strasznie blady i miał przyspieszony oddech. Z ust ciekła mu pienista ślina, mięśnie były naprężone i bez przerwy cały się trząsał.

Allan i Tymur spojrzeli po sobie. Amerykanin pokręcił rozpaczliwie głową. Nikt z nich nie wiedział, ile się ulotniło somanu. Ile czasu minęło od wypadku? Minuta, dwie? Takie stężenie gazu w powietrzu mogło mieć śmiertelne skutki. Programista wykrzyczał coś Greenlonowi w twarz i powlókł szwedzkiego fizjologa do dołu między kamieniami, gdzie już leżał Rino.

Allan wrócił do samochodu. Zabrał z niego strzelby, dwa noktowizory (trzeci się rozwalił), kilka granatów, naboje, krótkofalówkę i maskę przeciwgazową Stefana. Wszystko przyciągnął do ich kryjówek.

Przejrzawszy rzeczy, które przytaszczył Amerykanin, Tymur w porywie gniewu dzielił Greenlona po gumowym karku.

– Atropina! – krzyknął, rozciągając policzkami maskę i wskazując na Stefana.

– *Fuck!* Ale ze mnie idiota! – głucho, ale wyraźnie zaklął Allan. Trudno było krzyczeć w gumowej masce na twarzy.

Pobiegli z powrotem do kabiny. Przetrzęsli cały samochód i znaleźli tylko jedno opakowanie. W pudełku znajdowało się osiem ampułek z 0,1-procentowym roztworem atropiny, lecz tylko jedna ocalała. Pozostałe siedem się rozbiło. Programista pogrzebał w torbie Stefana i znalazł w niej strzykawkę jednorazową.

Po powrocie Allan i Tymur zastali Rina na nogach. Zaległ za dużym kamieniem i bez przerwy patrzył przez noktowizor w tym kierunku, skąd stoczył się ich pojazd.

– O-że ło-żysz a-skę? – Allan zamachał rękami.

– Gaz! Gaz! – zawtórował mu Tymur, potrząsając gumową rurą.

– Nie będę sobie zakładał na głowę tego kondomu – powiedział olbrzym, marszcząc brwi.

– I-ota! – zezłościł się Greenlon.

– Nie wrzeszcz – odpalił Rino. – Ze mną wszystko okej. – I dodał: – Wiatr wieje z południa.

Tymur się obejrzał; próbował zorientować się według gwiazd, gdzie jest północ, a gdzie południe. Wreszcie udało mu się określić, że terenówka leży na północny wschód od ich kryjówki.

Allan zdjął maskę.

– Tak czy siak to niebezpieczne – zauważył Tymur. – A co, jeśli wiatr się zmieni?

– Kiedy się zmieni, to założę. Nie wiem jak wasze, ale moja tak mi ściska głowę, że mózg mi dupą wychodzi.

Ukrainiec też zdjął maskę i podrapał się po przepoconej łepetynie. Allan odłamał szyjkę ampułki i wciągnął do strzykawki roztwór atropiny. Znalazł żyłę w zgięciu łokcia Stefana Ermglena i wstrzyknął mu całą zawartość strzykawki. Po minucie Szwed przestał się trząść.

– Widziałem, że to pułapka, ale nie przypuszczałbym... – wymamrotał Tymur.

– Jak się dowiedzieli? – Rino spojrzał na niego. – Jak, do cholery, mogli wywęszyć gaz?

Tymur wzruszył ramionami.

– Nie wiem... – odparł. – Nie mam pojęcia, Rino...

Headhunter się odwrócił. Olbrzym miał własną teorię, która okropnie mu się nie podobała. Nie chciał nawet o tym myśleć. Przynajmniej na razie. Mieli teraz inne problemy. Ważniejsze.

– Zajmijcie się doktorem – powiedział. – Ja będę pilnował.

Tymur i Allan pomogli Stefanowi usiąść.

– Wody – wychrypiał lekarz. – Dajcie mi pić.

Tymur zaklął szpetnie. Przyciągnęli ze sobą na pustynię mnóstwo broni, nabojów i kilkadziesiąt kilo somanu, ale tak byli pewni, że ich misja zakończy się sukcesem, że nie pomyśleli o wodzie.

– Przykro mi – wyszeptał Ukrainiec. – Nie mamy wody...

Greenlon przygryzł wargi i spuścił wzrok.

Nagle Rino się naprężył i cały się spiął, jak kot przed skokiem.

– Wstajemy – zakomenderował.

– Co jest? – Tymur wyciągnął szyję, wpatrując się w mrok.

– Musimy stąd spadać.

– Są tutaj?

– Od dawna. Po prostu dopiero teraz nas *zobaczyli*.

Tymur sięgnął po drugi noktowizor i skierował go w ciemności. Kilka nisko pochylonych botów mknęło po zboczu. Dzielilo je od nich jeszcze około półtora kilometra, lecz odległość szybko się zmniejszała.

– Pędzą tu – potwierdził.

– Stefan, możesz chodzić? – Allan Greenlon pochylił się nad Szwedem. Stefana zaczęło telepać. Może atropina była przeterminowana, a może lekarz za długo był pod wpływem somanu. Teraz nie tylko się trząsł, ale w dodatku jego mięśnie kurczyły się nieregularnie. Ciało mężczyzny przypominało worek z pełzającymi wewnątrz robakami. Biedak resztkami sił pokręcił głową.

– Dobrze, w takim razie cię zaniesiemy.

– Nie... Zostawcie mnie... T-to k-koniec... Ja tylko ee...

Piana wystąpiła mu na usta, z nosa wąskimi strużkami ciekły smarki, nawet mięśnie twarzy drżały chaotycznie. Headhunter położył rękę na ramieniu Allana.

– Jeśli chcesz, zastrzelę go – rzucił beznamiętnie. – Nie ma nic gorszego, niż wpaść im w łapy. Ale, do cholery, nie chcę tu żadnych płaczliwych scen. Nie możemy dłużej czekać. I niech wam nawet nie przyjdzie do głowy brać go ze sobą.

– Nie... N-nie... – wychrypiął Stefan, po czym gestem kazał Rinowi się zbliżyć.

Olbrzym nachylił się niechętnie.

– Zostaw... m-mi... granaty – z trudem wykrztusił z siebie lekarz.

Rino ściągnął brwi. Stał z pięć sekund bez ruchu, po czym dał Tymurowi znak ręką. Ukrainiec, starając się nie patrzeć Szwedowi w oczy, włożył mu w dłoń granat odłamkowy.

– I jeszcze... jeden daj... w... do... lewej – poprosił Ermglen.

Tymur wetknął do trzęsącej się dłoni jeszcze jedną ciemnozieloną „cytrynkę”.

– Chodźmy – popędzał Rino.

– Żegnaj – bezgłośnie wyszeptał Tymur.

Stefan z trudem kiwnął głową. Allan się odwrócił, klnąc pod nosem. Trzej mężczyźni zniknęli w mroku, zabierając ze sobą broń i naboje. Truchtem, nie oglądając się za siebie, ruszyli na zachód.

Stefan Ermglen przewrócił się na brzuch. Powstrzymując bolesne drgawki, które targały jego ciałem, podpełzł na otwartą przestrzeń. Nie chciał, żeby boty przebiegły obok niego. Dotarłszy na miejsce, skąd było widać samochód, przekręcił się na plecy. Wyrwał po kolei zawlecзки z granatów i ściskając mocno dźwignie spustowe, czekał.

Wkrótce potem przyszła ostatnia, najcięższa faza otrucia. Mięśnie zaczęły drętwieć. U lekarza rozpoczęła się mimowolna defekacja, krztusił się własną śliną i plwocinami, oddech miał coraz bardziej przerywany, ciepłe łzy spływały mu spod powiek nieprzerwanym strumieniem. Szwed nie wierzył w Boga, ale w tym momencie zaczął się modlić. Poruszając ziemistymi

wargami, zwracał się do Pana, błagając, żeby nie zatrzymywał jego serca, nie zatrzymywał serca, nie zatrzymywał serca... Niech ściska, kłuje i boli, ale niech jeszcze przez kilka pieprzonych minut tłoczy krew.

Jako że Stefan rozłożył się na ziemi, pierwszy bot dostrzegł go za późno i o mały włos na niego nie wpadł. Zobaczywszy Szweda, „malec” się zatrzymał, wzbijając wokół siebie chmurę pyłu, po czym rozciągnął się na ziemi i czmychnął za najbliższy głaz. Pozostali prześladowcy natychmiast zostali zawiadomieni o tym, że z przodu jest człowiek. Zaczaili się.

Przez kolejne trzy minuty zupełnie nic się nie działo. Stefan rozpaczliwie czepiał się życia, uważając, aby za wcześnie nie zwolnić dźwigni spustowych w obu granatach. Boty patrzyły z ukrycia na przytomnego człowieka rozłożonego na otwartej przestrzeni, który był świadom ich obecności, ale nie uciekał i ich nie atakował. „Malcy”, zakłopotani, starali się odnaleźć odpowiedź wśród znanych sobie wzorców zachowania, jakie zaprojektował kiedyś Tymur Korszak, niczego takiego jednak nie znalazły. Program nie mógł podpowiedzieć, co robić. Boty były znakomicie przygotowane taktycznie, jednak wiele rzeczy znajdowało się poza granicami ich percepcji. Wiele naprawdę *ważnych rzeczy*. Przede wszystkim nie miały pojęcia, czym jest samopoświęcenie – mała cholerna cecha, charakterystyczna wyłącznie dla *ludzi*, która często przekreśla najbardziej przemyślane plany nawet o wiele silniejszego wroga.

Zrozumiawszy, że Stefan nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia, trzy boty postanowiły wyjść z kryjówki; zbliżyły się do Szweda, żeby go dobić. Ermglen wówczas już niemal nie oddychał (serce ustawało, skurcze występowały raz na dwie–trzy sekundy), ale wciąż zachowywał świadomość. Dopuściwszy ich jeszcze bliżej, wyszczerzył zęby w uśmiechu i... rozłożył dłonie, dotąd zaciśnięte w pięści. Nastąpiła detonacja. Dwa boty zostały rozerwane na strzępy, trzeciego raniło w ucho. Pozostali „malcy” wycofali się i pochowali w szczelinach kamienistego terenu.

Kto by pomyślał, że pierwsze dwa stwory podczas starcia na otwartej przestrzeni zginą z rąk szwedzkiego lekarza, a nie z rąk Rina czy któregoś z jego bandy? Było jednak coś, o czym nikt nigdy miał się nie dowiedzieć. Tak naprawdę poświęcenie Stefana stało się przyczyną śmierci nie dwóch, lecz *pięciu* botów. Minutę od wybuchu „cytrynek” trzy boty nawdychały się oparów somanu z przewróconego touarega i pożegnały z życiem. Gaz dostał się przez szczeliny ich *za dużych* masek przeciwgazowych...

LXXIV

Ani Tymur, ani Rino nie wiedzieli, że w czasie pierwszego ataku botów zwycięstwo było tuż-tuż. Całkowite zwycięstwo.

Problem polegał na tym, że okrągłe otwory na oczy w maskach przeciwigazowych wyraźnie utrudniały widoczność. Zwykły człowiek dość szybko adaptuje się do takiej zmiany, ale nie bot. Prędkość reakcji, umiejętność błyskawicznego podejmowania decyzji oraz energia botów w znacznej mierze zależą od tego, jak szybko i dokładnie przyswajają one informacje o zmianach w otaczającym je środowisku. W dziewięćdziesięciu procentach przypadków ta informacja dostaje się przez oczy. Boty nie zostawiły na straży nikogo, kto mógłby dostrzec ze specjalnych punktów obserwacyjnych potencjalny atak i w ten sposób przysłużyć się pozostałym, ponieważ nie wiedziały, jak daleko rozprzestrzenia się opary somanu. W efekcie, kiedy ich wzrok został znacznie ograniczony przez kilkadziesiąt mętnych kropelek, boty straciły lwią część swojej skuteczności i w przeciwieństwie do ludzi nie mogły się szybko przestroić.

A najważniejsze, że ludzie musieli użyć somanu. Przestraszeni tempem, w jakim następowały po sobie dotychczasowe zdarzenia, Rino i Tymur przecenili przeciwnika. *Wszystkie maski przeciwigazowe*, które dostarczył Jamie Makak, były przeznaczone dla dorosłych – miały więc duże rozmiary. Żadna z nich nie pasowała na głowę chłopca. Maską każdego bota miała szczeliny, przez które śmiertelny soman przesączyłby się z łatwością. Tymur miał rację – boty się uczyły. Nie wiadomo, skąd dowiedziały się o ataku gazowym, jak zdobyły informację na temat masek przeciwigazowych oraz tego, gdzie można je znaleźć. Mimo to jednak „malcy” nie domyślali się, że maski są niewiele warte, jeśli guma nie przylega szczelnie do twarzy. Nie mieli gdzie ich przetestować.

Szkoda, że nikt z oddziału Rina nie miał o tym pojęcia. Kiedy ludzie zobaczyli, jak boty wynurzyły się z piasku w maskach na głowach, nadzieja na zwycięstwo zniknęła, tak jakby jej nigdy nie było. Skoro boty: a) dowiedziały się o planowanym ataku gazowym, b) dowiedziały się o sposobie ochrony przed atakiem i c) zdobyły maski na Atakamie, zdawało się całkiem logiczne, że rozmiary masek nie będą im przeszkadzały. To było wręcz oczywiste...

Podczas ucieczki Tymur, Rino i Allan natknęli się na grzbiet górski.

– Na płaskowyżu dogonią nas i rozstrzelają – wykrztusił z siebie Headhunter, oddychając z trudem. – Musimy się schować.

Nikt się nie sprzeciwił. Mężczyźni wspięli się na grań. Kiedy znaleźli ciasną szczelinę, od południa i zachodu chronioną przez strome występy skalne, postanowili w niej pozostać.

– Do wschodu słońca zostało mniej niż dwie godziny – wycodził Greenlon.
– Przeczekamy.

Tymur się skrzywił. Bardzo chciało mu się pić.

– Allan, jesteśmy w Andach. W samym środku zimy i znacznie powyżej czterech tysięcy metrów. Temperatura nie dojdzie do osiemnastu stopni, nawet jeśli słońce będzie prażyć przez cały dzień...

Boty rozciągnęły się szeroką ławą i zbliżały się do podnóża grani.

LXXV

Sobota, 22 sierpnia, 10.28 (UTC +2)
Kijów, Ukraina

– Cześć. – Denis był wyraźnie zmieszany.

– Cześć – apatycznie odpowiedziała Alina.

– Dawno się nie widzieliśmy... Co u ciebie?

– Denis, nie jestem w nastroju do rozmowy. Mów, czego ci trzeba.

– Mnie... Mnie niczego... Po prostu zadzwoniłem, żeby zapytać, co u ciebie słychać.

– Świetnie. – Wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że ta rozmowa ją męczy. – To wszystko?

– Nie, poczekaj. – Głos w słuchawce stał się napięty. – Nie chciałbym się narzucać, ale... może skoczmy gdzieś jutro? Na przykład na sushi. Przecież lubisz sushi.

– Dziękuję ci, Denis, ale mam inne plany.

– W porządku. Rozumiem. To może w tygodniu? Powiedzmy, we wtorek.

– Denis...

– Po prostu posiedzimy i porozmawiamy. Jak przyjaciele. Naprawdę muszę cię zobaczyć.

Alina zrozumiała, że tak łatwo się nie wykręci.

– Dobra. Zadzwoń do mnie w poniedziałek. Pomyślę.

– Bomba! A więc do poniedziałku!

– Pa.

– Na razie. Miło było cię usłyszeć...

Dziewczyna odłożyła słuchawkę z nadzieją, że były zalotnik więcej się nie odezwie.

Ale on zadzwoni. Zadzwoni jeszcze nieraz.

ONO

Tego uczucia nie da się porównać z żadnym innym. Dla uczonego nie ma nic lepszego niż świadomość, że abstrakcje, które skrytyzowały się w jego głowie, mają swoje dokładne odzwierciedlenie w przyrodzie. Za każdym razem, kiedy to się zdarza, uczonego odczuwa lęk. Jest porażony tym, że efekty pracy jego mózgu znajdują odbicie w rzeczywistości. To olbrzymi szok, a zarazem wielka radość.

Leo Kadanoff[84]

Życie jest jak piątkowy odcinek telenoweli, który daje człowiekowi złudzenie, że fabuła dobiega już końca, a tymczasem w poniedziałek wszystko zaczyna się od nowa – po staremu.

Stephen King *Ręka mistrza*

LXXVI

Sobota, 22 sierpnia, 12.44 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Katsuro Takeda wchodził po schodach na dach bloku mieszkalnego. Gorączka wreszcie spadła, ale wciąż czuł się bardzo słabo. Bure cętki nie przypominały już skaleczeń po goleniu. Stały się bardziej widoczne, większe. I prawie wszystkie teraz się paskudziły.

Japończyk wyskoczył na taras i podbiegł do betonowego parapetu. Osłaniając sobie dłonią oczy przed słońcem, popatrzył na północ.

Po chwili na horyzoncie pojawiła się chmura pyłu. Katsuro opuścił rękę. Usta skrzywiły mu się w grymasie. Postał jeszcze chwilę, wpatrując się zaczerwienionymi oczami w pustkę, po czym szybko opuścił dach.

Zszedł na trzecie piętro i bez pukania wpadł do gabinetu Keitara.

– Wracają – powiedział po japońsku.

Keitaro Roka stracił już nadzieję, że zobaczy jeszcze żywych tych, którzy wybrali się na nocny patrol. Ożywił się, usłyszawszy tę nowinę. Przecisnął się do okna, roztrącając na wszystkie strony krzesła i fotele.

Roka przyglądał się znacznie dłużej niż Takeda, ale w końcu i on dostrzegł pył.

– Skąd wiedziałeś? – stary profesor był zdziwiony. – Przecież nie mogłeś ich zobaczyć.

Katsuro nie odpowiedział. Chmura się zbliżała.

– Widzę tylko jeden samochód – powiedział Keitaro. – A gdzie jest drugi touareg?

Katsuro wciąż milczał.

– Katsuro, wraca tylko jeden! Pędzą jak szaleni! – Pojazd gnał przed siebie, zupełnie nie zważając na to, jak poprowadzona jest droga. Keitaro Roka odwrócił się od okna. – Coś się stało!

Młody Japończyk stał przy szybie jak manekin. Roztaczał wokół siebie nieznośną woń.

– Co z tobą? – wyszeptał Jap.

Auto było już bardzo blisko. Był to biały pikap.

– To nie jest touareg – zabrzmiał głos starego Japończyka.

Takeda się zbliżył. Jego oczy błyszczały, odbijając światło padające od okna. Stanął bez ruchu o krok za Keitarem, wbijając wzrok w jego potylicę. Jego ręka się podniosła i...

Drzwi otworzyły się z hukiem. Do środka wpadł Steirmann z szeroko wytrzeszczonymi oczyma.

– Keitaro! – wrzasnął. – Rino wraca!

– To nie jest nasz samochód – powiedział Jap. – To ktoś inny.

– Właśnie przed chwilą Headhunter nawiązał połączenie. Ralf przyjął wiadomość. To oni.

Wszyscy – Keitaro, Ralf, Oscar, Laura i Becca – zebrali się na podwórzu. Biały chevrolet dotoczył się do ogrodzenia. Ze środka wyszli Rino, Tymur i Allan Greenlon.

– Nie macie wrażenia, że coś podobnego już się kiedyś zdarzyło? – wymamrotała Laura.

– *Déjà vu* – potwierdził Oscar. – Zaraz do nas podejda i Rino opowie nam jakąś straszną historię.

– Gdzie reszta? Rino, gdzie twoi ludzie? Gdzie touaregi? – posypały się pytania, jak tylko trójka ocalałych dobiegła do wejścia do DW.

– Wody – wychrypiał wielkolud.

Becca pobiegła z powrotem do budynku i przyniosła z kuchni kilka butelek zimnej wody. Mężczyźni zaczęli chciwie pić. Lodowaty płyn palił im gardła.

– Co się stało ze Stefanem i z twoimi chłopakami? – zapytał niecierpliwie Jap.

Rino nie odpowiadał. Wciąż nawadniał swoich sto dwadzieścia kilogramów. Po chwili odezwał się Tymur. Krótko opowiedział o ataku i zasadzce w pobliżu Puritamy.

– Wiedzieli o gazie?! – Ralf wytrzeszczył oczy. – Przecież to niemożliwe!! – Na wieść o tym jego serce zaczęło pędzić w szalonym tempie. Kanadyjczyk wziął głęboki oddech i uderzył kilkakrotnie pięścią w pierś, próbując zmniejszyć objawy arytmii. Niestety, „silnik” nie chciał się uspokoić.

– Wiem, że to niemożliwe. – Tymur podniósł głos. – Ale to się właśnie stało.

Następnie opowiedział o tragicznej śmierci czarnoskórych najemników i o tym, jak ich terenówka się przewróciła.

– I co dalej? Jak udało wam się tu dostać? – Twarz Ralfa nabrała ziemistego koloru, ale ciekawość kazała mu na jakiś czas zapomnieć o chaotycznym i wyczerpującym stukaniu w piersiach.

Ukrainiec wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Co?

– Nie wiem – powtórzył z zakłopotaniem. – Godzinę przed świtem ugrzęźliśmy między skałami gdzieś na północnym wschodzie od Puritamy. Boty nas otoczyły. A potem... według mnie... zawiesiły się...

– Zawiesiły? – jednogłośnie zapytali Keitaro i Ralf.

– Pięciu „malców” wyszło na otwartą przestrzeń pod naszą kryjówką i zaczęło zataczać koła. Początkowo nam się wydawało, że chcą odwrócić naszą uwagę, ale czas mijał, a oni nie przestawali. Po jakimś czasie dołączyły do nich pozostałe boty. Zabrały tych otumanionych i zniknęły.

– I koniec?

– Tak. – Tymur wytarł czoło przedramieniem. – Całą godzinę tam przesiedzieliśmy. Już więcej nie zjawił się żaden bot. Wtedy wszystko zostawiliśmy i pobiegliśmy.

– Dokąd pobiegliscie? – nie zrozumiał Ralf.

– Do San Pedro – cierpliwie wyjaśnił Tymur. – Tam znaleźliśmy samochód i... jesteśmy.

– San Pedro przekształciło się w parking z używanymi samochodami. – Steirmann wyjrzał przez okno i popatrzył na stary model chevroleta.

Keitaro upadł na duchu. Coś z nim było nie tak. Bez słowa odwrócił się i odszedł wolnym krokiem. Rozczochrany, przygarbiony, przybity. Jap pożegnał się z nadzieją, że da się przyprowadzić boty z powrotem. Stary mężczyzna wyglądał teraz żałośnie. Nikt mu jednak nie współczuł. Keitaro przypominał w jakiś sposób Adolfa Hitlera w ostatnich tygodniach drugiej wojny światowej.

Ralf, trzymając się za serce, powlókł się za Japem.

Wszystkich przerażała myśl, że boty były przygotowane na atak gazowy. Nikt przez to nie zauważył nieobecności Takedy...

Tymur miał się nigdy nie dowiedzieć, co było przyczyną błędu w oprogramowaniu. A przyczyn tych było więcej niż jedna. Najpierw „malców” zbiło z pantafyku zachowanie Stefana Ermglena. Żaden bot nie zdobyłby się na to. Ponadto przygnębiła ich śmierć trójki z nich. Boty przyczały się od północnej strony przewróconej terenówki; wiatr z południa szybko owionął je oparami somanu. Tym razem stężenie gazu czterdziestokrotnie przewyższyło dawkę porażającą. Przed upływem trzydziestu sekund boty skonały w konwulsjach.

Żaden z nich nie potrafił połączyć śmierci trzech towarzyszy z działaniem paraliżującego gazu. Boty były przekonane, że maski gazowe je ochronią. Wychodziły z założenia, że gaz działa na wszystkich jednakowo, powiedzmy, jak promieniowanie, bez względu na kierunek wiatru.

Cofnęły się po zetknięciu z nieznanym zagrożeniem. A przecież bez problemu mogłyby odciąć uciekinierom drogę na pustynię i pozabijać ich wszystkich. Boty jednak tego nie zrobiły ze strachu przed utratą kolejnych spośród siebie. Dalej było jeszcze ciekawiej. Próby przyswojenia ostatnich wydarzeń, czyli przetworzenia ich na instrukcje programowe (nowe makra), przekształciły się w kaskadę błędów w procesorach mózgowych botów. Dlatego, jak słusznie zauważył Tymur, niektóre z nich się zawiesiły.

Oczywiście jedno błędne makro to za mało, żeby procesor mózgowy się zapętlił. Czynniki fizjologiczne również się do tego przyczyniły. Narządy ludzkie się zużywają, podobnie jak wszystko inne na tym świecie. Jeżeli nie mają możliwości odpoczynku, nie funkcjonują normalnie, w końcu przestają działać w ogóle. Weźmy na przykład serce człowieka. Diastole (okres rozkurczania się mięśnia sercowego w celu przyjęcia przez komory świeżej porcji krwi) trwa od trzydziestu siedmiu setnych do czterech dziesiątych sekundy. Oznacza to, że prawie połowę tego czasu, przeznaczonego na jeden cykl pracy (od ośmiu dziesiątych do jednej sekundy), serce odpoczywa. Tak samo jest z mózgiem. Aby funkcjonował *normalnie*, człowiek potrzebuje od siedmiu do ośmiu godzin zdrowego snu. Brak snu sprawia, że poszczególne części mózgu zaczynają się wyłączać bez względu na to, czy organizm śpi, czy nie. To jest wiadome od dawna. Biolodzy z Uniwersytetu Wisconsin w Madison opublikowali kiedyś w „Nature” artykuł na temat swoich badań nad szczurami. Stosując różne sztuczki, nie dawali gryzoniom zasnąć. Ich głowy podłączyli do elektroencefalografów, aby się przekonać, co w tym czasie dzieje się z ich mózgami. Skany elektrycznej aktywności mózgu gryzoni wykazały, że po długotrwałym okresie czuwania zwierzę wciąż nie śpi, ale poszczególne grupy neuronów w jego mózgu przestają pracować i przechodzą w stan powolnego snu. Odbywa się coś w rodzaju przerw w dostawie prądu, co wybija z rytmu pewną część kory mózgowej. A to z kolei doprowadza do błędów ruchowych lub tych przy podejmowaniu decyzji.

Nie ma w tym niczego dziwnego. Z punktu widzenia biologii sen poszczególnych grup neuronów jest dla organizmu korzystny. Gdy część komórek pracuje, pozostałe się regenerują. W ten sposób pracuje mózg

delfinów, ryb głębinowych, a także innych stworzeń, które nie mają możliwości „porządnie” się wyspać: przerzuca zadania pomiędzy obiema półkulami. Ale mózg człowieka jest inny. Charakteryzuje się bardziej skomplikowaną budową. I nie jest przystosowany do nieplanowych przerw w dostawie prądu. Ludzki mózg potrzebuje snu.

Boty, wyczerpane działaniem skupisk nanoagentów – generatorów impulsów, którym obce jest zmęczenie – „rozpadały się” w oczach. Jednym przestawał pracować żołądek, inne miały problem z koordynacją ruchów, jeszcze inne krótkotrwale traciły wzrok i słuch, a niemal wszystkie cierpiały z powodu silnych, bolesnych drgawek.

Nie mając dostatecznej wiedzy na temat procesów zachodzących w głowach botów, Tymur przegapił ważny niuans. Nie zwrócił uwagi na to, że gdy boty się zawiesiły, nie odłączyły się całkowicie. Ich kontakt z rzeczywistością nadal był ścisły, nie przekształciły się w galaretowate warzywa. Nadal coś nimi kierowało. Coś je kontrolowało. I nie były to skupiska nanoagentów...

LXXVII

Niedziela, 23 sierpnia, 11.01 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Po pogromie pod Puritama życie w laboratoriach zamarło. Zlikwidowano poranne narady. Nikt już się nie zbierał na wspólne śniadania, obiady i kolacje. Każdy jadł, kiedy chciał, to, co udało mu się wyciągnąć ze spiżarni. Ludzie unikali się nawzajem. Keitaro bez przerwy siedział w swoim gabinecie. Nie spał, nie mył się, nic nie jadł. Siedział i w milczeniu wpatrywał się w okno. Nikt nie wiedział, co będzie dalej. Nie da się długo trzymać w tajemnicy zniknięcia całej wioski. A Jap nie starał się przejąć kontroli nad sytuacją. Dobrze, że boty zostawiły w spokoju przynajmniej NGF-Lab.

Tymur znalazł Ralfa Doernberga w jego sypialni, w pokoju numer czterysta siedem. Kanadyjczyk leżał na łóżku, apatycznie wpatrując się w sufit. Na stoliku nocnym stały plastikowe pudełeczka z pigułkami.

– Jak się pan czuje? – zapytał Tymur.

– W porządku – odpowiedział neurochemik. Kłamał. Jego samopoczucie było dalekie od normalnego.

– Nie chciałem panu przeszkadzać.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział Ralf, nie odwracając głowy. – Mów.

– Myślę, że mamy jeszcze szansę schwytać boty żywe.

Kanadyjczyk uniósł się na łokciach. Chłopak podłożył mu poduszkę.

– W jaki sposób?

– Jutro dwudziesty czwarty sierpnia, prawda? Dzień, w którym boty powinny otrzymać zastrzyk z aldosteronu. – Tak naprawdę Tymur wcale nie chciał pomóc, po prostu zrozumiał, że od tego, czy uda im się sprowadzić tu boty, czy też zdechną one gdzieś na pustyni, zależy los wszystkich uczestników projektu. Chłopak chciał się stąd wydostać jak najszybciej.

– Tak.

– Proponuję wstrzymać jednemu z botów jego dawkę aldosteronu – oznajmił programista.

– W jakim celu?

– Żeby zobaczyć, co się stanie. Katsuro powiedział, że bez zastrzyku boty zdołają przeżyć tylko trzy doby. Będziemy obserwować, jak wybrany bot słabnie. Gdy tylko utraci zdolność opierania się, pojedziemy tam i zabierzemy te, którzy zostały na pustyni.

Ralf usiadł na łóżku. Jego twarz pociemniała jeszcze bardziej, ale oczy płonęły.

– Mówiłeś o tym Keitarze?

– Nie.

Kanadyjczyk powoli spuścił nogi na podłogę. Podniósł się z trudem. Miał tak częsty i płytki oddech, że usta mu się nie zamykały.

– Chodźmy, trzeba wszystko zaplanować – powiedział.

– Słyszałem, że Keitaro zamknął się od środka. Nikogo do siebie nie wpuszcza i z nikim nie rozmawia.

– Z nami będzie musiał porozmawiać – zawzięcie wycedził Ralf. – *Teraz* z nami porozmawia.

Uczony włożył koszulę i szurając, wyszedł na korytarz. Ukrainiec go podtrzymywał.

– Do diabła, chłopcze, geniusz z ciebie – wyszeptał Ralf, ściskając ramię Tymura. – Cieszę się, że jesteś tu z nami. I cieszę się, że się nie poddajesz.

Skąd mieli wiedzieć, że uciekinierzy mają większy zapas aldosteronu niż oni...

LXXVIII

Poniedziałek, 24 sierpnia, 08.13 (UTC -4)
EN-2, drugi blok inżynierski

Ralf sam się zajął iniekcją. Pomagali mu w tym Hererowie Sam i Owambo Ndonga.

Boty po kolei wyprowadzano z cel i kierowano do sali operacyjnej, która znajdowała się na dolnym piętrze „Żłobka”. Żeby uniknąć pomyłki, chłopców, którym dano już zastrzyk, wypuszczano na wewnętrzny dziedziniec drugiego bloku inżynierskiego.

Tymur też był w sali i obserwował.

Wprowadzanie hormonu do organizmu botów odbywało się bezboleśnie. Po każdej iniekcji Ralf stawiał kolejną kreskę w notesie. Uwzględniając dwa boty, które zginęły z rąk Headhuntera, takich kresek miało nazbierać się sześćdziesiąt. Jeden bot miał być pominięty.

Zakończono robienie zastrzyków. W notesie Kanadyjczyka pojawiło się czterdzieści siedem znaczków. Sam i Ndonga wzięli pod ręce czterdziestego siódmego bota i poprowadzili go do wyjścia na zadaszone podwórze. Wtem czarnoskórzy najemnicy wrócili szybciej niż zwykle i jeden z nich krzyknął wzburzony:

– Panie Doernberg, szybko, niech pan przyjdzie! Proszę popatrzeć!

Ralf drgnął. Jego dłoń instynktownie powędrowała w stronę serca.

– Tam! Tam! – Murzyni wołali jeden przez drugiego.

Neurochemik zmęczonym wzrokiem spojrział na stronę z kreskami i wstał. Namibijczycy rzucili się do wyjścia. Tymur zostawił Kanadyjczyka w sali i pobiegł za nimi.

U góry w drzwiach było kwadratowe zakratowane okno. Sam i Ndonga przepuścili do niego programistę. Chłopak przyłgnął do szyby. Boty stłoczyły się w północno-wschodnim rogu podwórka, tuż obok drzwi. Zastygły bez ruchu w różnych pozach. Wyglądało to tak, jakby brały udział w jakiejś dziecięcej zabawie, ale głowy „malców” były skierowane w jedną stronę. Boty stały pod wysokim murem i jakby przeszywały go wzrokiem, jakby niewidzialne pole siłowe zwracało ich twarze w jednym kierunku. I tak właśnie było. Coś ich wzywało z daleka, nieprzerwanie przyciągało ich do siebie.

Za plecami Tymura dał się słyszeć ciężki oddech Ralfa.

– Na co patrzą? – z niecierpliwością zapytał go chłopak.

– Nie wiem.

– Chodzi mi o kierunek.

Kanadyjczyk się zamyślił.

– Trudno powiedzieć tak dokładnie. Według mnie na północny wschód. Chociaż... nie, trochę bardziej na północ. Północny północny wschód.

– Co tam jest?

– Potrzebna mi mapa. Nie potrafię tego tak od razu określić.

Przez jakieś trzydzieści sekund boty stały jak osłupiałe. Następnie ocknęły się, tak jakby ktoś przepuścił przez nie falę zimnego powietrza, i rozeszły się w różne strony.

Trzynastu „malcom”, którzy pozostali w „Żłobku”, bez problemu zaaplikowano hormon. Sześćdziesiątego pierwszego bota zamknięto w specjalnej izolatce, będącej pod stałym nadzorem kamer, tuż obok laboratorium programowania.

LXXIX

Przez cały wtorek, dwudziestego piątego sierpnia, bot znajdujący się pod obserwacją nie wykazywał wyraźnych zmian. Mniej więcej raz na dwie godziny Ralf Doernberg albo Rino Headhunter drażnili się z więźniem, który za każdym razem reagował agresją.

W środę o świcie bot zaczął wykazywać pierwsze oznaki wycieńczenia. Wprost gasł w oczach. Dostał silnej biegunki. Dwie godziny po śniadaniu ledwo mógł się ruszać. Oczy mu się zapadły, rysy twarzy wyostrzyły się, co wskazywało na pierwsze oznaki odwodnienia. Ralf zmierzył mu ciśnienie – „malec” miał dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt. Był to początek kryzysu Addisona. Mimo to wciąż reagował na bodźce zewnętrzne.

Pięć minut przed południem, w obecności Ralfa, Rina i Tymura, bot po raz pierwszy stracił przytomność. Jego nogi trzęsły się konwulsyjnie. Białka przykryte do połowy powiekami drżały.

– Myślę, że czas zaczynać – odezwał się Kanadyjczyk. – Jeśli do końca dzisiejszego dnia twój chłopcy ich znajdą, boty będzie można jeszcze uratować.

Headhunter kiwnął głową. Rino spojrział na bezbronny „malca”, westchnął głęboko i wyszedł z izolatki.

– A tobie, kolego, już wystarczy. – Ralf zdjął osłonkę na igłę i wprowadził do żyły nieprzytomnego bota dawkę aldosteronu.

Tymur pomógł Kanadyjczykowi przywiązać go do łóżka, po czym Ralf umieścił cewnik w żyłę „malca” i podłączył go do kroplówki.

– Nie umrze? – zapytał programista.

– Nie powinien...

Do izolatki wszedł Keitaro. Kąciki ust miał opuszczone. Brudne włosy się pozlepiały. Oczy przypominały dwa zgasłe węgielki.

– Co z nim? – Jap wskazał głową bota.

– Jest gotów – odparł Ralf, regulując zacisk cewnika.

– Chłopcy Headhuntera wyruszyli?

– Przed chwilą ich odprawiłem.

Keitaro Roka postać chwilę, po czym podszedł do Tymura i bez słowa uściśnął mu dłoń.

Sam i Ndonga siedzieli w samochodzie obok pierwszego bloku inżynierskiego i czekali. Ndonga nie wyglądał za dobrze. Gdyby ktoś zmierzył mu teraz temperaturę, zdziwiłby się: termometr wskazałby koszmarnie trzydzieści dziewięć i trzy kreski. Niestety, Stefan już dawno nie żył, a najemnik cierpiał w milczeniu. Czarny kolor skóry skutecznie

przysłaniał rumieńce spowodowane gorączką, a także... wrzody na jego policzkach.

Afrykanów zaopatrzone w zestaw strzykawek jednorazowych i blisko pięćdziesiąt ampulek z aldosteronem. Kierowano ich na oślep. Tak naprawdę nikt nie wiedział, gdzie są boty.

Rino po raz ostatni instruował swoich chłopców:

– Jak ich znajdziecie, upewnijcie się najpierw, że nic wam nie zrobią. Dopiero wtedy wychodźcie z auta. Natychmiast zwiążcie tych gnoi i zacznijcie dawać im zastrzyki. Uważajcie tylko, żeby żadnemu z nich nie wcisnąć podwójnej dawki. – Sam kiwał głową, Ndonga uważnie sprawdzał remingtona. – Jeśli będziecie w zasięgu, zameldujcie o swoim położeniu. Zrozumiano? Na koniec zapakujcie do samochodu tyle tych kijanek, ile wlezie, i spadajcie stamtąd.

Kłopot polegał na tym, że w NGF-Lab zostały tylko dwa pojazdy: ostatni opancerzony volkswagen touareg i pikap toyota tundra. Żeby uratować boty, nie wystarczyło naszprycować ich aldosteronem. Kryzys Addisona (albo ostra niedoczynność kory nadnerczy) wymaga wprowadzenia płynu głęboko do żyły oraz nieprzerwanej terapii hormonalnej. Po odnalezieniu botów należało natychmiast je przewieźć do kompleksu laboratoryjnego. Headhunter miał wątpliwości, czy da się to zrobić za jednym zamachem, tylko dwoma samochodami, ale innego wyjścia nie było: uratować, nawet jeśli nie czterdzieści, tylko kilka botów, było lepsze, niż nie ocalić żadnego...

Po odesłaniu Sama i Ndongi olbrzym udał się do pokoju łączności. Musiał mieć stały kontakt z touaregiem, śledzić ruchy swoich ludzi. Afrykanie najpierw pojechali do pieczar w Dolinie, gdzie niegdyś ukrywały się boty. Nikogo tam nie znaleźli. Pojechali więc do San Pedro – wioska była opuszczona. Stamtąd Sam poprowadził terenówkę do Puritamy, gdzie natknęli się na auto, w którym parę dni temu zginęli Jero, T-Jay i Frankie. W środku było pusto – ciała zniknęły. Nie było też śladu po botach.

O dziewiętnastej do Rina przyłączył się Ralf.

Czas mijał. Zbliżała się noc. Sam i Ndonga postanowili wracać do bazy. Kilka kilometrów za San Pedro natrafili na coś.

- Szefie, tu są jakieś ślady – smętnie zauważył Sam. – To na pewno boty.
- Dokąd prowadzą? – zapytał Headhunter, chwytając za mikrofon.
- Na północ.

Ralf i Rino zerknęli na mapę regionu Antofagasty.

– Boty poszły w stronę gejzerów El Tatio. – Południowoafrykanin stuknął się dłonią w czoło. – To przecież jasne! Tam jest woda. Czemu wcześniej nie myśleliśmy głowami?!

Kanadyjczyk zerknął na zegarek. Jego spojrzenie wyrażało troskę.

– Już późno. Zabieraj ich stamtąd. Gejzery są za daleko. Nawet jeśli twoi chłopcy znajdą „malców”, nie zdążą ich tu przywieźć.

Rino powoli odwrócił głowę w stronę Ralfa.

– Stary, jesteś pewien?

Neurochemik ponuro pokiwał głową.

– To koniec, Rino... koniec...

– Sam, spływajcie stamtąd. Sam? Słyszysz mnie? Odbiór!

W tym momencie połączenie zostało przerwane. Sam i Ndonga już ich nie słyszeli.

LXXX

Czwartek, 27 sierpnia, 07.55 (UTC –4)
Skrzydło sypialne bloku DW

Tymur aż podskoczył na łóżku, kiedy uświadomił sobie, że ktoś się nad nim pochyła. Nieznana siła zmusiła go do tego, żeby nieznacznie uchylić powieki, a chwilę później chłopak usiadł i jednym ruchem ściągnął z siebie kołdrę, z trudem powstrzymując się od krzyku. Umysł zamroczony snem w żaden sposób nie potrafił mu podpowiedzieć, gdzie jest i co się dzieje.

Obok łóżka stał pochylony Rino Headhunter.

– To ja – odezwał się. – Dzień dobry.

Mrużąc oczy i mrugając, Ukrainiec przykrył nogi kołdrą.

– ...dobry – wybąkał. Krew spływała po jego kończynach. Bolesne zaniemówienie mijało. Chłopak ucieszył się, że udało mu się przełamać strach i nie krzyknąć.

– Przestraszyłem cię?

– Nie – odparł krótko Tymur. – Od dawna tu jesteś?

– Dopiero przyszedłem.

Na twarzy najemnika malowało się zmęczenie. Widać było, że nie spał tej nocy.

– Co jest? – Głos programisty był jeszcze zachrypnięty.

– Mam dwie wiadomości – niemrawo odezwał się Rino. – Obie złe.

– Dawaj.

– Jap się zastrzelił.

– Kiedy? – Co prawda wiadomość była niespodziewana, ale nie aż tak, żeby Tymurem wstrząsnęła. Domyślał się, że nie znaleźli botów, dlatego też nie zszokowało go samobójstwo Keitara. Tak czy owak śmierć Japończyka niczego nie zmieniała: boty zginęły, wszystko skończone. I tak nie zobaczy już tych pieniędzy, na które opiewał kontrakt, i to niezależnie od tego, czy Keitaro był żywy, czy martwy – Ukrainiec już dawno to zrozumiał.

– Dziś w nocy. – Wymawiając te słowa, Rino patrzył gdzieś ponad głową Tymura. Jego spojrzenie zawisło na szybie, ale nie ogarniało niczego konkretnego. Headhunter nie patrzył przez okno, odwracał po prostu wzrok, żeby nie spoglądać na swojego rozmówcę.

Tymur nagle zrozumiał, że druga wiadomość będzie znacznie gorsza.

– A druga? – zapytał.

– Nie wrócił touareg z moimi chłopcami.

– O Boże... – Głos programisty zmienił się, tak jakby chłopak wołał z głębokiej piwnicy.

– O dwudziestej trzydziści pięć straciliśmy z nimi łączność. Sam skontaktował się ze mną po raz ostatni minutę wcześniej i powiedział, że natknęli się na jakieś ślady. Wygląda na to, że boty uciekły na El Tatio.

– Co to jest El Tatio?

– Płaskowyż z gejzerami.

– A gdzie on jest? – Tymur wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

– Północny północny wschód od San Pedro, około sześćdziesięciu kilometrów w linii prostej.

Kierunek, w którym patrzyły boty – pomyślał z niepokojem chłopak.

– Poszły tam, bo tam jest woda – wycedził przez zęby Rino. – Mnóstwo. Kilkadziesiąt gorących gejzerów, podziemne źródła, w dodatku jeszcze pieczary...

– Może twoi chłopcy znaleźli boty i po prostu jeszcze nie zdążyli wrócić?

– Z San Pedro, gdzie Sam kontaktował się ze mną ostatni raz, do El Tatio są dwie godziny drogi. Maksymalnie. Nawet w ciemnościach. Dodając do tego różne postoje, Sam i Ndonga powinni byli wrócić najpóźniej o trzeciej nad ranem.

– Chcesz powiedzieć, że boty żyją? – Przygnębiony programista wytrzeszczył oczy.

– Tak.

– A co w takim razie z tym zasranym aldosteronem? Jak przeżyły bez hormonu?

– Nie wiem... Całą noc czekałem przy krótkofalówce. Żadnego sygnału. Sam i Ndonga zostali na El Tatio.

– Martwi?

– A co ty myślisz? Że urządzili tam sobie piknik?

Ukrainiec zastygł z na wpół włożonym podkoszulkiem. Objął dłońmi głowę w geście rozpacz. A więc nic nie było skończone. Oczywiście mogło się tak zdarzyć, że w samochodzie poszły naraz dwie opony albo pocięło z chłodnicy i silnik się przegrzał, Tymur miał jednak przecucie, że nic takiego się nie zdarzyło. Mógł sobie tłumaczyć, ile wlezie, że wszystko jest w porządku, ale trzeźwy i nieubłagany głos wewnętrzny podpowiadał mu, że Afrykanie nie wrócą. Nigdy. Rozpacz wżerała mu się w serce jak kwas.

LXXXI

Czwartek, 27 sierpnia, 08.09 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

– Dzień dobry – powiedział Tymur.

Ralf Doernberg w odpowiedzi skinął nieznacznie głową. Kanadyjczyk siedział plecami do drzwi i wpatrywał się w stół. Lewym kciukiem mierzył

sobie puls na prawej ręce. Dłonie mu się trzęsły.

Tymur wszedł do środka i rozejrzał się dokoła. W gabinecie Keitara był po raz pierwszy. Pokój znajdował się na samej górze, a z okien rozpościerał się piękny widok na pustynię. Większą część pomieszczenia zajmowały dwa prostokątne stoły, zestawione na kształt litery T – prostopadle do siebie. Wokół stołów tłoczyło się kilka krzesel. Niemal całą powierzchnię blatów zajmowały dwa olbrzymie monitory Sony, spychając na brzeg lampkę, telefon i artykuły piśmienne. Parę szuflad sterczało otwartych. Jedna była wyjęta i leżała na krześle stojącym najbliżej Tymura. Gdzieś na dole, pod stołami, buczał komputer.

Programista nigdzie nie dostrzegł ciała, uznał więc, że trupa już zabrano. Gdy jednak zrobił krok w bok, zrozumiał, że się pomylił. Keitaro Roka leżał w odległym kącie gabinetu, wzdłuż ściany, na lewo od wejścia. Wielkie stoły zasłaniały ścianę i podłogę pokryte plamami krwi i resztkami mózgu, a monitory zasłaniały samego nieboszczyka. Pomiędzy stołem a ścianą utknął przewrócony fotel skórzany. Dokoła zwłok walały się jakieś papiery.

Ukrainiec zrobił jeszcze krok na lewo i zobaczył rewolwer. Broń była niewielka, miała krótką lufę, trudno jednak było nazwać ją „damską” – miała duży kaliber. W otworze z łatwością mógł się zmieścić mały palec dorosłego człowieka. Wystrzał spowodował, że rewolwer odrzuciło na bok. Walał się teraz przy nogach martwego Japończyka. Tymur wyciągnął szyję, spojrzął tam, gdzie leżała głowa Keitara, i skrzywił się. W miejscu prawej skroni ział czarny otwór z wypalonymi krawędziami wielkości pestki brzoskwini. Pod wpływem uderzenia oczy Japa wyszły na wierzch – były teraz wyłupiaste jak u żaby. W nozdrzach nieboszczyka i w jego uszach widniały strużki zaschniętej krwi.

Tymur miał już wychodzić, kiedy nagle jego wzrok padł na jeden z ekranów. Na monitorze jaśniało okno programu pocztowego MS Outlook Express; otwarte akurat na wiadomości od nadawcy o nicku „Denuncjator02” (Snitch02), adresowanej do osoby o nicku „Słuchacz” (Hearer).

– Monitor pracował? – zapytał chłopak.

Doernberg nie odpowiedział. Zamiast niego odezwał się Rino. Stał na progu gabinetu, opierając się ramieniem o futrynę.

– Tak. Kiedy go znaleźliśmy, komputer był włączony.

E-mail był po hiszpańsku. Tymur przebiegł go wzrokiem. Na tyle znał ten język, żeby pojąć treść.

From: Snitch02

To: Hearer

Subject: El robo

Time: 22:12 26/08

Buenas noches!

Tydzień temu w środku nocy w Antofagaście obrabowano trzy apteki. Napastników było dwóch. Nie pisałbym o tym (uznałbym, że to nieistotne), gdyby nie dwie okoliczności. Pierwsza: z aptek nie zginęło nic cennego – żadne narkotyki ani drogie lekarstwa. Ze wszystkich trzech jednak zabrano tylko jeden konkretny specyfik. Durnie nie wiedzieli, że nie jest na receptę. Mogli go po prostu kupić ☺

Druga okoliczność – jednego z napastników złapano wczoraj wieczorem. Okazało się, że to jakiś drobny wariat, który dwukrotnie już siedział za napad z bronią w rękę i za próbę gwałtu. Na przesłuchaniu przyznał się, że pracował na zlecenie, a zleceniodawca wydał na te leki około trzystu pięćdziesięciu peso[85]. Tych pieniędzy wystarczy, żeby kupić dwukrotnie więcej tabletek, niż ukradziono. Mnie w tym wszystkim bardziej niż absurd całej sytuacji poraziła zaproponowana cena. W Antofagaście takie pieniądze płaci się zawodowym mordercom. Wychodzi na to, że te tabletki były komuś bardzo potrzebne. Pracujemy teraz nad ustaleniem nazwiska zleceniodawcy... Czy to istotne, jakie lekarstwa zostały ukradzione?

PS Niczego się nie dowiedzieliśmy o ludziach z San Pedro, ale chodzą słuchy. Dziwne słuchy. Jutro dalej będę pytał.

Silva

Do Tymura nie od razu dotarło to, co przeczytał. Czuł się jak sparaliżowany. Boty zdobyły aldosteron! To była prawdziwa przyczyna samobójstwa Keitara! Pierwszym, o czym pomyślał Ukrainiec, gdy odzyskał zdolność trzeźwego myślenia, było to, że Sam i Ndonga nigdy nie wrócą. A potem do niego dotarła bolesna prawda, jak bardzo nie docenili botów.

Na samej górze listy odebranych wiadomości w programie pocztowym był e-mail otrzymany dziś po północy. Nieprzeczytany. Spojrzawszy na temat w polu „Subject”, programista zrozumiał, że Japończyk nie musiał czytać tego listu. Mimo wszystko go otworzył.

From: Snitch02

To: Hearer

Subject: Hormona aldosteron

Time: 00:39 27/08

Przed chwilą zadzwoniła moja wtyczka w policji. To był hormon o nazwie aldosteron. Złodzieje ukradli wszystko, co się dało: od ampułek po tabletki. Aha, byłbym zapomniał. Napady miały miejsce w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty.

Mam nadzieję, że ta informacja się przyda.

Silva

– Widzieliście dwa ostatnie e-maile? – zapytał Tymur Ralfa.

– Tak. To od informatora w Antofagaście. Stary rezerwista, trzydzieści lat służył w policji.

– Nie zauważyliście nic dziwnego?

– Gdzie?

– W e-mailach.

Neurochemik spojrział na chłopaka jak na wariata.

– Jeżeli masz na myśli, że boty dowiedziały się o hormonie i mogły go...

– Nie o to chodzi. – Ukrainiec pokiwał głową. – Co prawda jestem w szoku, ale po tym, co wydarzyło się w Puritamie, nic bardziej nie może mnie zaskoczyć.

– Więc o co chodzi?

– To *nie boty napadły* na apteki.

Ralf się wzdrygnął. Mózg starego wreszcie się odblokował i zaczął znów pracować.

– O rety... Od razu to do mnie nie dotarło... Chcesz powiedzieć, że boty jakimś sposobem zmu... zmusiły kogoś do kradzieży aldosteronu? To niemożliwe.

– Nie wiem. Ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

Tymur był już na progu, kiedy odwrócił się i dodał:

– Ralf.

– Co?

– Mogę o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Kto znalazł ciało?

– Młody Japończyk. Takeda. Obudził mnie, a potem zawiadomił pozostałych, łącznie z Laurą i Allanem. A dlaczego pytasz?

– Bałagan. – Tymur zatoczył ręką koło. – Nie chce mi się wierzyć, że zanim Keitaro strzelił sobie w głowę, postanowił zrobić porządek w swoich papierach.

– Do czego zmierzasz? – spytał Ralf.

Tymur w odpowiedzi wzruszył ramionami. Nagle wszystko mu zobojętniało: Keitaro, Katsuro, Ralf oraz ich eksperymenty. Pragnął jedynie jak najszybciej opuścić NGF-Lab. Dosyć tego! Chłopak dał znać Rinowi, że chce z nim porozmawiać.

LXXXII

Prawdę mówiąc, to im się nie udało.

– Ralf! Ralf! – Ze skrzydła sypialnego wybiegła Laura i na schodach wpadła na Tymura i Rina. Francuzka ucieszyła się na ich widok i dławiąc się słowami, z trudem łapiąc oddech, zawołała: – Rino! Szybciej! Tędy! Katsuro spalił dziennik Horta!

– Co?!

– Zabrał z gabinetu Keitara notatki Horta i teraz je niszczy u siebie w pokoju.

Headhunter pobiegł za Laurą i wpadł do pokoju Katsura Takedy. Jego oczy krzesały iskry. Tymur popędził za nim.

Młody Japończyk siedział w kucki pośrodku pomieszczenia. Jego podbródek i policzki pokrywały gnijące wrzody. Wyglądały naprawdę obrzydliwie. Na podłodze przy kolanach Katsura dopalały się resztki grubego zeszytu. Rino schwycił Japończyka za kołnierz. Podniósł go jak szczeniaka i z całej siły uderzył nim o stół.

Tymur chwycił zeszyt, zdeptując języki ognia. Kiedy się z nimi uporał, posmutniał nagle. Na pierwszy rzut oka widać było, że notatki zostały zniszczone. Ogień zamienił strony w czarne pomięte rolki, które rozsypywały się przy dotknięciu.

– Coś ocalało? – zapytał z naciskiem Rino.

– Nic. – Ukrainiec strzepnął z dłoni resztki popiołu.

Olbrzym schwycił Japończyka za włosy i uderzył jego głową o kant plastikowego stołu.

Katsuro początkowo próbował się opierać:

– Co za...?

Plask! – Południowoafrykanin przyłożył mu po raz drugi.

– Ja nie...

Trzask! – i znowu.

– Co ty ro...

Trrach! – stół opadł dobre dziesięć centymetrów.

Po tym jak Rino uderzył Japończyka po raz czwarty, Katsuro ucichł i przestał wymachiwać rękami. Pękło kilka ropni, z których wypłynęła brązowa zgniła maź.

Rino tarmosił Japońca jak szmacianą lalkę, z wściekłością tłukąc jego głową w stół, na którego powierzchni zdążyło się już utworzyć wgłębienie. Po dziesiątym uderzeniu Headhunter doszedł w końcu do wniosku, że wystarczająco dobitnie wyjaśnił Takedzie, co sądzi na temat jego postępu, i puścił wreszcie jego głowę. Nieprzytomny mężczyzna zwałił się pod stół.

– Co to za hałas? – Uchyliły się drzwi i pojawiła się twarz Greenlona. – Co tu robicie?

– Rino rozwalił Katsurowi mordę o stół – wyjaśniła Laura.

– Po cholere?

– Spalił notatki Horta. – Wielkolud dotknął nogą zwęglonych resztek dziennika.

– Straciliśmy ostatnią szansę, aby poznać prawdę o botach – oświadczył Tymur.

– Tymurze! – Francuzce coś nagle zaświtało w głowie. – Możliwe, że nie straciliśmy.

– Co masz na myśli? – Nadstawił uszu.

– Uważam, że skoro Japończycy tak desperacko ukrywają wszelkie dokumenty związane z Wadimem Hortem i jego pracą, oznacza to, że istotnie mają one jakieś znaczenie.

– I?

– W drugim bloku inżynierskim Wadim miał własny gabinet, który został zaplombowany po ucieczce botów. Nikt nie miał do niego wstępu. Skoro Keitaro nie żyje, uważam, że możemy tam wejść. Kto wie, może coś tam znajdziemy...

Rino Headhunter przerwał Laurze.

– Idziemy! – zapalił się. – Dopóki ci mądrale tam nie wleźli.

– Ale Ralf... – próbował protestować Allan Greenlon. – Poza tym nie mamy kluczy.

– Do diabła z waszym Ralfem! – Rino wysunął szczękę. – Wyważę drzwi.

Wszyscy skierowali się do najbliższego wyjścia. Z przodu człapał Rino. Za nim szli Tymur, Laura i Allan. Pochód zamykał Igor Jemeljanow, który przyłączył się do nich niepostrzeżenie. Miał wytrzeszczone oczy.

LXXXIII

Czwartek, 27 sierpnia, 09.41 (UTC -4)
EN-2, drugi blok inżynierski

Po drugim uderzeniu pośrodku drzwi utworzyła się szpara. Gdy Rino walnął w nie po raz trzeci, całkowicie się rozpadły.

Weszli do środka. Pomieszczenie było ciasne i nie miało okien. Wnioskując po zapachu, w pokoju nie było też wentylacji albo się zepsuła... Panował zaduch, czuć było stęchlizną.

Stali w półmroku, mrugając jak ślepcy, dopóki Allan nie wpadł na pomysł, żeby namacać przełącznik i włączyć światło. Oświetlenie działało. Trzecią część pokoju zajmował stół w kształcie litery L. Pod jednym blatem znajdował się rząd szuflad. Na blacie leżały cztery kuwety na dokumenty – puste. Po drugiej stronie stołu stał stary monitor. Obok niego również archaiczna klawiatura.

– Co tu robią te prehistoryczne narzędzia pracy? – Tymur zmarszczył czoło, wskazując palcem na monitor. – Myślałem, że Wadim Hort został wyposażony w najbardziej wyposażony sprzęt, jaki tylko można sobie wyobrazić. Ale to... Ralf powinien się wstydzić.

– Wcześniej miał porządną stację roboczą – powiedział Igor Jemeljanow. Z jego ust śmierdziało. – Sześciordzeniowy procesor, chłodzenie wodne, sześć slotów pamięci operacyjnej ogólnej wielkości czterdziestu ośmiu gigabajtów. Ale ją zabrano.

Po co w takim razie zostawili tego rzęcha? – zastanawiał się Ukrainiec. Dlatego że ten przedpotopowy złom jest bezwartościowy? To po co w takim razie Hort go tutaj przytaszczył?

Allan przycupnął obok wiekowego monitora.

– To nie jest komputer – po krótkich oględzinach zawyrokował Amerykanin.

– W takim razie co to jest? – Tymur przysiadł w kucki obok niego.

– Monitor i klawiatura niekoniecznie muszą od razu oznaczać kompa.

– Masz rację. Jakoś nigdzie nie widzę komputera.

Ekran i klawiaturę podłączono do dziwnego urządzenia, które przypominało nagrywarke DVD: było płaskie, czarne i miało zaledwie kilka włączników z przodu. Przyrząd był podłączony do sieci za pomocą adaptera.

– Co to jest, do diabła? – powiedział Allan, obracając w dłoniach podłużne pudełko.

Tymur wzruszył ramionami. Tymczasem Laura otwierała kolejno wszystkie szuflady.

– Puste – podsumowała po chwili ze smutkiem.

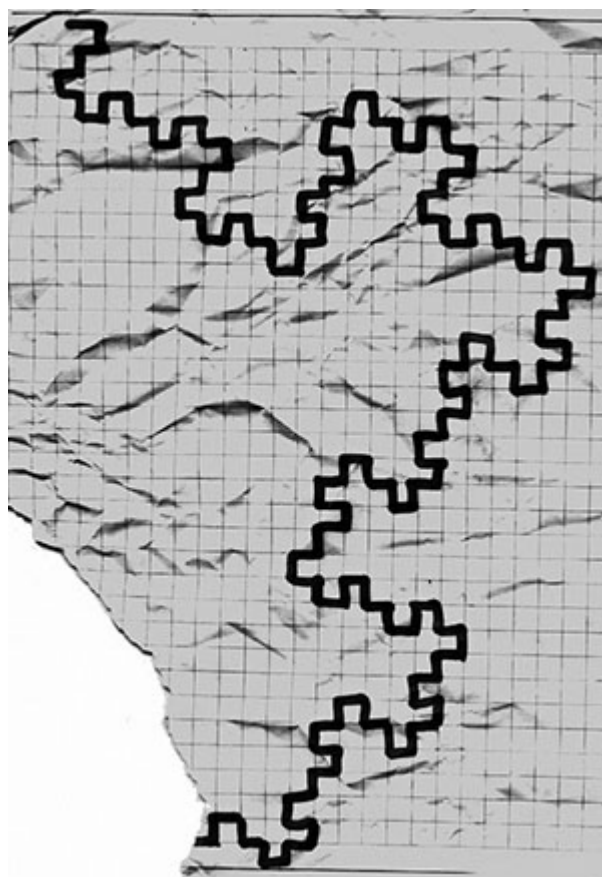
– A co to jest? – Headhunter się schylił. W rogu dolnej szuflady leżała zmięta papierowa kulka.

Laura Dupré podniosła ją i rozłożyła. Zmarszczyła brwi ze zdziwienia.

– Czy to jest jakoś związane z programowaniem? – Psychiatra przekazała Tymurowi wyrwany z notatnika pomięty arkusz papieru.

Chłopak przyjrzał się kartce. Oprócz czerwonej wijącej się zygzakiem linii nie było na niej nic więcej.

– Nie wiem... – odparł. – Równie dobrze mogą to być zwykłe mazańce...



Chłopak przyjrzał się kartce. Oprócz czerwonej wijącej się zygzakiem linii nie było na niej nic więcej.

– To nie jest komputer. – Profesor Jemeljanow odwrócił ich uwagę od papierowej kulki. Rosjanin tknął palcem spłaszczony czarny urządzenie. – To odbiornik.

– To znaczy? – dopytywał Allan Greenlon.

– To ja go zrobiłem. Zaprojektowałem. Pół roku temu, na prośbę Wadima Horta.

– Wiesz, po co on jest?

– Hm... – Jemeljanow podrapał się po głowie. – Nie mam pojęcia. Takie same odbiorniki jak ten boty mają zamontowane w głowach. Nie może wysłać poleceń, jedynie przekazuje i odbiera informacje ze skupisk nanorobotów.

Tymur i Laura popatrzyli po sobie. Igor ciągnął dalej:

– Oczywiście to nie jest nanorobot, ale ma analogiczne parametry.

Nagle urządzenie do komunikacji zaskrzypiało i zabuczało z cicha.

– Byłem pewien, że je wyłączyłem – przeproszającym tonem wybąkał Allan.

Ekran zamigał i się zaświecił. Minutę później w lewym górnym rogu pojawił się komunikat:

```
CONNECTION COMPLETED  
CORRELATION IS STABLE  
TALK[86]
```

Tekst był napisany jaskrawozieloną tłustą czcionką.

– Czy ktoś do diaska ma jakiś pomysł, co to może być? – Greenlon pociągnął nosem.

– Nawiązaliśmy z kimś kontakt – naiwnie wypaliła Laura. Nagle dla żartu pochyliła się nad klawiaturą i przebiegła palcami po klawiszach.

► Halo!

Przez kilka sekund nic się nie działo, po czym... w płaskim pudełku coś piknęło, kursor sam zeskoczył linijkę niżej i na ekranie, litera po literze, pojawiły się takie słowa:

◀ WITAJ HORT TO TY?

Jemeljanow pierdnął głośno z przerażenia.

– O kur... – wyrwało mu się; przykrył usta dłonią. – Wybaczcie...

– Co to było? – wyszeptał Tymur.

– Po prostu puściłem bąka. Nie chciałem.

– Ja nie o tym! Mówię do Laury.

– Nic nie zrobiłam – wybełkotała dziewczyna.

W tym czasie na ekranie monitora wyskoczyła nowa linijka:

◀ TY HORT?

– Odpisz – polecił Tymur.

– Co odpisać?

– Że nie jesteś Hortem.

Laura posłusznie odpowiedziała:

► Nie. Ja nie Hort.

◄ KTO TY JESTEŚ?

– Co to za cholerstwo? – Allan spoważniał. – Jakiś program komputerowy?

– Nie. – Laura pokiwała głową w podnieczeniu.

– Niech Tymur odpowiada. On zna się na tych wszystkich sztuczkach komputerowych.

Laura nie chciała się na to zgodzić.

– To nie jest program. – Zwróciła się do Ukraińca: – Czyżbyś tego nie rozumiał, Tymurze? Mechanizm ewolucyjny, zaprogramowany przez Wadima Horta, to tylko środek. Boty mają wszelkie możliwości, ale nie mają motywu, żeby zachowywać się tak, jak się zachowują.

– I co w związku z tym?

– Wydaje mi się, że będzie lepiej, jeśli Tymur będzie rozmawiał – twardo oznajmił Headhunter, odciągając psychiatrę od klawiatury.

Tymur niechętnie podszedł do stołu. Napisał pierwsze zdanie:

► Mam na imię Tymur. Jestem programistą.

Na dwie minuty zapadła cisza. Następnie pojawiły się słowa:

◄ DZIĘKUJĘ TYMURZE ŻE PRZYSZEDŁEŚ GDZIE HORT?

– Na co mu Hort? – rozgniewał się Rino.

– Wydaje mi się, że wiem – powiedział Tymur. – To nie jest program typu „pytanie – odpowiedź”. Za pomocą tego nadajnika Hort mógł się porozumiewać z botami. „Malcy” nie mówią, ale Hortowi udało się napisać translator, który przetwarza impulsy mózgowie na język angielski. Niewykluczone, że eksperymentował sam na sobie, żeby przeprowadzić klasyfikację sygnałów.

– Czyli rozmawiamy z botem?

– Coś w tym stylu – potwierdził chłopak. – Myślę, że szukają Horta, ponieważ makra zaczęły się zawieszać. Makra bez przerwy wymagają poprawek. Najpierw program tworzy kod, a potem specjalista go dopracowuje. Stałe zamienia się zmiennymi. Wadim Hort zautomatyzował ten proces. Trudno powiedzieć, jak tego dokonał. Jestem pewien jednego: nie był w stanie

go *zdebugować*. To praktycznie niemożliwe. I teraz makra, pobrane przez boty, pracują błędnie. Albo nie pracują wcale. Im więcej działań wykonuje bot, tym bardziej poplątany jest kod w jego głowie.

Tymur skończył swój wywód i odpisał:

► Horta nie ma.

◄ GDZIE JEST? NIECH HORT PRZYJDZIE

– Ale natrętny – wycedził przez zęby Allan Greenlon.

Prawie natychmiast wyskoczyła nowa linijka:

◄ PODOBAŁA SIĘ NIESPODZIANKA Z MASKAMI PRZECIWGAZOWYMI?

Zdębieli. Milczeli tak dobre pół minuty. Pierwszy ocknął się Rino.

– Ale gnojek – wysyczał. W jego głosie mieszały się strach, zdziwienie i rozdrażnienie. – O co tu chodzi? – Headhunter kręcił głową na wszystkie strony; cały czas miał nadzieję, że to jakaś gra. – Czy oni byliby zdolni do czegoś takiego? Czy my teraz...

Laura złapała Tymura za łokieć i rzekła spokojnie:

– Zapytaj go, czy jest sam, czy jest ich więcej.

– Co takiego?

– To nie jest *jeden* bot.

– Nie rozumiem.

– Napisz: „Jesteś sam czy jest was dużo”. I na końcu znak zapytania.

Programista posłuchał polecenia:

► Jesteś sam czy jest was dużo?

◄ TYMURZE O CZYM MÓWISZ?

– O, widzisz? Ono cię nie zrozumiało!

– Zaczekaj. Bardziej precyzyjnie... napisz mu: „Ja o chłopcach”.

– Lauro, to jakieś szaleństwo.

– Proszę cię, napisz.

► Ja o chłopcach.

◀ O BOTACH? HORT NAZYWAŁ CHŁOPCÓW BOTAMI

Psychiatra popadła w zadumę. Tymur chwilę się namyślał, po czym napisał:

▶ Tak, miałem na myśli boty.

◀ CO ZNACZY WAS DUŻO?

Programista się skrzywił.

– Czeka! – krzyknęła Laura. – Ani słowa! Ono rozumie. Zapytaj... to już będzie ostatnie, błagam cię... „Jesteś jednym z botów czy jesteś grupą?”.

W głosie Laury dało się słyszeć coś takiego, co zmusiło Tymura do posłuszeństwa.

▶ Jesteś jednym z botów czy jesteś grupą?

Odpowiedź nadeszła po trzydziestu sekundach:

◀ TO NIE BOT

ALE BOTY GRUPA OCZYWIŚCIE GRUPA ONE WSZYSTKIE RAZEM
PRZECIEŻ TEGO CHCIELIŚCIE PRAWDA?

Spokornieli. Każda z obecnych osób starała się zrozumieć słowa, które właśnie pojawiły się na ekranie. Tymur czytał ostatnie zdania, oblizując usta, lecz nie potrafił zrozumieć. Z wysiłku na skroniach wystąpiły mu kropelki potu. Chłopak czuł, jak w serce wkrada mu się niepewność. Popatrzył z ukosa na Laurę. Ta istota, czymkolwiek była, *zrozumiała ją*. Czy się komuś to podobało, czy nie, Dupré rozumiała więcej niż on. Znacznie więcej niż wszyscy pozostali.

– Co do cholery znaczy „to nie bot”? – zapytał blady jak płótno Allan i zmarszczył brwi.

– Żałuję tylko, że nie ma już z nami Keitara – odezwała się dziewczyna. Mówiła cicho, nie zważając na akcent; wiedziała, że rozumieją każde jej słowo.

– Gdyby Jap żył, nie siedzielibyśmy tutaj – zauważył ponuro Jemeljanow.

– Japończyk się mylił – powoli, jak w transie, kontynuowała swoją myśl Laura. Tymur się złościł. Miał wrażenie, że dziewczyna naumyślnie przeciąga

każde słowo, żeby rozkoszować się swoim triumfem. – Od początku trzeba było mnie posłuchać.

– Wiesz, jak ich zatrzymać? – Rino złapał ją za ramię.

Laura wolno odwróciła głowę.

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Jeszcze wielu rzeczy nie rozumiem, tak jak wy. Wiem na pewno, że w tej chwili nie rozmawiamy z botami. Hort chciał usłyszeć boty, ale natrafił na coś innego. I on to zrozumiał. To właśnie dlatego tak odważnie podążył za botami w pierwszych dniach po ich ucieczce. Myślał, że zdoła porozumieć się z... z tym...

– Z czym? Czym *ono* jest? – naciskał Rino. – Z czym rozmawialiśmy?

– Pamiętacie, jak mówiłam wam o nieświadomości zbiorowej? O wszystkich złych, przerażających i potwornych wzorcach, skrytych głęboko w podświadomości człowieka... wielu ludzi. Myślę, że tym właśnie *ono* jest. Uważam, że dzięki skupiskom nanorobotów *ono* mogło... nie, nie zmaterializować się, lecz wpływać na boty, czyli wpływać na świat materialny. To jakaś szczególna forma świadomości. I ona właśnie kierowała botami w czasie ich uciezki.

– Wychodzi na to, że coś wylazło z ich mózgów i zmieniło się w... we władcę marionetek – podsumował Allan.

– Tak. Ale może nie we władcę marionetek, a raczej w psychoistotę. Tak by go nazwał mój profesor, wielki zwolennik Carla Junga.

Tymur milczał. Zastanawiał się nad tym, że teoria dotycząca władcy marionetek i psychoistoty nie wyjaśnia, w jaki sposób boty dowiedziały się o ich patrolach, aldosteronie i ataku gazowym. Jego rozmyślenia przerwała nowa wiadomość na ekranie:

◀ TYMURZE JESTEŚ TUTAJ? DAWAJ OBRAZKI

DUŻO LUDZI ZMARŁO BO HORT PRZESTAŁ POKAZYWAĆ OBRAZKI

Ukraińca oblewał pot. W pomieszczeniu zrobiło się gorąco nie do wytrzymania.

– Wyłączcie to – poprosił Tymur. Wielkie krople kapały z jego czoła. – Przenieśmy tę maszynę do bloku mieszkalnego. Dłużej tu nie wytrzymam.

Allan się podniósł i uderzył w przycisk Power. Ekran zgasł. W pokoju dało się słyszeć ciche westchnienie ulgi.

LXXXIV

Nadajnik, monitor i klawiaturę przeciągnęli z gabinetu Horta do wielkiej sali w bloku DW. Ralf Doernberg trzymał się na uboczu, ignorując sprzęt. Kanadyjczyk nie musiał go oglądać. Znał jego przeznaczenie albo przynajmniej się domyślał.

Podłączyli aparaturę, ale nikt się nie spieszył, żeby ją uruchomić.

– Włączać? – burknął Tymur.

– Zaczekaj – powstrzymała go Laura. – *Ono* ani razu nie napisało „ja”.

– No i? – Allan popatrzył na nią.

– Nie rozumiecie... *ono*... ta istota dotąd nie ma samoświadomości. *Ono* nazywa siebie tak, jak nazywał je Hort. *Ono* istnieje dla samego siebie raczej jak obiekt dla nas, ludzi, niż jak samodzielny byt pośród nas.

– I co to, do kurwy nędzy, oznacza, mądralo? – wtrącił się Rino Headhunter.

Laura wyglądała na zagubioną. Ralf zbliżył się do nich i nadstawił uszu.

– *Ono* to dziecko...

– Co masz na myśli? – Kanadyjczyk uniósł brwi.

Dupré odwróciła się do starego profesora.

– W swoim rozwoju ta istota znajduje się na poziomie trzylatka. *Nie uświadamia* sobie siebie jak podmiotu działalności, inaczej mówiąc, nie uświadamia sobie efektów swoich działań. Refleksja to podstawowa właściwość podmiotu, dzięki niej możliwa staje się regulacja procesów życiowych. Z botów wylazła masa łajna, które nagromadziło się w naszej podświadomości przez całe pokolenia. Dzięki skupiskom istota ta błyskawicznie chłonie wiedzę o naszym świecie, co sprawia, że mogłaby rozwiązywać zadania przeznaczone wyłącznie dla profesorów lub uczonych, ale... nie łapie, nie udaje jej się to. *Ono* zabija, a jednocześnie patrzy na swój czyn jak dziecko, które z satysfakcją zepsuło zabawkę dopiero co kupioną w supermarkecie.

– I to oznacza... – wymamrotał Tymur, wpatrując się w twarz dziewczyny.

– To oznacza, że dalej będzie zabijać.

– Dobrze, a co *my* mamy robić? – Allan zmienił temat.

– Chodzi ci o to, czy powinniśmy zostać i... – Tymur nie dokończył.

– Tak. Keitaro jest martwy. Nikt nas tu nie trzyma. Chrzanię Katsura Takedę i Steirmanna. Możemy się zawinąć i spylać stąd.

– Ale... tak nie można. To nie w porządku. – Tymur opuścił głowę.

– Chcesz być w porządku, za to martwy? – Allan się zapalił.

– Nie. Ale pomyśl, co się stanie, kiedy boty dotrą do wielkich miast.

Amerykański inżynier zamyślił się, a Ralf Doernberg milczał, mocno zacisnąwszy usta.

– Nie mówię o męczącym sumieniu – ciągnął Tymur. – Sam chciałbym stąd zwać. Ale minie jeszcze wiele tygodni, zanim Chilijczycy zorientują się, co się dzieje. Wiemy, że boty mają aldosteron, więc nie ma co czekać na ich śmierć. Zginie mnóstwo niewinnych ludzi, zanim je poskromią. Szczerze wątpię w to, że Pentagon zechce wesprzeć chilijską armię. Wyobrażacie sobie, jak wiele boty w tym czasie zdołają się nauczyć? Po miesiącu staną się praktycznie niezniszczalne.

– Masz pomysł, jak temu zaradzić? – zapytał Greenlon.

– Nie. Ale jestem pewien, że nie mamy wyboru.

– Co?

– Po pierwsze, nie sądzę, żeby *ono* tak łatwo wypuściło nas stąd, po drugie... mamy za mało samochodów, żeby wywieźć wszystkich za jednym zamachem. Kilka osób będzie musiało zostać w NGF-Lab i czekać, aż ktoś po nich wróci.

Tymur rozłożył ręce w geście mówiącym: no, panowie, kto z was na to pójdzie?

Po dłuższej chwili milczenia Rino uniósł brwi i oznajmił:

– Ukraińcu, jak tak mówisz, mam ochotę cię zabić. Jednocześnie nie mogę się z tobą nie zgodzić. Nie liczcie na mnie. Mógłbym zostać w laboratorium, ale nie wrócę do tego przekłętą miejsca. Nawet o tym nie myślcie!

– No i gówno – wycedził Amerykanin. – Jak to się stało? Znaleźliśmy się w pułapce...

Ralf opuścił brodę na piersi.

– Mamy aldosteron – odezwał się Tymur. – Wiemy, jak porozumiewać się z botami, przynajmniej potrafimy na nie wpływać. Powinniśmy spróbować

z nimi porozmawiać... przekonać je... Tylko wtedy uda nam się stąd uciec.

Nie wiadomo, co przeważało: poczucie odpowiedzialności, obawa przed pozostaniem na pastwę losu czy zwykły lęk przed błędzeniem po pustyni, tak czy owak nikt chłopakowi nie zaprzeczył.

– Ale nie dziś. – Laura zdecydowanie pokręciła głową. – Chcę wszystko przemyśleć. Ten potwór, który wylazł z ich głów, może nam mocno uprzykrzyć życie. Potrzebuję czasu.

Tego wieczoru już nikt nie włączył odbiornika, który został podłączony w sali głównej. Za cichym pozwoleniem wszystkich obecnych „spotkanie” z psychoistotą przeniesiono na następny ranek.

LXXXV

Czwartek, 27 sierpnia, 23.49 (UTC –4)
Skrzydło sypialne bloku DW

Ktoś zapukał do drzwi. A ściśle mówiąc, załomotał. Tymur się nie odezwał; wiedział, że z taką siłą do drzwi może walić tylko Rino i że już za chwilę, niezależnie od tego, jaka będzie jego, Tymura, odpowiedź, Headhunter wpadnie do pokoju.

Chłopak się nie mylił. Drzwi otworzyły się na oścież i ukazała się w nich potargana głowa Południowoafrykanina. Po jego twarzy, ledwo rozświetlonej blaskiem lampy stołowej, widać było, że jest ponury i zmęczony.

– Śpisz?

– Nie.

Na kolanach Ukraińca leżała zamknięta książka *Kongo* Michaela Crichtona. Czytanie zupełnie mu nie szło.

– Wstawaj – powiedział Rino bez ogródek. – Musimy pogadać.

Tymur, o nic nie pytając, podniósł się i zaczął wkładać dzinsy.

– Greenlon skontaktował się z Pentagonem – wyjaśnił Rino.

– Dlaczego?

– Cholera go wie. Sam chciał. Poprosił o pomoc.

Programista na chwilę przestał zapinać guziki w dzinsach i spojrzął na Headhuntera. Przypomniała mu się niedawna historia z Katsurem Takedą.

– Jego też pobiłeś, tak?

– A skąd – zaprzeczył olbrzym. – Nie tknąłem go. Po prostu mówi, że położyli na nas lachę. Prosił, żeby cię zawołać, chce, żebyśmy we trzech wszystko omówili.

– Okej.

Tymur włożył koszulę i razem z Rinem wyszedł z bloku mieszkalnego.

Allan czekał w pokoju wypoczynkowym i siorbał chłodną herbatę. Wyglądał kiepsko. Był zły, a jednocześnie apatyczny. Jak człowiek, który właśnie przegrał w ruletkę milion dolców i teraz zastanawia się nad tym, co robić: zabić się czy puścić z dymem kasyno.

– Pół godziny temu rozmawiałem z jakimś frajerem z Departamentu Obrony – powiedział, marszcząc czoło. Zmarszczki powędrowały do góry i zajęły połowę jego łysiny.

Tymur usiadł po turecku na dywanie obok kanapy.

– To oni się z nami skontaktowali? – zapytał.

– Nie. To ja zadzwoniłem.

– Jak to? – zdziwił się Ukrainiec.

– Wiem, umawialiśmy się, że nie będziemy tego robić, ale nie mogłem nie zadzwonić. Przez internet. Połączyłem się z nimi przez Skype'a.

Rino wyjął papierosa i zapalił. Smuga dymu powędrowała pod sufit. Tymur potarł oczy.

– Chcesz powiedzieć, że skontaktowałeś się z Pentagonem przez Skype'a? Tak po prostu? Ja pierdzielę, jak w jakiejś bajce. Czy to w ogóle możliwe?

– Niezupełnie. Zatelefonowałem do call center, a potem ich ubłagałem, żeby połączyli mnie z kimś, kto ma pojęcie o NGF. Co prawda sam w to nie wierzyłem, ale przecież przełączyli mnie do jakiegoś pierdzistołka z kilkoma krokiewkami na pagonach.

– Mów dalej.

– Zacząłem opowiadać, rzecz jasna krótko i bez wdawania się w szczegóły, jakbym wypełniał kwestionariusz, co się u nas dzieje. Nie wiem, czy rozmowę nagrywano. A potem ten frajer zapytał mnie, czy zdaję sobie sprawę, że

rozmawiam za pośrednictwem niezaszyfrowanego kanału i czy rozumiem, czym to grozi. Oczywiście odpowiedziałem, że tak. Przecież nie miałem innej możliwości, żeby się dodzwonić! Potem jeszcze jakieś dwadzieścia sekund próbowałem wbić mu do łba, że bez ingerencji ich wojsk specjalnych nie pociągniemy tu długo, kiedy ten gnojek mi przerwał, pewnie dostał instrukcje od kogoś z góry, i powiedział, żebym więcej nie dzwonił. – Allan upił łyk herbaty i mlasnął. – Próbowałem znów się połączyć, ale żaden z numerów już nie odpowiada.

– I co teraz? – spytał Tymur.

– Stany umywają ręce. Nie o to chodzi, że odmawiają nam pomocy, oni po prostu odcinają się od tego. Jesteśmy zdani tylko na siebie.

Tymur się zasępił. Zastanawiał się, po kiego czorta Greenlon wyciągnął ich z łóżek. Jakby faktycznie było coś dziwnego w tym, co zrobił Pentagon.

– Nie rozumiem. Oczekiwałeś, że wystarczy gwizdnąć i natychmiast przyleci tu kawaleria, jak w waszych starych pieprzonych westernach?

– Niczego nie oczekiwałem – odparł inżynier urażonym tonem. – To już zaszło za daleko. Problem sam się nie rozwiąże. A my sami sobie nie poradzimy.

– No, nie mamy wyboru. – Chłopak wstał z podłogi. – Idę spać.

Też coś – myślał Tymur, idąc w stronę skrzydła sypialnego. Też znalazł sobie problem. Olali nas. No i co z tego? Biedaczek Greenlon zwątpił w amerykański rząd? Co za nieszczęście! Powinien jeszcze się rozplakać... – Chłopak zazgrzytał zębami. Nie czuł już senności, i marne szanse, żeby teraz zasnął. Allan – kontynuował swój wywód, jakby inżynier stał tuż obok – wszystkie rządy są takie same. Gdybyś tak pomieszkał na Ukrainie... tam u nas siłowicy rolują kraj trzy razy dziennie. Wtedy by do ciebie dotarło.

Tymur się mylił. Nie doceniał Stanów Zjednoczonych. „Kawaleria” szykowała się do występu. Co prawda w nieco innej odsłonie.

LXXXVI

Piątek, 28 sierpnia, 01.15 (UTC -5)
Pentagon
Arlington, Wirginia, USA

Dwóch wojskowych ubranych w ciemnogrnatowe mundury pokonywało mroczne korytarze. O tej porze w budynku Pentagonu działało oświetlenie dyżurne. Na twarzach mężczyzn malowały się niepokój i zakłopotanie. Obu stuknęła już pięćdziesiątka, obaj mieli piękne błyszczące zakola. Oczy jednego z nich były czerwone i zapuchnięte – najwyraźniej został wyrwany ze snu. Wyglądało na to, że drugi w ogóle się nie kładł. Oficerowie kierowali się do sali konferencyjnej.

– Mówiłem ci, że ten pieprzony pomysł nie przyniesie nic dobrego – zagrzmiał ten z zapuchniętymi oczyma. – Mama zawsze mi powtarzała: nigdy nie rób interesów z Japończykami!

– Przestań! – rzucił drugi mężczyzna.

– A wyobrażasz sobie, co się stanie, gdy któreś z nich ocaleje i wypaple wszystko prasie?

– Ale przecież my nie możemy ot, tak ich wszystkich sprzątnąć!

– Możemy.

– Nie, nie możemy! Nawet jeśli prezydent i sekretarz Garnett rozkażą przeprowadzić tę operację, jak masz zamiar to zrobić? Wyślesz piechotę morską? Muszę cię rozczarować. Nie da się podprowadzić lotniskowca o wyporności stu tysięcy ton do wybrzeży Chile tak, żeby nikt tego nie zauważył. Nie mamy niewidzialnych lotniskowców!

– Pieprzę to! Lepiej niech gadają o działaniach nieprzyjacielskich i o inwazjach, niż żeby jakieś szczegóły projektu NGF miały ujrzeć światło dzienne.

– Nie zapominaj, że ośrodek badawczy znajduje się ponad dwieście kilometrów od wybrzeża. W jaki sposób wysadzimy tam jednostki specjalne? Chyba nie myślisz, że Chilijczycy nie mają wojsk OPL[87].

– Kevin, nie ma problemów nie do rozwiązania. Zdarzają się tylko nieprzyjemne decyzje.

Tak rozmawiali ze sobą James Forrestal, podsekretarz obrony USA ds. amunicji, technologii i logistyki[88], oraz generał USAF[89] Kevin Chilton, szef Dowództwa Sił Strategicznych (USSTRATCOM[90]). Forrestal bronił koncepcji siłowego rozwiązania problemu.

Gdy dotarli do właściwych drzwi, James bez pukania je otworzył.

– Panie sekretarzu, panowie generałowie, dobry wieczór!

Mężczyźni odpowiedzieli nieskładnie na pozdrowienie.

– Nie spóźniliśmy się?

– Nie. Właśnie miałem zamiar zacząć. Siadajcie, panowie.

W ogromnym pomieszczeniu bez okien zebrało się około dwudziestu najwyższych rangą oficerów USA. Przy długim, nieco staromodnym stole, w wysokich skórzanych fotelach siedzieli: szef Dowództwa Południowego (USSOUTHCOM[91]), generał Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych Douglas Fraser; szef Dowództwa Operacji Specjalnych (USSOCOM[92]), admirał Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Eric Olson; szef Operacji Morskich, admirał Gary Roughead; dowódca Floty Oceanu Spokojnego USA (USPACFLT[93]), admirał Patrick Walsh; zastępca szefa sztabu Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, generał Carrol Chandler; dowódca Sił Powietrznych, generał William Fraser; dowódca Sił Powietrznych USA na obszarze Oceanu Spokojnego, generał Gary North, i inni. Z prawej strony stołu siedziała grupa przedstawicieli Dowództwa Uderzeń Globalnych[94] Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych z obecnie urzędującym dowódcą, generałem dywizji Frankiem Klotzem na czele.

Honorowe miejsce u szczytu stołu zajmował Leon Garnett, sekretarz obrony USA.

Przebiegłszy wzrokiem po twarzach zgromadzonych przy stole ludzi, których wyciągnięto z łóżek w środku nocy na naradę, Chilton się załamał. To był koniec. Kres wszystkiego. Nie będą rozwiązywali problemu, po prostu go wyeliminują. Patrick Walsh, Douglas Fraser i Gary North nie byli wciągnięci w realizację projektu. Do dzisiejszej nocy nie wiedzieli o jego istnieniu. Nikt by ich tu nie zaprosił, gdyby nie planowano zrównać NGF-Lab z ziemią.

– Zapoznaliście się z wiadomością Greenlona? – Sekretarz obrony spojrzał na nich spode łba.

– Tak – potwierdził Forrestal.

– Właśnie kazałem anulować jego dokumenty, konta bankowe i numer polisy. Od tej chwili facet nie istnieje.

– A reszta?

– Połowa zespołu, o ile dobrze zrozumiałem, już nie żyje. Między innymi pan Keitaro Roka. Musimy zadbać o pozostałych. – Garnett obrzucił wszystkich obecnych ciężkim spojrzeniem i dokończył: – Pan prezydent pochwalił operację.

Forrestal odetchnął z ulgą.

– Innymi słowy dał zielone światło na przeprowadzenie operacji wojskowej na terytorium Chile? – chciał się upewnić admirał Walsh.

– Tak. Wszystko pan dobrze zrozumiał, admirale.

– Czy nie byłoby lepiej, sir, gdybyśmy najpierw spróbowali pomóc Japończykom? – nieśmiało odezwał się Kevin Chilton. – Po co od razu stawiać krzyżyk na takim projekcie...

– To wykluczone, generale. W ciągu dziesięciu lat Departament Obrony wpompował w NGF czterdzieści miliardów. Zbyt wiele. Mniej wydaliśmy na budowę raptorów[95].

– Przecież był pan na Atakamie podczas pokazu próbnego – próbował protestować Chilton. – Czy któryś z panów też tam był?

Dwie czy trzy osoby odpowiedziały cicho: „Tak”. Niektórzy tylko twierdząco pokiwali głowami.

– Cudowny eksperyment! Nie przeczę – zauważył ironicznie sekretarz obrony. – Ale nie mogę sobie przypomnieć: uprzedzono nas wtedy, że boty wydadzą się spod kontroli i uciekną? Te tępaki już od miesiąca nie mogą ich złapać! – wrzasnął nagle Garnett.

– Znowu pieniądze wywalone w błoto. – Z drugiego końca stołu dobiegło ciche westchnienie.

– Cóż poradzić – odparł sekretarz. Był już spokojniejszy. – Połowa przemysłu trzyma się na słowo honoru, rynek finansowy też ledwo dyszy. W takiej sytuacji nikt nam nie wygospodaruje pół miliarda na uratowanie projektu. A nie możemy odchudzić budżetu o pięćset milionów, niczego nie wyjaśniając podatnikom. Dlatego musimy zamknąć ten program.

– Ale, sir, my nie możemy wstrzymać projektu. – Kevin Chilton zacisnął pięści. – To nie jest fabryka samochodów, którą można zamknąć ot, tak. Tam jest stan nadzwyczajny... Są ofiary.

– Ile?

– Według ostatnich danych dwieście–trzysta osób. Głównie chilijscy wieśniacy.

Leon Garnett poprawił okulary. Miał bladą twarz i nastroszone brwi, ale w oczach płonęły mu okrutne ognie.

– Powtarzam raz jeszcze tym, którzy uważają, że ich to nie dotyczy, oraz tym, którzy po prostu nie zrozumieli: pan Keitaro Roka oraz jego pracownicy przez ostatnie dziesięć lat przeprowadzali eksperymenty na dzieciach; próbowali wyhodować wojowników nowej generacji. Obecnie sytuacja wymknęła się spod kontroli i nic nie wskazuje na to, żeby się unormowała. Jako że program był wspierany finansowo przez USA, nie muszę wam tłumaczyć, co się stanie, jeśli informacje na temat projektu i... ekhm... tego, jakiego rodzaju doświadczenia przeprowadzano na Atakamie, przeciekną do prasy. Watergate w porównaniu z tym to nic nieznacząca intryżka. Dlatego też laboratorium, a także wszystkich ludzi powiązanych z projektem NGF, z wyłączeniem tu obecnych, należy zlikwidować. Po cichu i bez świadków. – Garnett odchylił się na oparcie fotelu. – A teraz chciałbym usłyszeć od panów, jak to zrobimy.

Pierwszy odezwał się generał Douglas Fraser:

– Operacja lądowa jest niedopuszczalna. Nie dokonamy desantu na Atakamie bez powiadomienia władz Republiki Chile. Które, co oczywiste, zażądają wyjaśnień.

– Co pan proponuje, generale?

– Punktowe uderzenie raketowe.

– Natychmiast odrzucam. To tak samo nie do przyjęcia jak operacja naziemna.

– A jeśli...

– Niech pan przestanie! – krzyknął sekretarz obrony. – Chile to suwerenne państwo. Poza tym jest naszym sojusznikiem.

– Pocisk balistyczny niekoniecznie musi przenosić ładunek jądrowy, to chciałem powiedzieć. Możemy wykorzystać inny materiał wybuchowy.

Nagle wtrącił się James Forrestal:

– Na tamtym obszarze znajduje się pięć budynków położonych w niedużej odległości od siebie. Pocisk może zboczyć z kursu i spudłować. Jeżeli ładunek nie będzie miał dostatecznej mocy, trzeba będzie powtórzyć ostrzał. Ostatecznie zburzymy cały kompleks, ale niewykluczone, że ludzie się uratują. I wtedy z pewnością o wszystkim opowiedzą. Ponadto Rosjanie nas namierzają. Nie mogą nie namierzyć. A potem ogłoszą całemu światu, że Amerykanie mają w zanadrzu coś niebezpiecznego i że srają na umowy międzynarodowe.

– Okej, zrozumiałem.

– Jedyna możliwość to nocny nalot z ukrycia.

– Ale to też nie jest takie proste. – Frank Klotz pokręcił głową. Podejrzewał, że to właśnie jemu powierzą misję bezpośredniego zaplanowania i przeprowadzenia operacji.

– W czym problem?

– Chile jest za daleko. Bazę lotniczą Whiteman, gdzie stacjonują nasze niewykrywalne bombowce, dzieli od pustyni Atakama siedem tysięcy osiemset kilometrów. To znacznie więcej niż promień działania bombowca B-2[96]. Po tym jak zamknęliśmy bazę lotniczą w Panamie, trudno nam będzie tam się dostać.

– A gdzie się podziały nasze powietrzne tankowce? – Leon Garnett się skrzywił.

– Panie sekretarzu, samoloty tankujące też powinny skądś startować i gdzieś lądować.

– To naprawdę jest aż tak daleko?

– Siedem tysięcy osiemset kilometrów, tyle że w linii prostej. Realnie rzecz ujmując i uwzględniając fakt, że będziemy musieli ominąć przestrzeń powietrzną Peru i Meksyku, żeby dostarczyć tam bomby, trzeba będzie przelecieć dziewięć tysięcy kilometrów. I drugie tyle, żeby wrócić.

– Możemy ruszyć B-2 z bazy lotniczej na Guamie[97] z międzylądowaniem na Wyspie Wielkanocnej – zaproponował Chandler, zastępca szefa sztabu Sił Powietrznych USA. – Mają tam trzykilometrowy pas startowy. B-2 zatankuje i poleci dalej.

– Przecież to terytorium Chile... – dało się słyszeć z drugiego krańca stołu.

– Niech cię diabli! – wycharczał sekretarz obrony, rzucając się w stronę Carrola Chandlera. – Skąd w Departamencie Obrony biorą się tacy debile? Chcecie tankować na terytorium Chile, żeby potem zbombardować Chile? O Boże... Czy ktoś miałby ochotę zająć moje miejsce, zanim będę musiał wyjaśnić *to wszystko* prezydentowi? Jestem gotów zamienić się na posady z kimkolwiek z panów.

– Ale przecież tam jest pustynia... – Chandler próbował się bronić. – Jeśli nasze bombowce zdołają się prześlizgnąć niezauważone przez systemy ich

obrony przeciwlotniczej, nikt się nie dowie o nalocie. Tak pieczołowicie wybieraliśmy miejsce pod budowę kompleksu badawczego, że...



Ciężki bombowiec strategiczny B-2 Spirit

– To jest B-2, młotku sztabowy! Tak potrząśnie pustynią, że aż w Buenos Aires budynki będą się chwiały, a po nalocie Chilijczycy będą musieli przerabiać mapy Atakamy.

Oficerowie ucichli. Sekretarz zmarszczył brwi, przenosząc groźny wzrok kolejno z jednego na drugiego.

– Czy B-2 może lądować na lotniskowcu? – zapytał Frank Klotz.

– Nie wiem – odpowiedział William Fraser. – Przynajmniej nie został tak zaprojektowany... Mam na myśli B-2.

– Lotniskowiec też nie! – odezwał się basem admirał Walsh.

Fraser poszperał w papierach i dodał:

– Rozstaw skrzydeł sto siedemdziesiąt dwie stopy[98]. Ciężar z minimalnym zapasem paliwa i bez wyposażenia bojowego około osiemdziesięciu ton. Naładowany do pełna, sto pięćdziesiąt.

– Zapomnijmy! To za dużo. – Jeden z admirałów floty energicznie zamachał rękami.

– Ale można spróbować.

– Nie uda wam się posadzić takiego bombowca! Jest za ciężki i zbyt powolny.

– To oczywiste – potwierdził ktoś z sali.

– Operację przeprowadzimy w nocy. „Duch” usiądzie po ciemku. Jeśli raptem coś pójdzie nie tak, zarzniecie nie tylko samolot, ale i lotniskowiec.

Sekretarz obrony poczerwieniał, wyglądał teraz jak ugotowany rak.

– Niech to szlag, czy ja dobrze rozumiem, czy rozważacie teraz możliwość zatopienia lotniskowca w czasie pokoju?! Koledzy, pytam zupełnie poważnie: kto chce zająć moje stanowisko?

Generał dywizji Frank Klotz nie słuchał wyводу Garnetta. W jego głowie rodził się pomysł, dość szalony na pierwszy rzut oka.

– Admirale Walsh – zwrócił się do dowódcy USPACFLT – jaki jest największy samolot, który może wylądować na lotniskowcu?

Patrick Walsh się zamyślił.

– C-130 Hercules[99], nigdy nic cięższego nie usiadło na lotniskowcu. Ale to i tak był tylko eksperyment.

– Tak więc będziecie musieli go powtórzyć – oznajmił Klotz.

Dały się słyszeć pomruki zaciekawienia. Starszyzna przetrawiała to, co właśnie usłyszała.

– Jedna z wersji stotrzydziestki jest powietrznym tankowcem. KC-130, jeśli mnie pamięć nie myli.

– Generale Klotz, prosimy o szczegóły – zainteresował się sekretarz obrony.

Frank Klotz wyrwał ze swojego notatnika kartkę, na której widniały jakieś obliczenia, i położył ją na środku stołu.

– Baza Whiteman oddalona jest od Atakamy od dziewięciu do dziesięciu godzin lotu, wzięwszy pod uwagę prędkość przelotową „Ducha”. W siódmej godzinie B-2 dosięgnie wybrzeża Peru. Przed wylotem masa całkowita paliwa w bombowcu będzie wynosiła siedemdziesiąt trzy tony. Przez sześć godzin zużyje około trzydziestu pięciu ton. Jako że C-130 ma napęd turbośmigłowy i porusza się wolniej niż „Duch”, wyleci wcześniej. Zaczeka na B-2 akurat w pobliżu Peru. Hercules przeleje „Duchowi” dwadzieścia ton paliwa i wróci pusty na lotniskowiec, przycumowany tysiąc pięćset–dwa tysiące kilometrów od brzegu. Po tankowaniu w bakach B-2 będzie w sumie pięćdziesiąt osiem–pięćdziesiąt dziewięć ton paliwa. To wystarczy, żeby przelecieć jeszcze osiem tysięcy osiemset kilometrów. Na wszelki wypadek po zakończeniu operacji

w przestrzeni powietrznej USA na herculesa będzie czekał inny samolot tankujący, który doleje mu paliwa, żeby „Duch” mógł dolecieć do bazy lotniczej w Missouri.

– Gwarantuje pan, że pozbywszy się całego paliwa przed lądowaniem, C-130 Hercules zdoła usiąść na „Ronaldzie Reaganie”[100]?

– Sądzę, że tak.

– Sądzi pan?

– Tak, sir. Cysterna wyląduje na lotniskowcu.

Leon Garnett rozważał pomysł, pocierając dłonią podbródek.

– Dobrze, generale Klotz, daję panu zielone światło. Po południu chcę zobaczyć szczegółowy plan operacji. A pan, admirale, niech szykuje lotniskowiec. Daję panu dwa dni.



Samolot-cysterna KC-130 – jedna z odmian samolotu transportowego Lockheed C-130 Hercules

– Tak jest!

– To jeszcze nie wszystko. Będę potrzebował raptorów – oznajmił Frank Klotz.

– W jakim celu?

– Przykrywka i sprzątanie. Nie wystarczy przecież zniszczyć laboratorium. Trzeba zlikwidować wszystkich, którzy byli zaangażowani w ten projekt. Zmierzam do tego, że ktoś z personelu mógłby zdążyć uciec na pustynię samochodem albo jakoś inaczej. Stutonowy B-2 nie bardzo nadaje się do ścigania uciekinierów po Atakamie.

- Świetny pomysł.
- Proszę zauważyć – dodał Walsh – że lotniskowiec, chcąc nie chcąc, trzeba będzie przemieścić.
- Ile tych raptorów?
- Myślę, że cztery wystarczą.
- Okej. Możecie też wykorzystać niszczyciele. – Sekretarz obrony ziewnął i zwrócił się do obecnych: – Panowie, macie jakieś uwagi?
- A co z botami, sir? – zapytał smętnie Kevin Chilton. – Tymi, które uciekły. Są niebezpieczne.

Znowu zapadła cisza. Wszystkie spojrzenia skierowały się na szefa resortu obrony. Mężczyzna chwilę rozważał w myślach odpowiedź, po czym odrzekł:

- A jest na nich napisane: „Wyprodukowane na zamówienie Departamentu Obrony USA”?
- No tak... To znaczy nie, nie jest napisane. – Szef Dowództwa Sił Strategicznych mógł nie odpowiedzieć, pytanie Garnetta było retoryczne.
- Z botami niech się rozprawiają Chilijczycy.

FRAKTALNE OPĘTANIE

LXXXVII

Piątek, 28 sierpnia, 08.46 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Tymur, zaspany i w kiepskim humorze, człapał do sali konferencyjnej, która od wczoraj przekształciła się w coś w rodzaju stanowiska dowodzenia.

Obudził się o wpół do piątej rano. Długo leżał, przyciskając kolana do piersi i wpatrując się w rozgwieżdżone niebo za oknem. Myślał o tym, co będzie pokazywał psychoistocie...

Za pięć dziewiąta w sali zebrali się Ralf, Oscar i Tiana (po śmierci Jeffreya i Alondry kobieta z nikim nie zamieniła ani jednego słowa). Oscar siorbał kawę z wielkiej filizanki. Ralf kończył jeść kanapkę. Nikt się nie odzywał. Po minucie zjawił się Allan Greenlon, a tuż po nim wpadł Rino. Ciągnął za sobą bota, który miał związane ręce i nogi.

– Ten może być? – spytał siłacz (Tymur doszedł do wniosku, że Wadim Hort pokazywał botom rysunki). – Jak będzie się ciskał, przyprowadzę innego.

Programista kiwnął głową z roztargnieniem. Rino posadził „malca” na taborecie, przy przeciwległym krańcu stołu. Sam usiadł obok niego. Bot patrzył przed siebie obojętnym wzrokiem. Pozostali usadowili się tak, żeby stół odgradzał ich od niego.

Ostatnia przyszła Laura Dupré. Katsuro się nie pojawił.

Tymur wyciągnął z kieszeni skrawek papieru, który znaleźli wczoraj w pomieszczeniu Horta. Zwykłe bazgroły, narysowane ciemnoczerwonym markerem. Pewnie Wadim Hort zrobił je nieświadomie, kiedy myślał nad rozwiązaniem jakiegoś problemu. Ludzie często rysują, rozmawiając na przykład przez telefon, żeby zająć czymś ręce... Chłopak włączył odbiornik. Ekran zamigał i zaświecił się. W lewym górnym rogu pojawił się komunikat, że połączenie zostało ustanowione.

Tymur wystukał na klawiaturze:

► Hej. Jesteś tu?

Pożerał oczami monitor z nadzieją, że psychoistota nie odpisze. Chciał myśleć, że wszystko, co wczoraj zaszło, tylko im się przywidziało. Potworny durny sen. Nie ma żadnego władcy marionetek i nic nie wylazło botom z podświadomości... Tymur już niemal w to uwierzył, kiedy nagle aż się wzdrygnął, widząc, jak na ciemnym tle pojawiają się tłuste zielone litery:

◀ CZEŚĆ TYMURZE HORT PRZYSZEDŁ?

► Nie.

◀ ŻLE BARDZO ŻLE GDZIE OBRAZKI?

– Po co to robimy? – wyszeptał Ralf.

– Cicho – wycedził Rino. Tak jakby istota, której niezgrabne zdania wyświetlały się na ekranie, mogła ich usłyszeć.

Tymur zamyślił się, układając w głowie odpowiedź, po czym napisał:

► Przede mną siedzi bot. Pokażę mu rysunki. Zgoda?

◀ TAK BOT WIDZI ALE POSTARAJ SIĘ ŻEBY RYSUNKI BYŁY ŁADNE INACZEJ KTOŚ UMRZE.

– O, znowu – zauważyła Dupré. – *Ono* nie powiedziało „widzę”, tylko „bot widzi”.

Allan Greenlon zakaszłał.

– Tymurze, nie chcę się wtrącać, ale... gdzie do cholery te twoje rysunki?

Programista odchylił się na oparcie fotela.

– Włączcie głównego kompa.

Laura nacisnęła na obudowie klawisz Power. Tymur zapytał:

– Jest tam jakiś program graficzny? Cokolwiek, byle lepsze od Painta Microsoftu...

– Może być CorelDRAW?

– Może być.

Podczas gdy komputer się uruchamiał, Tymur szybko myślał. Obrazki... Obrazki... Bez względu na to, co Wadim Hort pokazywał botom, miało to na

nich ogromny wpływ. Czy raczej na psychoistotę. W przeciwnym razie nie szukałaby Horta z taką zaciekleścią. Laura mówiła, że psychoistota znajduje się w swoim rozwoju na poziomie trzylatka. Co w takim razie podoba się tym cholernym dzieciakom? Tymur nie miał dzieci. I nie planował ich mieć w najbliższym czasie. Nie miał nawet chrześniaków. Nie znosił tych zasmarkanych gówniarzy i oczywiście nie miał zielonego pojęcia, co lubią. Jaskrawe, abstrakcyjne obrazki? Rysunki zwierzątek, ptaszków? Do diabła, nie to. Wątpliwe, żeby psychoistota lubiała oglądać puchate stworzonka. Co Hort mógł jej pokazywać? Pejzaże? Zdjęcia miast? Też nie... Tymur miał przeczucie, że odpowiedź jest niezwykle prosta. Że jest tuż obok. Trzeba tylko poszukać czegoś elementarnego i nieskomplikowanego...

Postanowił zacząć od czegoś prostego. Otworzył Corela, narysował trójkąt równoboczny i wypełnił go czarnym kolorem. Wyśrodkował rysunek i kliknął przycisk „Drukuj”. W kącie pomieszczenia zaskrzeczała drukarka laserowa.



Oscar Steirmann siedział najbliżej drukarki. Wyciągnął arkusz i powiedział:

– Nie zdziwię się, jeśli po czymś takim *ono* zechce zdiebić cię po łbie.

– Nie przeszkadzaj mi – wtrąciła się Laura. – Tymur wie, co robi.

Tak naprawdę Tymur *nie wiedział*. Nie miał pojęcia, co dalej robić.

Rozłożył arkusz papieru i wstrzymując oddech, pokazał go botowi. Nic się nie wydarzyło. „Malec” kręcił głową jak osoba chora psychicznie. Jego wzrok pozostał obojętny, nieskoncentrowany na niczym. Tymur z nadzieją, niemalże błagalnie, patrzył na okno z czatem. Psychoistota milczała.

Nagle w bocie nastąpiła jakaś zmiana. Brwi mu się uniosły, oczy powiększyły, tak jakby ktoś nacisnął je od środka, a źrenice wcisnęły się do środka, jak przysłona obiektywu podczas ustawiania ostrości. Bot pochylił

głowę. Zrobił to tak nienaturalnie, jak gdyby jakaś niewidzialna ręka chwyciła go za szyję i przytknęła jego nos do arkusza papieru.

Wszyscy czekali w napięciu, zerkając to na bota, to na ekran monitora. Ono milczało, za to bot uniósł głowę i kilka razy lekko poruszył rękami, starając się rozłożyć je na boki.

Ruch powtórzył się parokrotnie. Bot próbował uwolnić ręce zza pleców.

– Rino – odezwał się Tymur, patrząc na „malca”. – Rozwiąż mu ręce.

Gdzieś za plecami Ukraińca stęknął Steirmann, przysuwając się bliżej wyjścia.

– Przemyślałeś to? – Headhunter uniósł brew. – Według mnie to kretyński pomysł.

– Tak, przemyślałem.

Rino niechętnie rozwiązał pętlę, która ścisnęła nadgarstki bota. Ten pochylił się nad stołem i zaczął wodzić palcem po kartce. Jego ruchy były mechaniczne, wypracowane.

Przestraszeni Laura i Ralf zastygli z otwartymi ustami.

– Dajcie mi marker! – polecił Tymur. – Szybciej!

Tiana Emerson zaczęła sprawdzać zawartość szuflad z artykułami biurowymi. Wydobyła stamtąd czarny marker i rzuciła go Ukraińcowi. Chłopak zdjął skuwkę i położył go przed botem. „Malec” przestał przesuwając palcem po kartce i wlepił wzrok w przedmiot, który się przed nim pojawił.

– Nie wie, co z nim zrobić – powiedział cicho Ralf.

Tymur wziął w dłoń flamaster i kilkakrotnie maznął nim na brzeжку papieru, żeby pokazać, do czego służy. Botem aż szarpnęło – wyrwał programiście z rąk marker, po czym szybko, bez zastanowienia, narysował identyczny trójkąt równoboczny, przekreślony symetrycznie względem pierwszego, a następnie zaczął go zamalowywać.

Niecałą minutę później na kartce pojawił się taki rysunek:



Linie były *idealnie* równe. Część, która była wydrukowana, można było odróżnić od tej narysowanej przez bota tylko dzięki temu, że czarny kolor flamastra wyróżniał się nieco na tle czarnego druku. Bot utworzył geometrycznie poprawną sześciokątną gwiazdę. Gwiazdę Dawida.

Headhunter wyciągnął szyję, ze zdziwieniem przyglądając się rysunkowi.

– Co to za bzdura?! – zaryczał. Świńskie oczka wielkoluda znalazły się niemal na jego czole. – Ten gnojek chce powiedzieć, że jest Żydem? Przecież oni się nad nami znęcają! Zjedli połowę mieszkańców Atakamy, a teraz skamlą, że są Żydami. A my w takim razie jesteśmy zasranymi faszystami! Tak? – Rino spłoszył się i zaczął się ślinić. – Steirmann, gdzie jesteś? Chodź tutaj, przywitaj się z krewnym, kurwa jego mać!

Tymur miał wrażenie, że serce mu zamarło, ścisnęło się. Aż zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Steirmann odgryzł się nieśmiało, Headhunter coś do niego zawołał, ale programista nic już nie słyszał. Jego ręka powędrowała do świstka papieru, który znaleźli w pokoju Wadima Horta. Wlepił wzrok w dziwnie pokrzywioną linię i czuł chłód rozchodzący się po całym ciele. To nie były bazgroły. To były... Tymur się spiął. Wykręcił swoją pamięć jak prześcieradło, które wyżyma się po praniu. Gdzieś już widział tę linię. Badał ją z uwagi na jej specyficzne właściwości. Zaraz, kiedy to było? Na studiach? Nie. Czyli zetknął się z tym, kiedy uczył się programowania. Uganiał się za swoimi wspomnieniami, chwytając je, wyrывая z rąk ciemności, i nagle, nie wiadomo skąd, w jego umyśle pojawiła się myśl: KRZYWA PEANO.

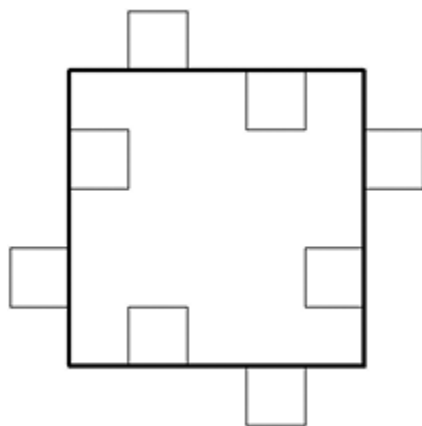
– Tiano, czy może mi pani podać ołówek i kartkę papieru? – poprosił nieswoim głosem. Bał się poruszyć. Wiedział, że wątła nić wspomnień w każdej chwili może ulecieć z jego pamięci.

Brazylijka posłuchała jego prośby i wyjęła z szuflady dobrze zatemperowany ołówek i czysty arkusz A4. Programista położył arkusz na stole przed sobą i wlepił wzrok w dziewiczą biel. Z boku wyglądał jak medium wprowadzone w trans podczas seansu spirytystycznego. Naprawdę chłopak główkował gorączkowo. Każdy, kto siedzi w grafice 3D, ma świetną pamięć wzrokową i dobrze rozwinięty zmysł geometryczny. Niestety, jakkolwiek by się Tymur starał, z *pewnością* nie przypomniałby sobie, co oznaczają krzywe Peano, mógł jednak zacząć je *rysować* i tym sposobem odtworzyć w głowie potrzebną wiedzę.

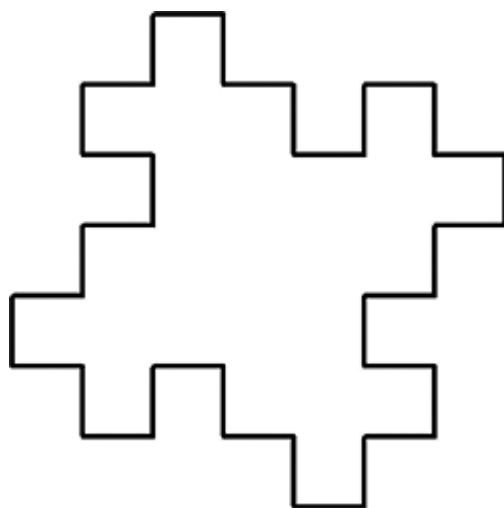
Ukrainiec przygryzł dolną wargę. Wziął do ręki plastikową podkładkę pod myszkę, przyłożył ją do kartki, jakby była linijką, i narysował kwadrat.



Górny bok figury podzielił na oko kropeczkami na pięć równych części. Następnie, wykorzystując odcinki drugi i czwarty, narysował dwa mniejsze kwadraty, z których pierwszy znajdował się poza głównym kwadratem, drugi zaś wewnątrz niego. Tę samą czynność powtórzył na trzech pozostałych bokach kwadratu:



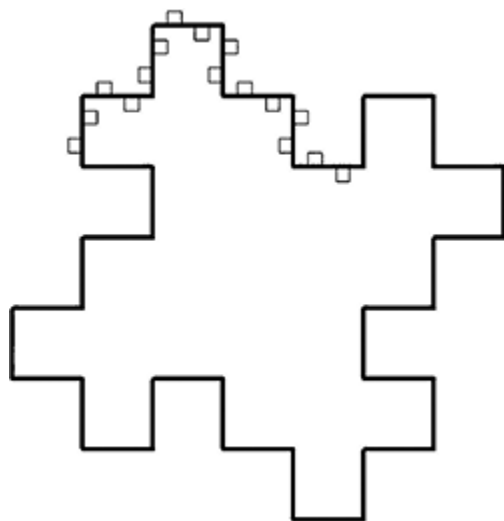
Potem odwrócił ołówek i starł gumką linie, za których pośrednictwem małe kwadraty stykały się z tym dużym. Uzyskaną w ten sposób figurę wyraźnie podkreślił ołówkiem:



– Szykujesz nowy rysunek? – Ralf przysunął się do chłopaka.

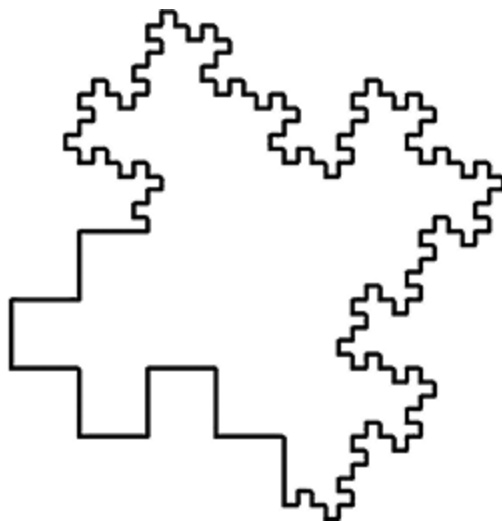
Programista nie odpowiedział. Zajęcie pochłonęło go całkowicie. Pozostałe funkcje mózgu osłabły. Czuł mrowienie w koniuszkach palców – wypływała z nich dawno już zapomniana wiedza.

Na każdym boku otrzymanej figury Tymur zaczął powtarzać te same czynności co na bokach kwadratu: rozbijał je na pięć części i dorysowywał po dwa jeszcze mniejsze kwadraciki, jeden na zewnątrz, a drugi w środku. Powstało coś takiego:



Tymur odczuwał mrowienie z tyłu głowy. Rozumiał, że jest o krok od rozwiązania zagadki. W pewnym momencie przestał rysować – nie dokończył dorabiać kwadracików na każdym boku. Nie było takiej potrzeby. Jedna czwarta figury pozostała bez zmian. Chłopak zaczął intensywnie ścierać

gumką odcinki wspólne dla małych kwadratów i dużego bazowego kwadratu. Wreszcie osiągnął zamierzony efekt:



– Nic wam to nie przypomina? – Podsunął rysunek Laurze i Ralfowi. Francuzka otworzyła usta ze zdziwienia.

– Przecież to... to jest takie samo jak na tym skrawku z pokoju Horta...

– Tak – potwierdził Ukrainiec. – Hort nie narysował ich ot, tak sobie.

– Ale co to jest?

– Samopodobna krzywa Peano. Odszczepienie geometrii klasycznej. Mógłbym ciągle to modyfikować, dzieląc w nieskończoność boki kwadratów. Poza tym bez względu na to, ile bym przybliżał krzywą, zawsze będzie wyglądała tak samo.

– A dlaczego odszczepienie?

– Po przekształceniu płaszczyzna figury, mimo że ograniczona krzywą, nie zmienia się. Jeden kwadrat się usuwa, ale jednocześnie taki sam się dodaje; tymczasem długość łamanej w każdej iteracji zwiększa się jeden i osiem dziesiątych raza. Gdybym dalej to przekształcał, krzywa bez przerwy by się wydłużała. Prowadzi to do paradoksu: nieskończenie długa linia ogranicza figurę o absolutnie skończonym polu powierzchni.

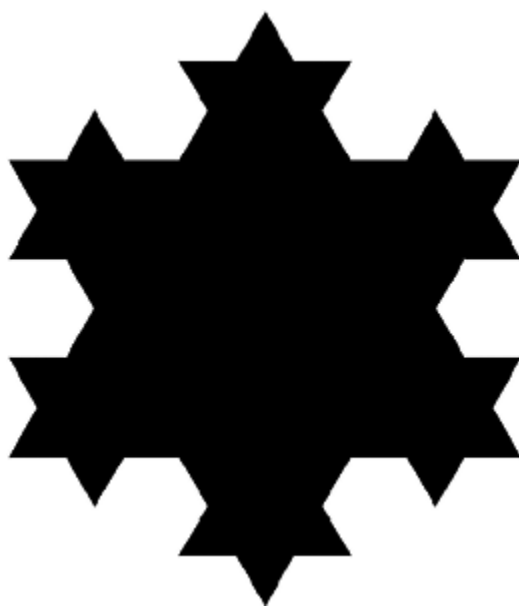
– I co z tego wynika?

– A przede wszystkim: po co nam to potrzebne? – wtrącił się do rozmowy Ralf Doernberg.

Tymur przeniósł wzrok na rysunek, który został narysowany przez bota. Chłopak uświadomił sobie, że to nie jest żadna gwiazda Dawida. To był płatek

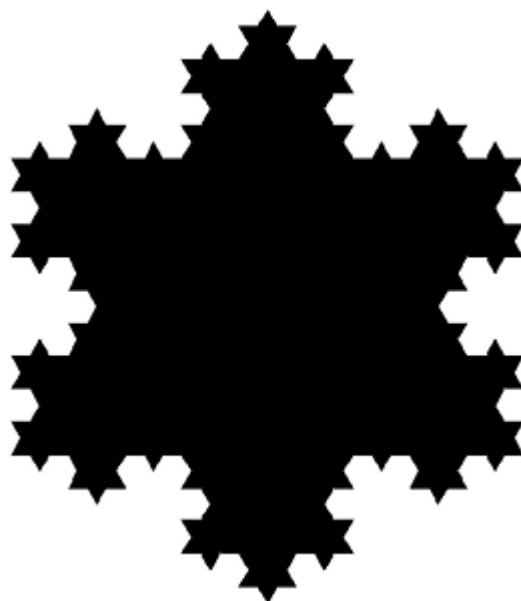
Kocha w drugiej iteracji. Jeden z najprostszych fraktali. Początkowo Tymur nie chciał uwierzyć, że rozwiązanie jest takie proste.

Programista rzucił się do komputera, gdzie wciąż otwarty był Corel, i zaczął rysować. Laura i pozostali obserwowali go w milczeniu. Najpierw Ukrainiec przekształcił trójkąt w sześciokątną gwiazdę, tak jak wcześniej zrobił to bot. Następnie każdą ze ścian otrzymanego w ten sposób wielokąta podzielił na trzy części. Do każdego środkowego odcinka dorysował trójkąt równoboczny o boku trzy razy krótszym niż bok gwiazdy Dawida. Wnętrze figury zamalował na czarno. W rezultacie Tymur otrzymał fraktalny płatek Kocha w trzeciej iteracji:



Trzęsącą się dłonią kliknął przycisk „Drukuj”. Sam wyjął kartkę z drukarki i położył ją przed botem. Jeśli jego przypuszczenia okażą się prawdziwe, „malec” będzie musiał narysować następne...

Tymur patrzył przed siebie i czuł, jak włosy stają mu dęba. Bot, niezgrabnie ściskając marker, nachylił się nad kartką i starannie dorysował po jednym malutkim trójkąciku na każdym boku figury. Dwie minuty później nowy rysunek był gotowy. Przed Tymurem widniała czwarta iteracja lub, inaczej mówiąc, płatek Helge von Kocha:



– Nie mogę w to uwierzyć – wymruczał pod nosem Ukrainiec. – *Ono* pcha się do tych fraktali...

– Co to jest, do diabła? – Rino podrapał się po głowie, podejrzliwie zerkając na dziwną gwiazdkę.

– Fraktal.

– Fra... fraktal?

– Tak.

Headhunter zabawnie się zmarszczył.

– Czy to jakiś radykalny odłam satanistów? – zapytał.

Tymur nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem.

– W żadnym wypadku! To rysunek fraktalny. Krzywa Peano też jest fraktalem. Fraktale to takie figury, które powtarzają same siebie w różnej skali. Psychoistocie podobają się rysunki fraktalne.

– Ale dlaczego? – zapytała Laura.

Programista wzruszył ramionami.

– Poproszę o inny zestaw pytań... Nie wiem.

– A może jednak?

– No... Geometria fraktalna opisuje formę skomplikowanych zjawisk przyrodniczych, takich jak trąby powietrzne, układ krwionośny, drzewa. Możliwe, że *jemu* tak się spodobały te rysunki, ponieważ widzi w nich podstawowe zasady, według których skonstruowany jest świat. Geometria

fraktalna powiązana jest ściśle z teorią chaosu: przydaje się podczas wizualizacji i analizy procesów nieliniowych. W ich głowach – Tymur wskazał palcem bota, który siedział skulony przy drugim końcu stołu – roi się od nanoagentów, które zgodnie ze swoją naturą stanowią typowy przykład systemu chaotycznego. Niewykluczone, że psychoistota dostrzega coś znajomego w... w tym chaosie, który... no... kryje się we fraktalach... – Tymur się zaciął, uświadomiwszy sobie, że nikt go nie rozumie. Sam już się zdążył zaplątać. – Wydaje mi się, że *ono* patrzy na fraktale jak w lustro.

– Ukrainiec dobrze mówi – poparł chłopaka Allan Greenlon. Spośród naukowców on jeden miał jakieś wyobrażenie o fraktalach. – Coś w tym jest.

Ralf Doernberg podrapał się po brodzie i zapytał ponownie:

– I co nam to daje?

Tymur położył dłonie na klawiaturze podłączonej do odbiornika i wystukał:

► Takie rysunki pokazywał Hort?

◄ RYSUNKI PROSTE TYMURZE NIECIEKAWE

► Mam inne. Trudne.

◄ GDZIE SA? POKAZUJ

Chłopak spojrział pytająco na neurochirurga.

– Potrzebny mi internet.

Kanadyjczyk kiwnął głową w odpowiedzi, jakby mówił: kontynuuj. Główny komputer był podłączony. Tymur przysiadł się bliżej. Otworzył przeglądarkę, następnie włączył Google i wpisał „ChaosPro 4.0”. Kiedyś, gdy interesował się fraktalami, bawił się tym programem. Sekundę później ściągał już na pulpit plik instalacyjny.

– Ściągam generator fraktali ChaosPro – wyjaśnił programista. – To nieduży program, freeware[101]. Może stworzyć rysunki fraktalne o niesamowitym wręcz stopniu skomplikowania. Chcę sprawdzić, jak psychoistota na nie zareaguje.

– Hort też zajmował się grafiką – zauważył Ralf. – Sądziś, że nie pokazywał ich już botom? Czy to będzie coś takiego, o czym Wadim mógł nie wiedzieć?

– Hort z pewnością o tym wiedział. Co więcej, jestem pewien, że *chciał* im to pokazać. Ale gdy się dowiedział o istnieniu psychoistoty, z jakiegoś powodu postanowił zataić to przed Keitarem. Dlatego został pozbawiony dostępu do internetu, a przecież ręcznie można narysować tylko kilka najprostszych figur. A i tych nie da się narysować dokładnie. Za to ChaosPro pozwala stworzyć mnóstwo skomplikowanych i zwodniczych fraktali... Zaraz zobaczycie.

Program był nieduży, więc instalacja zajęła ledwie minutę.

Tymur uruchomił plik wykonywalny[102] i dosłownie w ciągu kilku sekund stworzył przedziwną figurę, jakiej dotychczas nikt, z wyjątkiem Allana Greenlona i, być może, Jemeljanowa, nie widział.

– Dupa – skomentował rysunek Rino.

– Zbiór Mandelbrota – ożywił się Allan, rozpoznawszy charakterystyczny zarys, który symbolizował nową erę w dziedzinie geometrii. – Tak myślałem.

– Zgadza się. – Tymur potrząsnął głową, puszczając mimo uszu głupkowatą uwagę Headhuntera. – To klasyka. Od tego zaczniemy.

– Cieszę się z waszego powodu i z powodu tego, że tak świetnie się rozumiecie, chłopcy. – Ralf popatrzył na nich gniewnie. – Ale może zechcecie wyjaśnić zwykłym śmiertelnikom, co to za...

– Dupa z brodawkami – uściślił Rino autorytatywnie.

Tymur rozpoczął drukowanie rysunku[103], po czym zaczął tłumaczyć:

– Na rysunku jest zbiór Mandelbrota. To też fraktal, figura samopodobna. Pierwszy odkrył ją francuski matematyk Benoît Mandelbrot[104], człowiek, który położył podwaliny pod podstawy geometrii fraktalnej. Pierwszy opisał całą rodzinę figur o wyjątkowych właściwościach, które sam później nazwał „fraktalami”.

– Ja coś tu nie widzę żadnego podobieństwa – rzucił Oscar, który zbliżył się do grupki, trzymając w ręku pachnącą tuszem kartkę.

– Cierpliwości. – Tymur kliknął myszką i część figury się powiększyła.

– Och! – nie wytrzymał Ralf. Nowy obrazek wyszedł jeszcze wyraźniejszy.

– Zbiór Mandelbrota zbudowany jest z nieskończonej liczby figur przypominających kardioideę – ciągnął Ukrainiec. – Każdy z tych... nie wiem, jak to prawidłowo powiedzieć... owali, które stykają się z dużą kardioidą, ma własny zbiór mniejszych owali, których średnica dąży do zera itd. Ten proces

ciągnie się w nieskończoność i w ten sposób tworzy się fraktal. Przy powiększeniu można dostrzec nowe odnóża z kardiodami i łukami, które są powiązane z figurą główną.

Drukarka poskrzypywała, powoli wyrzucając z siebie pierwsze powiększenie zbioru Mandelbrota.

Programista podsunął botowi oba rysunki, po czym zadał pytanie psychoistocie:

▶ Jak ci się podobają takie rysunki?

Bot ukląkł nad kartkami. Jego oczy jeszcze bardziej się wytrzeszczyły, omal nie wychodząc z orbit. Zaskamlał cichutko, po czym zadrżał na całym ciele, jak człowiek zanurzający się w wannie z gorącą wodą. Na ekranie pojawiła się odpowiedź:

◀ CUDOWNIE CUDOWNIE CUDOWNIE

– Tak! – Tymur nie krył radości.

– Kto by pomyślał... – Allan podrapał się po łysinie.

◀ POKAŻ NOWE NATYCHMIAST

– Bardzo proszę. – Ukrainiec uklonił się figlarnie przed ekranem i przybliżył jeden ze zwojów purpurowego „smoka”, który widniał na poprzednim rysunku.

Nowy obrazek był czerwony, ozdobiony jaskrawożółtymi błyskawicami. W środku... widniała czarna kardioda, kopia figury głównej. Tymur zapisał obrazek na pulpicie i znów zrobił zbliżenie figury, wyśrodkowując na zaostrowym elemencie – „iglicy”. Okazało się, że „iglica” zwieńczona jest identyczną kardiodą. Rysunek istotnie był fraktalem, ale zupełnie niezwykłym: kosmicznym, nadprzyrodzonym.

Trzeci i czwarty arkusz papieru wypełzły z podajnika drukarki laserowej i natychmiast znalazły się na stole. Botowi wystarczyło jedno spojrzenie na nie, a natychmiast zapłakał i zaczął szybciej oddychać, jak szczur. Nie było wątpliwości – chłopczyk dyszał z rozkoszy.

◀ JESZCZE

Laura Dupré zgromiła Tymura wzrokiem. Psychoistota skojarzyła jej się z narkomanem na głodzie, który dostał właśnie nową działkę. I to niemałą. Z narkomanem, który chce więcej i więcej. A co najważniejsze – który rozumie, że *może* dostać więcej.

– Jak się tworzy taką figurę? – spytał Ralf Doernberg.

– I to jest właśnie najciekawsze. Albo może najdziwniejsze. Rozumiem, że niematematycy nie uwierzą w to tak łatwo, ale całe to piękno można opisać jednym prostym wzorem: $z_{i+1} = z_i^2 + c$, tyle że nie dla liczb rzeczywistych, lecz dla liczb zespolonych.

– Co? – rzucił z powątpiewaniem neurochemik.

– Zbiór Mandelbrota – próbował wyjaśnić Tymur – to zbiór wszystkich z , które nie dążą do nieskończoności. Spośród tego, co widzicie na wydrukach, fraktal to tylko to, co zamalowane jest na czarno. Pozostałe punkty dążą do nieskończoności, a ich kolor zmienia się w zależności od tego, z jaką prędkością $z \rightarrow z^2 + c$ oddala się od zera[105].

– To zbyt skomplikowane. – Kanadyjczyk pokręcił głową.

– Do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku nikt się nie domyślał istnienia tej figury. Nie da się jej obliczyć ręcznie. Życia by zabrakło. Mandelbrot pierwszy użył do jej przedstawienia komputera, dowodząc, że nawet w prostym wyrażeniu algebraicznym może się kryć olbrzymi chaos.

Tymczasem Oscar Steirmann wyjął z drukarki piąty z rzędu arkusz papieru i położył go przed botem. „Malec” odpłynął. Z ust pociekła mu ślina, oczy wyszły z orbit. Na czole, szyi i rękach zabłyszczały kropelki potu. Przypominał trochę człowieka, który właśnie ma osiągnąć orgazm.

– *Ono* coś mu robi. – Tiana się zawstydziała.

– Pewnie podrażnia mu ośrodek przyjemności – odparł Ralf. – Stymuluje mózg impulsami, zupełnie tak samo jak my, kiedy nagradzamy boty za poprawne wykonanie zadania podczas ćwiczeń w terenie. To dość łatwe. I one to lubią.

– Nie podoba mi się to. – Laura postanowiła wreszcie wyrazić swoje wątpliwości.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć Tymur.

– On jest jak narkoman – odpowiedziała i jeszcze bardziej się zasepiła.

– Kto? Bot?

– Nie. – Laura dotknęła palcem ekranu odbiornika. – *Ono*. Psychoistota. A ty tylko zwiększasz mu dawkę.

– Co z tego?

– Widziałeś kiedykolwiek ćpuna, który by skorzystał na zwiększeniu dawki?

Tymur na chwilę zamarł, zażenowany. Był speszony.

– Myślałem, że może...

– Myślałeś, że uda nam się zabić boty za pomocą obrazków? Wątpię.

Ekran się zaświecił. Pojawił się komunikat:

◀ PRZYNIĘŚ JESZCZE JUŻ TERAZ

– Szczerze mówiąc, wcale mnie nie dziwi taka reakcja – powiedziała Tiana, gapiąc się w ekran. – Mnie też zapiera dech w piersiach. Ale zgadzam się z Laurą. Wygląda na to, że *ono* staje się agresywne.

„Mnie też zapiera dech w piersiach”. Pod wpływem słów Tiany myśli Tymura popłynęły niespodziewanym torem.

– Posłuchajcie, możemy spróbować zwabić boty – zaproponował.

– Jak to? – Laurę zdziwiło to, co usłyszała. – Dokąd zwabić?

– Jak zaraz kogoś zwabię... – zahuczał Rino.

Ukrainiec nie miał pojęcia, co z tego może wyniknąć, ale wewnętrzny głos mu podpowiadał, że warto rozważyć ten pomysł. Odwrócił się do Ralfa i powiedział:

– Jak pan myśli, czy da się do wieczora zamontować na dachu tego bloku ekran znajdujący się w sali kinowej i przenieść tam projektor?

Kanadyjczyk się zamyślił, wydawszy wargi. Domyślał się, do czego zmierza Tymur.

– O ile rozumiem, chcesz wynieść projektor na dach i połączyć go z komputerem – powiedział neurochemik, po czym dodał już od siebie, przesywając chłopaka wzrokiem: – Po to, aby transmitować to... – dotknął palcem monitora – ...na zewnątrz. Mam rację?

Tymur przytaknął.

– To szaleństwo – wyszeptała Laura.

Ralf podniósł się, podszedł do okna i zadarł głowę.

– Nie jestem pewien, czy przewody są dostatecznie długie. Ale sądzę, że do wieczora coś wymyślimy. – Opuścił głowę i spojrzał na Ukraińca. – Tylko musisz mnie przekonać, że to nam się przyda.

– Sami widzicie, jak psychoistota zachwycona jest fraktalami. – Głos programisty dźwięczał donośnie. – Proponuję przerwać komunikację i powiedzieć, że będziemy rozmawiali tylko z tymi botami, które znajdują się w tej chwili na pustyni. Jeśli ono chce się rozkoszować fraktalami, niech przyprowdzi „malców” pod ściany laboratorium.

– A co potem? – niemal bezgłośnie spytała Tiana.

– Przypomnijcie sobie ostatnie e-maile od informatora z Antofagasty. Boty jakoś wywęszyły, skąd można wziąć aldosteron. Okej, jak na razie przyjmujemy to takie, jakie jest, bez wyjaśnienia. Niewykluczone, że pomogła im w tym psychoistota, kto wie? Ale mnie się wydaje, że w wiadomości Silvy ważniejsze jest co innego... – Tymur uniósł palec niczym mówca na trybunie – ...boty nie *obrabowały* aptek, boty *dogadały się* z Chilijczykami, że ci napadną na apteki i przyniosą im aldosteron.

Na moment świadomość Ralfa zwinęła się w kłębek. Neurochemik odgrodził się ścianą od reszty załogi. Nie potrafił sobie wyobrazić, że efemeryczne, bezcielesne stworzenie mogłoby się posunąć aż tak daleko. Niech się wydaje jak najbardziej rzeczywiste, ale i tak zawsze będzie istniało poza realnym światem. Kanadyjczyk nie mógł uwierzyć, że wybredny dzinn, wypuszczony z mózgow dwunastoletnich chłopców, który dostaje świra od jaskrawych obrazków, zdołał samodzielnie odszukać aldosteron. Tego już racjonalny umysł uczonego nie ogarniał. Dlatego też, jako zwyczajny, racjonalnie myślący naukowiec, Ralf postąpił tak jak zwykle: chwycił się najprostszej myśli. Boty nie *dowiedziały się* o hormonie, botom ktoś o tym *powiedział*. Wobec tego nie musiały się *dogadywać*. Ktoś dla nich ten aldosteron zdobył. Jednak neurochemik natychmiast odegnał od siebie tę prawie bluźnierczą myśl. Kto byłby do tego zdolny? I po co? Nonsens. Taka hipoteza tym bardziej nie miała racji bytu.

– I spróbujemy się z nimi dogadać. – Ukrainiec spojrzał na nich, po czym przeniósł palec na ekran. – Jeśli psychoistota będzie chciała się z nami skontaktować, wykorzystamy ją, żeby spokojnie, bez rozlewu krwi, doprowadzić boty do „Żłobka”.

– Aha. – Na twarzy Rina pojawił się sarkastyczny grymas. – Jasne. Gdyby straszyć strusia z częstotliwością pięćdziesięciu herców, można by go wykorzystywać jak młot pneumatyczny.

– To ciekawy pomysł... i odważny, ale... no nie wiem. – Ralf spojrzął z ukosa na Południowoafrykanina. Teraz jemu przypadła rola kierownika projektu: Kanadyjczyk milcząco prosił Headhuntera o zgodę na przeprowadzenie takiej operacji.

Niespodziewanie dla wszystkich Rino ustąpił:

– Jak chcecie. Ja też nie wiem. Ale na pustynię więcej nie pojedę. Prędzej zamoczę swoje jaja w acetonie i podpalę je. To pewne. I swoich czarnuchów też nie puszcę... A w zasadzie czarnucha – dokończył posepnie, przypomniawszy sobie, że z całej jego załogi przy życiu został tylko Gotto.

– Można spróbować – wymamrotał Ralf, zawstydzony bezceremonialnym zachowaniem Rina.

– Hej, ludzie! – Laura Dupré starała się przeciwstawić. – Wspominacie tu jakieś listy od informatorów, a ja chcę przypomnieć wam coś innego. Wydaje mi się, że ktoś już zapomniał, jak zeszłej soboty zwiewał przed botami na pustyni, aż się kurzyło. A teraz chcecie te potwory sprowadzić tutaj? Chyba macie nierówno pod sufitem!

– Nie mamy wyboru. – W głosie Tymura zabrzmiały metaliczne nutki. – Ani ja, ani Rino, ani nikt inny nie zgodzi się znów dobrowolnie wyruszyć na pustynię. Sytuacja jest patowa. Nie możemy tak po prostu siedzieć i czekać. Boty nie pomrą teraz tak po prostu. I nie wypuszczą nas stąd po dobroci.

Psychoistota postawiła kropkę w tej krótkiej dyskusji:

◀ JESZCZE DAWAJ JESZCZE NOWE OBRAZKI

– Widzisz? Będziemy mogli, bę-dzie-my mog-li nią manipulować. – W tym momencie Tymur naprawdę wierzył w to, co mówił. Znacząco strzelił palcami, a następnie przebiegł nimi po klawiaturze:

▶ Już ci więcej nic nie pokażę...

◀ DLACZEGO?

▶ Dlatego że tak mi się chce.

– Jakoś niezbyt dyplomatycznie – zauważył Ralf.

Tymur machnął ręką i wbił wzrok w monitor. Czuł, jak serce mu wali aż w ustach, pod językiem. Nieświadomie stuknął paznokciem po blacie stołu.

Przez minutę *ono* milczało. Chłopak oczekiwał burzliwej reakcji, wybuchu złości czy czegoś takiego, tymczasem odpowiedź, która pojawiła się na ekranie, rozczarowała go. Wyglądało na to, że psychoistota się obraziła.

◀ HORT TAK NIE ROBIŁ BARDZO ŹLE TYMURZE ŹLE ŹLE

Niemal od razu pojawiło się drugie zdanie:

◀ CZEGO CHCESZ?

Ono zachowywało się zupełnie jak narkoman.

Laura ze zmęczenia potarła skronie.

– Chciałabym wierzyć – powiedziała – że macie świadomość tego, co robicie, ale... według mnie popełniamy straszne głupstwo. Przyjdą tutaj, wypieprzą nas, zabiorą hormon i będą siedzieć jak w kinie i oglądać te podzielone romantyczne obrazki. Tyle że bez popcornu.

Nikt nie zwrócił uwagi na słowa Francuzki.

► Przyrowadź boty do laboratorium. Będę pokazywać rysunki tylko tym, którzy przyjdą z pustyni. Przyrowadź je dzisiaj.

Znów zapadła długa chwila milczenia. Następnie na ekranie, litera po literze, zaczął się pojawiać tekst:

◀ DOBRZE JESTEŚMY UMÓWIENI BOTY BĘDĄ OBOK LABORATORIUM DZIŚ W NOCY ALE JEŚLI TY KŁAMIESZ LUDZIE ZGINĄ DUŻO LUDZI BARDZO DUŻO LUDZI TYMUR ISTOTA POPROWADZI BOTY DO DUŻYCH MIAST DO TEGO MIEJSCA KTÓRE WY NAZYWACIE BOLIWIA

– Chyba go sprowokowałaś. Zobacz, jak popłynął – powiedział w zamyśleniu Allan, patrząc w monitor.

Coś jednak było nie tak. Ukrainiec ponownie przeczytał koślawą angielszczyznę. Jakiś szczegół tej odpowiedzi nie dawał mu spokoju. Za szybko im się udało. I za łatwo. Śmiesznie łatwo. Tymur miał wrażenie, jakby istota słyszała wszystko, o czym tu mówili, i odpisała dokładnie tak, jak tego od niej oczekiwano. To była dziwna gra, tylko chłopak nie rozumiał, kto ustala zasady.

Najbardziej niepokoiło go zdanie: „Do tego miejsca, które wy nazywacie Boliwią”. Wy nazywacie Boliwią. Coś w nim było nie tak. Skąd boty wiedzą, że to właśnie *my* nazywamy je Boliwią...?

A zresztą, co za różnica? Boty przyjdą. Przecież właśnie tego chciał.

– No i tyle. Czas szykować się na przybycie gości – powiedział chłopak, odwracając się do pozostałych. Spróbował się uśmiechnąć, jednak uśmiech zastygł mu na ustach. W oczach wpatrzonych w niego kolegów czaił się strach. – Mam nadzieję, że nam się uda.

Tymur się mylił. Zwabić boty do laboratorium to było najgorsze, co mógł wymyślić. To tak, jakby posadzić beznogiego kalekę gołym tyłkiem w gniazdo rozdrażnionych os, a potem powiedzieć: „Dalej, chłopie, wszystko w twoich rękach”. I liczyć na to, że mu się uda.

LXXXVIII

Teoria chaosu (czyli teoria nieliniowych układów dynamicznych) powstała jako alternatywa fizyki klasycznej. Jeszcze długo po tym, jak teoria ta wywalczyła sobie prawo do tego, aby nazywano ją nauką, dzięki wyjaśnianiu zjawisk, których fizyka klasyczna bała się nawet tknąć, wielu uczonych uparcie odrzucało osiągnięcia „kolegów-chaotyków”. Nawet w czasach współczesnych w większości podręczników do fizyki i matematyki układom nieliniowych poświęca się dwie lub trzy strony na końcu książki. W dodatku oznajmia się, że takie układy stanowią *niezwykle rzadkie wyjątki*, a porady dotyczące ich rozwikłania sprowadzają się do banalnego sformułowania: przyjmując uproszczenie w modelu, zlekceważyć nieliniowość i w miarę możliwości sprowadzić równania różniczkowe do analogicznych równań liniowych, które mają rozwiązanie[106]. Jeśli nie istnieją analogiczne równania albo przyjęte założenia wypaczają rezultat, matematyka zamyka gębę, opuszcza ręce i... po prostu ignoruje takie układy. Problem polega jednak na tym, że absolutna większość procesów w przyrodzie zachodzi w sposób *nieliniowy*. Ruch galaktyk, wybuchy na Słońcu, prądy oceaniczne, turbulencje, wymiana cieplna, operacje atomowe opisywane są przez takie równania, które powodują, że zwykłym fizykom ciemnieje przed oczami. Wyjątek stanowią akurat systemy liniowe, na których przeanalizowanie

studenci tracą aż dziewięćdziesiąt dziewięć procent swojego czasu. Przecież tak naprawdę Wszechświat jest potwornie nieliniowy. Jest chaotyczny. I nie zmieni tego nawet fakt, że niektórzy naukowcy odwracają się od tej prawdy, wzorem strusia chowając głowę w piasek.

Geometria fraktalna również zrodziła się jako przeciwwaga dla klasycznej geometrii euklidesowej. Geometria euklidesowa nie może opisać formy chmur, zarysów łożysk rzecznych czy morskich wybrzeży, terenów górskich, ruchów Browna itp. Dla geometrii klasycznej powyższe przykłady wydają się zbyt skomplikowane, potwornie nieuporządkowane, chaotyczne, krótko mówiąc, niepoddające się opisom matematycznym. Jak teoria chaosu udowodniła, że za pozornym bezładem kryje się wyszukany porządek, tak geometria fraktalna ukazała, że różnorodność i nadmierne skomplikowanie form naturalnych to tylko przykrywka dla zadziwiającej prostoty.

Przykładami naturalnych fraktali są: układ krwionośny człowieka (rozgałęzienia żył, tętnic i naczyń krwionośnych są podobne, czasami wręcz się powielają, bez względu na skalę, w jakiej dany układ jest rozpatrywany), tchawica (ta sama zasada), turbulencja atmosferyczna (na początku pojawiają się wielkie wiry, w których, jeśli dobrze się przyjrzeć, można dostrzec małe), linia brzegowa (nie da się na oko określić, z jakiej wysokości robione były zdjęcia tego samego wybrzeża, ponieważ przy każdym zbliżeniu w linii brzegowej pojawiają się nowe elementy), a także chmury, drzewa i tereny górskie. Doskonałym przykładem fraktala jest liść paproci. Gdyby powiększać jakąkolwiek część liścia, zawsze otrzyma się strukturę, która idealnie odwzorowuje formę wyjściową.



Nie wystarczy powiedzieć, że geometria fraktalna oraz nauka o układach chaotycznych są wzajemnie powiązane. Są to różne przejawy tego samego zjawiska. Nierzadko przecież się słyszy, że fraktale to najpiękniejszy przejaw chaosu.

LXXXIX

Piątek, 28 sierpnia, 19.12 (UTC -4)
Sala główna bloku DW

- Są!
- Wszyscy?
- Nie wiem, trzydzieści jest na pewno...

Ralf podszedł do telefonu wewnętrznego i wybrał numer pomieszczenia technicznego.

- Oscar, zrób trochę ciemniej. One muszą widzieć obrazki.

Ekran został zainstalowany bez większych problemów. Okazało się, że z Allana Greenlona jest niezły spawacz. W ciągu godziny z ceowników i dwuteowników, które pozostały jeszcze z czasów budowy kompleksu, inżynier zmajstrował na dachu bloku DW dwa słupy w kształcie litery L. Do

słupów przykręcono śrubami kasetę z białym ekranem, przyniesioną z sali kinowej. Po rozwinięciu ekranu płótno podklejono na obwodzie taśmą klejącą, na wszelki wypadek, żeby wiatr go nie zerwał.

Projektor został przyklejony (również taśmą) do krzeselka, które przytwierdzono do skrzynki rozdzielczej systemu wentylacyjnego. Urządzenie przykryto folią, żeby uchronić je przed pyłem.

Jemeljanow pomógł przy kablach – połączył projektor z komputerem z sali głównej. Trzy godziny później konstrukcja była gotowa, więc Tymur poszedł na dach, żeby ustawić ostrość i wyrównać obraz, który wyświetlał się na płótnie.

Tarcza znajdowała się od strony północnej. Przeszawili płótno nieco bardziej na zachód i skierowali je na płaskie wzniesienie, które niczym wysunięty język ciągnęło się z północnego zachodu w stronę kompleksu laboratoryjnego i urywało tuż przed ogrodzeniem. Na sam koniec Ralf Doernberg wyregulował reflektory ustawione na gzymsie, tak żeby oświetlały ten obszar, gdzie prawdopodobnie zgromadzą się boty.

Boty zjawily się tuż po dziewiętnastej, gdy tylko noc zawładnęła światem. Ralf, Rino, Laura, Allan, Igor i Tymur czekali. Tiany z nimi nie było. Powiedziała, że nie chce na to patrzeć. Katsuro też nie przyszedł; cały dzień się nie pokazywał. Steirmann i Gotto zainstalowali się w pomieszczeniu z aparaturą. Mieli kontrolować światło reflektorów i pilnować, żeby boty nie próbowały znowu podkopywać się pod ogrodzenie od południa.

– Przyciemnij reflektory – powtórzył Ralf i odłożył słuchawkę.

Steirmann wykonał zadanie. Światło reflektorów zbladło. Boty podeszły bliżej.

„Malcy” tym razem wyglądali żałośnie. Byli brudni, zarośnięci i strasznie chudzi – tworzyli zgraję półżywych szkieletów. Jedyne oczy raz za razem rozbłyskiwały im złością, odbijając intensywne lśnienie lamp. Dwóch pochyliło głowy i zaczęło chodzić w kółko, podobnie jak tamci, którzy się zawiesili w czasie walki nad Puritama. Większość botów rozsiadła się na głazach lub bezpośrednio na piasku, z dala od środka oświetlonego kręgu. Kilka z nich zasypiało na stojąco. Boty przypominały teraz bezdomnych chłopców, którzy nie wiedzą, co robić i gdzie się podziać. To był smutny widok. Tym bardziej że istnienie psychoistoty w pewnym stopniu je rehabilitowało.

Tymur włączył odbiornik. Wiadomość już na niego czekała:

◀ BOTY SĄ TU

▶ Cudownie. Więc będziemy kontynuowali.

Chłopak wyświetlił na cały ekran przygotowany zawczasu rysunek: kolejną wersję zbioru Mandelbrota, powiększenie symetrycznych igieł, na których Tymur zakończył poranny pokaz fraktala.

▶ Podoba się?

Zapadła cisza...

Większość botów pogrążona była w półśnie, przypominając osy w listopadzie – ledwo żywe, ale wciąż gotowe uządlić. „Malcy” panicznie potrzebowali snu. Tylko trzech albo czterech z nich wpatrywało się w ekran projekcyjny. Czasami któryś oddalał się dosłownie na pół kroku, padając z nóg. Jego miejsce zajmował następny, chociaż ani razu liczba „wiedzów” nie przewyższyła czterech. Możliwe, że psychoistocie to wystarczyło.

Minęło kilka minut.

– Dlaczego *ono* się nie odzywa? – Laura się nachmurzyła.

– Nie wiem. – Tymur przygryzał wargi. – Myślę, że milczenie należy interpretować jako... pochwałę. Może tego potwora aż zatkało od tego... tego...

Dziewczyna sceptycznie spojrzała na Ukraińca.

– Jesteś pewien?

Czas mijał. Pozostawiwszy obrazek na ekranie, Tymur szykował kolejny; cholera wie, jak bardzo zagłębił się w tym celu w zbiór Mandelbrota. Niczego przy tym nie wymyślał. Przybliżył środkową część poprzedniej figury. Rysunki stawały się coraz bardziej zawile. Wnętrze fraktala przypominało jednocześnie i otchłań oceanu, i odległe kosmiczne galaktyki, i coś bardzo znajomego: błyskawice lub rozgałęzienia naczyń krwionośnych.

Obrazek znalazł się na ekranie. Boty się poruszyły. Tymur zastanawiał się, czy czasem mu się to nie przywidziało. Czy rzeczywiście w zachowaniu botów zaszła jakaś zmiana, po tym jak podmienił rysunek, czy mu się tylko wydawało, bo czekał, żeby boty jakoś zareagowały?

Po trzydziestu sekundach był już pewien: żadnej przemyślanej reakcji nie było. Nic zbliżonego do tego, co działo się z „malcem” dziś rano.

– Chłopie, a my co, będziemy tak siedzieć i tępo się w nich wpatrywać? – odezwała się Laura, nerwowo wycierając dłonią usta. Jej ciemne oczy wyglądały, jakby od środka podświetlały je dwie latarki kieszonkowe, tak błyszczały spod okularów. Dziewczyna coś wymyśliła. – A co będziesz robił, kiedy skończą ci się fraktale? – zapytała Tymura.

– Nie wiem – odpowiedział chłopak gniewnie. – Spróbuję się dogadać.

– Ta, jasne, dogaduj się – z naciskiem powiedział Ralf.

Tymur zupełnie mechanicznie dokonał jeszcze jednego zbliżenia, podobnie jak poprzednio powiększając środkową część rysunku, otrzymanego uprzednio. Kardioda, którą Rino Headhunter ochrzcił mianem „dupy z brodawkami” i która, jak się wydawało, na trzech ostatnich arkuszach zupełnie już zanikła, nagle znów się pojawiła.

– Ty, patrz, znowu to – neurochemik nie potrafił ukryć zaskoczenia.

Na pasku stanu w dolnej części obszaru roboczego generatora fraktali wyświetlił się komunikat, że Tymur osiągnął powiększenie dwa tysiące razy. Nikomu, poza Allanem, który miał wcześniej do czynienia z fraktalami, coś takiego nie mieściło się w głowie. Wyobraźcie sobie, że zaczynacie oglądać człowieka najpierw przez szkło powiększające, stopniowo przechodząc do mikroskopu cyfrowego, za którego pośrednictwem możecie dostrzec molekuły... aż tu nagle pośród nich natrafiacie na dziwne ludziki – idealną kopię człowieka, od którego zaczynaliście obserwację. Można narobić w gacie. Bez kitu.

Programista zapisał rysunek w formacie JPG, ale nie skopiował go na ekran zewnętrzny. Laura powstrzymała jego dłoń.

– Wiecie co, mam lepszy pomysł. – Dziewczyna podniosła się, przeszła przez pokój i usiadła na krześle obok Rosjanina. – Panie Jemeljanow, mogę pana o coś zapytać? – Zadała to pytanie poufale, patrząc Igorowi w oczy.

– Eee... tak – burknął mężczyzna.

– Czy w pańskim laptopie... – Laura wskazała palcem komputer Igora; zażywny profesor podejrzliwie ściągnął brwi. – Tak, akurat w pańskim laptopie... czy ma pan tam jakąś pornografię? – Dupré zadała pytanie takim tonem, jakby chciała wiedzieć, czy przypadkiem u Rosjanina nie zapodziała się gdzieś empetrójka z szóstą symfonią Beethovena.

Jemeljanow zrobił się czerwony na twarzy. Zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Przyniósł tu swojego laptopa na prośbę Tymura, żeby na wszelki wypadek mieli pod ręką jakiś komputer niepołączony z projektorem na dachu.

– Co?

– Przecież to pana prywatny laptop. Ma pan jakieś porno? – bezceremonialnie powtórzyła Laura.

– Nie rozumiem... – wybełkotał Rosjanin, purpurowiejąc jeszcze bardziej. Ręka powędrowała do szyi. Rozluźnił kołnierzyk i zaczął się po niej drapać. Pod koszulą Igora ukazały się nabrzmiałe cętki. Pod paznokciami Jemeljanowa zostały resztki skóry i krew.

– Och, proszę się już nie wstydzic – powiedziała Laura. Wszyscy obecni w sali odwrócili głowy. Pani psychiatra nalegała dalej: – Wiem, że pan ma. Niech pan będzie tak uprzejmy i podzieli się z nami jakimś pieprzonym filmem. I proszę tak na mnie nie patrzeć. Chcę urządzić botom kino.

Tymur nie mógł zrozumieć, w jakim celu Laura rozpoczęła ten temat.

– Po cholere mamy im pokazywać pornografię?

Dziewczyna odwróciła się do Ukraińca.

– Gratuluję sukcesów, Tymurze. Ale nie zachwycaj się tak swoimi obrazkami. Przypuszczam, że boty (jako organizmy biologiczne) i ta niepojęta forma odwzorowania rzeczywistości, z którą się zetknęliśmy, to... ekhm... jak by to powiedzieć... to dwa odrębne istnienia...

– Wy tłumacz, co masz na myśli.

– U normalnych, zdrowych ludzi świadomość to rodzaj wyższej osłony psychicznej wszelkiej działalności, swoista bariera, która nie wypuszcza na zewnątrz tego, co nieświadome. Nie pozwala podświadomości wpływać na działania i podejmowane decyzje. Przynajmniej w formie jawnej. Boty nie mają jednolitej świadomości, została zniszczona przez elektrowstrząsy. Gdy Keitaro torturował w ten sposób niemowlęta, myślał, że likwiduje zapory stojące na drodze do pożądanego funkcjonowania płatów mózgowych. Nie podejrzewał, że tym samym otwiera drzwi dla podświadomości. Po tym jak Igor Jemeljanow opracował system wymiany danych, złączywszy w jedną sieć procesory mózgowe botów, rozerwane strzępy podświadomości zyskały możliwość zlania się w jedną całość. I nie było niczego, co mogłoby stanąć im na przeszkodzie. W rezultacie zaszedł proces połączenia, wskutek czego otrzymaliśmy psychoistotę. Ja tak samo jak wy nie wiem, czym *ono* jest i jak

powinniśmy je nazywać. Ale jednego jestem pewna – zwróciła się do Tymura – to dziwo istnieje niezależnie od „malców”. *Ono* nie siedzi w ich głowach ani w ich płatach mózgowych. *Ono* kieruje botami, *ono* współdziała za ich pośrednictwem z naszym światem, ale boty nie są *nim*. Pokazując fraktale, nie zwracasz się do „malców”, lecz do tego, co chowa się za ich oczami, komunikujesz się z istotą, która stała się czymś w rodzaju nadświadomości, i jednocześnie zapominasz o najważniejszym: o tym, że musimy zniszczyć boty.

– Ale...

– Żadnych „ale”! – przerwała mu Laura. Dziewczyna była wyjątkowo nieugięta. – Uważam, że w zasadzie nie ma możliwości zniszczenia tej formy psychicznego odwzorowania rzeczywistości. *Ono* jest w każdym z nas, ale jednocześnie istnieje poza nami i... w ogóle poza materią. Spełniając jego zachcianki, tylko marnujesz czas. *Ono* zwabiło tu boty, ponieważ nie przejmuje się ich losem. „Malcy” to wyłącznie środek. Poprosiłam Jemeljanowa o hardcore’owe filmy nie po to, żeby się ponabijać. Chcę bezpośrednio dotrzeć do botów. Chcę się przebić do tych resztek człowieczeństwa czy raczej... zwierzęcości, które się ostały po przeprowadzeniu terapii elektrowstrząsowej, zastosowaniu milionów rojów nanorobotów, przyspieszonej ewolucji w świecie zewnętrznym i po tym, jak kontrolę nad nimi przejęła na wpół szalona psychoistota. To jedyna szansa, żeby sobie z nimi poradzić.

– Wyświetlając im pornola? – Tymur zmrużył oczy.

– Popatrz na nich. Boty mają teraz po dwanaście lat, chociaż fizycznie wyglądają na czternasto-, piętnastolatków. Gdybyśmy normalnemu chłopakowi w tym wieku pokazali pornola, dym by mu poszedł uszami z podniecenia. Nie mógłby myśleć o niczym innym. Chcę się przekonać, za pośrednictwem pornografii, czy zachowały się w botach jakieś instynkty charakterystyczne dla człowieka i czy możemy się do nich zwrócić z pominięciem procesorów mózgowych i psychoistoty. Rozbudziwszy w botach seksualność, wyprowadzimy je z równowagi, zmusimy do utraty kontroli, a wtedy...

– Co wtedy?

– Mam pewien pomysł... – Laura się zacięła. – Ale niczego nie zdradzę, póki nie zobaczę, jak zareagują na wyuzdaną scenę łóżkową.

– Igorze – odezwał się Tymur, odwracając wzrok – jeśli masz filmy... hm... o takiej tematyce, proszę cię, przerzuć je tutaj. – Chłopak przesunął po stole pamięć USB.

Jemeljanow najpierw zmarszczył czoło i odsunął się od pendrive'a. Po chwili jednak powoli, jakby przeciskał się przez grubą warstwę wody, przybliżył się i podniósł klapę laptopa. Patrzył przy tym gdzieś w dół, nie na monitor ani na klawiaturę. Jego plecy były wyprostowane.

Gdy system się załadował, Rosjanin włożył pena do portu. Jego twarz zrobiła się fioletowa, a koszula pod pachami pociemniała.

Dało się słyszeć gorączkowe kliknięcie myszką i na ekranie zamigłały okna programu Eksplorator Windows. Potem nastąpiła długa przerwa, urażone westchnienie i w końcu ostatnie podwójne kliknięcie. Jemeljanow otworzył katalog „Ciekawe zdjęcia z daczy”.

– Oho – wypalił Tymur; przygryzł wargę, żeby nie parsknąć śmiechem. Rozbawiła go i nazwa katalogu, i jego zawartość. W środku było około pięćdziesięciu podkatalogów, których tytuły nawiązywały do nazwisk gwiazdek porno: Alexis Amore, Jenna Jameson, Lanny Barbie, Shyla Stylez, Sunny Leone, Tera Patrick itd.

– Życzy pani sobie... – odezwał się profesor, nie podnosząc wzroku – coś konkretnego?

– To bez znaczenia – odparła Laura, uśmiechając się krzywo. – Nie liczyłam na taki... hm... duży asortyment, dlatego może wybierze pan coś według uznania.

Twarc Igora Jemeljanowa pociemniała jeszcze bardziej. Przesuwając myszkę, kliknął dwa razy na katalog „Shyla Stylez” i zasepił się, przebiegłszy oczami długą listę plików wideo. W końcu się zdecydował i przeciągnął jeden z nich na pendrive'a Tymura.

– *Voilà une personne qui ne s'est pas ennuyée tout ce temps*^[107] – nie wytrzymała Dupré.

– Dziękuję. – Ukrainiec kiwnął głową i wziął pamięć USB.

Na monitorze głównego komputera, a co za tym idzie, na ekranie zamontowanym na dachu, wciąż wyświetlał się zbiór Mandelbrota. U botów też nic się nie zmieniło.

Kiedy programista umieścił pen w porcie komputera, na ekranie odbiornika pojawiła się nowa wiadomość:

◀ JESZCZE

– Ha, zasrany władco marionetek. – Tymur się uśmiechnął. – Mandelbrot ci nie podpasował.

– Poczekaj z tym entuzjazmem. – Laura nie chciała cieszyć się przedwcześnie. – Wcześniej czy później mu się znudzi. Wystarczy tych pawich kolorowanek. Lepiej pokaż mu obrazki dla dorosłych.

Uśmiech zniknął z twarzy Tymura. Programista schylił się i wystukał:

▶ Zaraz. Poczekaj.

Chłopak przerzucił plik z pendrive'a na pulpit głównego komputera, uruchomił go i powiększył okno Media Playera na cały ekran. Niestety, nikt nie zwrócił uwagi na to, że filmik jest dość krótki. Trwał tylko sześć minut i dwadzieścia dwie sekundy i była to kompilacja kilku epizodów. Możliwe, że Jemeljanow specjalnie taki wybrał, a może po prostu nie miał dłuższych. Takie kawałki zazwyczaj dostępne są w internecie i można je sobie ściągnąć.

Pojawił się lakoniczny komunikat, który ostrzegał, że zawartość następnego wideo przeznaczona jest tylko dla osób pełnoletnich. Następnie rozpoczął się film. Dwóch napakowanych gości, których debilowate fizjonomie nie wyrażały kompletnie nic, starannie posuwało piersiastą blondynę o imieniu Sheila. Jednocześnie z przodu i z tyłu.

Większość zebranych w pokoju konferencyjnym mężczyzn od kilku tygodni była pozbawiona seksu. Nie tylko samego seksu, ale i wręcz sugestii seksu. Oprócz Laury, Bekki, Tiany i Alondry nie oglądali żadnych kobiet. Przy czym Laura kategorycznie odrzucała wszelkie zaloty, Tiana miała już swoje lata, Alondra – kiedy jeszcze żyła – sypiała z Jeffreyem Tuckerem, a Rebecca zdecydowanie łaskawszym okiem spoglądała na czarnoskórych młodzieńców z bandy Rina. Ponadto nie mieli dostępu do internetu, żeby chociaż w ten sposób móc sobie ulżyć. I raczej nikt poza rosyjskim profesorem nie był zaopatrzony w zapasy na czarną godzinę. Rzecz jasna po pierwszych scenach natura wzięła górę. Zamiast patrzeć przez okno na boty, mężczyźni, niczym zahipnotyzowani, wpatrywali się w ekran monitora.

– A co oni z nią... robią? – Ralf pochylił głowę i poprawił okulary na nosie. – Czy to w ogóle możliwe? – Na tych kilka minut zapomniał o swoich problemach z sercem. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich czterech lat.

– Uff... ostro – zarzął Amerykanin, dwoma palcami polerując łysinę. – Pięknie! Po prostu... mmm... malowniczo...

– Jeszcze mógłby włożyć jej do nosa – wypalił Rino, przetykając głośno ślinę.

Boty patrzyły na to samo. Obraz wyświetlał się na zewnętrznym ekranie.

Laura pierwsza oderwała się od komputera.

– Spójrzcie! – zawołała.

Tymur odwrócił głowę.

– Pobudziły się!

Na oświetlonym placyku, gdzie wcześniej kręciły się trzy lub cztery boty, zebrał się ich cały tuzin. Niektóre z nich miały jeszcze na biodrach poszarzałe od brudu kąpielówki, większość jednak była naga (ubrania już dawno podarły się na kawałki). Członki „malców” nabrzmiały i uniosły się niczym lufy działek przeciwlotniczych, wycelowane w ekran. Boty pożerały go oczami.

– Naprawdę? – Kanadyjczyk niechętnie oderwał wzrok od monitora.

– Tak!

– Ja pierdziele! Tylko popatrzcie! – Allan podskoczył do okna.

Boty zbliżały się jeden po drugim i, niczym zombi, wyłaziły na światło. Po chwili wszystkie, absolutnie wszystkie, zastygły; stały jak wrośnięte w ziemię, nie spuszczając wzroku z płótna na dachu.

– A nie mówiłam? – wyszeptała Laura, błyskając oczami.

Nagle „malcy” zaczęli kołysać się nierównomiernie i astmatycznie otwierać usta, niczym ryby wyrzucone z wody na brzeg.

– Dziwne... – Amerykanin przycisnął nos do szyby.

– Wygląda na to, że stękają – zauważył Tymur.

– Właśnie. Wręcz płoną z pożądania – rzeczowo wyjaśniła pani psychiatra.

– Nie wiedzą, jak się pozbyć nagromadzonej w nich energii seksualnej. Najważniejsze jest to, że boty odczuwają, co oznacza, że możemy nimi manipulować.

– Serio? – Ukrainiec nagle uwierzył, że uda im się poskromić i „cholernego władcę”, i jego marionetki.

– Bez kitu.

– Dziewczyno, jeśli to prawda, jesteś pieprzonym geniuszem.

W tym czasie na ekranie podłączonym do odbiornika pojawiło się zdanie:

◀ CO TO?

Laura i jej koledzy byli skoncentrowani na tym, co się dzieje za ogrodzeniem kompleksu, dlatego nikt niczego nie zauważył.

Tymur podsunął się z krzesłem do parapetu i poprosił:

– Panie Ralfie, mógłby pan dodać trochę światła?

Kanadyjczyk podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego.

– Gotto, to ty? A gdzie Steirmann? Wyszedł? Okej. Nie, nic, nic, po prostu dodaj trochę światła.

Reflektory mocniej zaświeciły. Boty nie zareagowały. Żaden z nich się nie zasłonił ani nie uciekł do cienia. Tymur pokiwał głową.

– Nie widzą niczego oprócz ekranu – stwierdził. – Są otepiałe. To niewiarygodne!

Gdy Ukrainiec będzie później wspominał wydarzenia tego szalonego wieczoru, dojdzie do wniosku, że właśnie to niedbale rzucone zdanie sprowokuje Rina do działania.

– A czy seksualność nie jest czasem efektem działania podświadomości? – słabym głosem odezwał się Ralf. Wciąż nie mógł się zdecydować, gdzie patrzeć: na boty czy na porno.

– To bzdura! – autorytatywnie uznała Laura. – Bezmyślne przeinaczenie koncepcji Freuda. Pociąg seksualny zawsze *jawnie* wpływa na ludzkie zachowanie. Możemy się z tym nie zgadzać, możemy wymyślać nieprawdziwe motywy, żeby zatuszować przyczyny swoich zachowań, ale tak właśnie jest. Nie do końca właściwie rozumie pan pojęcie nieświadomości, panie Ralfie. Obrazy erotyczne, fantazje, pożądanie to część aktywnej świadomości. Na ogół są to efekty zewnętrznych podniet. Czasem, nawet jeśli człowiek stara się nie myśleć o seksie, tak czy inaczej odczuwa, że kierują nim pragnienia cielesne, co jednak nie oznacza, że myśli o seksie wydostają się z jego podświadomości. Obrazy erotyczne są ponętne i uwodzicielskie. Człowiek lubi na nie patrzeć... To, co naprawdę nieświadome, jest złe i straszne, toteż zawsze pozostaje w cieniu. No, prawie zawsze...

Pytanie na ekranie powtórzyło się:

◀ CO TO?

I ponownie nikt nie zwrócił na nie uwagi.

Tymczasem jeden z drągali zbliżał się do momentu kulminacyjnego. Stękając i jęcząc, wyciągnął swojego fiuta z Sheili i zaczął się masturbować, szykując się do tego, aby zalać fontanną spermy silikonowy biust partnerki. Scenę tę sfilmowano w zbliżeniu.

– Faj. – Ralf się skrzywił i odwrócił.

I stało się to, czego nikt się nie spodziewał, ale co można było przewidzieć. Jeden z botów zaczął powtarzać *to, co zobaczył*. Wystarczyło, aby podniecony „malec” kilkakrotnie dotknął swojego członka, a już szczytował. Odrzucił głowę do tyłu i zawył z zadowolenia. To bardzo proste: raz-dwa! – operacja się udała, w makówce utworzyło się nowe makro. Dalej następuje transfer do sąsiednich procesorów i... bingo! Boty już wiedzą, jak się pozbyć nagromadzonej energii seksualnej. Żadna z osób zgromadzonych w pokoju nie zdążyła mrugnąć, a już pozostałe boty powtarzały to, co zobaczyły.

– W mordę, powiedzcie mi, że śnię – wychrypiał Ukrainiec i nagle wybuchnął śmiechem.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – powiedział Ralf. – To ohydne.

– Jak w filmach Tarantina... A gdzie tam! Quentin wysiada.

Trzydziestu dwunastoletnich chłopców stało w rozkroku pośrodku pustyni, pozerając wzrokiem szeroki ekran i jednocześnie poruszając rączkami. Dziarska energia seksualna wypływała z nich potężnymi białymi strumieniami.

– *Oh là là* – skwitował Allan Greenlon. – Do wszystkich naszych przestępstw można będzie teraz dodać zdeprawowanie nieletnich.

Laura też się uśmiechnęła.

– Słuchajcie, jeśli ich tak zostawimy, może zatrzepią się na śmierć?

– Nie wiem, czy na śmierć. Ale jeśli w ciągu trzydziestu minut się nie uspokoją, to połowa z nich z pewnością poobrywa sobie siusiaki.

– Ha, ha, ha! – Laura niespodziewanie się roześmiała, ukrywając twarz w dłoniach. – Allan, wyobraź sobie, co by było, gdyby Pentagon wykorzystał boty jako broń. – Dziewczyna paplała jak bohater jakiejś kreskówki. Jej akcent stał się nie do wytrzymania.

– To znaczy? – dopytywał Greenlon.

– Wyobrażam sobie nagłówek w „USA Today” albo w „New York Timesie”: „Wczoraj oddział specjalny podczas szturm na umocnienia terrorysty Aidida w centrum Mogadiszu, w Somalii, natrafił na plakat z Jenną Jameson. Szturm został odwołany. Dwóch żołnierzy nie udało się uratować – oderwanie organów płciowych – pozostali znajdują się pod obserwacją. Lekarze oceniają ich stan jako ciężki, ale stabilny”.

– Trzeba było pokazać im porno dla gejów. To dopiero mielibyśmy widowisko!

Amerykanin tak się śmiał, że aż dostał czkawki. Tylko Rosjanin milczał, wpatrując się tępo, a zarazem czujnie w swojego laptopa.

Nagle Laura Dupré kątem oka spostrzegła nowe wiadomości na czacie i z nikim się nie konsultując, odpisała ochoczo:

► Co to? To taki fraktal, kolego! Nazywa się Threesome.

I po chwili zastanowienia dodała emotikonkę:

► Baw się dobrze :-p

Było mało prawdopodobne, żeby *ono* zrozumiało buźkę, jednak odpowiedź psychoistoty wywołała powszechną konsternację:

◄ NIE NIE TO NIE TO! RINO

Zdanie niby podobne do poprzednich, gdyby nie to słowo „RINO” na końcu. Laurze zrobiło się głupio i przestała chichotać. Imię biło po oczach. Dziewczyna chciała coś odpisać, ale ręce same zsunęły się z klawiatury. Dupré z przejęcia przeciągnęła palcami po ustach. Tymur dostrzegł ten gest.

– Co *ono* pisze? Nie podoba mu się, tak?

– Nieee... Chodzi o coś innego. Podejdź, proszę.

Ukrainiec odszedł od okna, zerknął na monitor i przebiegł oczami ostatnie wersy. Gdy tak stał i czytał, psychoistota znów się odezwała:

◄ NIECH ON TU NIE IDZIE RINO RINO!!!

– Co to oznacza? – Programista się zdenerwował.

Kanadyjczyk dołączył do nich.

– Coś się stało, dzieci?

Boty kończyły z trudem, dłużej, ale masturbowały się bez ustanku.

– Nie wiem. – Laura pokręciła głową i nagle krzyknęła: – A gdzie ten cholerny Headhunter?!

Allan i Ralf aż podskoczyli. Tymur rozejrzał się dokoła. Południowoafrykanina nie było w pokoju.

– Poszedł zwalić konia, he, he – zażartował Greenlon.

Nawet Ralf Doernberg zachichotał, chociaż Tymur wyczuwał, że nikomu nie jest teraz do śmiechu. Laura zbladła i po raz drugi potarła dłonią usta. Coś się działo, i nikt nie rozumiał co.

– Minutę temu tutaj był.

– Wiem. Ale gdzie jest *teraz*?!

XC

Headhunter wyszedł ze swojego pokoju w skrzydle sypialnym bloku DW. W prawej ręce niósł podłużny przedmiot zawinięty w nylonowy pokrowiec, pod pachą lewej ręki ścisnął kołdrę zwiniętą w rulon. Nie wrócił do sali konferencyjnej, lecz skierował się do wyjścia awaryjnego. Pospiesznie, wtulając głowę w ramiona, wbiegł schodami na górę. Kilkakrotnie mu się wydawało, że ktoś się za nim skrada, ale za każdym razem, kiedy się odwracał, nikogo nie było.

Przed drzwiami prowadzącymi na dach bloku mieszkalnego Rino się zatrzymał i rozpiął pokrowiec. W środku znajdował się karabin snajperski SSG-69[108] z lufą kutą na zimno i kolbą z drewna orzechowego. Przed wyprawą do Ameryki Południowej Headhuntera uprzedzono, że nie warto brać ze sobą broni dalekiego zasięgu, gdyż nie będzie z niej wielkiego pożytku. Rino nie usłuchał i przywiózł swoją wierną „austriaczkę”. To był stary, ale niezawodny karabin z wymiennym magazynkiem na pięć naboji. Rino miał tylko dwa zapasowe magazynki, czyli w sumie piętnaście nabojów.

Wielkolud odrzucił futerał, zamocował celownik optyczny i włożył pierwszy magazynek. Westchnął głęboko. Odegnął daleko od siebie myśli, że w ciemności za drzwiami może na niego czekać jednooki Bill... albo coś w tym stylu. Starał się przemóc, jednak nie opuszczało go okropne poczucie,

że tuż obok ktoś stoi i śledzi każdy jego ruch. Trzymając karabin przed sobą, Headhunter otworzył drzwi na oścież i wstrzymał oddech, gotowy w każdej chwili wystrzelić. Przyćmione światło otoczyło całą jego sylwetkę, wyslizgnęło się na dwór i przykleiło do betonowego pokrycia stropu budynku. Ciemności nie były tak gęste, jak Rino się spodziewał. Promienie projektora, a także blask bijący od płótna dość dobrze oświetlały płaski dach.

Headhunter zrobił krok naprzód i podłożył pod drzwi rulon z kołdry, żeby się nie zatrzasnęły (zamykały się automatycznie i nie można ich było otworzyć z zewnątrz). Następnie olbrzym pochylił się i pobiegł do najbliższego reflektora, uważając, żeby jego cień nie był widoczny z pagórka, na którym masturbowały się boty.

Ułożył się na wyziębionym betonie i położył przed sobą karabin. Poleżał tak sekundę, może dwie, po czym wyciągnął rękę i zdjął celownik optyczny. Nie był potrzebny. „Malcy” znajdowali się tuż obok, na dole, za ogrodzeniem. Headhunter przycisnął broń do ramienia, przyłożył do niej policzek i... zawahał się. Miał na muszce dwunastoletniego chłopczyka. Bez dwóch zdań był to wyrodek. Ale jednocześnie dziecko, które po raz pierwszy w życiu się onanizuje z bezradnie wybałuszonymi oczami. Najemnik nigdy nie bawił się w sentymenty, lecz jeszcze nigdy nie strzelał do dzieci...



Karabin wyborowy SSG-69

XCI

Ono zaprotestowało raz jeszcze:

◀ ZATRZYMAJCIE GO!!!

Dobry nastrój uleciał z sali głównej.

– Według mnie nasz afrykański bawół zaraz się doigra. Tylko mi nie mówcie, że ten sukinsyn schodzi do nich – próbował żartować Allan. – Przecież tam rozerwą go jak jakąś ostatnią dziwkę!

Jednak ostatecznie przeszła im chęć do żartów, kiedy... rozległ się pierwszy wystrzał. Niezbyt głośny. Tak jakby gdzieś złamała się gałąź.

– Co to za dźwięk? – Ralf Doernberg się wzdrygnął.

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy rzucili się do okien. Nawet Jemeljanow zerwał się ze swojego miejsca.

Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Boty, wytrzeszczywszy zaczerwienione oczy, wciąż pracowały rękami. Trudno było uwierzyć, że coś jest nie tak. Ludzie nie od razu zauważyli, że jeden z „malców” rozciągnął się na piasku z niewielką dziurą idealnie nad nosem, nieco wyżej linii brwi. Zwrócili na to uwagę dopiero wtedy, gdy...

...Padł drugi strzał. Kolejny bot zwałił się na plecy. Cały czas próbował tarmosić swój członek, ale z dziury w gardle wyciekała krew, ciągnąc za sobą życie. Pięść się rozluźniła, ręka opadła na piasek. A co najdziwniejsze – pozostali nawet nie odwrócili głów.

– On ich rozstrzeliwuje – ni to spytał, ni to stwierdził Kanadyjczyk.

Laura szarpnęła prawą dłonią swoje krótkie włosy.

– Cholera, nieee... Zatrzymajcie go! Pieprzony orangutan! Neandertalczyk! Tak nie można. Tylko nam zaszkodzi.

– Gdzie on się przyczaił? – Tymur nie rozumiał, dlaczego „tak nie można”, ale intuicyjnie wyczuwał: źle robią... i jeszcze zapłacą za uczynki Headhuntera.

– Na dachu!

Naturalnie Południowoafrykanin nikogo nie słyszał. Kolejne trzy wystrzały nastąpiły jeden po drugim. Trzy boty zwały się na ziemię.

XCII

Rino pośpiesznie przeładował broń; działał jak zwierzę – instynktownie. Triumfował. Można było odnieść wrażenie, że jego palec krzesze iskry o język

spustowy. Wytrzeszczone oczy najemnika płonęły szalonym ogniem. To była jego osobista zemsta za Dolinę Śmierci.

„Malcy” dalej się masturbowali. Rino patrzył na nich i nagle zaczął rechotać. Dziki rechot rozciągnął ściśnięte usta i poniósł się po nocnej pustyni.

– Sukinsyny... sucze syny... – wycharczał olbrzym, tłumiąc histeryczne rżenie.

Umieścił nową kulę w komorze naboju i coś mu przyszło do głowy. Przestał celować w głowę czy w serce. Przekonawszy się, że boty nie są w stanie się wyrwać ze szponów seksualnej manii, Headhunter zrozumiał, że ma wystarczająco dużo czasu. Od tej pory postanowił strzelać tak, żeby nie zranić, lecz zadać jak najwięcej bólu. W brzuch, celując jak najbliżej kręgosłupa, albo w prawą część piersi – jak najdalej serca. Aby śmierć była powolna i bardzo, bardzo, bardzo bolesna.

Padł następny strzał.

– Skurwysyny! Jak wam się to podoba, co? Boicie się? Ha, ha, ha! – Śmiał się do rozpuku. Po prostu nie mógł się powstrzymać. – Skurwiele...

Kolejne boty padały, ale nie zastygały w bezruchu. Już trzech chłopców leżało na ziemi, zwijając się z bólu i skamłąc, jak psy potrącone przez ciężarówkę. Ziemia robiła się czarna od krwi.

XCIH

– *Твою мать*[109]... – powiedział Igor po rosyjsku. – *Твою мать*.

Gdy przebrzmiał dziewiąty celny strzał, na ekranie odbiornika pojawiło się zdanie:

◀ ZGINIECIE DZIŚ WSZYSCY ZGINIECIE

Tym razem komunikat nie wyświetlał się litera po literze, wyskoczył w całości. A potem pojawiła się jakaś chińszczyzna:

◀ 8#0A&ρTh3 3450ÿ008phu!!!

Nikt nie zwracał uwagi na okienko czatu. Wszyscy wpatrywali się w jaskrawo oświetlony reflektorami pagórek.

Rino wystrzelił drugi magazynek. Z nerwów raz spudłował. Zaczepnął tchu, powstrzymując klucie spowodowane wściekłością, które odczuwał całym swoim wielkim cielskiem. Zostało mu tylko pięć naboji, nie mógł sobie pozwolić na kolejne pudło. Bardzo żałował, że posłuchał tych mądrali, tych zasranych naukowców-maniaków, i nie wziął więcej amunicji. Rzuciwszy okiem na budkę z drzwiami, które prowadziły do wnętrza budynku, uspokoił się. Kołdra leżała na swoim miejscu. Ze środka wydobywało się równomierne czerwone światło. Opuściło go poczucie, że jest obserwowany.

Zmienił magazynek, przyłożył policzek do kolby i wycelował. Tym razem udało mu się strzelić tylko raz. Kolejnym botem szarpnęło, po czym upadł na prawy bok. A potem na tarasie nagle zrobiło się ciemno.

Filmik porno się urwał. Projektor nie rzucał światła na ekran.

Rino nie od razu zorientował się, co się stało, dlatego trochę stchórzył. Uśmiech zniknął natychmiast z jego twarzy. Ekran wisiał z boku i nie mógł nic na nim zobaczyć.

„Malcy” przestali się onanizować i zaczęli kręcić głowami. Wyglądało tak, jakby dochodzili do siebie po długiej śpiączce.

Południowoafrykanin po namyśle prawie odgadł przyczynę tego stanu. Doszedł do wniosku, że ktoś z tamtych maniaków specjalnie zatrzymał projekcję, żeby przerwać rzeź. Zaklął siarczyście. Szybko się jednak opanował, bo dotarło do niego, że boty wkrótce oprzytomnieją, więc czasu jest już teraz niewiele. Skoncentrował się. Wziął na cel najbliższej stojącego „malca”, który kręcił dziko głową, i...

Zmianę w zachowaniu botów dostrzegli również obecni w sali konferencyjnej.

– Coś się zmieniło – zauważył Allan z niepokojem. – Boty odkleiły się od ekranu. One się budzą...

Tymur pierwszy podszedł do okna i obrzucił spojrzeniem grupkę niemrawych chłopaczków. Dotarło do niego, że przyczyna nie tkwi w „malcach”. Coś zmieniło się *tutaj, u nich*. Programista podszedł do głównego komputera i raptem wszystko stało się jasne.

– To *nasz* film się skończył.

Odwrócił głowę, chcąc powiedzieć Jemeljanowowi kilka „miłych” słów, ale... ani on nie zdążył się odezwać, ani Rino nie zdążył ponownie wystrzelić. Po słowach Tymura w całym kompleksie zgasło światło, niczym po rzuconej komendzie. Pięć budynków pograżyło się w ciemnościach. Zgasło zewnętrzne oświetlenie i światła awaryjne, a ogrodzenie zostało pozbawione prądu. Jeszcze sekundę temu wszystko wokół buzowało jak w wulkanie, a tu nagle – pstryk! – i zostały tylko cisza i egipskie ciemności.

– Co to... może... być...? – zaczęła Laura i umilkła.

Nikt się nie odezwał. Strach rozchodził się po ciemnym pomieszczeniu. Większość drzwi prowadzących na zewnątrz była wyposażona w ręczne lub mechaniczne zasuwki, chociaż wątpliwe, żeby długo powstrzymały one boty przed wtargnięciem do środka. Bez energii elektrycznej kompleks laboratoryjny był bezbronny jak przedszkole.

W końcu Ralf przerwał milczenie; co prawda dolał tylko oliwy do ognia:

– Lauro, może czegoś nie zrozumiałem, ale... skąd *ono* wie, jak ma na imię Headhunter?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

Wysunąwszy przed siebie lewą rękę, Rino szukał po omacku wyjścia z górnego tarasu, klnąc przy tym głośno.

XCIV

Z korytarza dały się słyszeć ciężkie kroki i wściekłe sapanie. Po kilku sekundach drzwi sali konferencyjnej otworzyły się na oścież i niewyraźna sylwetka zaryczała głosem Rina:

– Jesteście tutaj? Jesteście tu, głąby?!

Ktoś, prawdopodobnie Jemeljanow, zakaszłał. Najemnik wrzasnął:

– Niech to szlag, zaraz was wszystkich rozwalę! Co za swołocz zgasła światło?!

Ani Ralf, ani Allan, ani Laura nie zamierzali wyrzucać Headhunterowi tej strzelaniny. A gdzie tam. Bali się nawet pierdnąć. Pojawienie się Rina nieco

ich uspokoiło – serca zaczęły bić równiej, zniknęło uczucie niekontrolowanego niepokoju w żołądku.

– Eee... nikt nie wyłączył światła – ze strachem w głosie odrzekł Amerykanin. – Ono samo.

– Co „samo”?

– Aha.

– Co „aha”?!?

– Wyłączyło się... No, zniknęło.

– Zniknęło?

– Tak.

– Może coś się stało z generatorem – wymamrotał Ralf Doernberg.

– Panie Ralfie, ma pan przy sobie klucze od pomieszczenia technicznego?

Kanadyjczyk kiwnął głową. Po kilku sekundach zupełnej ciszy dotarło do niego, że nikt nie zauważył tego ruchu.

– Tak, mam.

– Proszę mi dać. Pójdę do piwnicy. – Rino, przesuwając się po omacku wzdłuż stołu, stanął obok neurochirurga.

– W pomieszczeniu z generatorem, na półkach, które zaczynają się tuż przy drzwiach, po prawej stronie, znajdziesz latarkę. Bez niej nie dasz sobie rady.

– Pan się nie martwi. A wy stąd nie wychodźcie, dopóki nie pojawi się światło.

– A jeśli się nie pojawi?

– Możecie przystąpić do zbiorowego harakiri.

Headhunter był przekonany, że jego oczy przyzwyczyły się już do ciemności. Poszedł naprzód do wyjścia, ale nie wcelował i walnął czołem w lewe skrzydło drzwi. Wyrzucił z siebie stek niemieckich przekleństw, zreflektował się i szybko wyślizgnął się na korytarz.

Rino Headhunter zatrzymał się niezdecydowany. Serce mocniej mu zabiło. Dławił się ciemnością jak naftą. Pamiętał, że na prawo od wejścia do piwnicy znajdują się stelaże z amunicją. Tam miało leżeć kilka dużych latarek. Jednak ręka olbrzyma zamarła w pół drogi do półek – zatrzymało ją miarowe grzechotanie, które wydostawało się z głębi pomieszczenia technicznego.

Generator pracował.

Dźwięk był słaby, przytłumiony. Maszyna działała na luzie. To było oczywiste – w żadnym z pięciu bloków nie świeciła ani jedna żarówka. Rino od razu zorientował się, co to oznacza: generator się *nie* popsuł.

Ciemności stały się jeszcze bardziej duszące.

Zamiast szukać latarki, najemnik po omacku ruszył do przodu. Obok generatora powinien się znajdować wielki wyłącznik nożowy, który otwiera i zamyka dopływ prądu do skrzynek rozdzielczych. Stąd wędrują po całej budowli DW setki kabli, które jednocześnie zasilają elektryczne szafki w blokach inżynierskich.

Rino zrobił jeszcze krok do przodu. Sapanie diesla stało się wyraźniejsze. Obok obracał się wirnik. Jeśliby ktoś próbował teraz podejść do Headhuntera od tyłu, mięśniak by go nie usłyszał.

Przesuwając ręką po chropowatej ścianie, namacał dźwignię wyłącznika.

Trzeba było wziąć latarkę – przemknęło mu przez głowę. Debilu, najpierw trzeba było zabrać tę przeklętą latarkę! – zganił się w myślach. Poruszył palcami i chwycił za uchwyt. Był opuszczony. Co za cholera?! Podniósł gwałtownym ruchem uchwyt dźwigni...

Generator stęknął urażony. Bełkotanie maszyny szybko przeszło w groźny warkot. Początkowo ożyła tablica rozdzielcza. Chwilę później kompleks laboratoryjny zalała fala żółtawego światła.

Rino długo stał bez ruchu, wpatrując się zamyślonym wzrokiem w podłogę.

XCVI

Kiedy zasilanie zostało przywrócone, Ralf podbiegł do telefonu wewnętrznego. Gotto był na miejscu. Kanadyjczyk polecił mu włączyć na

pełną moc reflektory od północnej strony. Następnie odwiesił słuchawkę i przypadł do okien. Pozostali poszli jego śladem.

Botów nie było. Ani żywych, ani martwych. „Malcy” ulotnili się, zabierając ze sobą i zastrzelonych, i rannych.

Wkrótce potem do sali konferencyjnej wrócił Rino.

– Szybko ci poszło – zauważył Allan. – Co tam się stało?

– Nic poważnego.

– Coś nie tak z generatorem? – spytał Ralf.

– Nie. Diesel jest zupełnie sprawny. Po prostu... – najemnik się zawahał – ...wysłał już całe paliwo ze zbiornika.

Kanadyjczyk cmoknął ze złości i klepnął się po kolanie.

– To moja wina – wyznał. – Na śmierć zapomniałem. Za generator odpowiadał Jeff. Sądzę, że na dniach miał dolać paliwa, ale... – Ralf się zmieszał. – Niby niedawno uzupełnialiśmy...

– Wlałem kilka kanistrów i zapuściłem go od nowa – gładko skłamał Rino.

– Okej, w porządku.

Ralf zmarszczył nos w zakłopotaniu. Allan spuścił wzrok, szukając czegoś na podłodze. Laura wlepiła szklany wzrok w ciemność za oknem. Jemeljanow patrzył wilkiem na „pogromcę botów”. Tymur stał z zamkniętymi oczami i pocierał czoło ręką. W tej całkowitej ciszy wyłoniło się jedno, jedyne pytanie: co teraz?

Ekran z oknem czatu był pusty. Psychoistota milczała. I to milczenie napełniało ich większym przerażeniem niż jakakolwiek agresywna odpowiedź.

– Kto cię o to prosił? – pytanie Ralfa drapieźnie wdarło się w ciszę. Mężczyzna przycisnął dłoń do serca.

– O co panu chodzi?! – zaperzył się Headhunter; nie rozumiał powodu takiego traktowania. – Rozwaliłem prawie tuzin tych zasranych potworów!

– Mogłeś chociaż się z nami naradzić – włączył się Tymur.

– Ja pierdołę! Co wam się nie podoba?

– W tej chwili boty są na pewno w połowie drogi do Boliwii – powiedział Allan. – Szukaj wiatru w polu!

– No i co z tego?

– Zmarnowałeś ostatnią szansę, żeby je okiełznać! – rzucił Kanadyjczyk. Miał świadomość, że nie powinien się ekscytować, ale nie potrafił się powstrzymać. – Mam na myśli okiełznanie ich bez rozlewu krwi. Prawda, Lauro?

Psychiatra, która tak ząarcie przeciwstawiała się tej rzeźni, milczała teraz, zamyślona. Neurochirurg, nie doczekawszy się odpowiedzi, powiedział zapalczywie:

– Po raz pierwszy mieliśmy okazję potrząsnąć botami, żeby nie czuły się już tak pewnie. Zbiliśmy z pantałyku tę cholerną psychoistotę, która wylazła...

Laura podniosła głowę i powiedziała półgłosem:

– Cicho.

Ralf jej nie usłyszał, więc kontynuował:

– ...wylazła z ich mózgów. I gdyby nie ty, Rino, wszystko byśmy zaplanowali, urządzili, a teraz...

– Cicho! – powtórzyła głośniej Francuzka.

Mężczyźni odwrócili głowy. Kanadyjczyk zamilkł niechętnie. Laura zaczęła mówić, patrząc gdzieś ponad nimi i nieświadomie przeciągając każde słowo:

– Boty już więcej nie przyjdą. To pewne. Natomiast psychoistota wróci. Uważam, że jeszcze nazremy się przez nią gówna... – Dziewczyna westchnęła. – Ale chyba wiem, jak położyć ich na łopatki. – Po tych słowach wstała i skierowała się do wyjścia. Stojąc przy drzwiach, rzuciła przez ramię: – Najpierw jednak muszę wszystko przemyśleć.

XCVII

W przejściu Rino przytrzymał Tymura za łokieć i powiedział cicho:

– *Fella*, kiedy wszyscy się rozejdą, wdepnij do mnie.

– Po co?

– Dowiesz się na miejscu.

Chłopak zerknął na wielkoluda, zamyślił się na chwilę, po czym oznajmił:

– Ono wie, jak się nazywasz.

– Nie łapię – zdziwił się Rino.

– Po pierwsze, kiedy polazłeś na górę, psychoistota jakimś cudem się o tym dowiedziała, a po drugie... nazwała cię po imieniu.

– A... – Headhunter niedbale kiwnął głową. – To znaczy, że już się gdzieś widzieliśmy.

– Co?!

Rino się uśmiechnął (choć ten uśmiech przypominał raczej grymas), a następnie pokręcił głową na znak, że tylko głupio zażartował.

– Nic to – powiedział. – Pospiesz się.

W tym czasie Ralf zszedł do pomieszczenia technicznego, żeby sprawdzić, czy zablokowane są zewnętrzne drzwi bloku DW i czy są opuszczone metalowe żaluzje w oknach parteru.

Rino wyczekał, aż wszyscy rozejdą się do swoich pokoi, i poszedł w ślad za Kanadyjczykiem.

Wślizgnął się do pokoju technicznego i ostrożnie przymknął drzwi. Ralf odwrócił się na ten dźwięk i burknął niegościnnie:

– Czego chcesz?

Rino podszedł do niego bardzo blisko.

– Chcę o coś zapytać.

– Słucham... – Kanadyjczyk odczuwał respekt przed olbrzymem.

– Jak bardzo niebezpieczne jest wszczepienie tych... jak im tam... agentów?

Doernberg się zamyślił. Nie spodziewał się takiego pytania.

– Ee... co masz na myśli?

– Czy dorosły facet może przeżyć, gdyby w dupę albo gdzie indziej wstrzyknięto mu te pchle roboty?

– Dorosły?

– No.

– To nie takie proste. Wszystko zależy od wieku pacjenta, stanu jego zdrowia oraz, rzecz jasna, od przyjętej dawki. Wiesz, nanoagenci to mechanizmy molekularne, zaprogramowane do wykonania zadań w ściśle

ustalanej kolejności. Jeżeli się je przedawkuje, przejdą przez komorę czwartą do kory mózgowej. I jest im obojętne, że człowiek będzie konał w okropnych męczarniach.

– A jeśli wprowadzać je stopniowo?

– Może coś by z tego wyszło. Ale to mało prawdopodobne. Tak czy owak pacjent musi pozostawać pod obserwacją. I powinien leżeć pod kroplówką. W czasie wykładu wstępnego tłumaczyłem ci, że receptory zlokalizowane na dnie komory czwartej są odpowiedzialne za pracę ośrodka wymiotnego. Gdy nanoagenci przenikają do mózgu, podrażniają, chcąc nie chcąc, te receptory. W pierwszych minutach po zastrzyku pacjent rzyga dalej, niż widzi. Po godzinie organizm jest tak wycieńczony, że człowiek może umrzeć z odwodnienia. Jak przy cholery.

– Jasne.

– A co? Wymyśliłeś coś?

– Nie, nic. Tak po prostu pytam...

XCVIII

Piątek, 28 sierpnia, 23.37 (UTC –4)
DW, blok mieszkalny

Tymur czekał parę chwil w skrzydle sypialnym pod drzwiami z tabliczką „211”. Nagle w korytarzu dał się słyszeć odgłos ciężkich kroków najemnika. Headhunter szybko się zbliżył, otworzył pokój i wciągnął chłopaka do środka.

– Co się stało? – głośno zapytał Ukrainiec.

Olbrzym przyłożył palec do ust.

– Jeszcze nie jestem pewien w stu procentach...

– Czego?

– Długo by opowiadać.

Tymur założył ręce na piersiach i oparł się ramieniem o ścianę.

– Zastanawiałem się... czy gdyby nie zgasło światło, wszystkich byś zastrzelił?

– Niece.

– Ale myślałem...

– Miałem tylko trzy magazynki. Piętnaście naboji. Dlatego mam w dupie, co tam sobie myślałeś – oznajmił Rino i spróbował zażartować: – I tak to ty zostaniesz bohaterem.

Mówiąc to, Południowoafrykanin wyciągnął spod łóżka przybrudzoną torbę sportową i wyciągnął z niej strasznie odrapaną berettę. Wyciągnął i włożył magazynek, sprawdził, jak działa spust.

– Nie jest nowy, ale za to w idealnym stanie – cicho powiedział Headhunter i wyciągnął pistolet w kierunku Tymura.

Chłopak gapił się ogłupiały na matową rękojeść.

– To dla ciebie. – Rino chwycił Tymura za ramię i siłą włożył mu berettę w dłoń. – Od tej chwili zawsze trzymaj go przy sobie. Co się tak gapisz? Słyszysz mnie? Zawsze!

– Nie rozumiem...

– Weź ten pistolet – powtórzył gniewnie olbrzym.

– W jakim celu? – Programista niechętnie zacisnął palce na broni.

– Skłamałem.

– To znaczy?

– W sprawie generatora. Ktoś wyłączył prąd, przesuając dźwignię.

– Co?!

– Najwyraźniej komuś, kto nie był z nami w pokoju konferencyjnym, strasznie zależało na tym, żeby boty oprzytomniały i sobie poszły...

WEŹE ZACZYNAJĄ KĄSAĆ

XCIX

Sobota, 29 sierpnia, 00.16 (UTC -4)
EN-3, trzeci blok inżynieryjny
Podziemne laboratorium mikrobiologii

Pod ziemią wszystko pozostawało bez zmian: mrok, cisza, wysokie ciśnienie i niska wilgotność.

Ralf Doernberg cierpliwie wytrzymał kolejne etapy oczyszczania za pomocą roztworu buforowego, po czym włożył nylonowy fartuch i wszedł do działu nanoprodukcji. Zjeżdżając dźwigiem osobowym na najniższy poziom, gdzie w ciemnościach rysowały się kontury urządzeń, Kanadyjczyk rozważał w głowie słowa Rina.

Początkowo puścił pytanie najemnika mimo uszu. Jednak im dłużej zastanawiał się nad tym, co mogło spowodować Headhuntera do zadania takiego pytania, tym większy niepokój odczuwał. Poza tym nikt nie wiedział o botach tyle co Rino. O tych, którym udało się wyrwać na wolność. Headhunter pierwszy odnalazł je na pustyni. Był obok, kiedy boty rozszarpały Wadima Horta. Stał na czele załogi, która wiozła Korszaka i Jemeljanowa przez Atakamę. Widział spustoszone San Pedro, legowisko w Dolinie Śmierci i przeżył pogrom w Puritamie. Nic dziwnego, że Rino pierwszy zrozumiał: ich zespół uganiał się za własnym ogonem jak zapchlony kundel.

Uczony nie mógł zasnąć, udał się więc do podziemnego laboratorium.

Winda dotarła do celu i zatrzymała się. Ralf znalazł się w ostatniej strefie – tu, w końcowym etapie, w specjalnym roztworze rodziły się nanoroboty.

Przez ostatnie lata proces powstawania nanorobotów odbywał się z dala od reszty badań. Boty wyrosły, skupiska nanorobotów w ich mózgach uformowały się i pracowały normalnie. (Aż nazbyt normalnie, niech ich szlag trafi – zaklął Ralf). Keitaro jednak nie ustawał w unowocześnianiu agentów.

Im będą mniejsze, tym więcej uda się ich wepchnąć do głów nowych pokoleń. Dlatego też Jap nieustannie pracował nad udoskonalaniem nanoagentów: stawały się drobniejsze, mądrzejsze i bardziej wytrzymałe.

Zaledwie dwadzieścia minut temu w głowie Ralfa zaświtała ciekawa myśl. Uczony aż głośno pociągnął nosem; zaskoczyło go, że wcześniej na to nie wpadł! A co by było, gdyby ktoś wypił roztwór z nanoagentami? Należałoby przeprowadzić eksperyment, sprawdzić na szczurach...

Podszedł do monitora demonstracyjnego i go włączył. Długo przyglądał się modelowi 3D, który obracał się na ekranie. Siódme pokolenie. Każdy agent ma pięćset siedemdziesiąt nanometrów długości.

W ciągu piętnastu lat Keitaro zmniejszył rozmiary nanorobota dziesięciokrotnie!

Wtem Ralf uświadomił sobie, że eksperyment nie jest potrzebny. To oczywiste, że łatwo przenikną do krwi. Nanoagenci niekoniecznie muszą docierać do żołądka. Mogą przeniknąć przez tkanki krtani lub przełyku. Pozbawieni błon lipidowych, zostaną w większości pokonani przez układ odpornościowy, ale to nawet lepiej, w ten sposób zmniejszy się ryzyko przedawkowania...

Trzymając się poręczy, Doernberg wpatrywał się w skalę podziałki na dole ekranu, gdy dopadła go następna myśl: Pięćset siedemdziesiąt nanometrów! Ostatnie pokolenie jest mniejsze niż komórka skóry! Nie trzeba ich pić. Wystarczy połać roztworem twarz albo jakąkolwiek odkrytą część ciała i... będą robiły to, do czego zostały zaprogramowane.

Natychmiast w głowie profesora zrodziły się nowe pytania. Spływały jedno za drugim nieprzerwaną kaskadą. Co by się stało z *dorosłym człowiekiem*, gdyby nanoagenci przeniknęli do jego organizmu? Gdyby było ich za dużo, człowiek by umarł. A jeśli by było ich za mało? Jak zmieniłoby się zachowanie człowieka? Czy straciłby kontrolę? Czy psychoistota – jak określiła tego wydumanego stwora Laura – zdołałaby zdominować człowieka, tak jak zdominowała boty? Czy powstałaby jakaś więź między tym człowiekiem a botami? I w końcu: czy stałby się jednym z nich?

Ralf zacisnął usta i jeszcze bardziej się zasępił. A jeśli jedno z nas już...

Stary Kanadyjczyk odegnał od siebie tę straszną myśl. Brednie! Niby kiedy? Gdzie i jakim sposobem? To niemożliwe! Nie potrafił tego ogarnąć rozumem, jednak fakty mówiły co innego. Rino Headhunter, twarogłowy

oprawca, sprowokował naukowca do wniosków, które mocną nicią połączyły ze sobą wszystkie fakty. Wszystko nagle wskoczyło na swoje miejsca. To przecież jasne: boty wiedziały o każdym kroku personelu NGF-Lab, ponieważ... ktoś je o tym informował.

– Muszę uprzedzić innych... – wyszeptał przerażony Ralf.

Oderwał ręce od poręczy, kiedy z góry dał się słyszeć stukot obcasów na metalowym pomoście. Ktoś wszedł do środka i przechodził górnym korytarzem. Kanadyjczyk zadarł głowę. Niestety w mroku, który ogarniał wyższe kondygnacje, trudno było coś dostrzec.

Ralfowi zrobiło się słabo. Przełamawszy strach, zaczął nasłuchiwać. Cały zamienił się w słuch, ale długo nic nie słyszał oprócz głośniego bicia własnego serca. Stukało nierówno. Ralf rozpoznał pierwsze objawy ostrej arytmii.

Po raz drugi dało się słyszeć metalowe pobrząkiwanie. Dźwięk dochodził spod sufitu, z innej części pomieszczenia. Potem powtórzył się jeszcze kilka razy – ktoś, jakby naumyślnie, przechadzał się niespiesznie schodami w jednym z przejść. Po każdym kroku słychać było westchnienie, bardziej przypominające syczenie węża.

– Kto tu jest? – krzyknął Ralf.

– U-jest... U-jest... U-jest... – odpowiedziało echo, a kroki... zamarły.

Ralf milczał przez chwilę, ale niczego więcej nie słyszał oprócz szmeru maszyn molekularnych i buczenia kompresorów próżniowych. Doernberg prawie uwierzył, że dźwięki te są efektem działania jego wyobraźni (po prostu *zmuszał się*, aby w to wierzyć, starając się uspokoić chore serce) i oprócz niego nikogo pod ziemią nie ma, kiedy nagle zagrzecotały łańcuchy dźwigu. Miał wrażenie, że obok wystrzelono ogłuszającą salwę armatnią. Jęknął, podskoczył i mimowolnie ukrył twarz w dłoniach. Serce mu zachręściło niczym kupa kamieni rozsypanych na pochyłej drodze.

Platforma uniosła się powoli. Kanadyjczyk uklęknął i tępo wpatrywał się w ciemność, gdzie przed chwilą zniknął podest dźwigu. W okolicach serca czuł coraz większy ciężar, każdy wdech był nie lada wysiłkiem. Mężczyzna stuknął się kilka razy pięścią w pierś, próbując przewyciężyć arytmie – na próżno. Tym razem nie obejdzie się bez leków. I Ralf spanikował.

– Kim jesteś?! – wrzasnął neurochemik.

Odpowiedzią było przygniatające milczenie. Winda dotarła na górny poziom i zatrzymała się.

I znów cisza...

Ralf czekał w otępieniu. Spróbował zmierzyć sobie puls, ale ręce tak bardzo mu się trzęsły, że duży palec zsuwał się z nadgarstka. Kto i po co przylazł tu tak późno? – zastanawiał się profesor. Tylko cztery osoby miały dostęp do działu mikrobiologii: on, Keitaro Roka, William Holland i... Katsuro Takeda.

– Katsuro, wiem, że to ty! – zawołał Doernberg przerywanym głosem. – Czego chcesz?

Z góry znów dobiegło złowieszcze westchnienie. Potem dał się słyszeć niewyraźny szept. Ralfowi pociemniało w oczach ze strachu. Puls wskazywał sto sześćdziesiąt uderzeń na minutę.

Upłynęło kilka sekund, nim Kanadyjczyk sobie uzmysłowił, że znów słyszy turkot dźwigu. I ocknął się dopiero wtedy, kiedy dotarło do niego, że winda zjeżdża! Na co czekasz, niezguło? – zezłościł się na siebie naukowiec i puścił się biegiem po słabo oświetlonych korytarzach w głąb zakładu.

W oddalonej części pomieszczenia znajdował się jeszcze jeden dźwig. Jeśli tylko winda stoi na dolnym poziomie, jest uratowany. Poczekaj, aż Katsuro (czy kto tam był w ciele młodego Japończyka) się zbliży, a wówczas pojedzie do góry, dotrze do górnej galerii i zdoła się wydostać z EN-3. Ale jeśli winda jest na górze...

Ralf przebiegł kilka kroków i poczuł straszne ukłucie w piersi. Zatoczył się i o mało nie upadł. Przysiadł, trzymając się jedną ręką za poręcz, a drugą – za serce.

Winda zatrzymała się, w dziale nanoprodukcji znów zrobiło się cicho.

Sapiąc, naukowiec zerknął przez ramię. W oddali, pośrodku kwadratowego placyku przed głównym dźwigiem, widniała jakaś postać. Jedyna na tym obszarze lampa świeciła z góry i z tyłu, przez co Ralf nie mógł rozpoznać twarzy. Jej miejsce nad tułowiem zajmowała zaciemniona owalna plama. Postać dziwnie pokręciła głową, wyciągając szyję daleko do przodu i na boki jak wężący wąż. Te ruchy były tak nietypowe dla człowieka, że Ralfa zatrzęsło, jakby poraził go prąd. Chwilę później dziwna istota zniknęła w mrokach ciągnącego się pod sufitem przejścia.

Kanadyjczyk krzyknął i pomknął do przodu. Nie przebiegł nawet pięćdziesięciu metrów, kiedy się zatrzymał. Dawno nie był w tej części laboratorium i zapomniał, gdzie jest druga winda. Ten fragment oddziału był

prawie niewykorzystywany, wiele żarówek się przepaliło, nikt ich nie wymieniał, więc świeciła zaledwie co trzecia lampa sufitowa.

Tego jeszcze brakowało, żeby zabłądził na dolnym poziomie!

Kątem oka dostrzegał, jak postać to zjawia się, to znika w strefach światła na dalszych pomostach. Prześladowca zbliżał się do niego, odcinając mu drogę ucieczki, niczym królowa, która zagania w róg szachownicy samotnego króla. Neurochemik po omacku odszukał pierwsze lepsze przejście po prawej stronie i rzucił się tam. Przejście zagradzała drucziana furтка, za którą prowadziły w dół metalowe schody. Tam jednak Ralf z pewnością nie miał czego szukać. Pognał z powrotem i wbiegł do korytarza z lewej strony. Potem jeszcze kilka razy skręcał na lewo, na prawo, aż w końcu całkiem się zgubił. Windy nie było. Mężczyzna nawet nie wiedział, jak dotrzeć do najbliższej ściany. Rozejrzał się dokoła, ale nigdzie nie dostrzegł sylwetki prześladowcy. Ten dotarł do nieoświetlonej części dolnych galerii, co oznaczało, że był już blisko. Kanadyjczyk jęknął. Jego serce trzepotało i pełzło w górę przez przełyk do gardła.

I raptem... Ralf zauważył ten przeklęty dźwig. Brak oświetlenia był mu na rękę: oczy przyzwyczyły się do ciemności i mógł się przyjrzeć otoczeniu – najpierw tylnej ścianie zakładu, a potem równoległym smugom lin, które ciągnęły się do góry i znikwały w mroku. I, co najważniejsze, winda była na dole! Dzieliło go od niej niecałe dwadzieścia metrów.

– Dzięki ci, Panie... – wyszeptał Doernberg. Zrozumiał, że jest uratowany.

Nie rzucił się jednak do windy na łeb, na szyję. Zdjąwszy z nóg ciężkie buty, zaczął ostrożnie posuwać się do przodu. Stalowa kratka boleśnie wpijała mu się w stopy, ale nie chciał, żeby w ostatniej chwili zdradził go dźwięk kroków. Serce jak gdyby zrozumiało powagę sytuacji i zaczęło pracować stabilniej. Częstotliwość uderzeń nie zmniejszyła się, za to rytm się wyrównał. Neurochemik miał świadomość, że tak łatwo się z tego nie wywinie, ale arytmia odpuściła, przynajmniej na jakiś czas. I to był dar niebios!

Do przejścia, którym poruszał się Kanadyjczyk, dochodził z prawej strony jeszcze jeden korytarz, tworząc skrzyżowanie w kształcie litery T. Po piętnastu krokach Ralf dotarł do niego i popatrzył na prawo. W tej samej chwili o mało nie pękło mu serce. W przejściu, *na odległość wyciągniętego ramienia*, stał Katsuro Takeda. Japończyk patrzył... Chociaż nie... Wyraz jego oczu raczej nie przypominał spojrzenia. Nabiegłe krwią oczy ziały pustką, całkowitą

próżnią. Japończyk po prostu stał. Nagle podniósł rękę i zrobił krok w stronę Ralfa.

– Aaa! – wrzasnął przerażony neurochemik i pognął do windy. Rytm serca podskoczył do dwustu czterdziestu uderzeń na minutę.

Platforma windy wystawała nad podłogą. Ralf potknął się o nią i wleciał do otwartego dźwigu. Rozwalił sobie kolana i walnął głową o poręcz. Krew zalała mu twarz. Nie zważając na ból, wyciągnął palec do okrągłego guzika ze znaczkiem ▲ (do góry) i wcisnął go do oporu... Żadnego zgrzytu łańcuchów, żadnego łomotu silnika elektrycznego ani rozhuśtywania się platformy. Winda nie ruszyła z miejsca. Katsuro przeciął kable na górze.

Zza pleców starego mężczyzny dobiegło pełne złośliwej satysfakcji syczenie.

Ralf odwrócił się i chwytając za poręcz, spróbował się podnieść. Gorączkowo myślał, jak znaleźć wyjście z opresji, zyskać na czasie.

– Kiedy to się stało, Katsuro? – wybełkotał, sapiąc. Miał wrażenie, że jego serce zaraz wyleci w kosmos. – Przypadkiem wylałeś na siebie roztwór z agentami czy... być może... wypiliśmy go specjalnie?

Istota, która była niegdyś młodym ambitnym Japończykiem, wykrzywiła się i zacharczała.

– W porządku. Jestem gotowy wypić to samo co ty – połykając sylaby, wymamrotał naukowiec. – Stanę się jednym z was, tylko mnie nie zabijaj. Proszę!

Kanadyjczyk nie myślał o sobie. Wiedział, że kształtowanie się kolonii zajmie pół godziny albo i więcej. W tym czasie miał nadzieję, że zdoła uprzedzić Tymura, Rina albo Tianę. Kogokolwiek. A potem strzelił sobie w głowę; nie chciał dopuścić do tego, żeby psychoistota zrobiła z niego zombi.

Niestety, Katsuro Takeda rozumiał to nie gorzej niż Doernberg. I nie przyszedł tutaj po to, żeby chlusnąć czarnym płynem w twarz byłego kolegi. Japończyk popchnął Kanadyjczyka, ten upadł na podłogę.

– Nie trzeba! – krzyknął Ralf.

Strach sparaliżował jego ciało – nie miał siły się bronić. Katsuro rzucił się i przycisnął Doernberga do pomostu. Potem wyciągnął ręce, gotów zacisnąć je na szyi naukowca. Nie doszło jednak do tego. Ralf jęknął, poszarzał na twarzy, jego ciało zmiękło. Pierś opadła i więcej już się nie podniosła.

Serce starego Kanadyjczyka nie wytrzymało...

C

Sobota, 29 sierpnia, 00.19 (UTC -4)
Skrzydło sypialne bloku DW

Tymur, podobnie jak Ralf, długo nie mógł zasnąć. Wiercił się z powodu dręczących go niezbyt przyjemnych myśli. Dlaczego Rino dał mu pistolet i w dodatku kazał mu zawsze mieć go przy sobie? Kto wyłączył prąd? Katsuro? Tiana? Gotto? Oscar? I najważniejsze: po co? Jak będzie się zachowywała psychoistota po tym, jak ją pokonają? O ile wcześniej istniała szansa, że się dogadają, o tyle obecnie nawet nie było o czym myśleć... Skąd psychoistota знаła imię Headhuntera? I w ogóle – jak zauważyła, że Rino poszedł na taras, żeby strzelać?

Najgorsza chyba jednak była świadomość, że walczą z czymś niematerialnym, z jakąś pozbawioną ciała marą, która wylazła z podświadomości botów. To wywoływało wściekłość. Tak samo jak rąbanie powietrza. Tymur kilkakrotnie zrywał się i zapalał światło – wszystkie lampy w pokoju – niezwykle silnie odczuwał, że towarzyszy mu ktoś niewidzialny. Chłopak naprawdę był przerażony. Znacznie bardziej niż podczas wyprawy w góry, za Puritamą. Nawet stara beretta, schowana między materac a poduszkę, nie była w stanie zmniejszyć tego strachu.

Kiedy zegarek wskazał kwadrans po jedenastej, Tymur w końcu się uspokoił i zaczął zasypiać. Znalazłszy się w stanie przejściowym, kiedy nie jest do końca jasne, gdzie zaczyna się sen, a gdzie kończy się jawa, Ukrainiec przypomniał sobie, jak

...przywieźli ich z Jemeljanowem do laboratorium. Po szaleńczej gonitwie przez Atakamę siedzi na podłodze w przedsionku bloku EN-1 za bramą numer cztery i patrzy, jak obok niego wloką się Frankie i Ndonga. Tuż za nimi, ledwie powłócząc nogami, człapie Katsuro. Na końcu prowadzą pod rękę Jemeljanowa. I coś do diabła jest nie tak. Coś jest źle ze wszystkimi czterema...

Tymurowi przypomniał się pewien szczegół. Wtedy nie zwrócił na niego uwagi, teraz jednak, zanurzając się już w sen, sam nie wiedząc kiedy, chwycił się go i zobaczył wszystko jak na jawie...

Dziwne cętki na bladej twarzy Jemeljanowa. Takie same na żółtym obliczu Japończyka. Z niektórych (tych położonych bliżej dolnej szczęki) odchodzą ledwie dostrzegalne krwawe niteczki. Splatają się ze sobą i zbiegają do szyi. Co to takiego? Tysiące mikroskopijnych różowych kropeczek pokrywa gęsto ich policzki, nos, kości policzkowe. Wyglądają jak prawie niewidoczne podrażnienia po goleniu, jak miliardy ukąszeń komarów, jak...

Nagle wizja się zmienia.

Przed Tymurem otwiera się pokój łączności. Keitaro, Tiana, Igor, Stefan, Laura, słowem wszyscy, zgromadzili się wokół Ralfa, wsłuchując się w to, co opowiada Jeffrey. Jeff jest w tym czasie daleko na pustyni. We śnie (czy też w na pół sennym marzeniu) Ukrainiec patrzy na zespół z boku. Widzi samego siebie. Nagle Tymur-we-śnie odwraca się od pozostałych i wlepia wzrok w ścianę. Dokładnie w tym momencie dociera do niego, że boty zaprogramowane są na samokształcenie. Rzuca się do mikrofonu, gwałtownie odpycha Ralfa i zachłystując się, krzyczy do Jeffreya, żeby rzucał wszystko i uciekał. Zielonooki Amerykanin w pierwszej chwili nie reaguje na jego słowa i plecie coś o Auschwitz, o żywych, ale dziwnych wieśniakach, których widzi w wąwozie tuż obok pieczar botów. W końcu do Jeffa dociera, że boty śledzą jego i Alondrę, próbuje uciec, ale natychmiast wpada na kilka stworów. Chilijka ginie, Amerykanin próbuje się bronić...

Tymur resztkami sił opierał się głębokiej potrzebie snu, purpurowym ciemnościom, które połykały wspomnienia. Obrazy w jego głowie rozmazywały się, przestrzeń między nimi wypełniała szara zasłona, jednak...

Widzi ciasny pokój, niedużą radiostację Motorola, Ralfa, Keitara, przerażoną Tianę... Nadchodzą ostatnie sekundy. Jeffrey właśnie się dowiedział czegoś ważnego. Słysząc to było w jego głosie. W ciągu tysięcznego ułamka sekundy Amerykanin pojął coś, co koniecznie musi przekazać innym. Miał zamiar to powiedzieć, ale mu się nie udało. Czy też... jednak mu się udało?

„Tymurze! Tymurze! – zawołał głośnik we śnie. – Zrozumiałem, skąd one... – Końcówka zdania przeszła w szept. Jeffrey umierał. Ale nagle, zebrawszy się w sobie, młody Amerykanin krzyknął: – u-gi... o-ód! Dr... sa-óóód, Timu-e!”

To były jego ostatnie słowa. Właściwie urywki jego ostatnich słów. „Zrozumiałem, skąd one... Zrozumiałem, skąd one...”. One co? Tymur złościł się we śnie, że Jeffrey nie skończył zdania. W zasadzie to skończył, ale tak, że nikt go nie rozumiał.

Jak to często bywa w momencie, gdy drzemka przechodzi w sen, a głowa przełącza się na odpoczynek, w mózgu pojawiają się myśli, które, zdawałoby się, jeszcze chwilę temu ukrywały się za nieprzebytym murem. Tymur zasapał, naprężył się i po raz drugi odtworzył ostatnią scenę. Tym razem dokładnie usłyszał wszystko, co próbował powiedzieć Jeff.

„Zrozumiałem, skąd one się dowiedziały! – zawołał Amerykanin. A potem: – Drugi samochód! Drugi samochóóód, Tymurze!” – Jeffrey zwracał ich uwagę na drugie auto!

Klamka przekręciła się niemal bezszelestnie i drzwi pokoju się otworzyły. Przez kilka sekund się nie ruszały. Ktoś zaglądał przez szparę. A potem otworzyły się szerzej, zupełnie bezgłośnie, i do środka na palcach wślizgnęła się Rebecca.

Szczęk zamka ostatecznie nie pozwolił programiście zapaść w sen. Przez na wpół przymknięte powieki widział ponętą figurę Chilijki, jej zgrabne nogi, krągłe biodra, ledwo przykryte szarą połyskującą koszulką. Westchnął słodko, biorąc dziewczynę za kolejną wizję. Przez jakiś czas w otumanionym mózgu wciąż jeszcze miotały się zdania: „Drugie samochód!” i „...zawsze trzymaj ją przy sobie”, jednak rozchodziły się one pod natłokiem fantazji seksualnych, i to bez włączenia sygnału ostrzegawczego.

Rebecca bezgłośnie przysunęła się bliżej i zatrzymała dwa kroki od łóżka Tymura. Stała, wyprostowana jak struna, w lekkim rozkroku, i pożerała chłopaka wzrokiem. W ciemnościach nie było widać jej oczu.

Trzymała coś w prawej ręce.

Tymur poruszył się, czując, jak między nogami gęstnieje przyjemne ciepło, do końca nie uświadamiając sobie tego, że tym razem wszystko się dzieje naprawdę. Kształty Chilijki przypomniały plakat, jaki wpadł mu kiedyś w oko niedaleko klubu dyskotekowego Avalon w Kijowie. Afisz przedstawiał śliczną dziewczynę z wyprężonym biustem, który powabnie wyzierał spod bielizny. Tak samo Rebecca stała teraz boso i na palcach, trzymając w prawej ręce odkorkowaną butelkę szampana. Lekko uniósłszy powieki, Tymur rzucił spojrzenie na opuszczoną wzdłuż ciała rękę Rebekki. Podobieństwo było porażające. Praktycznie ta sama sylwetka... Z jednym drobnym wyjątkiem:

zamiast szyjki opasłej butelki z iskrzącym się napojem Chilijka ścisnęła w dłoni rękojeść bardzo długiego noża kuchennego...

Na chwilę przedtem, zanim Becca rzuciła się na programistę, za ścianami bloku mieszkalnego coś dwukrotnie trzasnęło. Tymura zaniepokoił nie tyle sam dźwięk, ile fakt, że przez chwilę wibrowała ziemia. Gdyby nie to, chłopak na pewno tak szybko by nie oprzytomniał. Parsknąwszy ze zdziwienia, ujrzał cień, który rzucił się w jego stronę, lecz zdążył się zasłonić rękami i nogami. Kołdra, którą się nakrył, uratowała mu życie. Ostrze z ohydny skrzypieniem wycięło w tkaninie wielką dziurę, ale Tymura nie dosięgło.

W następnej sekundzie, wciąż nie do końca świadom tego, co się dzieje, Ukraińiec stoczył się z łóżka i odpełznął w lewo, w kierunku okna. Rebecca wskoczyła na łóżko i zasyczała, podnosząc nad głową rękę z nożem. Oczy jej zaszyły krwią.

– Becca, zgłupiałaś? – Tymur chciał jeszcze coś dodać, ale w porę się zorientował, że to nie ma sensu. Wszystko zrozumiał. – O kurwa! – Złość szybko ustępowała miejsca panice.

Dziewczyna skoczyła na niego. W obronie kopnął ją nogą w brzuch, po czym, nie czekając, rzucił się do przodu i przycisnął ją do tapczanu. Rebecca próbowała zranić go nożem. Gdyby był krótszy, już dawno wyprułałyby chłopakowi flaki. A tak nie udawało jej się obrócić dłoni i zadać ciosu. Ostrze ślizgało się po plecach programisty, tnąc skórę na kawałki, mimo to nie docierając do ważnych ścięgien czy mięśni.

Tymur próbował ją udusić, ale dotarło do niego, że w ten sposób zostanie bez skóry na plecach. Postanowił więc uciec. Gwałtownie się odsunąwszy, rzucił się do przodu i wyciągnął w poprzek łóżka. Rebecca wczepiła się w jego stopy i kilkakrotnie dźgnęła go po łydkach. Poczul ból. Po prześcieradle popłynęła krew. W odwecie przejechał piętą po jej zębach i zwałił się z prawej strony tapczanu. I tu uświadomił sobie, że nie doceniał przeciwnika. Krwiożercza istota, w jaką przekształciła się Chilijka, migiem przeskoczyła nad materacem i rzuciła się na niego. Rozpaczliwie zamachał rękami. Prychając jak zwierzę, Rebecca próbowała dosięgnąć nożem jego gardła.

Niechący zaczepiwszy o prześcieradło, programista pociągnął je na siebie. Marna to była osłona, ale nagle coś ciężkiego i zimnego bodnęło go w oko. Pistolet! Ryzykując, że wystawia swoją szyję pod nóż, chłopak podniósł rękę

i namacał berettę. Trzęsącym się palcem odbezpieczył ją i przystawił lufę do nozdrzy napastniczki.

Rebecca wrzasnęła. Tymur bez namysłu nacisnął trzy razy spust. Głuche wystrzały wstrząsnęły pomieszczeniem. Głowę dziewczyny trzykrotnie odrzucało od wylotu lufy. Nóż wypadł jej z dłoni. Po tym jak trzecia kula wbiła jej się w twarz, ciało dziewczyny zmięкло i Tymur z obrzydzeniem odrzucił je na bok.

Przez kilka sekund tylko leżał; dochodził do siebie.

A to jeszcze nie był koniec.

Chłopak się naprężył, kiedy w kałuży światła, które wylewało się z korytarza, przemknął czyjś cień.

– Zwyrrodnialcy! – wycedził Tymur i na ślepo wystrzelił w przestrzeń. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że nie wróci z Atakamy żywy. Kula świsnęła i odbiła się rykoszetem od ściany.

– To ja... – Zza futryny dobiegł spokojny głos Headhuntera. – Nie strzelaj.

Tymur ciężko oddychał, wciąż trzymając berettę w wyciągniętej ręce.

– Nie strzelaj. Słyszysz, supermenie? – powtórzył Rino. – Wchodzę.

Z prawej strony, w otworze drzwiowym, pojawiła się głowa Południowoafrykanina. Otworzył jak najszerzej swoje nieduże okrągłe oczy, przyzwyczajając wzrok do ciemności panujących w pokoju. W końcu spojrzął na chłopaka i na obnażone ciało zabitej Chilijki.

– O, brachu, widzę, że nie tracisz czasu! – zażartował.

Tymur się obejrzał. Podłoga i łóżko były obryzgane krwią. Pośrodku, z zadartą do góry rozkwaszoną głową, leżała Rebecca. Nawet martwa nie straciła nic ze swego wdzięku.

– Odpierdol się. – Programista pochylił ze zmęczenia głowę i opuścił pistolet.

– A popatrz, co ja mam! – Rino wszedł do pokoju i zapalił światło. W prawej ręce trzymał za włosy odrąbaną głowę profesora Jemeljanowa. Jeszcze była świeża – z szyi na wykładzinę kapała krew.

– Co to za durna maniera stale odrąbywać komuś głowę? – Tymur zareagował dość opieszale. Po tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich trzech dni, raczej nic już nie mogło go zaskoczyć. – A ty co, masz jakieś kompleksy z dzieciństwa? Nie wystarczyło po prostu go zabić?

– Nie. – Headhunter udał, że robi obrażoną minę. – Wyobraź sobie, złapałem tego dupka, szykował się wypuścić boty z EN-2! Padalec, wierzgał jak cielę.

– Drugi samochód... – wymamrotał Tymur, kiwając głową. – Cały drugi samochód.

– Dobrze, że sam to rozgryzłeś.

– A Rebecca?

– Pieprzyła się od czasu do czasu z Katsurem, nie pogardziła też moimi chłopcami. Myślę, że któryś z nich, Japoniec, Dongi albo Frankie, napompował ją tą szarą ohydą.

Tymur zamarł.

– Ale to oznacza, że każdy z nas może być zarażony...

Headhunter podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Wstawaj. Siedząc tutaj, nikogo nie wyleczysz.

CI

– Jak się domyśliłeś? – zaciekawił się Ukrainiec.

Rino z wprawą bandażował pocięte przedramię Tymura.

– Tamtego dnia, kiedy przywieźli cię z Antofagasty, obejrzałem sobie drugiego touarega. Tego, na który boty napadły w wąwozie, pamiętasz?

– Pewnie.

– Byłem ciekaw, jak moim chłopcom udało się z tego wybrnąć, a dopytywać się nie lubię.

– I?

– Parę rzeczy mnie zdziwiło. Myślałem, że boty zaatakowały ich z nienacka, ostrzelały i już. Słyszeliśmy przecież strzały.

– Tak.

– To nie boty otworzyły ogień. – Rino spojrział Tymurowi w oczy, jakby pytając, czy ten rozumie, co to oznacza. – Na karoserii nie było żadnej rysy, śladu po kuli czy po śrucie. To moi dzielni kozacy próbowali się bronić,

dlatego rozpoczęli strzelaninę. Zastanawiałem się, dlaczego mając broń, boty z niej nie skorzystały. „Malcy” przecież potrafią strzelać, a mimo to znowu użyli kamieni. Dlaczego? – Wielkolud odczekał chwilę i sam sobie odpowiedział: – Boty nie zamierzały nikogo zabijać, Tymurze. Obrzucały terenówkę z moim Hererem, żeby rozbić naszą kolumnę i odciągnąć mnie i Jeffreya od wąwozu. I naturalnie to im się udało. Wtedy napadły na drugie auto i każdego, kto w nim był, pokryły szarym śluzem.

– Pewnie po „kontaktach” z wieśniakami z San Pedro dobrze wiedziały, jak działa ten roztwór – doszedł do wniosku Tymur.

Headhunter skończył bandażować ramię programisty i teraz starannie wiązał ostatni supeł.

– Wydaje mi się, że u Nachasa nastąpiło przedawkowanie. I po prostu wyrzucili go po drodze – dodał.

– A jak ty się domyśliłeś, że boty karmią roztworem wieśniaków? – zapytał chłopak.

– Zacząłem o tym myśleć po spotkaniu z Willem Hollandem czy też... raczej z tym, co po nim zostało. Pamiętasz?

Tymur kiwnął głową.

– Był ślepy, a mimo to rzucił się na nas. Coś nim kierowało. Myślę, że kilka botów zaczęło się między skałami i „sterowało” nim, żeby zaatakował mnie i Jera. To byłoby możliwe jedynie wtedy, gdyby Will stał się taki jak one. Jeśli by stał się częścią watahy. Długo nie chciałem uwierzyć, ale zacząłem podejrzewać, że go zainfekowały... A ty?

– Takie myśli dawno mnie już męczyły, ale odsuwałem je od siebie. – Tymur zacisnął pięść i pokręcił głową. Jego mięśnie płonęły żywym ogniem. – Jeśli chodzi o ekipę z drugiego auta, to domyśliłem się dopiero dzisiaj, na sekundę przed tym, zanim ona – z obrzydzeniem spojrzawszy na martwą Chilijkę – skoczyła na mnie... Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałeś?

– To były tylko przypuszczenia. Niepokoilem się od chwili, gdy znalazłem krótkofalówkę. Leżała sobie spokojnie na desce rozdzielczej pod przednią szybą touarega. Bez względu na to, jak moi chłopcy byli przerażeni, *musielibyśmy* ich usłyszeć.

Tymur westchnął rozpaczliwie.

– Nie słyszeli nas, bo wtedy już ludzi w aucie nie było.

– Właśnie. A potem w pewnym momencie wszystko złożyło się do kupy: moje spotkanie z Willem, śmierć Jeffreya, zasadzka obok Puritamy... To, co mnie ostatecznie przekonało, to zniknięcie światła podczas tego świńskiego seansu, który im urządziliście z tą francuską dziewczuchą.

– Dopóki nie zaczęłeś strzelać, nawet nie śmierdziało świństwem. Kto by przypuszczał, że boty zaczną się onanizować.

– Ee, teraz nie ma to żadnego znaczenia. Tak czy siak, kiedy Ralf przekazał ostatnie wiadomości od informatora, nie zdziwiłem się. Już było jasne, że „malcy” mają jakiegoś sprzymierzeńca i że ten sprzymierzeniec to któryś z nas.

I tak oto wszystko się poukładało. Boty dowiadywały się o planach ludzi, jak tylko się one pojawiały; zdobywały informacje za pomocą własnych „uszu” i „oczu” w laboratorium. Za pośrednictwem Katsura wywąchały wyprawę Rina i Jeffreya, a później – nocny atak gazowy. Jednocześnie nie przestawały faszerować nanoagentami wieśniaków z San Pedro, co dało im dostęp do ich myśli, woli i świadomości. W ten sposób „malcy” dowiedzieli się o chemicznych środkach ochrony, a także (od jednego z wiernych psów Makaka) o małym Jamiem, który pomógł im zdobyć aldosteron i maski przeciwgazowe. Ludzie posłużyli im za niewyczerpane źródło informacji, stali się dla nich czymś w rodzaju internetu. Boty włączyły im do głów, gdy tylko natrafiały na coś dla nich niezrozumiałego, dokładnie tak samo jak my otwieramy wyszukiwarke Google, kiedy usłyszymy obco brzmiące słowa lub nazwy. Ludzkie głowy, podobnie jak ogólnoswiatowa sieć komputerowa, nie zawsze gwarantują prawdziwe odpowiedzi, mimo to są one wystarczające, aby dziesiątki razy przyspieszyć rozwój „malców”.

– I co teraz? – Tymur spojrzał na Rina.

Mięśniak ładował częściowo opróżniony magazynek beretty.

– Trzeba przeprowadzić czystkę. Sprawdzić, kto jest kim.

– Katsuro na pewno jest zarażony.

– To oczywiste. Ale coś mi mówi, że nie on jeden.

– Masz pomysł, jak sprawdzić pozostałych?

– Nie wiem. – Siłacz wzruszył ramionami. – Może będę kolejno ich bił, dopóki się nie przyznają.

Mimo napiętej sytuacji Tymur się uśmiechnął.

- Rino, wątpię, czy to pomoże. Wybacz, ale to chybiony pomysł.
 - To jak inaczej? – Headhunter rozłożył napakowane ramiona. Nie znał lepszych sposobów.
- Ukrainiec się zamyślił.
- W bloku EN-2 stoi tak zwane krzesło pokuty. Czyli po prostu narzędzie tortur. Gdy boty źle wykonały jakieś zadanie, były na nim karane.
 - Nie rozumiem. – Rino dotknął czoła.
 - Krzesło ma wbudowane urządzenie z miedzianymi cewkami czy coś w tym stylu, może ono generować pole magnetyczne dużej mocy. Na normalnego człowieka to nie zadziała, ale bot... albo osoba zarażona poczuje silny ból. Pod wpływem fal magnetycznych nanoroboty zapragną oderwać się od mózgu. I z pewnością będzie się to jakoś objawiało. Przynajmniej mimiką twarzy. Może zaczną krzyczeć...
 - Zaczną krzyczeć? To świetnie! Chłopie, zuch z siebie! – Twarz Headhuntera pojaśniała. Poklepał Tymura po ramieniu i oddał mu pistolet. – Tak też zrobimy!
 - Co prawda nie wiem, czy Ralf, Allan i inni zgodzą się na to...
 - Sądzisz, że będę ich pytał? – Rino uśmiechnął się krzywo, ale nie bez złośliwości. – Chodźmy. Ale musisz być twardy. Bez ciebie sobie nie poradzę.

CII

Sobota, 29 sierpnia, 01.13 (UTC -4)
Skrzydło sypialne bloku DW

Tej nocy, rzecz jasna, nie spało pół laboratorium.

Laura Dupré, w samych majteczkach i koszulce, już dobre półtorej godziny przemierzała pokój wzdłuż i wszerz. Z powodu wytężonej pracy umysłu podniosło jej się ciśnienie. Piekły ją zaczerwienione oczy. W potylicy pulsował cichy, ale nieprzyjemny ból.

Dziewczyna w żaden sposób nie była w stanie wymazać widoku wieczornej strzelaniny, miała go wciąż przed oczami. Bez przerwy przewijała

sobie w głowie – niczym sceny filmowe – jatkę, którą urządził Rino, i wydarzenia, które rozegrały się chwilę wcześniej.

Boty jeden za drugim padają na piasek, zwijają się z bólu, ich ciała spływają krwią. Twarze są wykrzywione, z ust cieknie różowa piana. Pozostałe nie zważają na to; dalej się masturbują. Są zahipnotyzowane aktem płciowym, który rozgrywa się na ekranie, i nie dostrzegają śmierci swoich towarzyszy. Nie rozumieją, że następny może być któryś z nich.

Laura w żaden sposób nie mogła się zdecydować, co było tego przyczyną: pierwotny instynkt czy niekontrolowana potrzeba osiągnięcia zadowolenia, pragnienie uciech cielesnych? W końcu dążenie do przedłużenia gatunku a chęć otrzymywania przyjemności z seksu to dwie różne rzeczy. Z jakiegoś powodu – Francuzka sama nie wiedziała z jakiego – wydawało się to istotną kwestią.

Dziewczyna postanowiła nieco bardziej zagłębić się w rozważaniach. Przeniosła się do chwili, kiedy Tymur

...pokazuje botowi (psychoistocie) kolorowe obrazki z fraktalami. Ujrawszy je, bot zaczyna stękać, powieki mu drżą, oddech przyspiesza. Ewidentnie czuje rozkosz. Z jakiego powodu? Dzięki obrazkom?

Każdy, kto siedzi obok Laury, dostrzega, że malec wyraźnie odpływa.

Psychiatra skoncentrowała się, zebrała wszystkie siły i wydobyła z otchłani pamięci tamten epizod. Było tam coś ważnego, jakieś niedbale rzucone zdanie, które w pierwszej chwili zabrzmiało banalnie, ale za to później... po strzelaninie, którą rozpętał Rino... po zbliżonym do śpiączki odrętwieniu, w jakie wpadły boty... nabrało nowego, szczególnego znaczenia.

Ono coś mu robi – powiedziała wtedy Tiana Emerson.

Pewnie podrażnia mu ośrodek przyjemności – odparł Ralf. – Stymuluje mózg impulsami, zupełnie tak samo jak my, kiedy nagradzamy boty za poprawne wykonanie zadania podczas ćwiczeń w terenie. To dość łatwe. I one to lubią.

Laura zanurzyła się we wspomnieniach, zapominając o bólu głowy i ohydnych gorących plamach na szyi i policzkach, które zawsze się pojawiają, kiedy podnosi się ciśnienie krwi.

...podrażnia mu ośrodek przyjemności...

...stymuluje mózg impulsami, zupełnie tak samo jak my...

...one to lubią...

Ośrodek przyjemności... Stymuluje impulsami... One to lubią...

Dziewczyna zatrzymała się pośrodku pokoju, podparła się pod boki i... posłała zwycięski uśmiech swojemu rozmytemu odbiciu w szybie okiennej. Laura Dupré właśnie sobie uświadomiła, jaka jest pięta achillesowa botów.

Radość Francuzki nie trwała długo, nagle bowiem ktoś dwukrotnie szarpnął klamką jej drzwi. Popatrzyła na budzik elektroniczny – pierwsza dwadzieścia cztery. Następnie przeniosła wzrok na klamkę. Nie zdążyła nawet pomyśleć, komu zależałoby na tym, żeby niepokoić ją o wpół do drugiej w nocy, kiedy rozległ się głośny dźwięk, potem jeszcze jeden, a na końcu – chrzęst rozwalanego drewna. Zamek pozostał w futrynie, drzwi natomiast, wyrwane z zawiasów jak na filmie, wpadły do przedpokoju. Dziewczyna krzyknęła.

– A ty dlaczego nie śpisz? – zaryczał Rino, wpadając do środka.

– Ja... – zająknęła się Laura. – Ja rozmyślałam.

– Aha – rzucił olbrzym. – Na korytarz, Arystotelesie.

Zmieszana Dupré pochyliła się po spodnie, ale Headhunter wrzasnął wściekle:

– Ręce na widoku!!! Trzymaj ręce na widoku, cholerna żabojadko!

Dopiero teraz Laura zorientowała się, że siłacz celuje do niej z remingtona.

– Rino, ja tylko chciałam włożyć spodnie...

– Do diabła! Ciepło jest. Wyłaż na korytarz w majtkach. I ręce za głowę!

Psychiatra posłuchała. Rino wcisnął jej lufę strzelby między łopatki, lewą ręką chwycił ją za włosy, wyciągnął z bloku mieszkalnego i popchnął w stronę korytarza biegnącego przez całe pierwsze piętro. Tam już czekał Allan Greenlon; stał w pozie aresztanta, opierając dłonie o ścianę. Trzy metry dalej Tymur ścisnął w wyciągniętych dłoniach pistolet automatyczny.

– Stawaj pod ścianą – nakazał Headhunter. – I ani drgnij. Spróbuj tylko wykonać jakiś ruch, a Ukrainiec cię zastrzeli.

Laura Dupré odwróciła głowę. Mrużąc krótkowzroczne oczy, spojrzała na Tymura.

– Co to znaczy?

– Wybacz, Lauro, nie mam wyboru...

– Do kogo ja mówiłem? Nie ruszać się! – wrzasnął mięśniak. – I nie gadać!

Pięć minut później stanęli pod ścianą z uniesionymi rękami i rozstawionymi nogami Tiana, Gotto i Oscar Steirmann.

– Ralfa i Katsura nigdzie nie ma – wyszeptał Rino, nachyliwszy się nad uchem Tymura.

– Fatalnie. I co robimy?

– Robimy tak, jak się umawialiśmy. Sam później poszukam tych dwóch.

Jego głos nie zabrzmiał zbyt pewnie, mimo to Ukrainiec rozumiał, że nie mają wyborów.

– Dobrze. – Wzruszył ramionami, nie opuszczając beretty. – Dobrze.

Mięśniak wyprostował się i odkaszlnął.

– Czyli tak. – Naprężył się i zatknął duży palec lewej dłoni za pasek; prawą, wcisnąwszy kolbę między łokieć a żebra, trzymał remingtona. – Słuchajcie mnie uważnie! Teraz, jedno za drugim, trzymając ręce za głowami, powoli i bez szarpania się, wychodzicie z budynku i idziecie prosto do bloku EN-2. Niech tylko ktoś spróbuje odwrócić się do mnie, natychmiast odstrzelę jego durny łeb. Jeśli ktoś opuści rękę, żeby podrapać się po swojej śmierdzącej dupie, odstrzelę mu łeb. Jeśli ktoś wyjdzie z szeregu, potknie się albo spróbuje pobiec, bez wahania palnę ładunkiem śrutu prosto w jego bezczelną tępą dynię.

– Jak śmiesz, barbarzyńco! – zapalił się Steirmann (nie odwracając co prawda głowy). – Żądam wyjaśnień!

– Zamknij się!!! – zagrzemiał Rino. – Jeśli jeszcze raz ktoś spróbuje się odezwać bez mojego, kurwa, pozwolenia, zatkam mu gębę szczotką do kibla, a potem odstrzelę łeb! Czy wyglądam na kogoś, kto lubi żartować? Nie słyszę!

Brazylijka załkała. Wszystko jej się pomieszało w głowie. Nie mogła pojąć, czy to jej się śni, czy dzieje się z nią naprawdę.

– Nie, nie wyglądasz na takiego, Rino – cicho odpowiedział Allan.

– Wspaniale, w lewo zwrot i wypad na zewnątrz. Tymur, ty idziesz z przodu. Otwieraj drzwi i pilnuj, żeby żaden z tych palantów nie zwiął.

Kolumna ruszyła do wyjścia z bloku mieszkalnego. Pierwsza szła Laura Dupré, za nią Gotto, Oscar Steirmann, Tiana Emerson i na samym końcu Allan Greenlon. Tymur blady jakby pobielony wapnem ledwie powłóczył nogami. Przyciskał berettę prawą ręką do brzucha. Tak jakby się bał, że pistolet, oderwany od ciała, może wystrzelić sam. Od czasu do czasu chłopak

się odwracał, zerkał na twarze Francuzki, Brazylijki i Amerykanina i spojrzeniem prosił wszystkich o wybaczenie.

Przechodząc obok Tymura, Laura wybrała moment, gdy Headhunter nie patrzył w jej kierunku, nachyliła się i wyszeptała z niepokojem w głosie:

– Nie wiem, co wymyśliliście, ale *wiem*, jak wykończyć boty. Tymurze, mam pomysł, jak można je... – Chwilę później jej szept się urwał, dziewczyna wyprostowała się i zniknęła w korytarzu.

Tymur skulił się, przekonany, że Rino usłyszał ich rozmowę i zaraz oberwie się im obojgu. Na szczęście, albo na nieszczęście, Headhunter się nie zorientował. Dopiero jakieś pięć sekund później do Ukraińca dotarło, że instynktownie kieruje broń tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała Laura. Ręka mu drżała. Jest zarażona czy nie? – pomyślał. Zranione ramię go świerzbiło, w całym ciele czuł bicie serca, nawet w mięśniach nóg. Kłamie czy mówi prawdę?

Allan Greenlon wyszedł na dwór ostatni. Rino zrównał się z Tymurem.

– Bądź czujny, *fella*. Kiedy do nich dotrze, *co* mamy zamiar zrobić, będą gotowi na wszystko. Nie daj się nabrać na ich sztuczki.

– A co, jeśli się pomyliliśmy?

– A co, jeśli oni wszyscy co do jednego są zarażeni? – odparował Rino. – Jeśli się wycofasz, rozstrzelam ich wszystkich tutaj, pod oknami jadalni. Koleś, ja nie chcę ryzykować. Za bardzo kocham to życie.

– Dobra... W porządku... Daj spokój. Zrobię, co trzeba.

– To leć do EN-2 i otwieraj przejście.

CIII

Sobota, 29 sierpnia, 01.48 (UTC -4)
EN-2, drugi blok inżynierski
Pracownia programowania

Z syczących neonowych lamp sączyło się spod sufitu miękkie światło. Jedna z nich irytująco migotała.

Trzej mężczyźni i dwie kobiety zamarli pod ścianą, złączywszy dłonie za głowami. Headhunter stanął nieruchomo naprzeciwko, wyciągając w ich kierunku strzelbę.

Tymur w tym czasie grzebał przy panelu sterowania, próbując odnaleźć włącznik „fotela pokuty”. Od czasu do czasu ogarniała go fala paniki. Zdawał sobie sprawę, w jak niepewnej sytuacji się znajdują. Ralf i Katsuro mogli być wszędzie (chłopak przypuszczał, że Kanadyjczyk również jest zarażony). Mieli dostęp do broni, klucze do wszystkich drzwi, hasła do wszystkich systemów, i to dawało im przewagę nad resztą. Przed oczami Tymura co chwila pojawiała się mało krzepiąca wizja: Kanadyjczyk z młodym Japończykiem wpadają do sali i otwierają gwałtowny ogień. Jeśli pośród tych stojących pod ścianą przynajmniej dwie osoby są zarażone, oznacza to koniec jego i Rina. Ze strzelbą i z lichym pistoletem nic nie działają.

W końcu, włączywszy kolejno dwie trzecie przełączników na desce rozdzielczej, chłopak natrafił na ten właściwy. Na panelu umieszczonym obok krzesła, nad którym wisiał generator pola magnetycznego, zamigały niebieskie cyfry. Żaróweczki zainstalowane przy zaciskach na podłokietnikach oraz przednich nogach krzesła zaświeciły się na czerwono.

– Gotowe – powiedział cicho Tymur, starając się, aby jego głos nie zdradzał niepokoju, który podchodził mu aż do gardła.

– Okej – wydusił z siebie Rino.

Siłacz też się denerwował. Gdy Ukrainiec to zobaczył, po raz kolejny ogarnęła go niemoc. Nie damy rady... – kołatało mu w głowie. Wszystkich nie upilnujemy! Nagle pomyślał, że rozstrzelanie całej piątki nie byłoby takie złe. Skończyć z nimi, wskoczyć do terenówki i spadać stąd w cholerę. Ale natychmiast się zawstydził. Przecież sam mógł teraz stać między nimi, zaskoczony i przerażony, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje.

– Okej – powtórzył jak echo Tymur. – Od kogo zaczynamy?

– Od Tiany... bierz ją. – Okrągłe oczka Headhuntera tańczyły jak oszalałe.

Przesuwając się bokiem, Tymur dotarł do krzesła. Teraz zaczynał się najważniejszy moment. Rino nie będzie mógł mu pomóc, nie spuści oczu ze zgromadzonych pod ścianą mężczyzn i kobiet. Tymur sam musi posadzić Tianę na krzesło, zacisnąć klamry na jej nadgarstkach i kostkach nóg, a następnie włączyć aparaturę. A co, jeśli kobieta będzie się opierała? Chłopak poczuł, jak poca mu się dłonie, a pistolet robi się ciężki jak z ołowiu.

Nie damy rady... nie damy rady! Za dużo ich jest!

– Tiano! – zawołał. – Proszę podejść i usiąść na krześle. – W ustach mu zaschło, słowa się łamały i wydobywały się z gardła ostrymi odłamkami.

Brazylijka zaszlochała. Ramiona jej drgnęły, ale nie ruszyła się z miejsca.

Tymur uświadomił sobie, że kobieta znajduje się na granicy hysterii. Albo udaje, że jest na granicy.

– Twarzą do nas, ty kurwo! – zaryczał z drugiego kąta pokoju Rino. – Reszta nie ruszać się!

Tiana się odwróciła. Jej oczy, bezbarwne i nieruchome, były wlepione w jakiś nieistniejący punkt. Po policzkach ciekły łzy. Czy to przez nieobecny wyraz twarzy, czy z powodu rozczochranych, tu i ówdzie posiwiiałych włosów Tiana wyglądała na chorą psychicznie.

– Nie opuszczaj rąk! – krzyczał dalej olbrzym. – I rób wszystko, co ci każe Ukrainiec.

– Co wam przyszło do głowy? – Głos Brazylijki brzmiał nierówno, jakby napotykał jakieś przeszkody. Jakby coś się przez niego przebijało.

Tymur przełknął ślinę. Między łopatkami prześlizgnęła się fala chłodu.

Ona doskonale wie, do czego służy to krzesło. Czyżby jeszcze się nie domyśliła? Czy to po prostu taka gra? Czy może...

– Tiano, prosimy jedynie, żeby usiadła pani na tym krześle – powiedział programista.

Szurając nogami, kobieta zbliżyła się do niego. Nagle jej oczy się ożywiły.

– Tymurze – wychrypiała – Tymurze, opuść pistolet... My wszyscy jesteśmy skażeni. – Tiana była już w połowie drogi między ścianą a „fotelem pokuty”. Wciąż trzymając ją na muszce, Tymur zrobił kilka kroków do tyłu. –

Po co to jeszcze komplikować, Tymurze? Keitara nie ma, już nikt cię tu nie trzyma. – Jej wzrok się zmącił. – Rozumiem, co czujesz po śmierci Jeffreya i Alondry... po śmierci każdego z nich... Tak samo jak ty chcę wrócić do domu. Jestem taka zmęczona...

Nagle kobietą zatrzęsło, oczy jej wyszły z orbit. Rozcapierzyła palce i wyciągnęła przed siebie obie dłonie. Nie odwracając remingtona, Rino kątem oka zerkał na Tianę i czuł, jak strach nieprzerwanie wbija mu w zadek korkociąg, zmrożony niemal do zera kelwinów.

Tymur znieruchomiał, jakby został zalany betonem. Wątpliwości przenikały go do głębi. W przeciwieństwie do agresywnej Bekki Tiana wyglądała żałośnie: była zmęczona, rozbita, załamana. Tchnęło od niej rozpaczą. Szaleństwem. A na pewno nie niebezpieczeństwem. Ale czy można było w to wierzyć?

– Tiano, po prostu usiądź na krześle – niepewnie powtórzył chłopak.

Allan, Oscar i Laura obrócili głowy, spoglądali przerażonym wzrokiem na Ukrainka i Brazylijkę. Tylko Gotto posłusznie opierał się nosem o ścianę.

– Dajcie mi spokój, mordercy! – wysyczała Tiana, konwulsyjnie zamachała rękami, zrobiła krok do przodu i...

Przez kilka następnych sekund Tymur nie oddychał. Patrzył tylko, jak kobieta, pochylając się, pada z wyciągniętymi ku niemu ramionami. Jego wzrok zarejestrował niebieskie żyły na śniadej skórze, wytrzeszczone i przerażone oczy, skrzywione usta. W uszach zadzwoniło od podwyższonego ciśnienia. Jeszcze chwila – a dopadnie go, rzuci się na niego.

Okrzyk „Strzelaj!” dotarł do niego skądś z daleka. Tak jakby oddzielała go od Rina górską przepaść.

Tymur nie myślał. *Miał* czas, lecz *nie chciał* podjąć decyzji. W takich sytuacjach mózg oddaje pierwszeństwo spontanicznemu działaniu. Chłopak zamknął oczy i nacisnął spust.

Padł głuchy strzał. Któryś z mężczyzn pod ścianą krzyknął cicho. Ciało Tiany niemal bezgłośnie rozpląszczyło się na podłodze pół metra od programisty. Dopiero wtedy otworzył usta i głośno kaszłąc, złapał oddech.

Opuszczając pistolet, patrzył na ciało Brazylijkki, spod którego niczym czułki wpełzały strumyczki krwi. Na chwilę przedtem, zanim uświadomił sobie, że właśnie zabił tej nocy drugą kobietę, usłyszał, jak pomiędzy kolejnymi uderzeniami serca przebija się do niego złośliwy głos wewnętrzny. Ona się potknęła, po prostu się potknęła – zdawało się, że sam diabeł bełkoce w jego głowie – a ty ją zabiłeś... zastrześliłeś niewinną kobietę.

– Teraz ty, żabojadko. – Rino splunął i skierował lufę strzelby na Laurę.

Psychiatra gwałtownie odwróciła głowę i popatrzyła na mięśniaka.

– Niepotrzebnie... – odezwała się, ledwie poruszając pobladłymi ustami.

Tymur nie zareagował. Stał nieruchomo i wpatrywał się w ciało martwej Brazylijkki. Wyglądało, jak gdyby popadł w katatonię[110].

– Co się z wami dzieje?! Rino! Tymur! – nie wytrzymał i krzyknął Allan Greenlon.

– Stul pysk!!! – ryknął Rino.

Podniósł lufę strzelby i strzelił w strop.

Z góry posypały się białe odłamki podwieszanego sufitu. Laura zasłoniła uszy i osunęła się na podłogę. Steirmann powstrzymywał szloch, przygryzając wargi. Na nogawkach jego dżinsów, po wewnętrznej stronie, popęzły w dół dwie wilgotne plamy. Chilijczyk się zmoczył.

– Odejdź od ściany! – rozkazał Laurze najemnik.

Głośny strzał z remingtona wyrwał Tymura z odrętwienia. Ukraińiec opuścił głowę.

– Niech pan nie strzela, bardzo pana proszę – wybełkotała Dupré, trzęsąc się.

– Siadaj na krzesło! – niespodziewanie głośno krzyknął Tymur. Miał ochotę drzeć się ile sił w płucach, byle tylko zagłuszyć ten podły głos w swojej głowie: Ona nie rzucała się na ciebie... ona się potknęła... a ty wystrzeliłeś... wystrzeliłeś... wystrzeliłeś!

Rino nie bez zdziwienia spojrział na chłopaka.

– Tymurze, posłuchaj. – Laura rozłożyła ręce na znak, że nie zamierza wykonywać żadnych podejrzanych ruchów; spoglądała to na Ukrainca, to na Południowoafrykanina. – Nie możecie mnie zabić. Zrozumiałam, jak można pokonać boty. Odnalazłam ich słaby punkt. Słyszycie mnie? Wiem...

– Ona cię zwodzi. – Osilek smętnie pokiwał głową.

Programista bacznie przyglądał się dziewczynie znad beretty.

– Przecież wiecie, że teraz nam nie odpuszczą. Boty nikogo nie wypuszczą z pustyni. A właściwie nie boty, tylko ten potwór, psychoistota. Trzeba ją zniszczyć i tylko ja wiem, jak to zrobić. – Laura zadyszała się. – Nie ważycie się mnie zabić. Jeżeli mnie zastrzelicie, podpiszecie na siebie wyrok śmierci!

– Zabij ją! – Headhunterowi puszczały nerwy. – Pieprzy głupoty!

– Rino, nie krzycz – odezwał się Tymur. W jego głosie słyhać było wyraźnie metaliczne tony. Śmierć Tiany, w czym nie było nic dziwnego, nieco go otrzeźwiła. – Dam sobie radę sam. Ty lepiej pilnuj pozostałych. Lauro, podpisaliśmy na siebie wyrok śmierci w momencie, gdy złożyliśmy podpisy

na umowie z NGF. Nikt nie zamierza cię zabić. Proszę, podejdź i usiądź na tym przeklętym krześle.

Laura posłusznie przeszła nad ciałem Tiany i opadła na „fotel pokuty”. Programista przysunął się bardzo blisko niej, przyciskając lufę beretty do płaskiej piersi Francuzki.

– Boże, Tymur, ja nie chcę umierać – mamrotała Laura, płacząc angielskie słowa z francuskimi.

Tymur kilkoma wprawnymi ruchami zatrzasnął klamry. Kontrolki zamigały uspokajającym zielonym światłem. Chłopak opuścił broń – Laura była dobrze przymocowana do nóg i poręczy krzesła.

– No co tam? – zapytał Rino, nie obracając głowy.

– Jest gotowa. Zaczynać?

– Tak.

Tymur nachylił się nad pulpitem i uruchomił aparaturę. Z wypukłego metalowego cylindra, który do połowy zakrywał zmierzwione włosy dziewczyny, wydobyło się ciche buczenie. Laura mrugała spod „suszarki” jak kurczę, które dopiero co wykluło się z jaja. Żaden mięsień nie drgał na jej stropionej twarzy. Jedynie chude nogi trzęsły się lekko.

Minęło trzydzieści sekund.

– Pieści ją tam czy nie? – zaniepokoił się Headhunter.

– Nic – odparł Tymur.

– Może nie działa.

Chłopak wzruszył ramionami i zbliżył pistolet do wewnętrznej powierzchni cylindra. Buczenie się nasiliło, a lufa, wydawszy z siebie dźwięczne „dun-n-n!”, przywarła do metalu.

– Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. – Programista się wyprostował. – Zdaje się, że jest czysta, Rino.

– Puść ją – niechętnie wycedził osiłek.

Tymur wyłączył generator, nacisnął guzik i zwolnił zaciski. Laura gładziła koszulkę na brzuchu, nie wiedząc, co ma dalej robić.

– Wstawaj, co tak się rozsiadłaś? – Programista dotknął jej ramienia.

Wciąż nie wierząc, że to już jest za nią, psychiatra podniosła się i stanęła za plecami Tymura.

– Rino – spokojnym głosem odezwał się Allan – już wiem, co knujecie. Chcę być następny. – Amerykanin stał twarzą do Headhuntera. – Też jestem czysty, Rino. Przysięgam. Nie strzelaj, a zrobię wszystko, co każesz.

Headhunter wymownym gestem wskazał krzesło. Demonstracyjnie trzymając rękę z tyłu głowy, inżynier skierował się do aparatury. Tymur odsunął się, dając mu przejść i odciągając na bok Laurę. Greenlon umościł się na krześle, sam zamknął sobie bransolety na nogach i na lewej ręce, po czym dał chłopakowi znak, aby ten zablokował mu prawą rękę. Ukraińiec zapiął ostatnią klamrę i włączył pole magnetyczne.

– Jak się domyśliliście, że ktoś z naszych wchłonął agentów? – Cylinder buczał miarowo; Allan mówił wolno i spokojnie.

– Nikt naumyślnie nie wprowadzał nanorobotów. – Tymur był prawie pewien, że inżynier nie został zainfekowany, dlatego (choć nie miał szczególnej chęci na rozmowę) odpowiadał na pytania. – Boty zaraziły załogę, która wiozła Jemeljanowa z Antofagasty.

Greenlon zmarszczył brwi, rozważając to, co usłyszał.

– To wiele tłumaczy.

– To tłumaczy wszystko. Poza tym dziś w nocy okazało się, że ta fantastyczna czwórka zdążyła jeszcze kogoś zarazić. Dlatego postanowiliśmy przeprowadzić inspekcję.

– Rozumiem. – Mężczyzna pokręcił łysą głową, przebiegłszy wzrokiem po twarzach wszystkich zgromadzonych w laboratorium. Zauważył, że brak wśród nich Igora, Katsura, a także Ralfa i Rebekki. Nie powiedział tego jednak na głos.

Tymur się nie mylił. Allan przeszedł sprawdzian. Zostali im jeszcze Oscar Steirmann i Gotto.

– Gotto! – zawołał go Rino. Herero nie zareagował. – Przywlecż swoją czarną dupę do tego tronu.

Afrykanin opuścił ręce, odwrócił się i pokornie poczłapał w stronę krzesła. Obecność Allana i Laury dodawała Tymurowi pewności siebie. Niewykluczone, że nadmiernej.

Czarnoskóry najemnik w milczeniu usadowił się w fotelu. Ukraińiec odsunął prawą dłoń, w której trzymał berettę, a lewą wyciągnął w stronę przedramienia Gotta, chcąc umocować lewą rękę Herera w klamrze. W ostatniej chwili Tymur zauważył, że Afrykanin jakoś dziwnie trzyma rękę

nad bransoletami, tak jakby się wahał, czy ma to zrobić. Tymur podniósł oczy i... pobladał jak płótno, zobaczył bowiem, że przed nim nie siedzi już Gotta. Jeszcze sekundę temu na twarzy Herera rysowała się obojętność. Oczy były spokojne i powściągliwe. Teraz w Ukrainca wpatrywała się oszalała istota; od nabrzmiałej krwi białka zrobiły się czarne jak u diabła.

Programista spróbował złapać Gotta za ramię, żeby chociaż jedną rękę przykuć mu do krzesła. Potwór ryknął wściekle, wyrwał się i przyłożył Tymurowi w szczękę. Chłopakowi szczęknęły zęby, a on sam wylądował na podłodze. Murzyn podniósł się, rzucił do prawej ręki Tymura, wyrwał mu z dłoni berettę i spróbował złapać go za szyję.

Zapominając o Steirmannie, Rino skierował broń na swojego żołnierza, ale nie odważył się strzelić. Jednym pociągnięciem za spust mógłby pozbawić życia całą trójkę: Gotta, Allana i Tymura.

– Allanie! – wrzasnął programista, prosząc Amerykanina o pomoc.

Herero zawisł nad Ukraincem, wczepiwszy się w jego grdykę. Na szczęście Allan błyskawicznie się zorientował: wystawił prawą nogę do przodu, przeniósł na nią ciężar całego ciała, następnie zgiął lewą nogę w kolanie, odciągnął do tyłu i z całej siły – zamachnąwszy się jak piłkarz – kopnął czarnoskórego w pachwinę.

Boty botami, ale podstawowe zasady fizjologiczne są nienaruszalne. Jeżeli osobnik płci męskiej oberwie po jajach, jego reakcja, cokolwiek by robił, jakkolwiek by się starał, będzie przewidywalna.

Pod wpływem uderzenia z nosa potwora pociekły smarki. Gotta zaryczał. Tymur go odepchnął; w tym samym momencie Allan, zmieniając pozycję, kopnął Murzyna w brzuch. Z ust Gotta wydobył się ochrypły kaszel, splunął krwawą flegmą. Ukrainiec skoczył na równe nogi. We dwóch z Amerykaninem przygwoździli Gotta do krzesła i zablokowali jego ręce klamrami. Nie próbowali nawet unieruchamiać nóg: czarnoskóry wierzgał i niesamowicie charczał.

Tymur rzucił się do panelu sterowania „fotelem pokuty”. Uderzył wierzchem dłoni w klawisz START, a potem przekręcił regulator H-field[111] do pozycji Max.

Gotto wygiął się, zakwilił i wpił palcami w poręcze, tak jakby przepuszczono przez niego prąd. Wyglądał teraz jak mumia – na rękach, policzkach i szyi widać było każdy mięsień. Miał mocno zaciśnięte zęby.

Z nosa trysnęła mu krew. Rozdarta koszula ukazywała czarną pierś. Skórę gęsto pokrywały ropnie. Oczy Gotta wybałuszyły się i obracały jedno niezależnie od drugiego. Kwilenie stopniowo przeszło we wrzask, który z każdą sekundą stawał się coraz gwałtowniejszy. Kiedy monotonne skomlenie, wylewające się strumieniem z gardła Herera, stało się już nie do wytrzymania, nagle wszystko się urwało. Murzyn rozluźnił się i jakby nadał. Ciszę w laboratorium przerywało tylko pszczele buczenie cewek magnetycznych.

Tymur wyłączył aparaturę.

– Uch... – wydyszał Allan i przesunął dłonią po twarzy. – Ale numer.

Laura Dupré głupkowato mrugała i raz po raz wycierała usta palcami.

– Popatrzcie – powiedział Ukrainiec, nieśmiało przysuwając się do martwego Herera.

Głowa najemnika przybrała kształt gruszki. Czoło i skronie zapadły się, przez co górna część czaszki zwięzła się, kości policzkowe i szczęki napęczniały jak napompowane. Trudno było rozpoznać dawne rysy twarzy Gotta. Spod powiek wypływała krew. Tymur, walcząc z obrzydzeniem, dotknął głowy trupa. Czoło ugięło się po dotknięciu, jakby było zrobione z waty. „Gruszka” chlupnęła i jeszcze bardziej spuchła.

– Fuuuj! – Chłopak skrzywił się i wysunął język. – To jest lepkie... jak galareta.

Głowa zrobiła się miękka jak piłka, z której spuszczone powietrze.

– Co się z nim stało? – Allan zasłonił usta i nos.

– Pod wpływem działania pola magnetycznego nanoroboty się rozłączyły. Nie mogły wydostać się na zewnątrz, za to zmeły kości czaszki – wyjaśnił Tymur.

– Fee... – Amerykanin się skrzywił.

Nagle ich uwagę przyciągnęło przeraźliwe charczenie. Wszyscy (w tym Rino) odwrócili głowy. Steirmann zwymiotował prosto pod nogi, a gdy już sobie ulżył, stracił przytomność i padł tam, gdzie stał.

– No i co mu powiesz. – Headhunter rozłożył ręce. – Idiota.

– Będziemy go sprawdzać? – Tymur popatrzył na Rina.

– Tak pro forma.

Rino i Allan przeciągnęli zemdlałego Chilijczyka do aparatury. Tymur, przytrzymując jego głowę w cylindrze, włączył pole magnetyczne. Oscar nie zareagował. Czaszka pozostała twarda.

– Czysty.

– Teraz trzeba znaleźć Japońca i starego mądralę. – Mięśniak potarł ręce.

– Masz na myśli Katsura i Ralfa Doernberga? – upewnił się Allan.

– Tak. Jeśli przypadkiem ich zobaczysz, przekaz im, że muszę przewietrzyć im mózgi.

– A Igor Jemeljanow?

– Ten już swoje zrobił – z dumą oznajmił Rino. – Wrócimy do naszych sypialni, to pokażę ci jego głowę.

– A co z Beccą?

– Ukrainiec ją zastrzelił.

Allan wzdrygnął się i poczerwieniał. Tymur opuścił głowę i wplótł palce we włosy. Dopiero wtedy zaczęło nim trząść. Pomyślał, że jeśli zaraz nie usiądzie, może się przewrócić. Gdziekolwiek by spojrzeł, już po chwili jego wzrok, jak magnes, przykuwała martwa Tiana Emerson.

Rino nacisnął ramię Ukraińca. Przydusił je boleśnie. Poczekał, aż ból chłopaka otrzeźwi, a następnie zwrócił się do Laury ze słowami:

– Ty, żabojadko. – Headhunterowi zabłyśły oczy. – Gadałaś coś, że wiesz, jak ustawić boty.

Dziewczyna wyprostowała się, mimowolnie obciągnąwszy na sobie koszulkę, i z jakimś groteskowym, wręcz głupkowskim entuzjazmem wypaliła:

– Tak, kurwa!

CIV

Sobota, 29 sierpnia, 03.00 (UTC -4)
EN-2, drugi blok inżynierski
Pracownia programowania

– Jeśli coś będzie niejasne, pytajcie.

Rino, Allan i Tymur stali wokół Laury. Dziewczyna już doszła do siebie; mówiła pewnym tonem, charakterystycznym dla każdego, kto czuje się mądrzejszy niż jego otoczenie. Dupré starała się nie myśleć o tym, że występuje przed słuchaczami w samej bieliźnie.

– U wszystkich kręgowców, czyli organizmów, które wyposażone są w ośrodkowy układ nerwowy, w mózgowiu zlokalizowana jest specjalna struktura zwana ośrodkiem przyjemności.

Allan kiwnął głową. Każdy o tym wiedział. Francuzka kontynuowała wykład:

– Dwóch naukowców, Oldsa i Milnera, interesowało zagadnienie, czy szczury doświadczały dzięki stymulacji elektrycznej pewnych części mózgu będą odczuwały dyskomfort.

– Lauro, do rzeczy.

– Allan, nie przerywaj! To jest istota rzeczy! No więc tych dwóch neurofizjologów przeprowadziło ciekawy eksperyment: kiedy gryzonie przybiegały w odpowiedni róg klatki, włączał się prąd. Gdyby na skutek stymulacji elektrycznej szczury odczuwały dyskomfort, unikałyby tego rogu. W rzeczywistości wyszło na odwrót: po pierwszej stymulacji zwierzęta szybko wracały do rogu i jeszcze szybciej po drugiej. W późniejszych eksperymentach Olds i Milner wprowadzili elektrody do jądra układu limbicznego gryzoni i pozwolili im naciskać włącznik mechaniczny, który inicjował stymulację. W efekcie szczury zaczęły się stymulować po siedemset razy na godzinę.

– Onaniści – skomentował Rino.

– Bingo! – potwierdziła Laura. – Kiedy pozostawiono zwierzęta samym sobie, szarpały wyłącznik, zapominając o jedzeniu i o odpoczynku. W końcu umierały z wycieńczenia.

Laura Dupré objęła zwycięskim spojrzeniem skupione twarze.

– I co? – dopytywał się Rino.

– Jeśli dać zwierzęciu wybór między stymulowaniem ośrodka przyjemności a jedzeniem, będzie stymulował ośrodek przyjemności, dopóki nie zdechnie.

– Z botami to się nie uda – zauważył Tymur.

– Dlaczego?

– Ponieważ algorytm tworzenia makr, opracowany przez Horta, bada strumienie, które uruchamiają się w skupiskach nanorobotów. Algorytm blokuje te procesy, które niosą potencjalne zagrożenie. To chyba coś na kształt programu antywirusowego w normalnych kompach. Dokładnie nie wiem. Ale jestem pewien, że system kontroli makr autorstwa Horta nie pozwoli uruchomić kodu, który zawierałby pętlę nieskończoną.

Psychiatra ze złości plasnęła się po nagim biodrze.

– Tymurze, nie zrozumiałeś mnie! Nie potrzeba żadnych pętli.

– To jak zamierzasz zorganizować nieprzerwaną stymulację ośrodka przyjemności?

– Potrzebny mi jest program albo moduł, czy jak to się tam nazywa, który boty mogłyby uruchamiać same – wyjaśniła Laura.

– Coś w stylu zwykłego makra? – podpowiedział Tymur.

– Dokładnie, makro! Makro, które wykonywałoby *jednorazową* stymulację ośrodka przyjemności, a potem by się wyłączało. Jednorazową! Słyszysz mnie, Tymurze? Zapętlenie nie jest potrzebne. Ważna jest tylko możliwość dostarczenia przyjemności. A pętlę nieskończoną boty stworzą same. Jak szczury.

Ukrainiec poczuł się tak, jak gdyby gdzieś wewnątrz jego brzucha ktoś potarł kółkiem zapalniczki i zapalił w nim płomyk nadziei.

– Boty to nie szczury – Allan wciąż miał wątpliwości. – Jesteś pewna, że będą się zachowywać tak samo jak gryzonie podczas eksperymentu?

– Jestem – kategorycznie odparła Laura. – Po pierwsze, przypomnij sobie egzekucję, którą urządził Headhunter. Boty miały świadomość śmiertelnego zagrożenia, ale nie odrywały się od ekranu. A po drugie...

– A po drugie – przerwał jej Tymur – możemy to łatwo sprawdzić.

– Jak?

– W tym laboratorium, oprócz „fotela pokuty”, jest urządzenie, za którego pośrednictwem boty były już stymulowane.

– Mówisz teraz o ośrodku przyjemności?

– Właśnie. Ralf mi opowiadał. W ten sposób nagradzali boty za dobre wyniki podczas treningów. Wszystko, co mamy zrobić, to dać „malcowi”

dostęp do panelu sterowania. Jeżeli on to zrozumie i zacznie stymulować samego siebie, znaczy, że wszystko może się udać.

Programiści to specyficzni ludzie. Postronnemu obserwatorowi może wydawać się dziwne, że chłopak, który kwadrans temu znajdował się na granicy załamania nerwowego, bardzo szybko doszedł do siebie. Tak naprawdę nie ma w tym niczego dziwnego. Programiści różnią się od innych ludzi. Kiedy biorą się do rozwiązywania zadania, nic poza tym nie ma dla nich znaczenia. Z takim zacięciem siadają do napisania programu, jakby od prawidłowo stworzonego i zgodnego z programowaniem strukturalnym kodu zależały losy Wszechświata. Programiści żyją w innym świecie. Z własnym slangiem, ze specyficznymi żartami i z niewiarygodnie nietuzinkowymi wartościami.

– Wciąż nie chwytam – upierał się Amerykanin. – A co potem?

– Potem stworzę narzędzie, które będzie stymulowało ośrodek przyjemności – odparł rozgniewany Tymur. – I przekompiluję je do skupisk nanorobotów w mózgu bota. Później pozostanie tylko wysłać je do pozostałych „malców”, podzielić się doświadczeniem.

Laura nieprzerwanie kiwała potakująco głową. Kiedy skończył, dodała:

– Jeżeli to zadziała, mam na myśli przekazanie stymulatora z jednego procesora do drugiego, wystarczy wypuścić kilka botów, żeby dołączyły do uciekinierów na pustyni i... to wszystko! Po trzech dniach zdechną w słodkich męczarniach, nie odzyskawszy świadomości!

– A po co je wypuszczać? – zapytał Allan. – Przecież one kontaktują się między sobą.

– Tak, za pośrednictwem psychoistoty. Ale *ono* nie może zagwarantować transmisji kodu programistycznego. Albo nie chce. Co w zasadzie wychodzi na jedno. Po to, aby program przeszedł z jednego procesora na drugi, boty powinny się znajdować nie dalej niż w odległości ośmiuset–dziewięciuset metrów od siebie.

Headhunterowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Siłacz natychmiast rzucił się do „Żłobka” i przyciągnął stamtąd bota. Tymur z Laurą posadzili go i podłączyli elektrody. Ukrainiec wiedział, co i jak podłączyć, nieraz oglądał to na nagraniach.

Kiedy jednak doszło do uruchomienia stymulacji, sprawy się skomplikowały. Przed Tymurem znajdował się ogromny panel z guzikami,

regulatorami i wskaźnikami. Chłopak widział, jak rozpoczynano cały proces, nie wiedział jednak, co dokładnie należało w tym celu nacisnąć.

– Potrzebna mi pomoc – oznajmił. – Nie wiem, jak to włączyć.

Allan dość szybko włączył zasilanie – odszukał przełącznik z napisem „PWR”. Ale potem się zawahał. Problem polegał na tym, że wszystkie elementy sterowania były podpisane skrótami. Nawet odnalezienie włącznika „PWR” (POWER) zajęło kilka minut.

Upłynęło jeszcze trochę czasu.

– Zdaje się, że to to. – Laura wskazała palcem przycisk z napisem „DLGHT”.

– De-el-gie-ha-te? – wolno przeliterował Tymur. – Co to?

Psychiatra uśmiechnęła się.

– Nigdy nie rozwiązywałeś rebusów? DELIGHT. To *delight*[\[112\]](#), kolego.

– Rzeczywiście!

Tymur przeniósł spojrzenie na bota. „Malec” siedział ze zwieszonymi rękami i opuszczoną głową.

– Włączać? – Programista popatrzył kolejno na Francuzkę i Amerykanina. (Rino trzymał się z dala; podchodził do całej sprawy podejrzliwie).

– Dawaj. – Dupré skinęła głową.

Tymur wdusił przycisk, który podświetlił się na pomarańczowo. Jak tylko chłopak zabrał palec, przycisk powrócił do pozycji wyjściowej, a podświetlenie zniknęło. Tymur nacisnął ponownie, tym razem przytrzymując przycisk. Coś cicho zabuczało pod panelem. W tym momencie z bota jakby ktoś wypuścił powietrze, a on sam zrobił się... jakiś taki bezkształtny. Oczy mu się zapadły, powieki zadrżały.

– Działa – wyszeptał zaskoczony Allan Greenlon.

– Aha – potwierdził Tymur, nie odrywając wzroku od „malca”. – Na to wygląda.

Bot poczerwieniał, od czasu do czasu cicho postępując. Dłonie w podnieceniu ślizgały mu się po nogach.

Programista puścił klawisz, który powrócił do pozycji wyjściowej i znów poszarzał. Bot wzdrygnął się. Oczy wróciły na swoje miejsce, ciało się

naprężyło. „Malec” jednak wciąż się trząsł. Z zakłopotaniem kręcił głową i charczał jak pies.

Nagle bot zaczął skomleć.

– Prosi o dokładkę – skomentowała Laura. – To pewne.

– Jeszcze spróbować?

– Dawaj.

Tymur skwapliwie powtórzył stymulację. Bot znów odpłynął i jęknął.

– Teraz trzeba go przesadzić do panelu – powiedział Ukrainiec, zdejmując palec z klawisza. – Dać mu dostęp do przycisków.

– Ale wtedy nie będzie przypięty. – Rino nie pochwalał pomysłu Tymura.

Ukrainiec wzruszył ramionami.

– W przeciwnym razie nie będzie mógł samodzielnie uruchomić stymulacji.

– Nas jest czworo – zauważył Allan. – W razie czego zdołamy go powstrzymać.

Headhunter westchnął.

– Dobra. Ale jeśli coś, od razu go zastrzele.

Tymur wstrzymał stymulację. Szybko zdjął z głowy bota elektrody. Allan i Rino wzięli „malca” pod ręce (opierał się słabo, znów zaczął skomleć błagalnie) i posadzili go na krześle przed panelem. Kiedyś na tym miejscu siedział Wadim Hort.

Bot odzyskiwał przytomność, czujnie zerkając na Laureę i mężczyzn. Pochmurny błysk w jego oczach nie wróżył nic dobrego. Rino stał nieopodal, gotów w każdej chwili obezwładnić chłopca albo po prostu go rozstrzelać.

Tymur znów przytwierdził elektrody do głowy bota. Nacisnął przycisk DLGHT, pilnując, żeby „malec” widział, co robi. Odczekał minutę, przytrzymując włączony stymulator, po czym zabrał rękę.

Bot dochodził do siebie; zaczął skomleć i raptem ucichł. Ogarnął wszystkich zgromadzonych otumanionym spojrzeniem. Tymur znowu pochylił się nad panelem i nacisnął przycisk. Tym razem przytrzymał go kilka sekund, po czym gwałtownie puścił. Nie było potrzeby powtarzać po raz trzeci – „malec” zrozumiał. Sam pochylił się nad panelem i wcisnął przycisk DLGHT. Przez kilka sekund go przytrzymał, dopóki przez jego mięśnie nie

przetoczyła się błoga rozkosz, w efekcie czego nacisk osłabł. Ręka rozluźniała się. Następnie bot przez dwie–trzy sekundy uspokajał się i znowu wciskał DLGHT. Zgromadzonych wokół ludzi już nie dostrzegął.

Podczas jednego takiego naciskania Laura potrząsnęła ramieniem bota. Pociągnęła go za nos. Zdzieliła w policzek. Zero reakcji. Dla „malca” już nic więcej nie istniało poza magicznym przyciskiem, który dawał rozkosz.

– Sądzę, że możemy go zostawić – orzekła Francuzka. – Nie wstanie z tego krzesła do końca życia.

CV

Sobota, 29 sierpnia, 04.16 (UTC –4)
EN-2, drugi blok inżynierski

– Mogę zacząć pracę nad programem choćby teraz – zaproponował Tymur.
– I tak nie zasnę.

– Ile czasu potrzebujesz? – zapytała Laura.

– Nie wiem, myślę, że niewiele. Najwyżej kilka godzin.

– Tak szybko się z tym wyrobisz?

– To prosta procedura. Poza tym zdążyłem już się zapoznać z możliwościami, jakie daje kompilator mózgu.

– To do roboty!

Tymur przejrzał wystarczająco dużo linijek kodu, żeby zrozumieć zasady dotyczące programowania botów. Większość funkcji była szczegółowo opisana i zilustrowana przykładami w podręczniku autorstwa Keitara, Wadima Horta i innych programistów, którzy pracowali w NGF-Lab. Ukrainiec bez trudu ułożył w głowie algorytm i dwie godziny przed świtem przystąpił do pracy.

Najpierw stworzył egzemplarz klasy `nfBrainAction`. Nazwał go `Operation`. Później powstał wzorzec klasy `nfImpact`. Rozpoczynał się od funkcji `NewImpact()`, która wywoływała się z `Operation`. Na tym etapie Tymur otrzymywał dostęp do mózgu, wykraczał poza granice procesora mózgowego. Dalej ustalano typ operacji (`om_Stimulation` – stymulacja, a nie odczyt

impulsów) oraz część mózgowia, w którym miała zachodzić stymulacja (LIMBUS – układ limbiczny). Do zmiennej `Coordinates` typu `nfImpactCoordinates` zapisywały się współrzędne przyszłej stymulacji – HYPOTHALAMUS, czyli podwzgórze. To Laura wskazała, dokąd posłać impulsy; dokładnie w podwzgórzu znajdował się ośrodek przyjemności. Parametry impulsów ustalało się za pomocą struktury `Imparam` (typu `nfImpactParam`). Tam przekazywane były wartości natężenia (`ii_Normal` – średnia) oraz interwału, przez który będą się załączały impulsy (sto milisekund). Obszar roboczy programu składał się z pętli skończonej. Sześćset razy wywoływała się funkcja `Delight.Activate ()`. Biorąc pod uwagę zadany interwał, stymulacja miała trwać równe sześćdziesiąt sekund.

Na sam koniec psychiatra poradziła dodać funkcję `Imparam.HormoneCheckupOn ()`. Właściwie funkcję wybierał Tymur. Laura tylko wyjaśniła zasadę fizyczną, która miała być wprowadzona do programu i bez której stymulator najprawdopodobniej nie zadziała. Chodzi o to, że za przyjemności zmysłowe odpowiada u człowieka dopamina – hormon wytwarzany przez rdzeń nadnerczy, a także przez wiele innych narządów. Hormon ten działa bezpośrednio na ośrodek przyjemności. Większość narkotyków zwiększa wydzielanie dopaminy od pięciu do dziesięciu razy, dzięki czemu ludzie, którzy je zażywają, odczuwają przyjemność. Tak na przykład amfetamina bezpośrednio zwiększa wydzielanie dopaminy, wpływając na mechanizm jej transportowania. Kokaina hamuje mechanizmy wychwytu zwrotnego dopaminy, zwiększając stężenie tego hormonu w przestrzeni synaptycznej. Alkohol neutralizuje działanie antagonistów dopaminy. Jeśli narkoman nieprzerwanie będzie stymulował ośrodek przyjemności, jego mózg adaptuje się do sztucznego wzrostu poziomu dopaminy, hamując produkcję tego hormonu i zmniejszając ilość reagujących na niego receptorów. Dalszy rozwój tolerancji chemicznej prowadzi do nieodwracalnych zmian w neuronach. Odczuwanie przyjemności przytępia się, a z czasem zanika całkowicie. Wymyślona przez Tymura funkcja `HormoneCheckupOn ()` pozwalała „wyłączyć” sprawdzenie jakiegokolwiek hormonu, jednocześnie zmuszając mózg do ignorowania wszystkiego, co miałoby zgubny wpływ na organizm. Tym sposobem Tymur i Laura zabezpieczyli się przed ewentualnością adaptacji mózgu botów do bardzo dużego stężenia dopaminy (`hc_Dopamine`).

Ostatecznie funkcja stymulacji wyglądała tak:

```
nfBrainAction
Operation (System.GetOperation (NEW_DIRECT_ACTION));
if (!Operation.m_lpDispatch) return;
nfImpact
Delight (Operation.NewImpact (BRAIN_GLOBAL_PENETRATION));
if (Delight.m_lpDispatch)
{
Delight.SetOperationMode (om_Stimulation, TRUE);
Delight.SubGlobalTarget (LIMBUS);
nfImpactCoordinates
Coordinates (Delight.GetPosition (HYPOTHALAMUS));
if (Coordinates.m_lpDispatch)
{
Delight.SetTargetCoordinates (Coordinates);
Delight.SetOperationType (ot_Pulse, ot_Point);

nfImpactParam
Imparam (Delight.GetImpactParamDefinition ());
if (Imparam.m_lpDispatch)
{
Imparam.SetImpulseIntensity (ii_Normal);
Imparam.HormoneCheckupOn (hc_Dopamine, FALSE);
Imparam.SetInterval (100);
Imparam.Update ();
}
}
else return;
for (int i=0; i<=600; i++) Delight.Activate ();
Clear ();
}
```


W sobotni rano, o siódmej czterdzieści pięć, bota, który do tej pory nieprzerwanie bawił się klawiszem DLGHT, oderwano wreszcie od panelu. „Malec” długo dochodził do siebie. Cały się trząsał.

Gdy oprzytomniał, powrócił do poprzedniego, depresyjnego stanu połowicznej katatonii.

Tymur nałożył na głowę bota specjalne elektrody i wprowadził stworzony przez siebie kod do jego płatów mózgowych. Zapis procedury został przeprowadzony pomyślnie, o czym świadczył komunikat pośrodku pola informacyjnego: `PROCEDURE IS CHECKED AND COMPILED SUCCESSFULLY`.

Tymur wpatrywał się w ekran, na którym wyświetlił się komunikat. Czas mijał, ale z botem nic się nie działo. Chwilami się wyłączał, zapadając w mocną drzemkę. Potem się budził i zaczynał kwilić cichutko, wyciągając palce do panelu, na którym świecił się przycisk DLGHT.

– No dawaj, dawaj... – szeptał Tymur. Z powodu napięcia na skroniach „malca” wystąpiły krople potu. – Włączaj! No, domyśl się!

Po zatrzymaniu stymulacji botowi obniżyło się ciśnienie krwi, zaczęła się bradykardia[114]. Nikt dokładnie nie wiedział, czy śpi, czy traci świadomość.

Minęło kilka minut. Tymur powtórzył kompilację. Procedura ponownie została zapisana w płatach mózgowych. I znów pomyślnie – procesor przyjął kod. Mimo to bot nie uruchamiał modułu. Albo nie rozumiał, albo nie chciał go aktywować.

Allan i Rino zerkali z ukosa na programistę.

– Myślę, że potrzebuje czasu – mruknął Tymur z zakłopotaniem.

Chociaż podejrzewał, że problem nie tkwi w czasie. Możliwe, że bot nie potrafił zbudować logicznego łańcuszka: stymulacja – klawisz DLGHT – zakaz posługiwania się klawiszem – zapis procedury. Bot po prostu nie ogarniał, na czym polega istota procedury.

– Spróbuj dodać po kompilacji komendę „Autostart” – zaproponował Allan.

Tymur wstawił przed ciałem głównej procedury funkcję systemową – `SetAutoRun ()`, która powodowała automatyczne uruchomienie modułu natychmiast po załadowaniu. Programista spróbował skompilować zmieniony kod.

Można się było spodziewać takiego efektu. Zrealizowany przez Horta funkcjonal do obróbki makr zablokował kompilację. W polu informacyjnym pojawił się czerwony wykrzyknik i napis: COMPILATION FAILED! ERROR 117: INVALID DESCRIPTOR.

– Nie chce się kompilować – powiedział Tymur przez zęby.

– Widzę. – Allan się nachmurzył.

– Co oznacza ten błąd? – Laura dotknęła ekranu palcem.

– INVALID DESCRIPTOR, nieprawidłowy wskaźnik na funkcję lub na procedurę. Kompilator nie może wtłoczyć botowi do głowy funkcji SetAutoRun (). Automatycznie reszta kodu też pozostaje nieskompilowana.

– I co teraz? – odezwał się zza ich pleców Headhunter.

– Pozostaje nam tylko czekać – odparł programista. – Czekać, dopóki bot sam nie uruchomi stymulatora. Nie mamy wyboru.

Rino Headhunter podniósł się i opuścił laboratorium. Wyszedł z budynku EN-2 i potrząsnął papierosami w ostatniej paczce. Zostało pięć. Już ani okruszka tytoniu nie znajdzie się w tym przeklętym kompleksie. Westchnął, wyciągnął papierosa i zapalił.

CVI

Doświadczalnego „malca” przeprowadzono do izolatki (na co nalegał Rino). Dzięki kamerom był pod stałą obserwacją.

Laura i mężczyźni wspólnie doszli do wniosku, że ktoś powinien się stale znajdować w EN-2 i pilnować bota. Ustalenie kolejności okazało się jednak czymś więcej niż zwykłą formalnością. Ocalali uczestnicy projektu trzymali się razem, a po nastaniu świtu przeszli do skrzydła sypialnego. Od czasu do czasu ktoś się zapuszczał do części magazynowej, żeby wziąć jakieś produkty, i natychmiast wracał. Nikt nie miał ochoty na dłuższe przebywanie w EN-2. Z opustoszałych korytarzy wiało niewidzialnym niebezpieczeństwem.

Laurze pierwszej przypadło w udziale pilnowanie bota. Po dwóch godzinach zmienił ją Allan. W południe Amerykanin ustąpił miejsca Headhunterowi, którego o drugiej po południu zastąpił Oscar Steirmann.

Czas płynął. Sobotnie popołudnie zbliżało się do wieczora. Bot siedział na podłodze izolatki z podkurczonymi nogami. Obojętny wzrok wlepił w ścianę. Jego funkcje życiowe wracały do normy. Ciśnienie się wyrównało, tętno wzrosło do osiemdziesięciu uderzeń na minutę. Chwilami zaczynał skomleć, ale uparcie nie uruchamiał procedury...

O szesnastej przyszła kolej na Tymura. Steirmannowi zostało ledwie kilka sekund warty. Chilijczyk spędził dwie godziny w samotności, z nikim nie rozmawiając.

Na moment przed wyjściem do pracowni programowania Tymur krążył po pokoju rekreacyjnym. Allan i Laura naradzali się w głębi pomieszczenia. Nieopodal, z nogami złożonymi na stoliku, pochrapywał Rino. Tymur bezwiednie zatrzymał się przy oknie. Jaskrawe światło dobiegające z pustyni oślepiło go na kilka sekund. Kiedy oczy przyzwyczyły się do blasku, chłopak rozdziawił usta ze zdziwienia.

– A dokąd on idzie?!

Allan i Laura ucichli. Headhunter otworzył oczy i nachmurzył się.

– Patrzcie! – Ukrainiec podniósł głos. – Steirmann! Jest na pustyni!

– Co?! Jak on śmiał opuścić posterunek? – Rino skoczył do okna, otrząsnąwszy się z resztek drzemki. Amerykanin i Francuzka poszli w jego ślady.

Brama, która znajdowała się naprzeciwko bloku mieszkalnego, była otwarta na oścież. Oscar wyszedł za ogrodzenie i zaczął się oddalać od kompleksu.

– Idiota – wycedził mięśniak. – Nie zamknął bramy.

Oscar Steirmann człapał w stronę otwartej pustyni z apatycznie opuszczoną głową. Chilijczyk ledwo powłóczył nogami, szedł jednak prosto, nigdzie nie skręcając. Ręce trzymał opuszczone wzdłuż ciała.

– Co się z nim dzieje? – Tymur zwrócił się do Headhuntera. – Czego on tam zapomniał?

– Dziewczyno – Rino wskazał palcem na Laurę – zostajesz tutaj. Reszta za mną!

Allan i Tymur chwycili strzelby i pobiegli za nim.

Kiedy Rino dotarł do bramy, sylwetka Oscara ledwie majaczyła w drżącym lepkiem mirażu.

– Zostawił w zamku klucz elektroniczny – zdziwił się Allan.

Przepustka magnetyczna należąca do Oscara sterczała w specjalnym otworze.

– Rino, co mu strzeliło do głowy? – zapytał Tymur. – Przecież nie jest zarażony. Nie może być jednym z nich. Sprawdzaliśmy go!

– Nic mu nie strzeliło do głowy. – Headhunter wyciągnął kartę z otworu i schował ją do kieszeni.

– To co się dzieje? Jak mógł sobie pójść, nie wzięwszy klucza? To szaleństwo!

– *Fella*, sam sobie odpowiedziałeś na pytanie. To obłąd... Takie rzeczy się zdarzają. Widziałem w życiu wielu gości, których psychika nie wytrzymała i którzy... po prostu szli. Ciągłe napięcie, brak normalnego snu, nie wszyscy to wytrzymują. Nagle ni z tego, ni z owego żołdak wstaje i idzie gdzie oczy poniosą. Czasem prosto w łapy wroga. Coś takiego wciąż przytrafiało się Amerykanom w Iraku.

Steirmann się oddalał. Nad wzgórzami widać było tylko głowę i ramiona.

– Trzeba go zawrócić. – Treść zdania nijak nie współgrała z głosem inżyniera.

– Chcesz za nim iść, *fella*? – Rino gestem zaprosił Allana do wyjścia. – Bardzo proszę. Ja poczekam tutaj.

Postać Steirmanna zmniejszyła się do drżącej plamki. Czasem znikał z pola widzenia. Allan dotknął łysiny i, zmieszany, odwrócił wzrok. Rino zaczął zamykać bramę.

– A jeśli on wróci? – zapytał niepewnie Tymur. Nie miał zamiaru gonić Oscara. – Przecież nie wejdzie z powrotem.

– Koleś, nie rozumiesz? – Siłacz spojrzął z ukosa na Ukraińca. – Nasz elegancik już tu nie wróci. On zwariował. Całkowicie i bezpowrotnie.

Po tych słowach sylwetka Chilijczyka zlała się z pustynią. Rino Headhunter zamknął bramę. Zamek magnetyczny się zatrzasnął, wydawszy głuchy dźwięk „dz-z-z”.

Wtedy ostatni raz widzieli Oscara Steirmanna. Zabrała go pustynia.

CVII

Noc z soboty na niedzielę minęła spokojne. Z botem nic się nie działo.

Laura i mężczyźni pospiesznie zjedli śniadanie, starając się nie patrzeć sobie wzajemnie w oczy; każdy sam walczył z własną rozpaczą.

Tego dnia Tymur i Laura postanowili zmienić taktykę. O dziewiątej trzydzieści bota przeprowadzono z powrotem do pracowni programowania. Zalepili mu głowę elektrodami i zaczęli sztucznie stymulować ośrodek przyjemności, po czym Tymur znów przystąpił do wgrywania swojego programu do skupisk nanorobotów w mózgu „malca”. W ten sposób starali się mu przekazać, że aktywując moduł, zdoła pobudzić samego siebie.

Niestety, próby te spełzyły na niczym. Bot wciąż nie chciał uruchamiać skomplikowanego programu. W końcu zabrali go z izolatki i przeprowadzili z powrotem do „Żłobka”. Tymur liczył na to, że w bardziej komfortowych warunkach bot wymyśli, jak aktywować procedurę, albo jakiś bardziej ciekawski lub odważniejszy „malec” odważy się skopiować stymulator i uruchomić go ze swojej głowy.

Na próżno. Duża strzałka zegarka zataczała kręgi, a efektów nie było żadnych. Należało wymyślić coś nowego. I to szybko. Tymur bardzo się starał, lecz gdy tylko zaczynał się koncentrować, myśli rozlatywały się jak odłamki po wybuchu pocisku.

Po drugiej bezsennej nocy Ukrainiec poczuł, że zaczyna wariować. Odejście Oscara Steirmanna już nie wydawało mu się filmowym gestem.

CVIII

Niedziela, 30 sierpnia, 18.20 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Szybko znużyło ich to bezproduktywne czekanie w drugim bloku inżynierskim. Tymur przeszedł do bloku mieszkalnego, wszedł na trzecie piętro i zajrzał do sali konferencyjnej. Włączył urządzenie, za którego pośrednictwem porozumiewali się z psychoistotą. Nadajnik wydał z siebie

przerywane buczenie. Na ekranie pojawił się komunikat potwierdzający pomyślne nawiązanie łączności.

Programista czekał. Nie chciał pierwszy rozpocząć rozmowy. Mijały minuty, kursor migał w pozycji wyjściowej. W końcu chłopak się odważył i napisał:

► Jesteś tam?

Nacisnął „Enter”. Kursor przesunął się na dół. Tymur czekał, jednak nic się nie zmieniało. Psychoistota się nie odzywała.

– Jak sobie chcesz – wymamrotał chłopak ze zmęczeniem. Może to i lepiej? – pomyślał.

Obejrzał się. Oprócz niego w głównej sali nie było nikogo. Pozostali zebrali się na pierwszym piętrze w pokoju rekreacyjnym.

Tymur usiadł przy głównym komputerze, do którego wcześniej mieli dostęp tylko Keitaro, Ralf i Katsuro, i uruchomił go. Sprawdził połączenie i wszedł do internetu. Najpierw zajrzał na portal Ukr.net, sprawdził pocztę. W katalogu „Odebrane” nazbierało się sto trzydzieści osiem nieprzeczytanych e-maili. Za dużo. Nawet jeśli brać pod uwagę, że nie zaglądał tu od dwóch tygodni.

Kiedy załadował się katalog z odebranymi wiadomościami, Tymur zrozumiał przyczynę, dla której było ich tak dużo. Prawie jedna trzecia listów była od Aliny. Ponumerowała starannie swoje e-maile od jednego do czterdziestu trzech.

Chłopakowi zrobiło się ciepło na sercu. Otworzył pierwszy e-mail i zaczął czytać.

Czytał z radością. Nawet wyraźnie obraźliwe słowa sprawiały mu przyjemność. Rozumiał, co czuła Alina.

Czterdzieści trzy listy! Był to dowód na to, że gdzieś za oceanem istnieje jeszcze normalny świat. Nie zniknął. Nic się z nim nie stało. I gdzieś tam czekali na niego przyjaciele, ukochana, dom.

Ostatni e-mail przyszedł późnym wieczorem dwudziestego szóstego sierpnia. Był pusty.

Tymur już miał odpisać, kiedy nagle zobaczył jeszcze jeden list, ostatni, datowany na dwudziestego ósmego sierpnia. W temacie zamiast tekstu były trzy kropki.

Od: SeaFlower
Do: Tym_the_Botfucker
Temat: ...
Data: 13.33 28AUG

Cześć!
Wciąż mnie ignorujesz?

Przypuszczam, że nic cię już nie obchodzi i więcej nie napiszesz. A może jednak... Wczoraj spotkałam się z Denisem. Pewnie go pamiętasz. Prawnik. Chyba wyczuł, że zniknąłeś. I wiesz co? Świetnie się bawiliśmy! Nawet się nie spodziewałam. Jest miły. Przynajmniej odpowiada, kiedy się do niego zwracam.

Zresztą wszystko jedno. Skoro nie odpowiadasz, więcej nie będę pisać.
Powodzenia, Tymurze...

Żegnaj
Alina

W jednym momencie słodka błogość odpłynęła na fali ciemnej rozpacz. Tymur zacisnął szczęki, tak że aż mu zęby zazgrzytały. Nie czuł się obrażony ani rozczarowany. Czuł, że ogarnia go niepokonana wściekłość. Marzenia o normalnym świecie rozplynęły się. Złość go zżerała. Z furią uderzył pięścią w klawiaturę. Do oczu napłynęły łzy. Przemógł się, nie dał im wypłynąć, ale od czasu do czasu oddech mu się urywał. W ciągu dwóch tygodni jego życie przekształciło się w śmierdzące piekło. W tej chwili Tymur czuł nienawiść do całego świata. A najbardziej nienawidził siebie za to, że skuszony pieniędzmi przyjechał tutaj.

Złość jednak szybko minęła. Uciekła jak strumień brudu podczas powodzi, pozostawiwszy po sobie straszliwe zniszczenia. Coś w nim pękło. W piersiach nic nie zostało. Chłopak czuł się bezcielesnym duchem. Bez emocji, bez myśli, bez pragnień.

Podniósł się, jak lunatyk poczłapał do skrzydła sypialnego, zwałił się na łóżko i spróbował zasnąć.

Sen jednak nie przychodził. Policzki go piekły. Z tyłu głowy buzował przykry ból.

Obserwowanie szczegółów ratowało go. Pomagało nie patrzeć sobie w oczy.

Tymur mył zęby i z rezerwą przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze: workom pod oczami, zapadniętym policzkom i trzydniowemu twardemu zarostowi. U góry czaszki, w najwyższym punkcie ciała, umiejscowił się ból, który wolno się rozpląwał, wpełzając zimnymi strumieniami do uszu, w skronie, do czoła. Każde uderzenie serca przetaczało się falą aż do pięt.

Nie spał już trzecią noc z rzędu.

Ostatni raz odczuwał coś podobnego na trzecim roku Politechniki Kijowskiej, kiedy napompował się red bullem podczas sesji zimowej. Dostał pracę jako programista i rzecz jasna zaniedbał naukę, rozsądnie doszedł bowiem do wniosku, że wiedza inżynierska raczej mu się nie przyda w przyszłości. Po czterech puszkach tego przeklętego napoju energetycznego serce Tymura waliło bez ustanku, tak jakby próbowało wygryźć mu dziurę w piersiach, a głowę tak rozrywało od środka, że wystarczyłoby się tylko naprężyć, a rozwaliliby ją w cholere (noworoczna tuba strzelająca: uroczyste „bum!” – i zamiast konfetti wylatuje mózg).

W sobotę – po pierwszej bezsennej nocy – jeszcze się trzymał. Głównie dzięki programowi, który jak najszybciej trzeba było wszyć botom w głowy. Mózg zaabsorbowany rozwiązywaniem zadania nie mógł się wyłączyć. Odpowiedzialność i napięcie utrzymywały świadomość na powierzchni.

Kiedy Tymur skończył prace nad procedurą, zamienił się w biernego obserwatora. Więcej już od niego nic nie zależało. Pozostawało tylko czekać.

Spróbował zasnąć, ale nie udało mu się to.

Gdy w niedzielę przeczytał ostatni e-mail od Aliny, sytuacja się pogorszyła. Przewijając w głowie jeden i ten sam motyw, do świtu przewracał się na łóżku z otwartymi oczami. Pomimo że był wycieńczony, następnej nocy też nie udało mu się zasnąć. Wystarczyło, że przymknął powieki, a pojawiał się obrazek, od którego Tymura mdliło, a ciało zaczynało przypominać rozmoknięty papier toaletowy. To nie było napięcie nerwowe. To nie była obawa, że stymulator nie zadziała. To nawet nie był strach przed śmiercią. Przecież strach przed śmiercią nie zdołałby powstrzymać człowieka przed zaśnięciem przez siedemdziesiąt dwie godziny. To było coś innego. Zupełnie

innego. Straszniejszego. W końcu perspektywa śmierci nie jest jeszcze taka przerażająca. Znacznie trudniej żyć ze świadomością, że...

Tymur skrzywił usta pokryte białą pianą; dotarło do niego, że patrzy sobie w oczy. Niczym boa dusiciel wlepił wzrok w swoje zmęczone źrenice, które pobłyskiwały w lustrze. Chciało mu się płakać, ale oczy miał suche jak wytarte wełną szklane kulki. Na ustach pojawiło się coś różowego – zagłębiony w rozmyślaniach, rozgryzł sobie wargę. Skrzywił się jeszcze bardziej. Wystarczy! Tak nie można. W ludzkim mózgu oprócz ośrodka przyjemności znajduje się ośrodek samobiczowania. I jeśli on, Tymur, natychmiast go nie wyłączy – zwariuje. Albo zdechnie.

Po prostu musi się dowiedzieć.

Splunąwszy ze złością zaróżowioną ślinę do zlewu, Tymur wytarł się ręcznikiem, szybko się ubrał i udał do wyjścia z bloku DW.

– A ty dokąd?! – zawołała za nim Laura, gdy mijał jadalnię.

Programista zatrzymał się i zerknął przez drzwi. Dziewczyna szykowała śniadanie – jajecznicę z parówkami. Parówki za długo się smażyły i cała kuchnia śmierdziała teraz spalenizną.

– Potrzebuję karty dostępu do EN-2. Od drzwi wejściowych i od laboratorium.

Laura machnęła głową, wskazując na przeciwległą stronę marmurowego blatu. Karabin i elektroniczne karty dostępu leżały obok stojaka na talerze.

– Po co ci to? – Oderwała wzrok od patelni i popatrzyła na twarz Tymura. W tej chwili Ukrainiec wyglądał tak, jakby miał zamiar startować w konkursie piękności dla umarłaków i na dodatek miał szansę zdobyć tytuł Mister Gęba Nieboszczyka.

– Chcę coś zobaczyć – odparł wymijająco Tymur.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Człowieku, wyglądasz jak rozdeptane gówno.

Ukrainiec w milczeniu zabrał z blatu klucze elektroniczne.

– Jak ci wiadomo – Laura wzruszyła ramionami – chodziliśmy tam z Rinem o ósmej.

Tymur zatrzymał się i pytająco ściągnął brwi. Dupré, wpatrując się w brązową substancję na patelni, pokiwała głową.

– Jak dotąd bez zmian. Pomyśleliśmy, że może trzeba dać im więcej jeść, może są głodni i przez to nie mogą... – Dziewczyna się zacięła; zauważyła, że Ukraińiec już jej nie słucha i kieruje się do wyjścia. – Hej, uważaj na siebie! – krzyknęła za nim. – Rino położył się spać. Wiesz przecież. – Laura chciała jeszcze coś dodać, w końcu jednak zdecydowała się nie straszyć znów niepotrzebnie Tymura. I bez tego chłopak wyglądał jak pacjent, który dopiero co dał drapaką z OIOM-u podczas próby reanimacji.

Tymur wyszedł na zewnątrz. Powietrze jeszcze nie zdążyło się ogrzać. Chłodny wiatr otulił go suchym całunem, na moment zagłuszywszy dudnienie w skroniach, spowodowane bezsennymi nocami. Chwilę później usłyszał szorstki szelest pustyni. Każdy dźwięk, który docierał z Atakamy, zwielokrotniony przez zmęczony mózg, szarpał nerwy. Każdy, kto chociaż raz w życiu nie spał trzy doby z rzędu, ma wyobrażenie tego hipertroficznego postrzegania rzeczywistości.

Tymur szybko dotarł do bloku EN-2, po czym zanurzył się w jego wnętrzu. Nie poszedł do „Żłobka”. W tym momencie boty najmniej go interesowały. Ukraińiec od razu skierował się na pierwsze piętro, do pracowni programowania.

W dużym, wypchany po brzegi elektroniką pomieszczeniu dostrzegało się pierwsze oznaki zaniedbania. Na suficie nierówno migotało już kilka lamp, nie jedna jak wcześniej. Dwie w ogóle się nie włączyły. Z kanałów wentylacyjnych dobiegało przerywane buczenie podobne do kaszlu. Coś musiało się stać z rekuperatorem[115]. Stoły, podłogę i większą część aparatury pokrywała warstwa szarego pyłu. Na podłodze widniały ślady czarnej krwi, pod ścianą – zaschnięte resztki Oscarowych wymiocin. W powietrzu zapach moczu mieszał się z kwaśnym odorem gnicia. Za kilka godzin laboratorium wyposażone w najnowsze technologie przekształci się w coś w rodzaju zapuszczonej piwnicy.

W rogu pomieszczenia, starannie ułożone jedno obok drugiego, przykryte brezentem, leżały ciała Gotta i Tiany Emerson. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby ich pochować. Zwłoki przeleżały tak dwa dni i zaczęły już wydawać z siebie charakterystyczny trupi odór.

Tymur pobladł, gdy wszedł do środka. Uderzył go w twarz słodko-kwaskowaty smród padliny. Przełknąwszy ślinę, podszedł do ciał. Ukląkł na jedno kolano i odchylił brezent.

Oczy Tiany wytrzeszczyły się na niego. Od gazów gnilnych wydał jej się brzuch. Szyja, policzki i ręce nabrały ciemnoniebieskiego odcienia.

Z brzucha Tymura do gardła niczym ohydny ciepły wąż podpełzła treść żołądka. Odwrócił się, nakrywszy usta rękawem. Jakimś cudem się powstrzymywał i nie zwymiotował. Następnie bardzo ostrożnie, jakby była wciąż żywa, wziął Tianę pod ręce i przyciągnął do „fotela pokuty”. Usadziwszy ją byle jak, włączył urządzenie. Światło mignęło lekko – cewki zadziały, wydając z siebie miarowe buczenie.

Przetrzymał Brazylijkę całą minutę. Czuł, jak stygnąc, nieruchomieją mu ręce. I wtedy włączył pole magnetyczne.

Tiana, nienaturalnie pochyliwszy głowę i rozłożywszy ręce, wpatrywała się w Tymura martwymi oczami. Chłopak wolno podniósł palec i dotknął jej czoła.

Twarde.

Nieżywe, zimne, ale twarde!

Tymur się odchylił. Z jego oczu popłynęły łzy. Już dłużej się nie powstrzymywał i kilka razy chlipnął głośno. Chwilę później ryczał tak, jak jeszcze nigdy w życiu.

Tiana nie była zarażona. Już prędzej znajdowała się na granicy załamania nerwowego. Możliwe, że cierpiała na neurastenię, co biorąc pod uwagę stresujące warunki, w jakich przyszło im żyć w ciągu ostatnich dwóch tygodni, wyglądało zupełnie prawdopodobnie. Ale była czysta.

Tymur osunął się na podłogę; podciągnął nogi i objął je rękami. Nie był w stanie powstrzymać torsji. Raz po raz jego pierś się wzdrygała, smarki i ślina wylatywały z nozdrzy i z ust, przylepiając się do džinsów. Oczy zasłoniła wilgotna mgła. Chłopak oglądał świat jak przez zaparowaną szybę auta.

Nagle w chlipanie wcisnął się niewyraźny szmer czyichś kroków. Tymur zwrócił głowę ku wyjściu. Poprzez zasłonę na oczach ujrzał, że ktoś stoi na progu i przygląda mu się w milczeniu. Niewyraźna chuderlawa sylwetka.

– Lauro... – załkał Ukrainiec, a łzy zadrzały na jego policzkach. – Ja ją zabiłem. – Nie uświadamiał sobie, że mówi w tej chwili po ukraińsku. – Boże, nie... nie... – Przyciskał pięści do twarzy i płakał głośno. – Nie chciałem tego, Lauro...

Laura. Któż by inny? Zarys postaci był za wąski jak na Rina i zbyt niski jak na Allana. Psychiatra zorientowała się, że jest mu źle, i przyszła go pocieszyć. Tymur, przepełniony wdzięcznością, podniósł się (w tym momencie jak nigdy potrzebował wsparcia) i dopiero wtedy otarł dłonią łzy. Widok się rozjaśnił, pokój wydobył się z wilgotnego mroku, a serce... podskoczyło aż do gardła.

W przejściu, odcinając jedyną drogę ucieczki, stał Katsuro Takeda.

PIEKŁO EL TATIO

CX

Poniedziałek, 31 sierpnia, 08.03 (UTC –6)

Baza lotnicza Whiteman

3 km na południe od miasteczka Knob Noster, Missouri, USA

Dzień zapowiadał się bajecznie. Było spokojnie i bezwietrznie, nieba nad bazą lotniczą nie szpeciła ani jedna biała plamka. Widoczność, jak mówią piloci w takim wypadku, była nieograniczona.

Szary wojskowy tankowiec powietrzny KC-130 Hercules z charakterystycznym niedźwiedzim nosem i gigantycznym stabilizatorem horyzontalnym kołował na pas startowy. W kabinie zasiadło trzech mężczyzn: kapitan statku powietrznego major USAF Samuel Norton, drugi pilot kapitan Dan Reynolds oraz mechanik Steve Levandovsky, odpowiedzialny za uzupełnianie paliwa w powietrzu.

Nieopodal pasa startowego wznosiła się wieża kontroli lotów. Na najwyższym piętrze, przy oknie wieży (która na następne dwadzieścia godzin przekształci się w centrum dowodzenia operacją), z rękami założonymi za plecami, zastygł generał dywizji Frank Klotz. Przez ostatnie dni bał się, że posiwieje. Po szczegółowych wyliczeniach okazało się, że maksymalny zasięg lotu tankowca KC-130 (pięć tysięcy dwieście pięćdziesiąt kilometrów) jest niewystarczający do przeprowadzenia operacji. Powietrzna cysterna dociągnie do Peru, ale ledwie jej starczy paliwa, żeby utrzymać się w powietrzu podczas tankowania B-2 Spirit, a już z pewnością nie zdoła dotrzeć do lotniskowca. Na to, by pogonić „Ronalda Reagana” do samiusieńkich wybrzeży Peru i łapać tam KC-130, który w sensie dosłownym zwali się z nieba, żaden admirał nie pójdzie. Wobec tego Frank Klotz rozważył możliwość zastosowania KC-10 Extender[116]. Ta cysterna odrzutowa miała wystarczający zasięg – cztery tysiące czterysta mil, czyli siedem tysięcy trzydzieści dwa kilometry. Mogłaby polecieć za B-2 niemal do samego Chile, spokojnie zatankować myśliwiec

w powietrzu, ale... Extender, zbudowany na bazie szerokokadłubowego samolotu pasażerskiego McDonnell Douglas DC-10, był cholernie wielki. Pusty ważył sto dziesięć ton, a z pełnymi zbiornikami paliwa dla siebie i dla drugiego samolotu mógł osiągnąć nawet dwieście pięćdziesiąt ton! Taka maszyna w życiu nie wylądowała na lotniskowcu. Dwie noce z rzędu generał Klotz budził się zlanym zimnym potem z powodu sennego koszmaru, w którym dwustupięćdziesięciotonowa gnida KC-10 Extender roznosi w cholerę najnowszy lotniskowiec Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych „Ronald Reagan” i go zatapia. Nie ulega wątpliwości, że po czymś takim w Pentagonie zadbano by o to, aby jego, Klotza, sądono w takim stanie, w którym jest stosowana kara śmierci.

Pozostawało jedno: maksymalnie odciążyć KC-130 Herculesa, eliminując wszystko, co zbędne. Nie, nie tak – eliminując WSZYSTKO, CO ZBĘDNE! Przez cały weekend personel techniczny bazy lotniczej Whiteman rozrywał wnętrze herculesa, usuwając stamtąd wszystko, co tylko można było usunąć. Z kabiny wymontowano klimatyzację, siedzenia pilotów zastąpiono lżejszymi i prostszymi, dla mechanika w ogóle zmaistrowano coś żałosnego na kształt taboretu przygwoźdżonego do podłogi. Z luku ładunkowego wyrzucono maski przeciwgazowe, apteczki, gaśnice, fotele dla dodatkowych członków załogi, sprzęt ratunkowy. Zerwano stelaże do mocowania bagażu oraz poprzeczne metalowe wzmocnienia, wydarto całe wewnętrzne poszycie, odsłaniając szkielet nośny kadłuba i osłabiając konstrukcję nośną podwozia. Nie oszczędzono również toalety – i ona poszła w diabły. Wszyscy członkowie ekipy otrzymali natomiast kaczki szpitalne, podawane pacjentom, którzy nie mogą jeszcze chodzić po przebytej operacji.

KC-130 został odchudzony o trzy i pół tony. W to miejsce zamontowano dodatkowe baki z paliwem przeznaczonym dla cysterny. W efekcie szacunkowy zasięg lotu wzrósł do pięciu tysięcy dziewięćset kilometrów. I to już wystarczyło. Na styk.

Samuel Norton wyrównał powietrzny tankowiec na końcu pasa i poprosił przez radio o pozwolenie na start. Dyspozytor zerknął na generała dywizji. Ten, nie odwracając twarzy, skinął głową. Dyspozytor pochylił się nad mikrofonem.

– Ka-ce-jeden-trzy-zero, z przodu czysto, zezwalam na start. – I dodał pozaustawowo: – Chłopcy, życzę szczęścia.

– Wieża, zrozumiałem was. Rozpaczynam start i... dziękuję...

Cztery śmigła zaryczały, przekształcając się w srebrzyste dyski. Po obu stronach betonowego pasa pod wpływem potężnych strumieni powietrza pochylała się trawa. Samuel Norton na chwilę wstrzymał samolot, czekając, aż silniki turbośmigłowe osiągną pełną moc, po czym puścił hamulce. KC-130 rzucił się do przodu i minutę później oderwał od ziemi.

Dokładnie za trzy godziny i pięćdziesiąt trzy minuty z tego samego lotniska wyleci załadowany bombami niewykrywalny bombowiec B-2 Spirit.

Frank Klotz, ogarnawszy wzrokiem brzuchatego herculesa, dotknął dłonią idealnie ogolonego policzka. Nie spuszczał oczu z błękitu nieba, dopóki cysterna nie zamieniła się w ledwie dostrzegalny punkt. Następne dwadzieścia godzin będą najdłuższymi godzinami w jego życiu.

Rozpoczęła się operacja „Antybot”.



Wojskowy tankowiec powietrzny KC-10 Extender podczas uzupełniania paliwa w myśliwcu F-16

CXI

Poniedziałek, 31 sierpnia, 09.28 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Laura Dupré stała z wydętą dolną wargą i ze smutkiem przyglądała się efektom swojej nieudanej próby przygotowania śniadania. Parówki rozpadły się i wyglądały teraz jak starannie obsmażone kawałki psiego łajna. Białko przypaliło się i przekształciło w żółtawą skorupkę. Dziewczynie odechciało

się jeść. Ściśle mówiąc, jeść nadal jej się chciało, ale z pewnością nie to, co leżało przed nią. Pomysł, żeby oszukać głód konserwami rybnymi (mieli jeszcze na stanie mnóstwo puszek) i zagryźć je zaparzonymi we wrzątku płatkami (akurat mleko już dawno się skończyło), nie wydawał się już tak bluźnierczy jak przedtem.

Dobrze, że chociaż ten koczkodan poszedł spać po nocnej warcie – bez złości pomyślała o Rinie. W przeciwnym razie z pewnością naciągnęłyby mi patelnię na uszy.

Laura nie lubiła i nie umiała gotować. W kuchni czuła się jak słoń w składzie porcelany. Jakby tak się zastanowić, Dupré niczego nie umiała robić. Była ogromnie zdolna – wystarczyłoby tego talentu dla całego batalionu, ale gdy w praktyce dochodziło do realizacji, wszystko się sypało. Francuzka nie byłaby w stanie przyrządzić śniadania, nie ryzykując przy tym życia. Jedyne talenty, jakim bezsprzecznie była obdarzona i jakim mogła się chwalić, to umiejętność *odczuwania*. Przewidywania agresywnych zachowań psycholi. I właśnie dlatego Laura Dupré była niezastąpionym pracownikiem w poprzedniej firmie. *Odczuwała* wszystko, co się kłębi w głowie opętanego. Nie miała pojęcia, jak to się dzieje, nie starała się odkrywać przyczyn, ale zawsze przewidywała postępowanie pacjenta. Widziała na wskroś chory mózg. Gdyby nie ten wisielec, byłaby teraz w Paryżu, w jednej z najlepszych klinik, i...

Nagle poczuła, jak serce łupie jej w uszach. Początkowo Laura pomyślała, że to przez wspomnienia poprzedniej pracy, ale po kilku sekundach musiała przyznać, że znów zaczęła *odczuwać*. Coś dziwnego... Coś obcego...

Korszak wybrał się do „Żłobka” nie po to, żeby popatrzeć na boty – dotarło do niej.

Myśl szybko wywietrzała z głowy Francuzki, lecz serce nie przestało łomotać. Z Tymurem było coś nie tak, lecz przyczyna tkwiła w kimś innym...

O kogo tu chodziło? O Steirmanna? Czyżby wrócił i...

Laura odsunęła się od kuchenki gazowej. Coś jej podpowiadało: *po lewej stronie*. Cokolwiek by to było, znajdowało się teraz... *po lewej stronie*. Dziewczyna wolno odwróciła głowę do okna i... zdębiała. Z zewnątrz, z nosem przyciśniętym do szyby, stał bot.

Dupré bardziej się zdziwiła, niż przestraszyła. Miała świadomość, że szyba okienna to żadna przeszkoda – boty bez problemu znajdą sposób jej rozbicia,

mimo to dziewczyna nie czuła strachu. Była skłonna uwierzyć, że chłopczyk jej się przywidział. W żaden sposób nie mogła pojąć, skąd się wziął. Czujniki ruchu nie zadziały. Nie było słycać syreny, która zawiadomiłaby o zniszczeniu ogrodzenia pod napięciem. Gnojek po prostu nie miał prawa tu być!

Przetarłszy usta wierzchem dłoni, Laura podeszła do okna; po głowie błędziła jej myśl o pisklaku, który lezie prosto w paszczę węża. Kolana jej się trzęsły. Bot ją zauważył. Pochylił głowę. Zrobiła jeszcze parę kroków i zatrzymała się metr od parapetu. Następnie podniosła oczy i spojrzała ponad plecami bota. Chciała się upewnić, że całe ogrodzenie... Na parkan z drutu kolczastego Laura już nie popatrzyła. To, co zobaczyła między ścianą DW a ogrodzeniem zewnętrznym, spowodowało, że nogi jej zmiękły, a w brzuchu zatrzepotały skrzydełkami zimne motyle.

– Rino! Rino! Rino!!! – wrzasnęła dziewczyna. Czuła się ogłuszona, jakby dwa metry od niej uderzył w ziemię piorun. – Allan! Tędy! Szybko!

Od razu stało się jasne, dlaczego nie zareagowały czujniki ruchu, dlaczego nie włączył się alarm. Nikt nie zniszczył ogrodzenia. Tym razem boty przyszły *od wewnątrz*.

Od strony drugiego bloku inżynieryjnego, w szyku półksiężyca, zbliżało się truchtem ze dwudziestu „malców”. Uzbrojeni we wszystko, co wpadło im w ręce, gromadzili się przy bramach numer jeden i dwa, a także pod oknami, do których mogli dosięgnąć. W ślad za awangardą podchodzili pozostali.

Sześćdziesiąt botów, oswobodziwszy się z „obozu koncentracyjnego”, otaczało blok mieszkalny.

CXII

Krzyki Laury zastały Allana Greenlona na klatce schodowej. Szedł właśnie na parter, żeby zjeść śniadanie, strzelba zwiślała mu z ramienia jak u myśliwego. Gdy Amerykanin usłyszał swoje imię, nadstawił uszu. Po dwóch sekundach kompletnej ciszy Laura znów wrzasnęła – nie był w stanie rozpoznać słów. Po chwili dał się słyszeć dźwięk rozbitego szkła.

Allan zdjął z ramienia remingtona, odbezpieczył i przeskakując po dwa stopnie, rzucił się w dół po schodach. Dotarł do głównej galerii dokładnie wtedy, kiedy pierwsze boty wysypały się przez jedne z dwóch drzwi jadalni (w tym czasie Dupré wrzeszczała już bez przerwy). Greenlon dwa razy z rzędu wypalił do grupy chłopaczków. Jednego udało mu się nawet postrzelić. „Malcy” rzucili się z powrotem do jadalni; nie zdążyli przejść między skrzydłami rozsuwanych drzwi. Na glinianej podłodze pozostały nitki krwawych plam.

Amerykanin rzucił się w pogoń. I to był duży błąd. Gdyby został na korytarzu, miałyby mniejsze pole manewru, za to byłyby znacznie lepiej chroniony. Musiałby jedynie uważać na trzy przejścia – dwa, które prowadziły do jadalni (wzdłuż lewej ściany), i jedno prowadzące do głównego wyjścia z bloku DW (dokładnie naprzeciwko). Mógłby poczekać na Rina i wtedy wspólnie by wymyślili, co robić dalej. Kiedy mężczyzna wpadł do środka, znalazł się sam na sam z botami w przestronnej sali, gdzie nie było niczego poza stołami i krzesłami. Allan Greenlon się wystawił i boty z tego skorzystały. Któryś z „malców” rzucił w niego kamieniem i trafił prosto w czoło, nad lewą brwią.

Takie uderzenie zawsze jest bardzo bolesne. Allanem zakreśliło, rozłożył ramiona i z jękiem padł na wznak. Strzelba walnęła o podłogę i poleciała na bok. Sześć albo siedem botów natarło ze złowieszczym sykiem na bezbronnego inżyniera.

Amerykanin nie stracił przytomności, jednak nie dane mu było już się podnieść.

CXIII

Rino Headhunter nie słyszał alarmu wszczętego przez Laurę. Za dużo przejść i drzwi oddzielało jego pokój w skrzydle sypialnym od jadalni. Nie dotarł również do niego brzęk tłuczonego szkła, kiedy boty wybiły szyby – okna jego sypialni wychodziły na przeciwległą, południową stronę budynku.

Jednak strzały usłyszał. Odgłos niósł się korytarzami i przeniknął do jego pokoju dwoma cichymi, lecz wyraźnymi plaśnięciami. Osilek rozpoznał

szczęknięcie remingtona; błyskawicznie wyskoczył z łóżka i bezszelestnie wyslizgnął się na korytarz.

W przeciwieństwie do Allana Rino nie rzucił się na parter na łeb, na szyję. Nasłuchując i trzymając przed sobą pochyloną strzelbę, dotarł do klatki schodowej i zaczął ostrożnie schodzić. Jego oczy dokładnie przeszukiwały wszystkie potencjalne kryjówki, które trafiały się po drodze. Niestety, nic to nie dało. Kiedy osiłek dotarł do drzwi jadalni, zrobił ten sam błąd co Amerykanin – wszedł do środka. To nie dlatego, że Rino był nieostrożny. Słyszał przecież odgłosy walki, widział krew na podłodze, ślady śrutu na ścianach. Jednak mimo to nie mieściło mu się w głowie, że boty są na wolności i że *już* są w budynku.

A boty czekały. Jeden z chłopców zanurkował siłaczowi pod ramię i zadarł do góry lufę jego strzelby. Co prawda nie udało mu się wyrwać broni z rąk Headhuntera, lecz otwarcie ognia (Rino zdążył trzykrotnie nacisnąć na spust) nic nie dało: śmiertelny śrut trafił w sufit. Inny „malec”, czepiając się ściany niczym pajak, skoczył najemnikowi na plecy i wpiwszy się w jego szyję, próbował dosięgnąć oczu mężczyzny.

Nim Rino je zamknął, zdążył zobaczyć, jak obsiada go czterdzieści botów. To wyglądało jak koszmarny sen, w którym wysłannicy piekła mszczą się za swoich rozstrzelanych towarzyszy.

Headhunter musiał wypuścić remingtona z rąk, żeby zrzucić potwora ze swojej głowy. W przeciwnym razie mógłby zostać bez oczu. Nie udało mu się. Gdy tylko się uwolnił, rzuciło się na niego z tuzin botów. Wieszały mu się na rękach, czepiały się nóg, usiłując powalić go na ziemię.

Przez ostatnie dni boty dostawały tylko wodę. Zmizerniały przez to wyraźnie. Drabiniaste zębra, obojczyki i kolana napinały się pod skórą niczym zawiasy jakiegoś mechanizmu. Dzięki temu przez pewien czas Rinowi udawało im się przeciwstawiać. Jednak ich słabość nie miała aż takiego znaczenia, ponieważ było ich dużo. Boty oblepiły Headhuntera niczym szarańcza...

CXIV

Trzech „malców” ciągnęło Laurę za ręce do kuchenki. Jakimś cudem okulary jej się nie rozbiły. Oprawki powędrowały na czoło, zaczepiły się o pasmo włosów i tak się trzymały. Dupré jęczała, stękała, ale prawie się nie opierała.

Allanowi Greenlonowi też było nie do śmiechu. Przygwożdżony do podłogi przez kilka botów (jeden próbował go dusić), miał wrażenie, że traci przytomność. Jeden ścisnął jego nogę tuż przy kolanie. Drugi usiadł mu na goleni, wyginając ją w bok. Allan usłyszał przeraźliwy chrzęst i krzyknął. Miał wrażenie, jakby żywcem wyrywano mu kolano. Potworny ból zmusił go do tego, aby osłabić ucisk rąk, którymi przytrzymywał dusiciela. Palce napastnika momentalnie otoczyły jego gardło stalową obręczą.

To koniec – przeszło Amerykaninowi przez głowę. Przed oczami wystąpiły mu mroczki. Płuca słabły bez tlenu. Już prawie nie słyszał jęków Laury ani wściekłego ryczenia Rina. Dobiegające go dźwięki były rozmazane, ciche, jakby z telewizora grającego w sąsiednim pokoju...

Na jedną chwilę odpłynął; wokół zapanowały ciemność i cisza. Znikły emocje. Nie znikła jednak świadomość – Allan cały czas myślał i rejestrował, czyli... wciąż żył.

Zamroczenie nie trwało dłużej niż sekundę.

Pierwszą rzeczą, jaka przywróciła inżynierowi przytomność, było coś ciepłego i wilgotnego, co rozplątało się po jego brzuchu. Wypatroszyli mnie – oburzył się w myślach Greenlon. Niech to szlag, wypatroszyli mnie jak indyka! Bardzo go zdziwiła własna reakcja. A potem zastanowiła go dziwna lekkość w gardle. Cholera, albo jestem już martwy, albo... przestali mnie dusić. Na samym końcu znów zaczęły docierać do niego dźwięki. Na lewo, całkiem blisko jego ucha, pochlipywała Laura. Gdzieś na dole, bliżej drzwi jadalni (dla Allana, który leżał na plecach, było to właśnie gdzieś *na dole*), charczał Rino. Przez te odgłosy przebijało się mlaskanie i skomlenie.

Amerykanin otworzył oczy. Bot, który chwilę przedtem próbował go udusić, zwisał teraz nad nim z wysuniętym językiem; z jego ust ciekła ślina. To, co Greenlon początkowo wziął za krew z własnego wypatroszonego brzucha, okazało się... gorącym moczem.

– Chłopie, ty... ty mnie obsikałeś – zauważył zmieszany inżynier.

Bot skończył swoje sprawy; opierając się na rękach, nadal wisiał nad Allanem. Kręcił głową i chwiał się z boku na bok. Kolejny „malec” ułożył się

policzkiem na kafelkach podłogi i odpychając się kolanami, przesuwając się obok inżyniera. Ręce bezwolnie wlokły się za nim. Gdyby nie wyglądało to tak obrzydliwie, nawet można by to uznać za zabawne.

Uwolniwszy ręce, Greenlon odepchnął bota.

– Co się stało? – Allan uniósł się na łokciach. Poczuł piekący ból w kolanie (prawa noga była wygięta na bok pod dziwnym kątem). Mężczyzna przygryzł wargę, nie ruszał się więcej.

Gdy się rozejrzył, zapomniał o bólu – tak go poraziło surrealistyczne widowisko, które rozgrywało się przed nim. Po całej jadalni pełzały i skręcały się wychudzone boty. Przypominały teraz młodych mimów na próbie do niezbyt zrozumiałej, postmodernistycznej pantomimy. Były jak robaki. Białe bezmózgie robaki na ciemnych kafelkach podłogi.

– Zadziałało... – W rzeczywistości Laura nie pochlipywała, próbowała się roześmiać, po prostu z jej podduszonego gardła mogło się wyrwać jedynie urywane pochlipywanie.

– Co zadziałało? – wychrypiał Headhunter, przytulony plecami do ściany.

Dziewczyna opuściła na nos okulary (lewe szkielek się rozbiło, ale trzymało się w oprawce), z radości skoczyła na równe nogi i wyprostowała się. Krew natychmiast odpłynęła jej z głowy.

– Mówię... – Tyle zdążyła powiedzieć, ponieważ pociemniało jej w oczach. Chwytała rękami powietrze i, tak jak stała, padła twarzą na ziemię. Wyciągnęła się, przybrawszy pozę taką samą jak w hollywoodzkich policyjnych serialach: nogi w lekkim rozkroku, pantofle zagięte noskami do środka, prawa ręka na wprost zgięta nad głową, lewa – wyprostowana w bok.

– Kurwa, aleś wymyśliła. – Rino zrobił kilka kroków do przodu. – Co ci jest, zabojadko?

Dupré oderwała wzrok od podłogi. Z nosa ciekła jej krew. Już oba szkieleka w okularach były rozbite w drobny mak.

– Wszystko ze mną w porządku. Ja... po prostu... w głowie mi się zakręciło.

Tym razem Francuzka podniosła się powoli. Niespiesznie uniosła się na rękach i usiadła. Przymrużyła oczy, strzepując z policzków odłamki szkła.

– Do cholery! Moje okulary.

– Co się dzieje z tymi wyrodkami? – Najemnik wciąż nie rozumiał. Zerknął ostrożnie na boty, przyciskając się do ściany. Pod jego nogami wiło się co najmniej dwudziestu „malców”.

– Rino. – Twarz Laury rozjaśniła się; zacisnęła palcami nozdrza, tamując dopływ krwi, i wymamrotała: – Zadziałał stymulator Tymura. Boty uruchomiły program.

– Co? – Bełkot dziewczyny w połączeniu z jej nieznośnym akcentem pozbawiały go ostatnich szans na zrozumienie czegokolwiek z tego, co mówiła.

– Boty stymulują ośrodek przyjemności! – wyraźniej powtórzyła Laura.

Do Headhuntera powoli dochodziła świadomość tego, co się stało. Jego reakcja była dość niespodziewana. Wpadł w szal. Wyszczерzył zęby i z całej siły kopnął w bok najbliższej leżącego bota. Uderzenie było tak silne, że „malec” odleciał na kilka metrów, ale nawet się przy tym nie skrzywił. Jego ramiona drgały nieznacznie, oczy zapadły się przeraźliwie.

Rino odczekał chwilę, przyskoczył do drugiego bota, jedną ręką złapał go za szyję, drugą wczepił się w jego nogę, podniósł chłopca nad głowę i cisnął nim przez jadalnię. Bot walnął o stół, wywrócił się i zjechał na podłogę.

Siłacz rzucił się na pozostałe boty. Rozdawał kopniaki. Deptał „malców”, wydając z siebie oszalałe rżenie.

– Dosyć! – nie wytrzymała Laura. – *Teraz* są już niegroźne.

– Przestań! – zawtórował jej Allan. – Lepiej pomóż mi wstać, nie mogę się podnieść.

Kiedy Headhunter już rozdał kilka kopniaków, uspokoił się.

– Wybaczcie, kochani, nie mogłem się powstrzymać. – Rino zerknął na Dupré. – Jesteś pewna, że więcej nam nie zaszkodzą?

Laura nie miała pewności, lecz odpowiedziała twierdząco.

– Zdaje się, że złamałem nogę... – wyjęczał Amerykanin.

Rino i dziewczyna przestąpili nad „malcami” i podeszli do Allana. Pomogli mu się podnieść i posadzili go na stołek.

– Bracie, kiepsko to wygląda – stwierdził mięśniak, zerkając na spuchnięte kolano i wykręconą nogę Greenlona. – Jeszcze długo nie będziesz biegał.

– Boli? – zapytała psychiatra.

Amerykanin zacisnął zęby i kiwnął głową. I bez tego było to jasne.

– Pomóż mu, jesteś przecież lekarzem. – Headhunter popchnął Laurę do przodu.

– Jestem psychiatrą, a nie... – Urwała, widząc, jak Rino pochmurnieje. – W porządku, potrzebuję najpierw czegoś zimnego.

Przecisnęła się między ciałami botów do lodówki. Wyciągnęła szufladkę na warzywa i napełniła ją lodem. Wzięła ze sobą po drodze jeden z noży i wróciła do Amerykanina.

– Rozetnij mu dzinsy – podała nóż Headhunterowi – trzeba przyłożyć lód.

Rino starannie rozciągnął dolną część nogawki i rozciął ją aż do biodra. Miejsce kolana zajmowała olbrzymia fioletowoniebieska opuchlizna.

– Dobra wiadomość jest taka, że kości chyba są całe – postawiła diagnozę Laura, pomacawszy ślady po kopniakach. – Zła jest taka, że w stawie kolanowym chyba zostało zerwane wszystko, co mogło zostać zerwane. –

Przyłożyła lód do opuchlizny. – Najpierw poszukamy w lazarecie środków przeciwbólowych, a potem... – przełknęła ślinę – trzeba będzie nastawiać.

– Dlaczego właśnie teraz? – zapytał Allan, odzyskując oddech, ale wciąż jeszcze krzywiąc się z bólu. – Dlaczego boty aktywowały stymulator właśnie teraz?

– Trudno powiedzieć, Allanie. Może to była reakcja obronna.

– To znaczy?

– Myślę, że Rino któregoś z nich skrzywdził i „malec”, chcąc powstrzymać ból, uruchomił moduł. – Laura niepewnie machnęła ręką. – To wyłącznie przypuszczenie.

Dupré się nie myliła. Boty pozwoliły na skompilowanie procedury w skupiskach nanorobotów usytuowanych w ich mózgach, ponieważ wiedziały, że procedura sama się nie uruchomi. Po przeskanowaniu gotowego kodu zrozumiały przeznaczenie programu, ale nie wprowadzały go w życie; miały niepozbowioną podstaw obawę, że nie zdołają (ściśle rzecz ujmując – nie zechcą) go zatrzymać. Aby aktywować kod, potrzebny był potężny impuls z zewnątrz. I ból stał się takim impulsem. Rino, broniąc się przed atakami, zwichnął rękę jednemu z chłopaczków. W rzeczywistości mu ją wyrwał: wydarł żywcem ścięgno – kość prawej ręki przestała się łączyć z resztą szkieletu. Aby zagłuszyć ból, bot uruchomił stymulator. Natychmiast zrobiło mu się tak przyjemnie, że zapomniał o całym świecie. Po minucie stymulacja

się skończyła, lecz bot nie chciał przestać, więc znów uruchomił program. Równocześnie to, co stanowiło największą przewagę botów – możliwość wymiany informacji – zwróciło się przeciwko nim. Sygnały o rozkoszy, które pochodziły z mózgu z aktywowanym stymulatorem, były tak silne, że pozostałe boty przestały słuchać psychoistoty. Chciały jednego: uruchomić taką samą procedurę w swojej głowie.

– Nie boisz się, że one... no... odejdą? – Allan już się nie krzywił, okład z lodu powoli wysysał gorący ból z nabrzmiałego kolana.

– Dokąd odejdą?

– Mam na myśli, że oprzytomnieją.

Dupré przebiegła spojrzeniem po wycieńczonych botach i wzruszyła ramionami.

– Wyobrażam sobie, co czują. To tak jakby siedzieć za kierownicą nowiutkiego porsche i gnać z prędkością dwustu kilometrów na godzinę idealnie gładką autostradą, z nozdrzami zapchanymi kokainą. Wątpię, żeby chciało im się odchodzić. Ale – Laura jeszcze raz wzruszyła ramionami – nie wiem, jak silna jest psychoistota.

– Do diabła z psychoistotą – zaczął Rino – lepiej powiedz mi, żabojadko...

– Nie nazywaj mnie żabojadką! – warknęła.

– W porządku, nie unosź się – ugodowo odparł Headhunter. – Lepiej powiedz, jak boty wydostały się ze „Żłobka”.

– Zakłócenia w dostawie prądu? – wysunął przypuszczenie Allan.

– Kiedy poszedłem się położyć, światło było. – Rino zmarszczył czoło. – Nie mogłyby tak szybko rozwalić zasuw.

– A niech to! – Laura coś sobie przypomniała. – Ukrainiec poszedł do drugiego inżynierskiego.

– Tymur?! Czegoś zapomniał? – zdziwił się Rino.

– Kiedy? – dodał Greenlon.

– Nie wiem. – Francuzka odpowiadała na oba pytania jednocześnie. – Jakies pół godziny temu.

Allan przejechał dłonią po łysej głowie. Wyglądało to tak, jakby przyglądał włosy.

– Czyżby to Tymur ich wypuścił? – Nagle dotarło do Amerykanina, że programista nie był poddawany próbie z polem magnetycznym. Inżynier spojrzął na wielkoluda. – Rino, a jeśli on też jest zarażony?

– Teraz jest nas troje – zauważyła Laura, spuszczać wzrok.

– Katsuro ich wypuścił – wycedził Rino, kierując się do wyjścia. Miał dość powodów, aby nie wątpić w to, że chłopak jest czysty. Jedyne, czego nie miał, to czasu na czczą gadaninę. – A to, że jest nas teraz troje, może być całkiem prawdziwe.

– A ty dokąd? – zaskomlał Greenlon. Bał się zostawać z „malcami”, mimo że w tej chwili przypominali rozanielone ciamajdy.

Headhunter nie odpowiedział. Zgarnął z podłogi remingtona i wypadł na korytarz. Przeładowując po drodze broń, popędził do wyjścia z budynku. Kiedy wyskoczył z bloku, zwolnił. Przy ogrodzeniu sterczały trzy boty. Stały plecami do wyjścia z DW, wpatrując się przez druty gdzieś w dal. Najemnik się zawahał. Nagle jeden z „malców” zakołysał się, a chwilę potem rzucił się na stalowe druty ogrodzenia. Chłopcem zaczęło trząść, lecz nie robił niczego, żeby się oderwać. Telepał się tak długo, aż w końcu upadł na piasek. Jego towarzysze nawet nie zareagowali.

Ha, tym też się pochchrzało – ucieszył się Headhunter.

Zrobił kilka kroków w kierunku ogrodzenia z zamiarem rozstrzelania tych trzech. Nie chciał mieć potworów za plecami. Jednak rozmyślił się po chwili zastanowienia. Strzały go zdemaskują. Ściskając w rękę strzelbę, podbiegł do głównego wejścia bloku EN-2. Pociągnął za klamkę – drzwi, tak jak przypuszczał, były otwarte.

Policzywszy w myślach do pięciu, przycisnął kolbę do policzka i wpadł do przedsionka. Szybkim spojrzeniem obrzucił schody prowadzące do laboratorium oraz korytarz, za którym rozpoczynały się „Żłobki” (drzwi otwarte były na oścież), nikogo jednak nie zauważył. Zaczął się wspinać bezszelestnie na pierwsze piętro.

W drugim bloku inżynierskim było cicho jak w grobowcu.

– Katsuro?! – zawołał Tymur; wiedział, że ten, kto stoi przed nim, to już nie Katsuro.

Ta istota z wytrzeszczonymi oczami praktycznie nie miała w sobie już nic z młodego Japończyka. Wyciągniętą nienaturalnie twarz pokrywały wrzody, z których sączyła się ropa zmieszana z krwią. Piers się zapadła, skóra na szyi i ramionach poszarzała. Ubranie było porwane, gdzieś wymazane jakimś smarem (przez wszystkie te dni Takeda chował się pod ziemią, w EN-3).

– Katsuro, słyszysz mnie? – Tymur zrobił kilka kroków w tył.

„Fałszywy” Katsuro zaczął się zbliżać. Cuchnęło od niego strasznie.

Tymur cofał się do odleglejszej części laboratorium. Raptem potwór się zatrzymał. Podniósł prawą rękę i poruszał dłonią. Psychoistota wzywała Tymura. Nie chciała zabijać. Chciała tego, co programista miał w głowie – jego mózgu.

Chłopak otarł łzy z oczu i też się zatrzymał. Katsuro powtórzył poprzedni gest – chciał, aby Tymur podszedł do niego dobrowolnie.

– Niedoczekanie twoje! – Ukrainiec zmienił kierunek i zaczął się przysuwać bokiem do okna. Początkowo ostrożnie, potem coraz szybciej i szybciej. Okna to był jego jedyny ratunek. Wskoczy. Rozbije szybę i wyskoczy. To tylko pierwsze piętro. Jeżeli nie połamię nóg, niewykluczone, że uda mu się nawet dobiec do bloku mieszkalnego. A tam, jeśli mu się poszczęści, zarygluje się w przedsionku, zanim istota go dopadnie. Jeśli... możliwe... jeśli... Do diabła, nie ma innego wyjścia!

Potwór powiódł za nim spojrzeniem. Śledził jego ruchy.

Zanim Tymur wyskoczył przez okno, wyjrzał na zewnątrz. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Przez otwarte drzwi bloku inżynierskiego wysypywały się na podwórze boty. Rozdzieliwszy się na dwie grupy, podążały do bloku DW.

Tymurowi mieszało się w głowie. Czuł się tak, jakby próbował przełknąć kamień wielkości kurzego jaja.

Wciąż jeszcze patrzył przez okno, kiedy Takeda rzucił się na niego. Chłopak zareagował w ostatniej chwili: rozcapierzone palce Japończyka

przeszyły powietrze pół centymetra od jego szyi. Tymurowi nie zostało nic innego, jak tylko cofnąć się w głąb laboratorium. Katsuro stał teraz między nim a oknami. Stwór wydał z siebie coś w rodzaju klekoczącego warkotu i popchnął z wielką siłą jeden z foteli biurowych. Programista, uchylając się, zaczepił nogą o stół i upadł na plecy. Fotel najechał na niego. Od uderzenia oparcie i siedzisko krzesła odskoczyły i zatrzymały się przy ścianie, a dolna część („łapa” z kółeczkami) utkwiała między nogami Tymura.

Katsuro człapał w jego stronę. Ukrainiec spróbował wykorzystać do obrony „łapę” krzesła. Chwycił za stalowy cylinder, na którym obracało się siedzisko, i pociągnął go w swoją stronę. Lśniący stojak niespodziewanie lekko się poddał, oddzieliwszy się od plastikowego bloku. Masywna podstawa odjechała na bok – już nie było czym się bronić.

– *Fuck!* – zaklął ze złością Tymur.

W tym momencie Katsuro skoczył.

Czas zwolnił. Serce chłopaka omal nie wyskoczyło z piersi; czuł każde uderzenie. Spojrzał na swoją rękę – dłoń ścisnęła stalową rurę długości nieco więcej niż pół metra. Gdy wyłupiastooki stwór zwałił się na niego z góry, Tymur nie myślał już ani o śmierci, ani o botach, które z niewiadomych przyczyn wydostały się na wolność. Przeciągnąwszy stojak bliżej siebie, chłopak walnął nim potwora w twarz. Uderzenie nie było silne, ale wystarczająco bolesne, by Katsuro odskoczył. Ukrainiec wykorzystał sytuację, wsunął pod Japończyka kolano i odepchnął go. W następnej sekundzie chłopak był już na nogach. W oczach miał szaleństwo.

Takie rzeczy się zdarzają. Przecież nie znamy całej prawdy o sobie. Nie domyślamy się nawet istnienia demonów schowanych w ciemnych odmętach gdzieś na dnie serca czy głowy. Nieciekawa praca biurowa, banalne rozrywki, poukładane życie przykrywają grubą warstwą nasze drugie *ja* – dzikie, swawolne i okrutne. Niewywołane może spać całe lata. Czasem jednak, w sytuacjach ekstremalnych (śmiertelne zagrożenie, stres czy też kolosalne obciążenie fizyczne), wszystko się zmienia – nasza zwierzęcość gwałtownie wyrzywa się na powierzchnię.

Potwór znów rzucił się na Tymura, ale chłopak był już w *amoku*. (Żeby zrozumieć, co to takiego, wystarczy obejrzeć wczesne walki Mike’a Tysona). Przetrzywał atak Katsura. Odrzucił go i wzięwszy jak bejsbolista szeroki zamach, rozerwał powietrze metalowym stojakiem, celując prosto w głowę Japończyka. Trafiał w ramię. Takeda zasyczał i odpełzł.

Tymur natarł. Przed oczami stanęli mu Alina, Steirmann, Keitaro – wszyscy, których w tym momencie nienawidził. Dwa razy z rzędu wymierzył potworowi kopniaka w brzuch, zmuszając go do opuszczenia rąk i odsłonięcia głowy. Na to właśnie czekał. Kolejne uderzenie trafiło idealnie w skroń. Nogi Katsura zadrżały. Z ust pociekła krwawa ślina. Japończyk spróbował się podnieść – bezskutecznie. Zastona złości przesłoniła Tymurowi oczy. Nie wiadomo, skąd wstąpiły w niego nowe siły. Zaczął zadawać mocne uderzenia. Bił, bił, bił i bił. Młócił wściekle na oślep, nie uświadamiając sobie nawet, że ciągle krzyczy, aż się od tego zakrzusił. Przestał dopiero wtedy, gdy głowa Japończyka zamieniła się w zakrwawiony worek pełen kości. Szał minął równie szybko, jak się pojawił. Zmęczony Tymur osunął się na najbliższe krzesło; lewą ręką podparł czoło, prawą wciąż ściskając zachlapaną resztkami mózgu i oblepioną rudawoczarnymi włosami stojak fotela biurowego.

Kiedy tak siedział, do pracowni, trzymając przed sobą strzelbę, wpadł Rino.

– Och, mój mały ukraiński Murzyn! – ucieszył się osiłek. – A ja już myślałem, że te wyrodky cię zamordowały.

Postąpiwszy kilka kroków, Headhunter dostrzegł rozpostarte na podłodze ciało Katsura Takedy.

– Japoniec...? Kto go tak...? – Ujrawszy ubrudzoną podłużną rurę, której Tymur nie wypuszczał z rąk, Rino Headhunter otworzył usta ze zdumienia. – Ja pieprzę, to ty go? – A po chwili, uśmiechając się, dodał: – Zawsze wiedziałem, że będą z ciebie ludzie, *fella!*

Chłopak lekko spąsowiał.

– W moim kraju bejsbol jakoś się nie przyjął. Za to kije bejsbolowe niezmiennie cieszą się dużą popularnością.

Po drodze do budynku mieszkalnego najemnik opowiedział chłopakowi o ataku botów, a także o tym, czym on się zakończył. Tymur słuchał w milczeniu. Czuł się wewnętrznie spustoszony. Nie miał siły cieszyć się z tego, że program w końcu zadziałał.

O dziesiątej zero cztery, kiedy samolot-cysterna KC-130 Hercules odrywał podwozie od pasa startowego, Tymur dowlóknął się do pokoju wypoczynkowego i natychmiast się wyłączył. Zasnął mocnym, niczym niezmaconym snem. Nie słyszał, jak Rino i Laura zaciągają boty do piwnicy

bloku DW. Nie obudziły go nawet wrzaski Allana, kiedy Południowoafrykanin i Francuzka nastawiali inżynierowi zwichnięte kolano.

CXVI

Poniedziałek, 31 sierpnia, 11.57 (UTC -6)

Baza lotnicza Whiteman

3 km na południe od miasteczka Knob Noster, Missouri, USA

– Wznosimy się na sto dwadzieścia[117]? – zapytał Anthony, zwróciwszy do kierownika operacji kwadratową głowę z dziwacznie wysuniętym podbródkiem.

Major Hathaway zerknął na arkusz, na którym wstępnie określił konieczną dla standardowo obciążonego samolotu prędkość wznoszenia, i kiwnął potakująco.

– Potwierdzam, sto dwadzieścia. – Pomimo całkowitej automatyzacji B-2 major miał zwyczaj wszystko sprawdzać osobiście. – Idziemy na nominalnym?

Pilot przecząco pokręcił głową.

– Majorze, nie pociągniemy.

– W porządku, Anthony. Dajemy wznoszący. – Robert Hathaway się uśmiechnął.

– Okej, jest wznoszący[118].

– Zero-zero-czterdzieści, ruszcie się – pogonił ich dyspozytor. – Generał przypomina, że odstajecie od rozkładu o całą minutę.

Oficerowie spojrzeli po sobie. Anthony wykrzywił twarz w grymasie, pokazując, co myśli o mądralach z wieży. Robert rozpląnął się w uśmiechu, wymawiając bezgłośnie: Cała minuta! Nonono! *Fuck him* – na głos zaś powiedział:

– Zrozumiałem pana. Proszę się nie martwić, nadrobimy w powietrzu.

Niezwykle szeroki i płaski B-2, Spirit of Alaska[119], numer seryjny 90-0040, wykonywał niezgrabny zwrot na końcu pasa startowego.

Niewykrywalny przez radary bombowiec z daleka przypominał olbrzymią ekierkę kreślarską.

Pilot pro forma poprosił o pozwolenie na lot i natychmiast otrzymał odpowiedź twierdzącą.

– Z przodu czysto, jest pozwolenie – oznajmił Anthony, wymawiając wyraźnie każde słowo. – Panowie, startujemy. Granica: sto dwadzieścia. – I wrzucił pełny gaz.

B-2 zaczął się rozpędzać: sześćdziesiąt... siedemdziesiąt... osiemdziesiąt węzłów. Płynął w przód, rozcinając tęnym trójkątnym nosem powietrze jak płaszczka ślizgająca się nad dnem. Promienie popołudniowego słońca oblewały nietypowe skrzydła.

Razem z Hathawayem na wyprawę wyruszało jeszcze dwóch oficerów: Anthony „Młot” Harrison i Jeremy Ruah – kapitanowie USAF, którzy mieli taką liczbę wylatanych godzin, że mogliby im pozazdrościć nawet dowódcy powietrznych statków transkontynentalnych. „Młot” Harrison, dawny bokser, mistrz stanu Missouri w wadze średniej, od razu zajął miejsce pilota – w B-2 jest ono po lewej stronie. (Do prowadzenia B-2 wystarczy jeden pilot. Spirit to diabelnie mądry samolot). Z prawej strony, tam gdzie zainstalował się Bob Hathaway, siedzi tak zwany *mission commander*. W związku z tym, że misja miała trwać prawie dobę, był jeszcze trzeci – kapitan Ruah. Podczas lotu oficerowie mieli się zmieniać, żeby się nie przemęczać. Dwóch siedziało za sterami, a trzeci odpoczywał. Na końcu kabiny B-2 wydzielono w tym celu specjalne miejsce.

Major Hathaway niczym się nie martwił. Niczym oprócz tankowania.

Generał Klotz, szef Dowództwa Uderzeń Globalnych Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, zakończył planowanie operacji i postanowił się odprężyć. Za wcześnie. Pomimo swojej dalekowzroczności Frank przegapił ważny niuans. Z tym cholernym tankowaniem był jeden problem. *Duży problem.*

Mniej więcej na dobę przed wylotem do generała przyszedł z własnej inicjatywy major Robert Hathaway, dowódca lotu bojowego. Stanął na baczność, zaszutował i od razu przeszedł do rzeczy:

– Generale, chce pan, żebym uzupełnił paliwo w bombowcu odrzutowym z turbośmigłowego herculesa? – Hathaway zaczął skubać brew. – Sir, *jak* pan zamierza podnieść do mnie *cysterne*?

Frank Klotz początkowo nie rozumiał pytania, po czym przygryzł wargę z rozpaczą. Jak mógł to przeoczyć?!

Chodziło o to, że podstawowym warunkiem operacji „Antybot” była pełna dyskrecja. Nikt nie powinien widzieć ani słyszeć amerykańskich samolotów po drodze do Atakamy. Było jasne, że bombardowania nie da się przeprowadzić bezszelestnie, lecz technika stealth, działanie pod osłoną nocy i pewne sztuczki taktyczne miały pomóc w zachowaniu niewidzialności w trakcie zbliżania się samolotu, a także – zwłaszcza – w trakcie jego oddalania się. Przelatując nad Chile, ciężki B-2 Spirit osiągnie znaczną wysokość, natomiast towarzyszące mu F-22, myśliwce przewagi powietrznej, odwrotnie – przeskoczą nad pustynią lotem koszącym[120].

Zgodnie z planem na dwie godziny przed bombardowaniem B-2 Spirit miał nad Pacyfikiem pobrać paliwo od KC-130 Herculesa. Generał Klotz pozieleniał ze złości, ponieważ uświadomił sobie, że nie wziął pod uwagę tego co, oczywiste: każdy z tych samolotów to maszyna innej klasy. Nawet najlepszy turbośmigłowy samolot nie może się równać pod względem prędkości i maksymalnej wysokości przelotowej z odrzutowcem. Przy pełnym obciążeniu KC-130 jest w stanie wdrapać się na wysokość dwudziestu ośmiu tysięcy stóp (ośmiu tysięcy sześciuset piętnastu metrów) – i ani na centymetr wyżej. W tym czasie, zgodnie z planem, B-2 Spirit będzie się kołysał na wysokości czterdziestu dziewięciu tysięcy stóp (co daje dobre piętnaście kilometrów!). Tankowiec w żaden sposób nie osiągnie pułapu bombowca.



B-2 Spirit

A to jeszcze nie było najgorsze. „Duch” mógł opuścić się na poziom lotu cysterny powietrznej, ale...

Samolot unosi się w powietrzu dzięki sile nośnej powstającej pod wpływem strumieni powietrza działających na skrzydło. Z kolei siła nośna zależy od prędkości, z jaką samolot porusza się w powietrzu, a także od gęstości powietrza. Gęstość, jak wiadomo, zmniejsza się wraz z wysokością. Inaczej mówiąc, dla każdej wysokości istnieje zakres prędkości, ograniczony wartościami minimalną i maksymalną, jakie samolot lecący na danej wysokości powinien rozwijać. Jeżeli prędkość maszyny spada poniżej wartości minimalnej, brakuje siły nośnej, aby utrzymać stalowego ptaka, i ten spada. Wchodzi w tak zwany korkociąg płaski. Maksymalna prędkość jest wyznaczana za pomocą charakterystyk silników oraz konstrukcji kadłuba. Ogólnie im większa wysokość, tym mniejsza różnica pomiędzy minimalną i maksymalną prędkością. Dla B-2 Spirit na wysokości ośmiu tysięcy sześciuset metrów różnica ta jest zupełnie nieistotna. Na wysokości dziewięciu kilometrów nad poziomem morza bombowiec nie może zwolnić na tyle, aby spokojnie wlec się w pobliżu ogona KC-130 w czasie tankowania. Po zmniejszeniu prędkości do sześciuset kilometrów na godzinę (co odpowiada prędkości przelotowej KC-130) istnieje ryzyko, że B-2 zwali się z nieba jak kamień.

Z tego wszystkiego wynikał jeden poważny problem: na czas uzupełniania paliwa samoloty będą musiały obniżyć pułap. Wyraźnie obniżyć. Po to, aby B-2 mógł się ciągnąć na ogonie tankowca, obie maszyny będą zmuszone opuścić się na wysokość piętnastu tysięcy stóp (czterech tysięcy sześciuset piętnastu metrów) i lecieć z szybkością pięciuset pięćdziesięciu–pięciuset siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. W konsekwencji wzrasta ryzyko wykrycia. Na takiej wysokości zarówno bombowiec, jak i cysterna mogą zostać łatwo dostrzeżone z pierwszego lepszego samolotu pasażerskiego, który będzie podchodził do lądowania na lotnisku w Limie. I wtedy nie pomogą ani technologia stealth, ani maskowanie. A widok najdoskonalszego samolotu bombowego naszych czasów uzupełniającego w locie paliwo tysiące kilometrów od wybrzeży USA nikogo nie pozostawi obojętnym, bez dwóch zdań.

Frank Klotz rozumiał też doskonale, że inne możliwości nie istnieją. Gdyby zamiast KC-130 leciała inna cysterna, turboodrzutowy KC-10 extender, nie byłoby żadnego problemu. Ten gigant skonstruowany na bazie samolotu McDonnell Douglas DC-10 bez wysiłku wspina się na czterdzieści dwa tysiące stóp (dwanaście tysięcy siedemset dwadzieścia siedem metrów). Ale w takim wypadku Klotz powrócił do pytania wyjściowego: co począć z tym

piekielnym tankowcem *po* uzupełnieniu paliwa? W Peru nie usiądzie, tym bardziej na lotniskowcu. Jedyne wyjściem byłoby go wysadzić w powietrze albo zatopić w oceanie.

Problem został rozwiązany po skrupulatnym zaplanowaniu godziny uderzenia: bombardowanie odbędzie się w nocy, tak żeby tankowanie nad wybrzeżem Peru odbyło się tuż po zapadnięciu zmroku. Na ziemi mrok ustąpi ciemnościom, a na wysokości czterech i pół kilometra jeszcze nie do końca poczerwiałe niebo zapewni dostatecznie dużo światła, żeby dało się przeprowadzić operację uzupełnienia paliwa. Taka korekta planu wymagała idealnej precyzji co do czasu wylotu i czasu spotkania się B-2 z KC-130 nad oceanem. Każda minuta miała znaczenie...

Samolot bombowy rozpędził się i ciężko oderwał od betonowego pasa osiemset metrów od jego krawędzi. Gdy tylko podwozie uniosło się nad ziemię i schowało w płaskim dnie, prędkość maszyny zaczęła gwałtownie rosnać. Sto dwadzieścia... sto czterdzieści... sto sześćdziesiąt węzłów.

– Prędkość wzrasta, parametry w normie – meldował Harrison. – Tysiąc stóp – dodał po chwili.

Robert Hathaway przebiegł oczami po pulpitych; nie chciał ingerować w pracę komputerów. Posłuszny „Duch” wszystko robił sam. Major odetchnął z ulgą. Meteorolodzy zapowiadali dobre warunki atmosferyczne na całej trasie lotu. Jeśli tylko spece od pogody czegoś nie poplątali, załoga przez najbliższe sześć–siedem godzin będzie tylko śledzić dziesiątki cyfrowych wyświetlaczy. Co za nuda!

Major nie myślał o momencie uderzenia. Miał świadomość, że zamierza zbombardować terytorium niezależnego państwa, i to w czasie pokoju! Przypuszczał również, że w budynkach przeznaczonych do zniszczenia mogą przebywać ludzie. Pewnie i jego rodacy. (Tylko Amerykanie potrafią wplątywać się w kłopoty, które można rozwiązać jedynie przy użyciu lotnictwa strategicznego). Cokolwiek by mówić, Robert był wojskowym. Jego zadanie polegało na wykonywaniu rozkazów, a nie na myśleniu czy też zadawaniu pytań.

Tankowanie – ta sprawa nie dawała Hathawayowi spokoju. Była to zdecydowanie najważniejsza część misji. W trakcie połączenia załogi obu samolotów nie mają prawa popełnić ani jednego błędu. Jeśli za pierwszym razem coś nie wyjdzie, będą musieli pracować w egipskich ciemnościach.

Z punktu widzenia konspiracji to wspaniale. Nie będzie jednak zbyt wesoło, jeśli B-2 Spirit wpieprzy się herculesowi nosem w jego tłustą dupę.

Major Hathaway nie denerwował się jednak. Kiedy dotrą do Peru i dogonią KC-130, na jego miejscu będzie siedział kapitan Jeremy Ruah.

CXVII

Poniedziałek, 31 sierpnia, 16.36 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Spirit of Alaska już czterdzieści minut gnał na południe, kiedy Rino postanowił zbudzić Tymura.

- Wstawaj. – Headhunter potrząsnął programistę za ramię.
- Eee... – mruknął Ukrainiec, nie otwierając oczu.
- Obudź się!
- Co jest? – Tymur usiadł. Jego na pół otwarte oczy zabłyszczały.
- Starczy leniuchowania. Musimy postanowić, co robimy dalej.

Na sąsiedniej kanapie, w pozycji półleżącej, z wyprostowaną bolącą nogą, zaległ Allan Greenlon. Na fotelu po lewej stronie siedziała Laura Dupré. Rino szturchnął Tymura i opadł na sąsiednią kanapę. Mebel przeraźliwie zakrzypiał, uginając się pod ciężarem wielkoluda.

- Jak długo spałem? – zapytał programista, przecierając zaspane oczy.
- Teraz jest wpół do piątej – odpowiedziała Laura.
- Nie pamiętam, kiedy odleciałem.
- A nie zapomniałeś czasem, że zabiłeś Katsura stojakiem od fotela biurowego? – Mięśniak się uśmiechnął.

Tymur przypomniał sobie starcie w laboratorium programowania. Za nim przyplęnęło kolejne wspomnienie, znacznie mniej przyjemne – o Tianie Emerson, Brazylijce, która zginęła bezsensowną śmiercią. Zginęła z jego winy. Przygnębiony opuścił głowę.

– Uszy do góry. – Rino trącił go łokciem. – Mamy jeszcze gówna do posprzątania.

– Co z botami? – zapytał cicho Ukrainiec.

– Niedawno schodziłam do piwnicy – włączyła się do rozmowy Laura – i na razie wszystko bez zmian: zamiast botów mamy teraz sześćdziesiąt obesranych warzyw.

– Właśnie, musimy się naradzić co teraz – Południowoafrykanin wrócił do głównego tematu. – Podczas gdy ty spałeś, my zrobiliśmy naradę i stanęło na tym, że mamy dwa wyjścia. Pierwsze: zabieramy swoje paszporty, wyciągamy wszystkie wartościowe rzeczy, jakie są w tym budynku, i spadamy z pustyni. Na szczęście samochodów teraz nam wystarczy.

– Zostawiając wszystko jak jest? – Programista się skrzywił.

– Tak.

– A drugie?

– Drugie wyjście jest bez zmian: ktoś jedzie na El Tatio poszukać uciekinierów i bierze ze sobą kilku otumanionych półgłówków. Spośród tych, które ociekają teraz śliną w naszej piwnicy. – Rino się zaciął. – Mam mówić dalej?

– Nie trzeba. – Tymur pokręcił głową. Po dłuższej pauzie dodał: – Powinniśmy doprowadzić sprawę do końca.

– Jesteś pewien, *fella*? Dziś omal nie zginęliśmy. Cała nasza czwórka.

Allan i Laura milczeli.

– Ja rozumiem, że z ciebie jest niepoprawny ryzykant – powiedział Ukrainiec, starannie dobierając słowa. – Rozumiem, że to nie my nawarzyliśmy tego piwa. I rozumiem, jak bardzo jest to niebezpieczne. Ale *powinniśmy* zniszczyć boty. Teraz mamy szansę. Za kilka tygodni, może nawet za kilka dni, tej szansy już nie będzie.

– Okej – odparł tak po prostu Headhunter.

– Kto pojedzie...?

Jedyną reakcją było pełne napięcia milczenie, które zostało przerwane przez kpiarskie pochrząkiwanie Rina. Pytanie programisty było pozbawione sensu. Allan nie mógł jechać – to nie ulegało wątpliwości. Laura w rozbitych okularach przekształciła się w bezbronnego kreta. Chociaż i bez tego bardziej by zawadzała, niż pomagała.

– Zbieraj się. – Olbrzym po przyjacielsku zmierzwił Tymurowi czuprynę. – Nie ma co czekać. Wolałbym dotrzeć do El Tatio jeszcze za dnia.

Laura pomogła przeciągnąć trzy boty na tylne siedzenie toyoty tundra (zdążyły w tym czasie tak zaświnić piwnicę, że smród rozchodził się po całym parterze); na wszelki wypadek związali im ręce. Tymur i Rino wzięli ze sobą dwie strzelby typu pump action, kilka granatów F-1, GPS, dwie maski przeciwgazowe (boty mogły mieć soman, zabrany z porzuconych obok Puritamy touaregów), krótkofalówkę i trochę wody. Programista nalegał, aby wszyscy czworo mieli przy sobie paszporty. Gdy tylko wszystko się skończy, niezwłocznie czmychną daleko z pustyni.

Po kwadransie przygotowania zostały zakończone.

Tymur wszedł do pikapa. Laura stała z boku. Przyciskała się do ogrodzenia, ze skruchą opuszczając wzrok. Headhunter zamarł obok samochodu i z rękami na dachu zapatrzył się w dal, na północ. Gdzieś tam, wśród piasków, szalała psychoistota. Z pewnością wiedziała o śmierci Katsura, Gotta, Rebekki. Wiedziała o unieszkodliwieniu botów, poprzez które przedostała się do tego świata.

Rino wyjął z kieszeni pomietą paczkę marlboro. Wytrząsnął z niej papierosa. Ostatniego. Uważnie mu się przyjrzał, pogniół go w palcach i dopiero wtedy podniósł do ust i przypalił. Palił długo, z rozkoszą, zaciągając się aż do filtra. Rozumiał, że to może być ostatni papieros w jego życiu. Gdy skończył palić, wyrzucił pustą paczkę, usiadł za kierownicą i poprowadził auto na północ.

CXVIII

Poniedziałek, 31 sierpnia, 17.59 (UTC -4)
DW, blok mieszkalny

Wielka sala konferencyjna tonęła w ciemnościach. Półmrok skrywał oznaki zaniedbania, które już i tutaj zdążyły się pojawić: przewrócone krzesła, kurz na stołach i na komputerach.

Nagle urządzenie do komunikacji, zaprojektowane przez Jemeljanowa na zamówienie Wadima Horta, cicho zaskrzypiało i uruchomiło się. Ekran podłączonego do urządzenia monitora zaczął szarzeć, po chwili świecił coraz

jaśniejszym popielatym światłem, wyodrębniając z mroku część pomieszczenia, fotel, na którym siedział kiedyś Tymur.

Wkrótce w lewym górnym rogu pojawiło się potwierdzenie nawiązania łączności. Cursor zeskoczył do pozycji wyjściowej i teraz migał. Po sekundzie na ekranie pojawiła się wiadomość:

◀ ONE UMRAŃ A POTE M JA PRZYJDĘ DO WAS

Komunikat wisiał tak przez piętnaście sekund, po czym nadajnik się wyłączył. Monitor zgasł.

Laura i Allan niczego nie widzieli. Siedzieli piętro niżej, śledząc przez radio poczynania Rina i Tymura w drodze na płaskowyż El Tatio.

CXIX

Poniedziałek, 31 sierpnia, 18.27 (UTC –5)
12°01'57" szer. płd. 81°48'09" dł. zach.
Ocean Spokojny: 433 km od wybrzeży Peru
15 000 stóp nad poziomem morza

Kiedy zegarek wskazał kwadrans po szóstej, B-2 Spirit zaczął obniżać lot. Pół godziny temu „Młot” Harrison ustąpił fotela pilota Jeremy’emu Ruahowi, a sam zajął miejsce *mission commandera*. Major Hathaway krzątał się po tylnej części podłużnej kabiny, przygotowując kanapki i gorącą kawę[121].

Dokładnie o osiemnastej dwadzieścia siedem według czasu lokalnego Jeremy oznajmił, że osiągnęli pułap sto pięćdziesiąt (zeszli na wysokość piętnastu tysięcy stóp).

– A prędkość? – spytał major.

– Trzymam trzysta sześćdziesiąt[122], sir – odpowiedział Ruah.

– Zrzucaj...

– Widzę herculesa – niemal od razu po tym zameldował Harrison.

– Aha. – Ruah kiwnął głową, zerkając na radar. – Kurs dwa-siedem-zero, prędkość trzysta czterdzieści, idziemy na zbliżenie.

– Jakież inne samoloty? – dopłynął z głębi głos Roberta Hathawaya.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Niby nie, majorze – odparł Anthony.

– Niby? Co znaczy „niby”, kapitanie?

– Czysto – poprawił się kapitan. – I na górze, i pod nami.

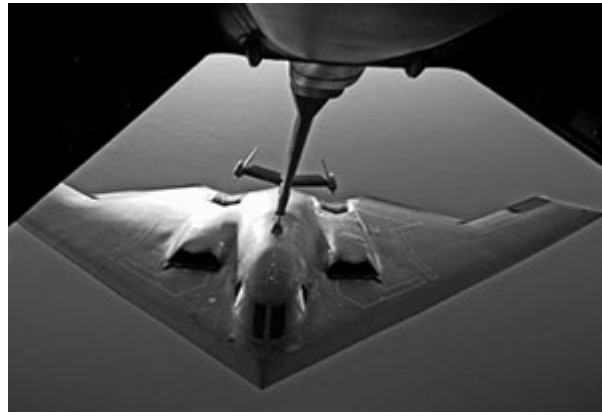
– W porządku. Może przeskoczmy.

Ze wschodu, wypęczając z oceanu, sunęła ściana czerni. Nie było widać ani brzegu, ani wierzchołków Andów. Daleko na dole dzień już umarł, chociaż na wysokości czterech i pół kilometra jeszcze się szamotał w przedśmiertnych drgawkach. Na zachodzie dogorywały ostatnie odblaski zorzy, zabarwiając prawy bok kadłuba na bladoliliowo.

Szczerze mówiąc, Hathawayowi było wszystko jedno, czy namierzą ich bombowiec. Nawet jeżeli ktoś z chilijskiej straży wybrzeża czy nawet z wojsk obrony przeciwlotniczej dostrzeże (w ciemnościach szanse na coś takiego są zerowe – „Duch” jest czarny i lata bez świateł sygnalizacyjnych), że zbliża się B-2, i tak niczego nie będą mogli zrobić. B-2 Spirit to obiekt o tak małej skutecznej powierzchni odbicia, że najnowocześniejsze rakiety samonaprowadzające „nie widzą” go. Nie uda się go zestrzelić, chyba że komuś przyjdzie do głowy zaatakować go ogniem bezpośrednim. To oczywiste, że jeśli samolot zostanie wykryty, nie da się uniknąć skandalu. I to jakiego skandalu! Ale to już nie był kłopot Hathawaya. To Klotz i kolesie pierdzący w stołki w Pentagonie, którzy po raz ostatni siedzieli za sterami może jeszcze za czasów Busha starszego, będą sprząтали to gówna. Zadanie Roberta Hathawaya polegało wyłącznie na zniszczeniu celu i sprowadzeniu B-2 z powrotem do bazy w jednym kawałku.

Tymczasem Jeremy zmniejszył prędkość do trzystu dwudziestu węzłów i skontaktował się z kapitanem Danem Reynoldsem, drugim pilotem na tankowcu, aby zgłosić mu gotowość do rozpoczęcia połączenia.

Pogoda sprzyjała Amerykanom. Żadnych chmur, żadnego kołysania. Oba samoloty leciały równo, spokojnie, jakby przez roztopione masło.



Tankowanie w powietrzu niewykrywalnego bombowca B-2 Spirit nad Pacyfikiem

Ruah sprawnie podłączył się do spuszczonego z herculesa stalowego przewodu. Przekonawszy się, że rękaw tkwi stabilnie, Steve Levandovsky zaczął przelewać paliwo.

Niebo nad nimi szybko ciemniało.

Wkrótce potem (o osiemnastej czterdzieści cztery według czasu peruwiańskiego) najważniejszy etap operacji dobiegł końca. B-2 Spirit został pomyślnie zatankowany – w zbiornikach znalazło się dziewiętnaście i dziewięć dziesiątych tony paliwa, wszystko, co miał KC-130.

Ostatnie pociągnięcia różowej farby światła słonecznego ześlizgnęły się za widnokretem. Nad Pacyfikiem rozciągnęła się czarna błona nocy.

Pusty KC-130, z niemal opróżnionymi własnymi zbiornikami, błysnął na pożegnanie światłami i zahuśtał skrzydłami. Potem zrobił płynny obrót w prawo o dziewięćdziesiąt stopni i skierował nos na zachód. Robert Hathaway odprowadził tankowiec wzrokiem; uświadomił sobie, że prawdziwymi bohaterami dzisiejszego wieczoru nie są ci, którzy obrzucą bombami kierowanymi eksperymentalny kompleks na Atakamie. Myślał o załodze stotrzydziestki: o Nortonie, Reynoldsie, Levandovskym. Trzech gości, którzy w czasie lotu nie mogą się nawet porządnie wysrać, za godzinę posadzi ociężałego herculesa na lotniskowcu. Po raz drugi w historii lotnictwa. I zrobią to – Hathaway nie miał wątpliwości. Pomyślał jednak, że nie zdziwi się, jeśli po lądowaniu Sam Norton wyjdzie z kabiny cały posiwiwały.

B-2 Spirit szybko nabierał prędkości, kierując się na południowy wschód. Do Atakamy.

W tym samym czasie, kiedy „Duch” odłączał się od turbośmigłowej cysterny, z pokładu „Ronalda Reagana”, lotniskowca Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, w powietrze wzbijały się cztery myśliwce F-22 Raptor i brały kurs na wybrzeże Chile. Był to pierwszy lot bojowy F-22 od momentu, gdy weszły one na uzbrojenie w dwa tysiące piątym roku. Pozostałe samoloty zostały usunięte, aby przygotować miejsce na przyjęcie herculesa.

Projekt NGF, po ćwierćwieczu istnienia, zbliżał się do końca.

CXX

Zdążyli dojechać. Tyle że botów za dnia nie znaleźli.

Przejechawszy przez San Pedro, Tymur i Rino długo nie mogli odnaleźć śladów, na które pięć dni temu natrafili Sam i Ndonga. W końcu natknęli się na ledwo dostrzegalne sznureczki odcisków stóp, które ciągnęły się na północ wzdłuż drogi gruntowej. Po potyczce w okolicy Puritamy boty wróciły do San Pedro, skąd, nie znalazwszy wody, ruszyły na północ, do gejzerów.

– Boty dobrze wiedziały, dokąd mają iść – zauważył Tymur.

W niektórych miejscach wyraźne ślady wskazywały, że „malcy” szli prosto, nigdzie nie zbaczając, jakby wskazywał im drogę jakiś niewidzialny przewodnik.

– A czemu cię to dziwi? – Rino zerknął na chłopaka.

– Teraz już nie, ani trochę. – Niewątpliwie botom *kazano* iść właśnie tam. I najpewniej była to sprawka Katsura, gdyż ani Jemeljanow, ani czarnoskórzy najemnicy nie znali okolicy aż tak dobrze, żeby wydawać „malcom” polecenia. – Co innego mnie zastanawia: jak twoim żołnierzom udało się tak szybko odnaleźć te ślady?

Headhunter wspomniał Sama i Ndongę, dwóch Hererów, których wysłał na poszukiwanie botów. Jego chłopcy natychmiast się kapnęli, że boty skierowały się na płaskowyż El Tatio. Wielkolud westchnął ciężko.

– Nie zapominaj, że Ndonga też się zaraził. Był jednym z czterech, którzy jechali w aucie z Jemeljanowem. Ndonga nie szukał śladów. On *prowadził* do nich.

– Dlaczego tak myślisz?

– Dlatego że Sam był czysty. Jestem pewien. Psychoistota musiała wyprowadzić terenówki ze strefy zasięgu radiostacji, żeby później zniszczyć albo zarazić Herero. Było jej na rękę, abyśmy jak najdłużej myśleli, że wszystkie boty zdechły. Można to było osiągnąć tylko w jeden sposób: pokazać Samowi ślady prowadzące w stronę El Tatio.

– Masz rację...

Droga pięła się pod górę. Po każdym stu metrach temperatura się obniżała. W czasie gdy na wysokości San Pedro nawet w środku zimy powietrze nie ma mniej niż plus pięć stopni Celsjusza, na El Tatio nocą rzadko bywa zimniej niż minus pięć czy nawet minus dziesięć.

Toyota tundra wgramoliła się na płaskowyż kwadrans przed zachodem słońca. I prawie natychmiast po tym ślady zniknęły.

El Tatio to płaski, ścięty w stronę oceanu obszar, położony na wysokości czterech tysięcy trzystu dwudziestu metrów nad poziomem morza. Ze wschodu i z północy otoczony jest łańcuchem gór. Z południa i z zachodu do El Tatio dopełza pustynia. Większą część obszaru zajmuje basen geotermalny o tej samej nazwie z setką gejzerów różnej wielkości i mocy. Gorące źródła tworzą się w efekcie zetknięcia się zamarzniętych strumieni podziemnych z rozgrzanyymi skałami. Temperatura niektórych gejzerów wynosi osiemdziesiąt pięć stopni Celsjusza, a słupy wody wyrzucane przez źródła nierzadko osiągają wysokość dziesięciu metrów.

El Tatio to podstępne miejsce. Zimno i rozrzedzone powietrze sprawiają, że nie da się tutaj żyć. Nie ma tu żadnych ludzi. Czasem przybłąkają się wigonie[123] (choć nigdy na dłużej). Największe niebezpieczeństwo dla żywych organizmów stanowi na El Tatio pumeks, który pokrywa większą część basenu. Jest dziurawy jak ser i bardzo kruchy. Jeden nieostrożny krok... i można ugotować się żywcem we wrzącym potoku płynącym kilka metrów pod powierzchnią.

Zima to najlepszy okres dla gejzerów. Wtedy to występuje optymalny spadek temperatur, który powoduje niemal nieprzerwane efektowne erupcje. Olbrzymie słupy pary raz po raz wystrzelują w niebo. Kipiąca woda ścieka po płytkich rowkach, rozpląwa się po ziemi, ochładza i już po paru chwilach przekształca się w krę. Ukośne promienie słoneczne wynurzają się ze szczelin między górami, ślizgają się nad samym płaskowyżem, odbijają się rykoszetem, nadając temu widowisku zimny i surrealistyczny wymiar.

Tymur poczuł, że ten widok go poruszył. Jeszcze nigdy nie spotkał się z czymś takim. Przed nim roztaczał się nieziemski krajobraz. Obłędnie nierealny.

– Jeszcze nie widziałem, żeby wrząca woda i lód współistniały w naturze – powiedział zdumiony.

Gruboskórny Rino Headhunter pozostawał nieczuły na surowe piękno roztaczające się za oknami pikapa. Chrząknął tylko sceptycznie.

– Znam miejsce, gdzie znajdziesz zupełnie taki sam obrazek.

– Czyli?

– W piekle, *fella*. Jeżeli nie jesteśmy w prawdziwym piekle na ziemi, bądź pewien, że dostaliśmy się przynajmniej do przedpokoju.

Klucząc pomiędzy źródłami wulkanicznymi, Rino metodycznie przeczesywał płaskowyż, szukając jakichś śladów przebywania botów. Przecinał cały obszar z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód, przy każdym kolejnym zwrocie przesuwał się w kierunku północnym. Na początku wszystko szło dobrze. Tymur i Rino czuli się bezpiecznie: mieli broń i pełen zbiornik benzyny – oswiałe boty w żaden sposób im nie zagrożą. Czas jednak mijał, a ich pewność siebie i zdecydowanie powoli gasły. Kiedy słońce zniknęło na zachodzie i z gór stoczyła się ciemność, zapal ustąpił miejsca utajonej rozpacz. Botów nie było...

– Nigdy bym nie pomyślał, że ten płaskowyż jest taki ogromny – pochmurnie mamrotał Rino.

Toyota przemieściła się o dwa kilometry w głąb basenu. Było tam więcej otworów z parującym błotem; z oddali przypominały wrzody na ciele olbrzyma, w którego żyłach zamiast krwi znajduje się płynna skała. W tej chwili co najmniej dwa dziesiątki takich otworów otaczały terenówkę.

– Musimy się stąd zabierać – powiedział Tymur i spuścił wzrok. – Ja... Ja nie chcę być tutaj nocą. – O czym myśmy myśleli, kiedy wyruszyliśmy tu przed zmrokiem?

– Chcesz przyjechać jutro rano?

Nie! Mam dość! Trzeba stąd spadać.

– Nie wiem, Rino...

– Chodź, *fella*, zrobimy jeszcze jedno okrążenie i zwijamy się.

Do diabła, Rino, spływajmy stąd! Ty tylko popatrz na to... piekło!

– Zgoda. Ale tylko jedno.

Tak gadając, Tymur i Rino jednocześnie dostrzegli Ndongę. Reflektory toyoty rozciągały cienie gejzerów. Było tak zimno, że aż zęby szczękały, a Herero stał w lichej wiatrówce i džinsach. Ale nie to było najgorsze. Ndonga *machał* ręką uniesioną nad głową. Powoli poruszał prawą dłoń z boku na bok. Tak w radzieckich filmach animowanych pionierzy zegnali samolot z sekretarzem generalnym na pokładzie. Ruchy czarnoskórego chłopaka były sztywne, fałszywe, upodabniały go do wodorostu, martwej rośliny wodnej, którą porywa prąd.

– Ndonga żyje... – Głos osiłka urwał się; zatrzymał samochód sto metrów od machającej postaci, lecz nie wyłączał silnika. – Sukinsyn. Co to znaczy, Tymurze? Jak on mógł przetrwać na płaskowyżu przez tyle dni?

Krew odpłynęła Ukraincowi z twarzy. Pobielale palce wyciągnęły się po strzelbę.

– Jak długo ten idiota będzie machał? – Headhunter wyraźnie wpadł w panikę. – Czego on chce?

– Rino, wiesz równie dobrze jak ja, że to nie jest Ndonga. – Jakaś część mózgu, która zachowywała wciąż kontrolę nad jego ciałem, zmusiła Tymura do otwarcia ust. Później nie będzie pamiętał ani jednego słowa.

Headhunter zasapał jak byk.

– Co robimy? Spadamy?

– Za późno.

– Dlaczego?

– To nie my ich, ale oni nas znaleźli. – W sumie jak zwykle. – Boty wiedzą, że tu jesteśmy.

Po tych słowach Tymur, nie pytając o pozwolenie, wyciągnął zza paska Rina nóż. Przecisnął się między fotelami i rozciął więzy na nadgarstkach trzech botów, które zostały zabrane z laboratorium i przywiezione tutaj. Do tej pory robiły sobie dobrze, co chwila aktywując stymulator.

– Po co to zrobiłeś? – zapytał szeptem osiłek.

Ndonga nie przestawał kretyńsko machać ręką.

– Boję się, że później nie będziemy mieli na to czasu. – Programista się trząsł. – Ruszaj w stronę swojego Afrykanina, ale się nie spiesz.

Rino puścił hamulec ręczny i nacisnął pedał gazu. Szczęka mu się wysunęła, błyszczące oczy były wlepione w Herera. Tymur wpatrywał się w mrok za autem.

Znienacka spod maski dał się słyszeć przeraźliwy trzask. Taki odgłos wydaje drewno, kiedy się łamie. Pikapem zatrzęsło, maska przechyliła się do dołu, a spod prawego przedniego koła w ciemność wytrysnął słup gorącej pary.

– Co za... – Headhunter zgłupiał.

– Zawracaj! – krzyknął Tymur.

Dokoła dwutonowej toyoty rozlegały się suche trzaski, ziemia łamała się niczym topniejący lód na jeziorze. Pod dużym ciśnieniem pary prawy błotnik trząsł się, wydając metaliczny dźwięk.

– Wrzucaj wsteczny! – wrzeszczał chłopak. Terenówka zakołysała się i zawisała nad rozpadliną. – Jesteśmy nad wapienną szczeliną!

Rino przełączył na wsteczny bieg, ale nie zdążył odjechać. Ciemność po lewej stronie rozświetliła się czymś na kształt burzowych błysków. I nie były to gejzery. Do uszu dobiegł szczęk mossbergów.

– Schyl się! – krzyknął.

Tymur i bez Headhuntera zorientował się, że boty otworzyły ogień ze strzelb. Ukrainiec objął głowę rękami i wcisnął ją między nogi.

Chaotyczna strzelanina wciąż trwała. Pikap chwiał się na skraju krasowej przepaści, z której, niczym z gardzieli wulkanu, wydobywała się para. Boty miały z tuzin strzelb. Grad śrutu walił w lewy bok auta. Boczna szyba pękła z łoskotem i wpadła do środka.

Headhunter trącił Tymura w biodro.

– Wyłaź!

Chłopak otworzył prawe drzwi i wypadł na ziemię, ściskając w ręku remingtona. Gorąca para oparzyła mu prawą dłoń, tak że upuścił strzelbę. Lewą w tym czasie kąsał mróz.

Rino pochylił się i mruczając coś pod nosem, wylazł za programistą.

Nagle strzelanina ustała. Napastnicy przeładowywali broń.

– Wyciągaj nasze boty – powiedział Tymur, wytrząsając szkło z włosów.

– Po co? – Rino zamrugął.

Tymur sam nie wiedział po co. Intuicja mu jednak podpowiadała, że muszą wyciągnąć z auta „malców”, których przywieźli. Otworzył więc tylne drzwiczki i pomógł Headhunterowi wywlec boty na piasek. Wszystkie trzy. Jednego za drugim.

Przerwa w kanonadzie podejrzenie się przeciągała. Minęło dwa razy więcej czasu, niż na ogół potrzeba do przeładowania mossberga, lecz boty nie otworzyły ponownie ognia. Tymur podniósł strzelbę i wyprostował się, łowiąc każdy dźwięk dobiegający z przeciwległej strony auta.

– A gdzie są granaty? – przypomniał nagle chłopak.

Rino przebiegł palcami po kieszeniach.

– Niech to szlag! Zapomniałem, w kabinie!

Tymur rzucił się do wciąż jeszcze otwartych przednich drzwi i zajrzał do środka. Silnik był wyłączony i w aucie panował mrok. Programista wysunął się z toyoty i zwrócił głowę w stronę Rina.

– A dokładnie gdzie? Kurwa, nic nie widzę!

– Ee... nie... nie pamiętam. – Najemnik siedział na ziemi, opierając się ramieniem o maskę terenówki. – Stary, one są gdzieś... no... Do diabła, nie wiem! – Za nim w rządku ustawiły się boty. Cztery. Ich białe ciała wyraźnie wyodrębniały się z ciemności.

Tymur już miał wleźć do auta i poszukać tych granatów, kiedy nagle coś zazgrzytało u niego w głowie. Omal nie połknął języka z wrażenia.

Cztery boty?!

Chłopak ruszył do przodu, wlepiając wzrok w białe sylwetki za plecami Rina. Migiem je przeliczył. Przez sekundę stał oszołomiony, a potem zrozumiał: przecież one wszystkie są takie same! Czwarty jest obcy!!

– Rino, za tobą! Z tyłu!

Ale było już za późno. Z ciemności, zza czterech chłopięcych postaci, wyłoniło się kilka par rąk. Trójka otumanionych botów laboratoryjnych sterczała w miejscu, za to te, co nadeszły, złapały Rina za nogi, powaliły go twarzą do ziemi i wciągnęły w mrok. Wielkolud zaryczał, lecz w jego głosie nie było słychać złości. Ani trochę. Rino Headhunter po raz drugi w życiu śmiertelnie się przeraził.

Tymur bez zastanowienia nacisnął spust. Remington wystrzelił śrut w ciemności. Jeden z trzech oszołomionych botów poleciał w dół. Rino wciąż

krzyczał. Jakimś cudem chłopak go nie zastrzelił. Ale ze mnie kretyn! – tylko tyle zdążył pomyśleć programista, kiedy za jego plecami, hurkocząc, wytrysnął nowo utworzony gejzer. Chłopak zmrużył oczy i rzucił się do przodu. Zapach siarki drażnił go w nos. Plecy przypiekał ogień. Jeden z napastników wykorzystał tę sytuację, niczym duch wyłonił się z mroku i z boku rzucił się na Tymura. Trzy razy trzasnął nim o pikap, wybijając mu z dłoni strzelbę. Chwilę później nadbiegły pozostałe potwory. Powaliły chłopaka na ziemię, chwyciły go za nogi i odciągnęły od auta.

Mniej więcej w tym samym czasie Rino Headhunter ucichł...

Ukrainiec miał wolne ręce, ale boty ruszały się tak szybko, że nie mógł się podnieść. Raz po raz uderzał twarzą o podłoże. Drobne kamyki, piasek i pumeks bezlitośnie raniły mu twarz.

Ile czasu go ciągnęły jak sieć rybacką, nie miał pojęcia. Czasami tracił przytomność i odzyskiwał ją tylko wtedy, gdy jego głowa natrafiała na wyjątkowo okazały kamień. Docierało do niego jedynie to, że boty niosły go w góry.

Nagle, podczas jednego z takich przebudzeń, programista zorientował się, że „malcy” się zatrzymali. Leżał w przestronnej pieczarze. Przy wejściu płonęło kilka ognisk, w głębi śmierdziało nieczystościami. Został zrzucony na chłodną ziemię. Obok zadudniło cielsko Headhuntera. Rino jęknął. Ukrainiec przekręcił głowę, żeby sprawdzić, co z jego towarzyszem, i w tym momencie zwymiotował, ledwo mu się udało nie zachłysnąć. Pomiędzy nim a Headhunterem leżały resztki Sama: głowa zgniła do połowy i górna część torsu, z której, jak ogon dinozaura, sterczał biały kręgosłup. Nieco dalej, przy ognisku rozpalonym przez boty, wały się obgryzione żebra i kości ramion – wszystko, co zostało się po nieszczęsnym Hererem.

Tymur jęknął i stracił przytomność.

CXXI

Poniedziałek, 31 sierpnia, 23.00 (UTC -4)
Wybrzeże Pacyfiku
Chile

Myśliwce F-22 wtargnęły w przestrzeń powietrzną Chile niemal jednocześnie z B-2. Zbliżywszy się do wybrzeża wzdłuż równoleżnika na szerokości geograficznej stacji postojowej San Marcos, samoloty zmniejszyły prędkość poniżej naddźwiękowej i leciały prawie nad samą ziemią. Dalej kierowały się na południowy wschód, manewrując na wysokości osiemdziesięciu metrów nad powierzchnią pustyni. Niewykrywalny bombowiec leciał z tyłu, trzymając się znacznie wyżej – aż na jedenastu tysiącach dziewięciuset metrach.

Piloci myśliwców i major Hathaway nie wymieniali żadnych informacji. Każdy z nich doskonale wiedział, co robić. Rozmowy były zbędne.

F-22 pierwsze przybyły do celu. Ich zadanie polegało na skrupulatnym sprawdzeniu terenu wokół ośrodka badawczego. Doskonałe systemy wyszukiwania oraz identyfikacji celu miały im pomóc w zlokalizowaniu i zlikwidowaniu tych uczestników projektu NGF, którzy z jakichś przyczyn mogliby się znajdować poza granicami kompleksu w czasie zrzucania bomb. Instrukcje sporządzone przez generała dywizji Klotza zakładały zniszczenie nie tylko żywych obiektów, ale również aparatury pozostawionej poza obrębem NGF-Lab.

Po zakończeniu pierwszego etapu raptory wyruszą na patrol wokół laboratorium z rozkazem zestrzelenia każdego samolotu, który przelatywałby przez obszar bombardowania, nieważne, wojskowego czy cywilnego. W tym czasie B-2 Spirit obniży lot do wysokości trzydziestu trzech tysięcy stóp (dziesięciu tysięcy pięćdziesięciu ośmiu metrów) i wyrzuci z komór bombowych szesnaście kierowanych bomb JDAM[124], z których każda waży dwa tysiące funtów (dziewięćset siedem kilogramów). Pięć z nich jest zaprogramowanych na zniszczenie budynków mieszkalnych, cztery mają uderzyć w drugi blok inżynierski, po trzy uderzą w bloki EN-1 i EN-3, jedna spadnie na magazyn. Podczas całej akcji B-2 pozostanie w oddaleniu od obiektu. Bomby zostaną zrzucone z odległości dwudziestu sześciu kilometrów, a następnie odszukają swoje cele zgodnie z wytyczonymi współrzędnymi.

Robert Hathaway zajął fotel dowódcy. Po jego lewej stronie siedział kapitan Jeremy Ruah, który był odpowiedzialny za to, aby bombowiec we właściwym momencie osiągnął pożądaną wysokość. Na wszelki wypadek major sprawdził, czy dla każdego pocisku współrzędne globalne zostały właściwie wprowadzone. Gdy przekonał się, że wszystko jest w porządku,

pozostało mu tylko czekać, żeby nacisnąć właściwy przycisk we właściwym momencie. I tyle. Nic więcej. Żadnego bohaterstwa.

Hathaway spojrział na ekran z mapą, na której wyświetlało się aktualne położenie samolotu. Do wyjścia na pozycję uderzeniową pozostało dwieście kilometrów. Przy obecnej prędkości – mniej niż kwadrans.

CXXII

Poniedziałek, 31 sierpnia, 23.16 (UTC -4)
Kompleks badawczy NGF-Lab

Allan i Laura siedzieli beczynn timer w pomieszczeniu łączności, czekając, aż połączą się z nimi Rino Headhunter i Tymur Korszak.

Minęło ponad pięć godzin, odkąd Ukrainiec i Południowoafrykanin wyruszyli na El Tatio. Trzy godziny temu łączność się przerwała: terenówka wydostała się z obszaru zasięgu radiostacji. Laura nie mogła sobie znaleźć miejsca – tak się denerwowała. Allan drzemał, przyłożywszy policzek do czarnej lufy remingtona (nie wiedzieli, że Ralf już nie żyje, dlatego wciąż obawiali się, że nadejdzie).

– Dlaczego się nie odzywają? – Dupré nerwowo wystukiwała nogą rytm na podłodze.

Amerykanin przetarł oczy, żeby pozbyć się resztek snu.

– Nie mam pojęcia – wymamrotał. Jego słowa zabrzmiały niewyraźnie, coś jakby „e-a-o-ę-a”. Końska dawka środków przeciwbólowych podziałała na niego odurzająco. Bardzo chciało mu się spać, jak staremu świstakowi późną jesienią. Inżynier zebrał się w sobie i powtórzył, tym razem wyraźniej: – Nie mam pojęcia. Może jeszcze nie znaleźli botów.

– Jak myślisz, będą ich szukać całą noc?

– Nie. Zatrzymają się na odpoczynek pośrodku pustyni, rozpalą ognisko i będą śpiewać piosenki przy dźwiękach gitary.

– Poważnie pytam – odparła pani psychiatra obrażonym tonem.

– A skąd mogę wiedzieć? – Allan zamachał ręką i zamknął oczy, mocniej ściskając broń.

Dziewczyna obróciła się do nadajnika, ściskając palcami dolną wargę. Nie potrafiła jednak usiedzieć spokojnie nawet przez sekundę.

– A co, jeśli botów nie ma na El Tatio? – zadała kolejne pytanie.

– Lauro, woda jest tylko w pobliżu gejzerów. Jeśli botów nie ma na El Tatio, oznacza to, że są już dawno w Boliwii, a to już nie jest nasz problem.

Dupré zastanawiała się dalej. Kolejna myśl przeraziła ją nie na żarty.

– Jak to nie jest nasz problem? – sprzeciwiła się. – A może one są gdzieś tu, obok kompleksu, i szykują się do ataku na nas?

Amerykanin po raz drugi zamachał ręką, jakby odganiał się od natrętnej muchy. Tym razem jednak nie otworzył oczu i nic nie odpowiedział.

Istniało kilka przyczyn takiego nerwowego zachowania Laury. Koncepcja z posłużeniem się ośrodkiem przyjemności botów i potraktowaniem go jako ich pięty achillesowej okazała się słuszna. Świetnie. Sęk jednak w tym, że pani doktor tak naprawdę nie miała pojęcia, *dlaczego* to zadziało. Dziewczyna miała wątpliwości, czy uda się to z botami, które od miesiąca szwendały się samopas. Bała się, że wyjdzie na odwrót: uciekinierzy nie uruchomią programu. A jeżeli nawet uruchomią, to za późno...

Rozmyślania Dupré przerwał niewyraźny hurkot. W pierwszej chwili Laura wzięła to za skrzywienie głośnika radiostacji. Rzuciła się więc do nadajnika, szybko jednak się zorientowała, że ta wciąż pozostaje głucha. Następnie dziewczyna poczuła pod nogami nieprzyjemną wibrację o wysokiej częstotliwości – krzesło zaczęło delikatnie drżeć. Laura poruszyła głową i obejrzała się. Drżała nie tylko podłoga, ale i ściany, okna, meble. Francuzka zdążyła pomyśleć o trzęsieniu ziemi, kiedy dźwięk zaczął narastać z niewiarygodnym impetem.

– Co to za kurewstwo? – Greenlon otworzył oczy. – Lauro...

Słowa Amerykanina utonęły w zabójczym łomocie. Można było odnieść wrażenie, że z lewej strony, za blokami inżynieryjnymi, rozpoczęła się erupcja Krakatau.

– Do diabła! – zaklął Allan. Natychmiast rozpoznał ten dźwięk, poznałby go nawet we śnie. – To niemożliwe... Raptory!

– Co? – Laura niczego nie słyszała.

– Przysłali tu myśliwce!

Ryk zbliżony do dźwięku bębna przetoczył się po budynku i szybko ucichł. Ściany bloku przestały skrzypieć. Jeszcze przez parę sekund ze wschodu dolatywał jakiś łoskot, podobny do lawiny śnieżnej w górach, po czym zapadła cisza.

– Pomóż mi – poprosił Greenlon. Był blady i przerażony. Przypływ adrenaliny zagłuszył narkotyczne działanie leków przeciwbólowych.

– Allan, nie rozumiem, co to...

– Lauro, lepiej nic już nie mów! Chodź, pomóż mi się przytrzymać. – Inżynier próbował się podnieść; w miarę jak rozjaśniało mu się w głowie, powracał ból w kolanie. – Musimy wyjść na zewnątrz.

Dupré podała Amerykaninowi ramię. Ten złapał ją za szyję, a drugą ręką wsparł się na remingtonie. Kuśtykając, noga za nogą, zeszli na parter, otworzyli główne drzwi i wyszli na placyk przed blokiem mieszkalnym.

Nad ich głowami sennie migotały gwiazdy. Twarze owiewał suchy przyjemny wietrzyk. Panowała absolutna cisza. Allan miał wrażenie, że ryk silników odrzutowych tylko mu się przyśnił. Zdawało się niewiarygodne, żeby pustynia mogła pozwolić na to, aby taki łomot nawiedził odwiecznie milczące przestrzenie. Gdyby nie Laura, Amerykanin byłby niemal uwierzył, że doświadczył halucynacji słuchowej.

– Przylecieli po nas? – Pytanie zabrzmiało niezgrabnie, tak jak tekst z jakiegoś niskobudżetowego serialu o UFO. Dupré prześlizgnęła się spojrzeniem po gwiazdach i zadała następne pytanie: – Allanie, oni nas uratują?

Greenlon oprzytomniał. Laura też to słyszała. Czyli ten ryk nie był żadną halucynacją. Nad kompleksem rzeczywiście przemknęły F-22.

– To były F-22, nasze pieprzone raptory, gotów jestem przysiąc. – Amerykanin zadarł głowę; strach zagłębiał zimne palce w jego wnętrznościach. – Lauro... Lauro... Gdyby mieli zamiar nas uratować, to przysłałiby helikoptery. Czy sądzisz, że amerykańscy inżynierowie mogliby nazwać raptorem latający sprzęt przeznaczony do akcji ratunkowych?

Allan opuścił głowę i zaczął nasłuchiwać. Nie było sensu wytrzeszczać oczu ani odchyłać głowy do tyłu – nocą nie sposób dostrzec raptora. Nagle Amerykaninowi wydało się, że słyszy warkot turbin na południowym zachodzie. Nie mógł jednak stwierdzić nic na pewno (choć to w istocie był jeden z F-22, które krążyły nad słońcą pustynią[125]).

Każdy samolot ma własny, charakterystyczny dźwięk. To jak głos albo odcisk palca u człowieka. Niepowtarzalny. Każdy, kto interesuje się lotnictwem, bez trudu odróżni miarowy łomot airbusa A320 od przenikliwego świstu Tu-154, ogłuszające charczenie F-16 Strike Eagle od ryku Su-27 i tak dalej. Greenlon nie miał wątpliwości, że słyszał właśnie F-22. I to go niepokoiło. Co mogą zrobić myśliwce, bodaj najlepsze na świecie, z tak solidnym kompleksem, w połowie schowanym pod ziemią? Nie są przecież w stanie przywlec ze sobą tyle materiału wybuchowego, żeby ten kompleks zniszczyć. Poza tym Amerykanin nie wierzył, że Pentagon zdecyduje się zbombardować terytorium Chile. To było po prostu niemożliwe! Chyba że...

– B-2 – wyszeptał Allan. Przygryzł nerwowo wargę.

– Co?

Greenlon puścił ramię Laury. Czyżby to był B-2? Ten ptaszek nie dość, że zdoła donieść do Atakamy wystarczającą ilość wybuchowych prezentów, to jeszcze robi to *potajemnie* – prześlizgnie się niezauważenie. Jeżeli to prawda, jeżeli na niebie nad Atakamą wisi teraz B-2 Spirit, to za jakieś pół godziny tym, co po nich zostanie, będzie można posmarować kanapki.

– Za chwilę rozpęta się tu piekło – wyszeptał inżynier. Mimo ciemności Laura dostrzegła, jak zbladł. – Musimy odejść jak najdalej w pustynię.

Za późno. Pięć sekund później pierwsza bomba rąbnęła w blok EN-1. Słup ognia wzbił się na kilka metrów w górę. Ściany budowli EN-2 i EN-3 ochroniły mężczyznę i kobietę przed falą uderzeniową, mimo to Laura i tak nie utrzymała się na nogach.

– Aaa... – Francuzka, machnąwszy rękami, opadła na czworaka.

Druga bomba spadła na budynek magazynu. Wybuch miał miejsce dokładnie za plecami Allana i Laury. Fala uderzeniowa odrzuciła ich od siebie.

Gorące powietrze uniosło dziewczynę i rzuciło nią o ogrodzenie. Dupré uniknęła porażenia prądem tylko dzięki temu, że sekundę wcześniej ta sama fala zerwała kable naprzeciwko miejsca, gdzie jeszcze chwilę wcześniej wznosił się wysoki budynek magazynu. Laura przeleciała przez ogrodzenie i jak wór zwała się do płytkiego zagłębienia w ziemi. Upadając, zwichnęła ramię i krzyknęła z bólu.

Greenlona fala rzuciła na piasek niedaleko miejsca, w którym stał.

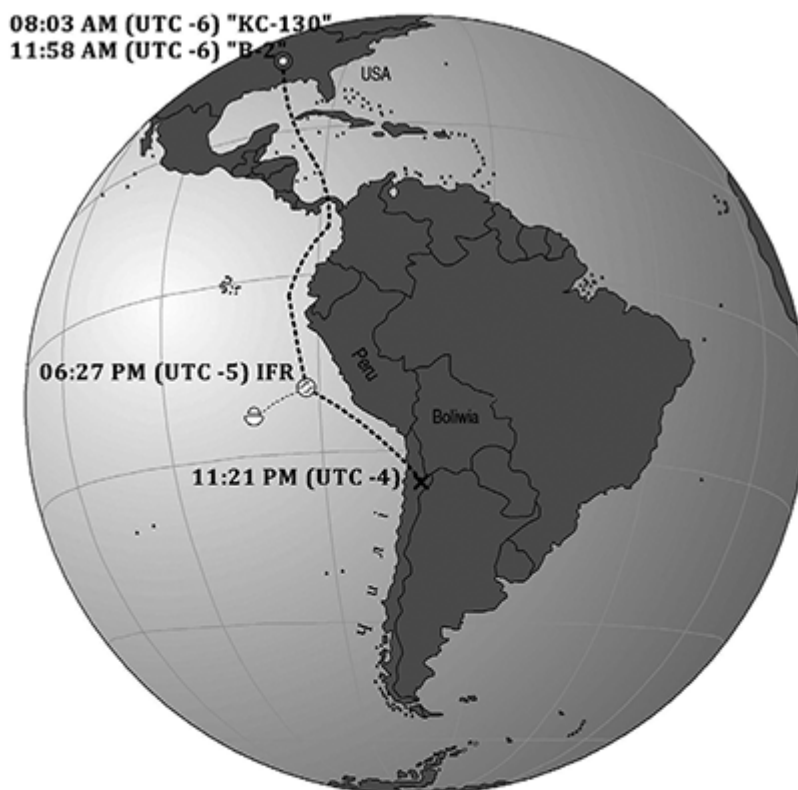
Kolejne trzy bomby JDAM jednocześnie trafiły w budynek DW. Wnętrznosci bloku mieszkalnego przekształciły się w rozżarzoną kulę ognia, której żelazobeton nie potrafił powstrzymać. Olbrzymi kawał wzmocnionej ściany oddzielił się od przedniej części budowli i wzleciał wysoko w powietrze. Allan tego nie widział. W tym czasie, pełząc, oddalał się jak najszybciej od piekielnego żaru, który już lizał mu stopy (kilka metrów za nim piasek zmieniał się w szkło) i kierował się do zagłębienia za ogrodzeniem. Bryła naruszona przez wybuch wznosiła się nad plecami Amerykanina.

Inżynierowi nie było dane poznać przyczyny własnej śmierci. Płaski betonowy blok o powierzchni prawie dwudziestu metrów kwadratowych runął z nieba, rozcierając Allana na proch. Był człowiek, a tu – łup! – i człowieka nie ma. Pozostało po nim mokre miejsce, cienka warstwa materiału, mięśni i krwi, przyciśnięta do piasku dziesiątkami ton żelazobetonu. Proroctwo Allana Greenlona sprawdziło się: ogromnie ciężki kawał ściany rozpląszczył go na ziemi do takiego stopnia, że inżynier mógł obecnie służyć wyłącznie jako smarowidło na kanapki.

Kolejne bomby sypały się jedna za drugą. Dudnienie eksplozji złało się w nieprzerwaną kanonadę. Dokoła płonął piasek, powietrze było rozżarzone. Czarne niebo tonęło w krwawym ogniu.

Laura leżała za ogrodzeniem z głową nakrytą ramionami i krzyczała. Jej skóra trzeszczała i wysychała w oczach. Ziemia rozstępowała się pod brzuchem. Kiedy hałas stał się nie do wytrzymania, mózg Francuzki po prostu się wyłączył. Dziewczyna cudem ocalała, straciła jednak kontakt z rzeczywistością. Nie widziała, jak fragment ściany w kształcie litery L, niczym oderwana od podłoża i gnana wiatrem kępa trawy, przetoczył się od trzeciego bloku inżynierskiego do rowu i zawisł nad nią jak daszek, osłaniając ją przed innymi kawałkami ścian. Z góry spadały kolejne betonowe bloki, dokładnie zasypując kryjówkę Dupré. Gdyby nie one, spłonęłyby żywcem.

Niecałe dziesięć minut później laboratorium znów ustąpiło miejsca pustyni.



Schemat operacji „Antybot”

- ⊙ baza lotnicza Whiteman
- ⊕ lokalizacja lotniskowa CVN-76 „Ronald Reagan”
- ⊗ miejsce tankowania w powietrzu (IFR, in-flight refueling)
- trasa lotu B-2 Spirit
- trasa lotu KC-130 Hercules po tankowaniu
- × kompleks (NGF-Lab)

CXXIII

Poniedziałek, 31 sierpnia, 23.31 (UTC -4)
 Płaskowyż El Tatio

Tymur oprzytomniał, kiedy bębenki w jego uszach zadrżały od wrzasku. Leżał na brzuchu. Poruszył się, gdy poczuł, że jego ręce związane są za plecami czymś grubym i śliskim. W dodatku niezbyt mocno. Gdyby się postarał, mógłby się uwolnić.

Krzyk czasem zamierał, ale po chwili zrywał się z nową siłą. Dopiero po minucie programista zorientował się, że to Headhunter. Głos wielkoluda zmienił się nie do poznania.

Tymur oderwał policzek od chłodnej ziemi i popatrzył nad lewym ramieniem. Osilka przeciągnięto na środek pieczary i ułożono brzuchem do góry. Cztery boty przytrzymały jego ręce i nogi kijkami zakończonymi rozwidleniem w kształcie litery V. Piąty przystawił taki sam rozdwojony kijek do szyi Headhuntera; przyciskał teraz do ziemi jego głowę. Rino był nagi. Po obu stronach jego ciała płonęły ogniska. Za nim siedziały w kręgu pozostałe boty.

Widok ten przywodził na myśl ilustrację do *Wodza czerwonoskórych*, słynnego opowiadania O. Henry'ego[126].

Tymur zobaczył dwóch „malców”, którym aktywowano stymulatory ośrodka przyjemności. Były bardziej czyste od pozostałych. Te boty miały rozpowszechnić stymulator pośród swoich towarzyszy, lecz... nic takiego nie zaszło.

Przed uruchomieniem procedury należało ją skopiować. I tu pojawił się problem. Boty, które włączyły się po pustyni, miały w głowach znacznie bardziej skomplikowany kod. Ich makra nakładały się na siebie wzajemnie i często zawierały sprzeczne informacje. Z tego powodu sprawdzenie kodu, który nadszedł z zewnątrz, zajmowało więcej czasu. Głowy tych chłopaków działały jak komputery, których pamięć operacyjna była zapełniona setką nieaktywnych programów. Innymi słowy mogło nie dojść do skopiowania nawet wtedy, gdy kompilacja była prawidłowa.

Oczywiście ani Rino, ani Tymur nie mogli tego wiedzieć.

Trzech „malców” uwijało się między tymi, którzy podtrzymywali najemnika. Cała trójka ścisnęła w dłoniach polana. Przerazająco zgrzytając zębami, boty wkładały polana do ognia, a następnie wyciągały je i dźgały nimi Headhuntera. Rino cierpiał długo, lecz wszystko ma swoje granice. Kiedy jego ciało pokryło się już dziesiątkami ran, mężczyzna odrzucił całą swoją godność i zaczął się wydierać. A gdy zaczął, nie mógł już przestać. Bolesne oparzenia pokrywały jego ręce, biodra, pierś i brzuch.

Twarze botów przez cały czas zachowywały kamienny wyraz, chociaż Tymur był gotów przysiąc, że w ich wyłupiastych oczach dostrzega złośliwą satysfakcję.

Nagle, niespodziewanie, tortury ustały. Rino zaczerpnął tchu i zamarł. Dwa boty rzuciły w płomień swoje szczapy i dołączyły do grona obserwatorów. Jeden z nich został. Długo trzymał w ogniu zwęglone polano, po czym ukucnął przy głowie Headhuntera. Chwyciwszy olbrzyma za podbródek, powoli, jakby z wahaniem, przybliżał do niego tłącą się szczapę. Rozżarzony do czerwoności koniec polana przysuwał się do maleńkiego oka mięśniaka. Rino, sapiąc, spróbował się przekręcić.

Tymur odwrócił się i wciskając czoło w ziemię, zawył:

– Padalce! Sukinsyny! Wyrodki! – krzyczał po ukraińsku. Chłopak nie zamierzał ratować Rina. Uświadomił sobie po prostu, że niedługo czekają go takie same, jeśli nie gorsze, tortury.

Dla jego towarzysza nieznana słowiańska gadka okazała się wybawieniem. Boty skierowały swoją uwagę na Ukraińca i przyskoczyły do niego. Rozgrzane polano dotknęło policzka przerażonego wielkoluda, omijając oko.

Boty zdenerwowały się, widząc, że Tymur doszedł do siebie. Kilka stworów poderwało się i przeciągnęło chłopaka bliżej ognisk. „Malcy” położyli programistę na plecy i otoczyli go. Ten rozejrzał się, szczękając zębami w rytm uderzeń oszalałego serca. Nic nie widział przez szczelną palisadę brudnych bosych nóg. Błyskały nad nim dziesiątki par wytrzeszczonych czarnych oczu. Błękit ich źrenic wyblakł. Oczy botów przypominały teraz szklane kulki, w których wirowała gęsta czerń, podobna do nafty.

Chłopaka paraliżował strach. Nie miał siły krzyczeć. Myślał tylko o jednym – że są to jego ostatnie chwile. Wkrótce umrze. I będzie umierał wolno i w męczarniach. Tylko pomyśleć: co za absurd! Zginać z rąk dwunastoletnich smarkaczy, którymi kieruje jakaś zjawa, będąca na poziomie rozwoju niemowlaka.

Przez zbitą gromadę botów przecisnął się jeden z „malców”. Tymur zerknął na niego, opuścił głowę i zaczął wrzeszczeć. Chłopak wrzeszczał głośniej niż Rino. Miał ku temu powody, gdyż bot, który zatrzymał się obok niego, ścisnął w dłoni próbówkę z ciemną srebrzystą cieczą.

– Nie... nie trzeba... nie trzeba, proszę... – opierał się Ukrainiec. Kilka botów przyskoczyło do niego i przycisnęło go do ubitej ziemi. – Zabijcie! Po prostu mnie zabijcie!

„Malec” uniósł szklaną rurkę z roztworem i zbliżył ją do twarzy Tymura.

– Neeeeee! – Ukrainiec zacisnął zęby i zamknął oczy. Wiedział, że to nic nie pomoże, ale nie był w stanie zrobić nic innego. Nie chciał patrzeć, jak roztwór wgryza mu się w twarz.

Nagle rozległo się głucho uderzenie.

Tymur otworzył jedno oko. Akurat w tym momencie nad chmurą „malców”, która otaczała go szczelnym kołem, przemknął jeden bot. Tuż za nim powietrze w pieczarze rozerwał strumień dźwięków przypominających szczekanie psa. Boty się rozstały. W szczelinie, jaka się utworzyła, Ukrainiec dostrzegł Headhuntera. Wielkolud zdołał się uwolnić. Cisnął jednym botem aż pod przeciwległą ścianę, drugiego odepchnął nogą, a trzeciemu włożył twarz w ognisko, przez co ten zaczął prychać jak zwierzę.

Kilkunastu chłopaczków rzuciło się na Rina, przesłaniając Tymurowi widok na włochaty, jak u małpy, tyłek Południowoafrykanina. Chłopak wygiął się, resztkami sił starając się uniknąć szarej cieczy, która za chwilę mogła połączyć się na niego z przechylonej probówki. Na moment reszta Wszechświata przestała istnieć. Tymur nie słyszał, jak walczy Headhunter. Nie czuł zapachu palonej skóry. Widział tylko chłopca, który zastygł nad nim z roztworem nanoagentów. W wytrzeszczonych oczach odbijał się blask ognisk. I wtedy... mętna czerń nagle została wchłonięta, a wzrok „malca” stał się pusty. Bot zarechotał głupekowato.

– Hihih, hihih, hi, hi!

Po czym wypuścił probówkę z rąk.

Tymur tak się wygiął, że aż chrupnęło mu w kręgosłupie. Mięśnie się naprężyły, wypełniając się stalą, a pęta, które ścisnęły jego ręce, w końcu się rozerwały. Chłopak odepchnął się od ziemi. Szklana rurka rozbiła się o kamień centymetr od jego pleców. Programista skoczył na równe nogi i natychmiast rzucił się w bok, patrząc z przerażeniem, jak po ziemi, dokładnie w tym miejscu, gdzie leżał jeszcze przed chwilą, rozchodzą się ciemne strumyczki, w których roi się od miliardów mikroskopijnych robotów.

– Hihih, hihih, hi, hi! Hahaha, haha, ha, ha! – rechotał „malec”. Wymachując rękami jak szmaciana lalka, skierował się do wyjścia z jaskini.

Drugi bot, obok którego zatrzymał się Tymur, wydał wargi jak dziecko i wydobył z siebie coś na kształt „prrr”, po czym wysunął język i... uśmiechnął się. Też spróbował odejść, ale najwyraźniej zakręciło mu się

w głowie i padł na ziemię, jakby był pijany. Przyciskając kolana do piersi, „malec” zamlaskał i znieruchomiał.

Programiście ulżyło. Stymulator w końcu się przebił!

Boty rozchodziły się, sapiąc, mlaszcząc, niezgrabnie się potracając i depcząc sobie wzajemnie po nogach. Rino młócił kilku chłopaczków; nie zauważył, że nagle przestali się opierać.

– Rino, dosyć. – Tymur uniósł rękę.

Headhunter roztaczał wokół siebie woń przypieczonej gęsi. Przez liczne oparzenia wyglądał teraz jak gepard – pokrywały go plamki.

– Co jest? – ocknął się.

– Wszystko skończone... Boty aktywowały stymulator...

Najemnik przeniósł wzrok na tego, który leżał w pobliżu jego nóg, w ognisku, nie robił jednak nic, by się ratować. Język poruszał się w otwartych ustach „malca”, a ogień bezlitośnie smażył jego wnętrzności.

– Skończone? – Rino przypominał teraz nierozgarniętego wieśniaka, który wygrał milion na loterii.

– Tak. Pora się zwijać. Zwyciężyliśmy.

Headhunter przenosił pełen niedowierzania, otepiały wzrok z jednego bota na kolejnego. W pewnym momencie dotarło do niego, że jest nagi. Wyprostował się i migiem zaczął naciągać na siebie resztki odzieży.

Tymur tupał w miejscu obok wyjścia z groty. Przyglądał się botom, które przywodziły na myśl ślepe białe robaki.

Rino pozbierał porozrzucone po całej jaskini strzelby i przytaszczył je w pobliże Ukraińca.

– Trzymaj – powiedział, wręczając mu jednego mossberga.

Chłopak posłusznie przyjął broń i odwrócił się, żeby ruszyć do wyjścia, lecz Headhunter złapał go za ramię.

– Nie, *fella*, poczekaj. – Wielkolud siłą odwrócił Tymura twarzą do groty. – To jeszcze nie koniec.

Ogniska się dopalały. W rogach pieczary gęstniał mrok.

– O co ci chodzi? – Programista spojrzał na niego spode łba.

– Trzeba ich dobić.

– Ale ja myślę...

– Nie myśl. Patrz na mnie i rób to co ja.

Jeszcze wiele lat później Tymura będzie mdlić na samo wspomnienie Chile i Atakamy. Poty będą go oblewać, gdy pomyśli o napaści nieopodal Puritamy, o zabiciu Tiany Emerson czy walce z Katsurem Takedą. Najbardziej jednak dręczyć będą jego duszę wspomnienia kilku ostatnich chwil spędzonych w jaskini botów. Przez dziesięć minut razem z Rinem Headhunterem rozstrzelali bezbronnych chłopaczków, rozwalając im głowy. Boty umierały jeden za drugim, lecz mężczyźni strzelali dopóty, dopóki w ostatnim mossbergu nie zabrakło nabożów. Kiedy ucichł odgłos ostatniego strzału, grota przypomniła ubojnię bydła. Zgraja dwunastoletnich chłopców przestała istnieć. Brudne boty przemieniły się w kupki poćwiartowanego mięsa...

Tymur i Rino w milczeniu zeszli do El Tatio. Pomimo panującego mroku bez trudu odnaleźli płaskowyż – syczenie gejzerów i zapach siarki wskazywały drogę.

Po dziesięciu minutach znaleźli porzucony pikap. Lewy bok toyoty przypominał durszlak albo tarkę do jarzyn. Po szybie w lewych przednich drzwiach nie zostało śladu. Na szczęście silnik był nietknięty. Rino ostrożnie odjechał autem od krawędzi szczeliny wapiennej, z której wciąż buchała para, i dopiero wtedy pozwolił Tymurowi wsiąść.

Bez słowa skierowali się na północ. El Tatio było już daleko w tyle, kiedy programista pierwszy przerwał milczenie:

– Trzeba było ich policzyć...

– Po co? Przecież są martwi.

Tymur wzruszył ramionami i skulił się, chowając dłonie w rękawy bluzy. Zimny wiatr hulał po kabinie.

– Nie wiem. Jesteś pewien, że wszyscy? A co, jeśli... no... któryś z nich został poza obszarem El Tatio?

– Już nie wymyślaj. – Rino zmarszczył nos. – Boty zawsze przemieszczały się razem.

Ale Tymur nie wymyślał. I wciąż nie dawała mu spokoju pewna historia. Na drugi dzień po przyjeździe do NGF-Lab Ralf Doernberg prowadził wstępny wykład. Kanadyjczyk wygadał się, że jeden bot zaginął. Potrąciła go ciężarówka na wjeździe do miasta Calama. Po wypadku jeszcze żywy „malec” został dostarczony do miejscowego szpitala, gdzie zapobiegliwi chilijscy medycy zapchali go do tomografu i zrobili mu rezonans magnetyczny. Pod

wpływem pola magnetycznego głowa bota została zmiksowana nie gorzej, niż gdyby użyć do tego celu blendera. Ze zrozumiałych względów historia dotycząca makabrycznej śmierci białego młodzika, znalezionej na pustyni, nabrała rozgłosu. Usłyszał ją między innymi wynajęty przez Japę szpieg i wszystko mu powtórzył.

Ukrainiec zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście wszystkie boty trzymały się razem podczas ucieczki. A jeśli bot, który trafił pod koła, nie był sam, a jeśli gdzieś w pobliżu wałęsała się reszta zgrai, to dlaczego pozwoliły zabrać swojego nadal żywego kompana...? I wtedy myśli Tymura popłynęły niezbyt przyjemnym torem. Niewykluczone, że ten chłopiec pętał się po pustyni sam. Wówczas logiczne byłoby przypuszczenie, że takich jak on było więcej. Kiedy boty wydostały się na wolność, znalazły się w niezwykle stresującej sytuacji. Szybko się uczyły, jednak początkowo miały za małą wiedzę, żeby przeciwstawiać się wezwaniom pustyni. Kto zagwarantuje, że na samym początku nie było takich, które oddzieliły się od reszty? Które dalej ewoluowały już samodzielnie i które... mogły się udać dokądkolwiek... Pośrodku Atakamy dużo trudniej było im przeżyć, mimo to...

Tymur ukradkiem zerknął na Headhuntera. Wielkolud, trzymając ręce na kierownicy, w zamyśleniu patrzył na słabo oświetloną drogę. Wyglądał na zmęczonego starego człowieka. Ostatnie dziesięć dni na Atakamie zabrało mu co najmniej dziesięć lat życia. Chłopak pokiwał głową, mocniej splatając ręce na piersi. Nie odezwał się ani słowem.

CXXIV

Pod koniec miesiąca lokalne władze na północy Chile zawiadomiły wreszcie o zniknięciu setek osób. W regionie Antofagasta rozpoczęły się masowe aresztowania. Pierwsi za kratkami znaleźli się członkowie bandyckiego ugrupowania Makaka. Gliniarze zamykali wszystkich po kolei, włącznie z tymi, którzy przeczuwając koniec małego Jamiego, tymczasowo wycofali się z interesu.

Sam Makak się uratował. W poniedziałek wieczorem, trzydziestego pierwszego sierpnia, na godzinę przed rozpoczęciem fali aresztowań, oddany

informator – Miguel, wybitny mędrzec i filozof – uprzedził go o obławie. Był to ten bezdomny, który udawał niemowę.

Makak wiedział, że wcześniej czy później tak to się zakończy, dlatego miał szczegółowy plan działania na taką okoliczność. Mikrus działał z prędkością błyskawicy. Najpierw – w celach konspiracyjnych – włożył błyszczący kask motocyklisty, potem zgromadził wszystko, co niezbędne: paczkę papierowych serwetek, zapasową parę skarpet, środki przeczyszczające i wierne magnum, po czym wskoczył na stareńki motorower i zwiął ze swojego domu.

Początkowo, zacierając ślady, udał się na północ, i bez problemu wydostał się z Tocopilli. Na dwukołowej pyrkawce, w ciemnościach i w kasku maleńki człowiek przypominał nastolatka, który spiesznie wraca do domu. Nikt nie rozpoznał w nim groźnego mafiosa, którego poszukuje cała regionalna policja. Wkrótce potem Jamie skręcił na pustynię, objechał od wschodu Tocopillę, wrócił do Panamericany i pomknął na południe. Dwadzieścia kilometrów na południe od Tocopilli, niedaleko niewielkiej stacji postojowej Caleta Buena, pigmej miał chatkę, dobrze schowaną między przybrzeżnymi skałami. Tam właśnie zamierzał przeczekać obławę.

Niestety, któryś ze schwytanych bandytów zdołał wyśpiewać, gdzie znajduje się kryjówka Makaka, toteż na karła już czekano. Podjeżdżając do chatki, Jamie zauważył świeże ślady opon na piasku. Zjechał więc z drogi, wepchnął motorower w kłujące krzewy i podpełzł do chałupy. Auta, rzecz jasną, nie znalazł. Wokół było ciemno i cicho. Kurdupel stał tak i czekał całe czterdzieści minut, szczękając zębami z powodu chłodnego wiatru, dopóki jeden z policjantów, którzy ukrywali się wewnątrz, nie wyszedł na ganek, żeby zapalić. Tym oto sposobem Jamie Makak został prawdziwym bezdomnym. Tak samo jak mędrzec i filozof Miguel.

Klnąc szpetnie, mały Chilijczyk wytaszczył motorower i ruszył z powrotem na Autostradę Panamerykańską. Czuł się jak tchórz, którego wypędzono z nory, dlatego tak się wściekał; nie stracił jednak panowania nad sobą. Karzeł nie bez powodu zaszedł tak daleko: dawno przewidział taki rozwój wypadków i to, że nie będzie miał gdzie się podziać, miał więc w zanadrzu jeszcze jeden, ostatni plan awaryjny. Siedem albo osiem lat temu, daleko na wschód od stacji postojowej Caleta Buena, Jamie, niczym klasyczny pirat, zakopał na pustyni skarb. Na czarną godzinę. Było tam wszystko niezbędne do tego, aby wykaraskać się z najgorszych tarapatów. Makak musiał jedynie doczekać świtu, nocą za żadne skarby nie odnalazłby tego miejsca.

Postanowił spędzić tę noc na wybrzeżu. Wiedział, że niebezpiecznie jest zatrzymać się w Caleta Buena, powędrował więc na północ, trzymając się blisko drogi. Jechał akurat wzdłuż brzegu, kiedy w ciemnościach dostrzegł nagle budynek. Był to stary kościół z kamienia – wszystko, co zostało z klasztoru, który stał w tym miejscu jeszcze za panowania Hiszpanów. Świątynię kilkakrotnie przebudowywano, i tak dotrwała do naszych czasów. Dziś mieszkało w pobliżu kilku mnichów eremitów.

Ostatni dzień zimy dobiegał końca. Do północy pozostał tylko kwadrans...

Wpatrując się w prosty drewniany krzyż, który rysował się na tle nocnego nieba, Jamie poczuł, jak ogarnia go gorzkie poczucie rozżalenia. Wściekły i oszalały jednocześnie, karzeł wbiegł do kościoła. Padał z nóg ze zmęczenia. Piekielny ból rozsadał mu czaszkę. W żołądku burczało bez ustanku.

Świątynia była pusta. W odległym kącie, pod trzema świętymi obrazami, które nieubłagany czas pozbawił barw, płonęło kilka świec.

– TY! – wrzasnął mikrus, przyskakując do drewnianego krucyfiksu, który wisiał nad ołtarzem. – To Ty jesteś wszystkim winien! Nie wystarczy Ci, że zrobiłeś mnie takiego małego, że nawet lodówka jednokomorowa jest ode mnie większa? Nie wystarczy Ci, że mój członek przypomina obgryzioną parówkę, która sterczy z niedojedzonego hot doga? A teraz jeszcze zostałem bez dachu nad głową, bez moich ludzi i bez pieniędzy! Dlaczego mnie tak nienawidzisz?! – Jamie miotał obelgi i plugawe słowa. Zebrał się na odwagę, wycelował palec w drewnianą twarz i wypalił: – Jesteś wstrętną bezmózgą ciamajdą!

Następnie zamilkł i zaczął się uważnie wsłuchiwać. Nic się jednak nie działo. Gdzieś w oddali szumiały fale przyboju, ale ziemia się nie rozstąpiła i gromy nie zaczęły walić z jasnego nieba. Makak nabrał śmiałości.

– Co?! – krzyknął, zabawnie rozkładając ramiona. – No i co mi zrobisz? Jesteś miernotą! Jesteś zerem, pustym miejscem! Jesteś zwykłym robakiem, który zupełnie przypadkowo osiągnął nieśmiertelność!

Jezus milczał z pochyloną głową zwieńczoną koroną cierniową. Szef tokopilskiej mafii jeszcze bardziej się wściekł.

– Gdybym wiedział, wyrzekłbym się Ciebie dwadzieścia lat temu! Przecież Ty tylko się ze mnie naśmiewasz! – Oszalały Makak podskoczył, chwycił rękami drewnianą figurę i oparłszy się nogami o ścianę, zaczął ją ciągnąć do siebie. – Ja Ci tu zaraz... zaraz...

Pigmej był tylko nieco wyższy od krucyfiks. Zdrowo się namęczył, zanim oderwał krzyż od ściany, a następnie zwałił się razem z nim na drewnianą podłogę. Po chwili, pochlipując histerycznie, mały Jamie się podniósł. Miał zamiar uczynić to, co zawsze czynił z pokonanymi wrogami: zamierzał wysikać się na krucyfiks. To był jego znak firmowy, sposób na potwierdzenie własnej wartości – sikanie na martwych nieprzyjaciół. Zaślepiiony złością Jamie Makak stanął nad krzyżem, rozpiął rozporek, zdążył już nawet wyciągnąć swoją parówkę, ale...

Trzeba powiedzieć, że karzeł wybrał *bardzo* nieodpowiedni moment na wyjaśnianie stosunków z Panem Bogiem.

Nagle Jamie zauważył, że krucyfiks skokami przesuwa się po podłodze. Pierdnął z wrażenia, podniósł głowę i spostrzegł, że wszystkie przedmioty dokoła niego – ołtarz, święte obrazy, rzeźbione ławy, podstawki pod świece – wściekle wibrują. Ich kontury się rozpląwały, zamazywały w mroku. Ściany i podłogi pulsowały bezszelestnie. (Mały Chilijczyk nie znał pojęcia infradźwięku[127], dlatego nie przyszłoby mu do głowy, że wahania dźwięków o niskiej częstotliwości mogą mieć taką samą moc jak o normalnej częstotliwości, pozostając przy tym niesłyszalne dla człowieka). Niewidzialna ręka złapała go za gardło. Makak oblał się potem, wyczuwając obecność siły nadprzyrodzonej, i z przerażeniem uświadomił sobie, że się doigrał.

Wibracje wciąż trwały, kiedy daleko na wschodzie pojawił się niski natarczywy dźwięk. Jamie przełknął ślinę; miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Warkot narastał szybciej, nim karzeł zdążył o nim pomyśleć. Po sekundzie od tego ryku drżała już cała ziemia. Kościół trząsł się, jak gdyby wrzucono go do kipiącego kotła. Szyby dźwięczały, z sufitu sypał się tynk, płaczkliwie skomlały drewniane belki, a gwoździe wychodziły z desek na oczach mafiosa. Ryk wzrastał się, ściskając głowę małego Jamiego jak imadło. Najwyraźniej Bóg stracił cierpliwość.

– Aaaaa! – zawył Makak i narobił w częściowo opuszczone spodnie.

Chwilę później huk sięgnął zenitu. Ciężka fala dźwiękowa smagnęła kościół niewidzialnym biczem. Szyby nie wyleciały – one się zdematerializowały z głośnym „dzyńńń!”. Ławy podskoczyły na pół metra i opadły pod zachodnią ścianą. Drzwi wejściowe zostały wyrwane z zawiasów. Przeleciały aż do ołtarza i trafiły w śmiertelnie przerażonego liliputa, który znalazł się na podłodze.

Instynkt samozachowawczy kazał małemu człowiekowi uciekać. Mamrocząc coś o miłosierdziu i odpuszczeniu win, pigmej wypadł z kościoła jak poparzony. Zdezorientowany, wyskoczył na kamienistą plażę, zaplątał się we własne nogawki i upadł tuż przy samej wodzie. Warkot cichł na zachodzie, oddalając się tak szybko, jak się pojawił. Mały mafioso, skamłając, uniósł się na kolanach, obrócił głowę do oceanu i... zamarł. Jamie zajrzał w twarz Bogu. W ciemnościach nad oceanem, dokładnie nad Makakiem, płonęło z ojcowskim wyrzutem dwoje wielkich pomarańczowych oczu. Oczy te spopielaly go, dręczyły jego duszę, napełniając całe ciało pełnym pokory drzeniem...

Biedny karzeł nawet się nie domyślał, co tak naprawdę działo się na Atakamie przez ostatni miesiąc. Nie miał pojęcia ani o istnieniu NGF-Lab, ani botów (pomimo że miał już z nimi do czynienia). Tym bardziej nie mógł nic wiedzieć o nalocie amerykańskiego lotnictwa. Po udanym zakończeniu misji ciężki i mało zwrotny B-2 natychmiast poderwał się w górę; podniósł się na tyle wysoko, na ile pozwalały mu jego parametry techniczne. To była jedyna możliwość, aby „Duch” uniknąć wykrycia przez radary. Tymczasem myśliwce osłaniające – cztery F-22 – przeleciały lotem koszącym nad zbombardowanym miejscem. Jeden z raptorów, kierując się w stronę oceanu, przelatywał akurat nad kościołem z szalejącym Makakiem i o mały włos nie starł świętyni w proch[128]. I to właśnie żar z jego turbin Jamie ujrzał na tle nocnego nieba.

Tak naprawdę Jamie nie powinien zobaczyć tych ognistych dysz silników. Zazwyczaj w F-22 ich nie widać. Dysze ekranowane są przez cztery wieloboczne osłony, wykonane ze specjalnych stopów, które zmniejszają wykrywalność niszczyciela w podczerwieni. Kiedy jednak samolot znalazł się nad oceanem, zaczął osiągać coraz większą wysokość, aż zadarł nos o trzydzieści stopni. Dysze silników skierowane były prosto w wybrzeże i „wpijały wzrok” w małego Chilijczyka. Otwór dyszy F-22 nie jest okrągły, ma formę spłaszczonego prostokąta, którego krawędzie wygładzone są przez rozedrgane i gorące gazy wydechowe. Nie ma się co dziwić, że nieszczęsny mafioso wziął je za oczy Boga, poczerwieniałe od słusznego gniewu.

Gdy samolot osiągnął wysokość, która pozwalała mu uzyskać prędkość przelotową, pilot wyrównał lot. Pomarańczowe oczy zniknęły. Wystarczyło to jednak, aby Jamie narobił pod siebie po raz drugi w ciągu tego wieczoru; jeszcze dwadzieścia minut po tym, jak F-22 opuścił przestrzeń powietrzną Chile, a niski głuchy ryk rozpląnął się w mroku, konus wciąż bił czołem o przybrzeżne kamienie i darł się wniebogłosey:

– Panie mój, zrozumiałem! Nie zabijaj mnie! Nie zabijaj! Ja już więcej nie będę! Wybacz mi, jestem kanalią! Już więcej nie będę!

Geny dwudziestu pokoleń grzesznych katolików doszły do głosu.

CXXV

Wtorek, 1 września, 01.34 (UTC -4)
Pustynia Atakama

– Czujesz? Śmierdzi spalenizną.

Tymur wciągnął kilkakrotnie – jak pies – powietrze nosem.

– Trochę tak. Nie przegrzał nam się przypadkiem silnik?

– A skąd. Nie śmierdzi tak, jakby się przegrzał, ale tak, jakby spalił się w cholerę.

Tymur opuścił szybę od swojej strony. Gorzki zapach w kabinie stał się intensywniejszy. Spod maski nie wydostawały się żadne podejrzone dźwięki.

– Na pewno gdzieś się pali – zgodził się Ukrainiec. – I to konkretnie się pali.

– Co to takiego? – Headhunter był raczej zdziwiony niż zaniepokojony. – Przecież tutaj nawet nie ma co się żarzyć. Sam piach i skały.

Tymur wzruszył ramionami i ziewnął. Czuł się zmęczony jak wielbłąd po dwutygodniowej wędrówce przez Saharę. Jeżeli ludzie mogą ze zmęczenia wyciągnąć kopyta, to on był o krok od tego. Świadomość, że wszystko się skończyło – *wreszcie skończyło się tak naprawdę* – tylko nasilała poczucie osłabienia. Napięcie utrzymywało ciało w niezdrowej aktywności. A teraz Tymur się zrelaksował, zmiękł. Kiedy zasłonił usta, zobaczył, że między pagórkami, do których Rino się kierował, błysnęło jakieś czerwone światło. Coś *znacznie bardziej jaskrawego* niż odbłask długich świateł na ścianach laboratorium. Utrzymywało się jakieś dwie sekundy, po czym zniknęło za wapiennymi występami.

– Widziałeś to? – Programista przetarł oczy.

– Co?

– Z przodu coś jakby błysnęło.

– Może to reflektory z bloków inżynierskich. Jesteśmy gdzieś obok.

Chłopak wciąż się wpatrywał w przestrzeń między pagórkami. Na południu niebo wydawało się nieco jaśniejsze, niż powinno. Tak, jakby przebijało się tam lśnienie zorzy polarnej. Ale, do diabła, co to za zorza na południu, w dodatku o wpół do drugiej w nocy?!

Pikap wgramolił się na wzniesienie i Rino z Tymurem jednocześnie ujrzeli pogorzelsko. W oddali mieniła się czerwona smuga. Im bliżej mężczyźni podjeżdżali, tym smuga stawała się większa.

– Skąd się to wzięło?! – Headhunter wytrzeszczył oczy. Ognia nie było, za to czerwono-czarne popielisko przemieszczało się jak żywe. Nocne powietrze trzepotało nad nim z gorąca.

Tymur milczał, z bijącym sercem zastanawiając się, jaką kolejną podłość naszykowała dla nich Atakama.

– Ja wiem, co to jest... – nagle wyszeptał programista. Zapach spalenizny powoli stawał się nie do wytrzymania. Dołączył do niego kwaśny metalowy posmak. Taki posmak tworzy się podczas wypalania się sproszkowanego aluminium, które wchodzi w skład tritonalu[129] – materiału wybuchowego, jakim były nafaszerowane amerykańskie bomby. Chłopak zakaszał.

– Co?

– Tutaj rozbił się samolot. Czujesz kwaśny zapach w powietrzu? Wydaje mi się, że to paliwo lotnicze.

Rino ze złością uderzył dłonią w kierownicę.

– *Fucking hell!* Jeszcze tylko tego nam brakowało. – Wielkolud skreślił na prawo, żeby objechać zgliszcz.

– Widziałem coś podobnego w *Air Crash Investigation* – wybełkotał Tymur, unosząc tyłek nad siedzeniem i obracając na lewo głowę. – To taki program na National Geographic, o katastrofach lotniczych...

– Zamknij się! – warknął Rino. – Musimy jak najszybciej znaleźć się w laboratorium. Jeśli masz rację, nie później niż za godzinę przyjadą tutaj ekipy ratunkowe.

– To było coś wielkiego – Tymur go nie słuchał. – Boeing 777, a może airbus A340? Tylko popatrz, jak dużo ziemi się wypaliło! Nie chce mi się wierzyć... Rino, ta pustynia jest przeklęta!

Podskakując na nierównościach, toyota tundra płynnie objeżdżała obszar, który Tymur błędnie uznał za miejsce katastrofy lotniczej.

– Jakoś nie mogę znaleźć drogi... – wyznał Headhunter zmieszany. Liczne wyprawy na pustynię spowodowały, że na północ od kompleksu utworzył się dobrze wyjeżdżony szlak. Rino rysował na piasku ósemki, bezskutecznie próbując odnaleźć drogę.

– W zasadzie to już powinniśmy być na miejscu – powiedział Tymur, zerknąwszy na zegarek na tablicy rozdzielczej. – A ja na razie nie widzę nawet świateł awaryjnych.

– Co za cholerstwo? Gdzie ta droga? – złościł się najemnik.

– Chcesz powiedzieć, że zabłądziliśmy? No, ja rozumiem: ciemno, ale mimo wszystko...

Nagle szmer pod kołami stał się jednostajny, nawierzchnia zadźwięczała jakoś inaczej, a w świetle reflektorów wynurzyła się jasnobiała równina. Pomimo że była noc, Tymur i Rino rozpoznali to miejsce. Setki razy oglądali ją z *okien swoich sypialni*.

– Solnisko?! – równocześnie zawołali obaj mężczyźni.

Terenówka wyjechała na pustynię solną, która zaczynała się tuż za kompleksem badawczym. Headhunter zatrzymał samochód i z namysłem podrapał się po dawno niemytej głowie.

– Jasna cholera! – zaklął półgłosem, wolno się odwracając. – Przecież to... to...

– To jest... nasze... laboratorium... – wydusił z siebie Tymur, akcentując każdy wyraz. Patrzył w tym samym kierunku. Tam, gdzie jeszcze dwie godziny temu wznosiła się tylna ściana sypialnianego skrzydła bloku DW, w tej chwili czerniało nocne niebo, lekko oświetlane łuną pogorzelska.

Wielkolud znów się odwrócił i z powrotem położył ręce na kierownicy.

– Gdzie one... – Rino starał się dobrać odpowiednie słowo, ale nie udawało mu się to. Po głowie pałętały się czasowniki, które nie do końca pasowały do wyrażenia „betonowy budynek” (poleciały? rozpląnęły się? wyparowały?) – Gdzie one... eee... zniknęły?

Silnik zacharczał. Toyota zawróciła i ruszyła z powrotem tą samą drogą. Po chwili auto zatrzymało się naprzeciwko miejsca, gdzie kiedyś znajdowało się

główne wejście do bloku mieszkalnego. Przez cały ten czas pasażerowie pikapa nie spuszczała szeroko otwartych oczu z popieliska.

Mężczyźni wysiedli z samochodu i podeszli do ruin. Zatrzymali się w odległości trzech metrów od ogrodzenia ochronnego. A ściśle rzecz biorąc, od miejsca, w którym się kiedyś znajdowało. Obecnie ogrodzenie spoczywało pod kupą roztrzaskanego i zwęglonego betonu. Bliżej nie dopuszczał ich żar, który tryskał z wypalanej ziemi.

– Jak w ciągu paru godzin można spalić pięć kolosalnych budowli? – odezwał się Rino. – Jak można *tak* spalić budynek, żeby nawet fundamenty się nie zachowały?!

Od czasu do czasu w popielisku coś potrzaskiwało. Szeleściło i oddychało, jakby było żywym organizmem.

– Sądzisz, że to Laura z Allanem tak się postarali? – wreszcie Tymur przemówił wyraźniej.

Headhunter wsparł się pod boki i powiódł spojrzeniem po zgliszczach.

– *Fucking hell ...* – Tylko tyle udało mu się wykrztusić.

Zasłaniając łokciem dolną część twarzy, chłopak zbliżył się do rumowiska. Przysiadł w kucki i na jednym z kawałków ściany ujrzał przypalony napis:

BRAMA

Koloru niebieskiego. A więc z któregoś z bloków inżynierskich.

– Co oni narobili? Rino, co oni takiego narobili? – powtarzał jak papuga Ukrainiec.

– Dziewucha i Amerykanin nie mają z tym nic wspólnego – trzeźwo ocenił sytuację Rino. – W piwnicy były zapasy paliwa do generatora. Był propan na potrzeby laboratorium. Ale nie było nic takiego, co mogłoby tak wszystko rozpieprzyć.

– Może to psychoistota? – podsunął Tymur. Sam nie wierzył w to, co mówi. Po ostatnich wydarzeniach na długo utracił zdolność odróżniania mądrych wniosków od tych mniej mądrych. – A co, jeśli się zmaterializowała?

Gdy tylko Tymur wspomniał o tym potworze, który przeniknął poprzez głowy botów do naszego świata, ze sterty odłamków i popiołu naprzeciwko niego wydobyła się czarna ręka.

– Aaa! – wrzasnął programista, szybko się odsunął i usiadł.

– Aaa! – zawtórował mu najemnik, odskakując do tyłu. – *It's no fucking good!*[130] Zabierz to! Aa! Kurwa, gdzie moja strzelba? Do cholery, gdzie jest broń?

Rino pobiegł do pikapa po remingtona. Dobrze, że go tam zostawił! Kiedy wrócił, Tymur już nie krzyczał. Przed nim z ruin wystawała umorusana jak u górnika głowa Laury. Gdyby najemnik miał przy sobie broń, pewnie już zdążyłby ją zastrzelić.

– Hej, żabojadko! – zaryczał Rino. Musiał się wykrzyczeć, żeby zagłuszyć piekące poczucie wstydu. – Coś ty tu narobiła? Co to za kurewskie święto pirotechniki? Zachciało się wam Halloween, do kurwy nędzy?!

Wciąż jeszcze się trząśł po niedawnych wydarzeniach. Nerwy nie wytrzymały. Wielkolud instynktownie pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów, póki sobie nie przypomniał, że się skończyły.

– Rino, hamuj się. – Ukrainiec szybciej się opanował. – Pomóż mi ją wyciągnąć...

Psychiatra żyła, ale była zszokowana. O dziwo, nie doznała większych obrażeń, nie licząc wybitego ramienia, oparzeń na plecach, rękach i po prawej stronie twarzy. Dziewczyna ryła na oślep dobre pół godziny, zanim udało jej się wydostać na powierzchnię. Rino i Tymur przenieśli ją do auta i położyli na tylnym siedzeniu. Czasami Laura unosiła się, wpatrywała się wybałuszonymi, a jednocześnie niewidzącymi oczami w dach toyoty i bełkotała coś o tym, że trzeba szybko iść na pustynię, odejść jak najdalej stąd. A potem znów traciła kontakt z rzeczywistością.

Dwie godziny później Dupré oprzytomniała na dobre. Poprosiła o wodę, osuszyła do końca ostatnią butelkę i zaczęła sobie wszystko przypominać. Najpierw opowiedziała o tym, jak usłyszeli huk, od którego trzęsły się ściany i po którym Allan Greenlon rozpoznał amerykańskie myśliwce. Później opowiedziała, jak wyszli z Allanem na zewnątrz i niczego podejrzanego nie zauważyli. Potem wspomnienia się urywały. Laura nie pamiętała nawet, jak się wydostała spod góry gruzu. Tego jednak było dosyć, by Tymur i Rino zdołali sobie wyobrazić, co się wydarzyło podczas ich nieobecności.

Wykonali brudną robotę. Po czym Pentagon postawił wielką i tłustą kropkę.

KONIEC...?

CXXVI

Wtorek, 1 września, 06.43 (UTC -4)
Pustynia Atakama

Okna w samochodzie zaparowały, na dłużej utrzymując ciemność w kabinie.

Tymur pierwszy otworzył oczy. Nogi mu ścierpły od spania w niewygodnej pozycji, a szyję od lewego ucha do kręgosłupa przeszywał ból. Otworzył drzwi i wypełził na piasek. Wyprostował się, przeciągnął, odetchnął pełną piersią. Poranne powietrze nieco go orzeźwiło.

Chłopak obszedł pikap, zatrzymując się między toyotą a pogorzelskiem. Długo przyglądał się poczerniałym fragmentom żelazobetonu, odtwarzając w pamięci wczorajsze wydarzenia. Następnie podrapał się po głowie, rozpiął rozporek i zaczął załatwiać poranną potrzebę.

Stukanie drzwi obudziło Headhuntera. Mamrocząc pod nosem, wygramolił się z auta i kołysząc się, poczłapał w stronę Tymura.

– Jak ci się spało? – zapytał programista, odwracając głowę.

– Jak w trumnie. Cholerna ciasnota. A tobie?

– Z-z-z-marzłem... – odparł chłopak, szczękając zębami. Krew jeszcze nie krążyła energicznie w jego żyłach. Ręce i nogi Ukraińca pokryte były pęcherzami. Raz za razem jego ciałem wstrząsały dreszcze. – W dodatku zreć się chce...

Rino kiwnął głową ze zrozumieniem, stanął obok Tymura i zaczął się odlewać, patrząc z jakimś głupkowato-niedowierzającym wyrazem twarzy na ruiny tego, co całkiem niedawno było jednym z największych laboratoriów badawczych w Ameryce Południowej. Wielkolud wyglądał jak

zdezorientowany miliarder, bardzo mgliście przypominający sobie wczorajszą popijawę, podczas której przypadkiem spalono jego rezydencję.

– Nie chce się wierzyć, no nie, stary? – powiedział Headhunter, wskazując ruchem głowy pogorzelsko.

Tym razem Tymur milcząco przytaknął skinieniem głowy.

I tak stali obaj, ramię w ramię, polewając parującymi strumieniami bury piach.

– Nie było tak źle – wymruczał z rezerwą Południowoafrykanin.

– Co masz na myśli?

– Wszystko... to...

Mężczyźni niemal równocześnie zapięli rozporki. Tymur popatrzył na Rina. Chłopak za nic w świecie nie potrafił znaleźć w *tym wszystkim* niczego dobrego.

– Nie patrz tak na mnie. – Headhunter stuknął Ukrainca w ramię. – Wszystko zależy od punktu widzenia. Przecież wiesz: butelka może być do połowy pusta albo do połowy pełna. Oczywiście szkoda, że tylu ludzi zginęło. – Najemnik splunął na ziemię. To oraz wyraz jego twarzy nie bardzo pasowały do ostatnich słów. – Z drugiej strony, pomyśl: boty zostały zniszczone, dowody zlikwidowane, a my wciąż żyjemy. Mogło być gorzej, *fella*. O wiele gorzej...

– Masz rację. Mogło być gorzej.

Ukrainiec podreptał do terenówki, otworzył na oścież tylne drzwiczki i obudził Laurę.

– Jak się masz? – zapytał, gdy dziewczyna doszła do siebie.

– Pić mi się chce...

– Nie mamy już wody, Lauro... Liczę na to, że niebawem gdzieś ją znajdziemy.

– Ale kanał.

– Wiem.

Headhunter usiadł na miejscu kierowcy.

– Jaka decyzja? – spytał Tymur, gramoląc się do kabiny.

– Spadamy stąd. Czy może przedtem chciałbyś pozbierać kamyczki na pamiątkę?

Na twarzy programisty nie drgnął żaden mięsień.

– Dokąd chcesz jechać?

– Do Calamy. Może do Antofagasty, jeśli starczy nam wachy. Mamy paszporty, wsiądziemy do autobusu rejsowego do Santiago de Chile, tam do samolotów i... na chatę.

– Paszporty, mówisz? Wspaniale. Ale przecież my nie mamy pieniędzy! Będziemy musieli skontaktować się z ambasadami. Wyjaśniać...

Rino cmoknął. Chłopak zaczynał go drażnić.

– Zdobęde forszę. – Jego świńskie oczka błysnęły drapieźnie. – Dla wszystkich. Tylko daj mi dojechać do miasta.

– Jakim cudem? – drażył dalej Tymur.

W odpowiedzi Południowoafrykanina wyraźnie słycać było nutki rozdrażnienia.

– Chcesz wrócić do domu czy nie?

Tymur patrzył na słońce, które wypływało znad gór. O tej porze nabrało ono przyjemnej pomarańczowej barwy. Takiego odcienia, który nie wypala oczu, lecz grzeje. Może w Antofagaście uda im się opylić szybko toyotę. Chłopak miał świadomość, że auto jest obite, a w dodatku podziurawione kulami. Pocieszał się myślą, że może ktoś się pokusi, żeby kupić je na części. I Rino nie będzie musiał „zdobywać” pieniędzy w typowy dla niego sposób.

– Chcę wrócić do domu – odparł w końcu.

Rino uruchomił silnik i ruszyli.

CXXVII

Wtorek, 1 września, 07.29 (UTC -4)
Pustynia Atakama

– Stójcie! – Laura nadstawiała uszu.

– Źle się czujesz? – Tymur spojrział w lusterko wsteczne. (Gdy odjechali parę kilometrów od tego, co zostało z kompleksu NGF-Lab, Tymur i Rino

zamienili się miejscami. Oparzenia, które Headhunter zawdzięczał botom w El Tatio, przeszkadzały mu w prowadzeniu pojazdu).

– Nie. – Dziewczyna pokręciła przecząco głową. – Po prostu się zatrzymaj.

Ukrainiec łagodnie nacisnął hamulec i zatrzymał toyotę na poboczu.

– Słyszycie? – Psychiatra ściągnęła brwi.

Rino otworzył usta i już miał spytać: „Co dokładnie?”, kiedy znienacka usłyszał miarowe sapanie. Ciche „wuch-wuch-wuch...” rozchodziło się po pustyni.

W tym miejscu wapienne pagórki dochodziły do drogi i przesłaniały widok.

– Śmigłowiec – stwierdził po chwili najemnik.

– Właśnie. – Dupré zatoczyła koło palcem wskazującym, imitując ruch śmigieł.

– I co z tego? – zapytał Tymur.

– Naprawdę nie rozumiesz? To armia, *fella*.

– Nie ulega najmniejszej wątpliwości – przytaknęła Francuzka. – Od dawna na nich czekam. Zniknięcie tylu ludzi, samochodów, przerwanie komunikacji z ludnością San Pedro, a teraz jeszcze to nocne bombardowanie. Przecież to wszystko nie mogło na wieki pozostać niezauważone. Wygląda na to, że chilijska armia wreszcie poszła po rozum do głowy.

– Ludzie – odezwał się Headhunter. – Chyba każde z nas rozumie, że spotkanie z oficjalnymi przedstawicielami Republiki Chile wykracza poza nasze plany.

– To oczywiste.

– Co więc proponujesz? – Tymur był gotów podpisać się pod każdym słowem wielkoluda.

Huk śmigieł dochodził z północy. I stopniowo się wzmaczał.

– Jedź na pustynię – rozkazał Headhunter. – Migiem!

Programista ruszył z miejsca, przeciął drogę i pomknął na południe, prosto przez równinę. Mieli szczęście, że w tej okolicy grunt był przeważnie twardy. Spod kół nie unosiły się tumany pyłu, co z pewnością dostrzeżono by ze śmigłowca.

Nierówności terenu pozwoliły uciekinierom niepostrzeżenie oddalić się od drogi i zagubić pośród pustynnych piasków. Od czasu do czasu Tymur spoglądał w lusterko, lecz śmigłowiec się nie pokazał, trzymając się nisko nad pagórkami. Jakies dwa kilometry od drogi chłopak natrafił na odpowiednie zagłębienie; wjechał tam i zgasił silnik. Mając nad głową latającą maszynę, która rusza się znacznie szybciej i z której można zobaczyć znacznie więcej, lepiej było przeczekać w ukryciu. Wkrótce potem miarowe uderzenia płatów nośnych osłabły, po czym ucichły zupełnie.

Laura i jej towarzysze w ostatniej chwili zjechali z drogi łączącej San Pedro z Calamą. Pięć minut później w kierunku San Pedro przemknęła kolumna złożona z sześciu ciężarówek pełnych żołnierzy oraz czterech transporterów opancerzonych. Gdyby Tymur obudził się tego ranka chociaż dziesięć minut później, za nic w świecie nie wyslizgnęliby się stąd po kryjomu. Za pół godziny zamknięte zostaną wszystkie drogi prowadzące do Calamy i San Pedro. Za kolejną godzinę żołnierze zamkną trasy numer pięć (Autostrada Panamerykańska), dwadzieścia pięć (Carmen Alto–Calama) i jeden (jeszcze jedna odnoga Panamericany na odcinku Tocopilla–Antofagasta).

Nieco ponad dwie godziny (dopóki nie zabrakło im paliwa) terenówka przemieszczała się przez pustynię na południowy zachód. Kiedy baki opustoszały, Laura, Tymur i Rino porzucili samochód i pieszo dotarli do Panamericany – wyszli na drogę między wioską Bakedano a stacją postojową Carmen Alto. Laura zaproponowała, żeby dostać się do Antofagasty autostopem. Właściwie nic innego im nie pozostało, chociaż prawdę powiedziawszy – biorąc pod uwagę brak pieniędzy, a także nadzwyczaj niepozorny wygląd – szanse na to, że ktoś ich podrzuci do stolicy regionu, były mizerne...

CXXVIII

Rankiem pierwszego września Jamie Makak pognał na pustynię i wykopał swój skarb. Był to plecak górski, zawinięty w grubą folię. W środku znajdowały się: boliwijski paszport wystawiony na Luisa Fernandezę, piętnaście milionów pesos w gotówce[131], naboje do magnum, zdjęcia

paragwajskich gwiazdek porno, kilka pamiątek po ojcu i rolka papieru toaletowego. Makak otrzepał plecak z piasku, po czym wyrzucił papier toaletowy i plakaty z cycastymi Paragwajkami. Po chwili wahania porwał na strzępy paszport obywatela Boliwii. Całą następną minutę wpatrywał się w paczuski z banknotami – przeklętymi, znieawidzonymi papierkami, które zrujnowały mu życie. Zastanawiał się, czyby się ich nie pozbyć. Spalić i rozsypać na pustyni.

Suchy wiatr tworzył z piasku wiry, wyglądające jak potworne, podobne do duchów postaci.

Namyśliwszy się, Jamie postanowił zostawić sobie pieniądze. Tylko na troszkę. Jak by to powiedzieć... tymczasowo. Wciąż jeszcze pozostając pod wpływem wczorajszych wydarzeń, pigmej zdecydował, że odda forszę temu, komu naprawdę jest ona potrzebna. Komukolwiek, byle wykorzystał ją w zbożnym celu. Na przykład biskupowi katedry w Antofagaście, a jeśli nie weźmie, to może kierownictwu jakiegoś sierocińca. W ostateczności rozda biednym. Karzeł spojrział na bezchmurne niebo, jakby oczekiwał pochwały od Niego, po czym, uspokojony, powkładał paczki z powrotem do plecaka.

Mafioso wrócił do swojego motoroweru, zarzucił bagaż na plecy i zaczął się oddalać, wybierając mało uczęszczane szlaki. Jako że do miejsca, w którym był zakopany skarb, przylegała droga numer pięć (wschodnie odgałęzienie Panamericany), mały Chilijczyk obrał kierunek zachodni. Po półgodzinie dotarł do magistrali, gdzie z wysoko podniesioną głową i twardym postanowieniem rozpoczęcia nowego uczciwego życia skręcił na południe. Kilkakrotnie naprzeciwko jechało parę wojskowych ciężarówek, raz wyminął kolumnę złożoną z ośmiu transporterów opancerzonych MOWAG „Piranha”^[132] i z burożółtego plamistego land rovera defendera. Na samym wjeździe do Carmen Alto nad głową Jamiego, przechyliwszy nosy, przemknęły trzy eurocoptery AS350, śmigłowce bojowe produkcji francuskiej, będące na wyposażeniu armii chilijskiej. Kierowały się na północny wschód, do Calamy.

Najwyraźniej Pan Bóg uwierzył Makakowi, ponieważ mu sprzyjał. Pigmej miał szczęście – nikt go nie zatrzymywał. Wydostał się z niebezpiecznej strefy niecały kwadrans przed ustawieniem na drogach prowincji El Loa posterunków i blokad.

Za stacją postojową Carmen Alto nie spotkał już żadnych samochodów. Autostrada Panamerykańska opustoszała w sposób zaskakujący. (Mały

Chilijczyk nie mógł wiedzieć, że posterunek wojskowy, ustawiony wyżej, przy drodze numer pięć, kierował wszystkie pojazdy na drogę numer jeden, dalej od Calamy i San Pedro).

Nagle, parę kilometrów przed Bakedano, Jamie Makak natrafił na troje ludzi idących po lewej stronie drogi. Najchudsza postać obróciła się na dźwięk silnika jego pyrkawki i już zaczęła podnosić rękę z wystawionym kciukiem, lecz opuściła ją i z powrotem się odwróciła, gdy tylko zrozumiała, że zbliżający się środek transportu jest dwukołowy. Makak zwolnił. Ci ludzie go zaintrygowali. W Chile autostopowicze nie trafiali się zbyt często. Tym bardziej że ta trójka zupełnie nie przypominała tych biednych *europesos autoestopistas*[133], gotowych wsiąść do pierwszego lepszego samochodu, nawet i szambiaraki, żeby tylko gdzieś dojechać. Ci nawet nie mieli plecaków.

Kiedy Jamie się do nich zbliżył, zdziwił się jeszcze bardziej. Dwóch facetów (jeden wielki jak słoń) i dziewczyna. Wyglądali na nietutejszych, a na domiar złego wyglądali, jakby wczoraj wieczorem zostali strasznie pobici w jakimś barze w Arice[134] i po całonocnym truchcie dotarli aż tutaj. Prawa ręka dziewczyny była przywiązana szmatką do tułowia. Ramię nienaturalnie wyciągało się w górę i do przodu. Twarz miała potwornie poparzoną. Lewe oko olbrzyma było do połowy zasłonięte opuchlizną. Twarz tego drugiego, ryżego, tak była porozcinana, jakby ktoś ciągnął go długo po asfalcie.

Makak wyprzedził wędrowców i zatrzymał się. Poczul jakieś ukłucie w samym środku serca.

– *Buenos días, vagabundos*[135] – przywitał się, ściągając kask.

Nieznajomi okropnie cuchnęli potem. Choć i Jamie po wczorajszej przeprawie z Bogiem nie pachniał różami.

Po co on się zatrzymał? – Tymur spojrział niechętnie na karła. Wzrok chłopaka wymownie odzwierciedlał jego myśli. Na nic nam się zda ten twój rower. Ukrainiec był wycieńczony i zły.

– A może go poprosimy, żeby zadzwonił do kogoś z naszych krewnych? Pewnie ma przy sobie komórkę. Może po nas... – Laura urwała w pół zdania. Żadne z nich – ani ona, ani Tymur, ani Headhunter – nie znało hiszpańskiego. Tymur jeszcze mógłby coś przeczytać, ale z rozmową już miałyby kłopot.

Jamie patrzył na nich z mieszaniną współczucia i obrzydzenia. Przeklęci gringo! Przyczłapali cholera wie skąd, wdepnęli nie wiadomo w ile gówien, a teraz poleżą do swoich ambasad, żeby się poskarżyć na złych Chilijczyków.

Właśnie tak! A jakżeby inaczej? W przeciwnym razie jak inaczej mogliby się znaleźć pośrodku pustyni, w dodatku w takim opłakanym stanie? Makak się skrzywił.

Jednak w następnej chwili małpi grymas zniknął z jego twarzy. Konus znów sobie przypomniał gorące oczy nad oceanem i przysięgę złożoną Wszechmogącemu. Nie natknął się na tę trójkę przypadkowo. To był znak. To był znak, na pewno. Pan Bóg usłyszał jego, Jamiego, obietnicę i natychmiast postanowił sprawdzić, ile jest warta. Małpia gęba mafiosa przybrała lizusowsko-nabożny wyraz. Wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi. Jakkolwiek ciężko by było, nie miał prawa grzeszyć nawet w myślach. – Wątpisz we mnie, Panie? Chcesz sprawdzić, czy jestem wart tego, by wstąpić w szeregi Twoich owieczek? O tak, rozumiem Cię. Pokażę Ci – Jamie wyprostował drobne ramiona – pokażę, na co mnie stać. Zdjął plecak, zszedł z motoroweru i podszedł do obcokrajowców.

Rino spoglądał na dziwnego człowieczka. Mimo jego nikczemnego wzrostu Headhunter bezbłędnie rozpoznał w pigmeju kolegę po fachu. Coś mu podpowiadało, że był to bardzo niebezpieczny kolega. Tymczasem Jamie podszedł bliżej, zanurzył dłoń w plecaku i wyciągnął z niego... cztery grube paczki z pieniędzmi.

– *Es un regalo... hay para todos*[136] – oznajmił pokornie, a zarazem uroczyście, podsuwając pieniądze Tymurowi.

Chłopak osłupiał.

– *No entiendo, señor*[137] – odrzekł, ściskając w dłoniach pakunki. To było jedyne zdanie, jakie zdołał sobie przypomnieć. Programista był zszokowany. Ten karzeł wydał mu się baśniowym elfem.

– *Entiendo, entiendo* – wtrącił się Rino. Rozcapierzył palce i położył na pieniądzach swoją wielką, umięśnioną łapę, żeby Tymurowi nie przyszło czasem do głowy je zwrócić.

– Nie możemy wziąć tej kasy – wyszeptał chłopak. – To jakoś tak...

– Zamknij gębę! – ryknął olbrzym.

Z trudem powstrzymując odruchy nabyte w ciągu lat kryminalnej działalności, uciszając zniechęcone demony szalejące w jego głowie, Jamie cofnął się kilka kroków i gestem zachęcił ich raz jeszcze: bierzcie. Trochę nerwowo wyszedł mu ten gest. Nie odrywał przy tym wzroku od czterech opasłych paczuszek. Makak w swoim życiu wiele uczynił, jednak takie

bohaterstwo, takie bezinteresowne wyrzeczenie jeszcze nigdy nie stało się jego udziałem. Aż się cały spocił.

– *Muchas gracias, chica!*[138] – rzucił mu Rino.

Karzeł zamarł. Czy mu się zdawało, czy ten przerośnięty gość naprawdę nazwał go dziewczuchą? Jamie spojrzał wyzywająco na olbrzyma. Nozdrza wydeły mu się jak kratery. Myśli o Bogu ze świstem powylatywały z głowy. Nigdy dotąd nie spotkał takiego tłustego i bezczelnego gnojka. (Na oko Headhunter był ze trzy razy większy od liliputa Makaka). Patrzcie, co za bydlę: ktoś mu daje kupę kasy, a on... grrr! Z podniecenia zaczęła mu drżeć szczeka. Jamie pożerał wielkoluda drapieżnym wzrokiem, wyobrażając sobie, jak wyciąga z plecaka „armatę”, powoli bierze mięśniaka na muszkę i odstrzeliwuje mu tę jego słoniową pałę hen, aż do tamtych wzgórz.

Ale nie. Nie! Przecież dał Panu Bogu słowo!

Taki już los grzesznych sług bożych. Ty czynisz dobro, a tobie srają na twarz. Jamie gwałtownie się odwrócił, wskoczył na motorower, byle jak nałożył kask i pognął przed siebie, błagając Boga o to, aby już nigdy nie wystawiał *tak* na próbę jego cierpliwości.

Mężczyźni i dziewczyna zostali sami przy drodze.

– Dlaczego nazwałeś go „cziką”? – zapytał Tymur, unosząc brwi.

– No, przecież to po ichniemu koleś albo koleżka, co nie, *fella*? – Najemnik spojrzał pytająco na Ukraińca.

– Rino, jesteś beznadziejny. – Chłopak machnął ręką. Nie podejrzewał nawet, że jeszcze kilka sekund temu Headhunter był o krok od śmierci.

– Ile tego jest? – Rino patrzył w ślad za pyrkawką.

– Trzy paczki z banknotami o nominale pięciu tysięcy pesos – liczył Tymur – jedna z banknotami po dziesięć tysięcy, co daje... dwa i pół miliona pesos.

– Dokładniej, kolego. W normalnej walucie.

– Około pięciu tysięcy dolarów, Rino.

Headhunter rozciągnął kąciki ust w uśmiechu i mrugnął porozumiewawczo.

– Moi drodzy, to właśnie ta forsa na drogę powrotną.

Laura, która dotąd pozostawała pod wrażeniem szczodrości Chilijczyka, wreszcie doszła do siebie.

– Ten liliput... na motorowerze... przecież on śmierdział gównem. A może mi się przywidziało? I w ogóle *co to było*? Dlaczego nam oddał swoje pieniądze? Nie rozumiem, przecież go o to nie prosiliśmy...

– Chodźmy, dziewczyno. – Rino dotknął jej zdrowego ramienia. – Ty zawsze musisz wyjechać z tymi swoimi filozoficznymi gadkami... – Headhunterowi do pełni szczęścia brakowało tylko jednego: papierosa.

Dwadzieścia minut później przy autostopowiczach zatrzymał się dyrektor muzeum archeologicznego z Calamy, który zmierzał do Antofagasty, postanowił bowiem na jakiś czas wyjechać z miasta. Dalej od problemów.

Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, Rino, Laura i Tymur wylecieli do Santiago, korzystając z usług linii lotniczych LAN Chile. O godzinie dwudziestej drugiej zero jeden ich samolot pomyślnie wylądował na lotnisku w chilijskiej stolicy.

CXXIX

Makak, który po raz pierwszy w życiu poznał smak bycia dobroczyńcą i czuł się teraz jak filantrop pełną gębą, bez przeszkód dotarł do Antofagasty; nie naruszył przy tym żadnego przepisu ruchu drogowego.

O czternastej czterdzieści pięć, nie kryjąc się, przybył do głównego miasta regionu. Natychmiast udał się do katedry stojącej na centralnym placu.

– Gdzie twój szef? – zapytał ministranta, kiedy znalazł się już w ciemnym wnętrzu świątyni.

– Słucham, *señor*? – nie zrozumiał pomocnik księdza.

– Kto tu jest u was główny... no, po Bogu? – powtórzył Makak. – Muszę z nim porozmawiać.

Chłopiec wskazał ręką chuderlawego starca w czarnym stroju, który stał pod jednym z obrazów z nabożnie złożonymi dłońmi i pochyloną głową. Był wtorek i oprócz siwego świętoszka nikogo więcej w kościele nie było. Jamie podszedł do księdza od tyłu i zatrzymał się niezdecydowanie. Starzec, nie zauważywszy karła, dalej żarliwie się modlił.

– Hej... Psst... – powiedział Makak.

Stary ksiądz otworzył oczy i odwrócił się. Jamie poczerwieniał i opuścił wzrok.

– Co tobie, mój synu?

– Ja tutaj... no... tego... chciałbym coś... tu... – Makak nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Nie zdołał powiedzieć niczego sensownego, przygryzł więc w końcu wargę i w milczeniu podał siwowłosemu starowinie swój plecak.

Duchowny otworzył torbę i z zaciekawieniem zajrzał do środka. Nawet w cieniu nawy zobaczył, że w plecaku są pieniądze. Mnóstwo grubych paczek z pieniędzmi.

– Dla kogo to? – Ksiądz wybałuszył oczy.

– Dla Pana Boga – twardo wymówił Jamie. – Bardzo proszę wszystko przekazać Bogu.

– Ja nie...

– Rób, co mówię, ciołku nierozgarnięty! – wrzasnął mikrus, ale w tej samej chwili się zreflektował i lękliwie oglądając się na boki, zaczął się usprawiedliwiać: – Ojcze, proszę wybaczyć... Proszę mi wybaczyć... Nie to chciałem powiedzieć. – Kilkakrotnie popatrzył za siebie przelęknionym wzrokiem i uważnie przyjrzał się sklepieniu katedry. Chyba wszystko w porządku. Nic nie usłyszał. – Po prostu... Myślę, że ojciec lepiej będzie wiedział, jak je spożytkować. Proszę zrobić tak, żeby trafiły do Pana Boga.

Stary ksiądz nie rozumiał, czego się od niego oczekuje, ale biorąc pod uwagę nietypowe zachowanie niewysokiego pielgrzyma, postanowił się nie sprzeciwiać. Kapłan raz jeszcze zajrzał do plecaka i krzywiąc się z zakłopotaniem, wyciągnął z niego olbrzymi błyszczący rewolwer. Starzec trzymał broń za gładką lufę, z obrzydzeniem ściskając ją dwoma palcami, tak jakby wyjął ją właśnie ze ścieków.

– Oj! – powiedział Makak i jeszcze bardziej poczerwieniał.

– Wydaje mi się – odezwał się zmieszany duchowny – że Panu Bogu to się nie przyda.

– Tak, tak, oczywiście. Może ojciec go... ee... wyrzucić.

Duchowny zmieszał się już zupełnie.

– Dobrze...

– Dobrze. To ja już pójdę.

– Tak, proszę iść.

Ksiądz nadal trzymał magnum w wyciągniętej ręce, jakby się bał, że może wystrzelić przy najmniejszym poruszeniu. Jamie odwrócił się i odszedł.

Nagle, gdy Makak był już prawie przy wyjściu, starzec upuścił rewolwer. (Nie da się zbyt długo trzymać półtorakilogramowego naładowanego magnum dwoma palcami za lufę – praktycznie jest to niemożliwe). Oczywiście żadnego wystrzału nie było, ale odgłos uderzenia metalu o posadzkę sprawił, że cisza katedry rozprysła się w drobny mak.

– Aaa! – wrzasnął mały Jamie. A potem zamknął oczy, upadł na kolana i pochylił głowę, pokornie czekając, aż sklepienie świątyni zawali się na jego grzeszny czerep.

Tego samego dnia, o godzinie dwudziestej, Jamie Makak oddał się dobrowolnie w ręce policji, a wcześniej jeszcze obszernie opisał w zeznaniu wszystkie swoje występki. Dokument zajął osiem arkuszy A4 i zawierał nie tylko wykaz przestępstw, ale i szczegółowy opis schematu dostaw narkotyków do Antofagasty i Santiago de Chile, włącznie z hasłami, nazwiskami kurierów i namiarami na kryjówki. Funkcjonariuszom policji z Chile i Boliwii dwa miesiące zajęło schwytanie każdego, o kim wspomniał nabożny karzeł w autobiograficznym manifeście.

Od tej chwili Jamiego więcej nie nazywano Makakiem. W więzieniu karzeł niestrudzenie opowiadał historię o tym, jak Bóg przysłał do niego anioły. Anioły przyszły i poprosiły o trzydzieści dziewięć masek przeciwigazowych i jeszcze jakieś tabletki. Już zapomniał, co to było. A potem anioły odeszły. Za pierwszym razem Jamie nie kapnął się, że odwiedzili go posłańcy Boży, dlatego dwa tygodnie później Wszchemogący pofatygował się do niego osobiście. I w celach edukacyjnych przypalił pigmeja błyskawicą. Po czymś takim Jamie nie miał już gdzie się schować i przejrzał na oczy. Z tego powodu w więzieniu otrzymał przydomek Jamie Który Widział Boga. Od czasu do czasu lubił zagłębić się w szczegóły i wówczas obrazowo opisywał, jak to na swojej drodze do Najwyższego zesrał się trzy razy: raz w czasie spotkania z Milczącymi Aniołami i dwa razy w momencie osobistej audiencji. Przez to małego Chilijczyka ochrzczono za jego plecami mniej patetycznie, ale równie bosko: Jamie Zastraniec.

CXXX

Środa, 2 września, 03.18 (UTC -4)
Międzynarodowy port lotniczy im. Arturo Merino Beníteza

Na hotel i tak by nie wystarczyło pieniędzy. Zaopatrzywszy się w bilety, Tymur, Laura i Rino zostali na nocleg na lotnisku Santiago.

Ukrainiec nie mógł zasnąć. Zgarnął resztki forsy, która została im po zakupie biletów i spustoszeniu lotniskowej kawiarni, i udał się na poszukiwania kafejki internetowej. Miał szczęście – w jednym z pomieszczeń natrafił na dwa stanowiska komputerowe. Zapłacił za godzinę z góry i uruchomił Skype'a.

W jego kraju była w tej chwili dziewiąta dwadzieścia rano. Alina była online. Chłopak dwukrotnie kliknął na komórkę z jej imieniem. Po jakichś dziesięciu sygnałach dał się słyszeć charakterystyczny odgłos, sygnalizujący ustanowienie połączenia.

– Dzień dobry – cicho przywitał się Tymur.

Dziewczyna milczała.

– Nie obudziłem cię? – Przezornie nie włączał trybu połączenia wideo. Alina słyszała jego głos, lecz widziała przed sobą czarny ekran.

– To... ty...? – odezwała się w końcu. Słysząc było, że jest wściekła.

– To ja – odpowiedział krótko Tymur. – Wracam.

– Aha.

Westchnął.

– Wiem, że wiele rzeczy muszę ci opowiedzieć.

– Możesz się nie wysilać.

– Czyli aż tak... Chcesz powiedzieć, że między nam wszystko skończone?

Alina milczała. Tymur odczuł ulgę.

– Nie wiem, co tam sobie pomyślałaś, ale nie wyciągaj pochopnych wniosków. Jutro przylatuję do Kijowa. Spotkamy się i wszystko ci wyjaśnię. Chcę, żebyś mnie po prostu wysłuchała. – Tak naprawdę to nie miał pojęcia, jak będzie się tłumaczył. Nie zamierzał mówić jej prawdy.

– A gdzie teraz jesteś?

– Na lotnisku w Santiago de Chile.

– Dobrze – apatycznie odparła Alina. – Przylecisz, to zadzwonisz.

Tymur nie potrafił wywnioskować, co kryło się za jej chłodnym tonem.

– I jeszcze jedno... Pieniędzy nie będzie.

– Jakich pieniędzy?

– Nie zapłacili mi.

– Co? – W pancerzu pozornej obojętności pojawiła się szczelina.

– Nie miałem możliwości napisać, bo mnie... nas wszystkich trzymano jak w więzieniu. A potem wszystko szlag trafił. Cieszę się, że w ogóle przeżyłem. Ale o obiecany wynagrodzeniu można zapomnieć. Wracam bez kasy. Kompletnie.

Alina przypomniała sobie słowa swojej mamy: „Przecież on nigdzie nie pojechał, jestem tego pewna. Teraz pewnie tarza się w objęciach jakiejś dziwki”.

– Kłamiesz! Gdzie byłeś przez cały ten czas?

Tymur nie wytrzymał. Przesunął myszką na ikonkę kamery i kliknął na nią, żeby włączyć tryb wideo. Na ekranie laptopa Aliny pojawił się obraz sali odlotów lotniska imienia Arturo Merino Beníteza. Dziewczyna zobaczyła twarz Tymura: zapadnięte policzki, ciemne strupy zaschniętej krwi, popękane usta, sińce pod oczami.

– Nie kłamię...

– Ty... ty... Co ci się stało? Kto to zrobił?

– I tak mi nie uwierzysz, ale to boty.

– Co?! Jakie boty? Dlaczego nie możesz opowiedzieć wszystkiego, jak jest? Proszę, Tymur. Ja wszystko zrozumie.

Aż go zemdliło ze złości. Miał ochotę się na nią wydrzeć. Obrzucać ją najgorszymi wyzwiskami. Wrzasnąć na całe gardło: „Jesteś głupia gęś! Ni cholery nie rozumiesz! Musiałem zabić niewinną kobietę! I to nie była samoobrona, ona nie mogła mi zaszkodzić!”. Miał nieodpartą chęć rozłączyć się.

Tym razem się opanował. Sam nie wiedział, jak tego dokonał, ale udało mu się.

– Wciąż na mnie czekasz?

- Oczywiście, że na ciebie czekam.
 - Czytałem twój e-mail. Ten ostatni. Przeczytałem go dwa dni temu.
- Alina nie wytrzymała i uśmiechnęła się kokieteryjnie.
- Nic się nie stało. Po prostu byłam na ciebie zła.
 - Jeszcze o tym porozmawiamy.

Tymur nie chciał, żeby zabrzmiało to aż tak twardo. Sam się sobie dziwił. Wiedział tylko, że po całej tej „przygodzie” na Atakamie nigdy już nie będzie taki jak przedtem, a szanse na to, że kiedykolwiek pozbędzie się tych metalowych tonów i ostrości w głosie, były nikłe. A w dodatku nagle sobie uświadomił, że nigdy nie będzie chciał mieć dzieci. Przynajmniej *nie syna* – to na pewno. Po prostu przestanie spać, gdy chłopiec osiągnie dwunasty rok życia.

– Nie ma o czym mówić – oznajmiła łagodnie dziewczyna. – Kocham cię... Chociaż dupek z ciebie, jakich mało. Aha, i żebyś wiedział: to był twój ostatni służbowy wyjazd. Przed kolejnym będziesz błagać o rozwód, a wtedy będę cię ciągać po...

Tymur nie miał ochoty jej słuchać. Chciał ją widzieć, nie jej słuchać.

– Więc czekaj na mnie. Jutro będę...

I rozłączył się.

CXXXI

Środa, 2 września, 16.42 (UTC -4)
Międzynarodowy port lotniczy im. Arturo Merino Beníteza
Terminal I, wyjście numer 21

Rino przyczłapał do wyjścia numer dwadzieścia jeden, żeby odprowadzić Tymura i Laurę. Wkrótce Francuzka i Ukrainiec mieli odlecieć do Paryża rejsem AF 401 linii lotniczych Air France. Wylot zaplanowany był na siedemnastą trzydzieści. Na tablicy na prawo od głównego wejścia wyświetlał się numer rejsu i jaskrawy napis „AF 401 – BOARDING”. Czekają ich trzynaście wyczerpujących godzin lotu przez Atlantyki. Tymur miał być w podróży najdłużej. W Paryżu wsiądzie do samolotu Ukraine International

Airlines (rejs PS 9282), który o dwunastej trzydzieści pięć wyruszy do Kijowa.

Headhunter o osiemnastej dwadzieścia pięć wyleci do São Paulo. W Brazylii poczeka trzy godziny, po czym wsiądzie do samolotu pasażerskiego Airbus A340 linii South African Airways, flagowego przewoźnika Republiki Południowej Afryki, który miał go dowieźć do Johannesburga. Żeby odprawić się do samolotu odlatującego do São Paulo, Rino musiał przejść z terminalu I do terminalu D, ale miał dość czasu.

Rany Laury i Tymura powoli się goiły. Mimo to zarówno oparzenia Francuzki, jak i wielobarwne podrapania na twarzy Ukraińca wciąż rzucały się w oczy. Pasażerowie, którzy ustawiali się w kolejce obok bramki numer dwadzieścia jeden, od czasu do czasu rzucali na nich zaniepokojone spojrzenia. Chłopak i dziewczyna sprawiali wrażenie ludzi, którzy wszędzie ciągną za sobą ogromny worek z problemami. W rzeczywistości to przypuszczenie nie było dalekie od prawdy.

Laura i mężczyźni zatrzymali się na końcu kolejki. Żadne z nich nie wiedziało, od czego zacząć.

- Dobrze – odezwała się na koniec pani psychiatra. – Na nas już czas.
- Aha – głucho przytaknął wielkolud. – Miłego lotu.
- Tobie też, Rino – powiedział Tymur.
- Dziękuję.

Ukraińiec wyciągnął do niego rękę.

– Chciałbym powiedzieć coś w rodzaju: miło było cię poznać. Ale po tym wszystkim czasem mam wrażenie, że lepiej, żebyśmy się nigdy nie spotkali.

Headhunter uśmiechnął się i uściśnął dłoń Tymura.

– Wyluzuj, *fella*. Mamy to za sobą. I zapomnij. Sądzę, że nie muszę wam przypominać: języki za zębami. Nikomu ani słowa. Nawet bliskim.

– No jasne – zgodziła się Laura. – Nie było tematu...

Na tablicy wyświetlił się napis FINAL CALL. Pracownica chilijskiego biura Air France zwoływała maruderów:

– To ostatnie wezwanie. Proszę, aby wszyscy pasażerowie oczekujący na lot AF 401 linii Air France do Paryża przeszli do wyjścia numer dwadzieścia jeden.

– Okej. – Rino klepnął Laurę w ramię. – Lećcie.

– Na razie, Rino.

– Na razie...

Laura i Tymur skierowali się do wejścia do rękawa prowadzącego do śnieżnobiałego boeinga 777-228ER. Headhunter w zamyśleniu odprowadzał ich wzrokiem. Na lewo od niego włączony był telewizor, ustawiony na kanale BBC World News. Spikerka opowiadała o bestialskim morderstwie dokonanym na jedenastu boliwijskich wieśniakach. Do Rina dotarły słowa:

Władze lokalne potwierdzają śmierć jedenastu osób na południowym zachodzie Boliwii. Ofiary napadu to mieszkańcy osady górskiej Uyuni. Pierwszego września wieczorem dwóch nastolatków wdarło się do supermarketu. Napastnicy rzucili się bez uprzedzenia na Boliwijczyków, którzy znajdowali się w sklepie. Z powodu ran zadanych prostymi kamiennymi narzędziami dziewięć osób zginęło na miejscu. Dwie zmarły później w szpitalu. Według zeznań świadków, którym udało się zbiec, młodzi napastnicy byli bliźniakami...

Rino nagle poczuł, że podłoga się pod nim rozstępuje. Nie chciał tego, ale jakaś siła kazała mu obrócić głowę. Cała jego uwaga skupiła się na wiadomościach. Spikerka mówiła dalej:

...bez wątpienia wyglądali na Europejczyków, chociaż zachowywali się, cytuję: dziko i agresywnie. Bliźniacy zabrali ciepłą odzież i artykuły żywnościowe i odeszli w nieznanym kierunku. Policja departamentu sporządziła portret pamięciowy podejrzanych...

Headhunter nie słyszał już więcej ani słowa. To, co zobaczył, oszołomiło go. Z ekranu patrzyły na niego dwa doskonale odwzorowane portrety botów. Takie same wyłupiaste oczy. Wydatne kości policzkowe. Zapuszczone jasne włosy. Nadzy do pasa.

Tymur i Laura okazali karty pokładowe i przeszli przez bramkę bezpieczeństwa. Zanim Tymur zanurzył się w rękaw, odwrócił się. Rino stał z podniesionymi rękami i otwartymi ustami.

Najemnik omal nie wrzasnął. Wahał się przez chwilę. Pomyślał, że musi ich zatrzymać. Nie skończyli. Oni...

Ukrainiec pomachał mu.

Przez sekundę Rino stał nieruchomo, wyciągając prawą rękę w górę i do przodu – jak pomnik.

Tymur dostrzegł zaskoczenie (ocierające się o strach) na twarzy Headhuntera i uniósł brwi z zaciekawieniem.

Rino przemógł się i zamachał mu w odpowiedzi. Nie zdołał już jednak wykrzesać z siebie uśmiechu.

Tymur Korszak i Laura Dupré zniknęli w rękawie. Rino Headhunter odwrócił się na pięcie i skierował się do wyjścia z terminalu. Szedł bardzo szybko przed siebie, powtarzając niczym zdarta płyta:

– *Fuck it... Fuck it... Fuck it!*

30 stycznia 2011 – 27 lutego 2012

*Kair – Równe – Półwysep Chalcydycki – Kijów – Luanda – Lüderitz – Park
Narodowy Etosza – Windhuk – Kijów*

Posłowie autora

Dokładnie nie pamiętam, kiedy powstał pomysł napisania tej książki, ale ostateczna koncepcja *Bota* skryształizowała się zimą z 2010 na 2011 roku (większość czasu spędziłem wówczas na Saharze). Mimo to – czego jestem absolutnie pewien – poszczególne obrazy, rozmyte i niewyraźne, migotały w mojej głowie na długo przedtem, nim utworzyłem w komputerze katalog o nazwie „Bot” i zacząłem zbierać materiały. Obrazy te zakradły się do mojej podświadomości latem 2009 roku, kiedy to po raz pierwszy trafiłem na Atakamę, która jest najbardziej suchą pustynią na naszej planecie. Od tamtego okresu czasem mnie nawiedzały. W snach. Zazwyczaj w niedobrych snach...

Wahałem się. Trochę się bałem zaczynać. Wiedziałem, że ta powieść nie będzie krótka. Spodziewałem się, że nie będzie łatwo zebrać wszystkie te straszne obrazy, które nocami poruszały się po moim mózgu niczym niewielkie, lecz natrętne robaczki. Nie wystarczy być dojrzałym, aby napisać książkę. Czasem potrzebny jest potężny kop, który zmusi do rozpoczęcia pracy. Jednak pomysł mnie nie opuszczał, a w styczniu 2011 roku takie powody się pojawiły.

Po pierwsze, skończyłem pisać *Miłość i piranie*, historię moich wędrówek po Brazylii, i musiałem zacząć coś nowego. W zasadzie to jest oczywiste. Drugim powodem zaś była... Sahara. Włóczęgi po Bliskim Wschodzie sprawiły, że moje stosunki z Arabami nabrały zupełnie nowego wymiaru jakościowego – przestałem się z nimi komunikować. Przejeżdżałem z jednej oazy do drugiej, trzymając się z dala i z nikim nie rozmawiając (z wyjątkiem sytuacji, kiedy było to konieczne). Przebywając sam ze sobą, miałem wystarczająco dużo czasu, żeby obmyślić fabułę. Ponadto miałem swojego pocketbooka i właśnie na Saharze, w jednej z tych zapomnianych przez Boga i ludzi oaz, chowając się przed żarem w cieniu gaju palmowego, przeczytałem powieść Michaela Crichtona *Rój*. Akcja tej książki (mimo że nie ma bezpośrednich odniesień do *Bota*) również rozgrywa się na pustyni – w stanie Nevada, na południowym zachodzie USA. Czytając tę powieść, po raz pierwszy poczułem prawdziwy strach. Nie wiem, czyja to zasługa: „ojca” technothrillera Michaela Crichtona czy może bezkresnych przestrzeni Sahary,

fakt pozostaje jednak faktem – pełne grozy i napięcia epizody w *Roju*, w połączeniu z otaczającymi mnie prawdziwymi pejzażami pustynnymi, aktywowały wulkan wyobraźni w mojej głowie. Widziałem na jawie wydarzenia, które miały się pojawić w mojej przyszłej książce: pierwsze spotkanie z botem, „malec” z przyczepioną ludzką twarzą, Headhunter rozstrzelujący boty itd.

Założyłem, że akcja *Bota* będzie się toczyła w laboratorium odciętych od reszty świata. Czyli wiedziałem, że będę pisał o pustyni. Prawdę powiedziawszy, Saharę musiałem wyeliminować już na samym początku. Nie mogę powiedzieć, żeby te rejony egipskiej części pustyni, które poznałem, były gęsto zaludnione, jednak i tak były *zbyt* ciasne, by pomieścić wymyślone przeze mnie boty i służyć jako scena rozgrywających się tam wydarzeń. Na Saharze są oazy. Jest ich aż pięć. Cztery z nich (Al-Charidża, Ad-Dachila, Al-Farafira i Al-Bahrija) połączone są fantastyczną drogą asfaltową. Do każdej bez trudu można się dostać rejsowym autobusem. Nawet ta najbardziej oddalona – Siwa, zamieszкана przez potomków Berberów – również nie sprawiła na mnie wrażenia zabitej dechami dziury. Niewykluczone, że gdzieś w głębi Sahary do dziś ostały się naprawdę dzikie miejsca, lecz ja do nich nie dotarłem, a pisać o czymś na ślepo nie miałem chęci.

Wróciłem więc do Atakamy – pustyni z przerażającymi wąwozami i upiornymi formacjami wapiennymi. Do pustyni, na której nie ma oaz. Wydaje mi się, że książka tylko na tym zyskała.

Moja fascynacja pustyniami była pierwszym z dwóch filarów, na których oparł się *Bot*. Drugim stała się nauka. Ale „nauka” nie w rozumieniu całokształtu wiedzy na temat danego obiektu czy zjawiska, lecz jako najniebezpieczniejsza zabawka w rękach ludzkości.

Dziwne... W drugiej połowie XX wieku z powodu błędów, nieodpowiedzialności czy bezpośredniej działalności uczonych zginęły miliony ludzi. Dwudziestego pierwszego stycznia 1968 roku bombowiec B-52 Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych z czterema ładunkami jądrowymi na pokładzie rozbił się w czasie lotu treningowego na północy Grenlandii. Bomby nie wybuchły, ale zostały zniszczone. Osiemnaście osób zginęło na miejscu, 500 otrzymało różne dawki promieniowania. Amerykanie mieli szczęście, że lot odbywał się nad praktycznie bezludną Grenlandią, a nie choćby nad USA czy Kanadą. Trzeciego grudnia 1984 roku w Bhopalu, stolicy indyjskiego stanu Madhja Pradeś, na skutek awarii, do jakiej doszło

w zakładach chemicznych firmy Union Carbide Corporation, do atmosfery dostało się 40 ton izocyjanianu metylu (CH_3NCO). Zginęło ponad 6300 osób, a uszczerbku na zdrowiu doznało jeszcze pół miliona. Dwudziestego szóstego kwietnia 1986 roku awaria w elektrowni jądrowej w Czarnobylu kosztowała życie 30 osób, a setki tysięcy zostało napromieniowanych. I to jeszcze nie koniec wyliczanki. Cała lista katastrof zajęłaby nie mniej stron niż ta książka. Do tej pory jednak żaden doktorant, przed otrzymaniem stopnia doktora czy też doktora habilitowanego, nie jest poddawany żadnym testom psychologicznym na potwierdzenie jego zdolności do wykonywania zawodu, jakim na przykład poddawani są piloci samolotów pasażerskich.

Być może problem jest przesadzony. W końcu katastrofy przemysłowe zdarzają się stosunkowo rzadko, zazwyczaj można je zażegnać itd., itp. Mógłbym się pogodzić z tym stwierdzeniem, gdyby wielkie awarie zdarzały się, powiedzmy, raz czy dwa razy na sto lat, zabierały do grobu kilka tysięcy osób, niszczyły życie kilku milionom – wówczas na tym można byłoby poprzestać. Gdyby z czasem sytuacja nie stawała się gorsza, napisałbym tę powieść inaczej. Albo nie napisałbym jej wcale.

Chodzi jednak o to, że sytuacja wciąż się pogarsza. Z każdym rokiem. Z każdym dniem.

Nic nie stoi w miejscu. Świat się rozwija, maszerując przed siebie z niewyobrażalną prędkością. Co dwa–trzy lata wzrasta ilość informacji naukowej. Równocześnie ewoluuje metodologia, pojawiają się nowe sposoby oraz narzędzia. Jeszcze 10 lat temu ważne było „utrzymywanie się na fali zmian”. „Jeśli nie jesteś na fali, jesteś poza nią” – mówiono młodym naukowcom. Dzisiaj wszystko się... zmieniło. „Fala wiedzy” stała się tak wysoka, że jeden człowiek nie jest w stanie jej pokonać. Doświadczenia osiągnęły taką głębię, że uczone nie może już być fachowcem w dwóch dziedzinach jednocześnie. Naukowcy dłubią więc teraz w jednej konkretnej – każdy w swojej – sferze, próbując poznać ją jak najlepiej, a jednocześnie mając nadzieję, że sfera ta nie straci na aktualności. Neurochemik wie wszystko na temat oddziaływań chemicznych na poziomie komórek nerwowych, ale nie rozumie mechaniki kwantowej. Cybernetyk nie ma pojęcia o nanotechnologii i nawet się nie domyśla, jak jest ona bliska jego działce. Na początku ubiegłego wieku samotny geniusz mógł zmienić obraz świata, stworzyć nową gałąź wiedzy (Albert Einstein, Benoît Mandelbrot i inni), dziś naukowcy zmuszeni są pracować w zespołach. Liczba autorów

artykułu opublikowanego w „Nature” albo „Science” czasem przekracza sześćdziesiąt nazwisk!

I w tym *właśnie* kryje się zagrożenie. Wypuszczamy dzinna z butelki. I nie przyjdzie nam długo czekać na moment, kiedy nie będziemy już umieli kontrolować własnej potęgi technologicznej. I uczeni, ci kapłani nauki, będą bezsilni, nawet gdyby łączyli się w zespoły liczące po tysiąc osób. Ilość nowej wiedzy, a także – co najważniejsze – szybkość, z jaką się pojawia, może po prostu zgubić nas wszystkich.

Na ten temat można by długo deliberować, *Bot* jednak powstał w nieco innym celu. Największe niebezpieczeństwo bowiem, jakie niesie ze sobą tak szybki rozwój techniki, bynajmniej nie jest tak oczywiste.

Praemonitus praemunitus – jak mawiali starożytni Rzymianie. Zawczasu ostrzeżony na czas uzbrojony. Katastrofa przemysłowa, która dotyka jednej, dobrze znanej gałęzi, to jeszcze pół biedy. Naukowcy, którzy zajmą się jej zażegnaniem, przynajmniej będą wiedzieli, z czym mają do czynienia, co z kolei oznacza, że będą wiedzieli, jak postępować.

Osiągnięcia w ramach różnych dziedzin nauki, udoskonalenie metod naukowych, użycie jeszcze doskonalszych narzędzi otworzyły przed badaczami nowe możliwości. Tyle że nikt nie przewidział, że te kolosalne możliwości każą nam stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem nowych, zupełnie *nieznanych* katastrof. Nie tych, które mogą być spowodowane awarią urządzeń, błędami w obliczeniach inżynierów, pomyłkami personelu czy nawet umyślnym działaniem. Czyhają na nas katastrofy, które *zrodzą się z niewiedzy*. I niezwykle trudno będzie się z nimi uporać.

Wyjaśnię szerzej. Kilkadziesiąt lat temu, kiedy uczyony pracował nad jakimś eksperymentem, przewidywał (oceniał) rezultat tego eksperymentu. Innymi słowy – starał się domyślić, co uda mu się uzyskać. Mówiąc zupełnie mechanistycznie, wyglądało to mniej więcej tak: „Łączę kilka dźwigni, zaczepiam na nich kółeczka zębate, wstawiam taki oto wał, a potem naciskam ten przycisk – i wszystko zaczyna się kręcić mniej więcej tak”. Świetnie, tyle że era mechanicyzmu dawno już odeszła w zapomnienie. Dzisiaj naukowcy dotarli do głębin, za którymi rozpoczyna się prawdziwa niewiedza, teren, na którym zarówno intuicja, jak i bujna wyobraźnia tracą swoją moc. Dobrym przykładem jest tu Wielki Zderzacz Hadronów. Ten kolosalny akcelerator cząstek, ulokowany na granicy Szwajcarii i Francji (niedaleko Genewy), został zbudowany po to, aby rozwiązać największą sprzeczność współczesnej

fizyki. W dwudziestym wieku zostały sformułowane dwie podstawowe teorie dotyczące powstania Wszechświata. Pierwsza z nich bazuje na teorii względności Einsteina, opisując Wszechświat na poziomie makro, druga opiera się na mechanice kwantowej, opisując Wszechświat na poziomie mikro. Kłopot w tym, że teorie te (mimo że każda z nich została oddzielnie sprawdzona eksperymentalnie) są *niezgodne*. Dla odpowiedniego przedstawienia wielu procesów potrzebne jest zastosowanie obu teorii jednocześnie, one tymczasem... wykluczają się nawzajem. Wielki Zderzacz Hadronów został zaprojektowany po to, aby uzyskać odpowiedzi na podstawowe pytania dotyczące budowy Wszechświata, a jednocześnie połączyć te teorie. Tak, tylko... to są wyłącznie słowa. Nikt z uczonych nie wie, jaki rezultat przyniosą eksperymenty. Nie mówię o możliwości pojawienia się czarnych dziur, które wchłoną całą kulę ziemską. To brednie. Mówię o tym, że fizycy nie mają pojęcia, która teoria okaże się słuszna – względności czy kwantowa – a może pojawią się jakieś nowe fakty, które wprowadzą ład między nimi, czy też – kto wie – sformułuje się zupełnie nową teorię budowy Wszechświata. Uczeni nie wiedzą, czym skończy się zderzenie ciężkich jonów i protonów, przyspieszonych do kolosalnych prędkości!

I to właśnie legło u podstaw *Bota*, gdyż fizyka jądrowa to tylko jeden z przykładów.

Drugi przykład to nanotechnologia – nauka o mechanizmach tysięcy razy cieńszych od włosa ludzkiego. Hasło „nanoroboty” po raz pierwszy pojawiło się w 1959 roku podczas wykładu Richarda Feynmana[139], zatytułowanego *There's plenty of room at the bottom*. Naukowcy szacują, że w ciągu najbliższych 20–30 lat nanotechnologie przenikną do wszystkich dziedzin techniki: roboty wielkości jednej komórki będą wykorzystywane w celu wykrycia i zniszczenia komórek rakowych w organizmie; będą wprowadzać karty nano do minikomputerów, pełnić funkcje wojskowych wywiadowców itp. Pomimo że sztucznie stworzone przez człowieka, staną się żywe w pełnym znaczeniu tego słowa. Ich wpływ na biosferę może być – i będzie – olbrzymi. Znacznie większy niż efekty działania rewolucji przemysłowej czy zanieczyszczenia środowiska odpadami.

Ale przecież wpływ nie musi od razu oznaczać *niebezpieczeństwa*. Dzisiejsze nanoroboty nie są zdolne do replikacji, są zbyt wrażliwe na wiatr, promieniowanie słoneczne, brud – nie przeżyłyby w środowisku zewnętrznym. Mogą być niebezpieczne jak wirusy, my jednak wiemy, jak walczyć z wirusami. Zagrożenie przyjdzie z innej strony: od zespołu

naukowców, którzy znajdą dla nanorobotów zastosowanie w rozmaitych branżach. Pisałem o tym wyżej, wielokrotnie też wspominałem w książce. Jeden robot nie robi nic. Nanoroboty zebrane w wielkie skupiska – roje – będą w stanie wykonać dowolne zadanie. Aby kierować takimi rojami, potrzebni są programiści. Kiedy rój będzie gotowy do pracy, będą potrzebni specjaliści w dziedzinach, w których planowane jest zastosowanie nanomechanizmów (medycyna, mikroprocesory itp.). W efekcie na zespół badawczy złożą się specjaliści co najmniej trzech dziedzin.

Nanotechnologia stanie się bardzo niebezpieczna, jeśli się połączy z innymi technologiami.

Współczesne metody i narzędzia są tak doskonałe, że pozwalają przeprowadzać doświadczenia bez zagłębiania się w istotę procesu czy zjawiska. Zdarza się czasem, iż projektant próbnego urządzenia staje się większym specjalistą niż ten, kto z tego urządzenia korzysta. Właśnie w takich warunkach – na granicy kilku dyscyplin, z udziałem uczonych, spośród których wielu bynajmniej nie jest znawcami głównego przedmiotu badań – rozwój nanotechnologii może przynieść niespodziewane i potworne rezultaty, o jakich nikomu się nawet nie śniło.

I właśnie o tym jest moja książka.

Zacząłem pisać *Bota* 30 stycznia 2011 roku w hotelu Cairo Stars w Kairze, który znajdował się wówczas w epicentrum egipskiej rewolucji. Wstęp i trzon powieści powstawały na Ukrainie wiosną, latem i jesienią 2011 roku (wyjąwszy kilka fragmentów, które opracowałem podczas podróży do Grecji oraz wędrowki po Nowej Zelandii). Część zamykająca – kulminacja i rozwiązanie – została napisana zimą 2011/2012 roku w Angoli i Namibii. Miałem to szczęście, że kończyłem książkę, siedząc przy ognisku, od stóp do głów wysmarowany repelentem, słuchając – zamiast terkotu silników, które utknęły w korkach – odległego ryczenia lwów i nawoływania się małp. To było pomocne. Zanim oddałem *Bota* do druku, po raz ostatni przeczytałem całość w hostelu Cardboard Box Backpackers w stolicy Namibii. Jego gospodarzowi, Chadowi, należą się specjalne gorące podziękowania: Cardboard to najlepszy *writing house*, jaki tylko można sobie wyobrazić.

Wszystkie technologie wspomniane w powieści istnieją naprawdę. Opisując połączenia neuronów z substancjami nieorganicznymi, opierałem się na pracach naukowców z wydziału bioinżynierii Uniwersytetu Arizony (Stephen P. Massia, Matthew M. Holecko, Gholam R. Ehteshami *In vitro*

assessment of bioactive coatings for neural implant applications), a także międzynarodowego zespołu uczonych z belgijskiego uniwersytetu w Leuven (Carmen Bartic, Koen De Keersmaecker i Els Parton *Neurons on Chip: Bridging the Gap Between Biology and Microelectronics* oraz Els Parton, Kurt Winters, Dries Braeken, Koen De Keersmaecker, Carmen Bartic i Gustaaf Borghs *Patterning neurons-on-chip devices using microcontact printing*).

Roboty molekularne oraz proces molekularny również istnieją naprawdę. Roboty molekularne omówione są szczegółowo w artykułach Andrew Tuberfielda (Uniwersytet Oksfordzki) i Ludwiga Bartelsa (Uniwersytet Kalifornijski w Riverside). Na temat nanoprocesora czytałem w artykułach Anirbana Bandyopadhyaya i Somobraty Acharya z Międzynarodowego Centrum dla Młodych Naukowców (ICYS) w Tsukubie[140].

Z teorią chaosu zaznajomiłem się już dawno, kiedy zajmowałem się programowaniem i grafiką trójwymiarową. Proponuję przeczytać publikację Jamesa Gleicka *Chaos: Narodziny nowej nauki*[141]. Swojego czasu książka ta zmieniła mój światopogląd, rozbijając w proch wiele założeń fizyki klasycznej. Została napisana w zachwycający sposób, a nie wymaga przy tym od czytelnika dogłębnej wiedzy – ani matematycznej, ani fizycznej.

Od grafiki 3D zaczęła się moja fascynacja fraktalami. Więcej się można o nich dowiedzieć z książki Mandelbrota *Fraktalna geometria przyrody*[142]. Jednak prawdę mówiąc, wiele rozdziałów w tym niemałym eseju naukowym jest na tyle skomplikowanych, że aby je zrozumieć, należy być obkutym z matematyki.

Istnienie psychoistoty również ma swoje naukowe podstawy. Tworząc tę „postać”, bazowałem na teorii Carla Junga. Z ideą zbiorowej nieświadomości można się zapoznać w *Wykładach tawistockich*[143] (dziękuję Julii Dżugastriańskiej za naprowadzenie mnie na tę książkę).

Chciałbym także wyrazić swoją wdzięczność doktor chemii Anastazji Jakowenko za pomoc w opracowywaniu wielu technicznych fragmentów tej powieści. To właśnie Nastia „wniosła” do książki aldosteron i wszystko, co jest związane z tym hormonem, oraz sprawiła, że moja koncepcja uzależnienia botów od sterydów zyskała na realności. Oddzielne podziękowania należą się również mojemu koledze, zawodowemu programiście Edwardowi Korolczukowi, za cenne wskazówki dotyczące opracowywania botów do gier komputerowych. Co prawda i tak się do nich nie zastosowałem i napisałem wszystko po swojemu, ale mimo to dziękuję ci, Edwardzie.

Kiedy obmyślałem temat powieści, nie planowałem fragmentu o naradzie w Pentagonie. Stało się to konieczne, gdy zrozumiałem, że żaden z istniejących bombowców po prostu *nie zdoła dostarczyć bomb* na pustynię. Atakama położona jest zbyt daleko od jakiegokolwiek czynnej bazy amerykańskiej (baza lotnicza Howard w Panamie została zamknięta 1 listopada 1999 roku).

Postanowiłem, że laboratorium zbombardują samoloty Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Rosja leży za daleko od Atakamy, a żaden inny kraj na świecie nie dysponuje na tyle potężnym lotnictwem strategicznym. I – co najważniejsze – na dzień dzisiejszy tylko Stany Zjednoczone mają niewykrywalne bombowce, zdolne omamić radary najnowocześniejszych systemów obrony przeciwlotniczej.

Tak się właśnie zaczął cały ten rozgardiasz związany z przygotowaniem operacji „Antybot”. Sporo musiałem wymyślić, żeby tylko B-2 Spirit zdołał dotrzeć do celu. Próba włączenia do akcji samolotów-cystern spaliła na panewce – powietrzne tankowce też muszą gdzieś lądować. Nie wiedziałem, co będzie dalej. A nie miałem ochoty kazać któremuś z członków projektu NGF wysadzać kompleks badawczy – to banalny, oklepany trik, stosowany w filmach hollywoodzkich.

Po całych tygodniach żmudnych poszukiwań natrafiłem na artykuł, w którym była mowa o sadzaniu samolotu C-130 na lotniskowiec. To była *jedyna* taka akcja w historii lotnictwa! Kiedy się zorientowałem, że jedna z odmian „stotrzydziestki” akurat jest tankowcem, zorientowałem się, że właśnie znalazłem wyjście z tego ślepego zaułka. Dokładnie obliczyłem godzinę wylotu, godzinę uderzenia, miejsce spotkania „Ducha” z powietrzną cysterną oraz utratę paliwa i wcisnąłem do treści epizod związany z planowaniem operacji i ze zniszczeniem laboratorium. Wydaje mi się, że dzięki temu fabuła stała się bardziej realistyczna.

Może nie warto pisać, że lotniska, loty pasażerskie, terminale, a nawet bramki wspomniane na stronach tej książki także istnieją. Jedyne, co zmyśliłem, to liczba ludności San Pedro. W rzeczywistości San Pedro de Atacama liczy tysiąc dziewięciuset trzydziestu ośmiu mieszkańców. Zmniejszyłem tę liczbę pięciokrotnie, do czterystu, uznałem bowiem, że to realne, aby z taką liczbą bez trudu poradziło sobie czterdzieści wytrenowanych istot (kombinowałem tak: trzy piąte z tych czterech setek to kobiety i dzieci; zostaje stu sześćdziesięciu mężczyzn porzrzucanych po

wiosce, sennych i niezdatnych do walki, o ile boty przyjdą niespodziewanie w środku nocy). Prawdę powiedziawszy, był jeszcze drugi wariant: mogłem zwiększyć ogólną liczbę botów i odpowiednio liczbę tych, które uciekły z laboratorium, ale stworzenie współczesnej interpretacji eposu *Wojna i pokój* nie było przewidziane w moich planach.

Pragnę zaznaczyć, wszyscy bohaterowie oraz kluczowe wydarzenia powieści są zmyślane.

I na ostatek... Kiedy lato 2011 zbliżało się ku końcowi, a ja miałem za sobą pięćset tysięcy znaków ze spacjami, straciłem sens.

Pisałem dalej, raczej jednak siłą inercji niż w przemyślany sposób. Nie mogłem już dłużej patrzeć na swój tekst obiektywnie. Coś takiego często się zdarza, kiedy piszesz duży utwór. Utrata poczucia świeżości wcześniej czy później prowadzi do utraty wiary w samą ideę. Po prostu przychodzi moment, kiedy *już ci się nie chce opowiadać tej historii samemu sobie*. I jest to cholernie nieprzyjemna rzecz. A wtedy pewnego dnia przypadkiem natrafiłem na piosenkę *Undead* młodej rapcore'owej grupy Hollywood Undead. To było prawdziwe trzęsienie ziemi! Pieprzony Wezuwiusz rzygnął ogniem tuż przed moją gębą. Nic takiego nie zdarzyło mi się od 1998 roku, kiedy to po raz pierwszy usłyszałem szwedzką grupę rockową In Flames. Nasycona, impulsywna melodia przepełniała mnie, rozdzierała na kawałki, wypalała mi wnętrza. Chodziłem po ziemi, a jednocześnie latałem gdzieś wysoko.

Trzeba było gdzieś spożytkować takie nagromadzenie energii. Dlatego z nowymi siłami usiadłem do rękopisu. Każdego dnia o świcie wrzucałem do odtwarzacza trzy utwory Hollywood Undead: *Undead*, *California* i *City*, ustawiałem dźwięk na pełny regulator, żeby zagłuszyć pozostałe odgłosy Wszechświata, i pisałem, pisałem, pisałem... Zupełnie nieznani młodzi rockmeni odegrali rolę elektrowstrząsów, które rozpały moją głowę, przywracając jej normalny tryb. Sześć–siedem godzin, dwa tysiące słów, trzynaście tysięcy znaków każdego dnia – i zobaczyłem, jak pojedyncze, rozerwane łąty zrastają się w mocne wielobarwne płótno i zaczynają tworzyć całą opowieść.

Dlatego też na sam koniec dziękuję chłopakom z zespołu Hollywood Undead za to, że napisali piosenkę, która skierowała myśli w mojej głowie na właściwe tory i pomogła mi skończyć książkę. Utwór ten pozwoli lepiej zrozumieć, w jakim nastroju – na poły oszalałym, na poły euforycznym – pisałem ostatnie rozdziały *Bota*. Sądzę, że wam też może się przydać. Bez

trudu znajdziecie go w sieci. Chciałbym, żeby grzmiące akordy natchnęły was, zamknęły potrzebne neurony w mózgu i pomogły wam zakończyć jakikolwiek projekt na takim wysokim poziomie, na jaki tylko możecie się zdobyć.

Kto wie, może się mylę, i piosenka przepłynie obok was, ominąwszy ważne dla życia narządy... Cóż, wtedy po prostu ustawcie głośniki na cały regulator, żeby powkurzać sąsiadów. ☺

M.K.

14 stycznia 2012 roku

Hostel Cardboard Box Backpackers

Windhuk, Namibia

PS Fragment, w którym Rino Headhunter strzela do botów z karabinu snajperskiego, nakrywszy ich w najbardziej intymnym momencie ich krótkiego, lecz niełatwego życia, poświęcam Quentinowi Tarantino i Chuckowi Palahniukowi.

DODATEK A

Zbiór Mandelbrota

Zanim przejdziemy do omówienia zbioru (fraktala) Mandelbrota, przypomnijmy, czym jest zwykłe równanie kwadratowe (wszyscy się tego uczyliśmy w szkole podstawowej) oraz jak się je rozwiązuje. Właśnie dzięki takim równaniom najprościej zrozumieć pojęcie liczb zespolonych i płaszczyzny zespolonej.

Równaniem kwadratowym nazywa się równanie algebraiczne typu:

$$ax^2 + bx + c = 0,$$

gdzie a , b i c to współczynniki, a x to zmienna.

Równanie to ma dwa rozwiązania (pierwiastki), które obliczamy za pomocą wyrażenia:

$$x = \frac{-b \pm \sqrt{b^2 - 4ac}}{2a}$$

Ogólnie wyrażenie $b^2 - 4ac$, z którego w liczniku oblicza się pierwiastek kwadratowy, może być dowolne – zarówno dodatnie, jak i ujemne. Gdy $b^2 - 4ac \geq 0$, problem nie istnieje – równanie rozwiązujemy i otrzymujemy dwa pierwiastki. Co się jednak dzieje, kiedy $b^2 - 4ac < 0$, a wyrażenie pod pierwiastkiem kwadratowym jest ujemne? W szkole uczono nas, że takiego równania nie da się rozwiązać. Po prostu nie ma takich pierwiastków. Twierdzenie to powodowane było niemożliwością wyciągnięcia pierwiastka kwadratowego z liczby ujemnej. W rzeczywistości wszystko to nie jest takie proste.

W matematyce istnieje wiele zadań, w których, podczas ich rozwiązywania, trzeba wyciągać pierwiastki z liczb ujemnych. Aby poradzić sobie z tym problemem, matematycy wpadli na ciekawy pomysł: wymyślili *jednostkę urojoną* i oznaczyli ją jako i . Jednostka urojona to taka liczba, której druga potęga równa jest -1 , a więc $i^2 = -1$. Dzięki temu równanie kwadratowe można rozwiązać nawet przy $b^2 - 4ac < 0$. W takim wypadku pierwiastek będzie wyglądał następująco:

$$x = \frac{-b \pm i\sqrt{-b^2 + 4ac}}{2a},$$

gdzie i to jednostka urojona.

A teraz zapomnijcie o równaniach kwadratowych i skoncentrujcie się na idei jednostki urojonej. Wprowadzenie pojęcia liczby i poskutkowało pojawieniem się liczb zespolonych.

Ogólnie rzecz biorąc, *liczby zespolone* to rozszerzenie liczb rzeczywistych, którymi posługujemy się zazwyczaj podczas liczenia. Każdą liczbę zespoloną zapisuje się w następujący sposób:

$$z = x + iy,$$

gdzie x i y to liczby rzeczywiste, a i to jednostka urojona.

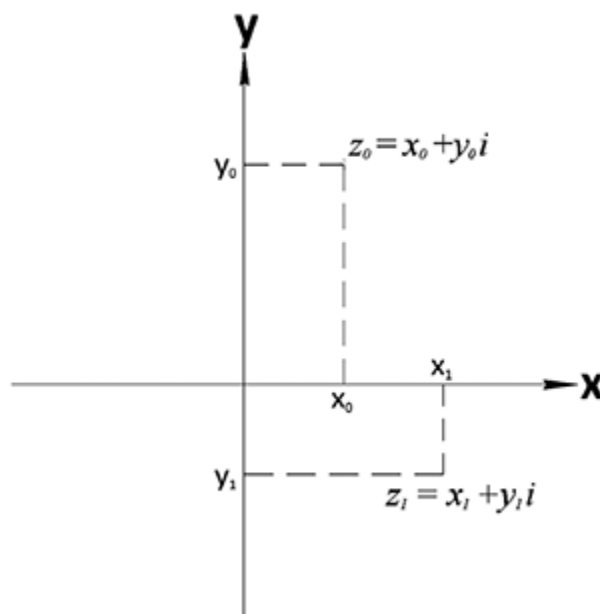
Przez długi czas liczby zespolone były postrzegane jako abstrakcja wymyślona przez matematyków wyłącznie na potrzeby matematycznych łamigłówek. Dzisiaj liczby zespolone pozwalają w wygodny i precyzyjny sposób tworzyć liczne modele matematyczne, stosowane są również w fizyce matematycznej oraz naukach przyrodniczych (w elektrotechnice, hydrodynamice, mechanice kwantowej, teorii drgań itp.). I właśnie gdyby nie liczby zespolone, uczeni do tej pory nie mieliby pojęcia o geometrii fraktalnej, a także o niezwykle skomplikowanym porządku istniejącym w przyrodzie.

Liczby zespolone można przedstawić geometrycznie (wizualnie). Weźmy na przykład płaszczyznę z układem współrzędnych kartezjańskich (prostokątnym). Oś odciętych jest oznaczona jako x , oś rzędnych – jako y . Każdą liczbę zespoloną ($z_0 = x_0 + iy_0$ lub $z_1 = x_1 + iy_1$) można przedstawić

jako punkt na tej płaszczyźnie (zgodnie ze współrzędnymi $\{x_0, y_0\}$ i $\{x_1, y_1\}$). Płaszczyzna ta określana jest jako *zespólona*.

(Notabene zwróćcie uwagę, że liczby rzeczywiste (te, którymi posługujemy się na co dzień) na płaszczyźnie zespolonej odpowiadają wyłącznie osi odciętych. Dla nich $y = 0$. Wprowadzenie pojęcia liczb zespolonych niezwykle rozszerzyło granice obliczeń matematycznych. To tak, jakby otworzyła się przed nami inna rzeczywistość, inny wymiar. Na płaszczyźnie zespolonej liczby te to wszystko, co leży powyżej i poniżej osi odciętych. Innymi słowy, z punktu widzenia matematyki liczby rzeczywiste występują raczej rzadko, są wyjątkami. Zdecydowana większość znaczeń wyrażona jest właśnie liczbami zespolonymi, nie rzeczywistymi).

I tym sposobem dotarliśmy wreszcie do zbioru Mandelbrota.



Geometryczne przedstawienie liczb zespolonych na płaszczyźnie zespolonej

Matematyk Benoît Mandelbrot badał procedury rekurencyjne typu $z_{i+1} = z_i^2 + c$, gdzie c to dowolna liczba zespolona, a $z_0 = 0$.

Weźmy dla przykładu $c = 3 - 2i$.

Trzy pierwsze elementy ciągu będą się równać:

$$z_1 = z_0^2 + c = 0 + 3 - 2i = 3 - 2i$$

$$z_2 = z_1^2 + c = (3 - 2i)^2 + 3 - 2i =$$

$$= 9 - 12i + 4i^2 + 3 - 2i = 8 - 14i$$

$$z_3 = z_2^2 + c = (8 - 14i)^2 + 3 - 2i =$$

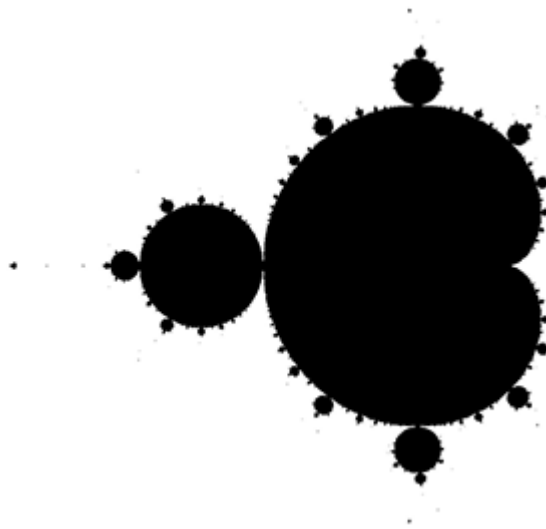
$$= 64 - 224i + 196i^2 + 3 - 2i = -129 - 226i$$

I tak dalej... No i co tutaj badać, zapytacie. Chodzi o to, że prawie nic. Każde z nowo otrzymanych z_1 również jest liczbą zespoloną i oznaczone jest odpowiednim punktem na płaszczyźnie zespolonej. Matematycy jeszcze na długo przed Mandelbrotem zauważyli, że niektóre z_1 dążą do nieskończoności, inne natomiast zbiegają się, to znaczy dążą do jakiejś konkretnej liczby. Takie dziwne zachowanie nie dało się podporządkować żadnej teorii, a co za tym idzie, nikt nie potrafił go wyjaśnić. Uczonych zaintrygowało, co kryje się pod zbiorem elementów ciągu $z_{i+1} = z_i^2 + c$, które nie dążą do nieskończoności. Jaką utworzą figurę? Koło? Elipsę? A może będzie to po prostu chaotyczny zbiór punktów? Czy może jakiś bardziej skomplikowany obraz?

Do momentu pojawienia się elektronicznych maszyn liczących utworzenie tej figury było niemożliwe. Pierwszy postanowił zmierzyć się z tym problemem Benoît Mandelbrot, wyposażony w potężną maszynę liczącą oraz system graficzny umożliwiający przedstawienie rezultatów. Ciągłe rozmyślanie nad rażącym podobieństwem między linią brzegową, terenami górskimi, chmurami a innymi obiektami naturalnymi występującymi w *różnej skali* doprowadziły Mandelbrota do zbudowania ciągu $z \rightarrow z^2 + c$.

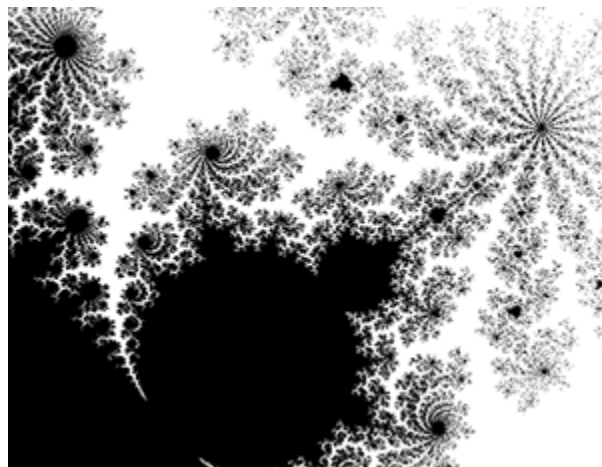
Uczony zabrał się więc do pracy. Jako że punkt nie dążył do nieskończoności, komputer przedstawił go jako czarną kropkę na płaszczyźnie zespolonej. W przeciwnym wypadku kropka była biała.

Nie wiem, co chciał zobaczyć Mandelbrot po zbudowaniu pierwszego zbioru, który wkrótce potem został nazwany jego imieniem. Jestem natomiast przekonany, że nie spodziewał się on zobaczyć czegoś takiego:



Zbiór Mandelbrota na płaszczyźnie zespolonej

Mandelbrot otrzymał figurę, która przypominała kardioidę z mnóstwem przyczepionych do niej owalnych figur. To go zaskoczyło. Nigdy dotąd nie widział czegoś takiego, a co najważniejsze – niczego takiego się nie spodziewał. Nic nie wskazywało na to, że w takiej prostej formule może się kryć taki skomplikowany obraz. Jednak to, co naprawdę miało go oszołomić, było wciąż przed nim.



Zbliżenie jednego z elementów zbioru Mandelbrota

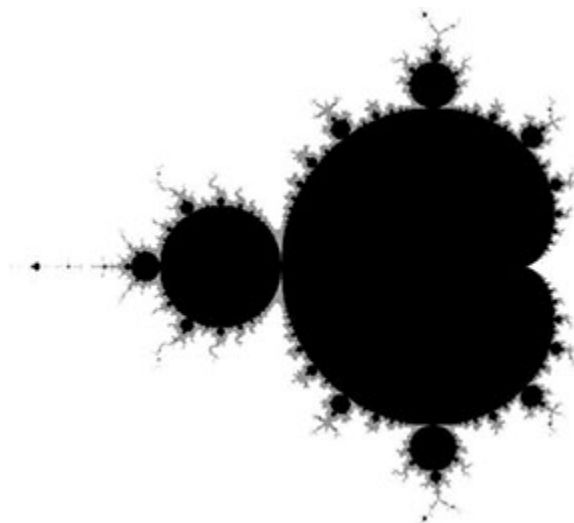
Naukowiec wybrał część obrazu i przybliżył go, z większą starannością dobierając początkowe wyrazy ciągu z_0 . To, co otrzymał, zszokowało go. To, co na dużym obrazku wydawało się kropką bądź niewyraźną plamką, przy powiększeniu okazało się dziwnym rysunkiem, w którym tu i ówdzie pojawiała się wierna kopia głównego obrazka – strasznej kardioidy. Kolejne

zbliżenia otwierały przed matematykiem coraz bardziej niesamowity widok – wszystkie elementy tych rysunków były ze sobą powiązane. Przy danym zbliżeniu Mandelbrot ujrzał plamkę. Jednak warto było się w nią zagłębić, żeby się przekonać, jak plamka przekształca się w dziwnie skrócone galaktyki.

Benoît Mandelbrot nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Obraz był płaski, ale uczony zanurzył się w głąb, jakby był on trójwymiarowy. To tak, jakby zajrzeć do własnej szafy z ubraniami i nagle odkryć za nią portal prowadzący na inną planetę, gdzie jest tak niezwykle pięknie, że nie da się tego opisać słowami. Odkrycia te nie mieściły się matematykowi w głowie. Takie rzeczy przecież nie istnieją! Niebywała nieosiągalność form i obrazów po prostu nie może się chować w tak prostym, wręcz banalnym równaniu algebraicznym.

I to jeszcze nie wszystko.

Naukowiec zauważył, że różne elementy nienależące do zbioru dążą do nieskończoności z różną prędkością. Na początku postanowił dokonać prostego podziału, nieco modyfikując zasady budowy rysunku. Teraz punkty dzieliły się na trzy kategorie: te, które dążą do nieskończoności, te, które dążą do nieskończoności z umiarkowaną prędkością, oraz te, które szybko oddalają się od nieskończoności. Uczony otrzymał taki oto obraz:



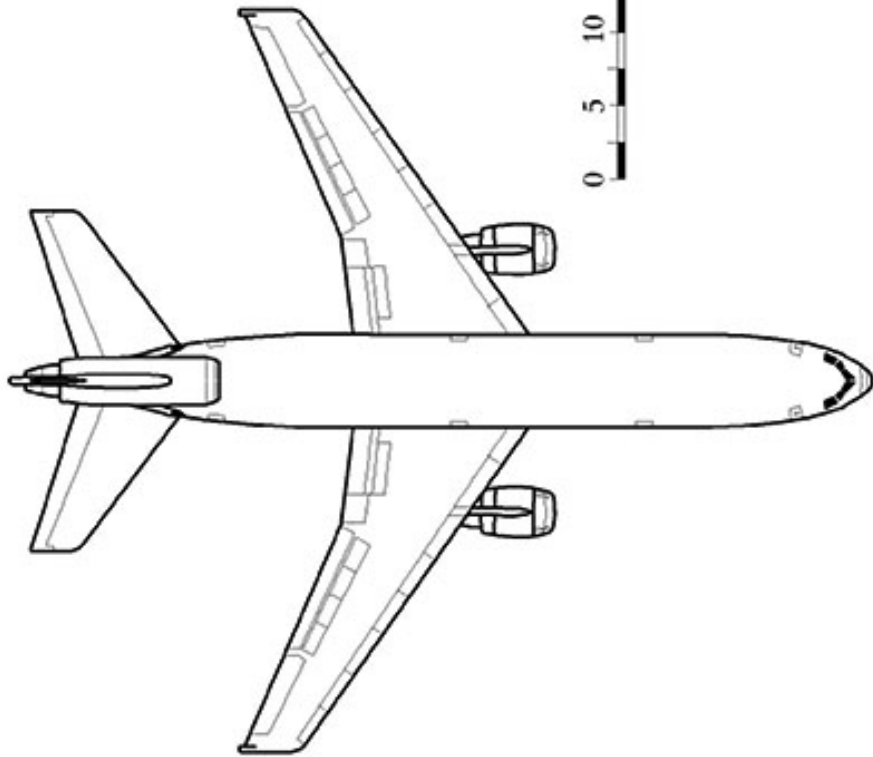
Zbiór Mandelbrota (strefy szarego koloru utworzone są z punktów, które dążą do nieskończoności z umiarkowaną prędkością)

Benoît Mandelbrot nie zatrzymał się i poszedł dalej. Teraz każdemu punktowi dążącemu do nieskończoności przyporządkował dany kolor w zależności od tego, jak szybko punkt ten oddalał się od zera. Podstawivszy

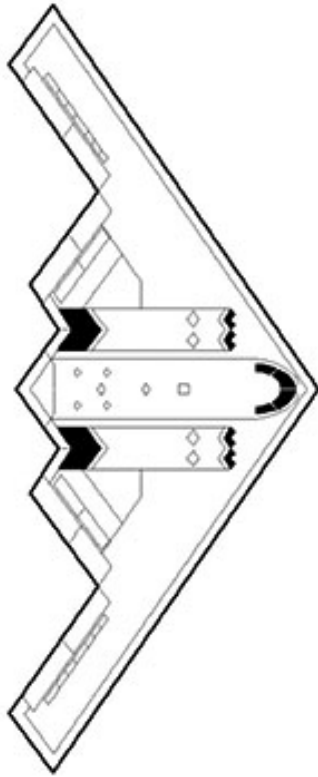
do swoich obliczeń różne gradienty (przejścia kolorystyczne), na brzegu fraktala matematyk otrzymał baśniowe wręcz rysunki. Niektóre z nich przedstawione są w kolorowej wklejce tej książki.

Zachwycajcie się nimi i pamiętajcie: całe to piękno opisane jest jednym równaniem!

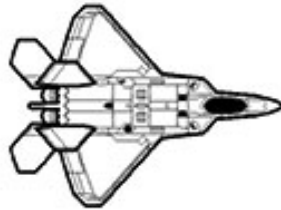
DODATEK B
Porównywalne rozmiary samolotów
opisanych w książce



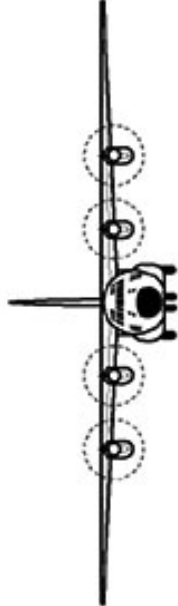
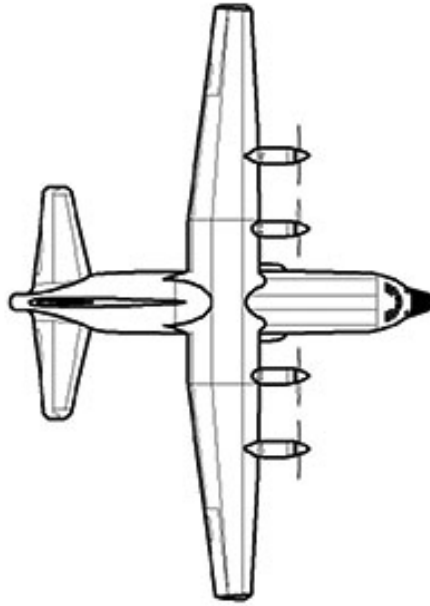
KC-10 Extender (McDonnell Douglas DC-10)



Northrop B-2 Spirit



F-22 Raptor



KC-130 Hercules

- [1] UTC (ang. Universal Time) – czas koordynowany, od którego liczy się czas pozostałych stref. Za podstawę UTC przyjęto czas lokalny na południku zerowym w Greenwich czy Londynie (zerowa strefa czasowa). UTC -4 (UTC minus cztery) oznacza, że strefa czasowa w Chile „późni się” w stosunku do strefy czasowej Wielkiej Brytanii. Kiedyś czas koordynowany nosił nazwę Greenwich Mean Time (Uniwersalny Czas Greenwich), inaczej GMT [jeśli nie podano inaczej, przypisy pochodzą od autora].
- [2] Calama – miasto na pustyni Atakama na północy Chile, stolica prowincji El Loa, region Antofagasta.
- [3] San Pedro de Atacama – osada w Chile na pustyni Atakama. Gęstość zaludnienia w regionie – 0,1 osoby na kilometr kwadratowy.
- [4] Antofagasta – wielkie przemysłowe miasto na północy Chile nad Oceanem Spokojnym.
- [5] Flaming andyjski (*Phoenicopterus andinus*) – najrzadziej spotykany gatunek flamingów. Ma blad różowe ciało oraz długie żółte łapy z trzema palcami. Mieszka w górach Peru na północnym zachodzie Argentyny oraz nad słonymi jeziorami pustynnej północy Chile.
- [6] Iquique – miasto na północy Chile nad Oceanem Spokojnym.
- [7] *Do you need help?* (ang.) – Potrzebujesz pomocy?
- [8] *Necesita ayuda?* (hiszp.) – Potrzebujesz pomocy?
- [9] Mapuche (dosł. „ludzie ziemi”) – plemię indiańskie zamieszkujące Argentynę. Inna nazwa – Araukanie. Ich populację szacuje się na 300 tysięcy osób. Jest to jedyny naród Ameryki Południowej, który nigdy nie został ujarzmiony przez Inków czy Hiszpanów.
- [10] Tonga – państwo leżące na archipelagu o tej samej nazwie w Polinezji na południowym Pacyfiku.
- [11] *Qué pasó?! No lo sé... No lo sé, señor* (hiszp.) – Co się stało?! Ja nie wiem... Nie wiem, proszę pana.
- [12] Meteory (grec. *Meteora* „wzniesiony w górę”) – jeden z największych zespołów klasztornych w Grecji; wszystkie klasztory położone są na wysokich (do 600 metrów) skałach, które w postaci słupów wznoszą się nad Niziną Tesalską. Niedostępne samotnie mnichów dosłownie zwisają nad ziemią.

- [13] D&S – sieć spożywczych i przemysłowych supermarketów w Chile.
- [14] Aldosteron – hormon kory nadnerczy, który reguluje gospodarkę wodną i mineralną organizmu, hamuje wydalanie chlorku sodu i wody, sprzyja zwiększeniu objętości krwi i podwyższeniu ciśnienia tętniczego.
- [15] Gaming AI, *Gaming Artificial Intelligence* (ang.) – sztuczna inteligencja w grach.
- [16] FPS (ang. *First Person Shooter*, „strzelanka z perspektywy pierwszej osoby”) – rodzaj gier komputerowych, w których gracz wciela się w wybraną postać, a wirtualny świat widzi jej oczami.
- [17] Robak – slangowa nazwa pomyłki w kodzie programu.
- [18] *Here is that guy. Okay... I see... He's so young. Only twenty seven. That's... strange* (ang.) – To ten chłopak. Okej... Widzę... Jest taki młody. Tylko dwadzieścia siedem. To... dziwne.
- [19] *Nice to meet you, Tymur* (ang.) – Miło cię poznać, Tymurze.
- [20] *Fuck it!* (ang.) – Pieprzyć to!
- [21] DLL (ang. *Link Library*, „łączona dynamicznie”) – w środowisku Microsoft Windows, z reguły plik z rozszerzeniem *.dll, który przechowuje skompilowany kod (funkcje, procedury, klasy), tabele i zasoby. Przewagą DLL jest to, że jej kody mogą być w tym samym czasie (i niejednokrotnie) wykorzystywane przez różne programy uruchomione w systemie.
- [22] CAD (ang. *aided design*) – wspomagane komputerowo.
- [23] *I think we must go. It's time* (ang.) – Sądzę, że musimy iść. Już czas.
- [24] *Вы говорите по-русски? А как мне еще говорить? На сраном китайском?* (ros.) – Czy mówi pan po rosyjsku? A jak mam mówić? Zastranym chińskim?
- [25] Lotnisko międzynarodowe Comodoro Arturo Merino Beníteza (znane jako lotnisko międzynarodowe Santiago lub lotnisko Pudahuel) – główne lotnisko stolicy Chile, położone nieopodal miasteczka Pudahuel.
- [26] Jap (ang. slang od *Japanese* – Japończyk) – amerykański przydomek nadawany Japończykom. Ma lekki odcień lekceważenia.
- [27] Mossberg 500 – jeden z najbardziej rozpowszechnionych na świecie rodzajów strzelb typu *pump action* (system przeładowywania karabinów

i strzelb, w których do załadowania naboju do komory konieczne jest przeładowanie ruchomym łożem poprzez ręczne przesunięcie i odciągnięcie czółenka broni).

- [28] Humvee – nazwa potoczna od skrótu HMMWV (ang. *High Mobility Multi-Purpose Wheeled Vehicle* – wielozadaniowy pojazd kołowy o wysokiej mobilności) – amerykański samochód terenowy o zwiększonej zdolności pokonywania przeszkód terenowych, który znajduje się na wyposażeniu armii wielu krajów. Na jego podstawie koncern General Motors Company opracował cywilną odmianę samochodu – hummera.
- [29] UNITA (port. União Nacional para a Independência Total de Angola – Narodowy Związek na rzecz Całkowitego Wyzwolenia Angoli) – ugrupowanie powstańcze w czasie wojny domowej w Angoli (1975–2002). Po 2002 roku druga co do wielkości partia polityczna Angoli.
- [30] Pod koniec XIX i na początku XX wieku wybrzeże Namibii zamieszkiwali niemieccy koloniści. Tworzyli kolonię o nazwie Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia. Do dzisiejszych czasów ocalały osady, które zachowały typowo „niemiecki” wygląd. Ich mieszkańcy rozmawiają po niemiecku, chociaż językiem oficjalnym Namibii jest język angielski.
- [31] Herero (inna nazwa to Mbandero) – grupa etniczna zamieszkująca Namibię, Angolę i Botswanę; dziś jest ich około 250 tysięcy.
- [32] Owambo – lud zamieszkujący tereny północnej Namibii i południowej Angoli. Liczebność – około 1,5 miliona osób, z czego blisko 750 tysięcy mieszka w Namibii (będąc największą grupą etniczną tego kraju), reszta – na południu Angoli.
- [33] *Fella* (nieformalny slang od ang. *fellow*) – druh, brach, młodzian, młody człowiek.
- [34] *Fucking hell!* (ang.) – Ja pierdolę!
- [35] *Hold on!* (ang.) – Trzymajcie się!
- [36] Joseph John Thomson (1856–1940) – fizyk angielski, odkrywca elektronu, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki w 1906 roku.
- [37] *Soy de Ucrania* (hiszp.) – Jestem z Ukrainy.
- [38] Umeå – miasto w północnej Szwecji.

- [39] Instytut Karolinska – uniwersytet medyczny w Solnie (region Sztokholm), jedna z największych wyższych szkół medycznych Europy.
- [40] *New Generation Fighter* (ang.) – żołnierz nowego pokolenia.
- [41] Lockheed Martin Corporation – amerykański koncern zbrojeniowy, jeden z „wielkiej piątki” amerykańskiego przemysłu obronnego, specjalizuje się w branży przemysłu lotniczego; dziewięćdziesiąt pięć procent dochodów pochodzi od Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych. Lockheed Martin wraz z Boeing Defense, Space & Security opracowywał myśliwiec F-22 Raptor.
- [42] Boeing – koncern amerykański, jeden z największych na świecie producentów sprzętu lotniczego. W jego skład wchodzi dwa wielkie działy: Boeing Commercial Airplanes (transport ludności cywilnej oraz producent samolotów pasażerskich) oraz Boeing Defense, Space & Security (do 2010 roku jako Integrated Defense Systems), odpowiedzialny za produkcję wojskową i kosmiczną.
- [43] Tak więc przez analogię z myśliwcem F-22 zrodziła się idea... – W języku angielskim *fighter* oznacza także „myśliwiec” (skrót od *fighter jet* – samolot myśliwski, dosł. bojownik odrzutowiec).
- [44] Ablacja – jedna z najstarszych metod badania mózgu; po usunięciu części mózgowia naukowcy obserwują zmiany, jakie zachodzą w efekcie takiej operacji. Niedoskonałość metody polega na tym, że nie każdy fragment można usunąć bez ryzyka utraty życia przez pacjenta.
- [45] Przechczaszkowa stymulacja magnetyczna – metoda pozwalająca na stymulowanie kory mózgowej za pomocą krótkich impulsów magnetycznych. Nie zawsze jednak można wybiórczo pobudzać tę czy inną część kory. Działa na głębokości do 2 centymetrów.
- [46] Elektrostymulacja – jedna z metod badania funkcji mózgu. Stymulując pewne punkty kory motorycznej, można powodować ruchy rąk, nóg itp.
- [47] 1 mikrometr = 10^{-5} metra. Ściśle rzecz biorąc, agenci mieli się nazywać mikrorobotami (1 nanometr = 10^{-9} metra), ale określenia „mikroroboty” prawie nie spotyka się w literaturze naukowej. Wszystkie struktury molekularne, które mogą wykonywać pewne czynności i którymi można sterować, uczeni nazywają „nanorobotami”. W pewnym sensie definicja ta jest uzasadniona, gdyż wszystkie nanoroboty tworzy się wyłącznie dzięki osiągnięciom nanotechnologii i przeważnie do ich budowy używa

się jeszcze mniejszych cząsteczek, nieprzekraczających wielkością molekuly DNA (2,2–2,4 nanometra).

- [48] DRQ – durochinon, $C_4(CH_3)_4O_2$.
- [49] Iteracja – czynność powtarzania jakiegoś procesu. W matematyce i ekonomice jest to jedno z rzędu powtórzeń operacji matematycznej, w którym wykorzystywany jest rezultat poprzedniej analogicznej operacji.
- [50] Pompa turbomolekularna – pompa próżniowa pozwalająca na uzyskiwanie wysokiej jakości próżni. Zasada działania polega na nadaniu dodatkowej prędkości cząsteczkom gazu poruszającym się w kierunku wylotu. Wirnik obraca się z prędkością dziesiątków tysięcy obrotów na minutę. Do pracy potrzebna jest pompa wytwarzająca wstępne podciśnienie.
- [51] 4 K (4 kelwiny) – jednostka temperatury w układzie SI. Temperatura 0 K jest równa temperaturze $-273,15$ stopnia Celsjusza.
- [52] Nanorobot NB-7½G|V31.1.4.128 with a lipid bio-shield (ang.) – nanorobot NB-7½G|V31.1.4.128 z bioosłoną lipidową.
- [53] Kapsuła lipidowa – lipidy to związki chemiczne występujące w przyrodzie: kwasy tłuszczowe oraz ich pochodne. Lipidy pełnią wiele funkcji biologicznych: energetyczną (podczas utlenienia 1 grama tłuszczu wydziela się 9 kilokalorii energii, czyli prawie dwa razy więcej niż przy utlenieniu 1 grama białka czy węglowodorów), termoizolacyjną (tłuszcz jest dobrym termoizolatorem), regulacyjną (witaminy A, D, E, hormony i sterydy są lipidami) oraz wiele innych.
- [54] Lobotomia – zabieg neurochirurgiczny na otwartej czaszce, polegający na przecięciu włókien nerwowych łączących czołowe płaty mózgowie ze strukturami międzymózgowia. W wyniku operacji zredukowano do minimum oddziaływanie na pozostałe części ośrodkowego układu nerwowego, ponieważ żaden patologiczny stan (halucynacje, urojenia) nie miał po prostu prawa się pojawić. W ZSRR takie operacje zostały oficjalnie zakazane w 1950 roku.
- [55] Terapia elektrowstrząsowa (EW, ang. *Electroconvulsive Therapy*, ECT) – psychiatryczna terapia szokowa, polegająca na przepuszczeniu przez mózg pacjenta prądu elektrycznego o napięciu do 450 woltów i natężeniu do 0,9 ampera.

- [56] Blastocysta – stadium rozwoju zarodkowego ssaków. Następuje po stadium rozwoju moruli. W stadium blastocysty zarodek zagnieżdża się w śluzówce macicy.
- [57] Kortykosteroidy (glikokortykoidy, glikokortykosterydy) – ogólna nazwa podklasy hormonów kory nadnerczy oraz ich syntetycznych odpowiedników. Podstawowa funkcja: regulacja bilansu mineralnego, węglowodanowego i białkowego.
- [58] *Myśliciel* – rzeźba słynnego XIX-wiecznego francuskiego rzeźbiarza Auguste’a Rodina.
- [59] Ośrodek przyjemności – szereg struktur mózgowych (głównie *nucleus accumbens* – jądro półleżące), które wywołują stan zadowolenia podczas stymulacji elektrycznej. Pełni ważną funkcję przy zamroczeniu alkoholem lub narkotykami.
- [60] *Inadequate behavior* (ang.) – nieodpowiednie zachowanie.
- [61] M134 Minigun – sześciolufowy karabin maszynowy, opracowany przez General Electric. Osiąga szybkostrzelność 2000–6000 strzałów na minutę.
- [62] Soman – ester pinakolinowy kwasu metylofluorofosfonowego, wzór chemiczny – $C_7H_{16}FO_2P$. Środek niezwykle trujący. Zsyntetyzowany w 1944 roku przez niemieckiego biochemika Richarda Kuhna. Gdy dostaje się do organizmu, stymuluje wytwarzanie neuroprzekaźników. Powodują one masowe zamykanie związków synaptycznych między neuronami mózgu, który przesyła do organizmu nieprzerwanym strumieniem impulsy zmuszające wszystkie narządy, mięśnie i gruczoły do pracy na pełnych obrotach do chwili, aż odmówią one całkowicie współpracy lub się zatrzymają. W ciągu kilku chwil (w zależności od otrzymanej dawki) traci się kontrolę nad organizmem, po czym następuje zgon.
- [63] Sarin – ester izopropylowy kwasu metylofluorofosfonowego, ciecz bez koloru i zapachu, wzór chemiczny – $C_4H_{10}FO_2P$. Bojowy środek trujący. Został uzyskany w 1939 roku w Niemczech przez Gerharda Schradera i jego współpracowników. Nazwa to skrót od nazwisk: Schrader, Ambros, Rüdiger, van der Linde.
- [64] Atropina – alkaloid występujący naturalnie w różnych gatunkach bielunia, cholinolityk (antycholinergik), wzór chemiczny – $C_{17}H_{23}NO_3$.

Zmniejsza rozkurcz mięśni gładkich, wydzielanie gruczołów ślinowych, potowych, oskrzelowych i żołądkowych. Jedna z niewielu substancji, która może przenikać przez barierę krew–mózg (hematoencefaliczną).

- [65] Chuquicamata – osiedle satelita w pobliżu jednej z największych na świecie odkrywkowych kopalni rud miedzi; w 2003 roku zostało zlikwidowane, w rzeczywistości jednak przestało istnieć z powodu problemów ekologicznych, a także niszczącego środowisko naturalne powiększenia się kopalni. Większość mieszkańców osady przeprowadziła się do Calamy.
- [66] San José, Santa Rosa, Cerrillos, San Bartolo, Machuca – te nazwy można odszukać tylko na bardzo szczegółowej mapie Atakamy (region Antofagasta) o dużej skali. Na takiej mapie są oznaczone zapomniane przez Boga osady złożone z dwóch bądź trzech glinianych chałup, zagubionych na pustyni nieopodal San Pedro de Atacama. W każdej z takich osad mieszka nie więcej niż trzy do pięciu osób.
- [67] ASL (ang. *American Sign Language*) – amerykański język migowy, używany przez głuchoniemych w Kanadzie i USA. Każdy kraj ma zazwyczaj własny język migowy, dotyczy to nawet tych państw, których językiem urzędowy jest ten sam język, na przykład angielski (tak więc język migowy w Wielkiej Brytanii całkowicie się różni od ASL, chilijski język migowy jest inny niż ten w Meksyku itd.).
- [68] *Por que coño?* (hiszp.) – Co za kurewstwo?
- [69] *Que mierda!* (hiszp. wulg.) – Co za gówno!
- [70] Kaliber .375 = 0,375 cala = 9,53 mm.
- [71] *Hóla, mexicano* (hiszp.) – Witaj, Meksykaninie.
- [72] Laguny – tutaj: liczne słone jeziora na południe od San Pedro de Atacama (z wyjątkiem laguny Miscanti), w szczególności laguny Salada, Punta, Tebinquinche, Barros Negros (patrz mapa regionu na s. 309).
- [73] Był w Rwandzie... – Rwanda to niewielkie ubogie państwo w środkowowschodniej Afryce. Ludność – 11 milionów mieszkańców, z których 84 procent stanowi grupa Hutu, a 14 procent grupa Tutsi. W 1994 roku dokonano w Rwandzie ludobójstwa, masakry mniejszości Tutsi. ONZ i USA przez długi czas nie interweniowały, w rezultacie czego rzeź trwała aż do połowy lipca. W ciągu około stu dni, od 6

kwietnia do 16 lipca, Hutu zabili i zakatowali w bestialski sposób od 800 tysięcy do ponad 1 miliona osób (według różnych szacunków). Prędkość, z jaką unicestwiano ludzi, przewyższała pięciokrotnie szybkość eksterminacji w niemieckich obozach koncentracyjnych w czasie drugiej wojny światowej.

- [74] Pompa śrubowa (inaczej ślimakowa) – pompa hydrauliczna, w której odbywa się tłoczenie cieczy roboczej z obszaru ssawnego do obszaru tłocznego za pomocą obracających się wirników ukształtowanych w postaci śruby (ślimaka).
- [75] 100 stóp – 30,5 m.
- [76] *Nantoka sitekudasai!* (jap.) – Niech pan coś zrobi!
- [77] *Wunderkind* (niem.) – cudowne dziecko.
- [78] Paso Sico – punkt kontroli granicznej w Andach, na granicy między Chile a Argentyną. Na Atakamie są tylko trzy takie posterunki: Paso Chama, Paso Sico i Paso Sokompa. Paso to po hiszpańsku przejście.
- [79] Cytrynka – potoczna nazwa granatu F-1.
- [80] *Svenska marinen* – szwedzka marynarka wojenna.
- [81] Przycisk nadawania PTT – z ang. Push to Talk – naciśnij i mów; chwilowe wciśnięcie i przytrzymanie przycisku powoduje przejście w tryb nadawania. System stosowany jest w krótkofalówkach oraz w CB-radiu.
- [82] Średnia wysokość płaskowyżu Atakamy to 1600–2100 metrów nad poziomem morza. (Puna de Atacama – płaskowyż wulkaniczny w Andach Środkowych, w Chile i Argentynie, na wysokości 3000–4000 metrów).
- [83] Tak naprawdę ani Rino, ani Allan nie uświadamiali sobie tego, jak bardzo niebezpieczny jest soman. Gdyby Amerykanin musiał strzelić w kontener z butlami, na sto procent by zginął, jako że śmiertelna dawka tego gazu przy wchłanianiu przez skórę wynosi 2 miligramy na kilogram. Oznacza to, że wystarczy kropla o masie 0,16 grama, żeby zabić człowieka.
- [84] Leo Philip Kadanoff (ur. 1937) – amerykański fizyk, profesor uniwersytetu w Chicago. Laureat licznych nagród (Nagroda Nobla w dziedzinie fizyki, medal Boltzmann, Narodowy Medal Nauki USA itd.). Zasłynął pracami z fizyki statystycznej oraz fizyki ciała stałego.

- [85] 350 peso – około 700 dolarów amerykańskich.
- [86] *Connection completed. Correlation is stable. Talk (ang.)* – Połączenie zostało ustanowione. Korelacja jest stabilna. Proszę mówić.
- [87] OPL – obrona przeciwlotnicza.
- [88] Under Secretary of Defense for Acquisition, Technology, and Logistics.
- [89] USAF – United States Air Force, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych.
- [90] USSTRATCOM – States Strategic Command.
- [91] USSOUTHCOM – United States Southern Command.
- [92] USSOCOM – United States Special Operations Command.
- [93] USPACFLT – United States Pacific Fleet.
- [94] Air Force Global Strike Command – główne dowództwo Sił Powietrznych USA, utworzone w 2009 roku.
- [95] F-22 Raptor – myśliwiec piątej generacji.
- [96] Northrop B-2 Spirit – ciężki, trudno wykrywalny dla radarów bombowiec strategiczny, wyprodukowany przez amerykański koncern Northrop Grumman. W celu zmniejszenia możliwości wykrycia do jego budowy zastosowano technologię stealth: samolot pokryto specjalnymi materiałami pochłaniającymi promieniowanie radarowe, zastosowano rozwiązanie aerodynamiczne „latające skrzydło”, silniki turboodrzutowe ukryte są wewnątrz kadłuba itp. Samolot znajduje się na wyposażeniu Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych (zbudowano 20 egzemplarzy). B-2 Spirit brał udział w operacji wojennej NATO w Kosowie (w byłej Jugosławii), a także w Iraku, Afganistanie i Libii. Jest to najdroższy samolot w całej historii lotnictwa. Wartość całkowita jednej maszyny (wliczając w to koszty projektu) w 1997 roku wynosiła 2,1 miliarda dolarów. Maksymalny zasięg lotu tego bombowca to 11 tysięcy kilometrów, a promień działania (maksymalna odległość, jaką samolot jest w stanie przebyć z pełnym wyposażeniem bojowym, wykonać zadanie i wrócić do bazy bez konieczności uzupełniania paliwa w locie) – 5300 kilometrów.
- [97] Guam – wyspa w zachodniej części Oceanu Spokojnego, znajduje się pod jurysdykcją USA, ale ma status zorganizowanego terytorium

nieinkorporowanego (*organized unincorporated territory*). W północno-wschodniej części wyspy mieści się baza US Air Force.

- [98] 172 stopy – około 52,5 metra.
- [99] C-130 Hercules – czterosilnikowy wojskowy samolot transportowy z napędem turbośmigłowym. Jedną z jego odmian (KC-130) pełni funkcję samolotu-cysterny. Może przewieźć do 19 900 kilogramów.
- [100] „Ronald Reagan” – lotniskowiec CVN-76, nazwany na cześć prezydenta USA Ronalda Reagana.
- [101] Freeware – bezpłatne oprogramowanie; licencja na taki program nie wymaga uiszczenia opłaty właścicielowi praw (ang. *free* – bezpłatny, *software* – oprogramowanie).
- [102] Plik wykonywalny – plik, za pomocą którego uruchamia się program komputerowy. Najczęściej ma rozszerzenie .exe lub .com.
- [103] Aby było wygodniej, na rysunku przedstawiającym zbiór Mandelbrota jest wyodrębniony białą prostokątną ramką fragment, pokazany na drugim rysunku w powiększeniu. Z kolei na drugim rysunku również wyróżniono białym prostokątem fragment fraktala, zaprezentowany w zbliżeniu na trzecim rysunku itd. Brak ramki oznacza, że powiększona została środkowa część poprzedniego rysunku (patrz: dodatek A).
- [104] Benoît Mandelbrot (1924–2010) – amerykańsko-francuski matematyk (urodzony w rodzinie litewskich Żydów), twórca geometrii fraktalnej. Laureat Nagrody Wolfa w dziedzinie fizyki w 1993 roku.
- [105] Nietrudno zrozumieć zasadę budowy zbioru Mandelbrota. Nie jest do tego potrzebna fachowa wiedza matematyczna. Wystarczy przypomnieć sobie definicję liczb zespolonych. Ta informacja nie jest bezpośrednio związana z fabułą książki, dlatego też postanowiłem nie załączać jej do tekstu. Jeśli nie będziecie mieli ochoty wnikać głęboko w ten temat albo uznacie, że trudno wam będzie pojąć, czym są liczby zespolone, po prostu czytajcie dalej. Aby zrozumieć dalsze wydarzenia, wystarczy powierzchowne wyobrażenie na temat tego, czym są fraktale. Dla tych, którzy chcieliby dowiedzieć się więcej, na końcu powieści zamieściłem dodatek (dodatek A. Zbiór Mandelbrota), w którym opisane są zasada budowy oraz historia odkrycia tego fraktala.

- [106] Większości nieliniowych równań dyferencyjnych nie da się rozwiązać w sposób analityczny. Pojedyncze wyjątki, które można rozwiązać, wymagają oryginalnego, niestandardowego podejścia.
- [107] *Voilà une personne qui ne s'est pas ennuyée tout ce temps* (fr.) – oto człowiek, który nie nudził się przez cały ten czas.
- [108] SSG-69 (niem. *Scharfschützengewehr* – karabin strzelca wyborowego) – austriacki karabin snajperski, przyjęty do uzbrojenia w 1969 roku. Uważany jest za jeden z najlepszych na świecie. Znajduje się na uzbrojeniu armii, policji, oddziałów specjalnych i wojsk ochrony pogranicza krajów członkowskich NATO.
- [109] *Твою мать* – od wyrażenia *у́б твою мать*, rosyjskie przekleństwo, odpowiednik polskiego „kurwa jego mać” (przyp. tłum.).
- [110] Katatonia (zespół katatoniczny) – zaburzenie psychiczne, charakteryzujące się zaburzeniami funkcji ruchowych. Jednym z objawów katatonii jest osłupienie (stupor).
- [111] H-field – oznaczenie pola magnetycznego w fizyce (literą H określa się natężenie pola magnetycznego).
- [112] *Delight* (ang.) – zadowolenie, rozkosz, rozrywka.
- [113] Antagonista (biochemia) – substancja, której działanie biologiczne jest odwrotnie proporcjonalne do działania innej substancji.
- [114] Bradykardia – zwolniona czynność serca (poniżej 60 razy na minutę), inaczej rzadkoskurcz (przyp. tłum.).
- [115] Rekuperator (z łac. *recuperator* – ten, który odzyskuje) – wymiennik ciepła służący do ocieplania lub ochładzania gazów spalinowych lub wydychanego powietrza.
- [116] KC-10 Extender – ciężki tankowiec powietrzny skonstruowany na bazie cywilnego samolotu pasażerskiego McDonnell Douglas DC-10. Po ang. *extend* to rozszerzać; *extender* – rozszerzacz, ten, który rozszerza (powiększa) zasięg działania samolotu.
- [117] Wznosimy się na sto dwadzieścia? – chodzi o prędkość, z jaką samolot odrywa się od ziemi. 120 węzłów = 222,4 kilometra na godzinę.
- [118] Jest wznoszący – oficerowie ustalają między sobą, w jakim trybie samolot będzie się wznosił: nominalnym (tryb pełnego niewymuszonego ciągu silników, wykorzystywany na ogół, gdy maszyna nie jest w pełni

obciążona) bądź wznoszącym (tryb pracy silników, który zapewnia maksymalną moc i siłę ciągu).

- [119] Spirit of Alaska – wszystkie samoloty B-2 Spirit noszą nazwy związane z różnymi stanami USA: na przykład obiekt typu stealth nr 88-0329 nazywa się Spirit of Missouri, nr 89-0128 – Spirit of Nebraska, nr 93-1088 – Spirit of Louisiana itp.
- [120] Lot koszący – lot samolotu na ekstremalnie niskiej wysokości (do około 50 metrów), ale wystarczający, aby zapewnić możliwość jednoczesnego manewru w razie natknięcia się na przeszkodę. Stosowany w celu zamaskowanego zbliżania się i ataku na obiekt, osłonięty potężnymi środkami obrony przeciwlotniczej.
- [121] ...przygotowując kanapki i gorącą kawę – brzmi oszałamiająco, ale to prawda: w przeciwieństwie do rosyjskich bombowców dalekiego zasięgu Tu-95, gdzie w pierwszych maszynach seryjnych nie było nawet toalet (sic!), B-2 wyposażony jest w dobrze zaopatrzoną kuchnię oraz łóżka, by załoga mogła odpocząć.
- [122] 360 węzłów to 670 kilometrów na godzinę.
- [123] Wigoń – zwierzę z rodziny wielbłądowatych. Przypomina wyglądem lamę lub gwanako, ale jest znacznie mniejszy.
- [124] Joint Direct Attack Munition (JDAM) – „dołączany pocisk ataku bezpośredniego”; zestaw wyposażony w urządzenie GPS, przeznaczony do przekształcania standardowych bomb niekierowanych (tak zwanych głupich bomb – ang. *dumb bombs*) w broń działającą niezależnie od warunków pogodowych, której tor lotu można korygować („inteligentne bomby” – ang. *smart bombs*). JDAM składa się z zestawu niedużych lotek, który mocuje się w środkowej części bomby, oraz zestawu ogonowego z ruchomym statecznikiem, który umożliwia pociskowi manewrowanie. Po raz pierwszy został wyprodukowany przez firmę Boeing w 1997 roku.
- [125] Słona pustynia – na pewnych obszarach pustyni Atakama występują słone gleby, zwane sołonczakami, wytworzone pod wpływem podsiąkającej słonej wody gruntowej.
- [126] O. Henry (właściwie William Sydney Porter) – amerykański pisarz, autor opowiadań humorystycznych.

- [127] Infradźwięk – fale akustyczne, analogiczne do dźwiękowych, o częstotliwości niższej niż dolna granica zakresu słyszalności ucha ludzkiego (<20 Hz). Fala dźwiękowa o częstotliwości drgań poniżej 20 Hz nie jest wychwytywana przez ucho ludzkie, innymi słowy nie da się jej usłyszeć. Nie oznacza to jednak, że człowiek w ogóle nie odbiera infradźwięku. Jeśli fale infradźwiękowe mają dostatecznie dużą amplitudę, są postrzegane jako zwykły dźwięk o nadmiernej sile. W rezultacie powstaje ciekawa sytuacja. Człowiek, który znajdzie się w strefie działania infradźwięku o częstotliwości, powiedzmy, 12 Hz i poziomie hałasu 150 decybeli, poczuje potworny nacisk na błony bębenkowe, coś będzie mu dudniło w piersi (podobnie jak odczuwa się dudnienie głośnika w klubie), poczuje, jak powietrze oraz przedmioty wokół wibrują, lecz... niczego nie usłyszy. Zdecydowana większość opowieści o spotkaniach ze zjawami, z duchami zmarłych itd. spowodowana jest właśnie przez infradźwięk, którego niewidoczne źródło znajduje się gdzieś w pobliżu „nawiedzonego budynku”.
- [128] Lot koszący często stosowany jest w celu likwidacji żywej siły przeciwnika. Nieraz czytałem o tym, jak z powodu dźwięku myśliwca turboodrzutowego, który przemieszcza się na granicznie małej wysokości, żołnierzom pękają tętnice, zatrzymuje się serce, następuje u nich niekontrolowana defekacja itp. Szczerze mówiąc, nie do końca w to wierzyłem, dopóki w 2011 roku nie znalazłem się w Kairze w samym środku rewolucji egipskiej. W niedzielę 30 stycznia Mubarak kazał wystartować dwóm F-16 egipskich Sił Powietrznych, które przez 10–15 minut krążyły nad miastem i budziły w demonstrantach grozę. To nie był lot koszący, bo F-16 nie opuszczały się poniżej 300 metrów, ale na własne oczy widziałem, jak trzęsą się ściany budynków, i czułem, jak mnie dosłownie wciska w asfalt ryk nieprawdopodobnej siły. Po tym incydencie jestem skłonny uwierzyć, że współczesny myśliwiec, przemieszczający się lotem koszącym, rzeczywiście może wypatroszyć człowieka. I jeszcze informacyjnie: poziom hałasu niebezpieczny dla zdrowia wynosi 75 decybeli, próg bólu to 120, dźwięk myśliwca 150, a dawka dla człowieka śmiertelna – 180 decybeli.
- [129] Tritonal – substancja wybuchowa, która w 80 procentach składa się z trinitrotoluenu (trotylu), a w 20 procentach – ze sproszkowanego aluminium. Wykorzystywana przede wszystkim do wytwarzania bomb lotniczych. Aluminium poprawia właściwości trotylu, zapewniając

maksymalne ciśnienie podczas wybuchu. Wybuch 1 kilograma tritonalu ma energię 5 megadżuli.

- [130] *It's no fucking good!* (ang.) – Kurwa, nie jest dobrze!
- [131] 15 milionów pesos – w przybliżeniu 30 tysięcy dolarów amerykańskich.
- [132] MOWAG „Piranha” – wozy bojowe produkcji szwajcarskiej (firma Mowag w kwietniu 2010 roku zmieniła nazwę na General Dynamics European Land Systems – Mowag GmbH). Znajdują się na wyposażeniu armii ponad dwudziestu krajów (między innymi: Szwecja, Belgia, Hiszpania, Kanada, Chile, USA). W Chile „Piranha” produkowana jest na licencji przez przedsiębiorstwo FAMAE.
- [133] *Europeos autoestopistas* (hiszp.) – europejscy turyści podróżujący autostopem.
- [134] Arica – najbardziej wysunięte na północ miasto w Chile, nieopodal granicy z Peru, nieco ponad 700 kilometrów od Antofagasty.
- [135] *Buenos días, vagabundos* (hiszp.) – Dzień dobry, włóczykije.
- [136] *Es un regalo... hay para todos* (hiszp.) – To prezent... Starczy dla wszystkich.
- [137] *No entiendo, señor* (hiszp.) – Nie rozumiem, proszę pana.
- [138] *Muchas gracias, chica* (hiszp.) – Wielkie dzięki, panienko.
- [139] Feynman R.P. *There's plenty of room at the bottom*, „Engineering and Science” Nr 23 (1960), s. 22; dostępny online pod adresem: <http://www.its.caltech.edu/~feynman/plenty.html>.
- [140] Tsukuba – miasto w Japonii, znane jako „miasto nauki”. Znajdują się tu instytuty badawcze technologii przemysłowych i rolnictwa, centrum kosmologiczne, uniwersytet Tsukuby oraz wiele innych organizacji naukowych.
- [141] J. Gleick, *Chaos. Narodziny nowej nauki*, Poznań 1996.
- [142] B. Mandelbrot, *The Fractal Geometry of Nature*, 1977.
- [143] Właściwie: C.G. Jung, *Podstawy psychologii analitycznej. Wykłady tavistockie*.

Wydawnictwo Akurat
imprint MUZA SA
ul. Marszałkowska 8
00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz